

Bestsellerowy autor New York Timesa

LEWIS PERDUE



Przyspiesza puls i zmusza do myślenia. Prawdziwy rarytas.

DAVID MORRELL

IDEALNY ZABÓJCA

Philip Wilson

ODRZUĆ LĘK ODRZUĆ MYŚLENIE ZABIJAJ JAK MASZYNA

W życiu sławnego neurochirurga Brada Stone'a wraz z niespodziewaną wizytą kobiety, którą znał w przeszłości, pojawia się intrygująca zagadka: dlaczego znany obrońca praw Afroamerykanów pragnie ocalić przed karą śmierci białego zabójcę-rasistę?

Od przeszło siedemdziesięciu lat naukowcy z wojskowego Projektu Optymalizacji Wartości Bojowej poszukują złotego środka medycyny do wykorzystania na polu walki – narkotyku, który zmienilby zwykłych żołnierzy w sprawne maszyny do zabijania. Dziś, po latach tajnych badań, Projekt Optymalizacji Wartości Bojowej jest gotowy do wdrożenia na masową skalę – bez względu na katastrofalne konsekwencje.

Idealny zabójca to inspirujący i oryginalny thriller, który sonduje najbardziej skrywaną naturę ludzkiego umysłu.

Sensacyjna wyprawa w świat kontrowersyjnej nauki i zbrodni, gdzie lekarstwem na strach staje się zasada „nie czuj i nie myśl”. Czy niemożliwe już się zdarzyło? – *Twist Phelan*

Lewis Perdue jest prawdziwym mistrzem współczesnych thrillerów i spadkobiercą wielkiej tradycji Roberta Ludluma i Fredericka Forsythe'a. – *Lee Goldberg*

Błyskotliwość jest znakiem firmowym Lewisa Perdue. – *Mark Burnett*

Psychologiczny thriller poruszający ważne kwestie etyczne związane z postępem militarnym i medycznym. – *Richard A. Gabriel*



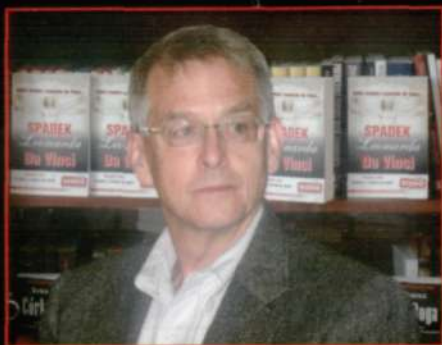
Cena 29,90 zł

ISBN 978-83-7236-221-6

ISBN 978-83-60697-05-4



9 788372 362216



LEWIS PERDUE

Znany w Polsce światowy bestsellerowy autor kilkunastu znakomitych thrillerów.

Fizyk, biolog, dziennikarz sam mógłby być bohaterem powieści. Od zawsze wykazywał zdolności do nauk ścisłych i talent literacki. Konstruował silniki rakietowe, jonowe, plazmowe, zbudował laser. W obu dziedzinach otrzymał liczne międzynarodowe nagrody. Zawsze interesowali go wybitni ludzie, zmieniający świat, którzy byli bohaterami jego książek, jak Leonardo da Vinci i Tesla.

Idealny zabójca ukazuje porażający obraz Deltę Missisipi, kraju młodości autora, który niewiele się zmienił od czasów wojny secesyjnej. Przedstawia zderzenie dwóch światów Ameryki: biednego, konserwatywnego Południa, dostarczającego armii amerykańskiej żołnierzy, z supernowoczesnym mocarstwem dysponującym straszliwą technologią, potrafiącą zmienić żołnierza w maszynę do zabijania.

Akcja kolejnej książki o wybitnym umyśle, włoskim naukowcu, który zaginął w nieznanych okolicznościach, będzie się toczyła w Polsce. Jesienią 2006 r. pisarz odwiedził nasz kraj.

Lewis Perdue specjalizuje się w thrillerach opartych na faktach.

Lewis Perdue

IDEALNY ZABÓJCA

PhilipWilson

Tytuł oryginału:

Perfect Killer

Copyright © 2005 by Lewis Perdue
Copyright © na polskie wydanie Philip Wilson 2007

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część ani całość nie może być reprodukowana
bez wcześniejszej zgody Wydawcy.

Tłumaczenie:

Małgorzata Fabianowska, Janusz Maćczak

Konsultacja medyczna oraz przekład Aneksu III:
lek. med. Marta Strasburger

Projekt okładki:

PWW

Zdjęcie - Copyright © Nikonite/Dreamstime

Redakcja:

Danuta Rzeszewska-Kowalik

Korekta:

Małgorzata Pośnik

Redakcja techniczna:

Aleksandra Napiórkowska

CIP - Biblioteka Narodowa

Perdue Lewis

Idealny zabójca / Lewis Perdue ; [tł. Małgorzata
Fabianowska, Janusz Maćczak]. - Warszawa :
Philip Wilson, cop. 2007

ISBN 978-83-7236-221-6

ISBN 978-83-60697-05-4

Philip Wilson

ul. Gagarina 28A, 00-754 Warszawa

pwilson@p.pl.pl; www.philipwilson.pl



Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Sp. z o.o.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks (22) 721 30 00, sekretariat: (22) 721 30 11
zamówienia internetowe: (22) 721 70 07 lub 09

Skład i łamanie: *Małgorzata Brzezińska*

Druk i oprawa: ZG ABEDIK S.A., Poznań

*Emerytowanemu pułkownikowi
A.L. „Buddy”Barnerowi,
wybitnemu pilotowi myśliwskiemu
z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych*

*Każdy chłopiec pragnie mieć swojego bohatera.
Dziękuję za to, że był pan moim.*

*Książkę tę dedykuję również wszystkim mężczyznom i kobietom
służącym we wszelkich rodzajach amerykańskich sił zbrojnych
oraz w formacjach ochrony porządku publicznego,
którzy codziennie ryzykują życiem dla zachowania bezpieczeństwa
i wolności Stanów Zjednoczonych.
Są oni prawdziwymi dzielnymi bohaterami
i zasługują na naszą głęboką wdzięczność
i najwyższy szacunek w o wiele większym stopniu niż rząd,
biurokraci z Pentagonu czy idole kultury masowej.*

SPIS TREŚCI

PODZIĘKOWANIA ...	9
SŁOWO WSTĘPNE ...	11
PROLOG ...	19
ZABÓJCA IDEALNY ...	23
EPILOG ...	463
POSŁOWIE ...	475
Dr Richard A. Gabriel (Emerytowany pułkownik Armii Stanów Zjednoczonych)	
ZAŁĄCZNIK I ...	483
Zapis wywiadu dla stacji telewizyjnej WLBT	
ZAŁĄCZNIK II ...	489
Profesor Bradford Stone - Konspekt wykładu	
ZAŁĄCZNIK III ...	495
Xantaeus Pharmaceutical - Informacje o leku	
ZAŁĄCZNIK IV ...	497
Tajny raport	

PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstałaby bez pomocy i wskazówek wielu ludzi, którzy bezinteresownie poświęcili mi swój czas i siły.

Jestem ogromnie zobowiązany doktorowi Bradfordowi Stone'owi i Jasmine Thompson za wielogodzinne rozmowy, na które tak uprzejmie się godzili, oraz za umożliwienie mi nieograniczonego dostępu do ich notatek, archiwów i innych dokumentów, które udało im się ukryć, po tym jak pracownicy Departamentu Bezpieczeństwa dokonali na nich przed świtem tego pamiętnego i niezgodnego z konstytucją nalotu i przejęli większość zgromadzonych przez nich materiałów.

Chciałbym również podziękować:

- Emerytowanemu sierżantowi Vince'owi Sloane'owi z urzędu szeryfa okręgu Sonoma za udzieloną mi fachową pomoc.
- Davidowi Simonowi, emerytowanemu zastępcy szeryfa okręgu Los Angeles za podsuniecie mi licznych pomysłów.
- Emerytowanemu pułkownikowi Richardowi Gabrielowi z armii Stanów Zjednoczonych zajego dzieła naukowe, a w szczególności za pracę *Nigdy więcej bohaterów*, w której po raz pierwszy poruszona została kwestia „pigulki pola walki”.
- Ałowi Thompsonowi i Lenie Grayson za to, że powstrzymali mnie przed powieszeniem się i nauczyli, jak być beztroskim i samodzielnym.
- Jayowi Shankerowi, który sam jeden mógłby zmienić powszechną opinię o adwokatach, gdyby wszyscy pozostali zechcieli wziąć z niego przykład.

- Rexowi McNabb i doktor Anicie McNabb za ich nieocenioną przyjaźń oraz za pomoc, jaką okazali mojej matce w ostatnich latach jej życia.
- Steve'owi La Vere, który pomógł w ocaleniu spuścizny Roberta Johnsona i wsparł sprawę autentycznych bluesmenów z Deltą Missisipi.
- Tyronowi Freedowi za jego rady i pomysły.
- Doktorowi Arthurowi C. Guytonowi, który podsycił mój zapał do zgłębiania nauk ścisłych i medycyny.
- Doktorowi Jeffowi Flowersowi za pomoc w wyjaśnieniu i zinterpretowaniu rozmaitych rodzajów badań warstwowych mózgu.
- Emerytowanemu generałowi Clarkowi Braxtonowi z armii Stanów Zjednoczonych winien jestem głęboką wdzięczność za jego czas i wino, których mi tak hojnie udzielał, oraz za wspólne zwiedzanie zamku Castello Da Vinci - zaś jego asystentce Laurze LaHaye za sprawne uzgadnianie moich wizyt.
- Emerytowanemu zastępcy szeryfa, sierżantowi Johnowi Myersowi oraz Tyronowi Freedmanowi za umożliwienie mi dostępu do pewnych drastycznych i szokujących fotografii o historycznym znaczeniu.
- Billowi Wallerowi, byłemu gubernatorowi stanu Missisipi, a zarazem mojemu dawnemu szefowi, który odważył się ścigać sądowo zabójcę Medgara Eversa.
- Stephenowi Huntingtonowi z sirusshosting.net, najlepszemu na świecie serwisu hostingowego, oraz technikowi Gary'emu Anagnostisowi, którzy sprawili, że wszystko, co wiąże się z internetem, wydawało się niezwykle proste.
- Jestem też wdzięczny, choć z odmiennych powodów, sędziemu, który zapewnił mi wgląd w potężną organizację, przez tak długi czas rządzącą stanem Missisipi; a także za to, że mogłem spędzić tyle czasu na plantacji Mossy, łowić ryby w jeziorze i dostać wycisk w odziarniarni bawełny w Itta Benie.

SŁOWO WSTĘPNE

Ofiarowuję 15 procent moich dochodów ze sprzedaży tej książki trzem niezwykłym organizacjom: Akcji Wolnościowej Okręgu Sunflower, Centrum Sprawiedliwości w Missisipi i Narodowemu Stowarzyszeniu Rodzin Wojskowych (każda z nich otrzyma 5 procent moich należności).

Akcja Wolnościowa Okręgu Sunflower (www.sunflower-freedom.org) jest niezależną i nienastawioną na zys organizacją, założoną w 1998 roku. Realizuje ona w Delcie Missisipi niezwykle skuteczny program edukacyjno-doradczy, którego celem jest stworzenie korpusu zdolnych, wykształconych i świadomych społecznie młodych liderów lokalnych społeczności.

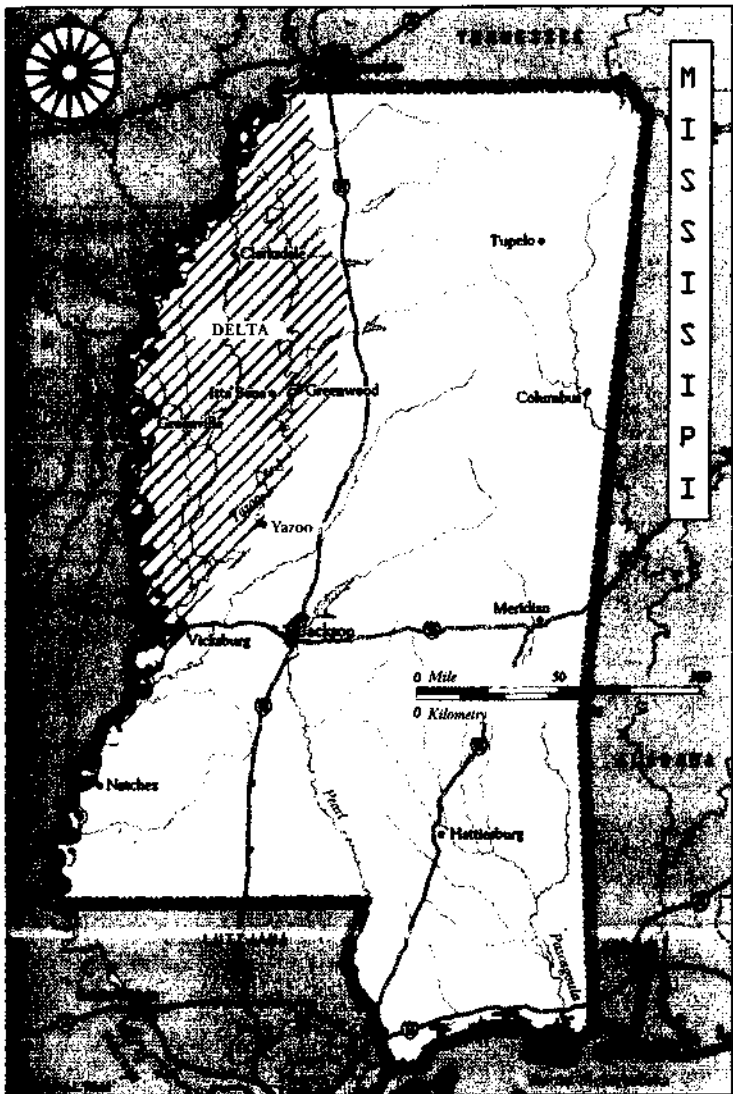
Zadanie Akcji Wolnościowej Okręgu Sunflower polega na zapewnieniu wykształcenia młodym ludziom, zamieszkującym rolniczy stan Missisipi, rozwijaniu ich świadomości społecznej i zdolności przywódczych oraz wzbogacaniu ich życiowego doświadczenia - niezbędnych do tego, by mogli podejmować swobodne i świadome decyzje dotyczące ich dróg życiowych. Akcja Wolnościowa nie tylko znalazła się w roku 2003 w finale organizowanego przez Fundację Forda konkursu „Przywództwo w Zmieniającym się Świecie” - czym mogą się pochwalić jeszcze co najwyżej jedna czy dwie organizacje z tradycyjnie wiejskiego Południa - lecz została również wyróżniona przez Amerykańskie Forum Polityki Młodzieżowej za jej wspaniałą działalność, nakierowaną na „zachęcanie młodych ludzi, aby dążyli do doskonałości i zdobywali wyższe wykształcenie”.

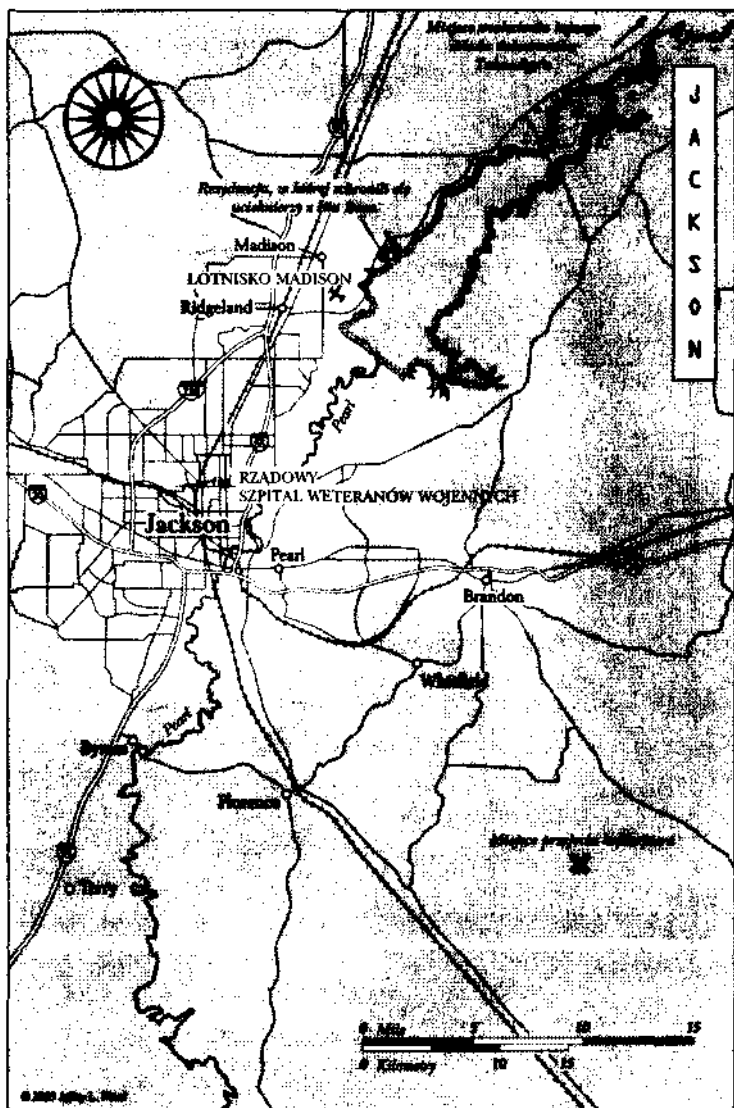
Centrum Sprawiedliwości w Missisipi (www.mscenterfor-justice.org) jest niekomercyjnym stowarzyszeniem, dążącym do tego, by wskrzesić na terenie całego stanu systemowy,

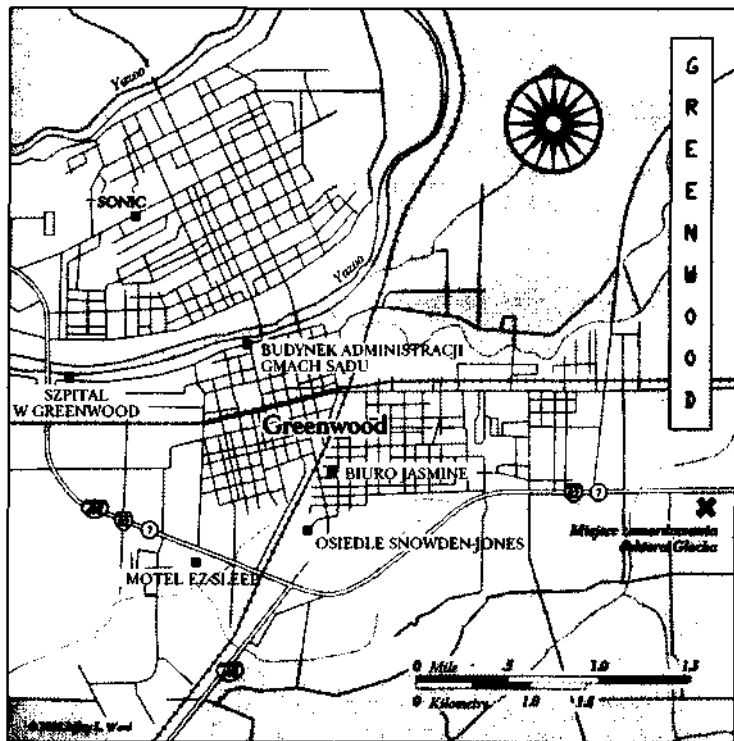
prawnie ugruntowany ruch wspierania dyskryminowanych rasowo i ubogich jednostek oraz społeczności. Prowadzona przez Centrum działalność prawna ma na celu pogłębienie w stanie Missisipi sprawiedliwości rasowej i ekonomicznej. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku niekomercyjne, działające w interesie publicznym firmy prawnicze zapewniały w Missisipi wsparcie prawne ruchowi na rzecz praw obywatelskich. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych środki finansowe, pochodzące ze Stowarzyszenia Usług Prawnych, wspierały na terenie całego stanu ludzi o niskim poziomie dochodów w dziedzinach takich, jak prawa wyborcze, warunki mieszkaniowe, świadczenia publiczne i prawa konsumenckie. Jednakże obecnie, na początku XXI wieku, w Missisipi nie istnieją już zintegrowane ogólnostanowe struktury dostarczające prawnego wsparcia w walce z wciąż obecnymi problemami ubóstwa i dyskryminacji rasowej. Zarząd Centrum Sprawiedliwości w Missisipi podjął się stworzenia organizacji zdolnej do sprostania tym wyzwaniom.

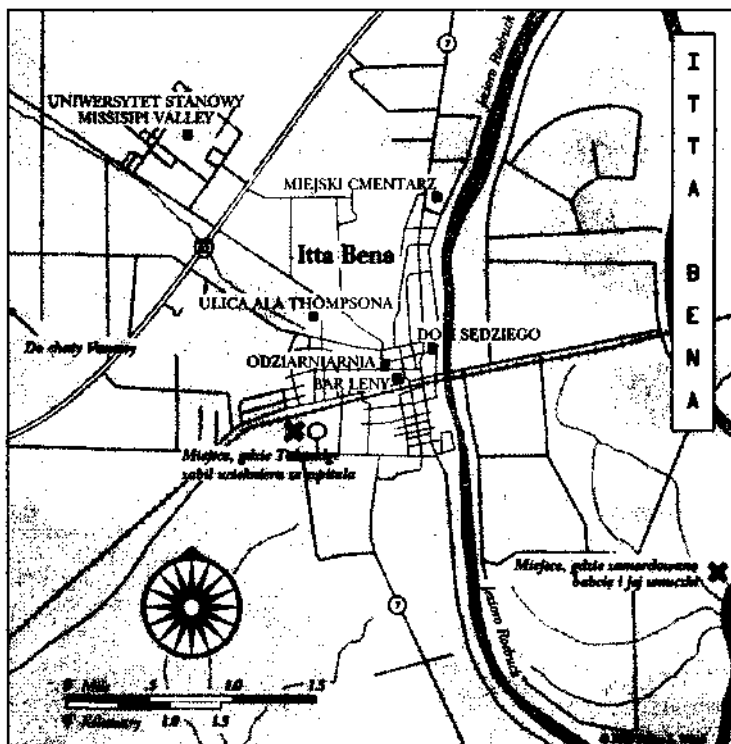
Narodowe Stowarzyszenie Rodzin Wojskowych to niezależna, niekomercyjna 501 (c) (3) organizacja, zatrudniająca głównie ochotników i finansowana z odliczanych od podatku składek i dotacji. Jest jedyną ogólnonarodową prywatną organizacją, poświęcającą się rozpoznawaniu i rozwiązywaniu problemów nękających rodziny wojskowych. Zadanie Stowarzyszenia polega na udzielaniu pomocy rodzinom siedmiu rodzajów służb mundurowych na drodze działalności edukacyjnej, informacyjnej i prawnej, w tym między innymi poprzez prowadzenie działań informujących społeczność wojskową, Kongres i opinię publiczną o prawach i przywilejach rodzin żołnierzy oraz wspieranie posunięć, mających na celu zapewnienie im godziwych warunków życia.

Lewis Perdue









*Muszę być w ruchu, muszę być w ruchu...
Wysłannik piekieł jest na moim tropie.*

ROBERT JOHNSON,
legendarny bluesman
z delty Missisipi, który jak powiadają,
zyskał swój muzyczny talent
zaprzędając duszę diabłu

*Każdy, kto utrzymuje, że rozumie teorię kwantową,
jest albo kłamcą, albo szaleńcem.*

RICHARD P. FEYNMAN,
laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki
z 1965 roku

PROLOG

Atramentowoczarna bezkسیężycowa noc spowiła Deltę Missisipi cieniami rozmaicie nasyconymi mrokiem, które spłaszczyły ten malarycznie wilgotny świat do postaci dwuwymiarowej karykatury.

Nad stojącymi wodami sadzawek na polach śmierci gorączkowo kłębiły się komary, niczym biblijna plaga - słyszalne, boleśnie odczuwane, lecz niewidoczne. W oddali, za niskim nasypem, który nawet w okresach powodzi utrzymywał tory Towarzystwa Kolejowego Columbus i Greenville nad powierzchnią, jarzyła się garść rozproszonych świateł. Zza nasypu dochodziły dźwięki kościelnego hymnu. Dobiegały od strony Balance Due, wiecznie ubogiej czarnej dzielnicy miasta Itta Bena, gdzie brudne ścieki fermentowały w odkrytych rowach przy zrytych koleinami drogach gruntowych, wzdłuż których stały walące się drewniane chaty.

W jedną z najciemniejszych nocy Darryl Talmadge kucał w wilgotnej bujnej trawie, uważając, by uchronić swój colt. 45, model 1911 z tłumikiem przed zamoczeniem w wodzie trzęsawiska, która przesiąkała mu do butów. Wsłuchiwał się całym sobą w otaczający go mrok, usiłując tyleż usłyszeć, co i wyczuć nadejście ofiary, na którą czatował. Gdzieś daleko na wschodzie zadudnił pociąg towarowy, a w ciemnościach w pobliżu nasypu kolejowego rozległ się hałas, jakby ktoś przedzierał się desperacko przez błoto i wysoką trawę. Talmadge wiedział, że musi jedynie cierpliwie zaczekać, jak podczas polowania na jelenia. Na ludzkiego jelenia, pomyślał z uśmiechem.

Dawniej pracował jako przewodnik myśliwych w Delcie Missisipi. Było to jeszcze przed wojną w Korei, gdzie rozwalono mu głowę, którą oni tak dobrze załatali. Uratowali mu

życie, toteż robił wszystko, czego zażądali. A także dlatego, gdyż potrzebował ich lekarstw, żeby odpędzić upiorne wizje i wspomnienia.

Jego uwagę przykuł dźwięk jakby cmoknięcia, po lewej stronie, w odległości około dwudziestu pięciu metrów. A potem jeszcze jeden i następne. Odgłosy wyciągania nóg z grząskiego błota, z początku powolne i ostrożne, a potem przyspieszające mozolnie i skręcające w kierunku torów kolejowych.

Doskonale.

Talmadge wstał i jedynym płynnym ruchem wydobył rewolwer. W ułamku sekundy rozpoznał prawie niedostrzeżalny cień, jakby uformowany z czerni i rzucony na niemal równie czarne tło nocy. Wycelował, pociągnął za spust i usłyszał ciche kaszlnięcie wystrzału oraz okrzyk bólu, gdy ludzka postać upadła z mokrym plaśnięciem.

- Poddaj się, czarnuchu! - wrzasnął, biegnąc z trudem przez trzęsawisko i wysoką trawę. Po chwili odnalazł zygzakowate ślady rannego mężczyzny, który widocznie potykając się usiłował w panice uciec.

- Sra w gacie ze strachu - wymamrotał Talmadge. To był już czwarty w ciągu ostatnich dziesięciu dni i miał najwyczejniej dosyć tropienia tych chłopaków.

Zobaczył przed sobą niewyraźną sylwetkę ofiary, która skrzyła w prawo i puściła się sprintem z powrotem w stronę torów. Łoskot pociągu towarowego rozbrzmiewał teraz bliżej i Talmadge zdawał sobie sprawę, że uciekinier będzie chciał przebiec przed parowozem, by reszta składu odgrodziła go od prześladowcy, albo wskoczy do krytego wagonu.

Oba wyjścia są dla niego dobre, pomyślał. Dobiegł szybko do skraju pasma żużla u podnóża nasypu i przykucnął za wysoką kępą zeschniętej trawy. Oparł się o zbocze i wycelował broń w dół wału, podtrzymując ją lewą ręką.

Za jego plecami światła parowozu omiotły tory, rozpętując na nich grę cieni. Zaraz potem w odległości mniej wię-

cej trzydziestu metrów ciemna postać oderwała się od zarosła i ruszyła w górę zbocza. Chwilę później reflektor lokomotywy oświetlił rannego, wydobywając z mroku plamę czerwieni na jego ramieniu w miejscu postrzału.

Talmadge wystrzelił i zaklął, kiedy kula rozrzuciła żwir tuż u stóp mężczyzny, który zaczął szybciej gramolić się pod górę. Talmadge nie czuł żadnego gniewu, emocji czy rozczarowania. Precyzyjnie zanalizował trajektorię swego ostatniego strzału, dokonał w myśli poprawki i wymierzył rewolwer w miejsce na szczycie nasypu, gdzie, jak przypuszczał, pojawi się ścigany.

Strzelił w momencie, gdy rozległ się gwizd lokomotywy, a tamten znieruchomiał, odwracając twarz ku nadjeżdżającemu pociągowi. Pocisk przeszył jego ciało i pchnął je na tory, prosto pod koła.

1 Poniedziałek przygniatał całą okolicę, siny i kamienne zimny, niczym trup. Szare, jakby łupkowe chmury, pokryta zimowym szronem trawa i blade nagrobki wysysały kolory i życie z Itta Beny, którą tak kochałem jako dziecko.

U stóp łagodnej pochyłości pola, leżącego za rdzewiejącymi żelaznymi sztachetami płotu otaczającego cmentarz, oraz po drugiej stronie asfaltowej drogi dojazdowej, nierównej i pokrytej licznymi łatami, nagie drzewa brodziły w zimnej, błotnistej i ciemnej wodzie jeziora Roebuck. Pogoda nie sprzyjała garstce żałobników, którzy mieli spotkać się w ten chłodny styczniowy ranek, aby pożegnać moją matkę.

Na razie jednak stałem samotnie obok kilku składanych krzesełek, ustawionych w pobliżu świeżo wykopanego grobu. Pokrywająca grunt wysłużona sztuczna murawa nie była w stanie zamaskować sterty ziemi przy nagrobku z wrytym na nim nazwiskiem drugiego męża mamy, za którego wyszła dopiero po uprzednim trzykrotnym ślubie i rozwodzie z moim ojcem.

Ciszę poranka z rzadka tylko zakłócał jakiś samochód albo furgonetka, przejeżdżające autostradą nr 7. Lekki wietrzyk przynosił mi od czasu do czasu niewyraźne, urywane strzępy rozmowy, jaką prowadzili dwaj stojący sto metrów ode mnie mężczyźni; ich żółte kombinezony ożywiały ten ponury krajobraz impresjonistyczną barwną plamą. Przyglądałem się, jak oparciu o zabłoconą żółtą koparkę palającego papierosa za drugim.

Wiatr się wzmógł; uderzył mnie w odsłonięte czoło jak mroźny ból głowy i przeniknął przez mój nowy ciemny wełniany garnitur, kupiony specjalnie na tę okazję. Jego porywy szarpały mnie ostrymi pazurami, sprawiając że jądra

skurczyły mi się i wcisnęły rozpaczliwie w krocze. Odwróciłem się plecami do podmuchów, wsunąłem ręce głębiej w kieszenie spodni i poczułem ich lodowaty dotyk na udach. Przypomniały mi się zimne wieczory w czasach, gdy chodziłem do liceum, kiedy to treningi futbolowe trwały, dopóki nie robiło się zbyt ciemno, by móc dostrzec piłkę, a my wciskaliśmy zmarznięte dłonie w ochraniacze na genitalia, aby je ogrzać i wrzeszczeliśmy głośno do trenera, żeby wpuścił nas na boisko, ponieważ bez względu na to, jak bardzo byliśmy zmęczeni, znacznie gorzej było stać przy bocznych liniach i czuć, jak wiatr mrozi pot wsiąkający w nasze sportowe koszulki.

Gdzie u diabła wszyscy się podziali? Obróciłem się i omiotłem wzrokiem niewielki opustoszały cmentarz. Nagle jakiś ruch przyciągnął moje spojrzenie ku woskowym, wiecznie zielonym liściom okazałego drzewa magnolii. Niczego już nie zobaczyłem, lecz byłem przekonany, że ktoś się przy nim czai. Zamknąłem więc oczy i spróbowałem przywołać z pamięci ulotny obraz, który mignął przed chwilą niewyraźnie na samym skraju mojego pola widzenia. Bezskutecznie.

Potrząsnąłem głową. To jeszcze jeden skutek stresu, pomyślałem, otwierając oczy. Niemniej poszedłem pośród grobów w kierunku drzewa, mówiąc sobie, że nawet jeśli nikogo tam nie ma, odrobina ruchu trochę mnie rozgrzeje.

Widok nagrobków przypomniał mi o tym, że zmarli władają nami długo po swej śmierci, wiążąc nas wspomnieniami mocnymi jak miłość. Badam te kwestie zawodowo. W mojej pracy usiłuję rozczesać tkaninę neuronów i rozwiłkować motki synaps, aby ustalić, co tworzy naszą świadomość, co czyni nas nami. Jednak obecnie wszystkie moje naukowe ustalenia nie zdawały się na nic, gdy mroczna grawitacja smutku trzymała mnie bezlitośnie na swej orbicie.

Lawirowałem pomiędzy mogiłami dzieci, zmarłych zbyt młodo, oraz Krzyżami Południa żołnierzy Konfederacji, których śmierć nie miała sensu. Tyle było tutaj smutku,

a każdy grób stanowił własne epicentrum cierpienia i utraty, każdy niejako stawiał ostatnią kropkę po historii życia, stopniowo zapominanego, w miarę jak starzeli się ci, którzy mogli je pamiętać, a ich wspomnienia się zacierają.

Śmierć sprawia ból nie tylko dlatego, że uświadamia nam, iż również nieuchronnie umrzemy, lecz także ponieważ rozwiera dziurę w naszej pamięci i ograbia nas z żywego, ciepłego świadectwa tego, kim byliśmy i jesteśmy. Ta strata zmusza nas do zdefiniowania na nowo samych siebie.

Dotarwszy do drzewa magnolii znalazłem stary dekiel z koła forda, niedopałki, dwie zużyte prezerwatywy i mnóstwo flaszek po whisky. Najwyraźniej było to uczęszczane miejsce spotkań towarzyskich, dowodzące że nawet tutaj, w otoczeniu śmierci, życie płynie dalej. Minąłem drzewo i wkrótce znalazłem się na południowym krańcu cmentarza, przy kwaterze rodziny Stone'ow, gdzie spoczywały szczątki moich dziadków, wuja Williama oraz wuja Westera, którego nigdy nie poznałem, ponieważ, podobnie jak wielu innych na ubogim wiejskim Południu w latach dwudziestych XX wieku, zmarł w wieku niemowlęcym na jakąś dziś już uleczalną chorobę. Wieńczący płytę nagrobną mały aniołek, mający w zamierzeniu symbolizować jego niewinność i podkreślać fakt, iż dostał się prosto do nieba, tego ranka wydał mi się, nie wiedzieć czemu, nieco złowieszczy.

Głęboki, potężny warkot silnika sprawił, że odwróciłem się ku bramie cmentarza. Ujrzałem, jak olbrzymia niczym limuzyna, czterodrzwiowa metalicznie szara furgonetka, z takąż nadbudową na wielkiej platformie, zjechała na bok i zaparkowała za moim wynajętym samochodem. Za kierownicą siedział Rex. Jego ogolona głowa błyszczała, jakby nawoskował ją i starannie wypolerował. Był młodym przedsiębiorcą budowlanym, który niekiedy wykonywał prace na osiedlu mojej matki i powziął sympatię do jej miłego obejścia i staroświeckiego uroku rodem z Południa. Przez ostatnie trzy lata zaglądał do niej niemal codziennie, otaczał ją

szczególną troską i zamontował w łazience poręczę oraz całe specjalistyczne wyposażenie, niezbędne kobiecie, której zdolność poruszania się ograniczył podeszły wiek.

Rex i jego żona Anita, lekarka z pobliskiej Akademii Medycznej, opiekowali się mamą i stale sprawdzali, czy „pani Anabel” ma się dobrze. Nie chcieli przyjąć ode mnie zapłaty, a do tego jeszcze informowali mnie na bieżąco o potrzebach i stanie matki i pomagali mi w sekretnym przekazywaniu pieniędzy oraz zapewnianiu dodatkowej opieki, czego mama nigdy nie przyjąłaby bezpośrednio, gdyż była zdecydowana, aby „w żadnym wypadku nie stać się ciężarem dla swych dzieci”.

Rex był twardym, małomównym mężczyzną o niejasnej przeszłości, która mogła - choć nie musiała - zawierać fakty takie, jak nakazy aresztowania za okaleczenie czy morderstwo. Zanim poznałem go i jego dawne życie na tyle, by poczuć zakłopotanie i niepokój, praktycznie zaadoptował już mamę.

Teraz wysiadł z samochodu, pomachał ręką i ruszył w moim kierunku. O głowę niższy ode mnie, zbudowany był jednak jak umięśniony czołg. W swoim dwurzędowym garniturze w paski wyglądał na eleganckiego płatnego mordercę z mafii i zastanawiałem się, czy nosi broń.

2 Odwzajemniłem jego powitanie i rzuciłem ostatnie spojrzenie na rodzinny grób. Matka często mówiła mi, że pragnie zostać tutaj pogrzebana, lecz jej młodszy brat William ubiegł ją i zajął ostatnie wolne miejsce. Naprawdę bardzo zależało jej, by spocząć obok swego ojca, którego nazywała tatusiem, podczas gdy inni zwracali się do niego „Sędzio”, mimo iż nigdy nie wybrano go ani nie powołano na stanowisko w sądownictwie, zaś sam uważał, że piastowanie tego rodzaju publicznego urzędu nie

przystoi dżentelmenowi, takiemu jak on. Był zdania, że obowiązkiem prawdziwego dżentelmena z Południa jest namaszczać tych, którzy godzą się na wybór czy mianowanie, a po objęciu władzy będą wykonywać jego polecenia.

O sukcesie tej teorii zaświadczała szafa na dokumenty, wypełniona prywatnymi listami od gubernatorów, senatorów, kongresmanów oraz pomniejszych wybieralnych urzędników i zwykłych śmiertelników, w których wszyscy jak jeden mąż zapewniali Sędziego, że będą wypełniać jego polecenia. Mama odziedziczyła tę korespondencję przed półwieczem, a kiedy wyprowadziła się ze swego wielkiego domu do małego mieszkania w Jackson przy szosie Lakeland Drive, naprzeciwko szpitala św. Dominika, przekazała ją mnie. Z szacunku dla niej nie pozbyłem się tych papierzyśk, tylko rzuciwszy niedbale okiem na co najmniej paręset pudeł kartotekowych (nagromadzone papierowe pozostałości czterdziestu lat praktyki adwokackiej Sędziego i odgrywania przez niego roli szarej eminencji), wyniosłem je wszystkie do schowka, po czym zapomniałem o nich aż do dziś.

Elitaryzm Sędziego, a zwłaszcza stosunek do publicznych stanowisk, legł u podłoża jego niewzruszonej pogardy dla mego ojca, którego drzewo genealogiczne ugięło się pod ciężarem licznych obieralnych urzędników, w tym między innymi kongresmana oraz mojego prapradziadka J.Z. George'a, sławnego senatora, który, jak głoszą podręczniki historii, nadał formalny charakter ustanowionej przez Jima Crowa segregacji rasowej, pisząc konstytucję Missisipi, i urzeczywistnił ją w praktyce poprzez wprowadzenie obowiązkowego egzaminu z czytania i pisanie oraz podatku pogłównego, co na następne trzy czwarte wieku pozbawiło praw obywatelskich połowę ludności stanu.

W dowód uznania tych zasług posąg mojego prapradziadka umieszczono w Statuary Hall na Kapitolu obok rzeźby przedstawiającej konfederackiego prezydenta Jeffersona Davisa. Nigdy nie potrafiłem pojąć pogardy Sędziego

dla ponurego dziedzictwa mojej rodziny, ponieważ wydała ono majstersztyk konstytucyjnego rękodzieła, umożliwiający mu faktyczne traktowanie dzierżawców na obydwu jego plantacjach jak niewolników.

Wszystkie te rodzinne powody oraz fakt, iż ojciec pracował w owym czasie dla gubernatora, sprawiły, że moją rodzinę zaszokowało i zgorszyło wydalenie mnie z Uniwersytetu Missisipi jesienią 1967 za poprowadzenie marszu na rzecz praw obywatelskich. Sędzia wydziedziczył mnie ze swego okazałego majątku szybciej, niż zdążylibyście powiedzieć „poplecznik czarnuchów”. Wszyscy byli radzi, kiedy wkrótce potem zgłosiłem się do wojska i zniknąłem im z życiorysów.

Odwróciłem się od tej przeszłości - raz jeszcze - i ruszyłem w kierunku Rexa.

W ubiegły czwartek zadzwonił do mojego biura, czego nigdy wcześniej nie robił. Powiedział, że tego ranka mama pojechała do szpitala. Podobnie jak każda stosunkowo zamożna i opłacająca solidne ubezpieczenie osiemdziesięciosiedmioletnia osoba, mama regularnie odwiedzała cały batalion specjalistów medycznych. Oni zaś równie regularnie wysyłali ją do szpitala na kilkudniowe badania.

I z podobną regularnością polecała lekarzom, by przesyłali mi kopie wyników tych badań, po czym oboje szczegółowo je omawialiśmy. Gdybym nie odbył studiów medycznych, nie mielibyśmy o czym ze sobą rozmawiać. Nie pochwalała tego, gdzie żyję, jak żyję oraz większości moich przekonań i nigdy nie omieszkała poskarżyć się na mój akcent i na to, że mówię jak „urodzonyjankes”. Moja matka była zbyt dystygowana, aby powiedzieć „cholera”. W jej przekonaniu damy z Południa nigdy nie wyrażały się tak ordynarnie.

I aby nie było żadnych wątpliwości: mama istotnie była anachroniczną damą starej daty z Południa, piękną urodzoną na plantacji Deltę, która nigdy nie pojęła, dlaczego szczęśliwe czarnuchy nie chcą już dłużej pozostawać na swo-

im miejscu, jak Pan Bóg przykazał, podobnie jak ustanowił, że drozdy nie mieszają się z wróblami. Z tego powodu nasza rozmowa koncentrowała się głównie na jej problemach zdrowotnych. Kochała mnie, jak to tylko matka potrafi, lecz nigdy nie rozumiała mnie ani moich życiowych wyborów. Podobnie zresztą jak i ja sam.

Teraz, sto godzin później, spotkałem się z Rexem przy nagrobku z nazwiskiem Stallingsów.

- Cześć, doktoru.

Wyciągnąłem rękę, lecz on zamiast ująć ją, podszedł bliżej i mocno mnie objął. Uścisnąłem go równie szczerze, ale krótko. Uściski mężczyzn - z wyjątkiem mojego ojca, który już nie żył, oraz syna, który zmarł o wiele za wcześnie, by móc stać się mężczyzną - wprawiają mnie w zakłopotanie.

- Dzięki, że przyszedłeś - rzekłem. Wiedziałem, że zabrzmiało to kulawo, jeszcze zanim popatrzył na mnie z marsową miną. - Ładny garnitur - spróbowałem inaczej. Wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę grobów. - Jestem ci bardzo wdzięczny, stary.

Rzucił mi zdziwione spojrzenie.

- Gdybyś do mnie nie zadzwonił - powiedziałem - nie zobaczyłbym jej już żywej.

- J a k t o ?

- Po twoim telefonie zadzwoniłem do mamy do szpitala. Zarzuciła mnie swą zwykłą paplaniną o tym, że nie powinienem do niej przyjeżdżać, gdyż moi pacjenci potrzebują mnie o wiele bardziej niż ona, i jakby to było cudownie, gdybym przyjął tę świetną posadę, którą wydział medycyny Uniwersytetu Missisipi oferuje mi właśnie tu, w Jackson.

Rex uśmiechnął się.

- To fakt, stale o tym mówiła.

Wzruszyłem ramionami.

- No cóż, tym razem miałem jakieś niedobre przecucie. Cieszę się, że mnie zawiadomiłeś.

Ktoś religijny nazwałby to znakiem od Boga, lecz według mnie usłyszałem raczej coś w tonie jej głosu albo po prostu wiedziałem, że się starzeje i zawodowe doświadczenie medyczne powiedziało mi, że wkrótce napór jej chorób rozluźni uparty chwyt, jakim trzymała się życia. Tak czy inaczej, odwołałem wizyty pacjentów i obowiązki w moim szpitalu i w czwartek wieczorem wsiadłem w samolot na Międzynarodowym Lotnisku w Los Angeles. Gdy w piątek wczesnym popołudniem wszedłem do jej pokoju w szpitalu św. Dominika i usiadłem przy łóżku, ujrzałem bladą, wysuszoną kobietę, którą widziałem zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Chwilę potrwało, nim otworzyła oczy. Były apatyczne, bez wyrazu, a kiedy mnie rozpoznała, napełniły się łzami. Rak okrężnicy, powiedziała. Nieuleczalny, jak stwierdzili lekarze. Nie chciała żadnych specjalnych zabiegów, żadnych różnych operacji ani chemioterapii.

- Spędziłem z nią tamto popołudnie - powiedziałem, gdy zśliśmy w głąb cementarza. - Świadomość opuszczała ją i powracała, a gdy kilka razy się odezwała, mówiła tak cicho, że aby ją usłyszeć, musiałem nachylać się nad łóżkiem i wstrzymywać oddech.

- O czym rozmawialiście? - zapytał Rex. W jego głosie zabrzmiała osobliwa nuta, może nie strachu, ale też i nie zwykłej ciekawości.

- Głównie czytałem jej urywki z Biblii, zwłaszcza w kółko Psalm 121.

- I to wszystko?

Skinałem głową i wydało mi się, że na jego zazwyczaj pokrowej twarzy dostrzegłem wyraz ulgi. Jakby upewnił się, że jakaś tajemnica nie została ujawniona. To mnie nieco skonfundowało, ale uznałem tamto wrażenie za skutek napięcia, w jakim się znajduję, podobnie jak było wcześniej z przeświadczeniem, że ktoś rzekomo ukrywa się przy drzewie magnolii.

- Tak. - Poczujęm przyływ żalu. - To wszystko. Kiedy zapadł wieczór i w pokoju zrobiło się zbyt ciemno, bym

mógł dalej czytać, powiedziałem jej, że muszę się trochę przespać, ponieważ podczas nocnego lotu z Los Angeles nie zmrzyłem oka. Objąłem ją, pocałowałem i obiecałem, że wrócę nazajutrz rano.

Popatrzył na mnie znacząco, jakby wiedział już to wszystko co dotychczas powiedziałem i co jeszcze zaraz powiem.

Jakiś ruch zakłócił tok mych myśli. W oddali karawan skręcił płynnie z autostrady nr 7 w bramę cmentarza i zatrzymał się dostojnie za furgonetką Rexa.

- Potem był już tylko telefon ze szpitala około w pół do piątej nad ranem, zawiadamiający mnie, że umarła. - Przystanąłem i spojrzałem na niego uważnie. - Powiedzieli mi, że widocznie wstała, żeby wziąć papierosa, po czym straciła po ciemku równowagę, upadła i uderzyła o coś głową.

Rex również się zatrzymał i odwzajemnił moje spojrzenie.

- Umarła samotnie na zimnym, twardym linoleum podłogi. - Potrząsnąłem głową, gdyż ten obraz znów rozdarł mi serce. - Nie wyobrażasz sobie, ile razy modliłem się o pewność, że zginęła natychmiast po tym uderzeniu. Nie mogę znieść myśli, że konała długo na podłodze, świadoma iż umiera samotnie w ciemnościach. Wciąż zastanawiam się, czy wzywała pomocy, czy też po prostu poddała się, zamknęła oczy i odeszła.

Zapewne wskutek zszarpanych z napięcia nerwów odniosłem wrażenie, że ledwo zauważalny błysk w oczach Rexa świadczy, iż skądś zna odpowiedź na to pytanie.

3 W oddali stary czterodrzwiowy Chevrolet sedan z tablicą rejestracyjną duchownego wjechał na cmentarz za karawanem. Z wysiłkiem wygramolił się z niego przygarbiony stary dżentelmen w ciemnym garniturze; ostry wiatr rozwiewał jego nierówno przystrzyżone siwe włosy.

Obaj z Rexem odwróciliśmy się do niego.

- Wiesz, mama wszystko przygotowała - powiedziałem.

- Aż do najdrobniejszych szczegółów.

Rex uniósł pytająco brwi.

- W skrytce bankowej, zawierającej jej testament - wyjaśniłem. - Do papierów zaświadczających o opłaceniu z góry pogrzebu przyczepiła spinaczem kartkę ze szczegółowym opisem, w co ma zostać ubrana, łącznie z pończochami i bielizną, oraz którego pastora wezwać i jaki ustęp z Pisma Świętego ma on odczytać.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu na myśl o jej trwającym aż po grób teologicznym buncie przeciwko jednemu z fundamentów chrześcijaństwa.

- Co cię tak rozbawiło? - spytał Rex.

- W tej notatce zażądała kategorycznie, żebyśmy odmawiając podczas mszy Skład Apostolski pominęli fragment o zstąpieniu Jezusa do piekieł. - Potrzęsnałem głową. - Niezależnie od tego, jak bardzo drwiła z moich heretyckich poglądów na religię, sama nigdy nie zdołała pogodzić się z faktem, że jej własny Zbawiciel miałby spędzić czas w diabelskim piekle.

- To znaczy w Hadesie - poprawił mnie Rex.

Uśmiechnąłem się ponownie na to wspomnienie. Mama zawsze uważała słowa „piekło” i „diabli” za przekleństwa i była zbyt wielką damą, by ich używać.

Kiedy zbliżyliśmy się do karawanu, wysiedli z niego dwaj potężnie zbudowani pracownicy firmy pogrzebowej, nienaganie ubrani i profesjonalnie nijacy, i przywitali się z przygarbionym starym pastorem. Gdy zaczął pospiesznie przygotowywać się do mszy przy budynku miejscowego zakładu pogrzebowego, podszedłem do niego energicznym krokiem.

Czerwona i spierzchnięta twarz pastora była cała poznaczona bliznami, w których rozpoznałem ślady fachowo przeprowadzonych zabiegów usunięcia rakowych zmian

skórnych. Doliczyłem się jeszcze co najmniej tuzina następnych plam wymagających leczenia. W lewej ręce ściskał zniszczoną Biblię w popękanej skórzanej okładce. Druga dłoń była lekko zaciśnięta i trochę się trzęsła, jakby był farmerem obsiewającym ziarnem pole.

Uścisnąłem tę drżącą rękę, podziękowałem mu za przybycie i przedstawiłem Rexa.

- Pamiętam pańską matkę - zwrócił się do mnie pastor.
- A jeszcze lepiej Sędziego - któż go nie pamięta? - zwłaszcza z okresu powodzi w roku 1929, kiedy groziło, że woda przerwie wały - wszystkie oprócz tych, których budowę nadzorował jako przewodniczący Komisji Przeciwpowodziowej. Tak, tak, był z niego chłop na schwał.

W tym momencie wtrącili się doświadczeni pracownicy zakładu pogrzebowego, przywołując starego księdza z powrotem do teraźniejszości. Rex i ja wysunęliśmy ozdobioną cyną trumnę mamy - którą sama wybrała Bóg wie jak dawno temu - przez tylne drzwi karawanu, zanieśliśmy ją na kwaterę i umieściliśmy na aluminiowej konstrukcji nad świeżo wykopany dołek. Obaj staliśmy w milczeniu podczas krótkiej ceremonii. Znowu zabrzmiały wersety Psalmu 121 oraz zwyczajowe „z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Gdy w trakcie końcowej modlitwy zamknąłem oczy, bezskutecznie usiłując przywołać z pamięci obraz mamy w innej sytuacji niż w szpitalu lub w trumnie, usłyszałem za plecami, jak jakiś pojazd zahamował na żwirowanym podjeździe.

Kiedy pastor wypowiedział końcowe „amen”, ludzie z zakładu pogrzebowego nacisnęli ukrytą dźwignię i trumna z mamą opuściła się na dół.

Rex i ja staliśmy obok otwartego grobu, a warkot koparki stawał się coraz głośniejszy. Podniosłem garść ziemi i rzucałem ją na wierzch trumny. Zmarznięte grudki uderzyły o metalowe wieko i stoczyły się z niego z pustym głuchym odgłosem, który przeszył mi serce, i raptem przestałem widzieć przez łyzy. Otarłem oczy rękawem mojej nowej mary-

narki i przekląłem zachmurzone niebo za to, że nie przepuściło dla mamy choćby małego promyka słońca. Przyszło mi na myśl, by przekląć również Boga, ale nigdy nie gustowałem w pustych teatralnych gestach.

W końcu odwróciłem się i zobaczyłem, że Rex odszedł i stoi plecami do mnie, z pochyloną głową. Po drugiej stronie wzgórzka ziemi silnik koparki pracował niecierpliwie na jałowym biegu. Dwaj mężczyźni w żółtych kombinezonach spojrzeli na mnie wyczekująco. Skinąłem głową, odwróciłem się i podszedłem do pastora, stojącego dyskretnie nieco na uboczu. Raz jeszcze podziękowałem mu za przyjście i napomknąłem, że jego twarz powinien uważnie zbadać specjalista dermatolog, a potem wsunąłem mu w rękę kopertę z dwoma studolarowymi banknotami.

Gdy się oddalał, zobaczyłem że z jaskrawoczerwonego mercedesa sedana, zaparkowanego za ciężarówką Rexa, wysiadła wysoka kobieta o kawowej cerze.

- No, myślę że zmarli przewracają się już w grobach - odezwał się Rex, stając obok mnie. Wskazał ruchem głowy kobietę idącą w naszym kierunku. Byłem pewien, że skądś ją znam.

- J a k t o?

- Co za miastowy goguś z ciebie. Nie widzisz, że to cmentarz tylko dla białych gości? - odparł. - Nawet ci robociarze z łopatami są biali.

Nie spodobały mi się jego uwagi; nie miałem w tej chwili głowy do nieistotnych kwestii rasowych. Jednakże odwróciłem się do koparki i stwierdziłem, że ma rację. Co więcej, obaj robotnicy stali nieruchomo, śledząc wzrokiem zmierzającą do nas kobietę. Również dwaj pracownicy zakładu pogrzebowego i ksiądz zamarli bez ruchu, zaszokowani widokiem czarnoskórej osoby na cmentarzu białych.

Właściwie nie powinienem być zdziwiony, a jednak poczułem gorzkie rozczarowanie. Nie odwiedzałem Itta Beny od dwudziestu lat i to oddalenie od realiów Deltę pozwoliło mi tkwić w wygodnej fikcji i gratulować sobie, że moja

skromna działalność w ruchu na rzecz praw obywatelskich oraz niezwykle poświęcenie wielu innych ludzi zmieniło tujejsze stosunki, przekształcając je w chwalebny równość szans. Lecz najwidoczniej tujejsze życie - w większym stopniu niż w reszcie stanu Missisipi, innych stanach zapadłego Południa czy większości rejonów Ameryki - w dalszym ciągu obracało się wokół głęboko zakorzenionych problemów rasy, pochodzenia i segregacji.

Zacząłem tłumaczyć to Rexowi, gdy raptem serce mi zamarło: idącą ku nam kobietą była Vanessa Thompson. Ta Vanessa Thompson, majątna prawniczka działająca na rynkach obrotu akcjami, była szefowa Komisji Papierów Wartościowych i Giełdy. Jej uderzająco piękna twarz trafiła na okładkę magazynu „Time”, kiedy blisko dziesięć lat temu Vanessa porzuciła lukratywną praktykę adwokacką w Nowym Jorku i wróciła do stanu Missisipi, aby użyć swych pieniędzy do zapewnienia pomocy prawnej miejscowym biedakom, ponieważ, jak się wyraziła, „nadszedł czas, by zwrócić dług”. Lecz przypomniałem sobie również zacytowane w owym artykule wypowiedzi kilku bardziej cynicznych obserwatorów, którzy uważali, że jej posunięcie było „raczej spłatą niż zwrotem”. Wciąż jeszcze trzymałem tamten egzemplarz „Time'a” w szufladzie biurka w salonie mojego domku w Playa del Rey.

Jednak to nie potężna i bogata Vanessa Thompson, bo-jownicza o prawa obywatelskie, tylko dawna nastoletnia Vanessa Thompson, obiekt moich westchnień w liceum i najcudowniejszy zakazany owoc, w jednej chwili wstrzymała bicie mego serca, dokładnie tak, jak to się działo przed ponad trzydziestu laty.

Jej pojawienie się nie było dla mnie całkowitym zaskoczeniem, ponieważ w ciągu ostatniego miesiąca wymienialiśmy ze sobą e-maile na temat dziwnego przypadku przestępstwa popełnionego z zimną krwią, a zarazem z nienawiścią. W swoich e-mailach wciąż powtarzałem Vanessie, że nie zajmuję się przeprowadzaniem ekspertyz sądowych,

lecz ona nalegała i przysyłała mi kolejne pliki pełne informacji o Darrylu Talmadge'u, miejscowym białym skazanym niedawno za zamordowanie w latach sześćdziesiątych czarnego mężczyzny. Nie mogłem pojąć, czemu Vanessa chce, abym pomógł jej uratować Talmadge'a od komory gazowej.

4 Vanessa Thompson w pojedynkę odmieniła bieg mego życia, zmieniając syna uprzywilejowanej od pokoleń rodziny konfederackiej w wiarołomnego „poplecznika czarnuchów”, który zdradził swoją rasę i odwrócił się plecami do dziedzictwa posagów i portretów olejnych wypełniających urzędy stanowe. Poznałem Vanesę w 1965 roku, gdy nakazana przez sąd integracja rasowa umieściła ją wraz z symboliczną garstką czarnych uczniów w liceum, do którego chodziłem w Jackson. Pragnąłem wierzyć, że moja przemiana została spowodowana faktem, iż Vanessa ukazała mi zło dawnego systemu. Jednak to wcale nie odbyło się w ten sposób, nie tak prosto i jasno.

- Przyjacielu, diablo dobrze wiesz, jak wkurzyć ludzi – mruknął do mnie Rex, gdy ruszyliśmy w jej kierunku.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że rozpalone do białości nienawiścią spojrzenia zebranych krążą między Vanessą a mną.

- Myślę, że mam to od urodzenia.

- Cholerna prawda - odparł. - Więc skąd znasz tę słynną Vanesę Thompson?

- Z liceum - wyjaśniłem, wspominając szaloną słodycz wieku dojrzewania i upajające buzowanie hormonów. - Była w mojej klasie na zajęciach z historii. Zawsze wiele mówiła...

- To jej z pewnością zostało.

- ... i zawsze miała coś ciekawego do powiedzenia. Kwestie, nad którymi nigdy wcześniej się nie zastanawiałem. Niebezpieczne idee.

- Twoja mama uważała, że wyznajesz o wiele za dużo niebezpiecznych idei. Przypuszczam, że jedna z nich wzięła się od niej.

- Ściśle biorąc, nie.

- A jak?

- Zakochałem się w niej na długo przedtem, zanim zacząłem zwracać uwagę na jej słowa.

Rex skrzywił się i wciągnął z sykiem powietrze przez zęby.

- O, Chryste!

Przytaknąłem.

Z biegiem czasu znaczenie słów Vanessy nabrało dla mnie pierwszorzędnej wagi, lecz początkowo liczył się jej głos, jego dźwięk i barwa, niezłomne przekonanie, z jakim mówiła, energia jej emocji, przede wszystkim zaś nieubłagana siła grawitacji jej oczu o barwie glicynii, która wciągała mnie na orbitę Vanessy i oddała w jej władanie.

A także testosteron.

- Vanessa i inni czarni uczniowie wybierali wszyscy te same zajęcia szkolne, codziennie jedli lunch sami przy jednym stole i najczęściej przebywali tylko w swoim towarzystwie. Biali uczniowie nie zwracali na nich uwagi, jakby byli niewidzialni. Z początku zachowywałem się tak samo, aż do zajęć z historii Ameryki.

- Niech zgadnę - powiedział Rex. - Popełniłeś niewybaczalny grzech rozmawiania z nimi.

- Z Vanessą - odparłem skinąwszy głową. - Czasami tylko kilka sekund między lekcjami. Ale to wystarczyło.

- Pokochałeś czarnuchów.

To słowo wciąż mnie bolało, jak wymierzony policzek. Niezależnie od tego, jak wielu zwolenników hip-hopu dziś się nim przerzuca, wciąż brzmi niczym splunięcie na duszę.

- Wydrapywali te słowa gwoździem na mojej szkolnej szafce, malowali je na samochodzie, wypisywali je na trawniku przed domem zużytym olejem silnikowym. Chyba pró-

bowali go podpalić, ale tata odstraszył ich rewolwerem kalibru .12.

Urwałem na chwilę.

- Dyrektor szkoły wezwał mnie do gabinetu - podjąłem - i powiedział, żebym przestał bratać się z wrogami; napomknął, zdaje się, coś o „bezbożnych komunistach”. Wezwał też moich rodziców. Matka płakała, a ojciec powiedział, że straci przeze mnie pracę.

- Więc ona zawróciła ci w głowie?

- W pewnym sensie - odrzekłem. Na widok zbliżającej się Vanessy poczułem dawny nieodparty pociąg i pulsowanie krwi. Jak to możliwe? Jakim cudem to uczucie mogło przetrwać przez tyle dziesiątków lat? - Byłem zakochany. Zacząłem interesować się prawami obywatelskimi, żeby znaleźć drogę do jej serca. Musiało minąć trochę czasu, zanim ta kwestia nabrała dla mnie znaczenia sama w sobie. - Skinałem głowę do swych wspomnień, które stanęły mi żywo przed oczami. - Zapytałem ją, co mam czytać, czego słuchać, jak dotrzeć do wyrotowej literatury, leżącej u podstaw tego ruchu.

- Nic dziwnego - ciągnąłem - jej ojciec był jednym z przywódców. Wykładał jako profesor w Tougaloo. Cała rzecz dojrzała we mnie tuż przed Gwiazdką, kiedy Vanessa zaprosiła mnie do siebie na spotkanie grupy dyskusyjnej. Powiedziałem mamie, że muszę pójść do biblioteki, by zebrać jakieś materiały na lekcję, po czym pojechałem starą autostradą 51 na północ, w stronę Tougaloo. Kiedy wszedłem do jej domu, ujrzałem najbardziej zdumiewającą rzecz, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Ten zwyczajny mały szeregowy domek był pełen ludzi - to znaczy, dosłownie pękał w szwach - wszelkich kolorów skóry. - Potrząsnąłem głową. - Czarnych, białych, Azjatów, Latynosów. - Odwróciłem się do Rexa. - Pamiętam tamten dzień, jakby to było dziś rano. Nigdy przedtem w całym moim życiu nie byłem w żadnym miejscu, gdzie czarni, biali i wszyscy inni po prostu... po prostu trzymali się razem, jak równi sobie.

- Nie było aż takim zaskoczeniem, że spotkałem tam wszystkich trzech żydowskich uczniów z mojego liceum, czy właściciela jedynego w mieście baru. Lecz zdumiała mnie obecność mojego nauczyciela fizyki, stanowiąca dla mnie pierwszy dowód istnienia ludzi, którzy nie żywią nienawiści rasowej.

- Kiedy Vanessa wzięła mnie pod rękę i oprowadziła, przedstawiając zebranym, poczułem się w siódmym niebie. Jakby wprowadzała mnie do jakiegoś tajnego stowarzyszenia.

Odczułem znów to uniesienie, podchodząc wraz z Rexem do Vanessy. Ale teraz, jak i wówczas, zmieniło się ono w ponury i podły nastrój, gdyż przypomniałem sobie, co zaszło, gdy przedstawiła mnie swym rodzicom. Jej ojciec wpadł we wściekłość, a jego niski, dudniący gniewnie głos sprawił, że wszyscy zgromadzeni umilkli.

- J a k śmiesz przekraczać próg mego domu?! - krzyknął do mnie. - Akurat ty! Cała twoja rodzina i przodkowie wyrazili mojemu ludowi więcej krzywd niż ktokolwiek inny w całej żałosnej historii tego stanu!

Był przekonany, że w najgorszym razie zjawiłem się tam jako szpieg, zaś w najlepszym jestem kłopotliwym intruzem.

Razem z bratem Vanessy, Quincym, odprowadził mnie do samochodu i przykazał, żebym nigdy więcej nawet się do niej nie zbliżył. W następnym tygodniu przeniosła się z naszego liceum i nie widziałem jej aż do teraz.

5 Obecnie spotkaliśmy się znowu w ten smutny dzień, obok jednego z grobów z zardzewiałym żelaznym Krzyżem Południa. Wyciągnęła rękę i dotknęła palcami mojego przedramienia.

- Witaj, Brad - powiedziała. Znowu poczułem gwałtowne drżenie serca. - Przykro mi z powodu t w o j e j matki.

Rozwarłem ramiona, a ona przytuliła się do mnie, jakby wcale nie upłynęło tych trzydzieści pięć lat. Objęła mnie i wsunęła dłoń pod moją marynarkę, nadając naszemu przywitaniu jeszcze serdeczniejszy charakter, po czym odstąpiła krok do tyłu. Puściłem ją niechętnie.

- Ogromnie cię przepraszam za najście w takiej chwili, ale w ciągu ostatnich kilku dni ta sprawa Talmadge'a przybrała nieoczekiwany obrót. Naprawdę potrzebujemy twojej pomocy i miałam nadzieję, że przekonam cię osobiście.

Gdy mówiła, mój wzrok przyciągnął jakiś ruch za jej plecami. Zdałem sobie sprawę, że znów wpatruję się w wielką magnolię, lecz tym razem dostrzegłem poruszenie dużo dalej, pośród drzew rosnących nad jeziorem Roebuck.

Nim zdołałem zareagować, w chłodnym powietrzu rozbrzmiał strzał karabinowy. Vanessa upadła do przodu. Wyciągnąłem ręce, żeby ją podtrzymać i ujrzałem straszliwą dziurę w miejscu, gdzie przed chwilą było jej oko. Z tej potwornej rany trysnęła ciepła szaroczerwona ciecz, na moment mnie oślepiając. Chwyciłem Vanesę, potoczyłem się razem z nią na ziemię i nakryłem ją swoim ciałem, gdy drugi strzał rozdarł ciszę poranka.

6 Ze stanowiska strzeleckiego, ukrytego w cieniu za srebrzystymi suchymi deskami zrujnowanej i pomazanej graffiti chaty nad jeziorem, snajperka przyglądała się w idealnie okrągłym wizjerze karabinu rozgrywającemu się przed nią dramatowi. Widok czerwonej mgiełki wokół głowy adwokatkę, przypominającej obłok kurzu, sprawił iż poczuła w żyłach ciepły prąd znajomej kojącej satysfakcji.

Oderwała wzrok od okularu i po raz pierwszy spojrzała gołym okiem na sławnego doktora Bradforda Stone'a, legendarnego wywiadowcę piechoty morskiej, który został

później lekarzem i naukowcem. Był tak potężnym mężczyzną - ponad 110 kilogramów, blisko metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu - że wypełniał w całości pole wizjera, przez co łatwiej przyszłoby jej zlikwidować jego niż upatrzoną ofiarę. Przed oddaniem pierwszego strzału przypatrzyła się uważnie zmarszczkom na twarzy Stone'a, zielonym oczom i równemu przedziałkowi w krótkich szpakowatych włosach; wiedziała że mogłaby zastrzelić go w ułamku sekundy, lecz zleceniodawca miał co do niego inne plany.

Otrzymane dossier zawierało rejestr działalności Stone'a we wszystkich państwach Azji Południowo-Wschodniej oraz raporty o przydatności do służby, opisujące go jako człowieka życzliwego, sympatycznego, dobrze wychowanego, przyzwoitego i głęboko moralnego, który zarazem miał na swym koncie imponującą liczbę zabójstw ludzi będących wrogami jego kraju.

Długi i opatrzony klauzulą najwyższej tajności zapis kariery Stone'a w służbie czynnej w piechocie morskiej, a następnie jako tajnego agenta rządowego, dowodził jego niezwykłej biegłości w zabijaniu zarówno w bezpośredniej walce, gołymi rękami, nożem lub garotą, jak też na odległość, gdyż był jednym z najlepszych snajperów, jacy kiedykolwiek przeszli trening w bazie korpusu marines Camp Pendleton.

Potem pewnego dnia złożył podanie o przyjęcie go na kurs medycyny, a po jego ukończeniu został oficerem medycznym swego oddziału i stał się uzdolnionym lekarzem, potrafiącym jedną ręką zatamować krwotok z rany, a drugą uśmiercić napastnika. Zabijanie wrogów traktował jako rodzaj kuracji zapobiegawczej.

Dossier zawierało również wyczerpującą ocenę psychologiczną, w której wskazywano, że wprawdzie Stone w dalszym ciągu nie ma żadnych moralnych skrupułów wobec zabijania w służbie swego kraju lub w obronie własnej, jednakże po starciach dręczą go wyrzuty sumienia z powodu uśmiercania istot ludzkich. Zarazem obawia się, że owe wyrzuty su-

mienia w końcu znikną i mordowanie zacznie sprawiać mu przyjemność.

Snajperka przypomniała sobie czasy, kiedy sama wzdrażała się przed dotykiem swych ofiar i zagładaniem im w twarz oraz czuła żal z powodu zadawania śmierci jako nieuchronnej konieczności wojny. Przestała jednak odczuwać skruchy po tym, jak sama została ranna. Obecnie zabijanie sprawiało jej głęboką radość. Inni żołnierze zabijali, żeby przeżyć, ona natomiast żyła, aby zabijać.

- Bang - szepnęła cicho, kiedy siatka celownika optycznego Leupold 6X odnalazła Stone'a i martwą prawniczkę, padających na ziemię.

Wtem usłyszała huk strzału z jakiejś małokalibrowej broni - rewolweru, jak poznała po dźwięku. Omiotła celownikiem teren cmentarza i szybko namierzyła mężczyznę z ogoloną głową, strzelającego mniej więcej w jej kierunku.

- Żegnaj, skurwielu - powiedziała, wstrzymując oddech i pieszcząc cyngiel karabinu niczym kochanka, którym już dawno się dla niej stał.

7 Było o wiele za zimno, jak na Tajlandię czy Wietnam, ale w następnym ułamku sekundy moje ciało zareagowało z dawnym bitewnym refleksem, który mój mózg wypracował tam i w rozmaitych innych gorących, wilgotnych rejonach świata, gdzie oficjalnie w ogóle nie przebywałem. Pociski załomotały w dookolny żwir, gdy mocno objąłem Vanessę i przetoczyłem się wraz z nią pod osłonę pomnika nagrobnego z wypolerowanego marmuru, rzucającego nikły, niewyraźny cień.

Kule ścigały nas, gdy turlałem się, trąc twarzą o ostre grudy zmarzłej ziemi. Kiedy ich świst zmienił tonację i zaczęły nadgryzać marmur pomnika, wiedziałem że przynajmniej chwilowo jesteśmy bezpieczni. Wówczas zatrzymałem

się, żeby obmyślić drogę ucieczki lub chociażby znaleźć lepsze schronienie. Nie chciałem umrzeć na tym cmentarzu, jakkolwiek miejsce było skądinąd stosowne.

Raptem na mojej lewej flance ktoś jeszcze włączył się w strzelaninę; odgłos jego strzałów był wyższy i cichszy. Spojrzałem tam i zobaczyłem Rexa, który strzelał zza osłony nagrobka mamy. Jego ogień zmusił do milczenia nieznanego napastnika i w tej krótkiej chwili ciszy usłyszałem, jak ludzie krzyczą w telefony komórkowe, wzywając pomocy. Lecz niemal natychmiast szybka seria z broni półautomatycznej, oddana gdzieś zza drzewa magnolii, przeorała ziemię wokół Rexa, porwała na strzępy zielony płócienny daszek ciężkiej koparki i odbiła się od jej stalowego boku. Znow nastąpił moment ciszy. Dobiegł mnie odległy zgrzyt i trzask wyjmowania pustego magazynka i wsunięcia nowego, po czym znow rozległy się strzały, oddawane tak szybko, jak tylko nasz prześladowca zdołał pociągać za spust.

Chwilę później umilkły. Skupiłem myśli i uspokoiłem nierówny oddech, co w przeszłości wielokrotnie pozwoliło mi przeżyć. Popatrzyłem na Rexa. Uniósł kciuk w górę, na znak, że z nim wszystko w porządku i skinął pytająco głową w kierunku Vanessy.

Przyjrzałem się jej uważnie, ocierając sobie twarz z rozprysniętej organicznej tkanki. W przeszłości jako lekarz niewielkiego aktywnego oddziału, należącego do przemieszczającej się nieustannie grupy bojowej, widywałem już podobne rany i zawsze okazywały się śmiertelne. Niemniej położyłem delikatnie Vanessę na zmarzłej ziemi i nie zwracając uwagi na szkaradną ranę, poszukałem pulsu.

Nie znalazłszy go, odciągnąłem powiekę nienaruszonego oka i stwierdziłem, że źrenica jest rozszerzona, pozbawiona wyrazu i nie reaguje, nawet kiedy mocno wcisnąłem paznokieć w czoło Vanessy. Źrenica była tak szeroka, że musiałem zamknąć swoje oczy, żeby móc przypomnieć sobie tęczówki Vanessy o głębokiej barwie glicynii, która niegdyś nadawała

jej spojrzeniu tak nieodparty dla mnie urok. Spojrzałem na Rexa i przecząco pokręciłem głową. Gdzieś z daleka zza magnolii, na Lakeside Drive od strony miasta, o ile mogłem ocenić, dobiegł wysoki skowyt elektrycznego rozrusznika, a potem warkot potężnego silnika motocyklowego. Pulsował przez moment na jałowym biegu, po czym ryknął i wkrótce ucichł w oddali.

8 Kiedy wycie syren zagłuszyło hałas odjeżdżającego motocykla, Rex pokonał drogę do mnie szybkimi nieregularnymi skokami, kryjąc się za nagrobkami i pomnikami tak wprawnie, że dowodziło to niezbitości jego profesjonalnego wykształcenia. Jeszcze jedna zagadka. Kucnął obok mnie i wetknął do kabury przy kostce dziewięciomilimetrowy pistolet automatyczny wielkości dłoni.

- Spotkamy się później. - Rozejrzał się szybko i uważnie, gdy dźwięk syren się nasilił. - Nie mogę tu zostać. - Posłał mi zagadkowy uśmiech. - No wiesz, wszystkie te nakazy aresztowania.

Odszedł pospiesznie, poruszając się płynnie, a zarazem zdecydowanie i pewnie, i po chwili zniknął. Pomyślałem, że nie chciałbym mieć go za przeciwnika.

Gdy ustało bezpośrednie zagrożenie, ochronna tama w mojej głowie pękła i zalała mnie fala mrocznego przejmującego żalu. Gdy spojrzałem w dół na Vanessę - a raczej na jej martwe ciało, jedyną pozostałość po tym, czym kiedyś była - począłem szukać w myślach czegoś, co pozwoliłoby mi jakoś oswoić to uczucie, jakiejś sentymentalnej formuły „z prochu powstałeś...”, albo może refleksji, że powinniśmy pamiętać ludzi takimi, jakimi byli za życia, a nie po śmierci. Lecz o ile przy grobie mamy towarzyszyły mi wersety Psalmów, smutek i poczucie winy, teraz przystąpił do mnie Nietzsche. Jego słowa, których nie wspomniałem od czasów

liceum, rozbrzmiały mi w głowie tą samą ponurą emocjonalną nutą, co w policealnym okresie fascynacji *Wilkiem stepowym* Hermana Hessego. „Wielu umiera za późno, nieliczni umierają zbyt wcześnie... Umrzyj we właściwym czasie!... Umrzyj we właściwym czasie - tako rzecze Zaratustra.”

Potrząsnąłem głową, próbując odrzucić te słowa. Było jednak dla mnie aż nazbyt oczywiste, że Vanessa nie umarła we właściwym czasie i to budziło mój gniew. Przynuram dłoń do oczu i uważnie przyjrzałem się strzępom szarej substancji, która do nich przywarła. Przed ułamkami sekundy ta tkanka była siedliskiem umysłu Vanessy. Poświęciłem życie, by dowiedzieć się, w jaki tajemniczy sposób ta biologiczna galareta organizuje się w fenomen świadomości, w jaki sposób determinuje, kim jesteśmy, i obdarza nas niepowtarzalną ludzką świadomością bycia świadomym i świadomością owej świadomości.

Ponownie kucnąłem, sparaliżowany widokiem tkanki, która przed chwilą stanowiła podłoże dobroci, poczucia humoru i oburzenia. Teraz strzaskane okruchy umysłu Vanessy były tylko lepkimi, umierającymi strzępami rozkładającej się materii organicznej - za sprawą zwykłego przepływu energii kinetycznej z kilku gramów ołowiu.

- Gdzie jesteś? - zapytałem. Próbowałem wyobrazić sobie, dokąd uleciały jej myśli.

Dźwięk syren przywołał mnie z powrotem do tego zimnego, smutnego dnia. Dwa radiowozy policyjne wjechały szybko, jeden po drugim, na cmentarz, zasypując żwirem pobliskie groby. Kilka sekund później nadjechał wielki biały ambulans. Drzwi wozu patrolowego wydziału policji Itta Beny otworzyły się i wysiadł z nich czarny mężczyzna w mundurze policyjnym, o posturze obrońcy z drużyny futbolu amerykańskiego. Sięgnął niespiesznie do wnętrza wozu, wyjął wielki czarny kapelusz kowbojski i nasadził go starannie na głowę. Dopiero potem rozejrzał się powoli po cmentarzu i wyjął z kabury duży pistolet automatyczny.

Trzymał go przy udzie, z palcem na osłonie spustu. Okrzyki zebranych rozbrzmiały echem po całym cmentarzu. Wszyscy wskazywali w moją stronę.

Cisza znów zapadła, gdy olbrzymi gliniarz popatrzył na mnie. Jego twarz była szerokajak patelnia i równie pełna wyrazu, gdy przyglądał się, jak trzymam w ramionach Vanessę. W jego wzroku zamigotał cień dezaprobaty, która zmieniła się w grozę, kiedy spostrzegł jej krwawą, ziejącą ranę.

Przez jego twarz przemknęły w błyskawicznym tempie pojedynczych klitek filmowych rozpacz, potem gniew, a wreszcie smutek, gdy rozpoznał Vanessę. Tymczasem załoga karetki stała obok, spoglądając na potężnego gliniarza i oczekując poleceń. On zaś w końcu schował broń i wolno podszedł do mnie. Ratownicy medyczni ruszyli biegiem za nim; zawartość ich skrzynek z ekwipunkiem zagrzechotała w panującej ciszy. Chciałem powiedzieć im, że nie muszą się spieszyć, ale nie zdołałem wydobyć głosu.

9 Za mostem przerzuconym przez jezioro Roebuck, na wschodnim krańcu Itta Beny, motocyklistka rozwinęła zawrotną prędkość, która dla mniej doświadczonego kierowcy byłaby samobójcza, zwłaszcza gdy na południowy wschód od Runnymede asfaltowa szosa skończyła się, przechodząc w szeroką drogę z koleinami wyżłobionymi w zmarzniętym żwirze, piasku i błocie. Kobieta miała na głowie czarny pełny kask i trudno byłoby odgadnąć jej płeć pod leśnym kamuflującym myśliwskim strojem. Zawieszony na plecach karabin jeszcze bardziej upodabniał ją do miejscowych myśliwych, polujących o tej porze roku na jelenie.

Czuła w żołądku miłe ciepło, była odprężona, spokojna i zadowolona. Przebiegało ją rozkoszne mrowienie, jak po orgazmie, rozgrzewając jej uda i krocze w miejscu, gdzie stykały się z siodełkiem motocykla. Lubiła zabijać szybko

i beznamiętnie, ale uwielbiała, kiedy -jak dzisiejszego ranka - celny strzał oczyszczał jej ciało z wszelkiej złości i frustracji. Najwspanialsze były strzały w głowę.

Za wizjerem kasku jej twarz była gładką, spokojną maską, niczym po odbyciu stosunku seksualnego, i nie zmieniała wyrazu, gdy kobieta błyskawicznie mijała grupki czarnych ludzi, idących drogą parami lub trójkami. Nie zwracała uwagi ani na nich, ani na gromadki starych czarnych mężczyzn o cynicznym wzroku, siedzących na progach tanich przyczep mieszkalnych, które zastąpiły nędzne zniszczone drewniane chaty z czasów ich dzieciństwa. Ich starcze oczy widziały, jak świat biedy, oficjalnej segregacji rasowej i usankcjonowanej prawnie nierówności zmienił się w świat biedy oraz faktycznej segregacji i nierówności. Był to największy postęp, jakiego mogli oczekiwać od życia.

Niebrukowana droga przecinała zimowy monotony krajobraz Deltę Missisipi, płaski i bezbarwny jak pusty blat stołu. Motocyklistka co chwila rzucała okiem we wsteczne lustro. Postrzępione skrawki torebek nasiennych, pozostawione przez mechaniczne zbieraki i uczezione sepiowoczarnych szkieletów ubiegłorocznych krzewów bawełny, przemykały po obu stronach drogi. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola, a monotony widok urozmaicały jedynie rzędy drzew okalające zbiorniki wodne i bagniste tereny, zbyt podmokłe, by nadawały się pod uprawę. Cały obszar był płaski jak lustro sadzawki - dzięki rzekom Yazoo, Tallahatchie, Big Sunflower, Little Sunflower i Yalobusha oraz mnóstwu innych dopływów Missisipi, które od tysięcy lat wiły się przez rejon Deltę, pozostawiając po sobie niezliczone starorzecza przekształcone w jeziora takie, jak Roebuck, i nanosząc kolejne warstwy czarnej żyznej ziemi, na której nadal uprawiano najlepszą na świecie bawełnę. Unoszący się tu wszechobecny wilgotny i cuchnący zapach był tego dnia niewyczuwalny z powodu zimowego chłodu.

Kobieta wiedziała, że za bliskim horyzontem, na południowym wschodzie wokół Yazoo City oraz na wschodzie w okręgu Carroll wznoszą się liczne wzgórza. Stąd były jednak niewidoczne wskutek unoszących się nad ziemią oparów mgły, która ograniczała pole widzenia, uniemożliwiająca dostrzeżenie czegokolwiek w promieniu większym niż kilka kilometrów. Przygnębiająca monotonia krajobrazu wywierała wpływ nawet na charakter mieszkańców Deltę. Topografia stała się tu przeznaczeniem, gdyż płaski i dwuwymiarowy jednostajny teren odciskał piętno na tutejszych ludziach, przygniatając i spłaszczając ich ambicje i aspiracje do rozmiaru tanich płatków owsianych.

Wprawdzie niektórzy uważali panującą w Delcie atmosferę beznadziei za inspirującą, byli to jednak głównie ci, którym udało się wydostać poza okoliczne wzgórza.

Wkrótce motocyklistka zostawiła za sobą ostatnią przyczepę mieszkalną oraz grupkę pieszych, po czym zwołniała i zaczęła wypatrywać zarośniętych drózek, prowadzących w dół do jeziora, gdzie zostawiła swą ciężarówkę. Zredukowała gaz jeszcze bardziej, gdy droga zatoczyła łagodny łuk w kierunku szarozielonego baldachimu cypryśników, które, jak wiedziała, rosną jedynie w mulistych wodach dawnych zakoli rzeki Yazoo.

Znalazła bez trudu zamrożone błotniste ścieżki, lecz gdy zbczyła z głównej drogi zaledwie o niespełna dwadzieścia metrów, napotkała pierwszą tego dnia przeszkodę. Spokojnie zatrzymała motocykl, podparła się lewą nogą i wyłączyła silnik. Przez głowę przelatywały jej rozmaite rozwiązania, gdy wpatrywała się w rdzewiejącego chevroleta monte carlo. Brakowało mu tylnego zderzaka, zamiast szyby w jednym z bocznych okien wklejono tekturę, a materiał składanego dachu był niemal zupełnie postrzępiony. Złamaną antenę zastępował druciany wieszak, lecz mimo to z jego radia rozbrzmiewały głośne i czyste dźwięki czarnego gospelsu, nadawanego przez jakąś lokalną stację. Jej własna

jasnobrązowa furgonetka ford 150 stała obok, w odległości niecałych trzech metrów.

Zsiadła z motocykla, ustawiła go na podpórce i ruszyła dalej pieszo, zdejmując z pleców karabin snajperski M25. Muzyka zagłuszała jej kroki, gdy schodziła stromym zboczem na skraj nieruchomej brunatnej wody, gdzie stała siwowłosa przygarbiona czarna kobieta, cierpliwie trzymająca w ręce długą bambusową wędkę, sklejoną szarą taśmą izolacyjną. Na powierzchni wody podskakiwał niemrawo duży czerwono-biały spławik. Nieopodal dwoje małych dzieci, Opatulonych ciepło, tak że przypominały dwa brązowe kukurydziane ciasteczka, bawiło się jakąś kolorową plastikową zabawką. Babcia z dziećmi s w o jej córki, zawyrokowała motocyklistka.

Dokładnie nad głową czarnej kobiety wisiała przybita do drzewa biała tablica z jaskrawoczerwonymi literami. Widniało na niej ostrzeżenie o wycieku pestycydów z pobliskich bawełnianych pól, zakaz łowienia ryb na skalę przemysłową oraz upomnienie indywidualnych wędkarzy, aby nie jedli częściej niż dwa razy na miesiąc karpia, iglic i sumów dłuższych niż pięćdziesiąt pięć centymetrów, zaś całkowicie unikali spożywania ryby buffalo.

Motocyklistka obrzuciła tablicę obojętnym wzrokiem, po czym uniosła karabin M25 i posłała szybko dwie kule, likwidując najpierw starannie obydwa ruchome cele. Babcia upuściła wędkę i odwróciła się z wyrazem zakłopotania i lęku na twarzy, a wówczas snajperka zastrzeliła również ją. Pocisk trafił kobietę dokładnie w usta, ułożone ze zdziwienia W kształt litery O; do jeziora posypały się strzaskane odłamki jej kręgow szyjnych. Ofiara zachwiała się i runęła tyłem do wody.

Motocyklistka szybko, choć bez nadmiernego pośpiechu wróciła do swego pojazdu, podjechała na skraj zbocza, po czym zsiadła z niego i podkręciła nieco gaz. Motocykl zjechał w dół, wpadł do wody, obrócił się i zatonął. Kiedy ostat-

ni centymetr kierownicy zanurzył się w brunatną ciecz, kobieta z zadowoleniem kiwnęła głową.

Następnie na wszelki wypadek wpackowała jeszcze kulę każdej ze swych trzech ofiar, po czym wrzuciła broń daleko w jezioro. Poczowała drgnienie żalu, gdy karabin z celownikiem optycznym Leupold 6X zniknął powoli pod powierzchnią mulistej wody.

Karabin M25 został wyregulowany przez jednego z najlepszych na świecie rusznikarzy - człowieka, który współpracował z nią, gdy zabijali fanatycznych talibów w dolinie Shah-e-Kot, we wschodnim Afganistanie. Przypomniała sobie, jak ukryta w zagłębieniu skalnym przy granicy, wybijała tych szalonych skurwiele, kiedy sądzili, że po przejściu na pakistańską stronę są już bezpieczni. W marcu 2002 roku była luźno związana ze 187. brygadą spadochronową armii amerykańskiej, biorącą udział w zażartych walkach operacji Anakonda. Rywalizowała z jednym ze snajperów kanadyjskich i zastrzeliła swoją osiemdziesiątą trzecią potwierdzoną ofiarę z odległości 2420 metrów, co było rekordem do czasu, gdy Kanadyjczyk nie załatwił jednego z przeciwników z odległości 2430 metrów.

On dostał medal, a ona następnego dnia postrzał od członka al Kaidy; kula przebiła czoło i wyszła czubkiem głowy. Po zwolnieniu z wojska wpadła w głęboką depresję, z której wydobyły ją lekarstwa oraz nowe możliwości, które wyłoniły się nieoczekiwanie przed zaledwie dziewięcioma miesiącami. Na myśl o tym uśmiechnęła się lekko, dotknęła machinalnie dolnego końca niemal niewidocznej blizny, pozostałej po operacjach plastycznych, i powiodła po niej palcem aż do linii włosów. Jej psychiczne problemy zniknęły dopiero wtedy, kiedy dostała eksperymentalne leki.

Porzuciła te rozmyślania i niespiesznym krokiem podeszła do furgonetki. Otworzyła tylne drzwi, wydobyła pochylnię dla motocykla i również wrzuciła ją do jeziora. Nie przyglądała się, jak tonie, tylko odwróciła się, wyjęła z platformy

czerwony plastikowy kanister z benzyną, o pojemności niepełna czterech litrów, i postawiła go na ziemi w odległości około sześciu metrów od półciągarówki. Zdjęła z głowy kask - jasne włosy spłynęły kaskadą na ramiona - i położyła go na ziemi. Następnie ściągnęła maskujący strój - pozostając tylko w dżinsach, koszulce z bazy Pendleton i rękawiczkach chirurgicznych, które zawsze nosiła podczas pracy - i wepchnęła go do hełmu.

Potem rozwiązała i zdjęła buty, kupione w tym samym sklepie firmy Goodwill co ubiór myśliwski, i ustawiła je Obok kasku. Stojąc w grubych wełnianych skarpetach, rozlała benzynę na buty i hełm, po czym postawiła kanister obok nich. Na koniec ściągnęła gumowe rękawiczki, położyła je na wierzchu sterty ubrań i podpaliła wszystko drewnianą kuchenną zapałką.

Przebiegła w myślach kolejne szczegóły, skinęła z zadowoleniem głową i podeszła szybko do półciągarówki. Wsiadła do kabiny, zamieniła wełniane skarpety na cieńsze białe sportowe i założyła swe znoszone buty Nike. Potarła następną zapałkę o kolumnę kierownicy, odczekała aż wypalą się Siarka i fosfor, po czym przypaliła papierosa Marlboro i zaciągnęła się głęboko, obserwując jak ogień ogarnia kupkę rzeczy. Kiedy upewniła się, że pochłonał już wszelkie ślady, włączyła silnik i odjechała, obserwując we wstecznym lusterku coraz odleglejszy dym i zaciągając się chciwie papierosem. Wreszcie cisnęła tłący się niedopałek przez okno, sięgnęła po telefon komórkowy i szybko wybrała numer.

10 Poranne słońce dźwignęło się nad dolinę Napa Valley, oświetlając wyściełający ją rozległy kobierzec treliazy z winoroślami. Na południowy wschód od Rutherford emerytowany generał Glark Braxton podniósł głowę i przyjrzał się stromym, po-

krytym zaroślami górcom wulkanicznym, otaczającym dolinę od wschodu i zachodu. Z jej płaskiego jak stół dna wyrastało kilka dawno wygasłych stożków wulkanicznych, wznoszących się ponad trzydzieści metrów nad okalające je winnice, niczym kamienie umieszczone pieczołowicie w starannie wygrabionym żwirowanym ogrodzie zen. Ich niecodzienny wygląd sprawił, że stały się obiektem pożądania i zazdrości bogaczy, którzy upatrzyli je sobie na prestiżowe tereny budowlane, narzucając ogółowi społeczeństwa swoje architektoniczne kaprysy.

Braxton wbiegł szybko w cień jednego z takich stożków, położonego najdalej na zachód, kończąc w ten sposób piętnastokilometrowy bieg do i przez St. Helen. Sto metrów za nim równy miarowy oddech Dana Gabriela stał się nieco głębszy. Braxton przyspieszył, okrążając szlaban w czerwono-białe pasy, zamykający drogę, która prowadziła do jego ufortyfikowanej posiadłości, i pozdrowił strażnika siedzącego w budce z kamienia i kuloodpornego szkła. Strażnik, którego zadaniem było wpuszczanie na ten teren jedynie uprawnionych pojazdów, zsalutował mu w odpowiedzi.

Leżący po prawej stronie, gustownie urządzonego parking dla gości, ocieniony licznymi drzewami oliwkowymi, był niemal pusty; stał na nim tylko czarny lincoln Town Car oraz podniszczony niebieski sedan z amerykańską rządową tablicą rejestracyjną. Ich pasażerów nie było nigdzie widać - zapewne pojechali już wygodnym wagonikiem kolejki linowej, która dowoziła uprzywilejowanych gości na szczyt stromego stożka wulkanicznego, gdzie znajdował się ogromny renesansowy pałac generała, noszący nazwę Castello Da Vinci, i skąd rozciągał się imponujący widok na całą dolinę.

Dostawcy i rzemieślnicy używali wielkiej windy towarowej, łączącej składy win w grotach u podnóża góry z wejściem dla służby w pałacu. Równoległe do niej biegł szybniejszej, bogato wyposażonej cylindrycznej oszklonej win-

dy, która dowoziła wybranych gości generała do jego wspinałej i olbrzymiej, bo liczącej sobie kilka tysięcy metrów kwadratowych powierzchni piwnicy win, wypełnionej wielomilionowej wartości kolekcją trunków z najlepszych na świecie chateau i wytwórni.

Clark Braxton słynął ze swej wielkiej namiętności do kolekcjonowania - między innymi win, historycznych odznaczeń wojskowych, cygar, znaczków i monet. Prasa szeroko rozpisywała się o jego niemal maniakalnej obsesji na punkcie kompletowania swych zbiorów bez względu na koszty. Jak powiedział w wywiadzie dla magazynu „Fortune”, nie interesuje go zbieranie dzieł sztuki, gdyż w tej dziedzinie nie jest możliwe zgromadzenie żadnej pełnej kolekcji. „Wystarczy jeden brakujący element, by uczynić ją bezwartościową, podobnie jak jedna kropla octu winnego niweczy smak doskonałego bordeaux.”

W zakończeniu artykułu w „Fortune” napisano: „Generał Clark Braxton gromadzi wina z tą samą niepohamowaną pasją, która uczyniła go sławnym frontowym dowódcą. W ezoterycznym świecie koneserów win znany jest jako wybitny kolekcjoner, dążący z niemal obłądną bezkompromisowością do uzupełnienia swego zbioru”.

Braxton przyspieszył kroku, zbliżając się do stromeego podjazdu, wybrukowanego kocimi łbami, po którym mogły poruszać się tylko jego prywatne samochody oraz pojazdy jego uzbrojonej ochrony. Dziesięć metrów przed bramą oraz w tej samej odległości za nią znajdowały się dwie bliźniacze wysuwane bariery, wystarczająco mocne, by wytrzymać uderzenie wyładowanej ciężarówki z naczepą, jadącej z prędkością nawet osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Po obu stronach bramy dwaj członkowie eskorty siedzieli już na swych pracujących na jałowym biegu terenowych motocyklach, których system wydalania spalin został gruntownie przebudowany tak, aby połączyć maksimum mocy silnika z jego niemal bezszelestną pracą, co zapewniało ge-

nerałowi komfortową ciszę podczas jego słynnych porannych biegów. Mężczyźni przysłuchiwali się przez słuchawki związłym raportom swych dwóch towarzyszy, jadących z tyłu na identycznych maszynach.

Eskorta motocyklowa oraz wartownicy za zielonkawoniebieskim zbrojonym szkłem budek strażniczych stanowili jedynie drobną część licznego, doskonale wyszkolonego i świetnie uzbrojonego oddziału ochrony, opłacanego przez firmę Defense Therapeutics po to, aby jej prezes nie doznał żadnej szkody ze strony fanatyków religijnych, porywaczy, terrorystów, wojujących antyglobalistów, szantażyistów, oddziałów białej milicji i rozmaitych innych ekstremistycznych grup, uważających go za uosobienie wszystkiego, czego nienawidzą w Stanach Zjednoczonych. Środki bezpieczeństwa miały zawsze pierwszorzędne znaczenie dla przedsiębiorstwa takiego, jak Defense Therapeutics, które opracowywało i wytwarzało szczepionki przeciwko broni biologicznej, odtrutki przeciw gazowi paraliżującemu, wypróbowane na polach walki urządzenia diagnostyczne, identyfikatory elektroniczne oraz inne środki medycyny wojskowej.

Jeden z motocyklistów przysłonił dłonią mikrofon przy szyi i nachylił się do swojego towarzysza.

- Stary jest niesamowity - powiedział.
- Cholera, to niewiarygodne - przyświadczył tamten.

Braxton przystanął i pobiegł z powrotem.

- Ja z da, Dan! - zawołał. Jego głos zabrzmiał tak głośno i zdecydowanie, jak niegdyś podczas boju. - Stajesz się mięczakiem, żołnierzu. - Pomimo chronicznego bólu z powodu pół tuzina bitewnych ran i obrażeń, w tym między innymi niemal śmiertelnej rany głowy, Braxton szczycił się, że w wieku sześćdziesięciu czterech lat jest w takiej samej kondycji i formie fizycznej, jak trzydzieści lat wcześniej. Fakt ten oraz jego legendarne wojenne męstwo wyniosły go na sam szczyt sondaży przed wyborami prezydenckimi.

- I tak pokonam pana pod górę, sir! - odrzyknął Gabriel.

Braxton roześmiał się, odwrócił i pobiegł sprintem po podjeździe, wznoszącym się spiralnie pod kątem 15 stopni w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara ku szczytowi suchego stożka wulkanicznego. Podjazd miał ćwierć mili długości i Braxton nazywał go „prawdziwym biegiem mężczyzn na dystansie czterystu metrów”.

Po lewej stronie drogi ciągnął się zwykły mur ze spękane- go czerwonego wulkanicznego tufu. Wzdłuż zewnętrznego krawężnika rosły drzewa oliwkowe; między ich koronkowymi gałęziami gdzieś odstępował się widok na dno doliny.

Gabriel wyraźnie przyspieszył teraz kroku. Był bystrym, twardym mężczyzną, spełniającym rolę sprawnego zbrojne- go ramienia Braxtona, gdy ten przez lata pełnił męczącą polityczną funkcję dowódcy Połączonego Kolegium Szefów Sztabów. Później Gabriela mianowano dyrektorem Akade- mii Wojskowej w West Point, zaś Braxton przeszedł w stan spoczynku i został prezesem Defense Therapeutics.

Braxton pochylił się do przodu, ku stromemu zbocz, wzywając siłę grawitacji, jakby znowu zdobywał wzgórze Hamburger Hill.

- Wyobrażam sobie nadlatujące pociski - powiedział re- porterowi „Forbesa”. - Nigdy nie należy zapominać, że podczas bitwy przeżywają tylko szybcy, a ja zawsze chciałem być najszybszy. To zadziwiające, jak lekko się biegnie, gdy usiłuje się prześcignąć diabła.

Za ich plecami w pewnej odległości jechali na motocy- kłach ochroniarze.

Jak na ironię, swą niemal śmiertelną ranę głowy odniósł nie wśród wzgórz, lecz na płaskim jak stół polu ryżowym w del- cie Mekongu, kiedy w zasadzce zastawionej przez Vietcong zginął niemal cały jego oddział komandosów. Wstępny atak przeciwnika, przeprowadzony za pomocą radzieckich ręcz- nych granatników przeciwpancernych RPG7, wymierzony

był w jego dwa śmigłowce Huey. Braxton - wówczas świeżo mianowany majorem i przebywający w Wietnamie dopiero niecały miesiąc - zobaczył, jak pierwszy z nich wybuchł w powietrzu niczym bomba. Trzymał się kurczowo swego ocalałego śmigłowca, kiedy oddział zapadł w polu ryżowym i dostał się pod miazdzący ogień kałasznikowów. Potem zebrał swych ocalałych ludzi i przypuścił szturm na napastników.

- Widziałeś na wideo ten stary reportaż CBS? - zapytał jeden z uzbrojonych ochroniarzy na motocyklu.

- A kto nie widział? - odparł drugi. - Rzecz w tym, że te relacje z komentarzem Cronkite'a ukazały ludziom w Ameryce prawdziwego giganta. Prawdziwego bohatera.

Pierwszy mężczyzna przytaknął.

- Mógłbym to oglądać bez końca. Naprawdę porywające.

Na taśmach VHS, obecnie przekopiuowanych na liczne płyty DVD, oraz na stronach internetowych najgorętszych zwolenników Braxtona, widzowie mogli oglądać coś, co Cronkite nazwał „drugim piekłem”: czterej ranni żołnierze amerykańscy, stojący po uda w błocie i otoczeni przez odziane na czarno ciała, unoszące się na powierzchni pobliskiej wody. Lecz obrazem, który poruszył serca Ameryki i natychmiast wszedł do jej mitologii, było zbliżenie twarzy majora Clarka Braxtona, a zwłaszcza osmalonego skręconego pręta z kadłuba helikoptera, wbitego w jego czoło o milimetr od prawego oka i wychodzącego z drugiej strony ze szczytu głowy. Drugi rangą pośród ocalałych porucznik Dan Gabriel, leżąc na szpitalnym łóżku w Sajgonie, powiedział korespondentowi wojennemu CBS, że widok Braxtona, człowieka z potworną, w istocie śmiertelną raną, podkopał morale oddziału Vietcongu, który rzucił się do ucieczki i został wybity do nogi.

- On nawet nie zemdlał - powiedział pierwszy ochroniarz, gdy obaj jechali cicho stromym podjazdem. - Chryste, nawet przez chwilę się nie zawahał!

- I to zdziwienie na jego twarzy, kiedy kamerzysta pokazał ten pieprzony metalowy pręt wystający mu z głowy - dodał drugi. - Cholera, niesamowite.

Kiedy Braxtonowi wręczano w Kongresie najwyższe odznaczenie wojskowe, Medal of Honor, wciąż jeszcze miał na głowie bandaż pooperacyjny. Badania nie wykazały jednak żadnego upośledzenia fizycznego ani neurologicznego, podobnie jak w przeszłości w kilku innych przypadkach podobnie rannych żołnierzy, starannie skatalogowanych i opisanych przez medycynę. Rozmowy przeprowadzone z instruktorami Braxtona z Akademii w West Point dowiodły, że tamtego dnia w ogniu walki w delcie Mekongu wykazał on znacznie większą odwagę, niż spodziewali się po studentzie, którego niegdyś uważali za zdatnego raczej do służby w logistyce i administracji. Oświadczyli, iż niewątpliwie właśnie w bitwie objawiła się jego prawdziwa natura.

W trakcie dwóch następnych okresów służby w Wietnamie legenda Braxtona jeszcze się rozrosła. Został frontowym dowódcą, którego wzywano, gdy sytuacja stawała się naprawdę ciężka. Wietnamskie dowództwo w Hanoi uważało go za tak niebezpiecznego, że za jego głowę wyznaczono milion dolarów nagrody.

Wojskowi psycholodzy odnotowali, iż mniej więcej w tym okresie zaczęła się jego mania kolekcjonerska.

Obecnie, gdy odgłos kroków Dana Gabriela rozbrzmiewał coraz bliżej, generał przywołał z pamięci wspomnienie, które miało go pokrzepić. Tym razem był to atak, jaki poprowadził, aby uratować oddział piechoty morskiej, schwytany w pułapkę w Hue. Poczuł, jak jego ciało zareagowało przypływem energii, kiedy wyobraził sobie wyraziście teren Walki, wspomniawszy huk wystrzałów i poczuł smród wystrzelonych łusek oraz odór otwartych ran brzusznych. Lecz Gabriel był od niego o dziesięć lat młodszy i fakt ten zaczynał odgrywać rolę, gdy obaj mężczyźni zbliżyli się do swej linii mety, czyli do kolejnego przegradzającego drogę czerwono-

no-białego szlabanu ze stojącą obok budką strażnika. Po obydwu stronach bramy ciągnęło się podwójne metalowe ogrodzenie pod napięciem, uwieńczone na szczycie drutem kolczastym.

W tym momencie zawibrował bezprzewodowy telefon, przytroczony do paska Braxtona. Generał zignorował go słysząc zbliżający się tupot nóg Gabriela i zmusił swe płonące ze zmęczenia mięśnie czworogłowe do ostatniego wysiłku, dzięki czemu minął metę o centymetry przed rywalem.

Wówczas zatrzymał się i pozwolił, by Gabriel przebiegł obok niego.

- Rozpocząłeś finisz odrobinę za późno - rzekł, usiłując nadać tym słowom ton szlachetnej sportowej rywalizacji i nie ujawnić niestosownego poczucia triumfu.

Gabriel stanął obok.

- Dziękuję, sir.

- Wkrótce mnie pokonasz - powiedział Braxton, sięgając po telefon i rzucając okiem na identyfikację dzwoniącego. Uśmiechnął się na widok krótkiej wiadomości na wyświetlaczu. Zasady, jakie ustalił w kontaktach z tą kobietą, wykluczały użycie poczty głosowej czy pozostawianie jakichkolwiek innych śladów. Na ekranie widniała zwięzła zaszyfrowana informacja: „VT86D”.

Starał się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest zadowolony. Vanessa Thompson nie żyła, a wraz z nią zniknęła kolejna z niewielu pozostałych jeszcze przeszkód na jego drodze do fotela prezydenckiego. Spojrzył na swojego Rolexa.

- Dobra - rzucił. - Zostało nam dwadzieścia pięć minut dot w ojej odprawę.

Gabriel zerknął na sportowy zegarek Swiss Army. Wysokościomierz, który włączył u podnóża góry, pokazywał że od minięcia bramy u stóp podjazdu pokonali w prostej linii prawie siedemdziesiąt metrów wzwyż. Nacisnął funkcję wyświetlania czasu i rzekł:

- Tak jest, generale.

Odpowiedzieli na salut strażników, którzy przepuścili ich przez ostatni zestaw bram, wychodzących na tokański dziedziniec i przepięknie utrzymany park. Cały kompleks, nazwany przez bogatego finansistę Kincaida Carothersa Castello Da Vinci, wznosił się niegdyś na szczycie sienieńskiego wzgórza i według zachowanych szczegółowych historycznych świadectw zaprojektowany został w 1502 roku przez Leonarda da Vinci jako rodzaj ufortyfikowanej twierdzy dla jego mecenasa Cezara Borgii.

Uzdolnienia Leonarda jako architekta wojskowego bywają często niedoceniane, jakkolwiek sporządził on plany fortyfikacji oraz wynalazł rodzaje broni daleko wyprzedzające jego epokę. Borgia obawiał się, że może nadejść czas, gdy będzie potrzebował czegoś w rodzaju renesansowego bunkra, i naturalnie zwrócił się o pomoc do Leonarda.

Carothers, którego przedsiębiorstwo zajmowało niegdyś wiodącą pozycję na rynku emisji amerykańskich obligacji skarbu państwa, w 1936 roku polecił rozebrać całą budowlę na części, przewieźć statkami do Ameryki i tam ponownie złożyć. Wzbogacona na krótko firma komputerowa CEO nabyła posiadłość od jednego ze spadkobierców Carothersa, po czym została dotknięta pierwszym krachem spółek internetowych na giełdzie i stanęła na krawędzi bankructwa. Wówczas pałac wykupiła za bezcen korporacja Defense Therapeutics i przepisała akt własności na Braxtona jako rodzaj paremii. W licznych korytarzach Castello Da Vinci wisiały oprawione w ramki kopie artykułów prasowych na temat tej budowli, zamieszczanych głównie w snobistycznych czasopiśmie poświęconych architekturze i urządzaniu wnętrz; niektóre pochodziły jeszcze z lat trzydziestych. Jeden z nich opisywał nawet szczegółowo, jak Carothers szastał pieniędzmi, by w pełni upodobnić teren do tokańskiego pierwowzoru, powielając wiele podziemnych korytarzy i ukrytych komnat - co zrodziło domysły, że obawiał się komunistycznego powstania, wznieconego przez swych robotników lub służbę.

- No dobrze, odświeżmy się. Wiesz, że nie znoszę się spóźniać - rzekł Braxton ruszając lekkim truchtem.

Gabriel uśmiechnął się nieznacznie. Generał nigdy się nie spóźniał.

11 Dwadzieścia minut później Gabriel wziął ze swego pokoju notatnik oraz papierową teczkę z dokumentami otrzymanymi od generała i udał się do jedyne go nowego budynku w całej posiadłości - wykładanej marmurem pływalni przerobionej na prywatny gabinet Braxtona i salę konferencyjną. Stojący przy wejściu wysoki muskularny mężczyzna, z bronią dyskretnie ukrytą w kaburze pod pachą, zaszalutował Gabrielowi i otworzył przed nim szklane drzwi. Braxton starał się wynajmować najlepszych byłych żołnierzy, w tym także z Oddziałów Specjalnych. Gabriel dowiedział się, że zatrudnił nawet kilku weteranów z Task Force 86M, czyli jego własnej dawnej jednostki - niewielkiej elitarniej grupy specjalistów.

- Dzień dobry - rzekł, odpowiadając na salut.

- Dzień dobry, sir.

Gdy znalazł się w środku, z damskiej toalety wychodziła właśnie Laura LaHaye, mająca stopień generała brygady.

- Cześć, Dan - rzuciła, wyciągając do niego rękę. Dobięgała pięćdziesiątka, była wysoka i szczupła, z długim spiczastym podbródkiem oraz stałym wyrazem niezadowolenia na twarzy i miała trzy doktoraty. Gabriel poznał ją jako skrytą i nieprzystępną szefową jakiegoś szeroko zakrojonego projektu, finansowanego z niejasnych źródeł, o którym zdołał się dowiedzieć bardzo niewiele, nawet kiedy pracował w Połączonym Kolegium Sztabów.

LaHaye nadzorowała kilka supertajnych operacji prowadzonych we współpracy z Dowództwem Wojskowych Badań, Rozwoju i Inżynierii. Nawet ci, którzy jak Gabriel znajdowa-

li się na najwyższym szczeblu DWBRJ, nie znali pełnego zakresu jej działań, mimo iż musieli zapewniać im materialne i logistyczne wsparcie. Dzięki swym kontaktom w Pentagonie Gabriel dowiedział się jednak, że LaHaye kierowała ważnymi pracami w Chemiczno-Biologicznym Centrum Edgewood, na poligonie doświadczalnym w Aberdeen w stanie Maryland, w Agencji Wsparcia Bojowego Departamentu Obrony w Natick, Massachusetts oraz w Centrum Systemów Wojskowych.

- Witaj, Lauro. - Uścisnął jej suchą ciepłą dłoń. - Miło cię znów spotkać.

- Zbyt dawno się nie widzieliśmy - rzekła, potrząsając jego ręką. - J a k się żyje tam, nad rzeką Hudson?

W lot pojął aluzję. „Tam” oznaczało wieżę z kości słoniowej, miejsce oderwane od rzeczywistości i nazbyt oddalone od orbit władzy wojskowej, otaczających Pentagon.

- Zadziwiająco ożywczo - odparł i demonstracyjnie spojrzął na zegarek. - Zostały trzy minuty. Lepiej się pospieszmy.

Przytaknęła i oboje podążyli za aromatem świeżo parzonej kawy, który zaprowadził ich do sali konferencyjnej. Kiedy do niej weszli, Gabriel spostrzegł Clarka Braxtona rozmawiającego z Walterem Bentleyem, dyrektorem generalnym Defense Therapeutics, oraz Wimem Baakerem, wysokim urzędnikiem laboratorium farmaceutycznego NATO w Holandii. W rozmowie uczestniczył również nieznanym mu niski okrągły mężczyzna. Stali przy zabytkowym mahoniowym kredensie, bogato zastawionym smacznym kontynentalnym śniadaniem z jogurtem, plastrami świeżych owoców i serami. Na przykrytym białym obrusem stole błyszcząły srebrne sztucce. Obok stołu ustawiono rzutnik na wysokim metalowym statywie.

- Dan, Laura! - zawołał Braxton. Zerknął na zegarek i uśmiechnął się. - Wchodźcie i napijcie się kawy, zanim zaczniemy.

LaHaye i Gabriel skinęli głowami na powitanie i podeszli do kredensu.

- Dobrze dziś z rana wyglądasz, Greg - odezwała się La-Haye do pulchnego mężczyzny.

- Dziękuję, Lauro - odparł.

- Dan, zapewne nie znasz Grega McGoverna - rzekł Braxton. - Greg jest dyrektorem do spraw badań i rozwoju w Defense Therapeutics. - McGovern miał w kącikach ust okruszki ciasta i roztaczał przesadnie mocny zapach drogiej wody kolońskiej. Braxton często wspominał o tym naukowcu, dając wyraz swej irytacji z powodu jego niechlujnych obyczajów, lecz zawsze podkreślał, że rekompensuje je z nawiązką niemal porównywalny z Hawkingiem geniusz McGoverna w dziedzinie farmakologii molekularnej.

- Miło mi - powiedział nieszczerze Gabriel, ściskając dłoń McGoverna, śliską i lepłą od tłustego ciasta. Musiał się powstrzymać, by natychmiast nie otrzeć ręki o spódnie.

- Świetnie - rzucił Braxton. Nałożył sobie pełny talerz. - Przejdźmy do rzeczy. Mamy dziś rano mnóstwo spraw do omówienia.

Gabriel celowo upuścił na podłogę kilka plasterków owoców, gdyż sprzątnąwszy je, zyskał pretekst do wytarcia rąk.

Dwaj pracownicy obsługi audiowizualnej zaciągnęli stopy na licznych oknach i spuścili ekran na wprost projektora.

- Pańskie notowania w sondażach najwyraźniej rosną w zawrotnym tempie - powiedział dyrektor Walter Bentley do Braxtona.

- To zasługa ludzi z mojego sztabu wyborczego - odrzekł skromnie generał. - Wykonują naprawę bardzo ciężką pracę.

- Wydaje się, że demokraci i republikanie również ciężko pracują na pana korzyść - zachichotał Bentley. - Im bardziej ich kandydaci obrzucają się nawzajem błotem, tym lepiej dla pana.

- No cóż, to wciąż dopiero początek - stwierdził Braxton. - Czeka nas jeszcze długa droga, żeby utrzymać naszą

przewagę tak, abyśmy mogli przeciąć wrzód zagrażający naszym wartościom i ideałom.

Wstał z filiżanką w dłoni. W pokoju światła natychmiast przygasły i z tyłu sali rozległ się szum projektora, a na ekranie pojawił się prosty wykres.

- Bardzo wam dziękuję, że mimo napiętego rozkładu zajęć znaleźliście czas, żeby tu przyjechać. Jak wicie zbliża się termin wyborów, a ponieważ - z Bożą pomocą - Dan Gabriel zostanie następnym sekretarzem obrony, niezbędne jest wprowadzenie go w całość zagadnienia, aby jeszcze przyspieszyć znaczące postępy, jakich dokonujecie. - Braxton powiódł wzrokiem po zebranych, a każdy skinął głową ze zrozumieniem. - Przygotowałem dla niego szereg oficjalnych spotkań, ale chcę, aby po ich zakończeniu zostało mu jak najwięcej czasu na poznanie was wszystkich.

I znów zebrani przytaknęli. Wówczas Braxton zwrócił się do Gabriela:

- Dan, wiem, że część z tego, co teraz powiem, jest ci znana, ale okaż cierpliwość, ponieważ uważam za konieczne nakreślenie szerszego tła, zanim przejdę do najpoważniejszego problemu, przed jakim stoją dziś amerykańskie siły zbrojne: nadmiernego rozrostu i niedofinansowania.

Wolną ręką wyjął z kieszeni wskaźnik laserowy, wykonany na zamówienie i wbudowany w pocisk kalibru 50 mm.

- Według tych danych w ciągu ostatnich trzydziestu lat zarówno liczba żołnierzy, jak i wartość netto środków przeznaczanych na zbrojenia, po uwzględnieniu inflacji, nieustannie spadają. - Podkreślił wskaźnikiem ten spadek, a potem przesunął go do dolnej części wykresu. - Jednocześnie rosną globalne oczekiwania zbrojnych interwencji Stanów Zjednoczonych.

Przerwał dla większego efektu i wypił łyk kawy.

- Krótko mówiąc, z każdym rokiem mamy coraz więcej zadań i coraz mniej środków do ich wykonania.

Na ekranie pojawił się następny wykres.

- Naszą skuteczność zwiększa technologia. Dzięki komputerom możemy wyposażyć pojedynczy śmigłowiec myśliwski Apacz w siłę ognia batalionu artylerii; zaawansowane systemy naprowadzania sprawiają, że jedna precyzyjnie zrzucona bomba dokonuje takich samych zniszczeń, co niegdyś ich setki; satelity i inne środki obserwacji elektronicznej dostarczają nam więcej użytecznych danych niż kiedykolwiek.

Dopił kawę i odstawił filiżankę na stół.

- Najnowsza wojna w Iraku dowiodła przydatności niewielkich, szybkich i sprawnych oddziałów. Zarazem jednak pokazała, że w dobie rozwiniętych technologii wojskowych żołnierz stał się najsłabszym ogniwem.

Pojawił się kolejny slajd.

- Fakt ten zmusza nas do usprawnienia tego elementu naszych sił zbrojnych, który obniża skuteczność działania: żołnierza wojsk lądowych.

Następny slajd.

- Znacie aż nazbyt dobrze największy sekret zwycięstwa: nie da się go osiągnąć z powietrza ani z morza, a jedynie dzięki akcji oddziałów lądowych. Ale wojska lądowe nie tylko są bardzo kosztowne - mogą także stać się przyczyną politycznej katastrofy, kiedy tłum wyborców zmienia się w martwe ciała na polu bitwy. Problem ogromnie też komplikuje stosunkowo chwiejna natura przeciętnego żołnierza piechoty.

Pojawił się wykres kolumnowy, pokazujący wszystkie ważniejsze konflikty zbrojne z ostatnich 150 lat.

Braxton skinął, by dolano mu kawy. Kiedy umundurowany na biało kelner nie zareagował natychmiast, Gabriel bardziej wyczuł, niż ujrzał, jak przez ułamek sekundy grymas strasznego gniewu przemknął przez twarz generała. Rozpoznał go dzięki latom spędzonym u boku Braxtona. Natomiast dla większości pozostałych ten wybuch wściekłości był zbyt krótki, by mogli go świadomie zarejestrować, podobnie jak pojedynczą klatkę filmu, i wzbudził w nich jedynie nieokreślony niepokój i poczucie niebezpieczeństwa,

zmuszające ich do wykonywania wszystkich rozkazów generała, co on zawsze bezlitośnie wykorzystywał.

Kelner pojawił się w promieniu światła rzutnika, przepraszając i napełniając ponownie filiżankę Braxtona. Generał wypił łyk i podziękował kelnerowi życzliwym, wspaniałomyślnym skinieniem głowy, na co ten odpowiedział pełnym szacunku ukłonem i szerokim uśmiechem ulgi.

Braxton odwrócił się do swego audytorium.

- Wiem, że te fakty również są wam znane, ale uważam za konieczne wyraźne podkreślenie tej kwestii. - Jego laserowy wskaźnik zatrzymał się na roku 1945. - Sedno naszej nowej inicjatywy tkwi korzeniami w drugiej wojnie światowej. Znacząco fundamentalną pracę generała S.L.A. Marshalla, w której stwierdził, że w istocie zaledwie piętnaście procent amerykańskich żołnierzy strzelało do nieprzyjaciela, nawet gdy przypuszczał on atak. Na szczęście u Niemców i Japończyków ten procent użycia broni był identyczny, gdyż w przeciwnym razie wojna skończyłaby się dla nas znacznie gorzej.

- Wiemy wszyscy - ciągnął - że przez wiele lat książka Marshalla spotykała się z krytyką, lecz jego wnioski nieustannie znajdowały potwierdzenie. Wiemy, że ludzie z natury wzdragają się przed zabijaniem swych bliźnich. Generalnie sprzyja to przetrwaniu naszego gatunku, natomiast staje się straszliwą przeszkodą, kiedy chcemy wygrać wojnę.

Skinął głową i rozejrzał się po pokoju, aby się upewnić, że wszyscy słuchają go w pełnym skupieniu.

- Trzeba w tym miejscu wyraźnie podkreślić, że wojenne bohaterstwo nie wiąże się wyłącznie z zabijaniem. Powinniśmy pamiętać, że przygniatająca większość tych żołnierzy, którzy nie oddali ani jednego strzału, mimo to wykazywała się odwagą. Jedni ratowali rannych towarzyszy, inni mężnie dostarczali amunicję tym piętnastu procentom żołnierzy, którzy pociągali za cyngle.

- W zmodyfikowanym szkoleniu piechoty, wprowadzonym po drugiej wojnie światowej, usiłowano uporać się

z owym problemem niskiego procentu użycia broni. Jednak o ile udało się nam w Wietnamie znacząco go zwiększyć, to nie poprawiliśmy procentu śmiertelności ognia, ponieważ nasi żołnierze rozmyślnie chybiali. - Potrząsnął głową. - Większość zwyczajnych żołnierzy piechoty w dalszym ciągu celowo chybia. Powtarzam, nie mówię o grupach używanych do operacji specjalnych ani o siłach pierwszego uderzenia, takich jak marines czy oddziały powietrznodesantowe, ale o przeciętnych trepach, z jakich składa się przeważająca większość personelu wojskowego. Pomyślcie tylko: gdyby udało nam się sprawić, że zwykły piechociarz oddawałby za każdym razem śmiertelne strzały, moglibyśmy zredukować o trzy czwarte liczbę naszych żołnierzy.

Gabriel kiwnął głową. Te szacunki były zebranych dobrze znane i dlatego nie wywarły na nich większego wrażenia.

Generał zrobił efektowną pauzę, po czym podjął:

- Policzcie sobie: oznacza to, że moglibyśmy stworzyć skuteczną zabójczą maszynę i potrzebowalibyśmy zaledwie jednej czwartej namiotów, zaopatrzenia, prowiantu, szpitali, śmigłowców, lekarzy i innych wydatków logistycznych. Stuprocentowa śmiertelność strzałów pozwoli nam zaoszczędzić miliardy dolarów! - Łyknął kawę i dodał znacznie cichszym głosem: - Nie muszę wam też mówić, jak bardzo zmniejszyłoby to wewnętrzne polityczne koszty wojen. Mniejsza ilość trupów oznacza osłabienie opozycji.

- Lecz aby zwiększyć zabójczą moc takiej uszczuplonej armii, potrzebujemy czegoś jeszcze. - Braxton kiwnął głową i slajd się zmienił. - Możecie nazwać to nerwicą frontową albo posłużyć się jakimś bardziej naukowym terminem, ale pozostaje faktem, iż we współczesnej wojnie lądowej od czterdziestu do pięćdziesięciu procent żołnierzy ulega urazom psychicznym. Zaledwie około dwóch procent posiada konstrukcję psychiczną pozwalającą im znieść nieprzerwaną walkę dłużej niż przez trzy tygodnie. - Spojrzał na Gabriela i skinął głową z lekkim uśmiechem. - Obecnie dzie-

ki ważkim pionierskim badaniom i testom, opracowanym przez doktor LaHaye i jej zespół, potrafimy dość precyzyjnie wyselekcjonować tych ludzi i skierować ich do Oddziałów Specjalnych lub innych podobnych jednostek.

— Armia staje zatem przed pozornie niewykonalnym zadaniem przekształcenia pozostałych dziewięćdziesięciu ośmiu procent żołnierzy piechoty w mniejsze, bardziej śmiertelne wyspecjalizowane grupy operacyjne.

Obraz zniknął z ekranu.

— Powiedziałem: „pozornie”, ponieważ w ciągu ostatnich dziesięciu lat doktor LaHaye i doktor McGovern skoncentrowali się na aspektach tego zagadnienia związanych z inżynierią farmakologiczną i psychologiczną i dzięki swym wybitnym zdolnościom osiągnęli zadziwiające rezultaty. Wyniki ich badań zostały znacząco uzupełnione przez laboratorium Wima, co pozwoli nam zastosować je w pełni do operacji wojskowych.

Rzutnik zgasł.

- Już za kilka dni rozpocznie się nowa era bitewnej skuteczności - rzekł Braxton, wracając z powrotem do stołu.

Odkryliśmy formułę pozwalającą nam stworzyć zabójcę doskonałego.

12 Gdy generał usiadł, Laura LaHaye i Greg McGovern podeszli do rzutnika na statywie. LaHaye włączyła go i na ekranie ukazała się mapa Rosji. Wówczas McGovern wszedł w promień światła projektora, podniósł w górę niewielki szklany słoik z żółtym płynem i zaczął mówić:

- Około dwa tysiące lat przed powstaniem Rzymu plejona Kojak i Wiros odkryły wyciąg z grzyba *Amanita muscaria* - spokrewnionego blisko z tak zwanym „aniołem śmierci” - który powoduje olbrzymie spotęgowanie waleczności,

niemal całkowicie eliminuje odczuwanie bólu, ogromnie zwiększa wytrzymałość i odwagę, a w dodatku nie ogranicza przy tym sprawności umysłowej.

McGovern potrząsnął słoikiem nad głową.

- Plemienni szamani karmili tymi grzybami renifery, aby skoncentrować istotne, oddziałujące na psychikę składniki w urynie tych zwierząt. - Ponownie potrząsnął słoikiem. - Wojownicy, którzy wypili ich mocz, byli niepokonani w bitwie. - Uśmiechnął się, jeszcze raz zakołysał żółtym płynem i spojrzął na grupkę słuchaczy.

- To jedna z najskuteczniejszych mieszanin chemicznych w historii prób zwiększenia bitewnej sprawności żołnierzy - ciągnął. - Krzyżowców przerażała zadziwiająca nieustraszeność muzułmańskich asasinów, zwanych *hashshashin*, którzy przed bitwami palili haszysz. Nie zapominajmy też o Pizarze, którego ludzie omal nie zostali pokonani przez wojowników Inków, żujących liście koki. W nowszych czasach Brytyjczycy poili swoich żołnierzy rumem, a Rosjanie wódką, zaś żołnierze naszego abstynenckiego narodu dostawali amfetaminę.

Skinął na LaHaye, która podeszła do rzutnika, zastąpiła slajd z mapą stepów czystym arkuszem octanowym i zaczęła na nim pisać, jednocześnie mówiąc:

- Wspomniane przez doktora McGoverna psychochemiczne środki oddziałujące na nastrój, spełniają dwie role: zmniejszają strach i zwiększają wytrzymałość. Byłoby to przydatne dla naszych planowanych mniejszych, bardziej zabójczych oddziałów, ponieważ przestraszeni i zmęczeni żołnierze mniej sprawnie zabijają. Gdybyśmy więc zlikwidowali lęk u trzech czwartych naszych wojsk, skuteczność zabijania zwiększyłaby się o przynajmniej czterysta procent!

Naszkcicowała kolumnowy wykres i pokolorowała go na czerwono.

- Lecz samo opanowanie strachu nie wystarczy, ponieważ stałe używanie obecnie stosowanych specyfików osłabia

inne funkcje, takie jak męstwo, czy sprawność intelektualna. Niektóre z nich powodują psychotyczne lub toksyczne skutki uboczne, a większość wywołuje później, po ustąpieniu działania, otępienie i rodzaj kaca. Zespół Harrisa Liebermana z Wojskowego Instytutu Badawczego Medycyny Środowiskowej po przebadaniu żołnierzy Komanda Foki oraz komandosów stwierdził, że stres bitewny i brak snu obniżają ich sprawność bardziej, niż gdyby byli pijani bądź odurzeni narkotykami.

- W przeciwieństwie do tego, idealny środek, nazwany przez nas nieupośledzającym sprawności neurotropem, tworzy żołnierza odpornego na niekontrolowane emocje, który będzie zabijał na rozkaz, metodycznie, logicznie i bez wahania - zabójcą doskonałego.

- Obserwowaliśmy takie zachowania u wspomnianych dwóch procent żołnierzy, jako wynik ich cech wrodzonych, oraz niezwykle rzadko u ludzi, u których doszło do drastycznych zmian osobowości w następstwie odniesienia bardzo specyficznych bitewnych ran głowy. Badanie tych zmieniających osobowość urazów przekształciło się ostatecznie w program wykorzystujący środki farmakologiczne, ponieważ zarzucono metodę tworzenia sprawniejszych wojowników drogą interwencji chirurgicznych, jako zbyt nieprecyzyjną i oczywiście nieodwracalną.

- A zatem stało się jasne, że poszukiwanie doskonałego, dającego się kontrolować i działającego w sposób całkowicie odwracalny, potęgującego waleczność środka farmaceutycznego stało się dla wojskowej psychiatrii poszukiwaniem Świętego Graala. Mój zespół operacyjny oraz laboratorium doktora McGoverna, we współpracy z firmą Defense Therapeutics w Los Angeles, osiągnęły ten cel, tworząc specyfik o nazwie Xantaeus. Odnieśliśmy sukces tam, gdzie innym się nie powiodło, ponieważ wytworzyliśmy specyfik działający raczej jako subtelny środek halucynogeny, zmieniający u delikwenta percepcję rzeczywistości, zamiast przeciążać

go agresywnymi związkami chemicznymi, które w konsekwencji niszczą naturalne środowisko chemiczne mózgu.

- I nie wywołuje nawrotów wspomnień, jak LSD? - zapytał Gabriel.

LaHaye potrząsnęła głową.

- Nie, o ile jest odpowiednio podawany. Dlatego rzeczą niezmierniej wagi jest przestrzeganie właściwych dawek i rozłożone w czasie dozowanie. I właśnie tutaj zaczyna się zadanie pana Baakera.

Po drugiej stronie stołu Wim Baaker wyprostował swą zyrafą postać i zbliżył się do małego podestu.

- Miło mi znów pana widzieć, generale Gabriel - rozpoczął, podczas gdy na ekranie pojawił się slajd przedstawiający olbrzymi budynek laboratorium. - Mam wrażenie, że przed operacją Pustynna Burza spotkaliśmy się na posiedzeniu podkomisji NATO, poświęconym odżywianiu w warunkach bitewnych.

Gabriel przytaknął.

- No cóż, na wstępie przypomnę, że Wojskowe Laboratorium Farmaceutyczne NATO znajduje się w Rijswijk, niedaleko Den Haag, i zatrudnia ponad pięć tysięcy ludzi. - Baaker mówił monotonnym bezbarwnym głosem, który zdawał się wydobywać głęboko z gardła. - Założono je w 1930 roku i powierzono mu prowadzenie badań stosowanych na potrzeby rządu holenderskiego, w tym także dla sił zbrojnych, którym dostarczaliśmy porad i ekspertyz w dziedzinach takich, jak ochrona przed bronią chemiczną, technika uzbrojenia oraz systemy zbrojne i technologia platform.

- J e d n a z e spółek zależnych, która wspomaga moje tajne operacje, a mianowicie TNO Pharma, opracowała między innymi wysoce efektywne, sterowane mikroprocesorowo przezskórne metody podawania odpowiednich molekuł. Rozwinęliśmy pionierską produkcję artykułów takich, jak plastry nikotynowe lub plastry zawierające nitroglicerynę dla pacjentów chorych na dusznicę, a także opracowali-

jmy bardziej precyzyjne metody podawania szerokiego asortymentu środków farmaceutycznych, jak na przykład Xantaeusu, który trzeba aplikować niezwykle dokładnie, aby uniknąć niepożądanych skutków ubocznych, wywoływanych przez wcześniej stosowane preparaty.

Baaker przerwał i spojrzął kolejno na każdego z obecnych.

Gabrielowi stanęły przed oczami widma My Lai, Thang Phong oraz mnóstwa innych, skuteczniej zatuszowanych incydentów. W niewyraźnym słabym świetle rzucanym przez projektor niemal dostrzegął zbliżającą się katastrofę.

Baaker odchrząknął.

- W istocie pierwszy z naszych wynalazków przechodzi obecnie testy w Dowództwie Wojskowych Badań, Rozwoju i Inżynierii, pod pretekstem sprawdzania przezskórnej metody odżywiania. Przy jego opracowywaniu wykorzystujemy osiągnięcia nauki o żywieniu, zminiaturyzowane czujniki fizjologiczne oraz metody transportu molekularnego. Mamy nadzieję zakończyć prace w przyszłym roku.

Slajd się zmienił.

- Oto, jak działa ta metoda: biosensory, które właśnie konstruujemy, monitorują metabolizm żołnierza, po czym przesyłają informacje do mikroczipowego procesora. Ten procesor uruchamia następnie mikroelektryczny mechaniczny system, który bądź podaje odpowiednie środki chemiczne przez pory skóry, bądź też włącza je bezpośrednio we włoskowate naczynia krwionośne.

Slajdy zmieniały się, pokazując kolejno schemat jakiegoś podobnego do plastra urządzenia, jego zdjęcie w powiększeniu oraz fotografię przedstawiającą to samo urządzenie przymocowane do skóry muskularnego mężczyzny, rozebranego do pasa.

- Aktualnie udoskonalamy i testujemy to urządzenie jako środek podawania substancji odżywczych, co służy realnej potrzebie, a jednocześnie doskonale maskuje projekt Xantaeus. - Przerwał i po chwili podjął: - Proszę dobrze

zrozumieć, to nie jest fikcyjna przykrywka. Przeszkórna metoda odżywiania niewątpliwie przyniesie znaczne korzyści jako sposób zaopatrywania w witaminy, mikrosubstancje pokarmowe oraz odżywki żołnierzy, którzy mają ograniczoną możliwość spożywania normalnych posiłków z powodu noszenia strojów ochronnych albo wskutek nieustannego prowadzenia walki.

- Jednakże prawdziwa zaleta przeszskórnej metody dostarczania składników odżywczych polega na tym, że umożliwia nam podawanie - obok uzupełniających substancji odżywczych - precyzyjnie wyznaczonych ilości Xantaeusu lub innych preparatów.

- Przetestowaliśmy trzy generacje tej metody, wszystkie kontrolowane przez mikroprocesory i oparte na pewnej liczbie wszczepionych elementów, w tym na prostych periodycznych miernikach czasu oraz aktywatorach uruchamianych przez zakodowane sygnały radiowe lub przez działające w realnym czasie osobiste biosensory, monitorujące metabolizm i skład chemiczny krwi danego żołnierza. To ostatnie urządzenie zostanie technicznie udoskonalone, aby zapewnić nam możliwość bezprzewodowego przesyłania parametrów biometrycznych każdego żołnierza do dowództwa polowego dzięki rozwinięciu tej samej technologii GPS, identyfikacji i przesyłu danych, jaka jest obecnie stosowana na polu bitwy. Te w najwyższym stopniu tajne badania umożliwiają nam stworzenie najbardziej śmiercionośnych sił zbrojnych w dziejach świata.

Uświadomienie sobie konsekwencji faktów przedstawionych przez Baakera, a także wcześniej przez LaHaye, McGovernę oraz generała, podziałało na Gabriela niczym nóż wbiły w jego wnętrzności. Słyszał już wcześniej mgliste pogłoski o działalności jakiejś wojskowej garstki odszczepieńców. Między innymi jego daleki kuzyn Rick Gabriel ostrzegał go o niewyobrażalnej grozie, jaka czai się za rosnącym entuzjazmem dla specyfików takich jak Xantaeus. Wpływowym krę-

gom w Pentagonie udało się jednak uciszyć oskarżycielskie głosy tych, którzy twierdzili, iż ten preparat zapoczątkuje erę "sterowanych chemicznie żołnierzy" i wytworzy formę działań wojennych, która zamieni każdą bitwę w holokaust i zniszczy samą istotę tego, co nazywamy człowieczeństwem.

Lecz podobnie jak inni wojskowi, Gabriel nie zwracał zbyt dużej uwagi na te krytyczne argumenty i w istocie nie zastanawiał się nad nimi. Wolał wierzyć, że dzień pojawienia się poszukiwanego neurotropu, czyli tak zwanej „pigułki pola walki”, nigdy nie nadejdzie, a on sam nie będzie zmuszony do podjęcia kluczowych decyzji. Jednakże ten dzień najwyraźniej już nadszedł, on zaś będzie musiał rozstrzygnąć, po czyjej stronie jest słuszość.

13 Umarłem, trafiłem do piekła i zostałem skazany na wieczne uczestniczenie w pogrzebach na mroźnym zimnie.

Tym razem stałem z dala od centrum ceremonii, na skraju tłumu tłoczącego się na niewielkim biednym cmentarzu Misyjnego Kościoła Baptistów Małego Syjonu, położonego na północ od Greenwood. Jaskrawe słońce odeгнаło zimowy mróz i rozpięło guziki płaszczy i marynarek. Spośród setek żałobników, zgromadzonych aby pożegnać Vanessę Thompson, niektórzy nosili garnitury za pięć tysięcy dolarów i przylecieli prywatnymi odrzutowcami, inni natomiast mieli na sobie swe najlepsze niedzielne ubrania, tak znoszone, że błyszczały na wytartych łokciach w promieniach słońca. Przyglądałem się, jak elegancko u fryzowane znakiemitości o chirurgicznie poprawionej urodzie stały ramię w ramię z całymi rodzinami twardych, doświadczonych przez los ludzi, których ciężko zdobyta życiowa mądrość, wryta była siecią głębokich bruzd na ich steranych twarzach. Pomimo takiej chmary ludzi rozmawiano tak cicho, że słyshałem wy-

rażnie odległy warkot starego traktora marki John Deer i trzaśnięcie drzwi z siatką przeciw owadom w jakimś odległym domu.

Odwrociłem się i mrużąc oczy, uniosłem twarz ku słońcu, w płonnej nadziei, że jego promienie rozproszą zimową ciemność, która zasnuwała mi serce i ziębiła duszę.

Tkwiłem tam niczym obce ciało, niczym ziarnko soli pośród pieprzu, zepchnięty na margines nie tyle z powodu mego białego koloru skóry, co przez brak rodzinnego, osobistego, politycznego i zawodowego zakorzenienia.

Byłem już raz kiedyś na tym cmentarzu, żeby odwiedzić grób legendarnego bluesmana Roberta Johnsona, który według podań gdzieś na pobliskim rozstaju dróg Deltę spotkał diabła i zaprzedał mu swą duszę w zamian za bezbożną biegłość w grze na gitarze.

Gdy żałobnicy zaintonowali końcowy hymn, usłyszałem cichy terkot jednosilnikowego dwupłatowca, który wskrzesił w mej pamięci odległe wspomnienie jazdy na platformie furgonetki Ala Thompsona jakąś zapyloną drogą na plantacji Mossy, podczas gdy tuż nad naszymi głowami latały samoloty spryskujące pola, obsypując nas białym proszkiem DDT.

Twarze wszystkich zebranych podniosły się wyczekująco ku archaicznemu, pokrytemu płótnem dwupłatowcowi Stearman PT-17 Kaydet, pomalowanemu na jaskrawoczerwono. Kiedy byłem dzieckiem, tych starych wojskowych samolotów szkoleniowych używano na terenie całej Deltę. Z lektury przydługiego artykułu w „New York Timesie” wiedzieliśmy wszyscy, że tym Stearmanem leci jego właścicielka Jasmine, córka Vanessy, która omal nie została zawodową pilotką linii lotniczej, zanim matka nie wciągnęła jej w swą orbitę zagadnień prawnych i politycznych

Artykuł w „Timesie” wspominał, że Jasmine już jako dziecko objawiała uzdolnienia do awiacji. Projektowała i budowała zaawansowane technicznie modele samolotów sterowane radiem, które wygrywały zawody i zyskiwały

uznanie dorosłych współzawodników, starszych od niej o dziesiątki lat, i dzięki którym jeszcze przed ukończeniem trzynastego roku życia zdobyła trzy patenty. Jednak od tego czasu poszła już dalej - uzyskała licencję pilota i zaczęła latać na prawdziwych maszynach.

Jasmine, która odziedziczyła po swej matce uparty charakter, odrzuciła jej propozycję pomocy finansowej w studiach prawniczych i ukończyła uczelnię, utrzymując się z pilotowania helikoptera reporterskiego w Los Angeles dla rozmaitych niezależnych dziennikarzy, nim w końcu otrzymała pracę w filii jednej ze stacji telewizyjnych.

Przypomniałem sobie to wszystko, gdy dwupłat pojawił się nad wierzchołkami drzew, lecąc tak nisko i wolno, że bytem pewien, iż za chwilę spadnie. Lecz tak się nie stało; zatoczył tylko leniwie ciasny krąg, do jakiego jest zdolny wyłącznie dwupłatawiec sterowany przez wytrawnego pilota, po czym zrzucił gęsty deszcz płatków róży, napełniając niebo purpurą, a powietrze wonnym zapachem. Samolot zakłósał skrzydłami, a potem zniknął, podczas gdy jaskrawe płatki wolno spadały na ziemię.

Jeszcze długo po tym, jak odgłos silnika Stearmana ucichł w oddali, nikt się nie poruszył - tak głęboki był szok, poczucie straty i niechęć, by opuścić miejsce ostatniego spoczynku tej wspaniałej kobiety. W końcu jednak wszyscy Odeszliśmy z ociąganiem.

Pomyślałem wówczas, że pożegnałem na zawsze Vanesę {przeszłość. Lecz myliłem się.

14 Stojąc za sterem mojej żaglówki, podziwiałem przydymioną pomarańczową poświatę późnoczerwcowego słońca, które zanurzało się pod horyzont, pozostawiając zamglone niebo Południowej Kalifornii mieniające się pastelowymi barwami brzo-

skwini, terakoty i dziwnego ciemnego różu, które poprzez fiolet przechodziły w czerń nadchodzącej nocy.

Pokład słupek "Jambalaya" zadrżał delikatnie pod moimi stopami, gdy skręciłem na lewy hals, kierując się prosto ku plaży w Playa del Rey. Noc zapadała coraz szybciej, wypełniając mrokiem wszystkie wolne miejsca pomiędzy cieniami. Sięgnąłem przez szprychy koła sterowego i włączyłem światła pozycyjne. W ten niedzielny wieczór przyglądałem się bacznie idiotom, którzy nie mają zielonego pojęcia o używaniu świateł, jak również łodziom żeglującym prawidłowo. Gdy otworzyła się wolna droga z lewej burty, skierowałem dziób "Jambalayi" w strefę łagodnego wiatru. Kiedy główny żagiel, wielka genua 135, zaczął łopotać, wciągnąłem kliwer na bakburcie, owinałem trzy zwoje szota wokół automatycznego kabestanu i zamocowałem go. Główny żagiel przerzucił bom i wypełnił się wiatrem wiejącym nad dziobem od sterburty.

Na moim nowym, z grubsza północno-zachodnim halsie widziałem, że światła na falochronie, osłaniającym główne wejście do przystani Marina del Rey, wskutek wieczornej mgły otaczała lekka aureola. Gwar na falach wysokich częstotliwości nasilił się, gdy ciżba prywatnych stateczków tłoczyła się przy wąskim wejściu do portu.

Kiedy "Jambalaya" nabierała szybkości na nowym halsie, z dala od największego skupiska łodzi, gniewne, ponaglące okrzyki odbiły się echem od nabrzeża. Były tak głośne, że niosły się po wodzie i docierały do mnie tuż po tych samych dźwiękach słyszanych przez radio. Chwilę później dobiegł mnie z oddali odgłos zgniatanego włókna szklanego. W poniedziałki ludzie dokonujący napraw łodzi żaglowych oraz rzeczoznawcy towarzystw ubezpieczeniowych zawsze mają mnóstwo roboty w Południowej Kalifornii, gdzie piękna letnia pogoda zwabia zbyt wielu niedoszytych zwycięzców spod Trafalgaru na akwenty stawiające zdecydowanie nadmierne wymagania ich skromnym umiejętnościom żeglarskim.

Ponieważ płynąłem chwilowo stałym kursem i nie miałem przed dziobem żadnych żaglówek, obejrzałem się do tyłu w kierunku Cataliny, usiłując przywołać wspomnienie Camilli i weekendów, które tam razem spędzaliśmy. Z początku bywaliśmy tam tylko we dwoje: rzucaliśmy kotwicę w zatoczce Fourth of July, wałęsaliśmy się leniwie po wzgórzach i jedliśmy steki w restauracji Bombard's w Isthmus. Narodziny Nata i po dwóch latach Lindsey zmieniły to wszystko, a gdy dorastali, zaczęło się nurkowanie z rurką, pływanie, piesze wycieczki po górach otaczających Catalinę, ściganie dzikich świń i równie dzikich marzeń. Lecz gdy teraz wpatrywałem się w zapadające ciemności, baktriańskie wzgórza Cataliny majaczyły tylko niewyraźnie w mroku. Podobnie jak moje wspomnienia.

Spróbowałem przypomnieć sobie inne niedzielne wieczory, takie jak ten, pełne piosenek i żartów radujących nas podczas sześć- czy ośmiogodzinnej żeglugi powrotnej pod wiatr. W ciągu pierwszych kilku miesięcy po wypadku wspomnienia tych powrotnych rejsów oraz poprzedzających je weekendów nawiedzały mnie często, aż nazbytjasne i wyraźne, ponieważ w trakcie naszego małżeństwa - a szczególnie po urodzeniu się dzieci - Camilla nieustannie prosiła mnie, żebym „zachowywał wspomnienia”. Nalegała, zwłaszcza gdy przyglądaliśmy się, jak nasze dzieci bawią się albo śpią. Uświadamialiśmy sobie wówczas, że wkrótce dorosną i pewnego dnia porzucą swoje dzieciństwo - i nas.

Zachowuj wspomnienia... Skąd Camilla miała wiedzieć, że kiedyś słowa te staną się przekleństwem? Najczęściej prześladowało mnie pewne wspomnienie o Lindsey. Któregoś popołudnia, tuż przed ukończeniem pięciu lat, płasała sama w sypialni naszego małego domku w Playa del Rey. Nie pamiętam już muzyki, ale gdy podniosłem ją i zatańczyliśmy razem, ujrzałem w jej oczach najwyższą, niezmaconą radość i niezachwiany wyraz ufnej miłości i serce mi roztajało. Kiedy tak tańczyliśmy i trzymałem ją mocno w ramio-

nach, uderzyła mnie gorzko-słodką myśl, że pewnego dnia jakiś młody człowiek odnajdzie w jej oczach ten sam wyraz nieodpartego pociągu. Pamiętam, że modliłem się wówczas, aby ten młody człowiek pielęgnował owo ufne spojrzenie tak troskliwie, jak ja, a kiedy ją ze sobą zabierze, żeby chronił ją tak dobrze, jak ja pragnąłem ją chronić. Lecz nie udało mi się, zawiodłem. Lindsey nie spotka żadnego młodego człowieka, podobnie jak żadnej miłej młodej kobiety nie poznajej starszy brat Nat, który równie mocno jak siostra ufał, że potrafię go obronić przed całym złem świata.

Darzyli mnie tą nieograniczoną miłością i zaufaniem aż do chwili swej śmierci.

Zachowuj wspomnienia, powiedziała Camilla. Do diabła ze wspomnieniami! Z tymi drogocennymi, rozdzierającymi serce, przerażającymi, cudownymi i okropnymi obwodami neuronalnymi, których zasada działania wymyka się wszelkim wysiłkom poznawczym filozofów i naukowców, takich jak ja.

Przeżywamy te wspomnienia w samotności, po czym nieudolnie dzielimy się nimi za pomocą bezbarwnych i zawodnych słów i gestów, które jedynie w niewielkim stopniu odtwarzają ulotne migawki z przeszłości, pojawiające się w naszych głowach.

A potem umieramy.

Co dzieje się wówczas z tymi wspomnieniami? Czy są przywiązane do duszy? A może są tylko zdjęciami zrobionymi tanim synapsycznym Kodakiem i zmagazynowanymi w kruchym biologicznym medium, skazanym na rozpad? Otarłem z oczu łzy i spojrzałem na zegarek. Do przylotu córki Vanessy na lotnisko zostało niespełna dwie godziny. Skupiłem się na tym fakcie, żeby oderwać umysł od wspomnień.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce pomocniczego silnika dieslowskiego „Jambalayi”, po czym policzyłem w myślach do dziesięciu i nacisnąłem starter. Diesel zapalił już za

pierwszym razem. Następnie włączyłem białe światło, umieszczone na szczycie masztu, sygnalizując przemianę i n o jej żagłówki w łódź motorową, pchnąłem do przodu dźwignię biegów i skierowałem się lekko pod wiatr, żeby łatwiej było mi zrzucić żagle, po czym ustawiłem kurs tak, aby uniknąć zderzenia z hordą ciemniaków tłoczących się przy wejściu do portu.

Mając pod ręką przenośną syrenę na sprężone powietrze oraz raketnicę z zapasowymi nabojami, zatoczyłem szerokie koło w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, ku południowemu wejściu, w nadziei że znajdę jakąś jukę w chmarze wpływających łodzi. Tylko w Los Angeles, pomyślałem, żeglowanie może być tak cholernie podobne do zacieklej walki o pierwszeństwo przy wjeździe na autostradę.

Moją uwagę przykuwała sytuacja z przodu, toteż zaskoczyło mnie pojawienie się za rufą mojej żagłówki szybkiego jak strzała czarnego nieoświetlonego pontonu ze świetnie wytłumionym zaburtowym silnikiem. Przerwałem zataczanie łuku i wyprostowałem kurs, oczekując że tamci zauważą moje światła pozycyjne i przemkną obok. Obecność pontonu nie zaniepokoiła mnie; byłem jedynie zdziwiony, iż komuś może do tego stopnia brakować oleju w głowie, żeby płynąć w nocy bez świateł z tak wielką prędkością. Nawet gdyby ten mały miękki ponton uderzył z całą siłą w "Jambalaye", nie wyrządziłby dziesięciometrowemu jachtowi poważnej szkody.

Miałem rację co do łodzi, ale pomyliłem się, jeśli chodzi o jej załogę.

Zamiast błyskawicznie mnie minąć, ponton zwolnił i podszedł do lewej burty, "Jambalayi". Chwyciłem ręczny reflektor halogenowy. Światło pół miliona kandel wydobyciło z mroku trzech mężczyzn, ubranych w czarne kombinezony i kominiarki, i uzbrojonych - jak rozpoznały moje doświadczone oczy - w zręcznie zamaskowane pistolety ma-

szynowe Heckler & Koch MP5SD z długimi walcowatymi tłumikami.

Na widok światła mężczyźni zakłęli. Sternik pociągnął rumpel w prawo i wprowadził ponton w ostry zakręt. Miałem ich w promieniu światła na tyle długo, by dostrzec, że jeden z mężczyzn uniósł broń i wycelował we mnie. Padłem na pokład i zgasilem reflektor, a po chwili długa seria z automatu rozświetliła ciemność błyskami u lufy.

15 Jedna z kul uderzyła w maszt "Jambalayi", który zadźwięczał niczym głuchy dzwon.

Rozległ się gniewny okrzyk:

- Przerwać ogień! Mamy go wziąć żywego.

Potem dobiegł mnie trzask zmieniania magazynka.

Ukląkłem i wpatrzyłem się w ciemność, podczas gdy zaburtowy silnik znów rozbrzmiał głośniej. Promienie ich latarek rzucały cienie na pokład i takielunek "Jambalayi". Chwyliłem raketnicę, wychyliłem się na moment i strzeliłem prosto w ponton. Potem znów padłem na pokład, złamałem raketnicę, wyjąłem zużyty nabój kaliber .12, przeładowałem i wystrzeliłem w górę. Niemal natychmiast zawisła nad nami na spadochroniku rozjarzona flara, oświecając całą scenę płaskim błękitno-białym blaskiem magnezji.

- Bierzcie go!

Dlaczego? Dlaczego mnie? Czy to jakiś gang narkotykowy, napadający na coś, co uważa za transport konkurencji? Ale gangi narkotykowe zazwyczaj nie używają drogich automatów H&K, Wiedziałem natomiast, że w ograniczonej przestrzeni posługują się nimi rozmaici zawodowcy - od miejskich brygad antyterrorystycznych do wojskowych oddziałów specjalnych.

Oświecona racą przystań, ponagląjące okrzyki i unoszący się w powietrzu zapach kordytu wydobyły z mojej pamięci

od dawna pogrzebane wspomnienia. Przemknęły mi przez głowę, uruchamiając stare odruchy, które w przeszłości nie raz uratowały mi życie. Odczepiłem karabinek mocujący linę sztormową do upręży, ponownie przeładowałem rakietnicę i wystrzeliłem. Gdy nowa iluminacja rozjaśniła niebo, usłyszałem że ponton moich prześladowców uderzył w rufę od bakburty. Kucając w kokpicie, pchnąłem do oporu w przód dźwignię gazu i skierowałem „Jambalayę” prosto w stronę skupiska łodzi, a potem włączyłem autopilota.

Kiedy sięgałem po nadajnik krótkofalowy, żeby wezwać pomoc, pierwszy z napastników przeszedł przez nadburcie. Wpatrzyłem się w jego ciemną sylwetkę, przyciałem się i czekałem. Mężczyzna stanąwszy na pokładzie, zachwiał się przez moment, a wówczas rzuciłem się na niego jednym sprężystym skokiem, wkładając impet całego ciała w cios przedramieniem, którym trafiłem go tuż za uchem. Jego głowa przekrzywiła się nienaturalnie w lewo z głuchym trzaskiem pękających kręgow. Pot zalał mu twarz, lśniąc grubymi kroplami w nagim świetle flary. Wiedziałem z doświadczenia, że im wyższy kręg szyjny mu zламаłem, tym szybciej umrze.

Mężczyzna osunął się do kokpitu jak bezwładny wór. Patrzył na mnie, a niekontrolowany wypływ moczu i kału plamił mu spodnie. Poczułem krótkie drgnienie żalu, widząc jak w jego oczach błysnęło zrozumienie i panika, nim zamknęły się na zawsze. Rzuciłem się na dół do kabiny i włączyłem nadajnik na kanał 16.

- Mayday, mayday, mayday. Tu łódź "Jambalaya". Atakują mnie uzbrojeni napastnicy. Wzywam natychmiastowej pomocy. - Z ekranu GPS na pulpicie sterowniczym obok nadajnika odczytałem moje współrzędne. Wciąż nadając przez radio wezwanie o pomoc, wystukałem na telefonie komórkowym numer 911 i usłyszałem nieunikniony głos nagrany na taśmę.

- Do diabła - mruknąłem. Ledwo zdążyłem wepchnąć komórkę z powrotem do kieszeni moich workowatych

Windbreakersów, kiedy poczułem, że „Jambalaya” zakołysała się lekko, co oznaczało, iż ktoś wszedł na pokład. Podczas gdy silnik pracował na pełnych obrotach, pobiegłem do części dziobowej, otworzyłem drzwi i wyjąłem odpowiedni fragment boazerii z drzewa tekowego, odkrywając niewielką pustą przestrzeń między kadłubem a wewnętrznym poszyciem i wyciągnąłem stamtąd grubą wodoodporną torbę. Był w niej mój stary druh - półautomatyczny Colt .45 model 1911 oraz trzy magazynki.

Wsunąłem jeden z nich do kolby pistoletu, wprowadziłem nabój do komory i upewniłem się, że broń jest odbezpieczona. Gdy wróciłem do kabiny, spostrzegłem mężczyznę schodzącego po schodkach z kokpitu. Jego sylwetka zarysowała się na de trapezoidalnego otworu zejściówki, podświetlona od tyłu słabym blaskiem flary. Strzeliłem do niego.

Kula obróciła go, kiedy naciskał już spust swego automatu. Odskoczyłem w bok, unikając długiej serii, która przetoczyła się po wnętrzu łodzi. Nim przebrzmiał jej huk, skoczyłem do niego i drugim strzałem wbiłem mu głowę w pokład. Nigdy nie strzelaj tylko raz. Porządnego szkolenia nigdy się nie zapomina.

Stojąc twarzą do rufy, usłyszałem za plecami trzaśnięcie otwieranych drzwi dziobowej sypialni, a potem rozkazujący głos:

- Niech się pan nie rusza, doktorze Stone. Niech pan nawet nie drgnie albo wystrzelę panu nerki przez brzuch.

16 Stałem, mając po prawej kambuz. Dotykałem biodrem rogu lady, wystającej na mniej więcej metr ku środkowi kabiny i tworzącej niewielką niszę. Była to jednak marna osłona. Wszystkie elementy wyposażenia celowo zaprojektowano możliwe jak najlepsze, aby zapobiec problemom z kołysaniem i wyważe-

niem. Pociski z automatu H&K mogłyby z łatwością przebić cienką wykładzinę, gdybym użył jej jako osłony, i posiekać mnie na kawałki.

- Wyrzuć broń na zewnątrz - polecił głos. Zabezpieczyłem ją i cisnąłem do kokpitu.

Zapadła chwila ciszy, w której dobiegł mnie głośny warkot mojego diesla oraz ledwo słyszalne, zagłuszone przez ten hałas gorączkowe głosy, krzyki i dźwięki syren. Nadajnik krótkofalowy skrzeczał zmieszanim niezrozumiałym gwarem transmisji nakładających się na siebie i tworzących słowny chaos.

- Doktorze Stone, niech mi pan odda palmtop, który dała panu Vanessa Thompson.

- Nie mam pojęcia...

W tym momencie na tekowej grodzi tuż po prawej zabłysł nadzwyczaj nieruchomy czerwony laserowy punkt, który po chwili zniknął i został zastąpiony przez idealnie okrągłą dziurkę. Strzał minął moją głowę tak blisko, że usłyszałem wysoki jęk kuli.

- Mogę strzelać przez całą noc, zadając panu rany, Stone. Jeśli będzie pan mnie zwodził, będzie to pana kosztować mnóstwo cierpień.

Przetrząsałem wszystkie wspomnienia ostatniego roku.

- Naprawdę nie pamiętam...

Tym razem nie ostrzegł mnie laserowy punkcik i zdałem sobie sprawę, co zaszło, dopiero gdy usłyszałem wystrzał i poczułem, jak coś ciepłego i lepkiego ścieka mi z boku głowy. Dotknąłem szczytu małżowiny ucha i wymacałem niewielką ranę, czując lekki ból.

- To było moje ostatnie ostrzeżenie - zawołał napastnik, przekrzykując hałas nadajnika i wrzawę zaaferowanych głosów na zewnątrz.

W następnych ułamkach milisekundy odtworzyłem w pamięci krótką scenę na cmentarzu i przypomniałem sobie przyjemność, jaką poczułem, gdy Vanessa wsunęła dłoń

w kieszeń mojej marynarki. Zapomniałem o tym epizodzie i miłym odczuciu dotyku jej dłoni, jako że chwilę później została zamordowana. Nie miałem pojęcia o żadnym palm-topie, ale musiałem wymyślić jakąś historyjkę, żeby zyskać na czasie.

- Mam go w sejfie w moim gabinecie. Mogę go panu oddać.

- Nie. - Czerwony punkcik pojawił się ponownie. - Nie. Niech pan mi poda szyfr, a ja go wydobędę. - Punkcik zniknął; niewątpliwie oświedzał jakąś ważną dla mnie część mojego ciała.

Zanim tamten zdołał wystrzelić, poczułem wstrząs, gdy "Jambalaya" zwolniła gwałtownie, skręciła i zboczyła z kursu. Napastnik zaklął; usłyszałem głuchy odgłos, gdy łódź uderzyła o coś twardego.

Rzuciłem się na górę do kokpitu. W powietrzu unosiły się opary benzyny. Spojrzałem przed siebie, w stronę epicentrum krzyków i przekleństw, i zobaczyłem dziób "Jambalayi" wbity w jakiś szpanerski ścigacz.

Chwyliłem Colta i już miałem wystrzelić, lecz mój nos mnie powstrzymał. Wskoczyłem za burtę. Wokół mnie wodę wzburzyła seria pocisków z automatu. Zanurkowałem w momencie, gdy błysk u lufy zapalił benzynę rozlaną z pękniętych zbiorników motorówki.

17 Darryl Talmadge usiadł w żelaznym szpitalnym łóżku z odpryśniętą emalią i odrzucił śmierdzący lekarstwami koc z wypalonymi dziurami od papierosów. Odetchnął na tyle głęboko, na ile pozwoliła mu rozedma płuc, a potem jego wychudzonym jak szkielet ciałem wstrząsnął wyczerpujący atak kaszlu.

Zimny mocny wiew z klimatyzatora przenikał jego workowatą piżamę. Kiedy ucichł ostatni spazm, Talmadge przerzu-

cił nogi na bok i wstał, ignorując zniszczony aluminiowy balkonik, przydzielony mu przez Rządowy Szpital Weteranów Wojennych. Nie potrzebował go, a poza tym ten przekłety przyrząd był za krótki na jego ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu - podobnie jak łóżko - ale właśnie tak traktuje cię armia. Powiedział o tym wszystkim Jayowi Shankerowi, swemu przydzielonemu z urzędu obrońcy, już prawie pół roku temu, czyli ostatnim razem, kiedy zezwolono mu na wizytę.

Wyciągnął szyję i popatrzył ze złością w róg pokoju, na wewnętrzną kamerę wideo, przytwierdzoną do ściany wysoko nad telewizorem. Spojrzał prosto w małą czerwoną diodę elektroluminescencyjną i pomimo artretyzmu w częściowo utraconym barku, którego nabawił się przeszło pół wieku temu w koreańskim zbiorniku wodnym Chosin, wystawił w górę środkowy palec.

- Pierdolę was!

Pomyślał z zadowoleniem, że kamera zarejestruje jego ordynarny gest i słowa dla potomności i badań naukowych. Pewnego dnia ktoś uczciwy odnajdzie te taśmy, a wtedy prawda wyjdzie na jaw i polecą głowy.

To właśnie z powodu tej prawdy wyciągnięto go z sądu okręgowego Leflore na drugi dzień po wydaniu wyroku. Do tego momentu jego kiepski adwokat z urzędu kazał mu się nie odzywać i odurzał go środkami usypiającymi, nie pozwalając nawet przemówić we własnej obronie podczas tego procesu o morderstwo. Proces trwał niecały tydzień, a ława przysięgłych potrzebowała mniej niż godziny, żeby uznać go winnym.

Wszyscy, a zwłaszcza Talmadge, wiedzieli że ten wyrok oznacza dla niego prostą drogę do komory gazowej. Właśnie dlatego przed jego wysłuchaniem potajemnie spuścił w sedesie lekarstwo, które mu podawano.

Wówczas, z umysłem uwolnionym od chemicznych oków, które tak długo zamykały mu usta, wstał w trakcie jawnego posiedzenia sądu i oznajmił, że ukartowano to, aby

nie mógł niczego powiedzieć o projekcie Optymalizacji Wartości Bojowej, a następnie począł wyrzucać z siebie nazwiska, daty i nazwy miejscowości, z których większości od dawna nie pamiętał, dopóki nie zaczęły się jego ataki.

Cały kontyngent wojskowych oficerów i żandarmów, którzy akurat tego dnia niby przypadkiem znaleźli się w sądzie, wyprowadził go w rekordowym tempie z sali rozpraw i wywiózł na oddział psychiatryczny Rządowego Szpitala Weteranów Wojennych, gdzie odtąd przebywał. Tymczasem sąd skazał Talmadge'a na śmierć w komorze gazowej w Parchman, po czym zapieczętował protokoły sprawy i zagroził wszystkim obecnym karą długotrwałego więzienia, jeśli wspomną komukolwiek o tym, czego byli świadkami.

- Macie tam wszyscy ciężki gryz ze mną, co nie? - rzucił do kamery Talmadge. - Chcecie mnie ukatrupić, żebym niczego już sobie nie przypomniiał. - Popatrzył w górę w obiektyw i na dokładkę kiwnął głową.

Potem ostrożnie puścił się łóżka. Pomimo bólu artretycznego w kolanach i udach, który położył kres jego karierze przewodnika myśliwskiego, nie użył balkoniku, tylko szurając nogami, poczłapał do okna. Rozsunął firanki i mrużąc oczy, spojrzął poprzez swoje odbicie w szybie. Na południowym zachodzie w ciemnościach dostrzegł nad drzewami zarys szczytu kopuły Kapitolu. Wyobraził sobie, że jest tam na zewnątrz wolny, oddycha prawdziwym świeżym powietrzem, idzie po trawie i omija psie kupy. Poczuł, jak w piersi wzbiera mu ponury, gwałtowny i ostry gniew.

Potem odwrócił się znowu do kamery i nigdy nie gasnącego czerwonego światła.

- Pierdołę was wszystkich, a zwłaszcza ciebie, panie Ważniaku, generale skurwysynie Braxton, i wszystkie te gnijące od trypra konie, na których jeździsz.

Pot zrosił twarz Talmadge'a, na której wyraźnie pulsowała zgrabna pooperacyjna blizna, biegnąca niczym tor kolejowej od nasady nosa w górę, obok prawej brwi i niknąca

w linii rzadniejących włosów. Potem jego wzrok zamglił się, jak działa się zawsze, kiedy lek przestawał działać. Mrugający kolorowy półkolisty neon pojawił się niewyraźnie na skrajego pola widzenia, a potem spęczniał.

Wszystko zaczęło się od tych przeklętych świateł. Tego pierwszego dnia, kiedy pochylił się nad filiżanką kawy w Delta Cafe w Itta Benie, opowiadając Dudowi Shecklefordowi i Dooneyowi Clarkowi o tym, jak spieprzyło się łowienie ryb w jeziorze Mossy, i we trzech zgodzili się, że wszystko przez te tłumy, które przyjeżdżają tu aż z Jackson ze swymi wielkimi ściągaczami i osprzętem za milion dolarów, robiącymi tyle cholernego hałasu, że prawdziwy wędkarz nie może niczego złowić.

Tamtego pierwszego dnia, kiedy światła w jego głowie przesłoniły mu wzrok, Darryl Talmadge upuścił filiżankę i rozlał kawę po całym stole. Dooney zadzwonił po pogotowie. Talmadge był pewien, że dostał udaru, ale lekarze na oddziale pomocy doraźnej szpitala w Greenwood stwierdzili, że to rodzaj omamów migrenowych, będących prawdopodobnie reakcją na stres związany ze śmiercią jego żony i koniecznością sprzedaży domu, żeby spłacić koszty jej leczenia. Doktor powiedział, że prawdopodobnie nie jest to nic poważnego, ale jeśli objawy się powtórzą, być może Talmadge będzie musiał pojechać do Jackson lub Memphis, żeby zrobić badanie tomograficzne głowy.

Wspomnienia wypłynęły kaskadą tuż po tym, jak Dud i Dooney zostawili go w jego pokoju w zakładzie opieki w Tallahatchie, gdzie mieszkał, odkąd jego żona Dora umarła na raka od wszystkich tych papierosów, i kiedy artretyzm kolan nie pozwolił mu już zajmować się ich małym domkiem przy autostradzie nr 7, na północ od kaplicy episkopalnej na obrzeżach Itta Bena. Wciąż jeszcze miał poczucie winy z powodu pomieszanej z bólem ulgi, jaką odczuł po śmierci Dory. Zanim zabił ją rak, zaczęła już objawiać zaburzenia osobowości wywołane chorobą Alzheimera

i straszliwie wymęczyła Talmadge'a. Po pierwszych symptomach wpadł w depresję, a potem ponownie, kiedy uświadomił sobie, że w ciele, którym się opiekuje, nie mieszka już kobieta, którą kochał. Jednakże wykorzystał każdą odrobinę swej szybko wyciekającej energii, by uczynić dla niej wszystko, co mógł. Kilka miesięcy później zrozumiał, że zrobił to, aby uczcić jej pamięć. To było jak mieszkanie przy świeżym grobie, gdzie karmienie żony, mycie i pilnowanie, żeby nie wyszła z domu i nie wpadła pod traktor, zaspokajało tę samą emocjonalną potrzebę, co składanie kwiatów na płycie nagrobnej. Gdy w końcu zabrał ją rak, poczuł rodzaj zawstydzonej wdzięczności.

Lecz naprawdę okropne wspomnienia wypłynęły z jego pamięci i osaczyły go wkrótce po wyjściu Dooneya i Duda z jego pokoju. Miganie świateł w głowie powróciło ze wzmożoną siłą, a kiedy neonowa tęcza osiągnęła apogeum blasku, wygrzebał stary magnetofon kasetowy i na wszystkich taśmach, jakie zdołał znaleźć, utrwalił lawinę wspomnień, które nigdy wcześniej nie wyłoniły się na powierzchnię jego świadomości. Zawsze sądził, że pocisk moździerza w Korei, który pozbawił go barku, a odłamkiem przebił głowę, na zawsze wytarł pamięć tamtych dni. Lecz oto teraz, ku jego zdumieniu, te wspomnienia wróciły, a wraz z nimi obrazy białych kitlów, strzykawek i projektu Optymalizacji Wartości Bojowej. Bełkotał więc do mikrofonu, póki nie zemdłał.

Następnego dnia, kiedy światła zniknęły, odtworzył taśmy, nie poznając własnego głosu i wsłuchując się w dziwaczne opowieści o rzeczach, których w ogóle nie pamiętał. Pewien, że, tak jak Dora, zapada na Alzheimera, wyjął swego starego automatycznego Remingtona kaliber .12, wyprodukowanego według patentu Browninga, dzięki któremu niegdyś został legendarnym strzelcem oddziału. Załadował trzy naboje śrutowe numer cztery - największe jakie miał, gdyż uwielbiał polować na kaczki - a potem do wtóru śpiewu Dory ze starej kasety miotał się z Remingtonem przez

cały ranek, nie mogąc się zdecydować, nim w końcu zadzwonił do Dooneya.

Po dwóch godzinach siedział w poczekalni Rządowego Szpitala Weteranów Wojennych w Jackson, gdzie spędził niemal cały dzień, zanim zjawił się udręczony lekarz, który wziął od niego pudełko po butach wypełnione kasetami i uzgodnił termin wizyty.

Gdyby tylko zostawił te przekłete taśmy w domu, sprawy wyglądałyby teraz zupełnie inaczej, pomyślał, przenosząc wzrok na ekran telewizora, gdzie jedna z naturalnie niezdolnych, za to obdarzonych zmysłowo pełnymi wargami spikerek CNN głądziła o jakiejś powodzi w Europie, która pochłonęła bezcenne dzieła sztuki. Dziewczyna odczytywała tę dramatyczną wiadomość z przebiegłym uśmiechem. A potem przeczytała coś, co przebiło się przez niedawną burzę światła w głowie Talmadge'a.

- Ośmiu rosyjskich żołnierzy zostało wczoraj zastrzelonych, a trzech innych zranionych przez jednego z towarzyszy w odległym posterunku w górach kaukaskich, przy granicy z Gruzją - powiedziała z wciąż czającym się w kąciku ust chytrym, cynicznym uśmieszkiem. - Miejscowy oficer dyżurny z rosyjskiego oddziału Ministerstwa Spraw Kryzysowych oświadczył, że strzelec znajdował się pod wpływem pewnej odmiany halucynogennego grzyba, popularnego wśród poborowych na tych odległych przygranicznych terenach. To już drugi taki przypadek w tym rejonie w ciągu ostatnich czterech miesięcy, podczas gdy dezercje, przemoc i samobójstwa wciąż nękają podupadające rosyjskie siły zbrojne... A teraz wiadomość ze świata rozrywki o Paris, J. Lo i Britney Spears...

Zmagając się z błyskającymi światłami, które wypełniały teraz jego pole widzenia, Talmadge skupił cały swój gniew na kamerze wideo.

- Ruscy próbują to samo przekłete gówno, co wy, no nie? - rzucił. - Pieprzona historyjka o grzybach to cholera-

nie dobra przykrywka, co? Ha! No, lepsza niż ta pierdolona gadka o bitewnym stresie, jaką wszyscy wstawialiście po tamtych zabójstwach w Fort Bragg, kiedy chłopcy wrócili z Afganistanu. - J e g o wściekłość zaczęła się mieszać z elektryczną burzą, szalejącą mu w mózgu. - Wy skurwysyńskie fiuty, powiesiliście tamtych chłopaków, żeby zatrzeć My Lai i wszystkie te inne razy, kiedy chodziło o pierdolone dragi, wasze dragi, wasze pierdolone dragi, wasze pierdolone dragi, waszepierdolonedragi, pierdolonedragi!

Wrzeszczał wściekle do kamery, aż w końcu iskrząca neonowa tęcza wypełniła jego oczy i umysł, wczepiła się w trzewia i wycisnęła mu dech z piersi.

Wtedy Darryl Talmadge upadł twarzą na podłogę.

18 Usiadłem na kamiennym molo, białym od ptasiego guana i rozłożyłem na części mój Colt .45 i komórkę. Mogły jeszcze uratować mi życie, jeżeli napastnicy mieli w pobliżu towarzyszy. Otrząsanie wody z pistoletu i telefonu, suszenie naboju i baterii zajęło mi niecałe pięć minut i mniej więcej po tym czasie zjawił się patrol portowy urzędu szeryfa okręgu Los Angeles w dwóch łodziach z włókna szklanego i pomarańczowym pontonie. Wkrótce po nich przyplłynął piętnastometrowy wielozadaniowy kuter ratowniczy straży przybrzeżnej oraz statek strażacki. Wozy okręgowej straży pożarnej nadjechały kamiennym wałem łączącym Ballona Creek z głównym nabrzeżem portowym.

Formalnie rzecz biorąc, straż przybrzeżna nie powinna mieszać się w incydenty na terenie przystani, podlegającym jurysdykcji szeryfa. Lecz widocznie tego wieczoru szeryf poprosił ich o wsparcie na podstawie umowy o wzajemnej pomocy. Wiedziałem o tym, gdyż przez ponad dwanaście lat byłem rezerwistą w zespole poszukiwawczo-ratowniczym

urzędu szeryfa i niemal równie długo w oddziale pomocniczym straży przybrzeżnej. Spełniałem te funkcje bezpłatnie, w istocie zaś na wyekwipowanie "Jambalayi" tak, aby mogła służyć jako jednostka pomocnicza straży przybrzeżnej, wyłożyłem całkiem sporo własnych pieniędzy. Lecz nie miałem nic przeciwko temu, a większości ludzi mówiłem, że jest to mój sposób spłacenia długu lokalnej społeczności, co w znacznej mierze było prawdą. Nie potrafiłem tylko nigdy rozstrzygnąć, czy aby nie chodzi mi bardziej o czystą przyjemność mierzenia się z oceanem, kiedy nikt zdrowy na umyśle nie wypływa z portu (z wyjątkiem tych, których musieliśmy ratować) lub dyndania na linie pod helikopterem, żeby ocalić odpowiedniki tamtych idiotów w górach.

Rozmyślałem o tym, siedząc na śmierzącym moło i przyglądając się jak "Jambalaya" i ścigacz stapiają się w jedną zbitą masę benzyny, oleju napędowego i żywicy epoksydowej, która stanęła w płomieniach o wiele szybciej, niż kiedykolwiek widziałem. Przypuszczam, że powodem była wielka ilość paliwa w zbiornikach ścigacza.

Reflektory punktowe patrolu portowego i straży przybrzeżnej dołączyły do i tak już jaskrawego i ostrego blasku świateł prywatnych łodzi, przypominającego barwą błękitno-biały gips sztukatorski i padającego z tyłu stron, że pozbawił całą scenę cieni i wypłukał z kolorów, upodabniając ją do czarno-białego szkicu piórkiem. Mrużąc oczy przed silnym światłem, ujrzałem z ulgą, że wszystkich trzech pasażerów ścigacza wciągano na pokłady innych łódek.

Aluminiowy maszt "Jambalayi" zmięknął od żaru, a potem przekrzywił się, przez co umieszczony na jego topie anemometr i inne instrumenty wpadły do wody.

Statek straży przybrzeżnej podpłynął ostrożnie do szcztaków, żeby jego załoga mogła użyć gaśnic pianowych. Lecz raptem obie płonące łodzie wydały odgłos dziwacznie przypominający spuszczenie wody w toalecie, po czym natychmiast zatoneły, niewątpliwie pociągnięte na dno przez po-

teżny ołowiany balast w przypominającym płetwę opływowym kilu "Jambalayi".

Gdy tak patrzyłem, jak takielunek znika pod wodą, przez chwilę ogarnęło mnie przygnębienie. Niczym pojedyncze klatki filmu, migające zbyt szybko, by można przyjrzeć się którejkolwiek, przemknęły mi przez głowę obrazy rzeczy, które znajdowały się na pokładzie mojej żaglówki i poczułem głęboki żal po ich utracie.

Wstałem i próbując otrząsnąć się z tego smutku, skupiłem uwagę na straży przybrzeżnej, która rozpylała pianę, żeby ugasić resztki ognia na wodzie. Przyglądałem się bacznie całej scenie, aby dostrzec, czy ktoś nie wypłynie na powierzchnię. Jednak podczas gdy jeden z pontonów patrolu portowego zmierzał w moim kierunku, uspokajałem się coraz bardziej, że napastnik nie zdołał wydostać się ze skwierczącego wraku i poszedł wraz nim na dno.

- Do diabła, doktorku, w co się tym razem wpakowałeś? - Rozpoznałem szorstki brooklyński akcent sierżanta Vince'a Sloane'a z urzędu szeryfa, jeszcze zanim pośród oślepiających świateł reflektorów dojrzałem jego twarz. - Wyglądał jak cholerne fajerwerki w święto Czwartego Lipca. - Sloane był potężnym muskularnym i nadzwyczaj opanowanym mężczyzną, który się nie patyczkował. Był postrachem przestępców, nieposkromionym wcielonym diabłem o niewinnym sercu.

Uklęknął na środku łodzi, podczas gdy sterniczka przymknęła gaz i doprowadziła ją o centymetry od nabrzeża, po czym zastopowała, nie dotykając jego skraju. To musiała być Lexus Guzman. Tylko ona jedna spośród zastępców szeryfa miała taki dryg do sterowania.

- Do diabła, myślisz, że wiem - odpowiedziałem Sloane'owi i zszedłem do pontonu.

- Okropnie śmieszisz, doktorku - rzuciła Lexus odpływając od mola.

- Ja też cię witam, Lexus - odparłem. Naprawdę ma na imię Carolina i pochodzi z zamożnej rodziny, posiadającej

winnicę w okolicach Ensenady. Pierwszego dnia przyjechała do pracy nowiutkim błyszczącym kabrioletem toyota Lexus i chociaż później zmieniała go na coraz nowsze i wymyślniejsze wozy, przezwisko do niej przyłgnęło.

Gdy płynęliśmy głównym kanałem na północ, zrelacjonowałem im przebieg wydarzeń. Nad naszymi głowami przeleciał helikopter szeryfa, kierujący się na zachód, a potem zawisł nieruchomo nad miejscem wypadku u wejścia do portu.

- Powiniennem wam to dać - powiedziałem i wyciągnąłem z kieszeni Windbreakerów mój automatyczny Colt .45, po czym wyjąłem magazynek i usunąłem nabój z komory. Trzymałem broń kołyszając się na palcu wetkniętym pod osłonę spustu. Twarz Vince'a przybrała pytający wyraz.

- Przypuszczam, że kiedy w końcu wyciągną wrak z wody, znajdą w środku trzy ciała, a jedno z nich będzie miało w sobie kulę z tego pistoletu - wyjaśniłem.

Usłyszawszy to Sloane zachmurzył się. Mimo iż nie pobierałem pensji, byłem zaprzysiężonym oficerem urzędu szeryfa, co oznaczało, że na czas, gdy departament spraw wewnętrznych będzie prowadził śledztwo w związku z tą strzelaniną, zostanę administracyjnie zwolniony ze stanowiska.

- No, dobrze - rzekł w końcu Sloane zrezygnowanym tonem. - Opowiedz mi o wszystkim, zanim sporządzę oficjalny raport. - Kiwnął głową na Lexus, która zwolniła i zaczęła zataczać szerokie koła. Kiedy zacząłem mówić, rozległ się nad nami warkot helikoptera stacji telewizyjnej, której nazwa umieszczona była w widocznym miejscu na ogonie i podświetlona dla uzyskania jak największego efektu reklamowego. W otwartych drzwiach siedział przypięty pasami kamerzysta. Tuż za pierwszym nadleciał drugi śmigłowiec telewizji, podczas gdy kreśliliśmy na wodach kanału leniwe kręgi. Wkrótce niebo nad falochronem wyglądało już jak powietrzny parking dla olbrzymich mechanicznych wałek.

Ignorując ten podniebny cyrk, opowiedziałem o wszystkim, podkreślając zwłaszcza moje podejrzenie, że była to omyłkowa próba przejęcia transportu narkotyków, oraz profesjonalne zachowanie napastników.

- Ale nie dość profesjonalne dla ciebie, co, doktorku? - rzekł Sloane, obrzucając mnie tym samym dziwnie podejrzliwym spojrzeniem, jak zawsze, gdy pojawiał się temat mojej służby wojskowej. Widział oficjalne zaświadczenie o zwolnieniu mnie z armii, wydane przez Departament Obrony i zawierające podsumowanie mojej kariery w wojsku. A i tak mnóstwo rzeczy było zbyt tajnych, by można je było tam umieścić. Nigdy o tym nie rozmawiałem, zaś Sloane miał dość oleju w głowie, by mnie nie wypytywać. Guzman skrzyła powoli w kierunku nabrzeża przy biurze szeryfa.

- Po prostu miałem szczęście - odparłem, wzruszając ramionami.

- Szczęście! - rzucił drwiąco Sloane. - Gdybyś miał szczęście, te sukinsyny trafiłyby na właściwą łódź, a nie na twoją. Masz pojęcie, ile cholerniej papierkowej roboty mnie czeka? - mruknął. - Nie mówiąc już o tym, że trwa sezon tych pływających palantów i nie mogę sobie pozwolić na stratę dobrego oficera rezerwy.

Już miałem wygłosić sarkastyczną uwagę, jak bardzo mi przykro z powodu tego okropnego wieczoru, kiedy zabrzmiał niewyraźny brzęczący dzwonek mojej komórki. Jej przemokły głośniczek z trudem radził sobie z utworem Roberta Johnsona *Blues rozstajnych dróg*, którego używałem jako sygnału dźwiękowego, ale byłem zdumiony, że telefon w ogóle działa.

Odebrałem połączenie i zamarłem słysząc głęboki, melodyjny i aż nazbyt dobrze mi znany głos.

- Pan Stone?

Spojrzałem na zegarek.

- Jasmine?

- Tak, to ja. Tak się dziwnie złożyło, że mój samolot przyleciał przed czasem.

- O, Chryste! - wyrwało mi się. - To znaczy, nie... Nie to chciałem powiedzieć. Chodzi tylko o to, że... ja... moja łódź miała wypadek i...

- Nic panu nie jest?

- Na razie nie. Ale czeka mnie jeszcze mnóstwo biurokracyjnego zwracania głowy, jak zwykle w takich przypadkach.

- Rozumiem. Dobrze, niech pan posłucha, zamówiłam pokój w hotelu Crown Plaza, tuż koło lotniska. Może więc pojedę tam, a rano do pana zadzwonię?

Guzman przybiła łagodnie do nabrzeża. Sloane chwycił cumę dziobową pontonu, wyskoczył na brzeg i przywiązał ją do najbliższego pachołka. Potem zrobił to samo z cumą rufową, którą rzuciła mu sterniczka.

- Proszę się mną nie przejmować. - Głos Jasmine był ciepły, spokojny i stanowczy tak, jak jej matki. - Nie przyleciałam tu jako turystka.

Przeczytałem kiedyś w „Newsweeku” artykuł na temat Vanessy, zawierający notkę o Jasmine. Ukończyła Uniwersytet Południowej Kalifornii, a potem wydział prawa Uniwersytetu Stanford i odbyła aplikację sądową w Piątym Okręgowym Sądzie Apelacyjnym, po czym podjęła pracę u swej matki w Nowym Jorku. Kiedy Vanessa przeniosła się do Missisipi, Jasmine została na północy i pracowała w wielkiej firmie prawniczej na Manhattanie. Z podanych w artykule dat wywnioskowałem, że ma trzydzieści kilka lat lub nawet zbliża się do czterdziestki.

Sześć miesięcy temu, po zabójstwie Vanessy, wróciła w rodzinne strony, żeby kontynuować działalność matki w Adwokackiej Fundacji Sprawiedliwości w Missisipi - działającej na terenie Deltę organizacji, utworzonej przez Centrum Sprawiedliwości w Missisipi założone przez Marthę Bergmark.

- Ale... - wyjąkałem.

- Żadne „ale”. Niech pan spokojnie załatwi swoje sprawy i zadzwoni do mnie jutro rano. - Zadziwiła mnie życzliwość i stanowczość w jej głosie; przez chwilę odniosłem wrażenie, że rozmawiam z Vanessa. Córka niewątpliwie miała geny po matce. O ojcu i jego wkładzie genetycznym nic mi nie było wiadomo.

Stałem tam z telefonem w ręce, zastanawiając się nad zagadką DNA i nad tym, w jaki sposób determinował ową precyzję i niezależność myślenia, które uczyniły Vanessę tak niewzruszenie niepodlegającą wpływom. Ciekaw byłem, czy Jasmine odziedziczyła te cechy.

Większość mojej wiedzy o nich obydwu pochodziła z artykułów z gazet i czasopism, z których niegdyś robiłem wycinki i wkładałem do osobnego pudła. Niektóre z nich odczytywałem potem wciąż na nowo, póki nie postrzępiły się i nie pobrudziły od częstego przeglądania.

Kiedy poślubiłem Camillę, schowałem to pudło do piwnicy, co było symbolicznym gestem odcięcia się od wszystkich dawniej znanych mi ludzi.

Po wypadku, gdy było już wiadomo, że Camilla nie wyjdzie z komy, a ja nie potrafiłem dłużej stawiać czoła widmom przeszłości w naszym domu, zacząłem przez trzy lub cztery dni w tygodniu mieszkać na "Jambalayi", a w pozostałe nocowałem na łóżku polowym w moim biurze. Zaniósłem wtedy pudło z wycinkami o Vanessie na żaglówkę. Z początku siedziałem w kabinie i tylko go dotykałem. Za każdym razem, kiedy zabierałem się do jego otwarcia, przypominałem sobie Camillę gasnącą powoli na zautomatyzowanym łóżku w pokoju szpitalnym, gdzie z panoramicznego okna rozciągał się widok na Pacyfik, choć nikt nie potrafił powiedzieć, czy go dostrzegała. Z prawnego punktu widzenia byliśmy nadal małżeństwem, jednakże śpiączka wyparła z jej ciała prawdziwą Camillę. Mimo to pozostałem wierny p a m i ę c i mojej żony, i d e i niezdecydowanie położyły się cieniem na całym moim życiu.

W dniu pogrzebu Vanessy serce powiedziało mi, że mogę przeczytać materiały o niej bez groźby wywołania ducha cudzołóstwa. Od tamtego chłodnego zimowego dnia aż do dzisiejszego poranka siedziałem w „Jambalayi” - w ciepłe słoneczne dni w kokpicie, zaś nocami pod pokładem w głównej kabinie - i ponownie odczytywałem wycinki. Byłem zaskoczony tym, jak pełne, obejmujące niemal trzydzieści lat archiwum zgromadziłem na jej temat. Niekiedy w trakcie tej lektury doznawałem poczucia winy, gdy uświadamiałem sobie stopniowo, że Camilla była zawsze dopiero moją drugą miłością.

Obecnie, mając w uszach głos Jasmine, przypomniałem sobie pewien artykuł w „New York Timesie”, w którym podkreślano, że nigdy nie poznała swego ojca. Została poczęta w rozwiązłych latach siedemdziesiątych podczas przypadkowej miłosnej nocy Vanessy, w okresie gdy ta pracowała jako wolontariuszka w firmie prawniczej z San Francisco, reprezentującej północnoamerykańskich Indian aresztowanych podczas okupowania Alcatraz.

Pewna wypowiedź Vanessy, zacytowana w tym artykule, uderzyła mnie teraz, kiedy słuchałem jej córki: „Osobnik stanowiący dobry materiał biologiczny na ojca niekoniecznie musi stać się dobrym rodzicem. Cholernie wiele, zbyt wiele czarnych dzieci dorasta z przygodnymi i niesolidnymi ojcami, przez co później przejawiają znacznie mniejszą ufność i zdolność do odczuwania miłości niż domowy pies. Nie odpowiadała mi również aborcja, toteż postanowiłam sama wychować moją córkę”.

Wszystko to przemknęło mi przez głowę, kiedy usiłowałem wydusić coś sensownego, mówiąc do córki Vanessy. Ostatecznie wymamrotałem niewyraźnie jakiś banał i pożegnałem się.

- Córka starej przyjaciółki - wyjaśniłem Sloane'owi, który stał na nabrzeżu i patrzył w dół na mnie. Uniósł brwi na znak, że jego pytania mogą zaczekać, po czym wyciągnął rękę i pomógł mi wejść na brzeg.

- Dzięki, sierżancie.

Burknął coś, co mogło oznaczać: „Nie ma za co”.

Poszliśmy w stronę budynku urzędu szeryfa i straży narzeźnej, który jednak nie wydał mi się znajomy i bezpieczny, tak jak zwykle. Zrobił na mnie wrażenie obcego i pełnego nieznanymi zagrożeniami, gdy przecisnęliśmy się przez drzwi i skierowaliśmy się do pokoju przesłuchań, zamykanego od zewnątrz.

Zanim tam weszliśmy, Vince wziął po drodze apteczkę.

- Formalnie rzecz biorąc powinna to obejrzeć pielęgniarka - mruknął, przemywając mi małżowinę wacikiem nasączonym alkoholem, co paliło gorzej niż sam postrzał.
- Do diabła, ta ranka jest za mała nawet na to, żeby przykleić plaster.

Klepnął mnie w plecy i wyszedł, aby stawić czoło problemom życia, śmierci, morderstw i ocaleń. Przypuszczałem, że już za kilka godzin potworność tego, co się stało, zblaknie i wyda mu się bez znaczenia.

19 Po piętnastu minutach weszło dwóch oficerów w cywilu, których miałem nadzieję nigdy nie oglądać. Departament Spraw Wewnętrznych przypomina Urząd Skarbowy: wiemy, że jest niezbędny do właściwego funkcjonowania państwa, ale wolelibyśmy nigdy nie mieć z nim bezpośrednio do czynienia. Przesłuchiwali mnie niemal do północy. Wykonywali po prostu swoją pracę, jednakże ich podejrzenia i sugestie, że jestem winny, wyprowadziły mnie z równowagi.

Opowiedziałem im o tym incydencie trzy razy - najpierw obydwóm, potem zaś kolejno każdemu z nich z osobna. Pytali o moją przeszłość wojskową i próbowali zahaczyć o tajne kwestie. Powiedziałem, żeby porozmawiali z Vincem albo zadzwonili do Pentagonu i podałem im numer.

Wychodzili na zmianę z pokoju, a z zadawanych mi potem pytań wywnioskowałem, że istotnie skontaktowali się z Pentagonem i rozmawiali ze Sloanem. Najwyraźniej przesłuchali też świadków z innych łodzi, uzyskali kopie raportów straży przybrzeżnej i zapisy dyspozytorów biura szeryfa, a także przesłuchali taśmy z nagraniem mojego wezwania pomocy przez radio. Ich kompetentny profesjonalizm sprawił, że przestałem się już czuć jak ofiara Inkwizycji.

Nie wiedzieli, o co chodzi z tym palmtopem, wspomnianym przez jednego z napastników, i z początku nie uwierzyli, że ja również nie mam o tym pojęcia. Jednak stopniowo ich podejście do mnie złagodniało; przypuszczam, że wpłynęła na to spójność mojej wersji, jej zgodność z relacjami innych świadków, moje radiowe wezwania pomocy, zaobserwowane wybuchy flar i odgłosy strażów oraz odnalezienie pontonu typu wojskowego, dryfującego na zachód od falochronu.

Wreszcie zakończyli przesłuchanie, polecając mi, żebym informował o miejscu mojego pobytu, gdyż zostaną wezwani do złożenia dalszych zeznań. Wyjaśnili mi też, że zwolnienie mnie nie oznacza oczyszczenia z zarzutu zabójstwa.

W końcu wyszedłem z pokoju przesłuchań i pocłapałem powoli w stronę szatni, zamierzając wziąć krótki prysznic. Czułem się kompletnie wyczerpany; światło lamp fluorescencyjnych raziło mnie boleśnie, a zwykłe dźwięki wydawały mi się zbyt głośne i ostre. Rozpoznałem ten stan jako kac po gwałtownym przypływie adrenaliny, następujący zawsze po stoczeniu walki na śmierć i życie. Z przymkniętymi oczami przemierzyłem znajome korytarze, opłukałem się szybko pod prysznicem i wróciłem do głównego biura ubrany w pogniecione obszerne szorty i podkoszulek z napisem „Cafe Pacifico”, które znalazłem wepchnięte na spód mojej szafki.

Szedłem przez labirynt przeważnie pustych gabinetów i przepierzeń. Przy drzwiach prowadzących do działu obsługi interesantów spostrzegłem Vince'a.

- J a k się czujesz? - zapytał, patrząc mi badawczo w twarz.

- Chyba nie najgorzej. Departament Spraw Wewnętrznych ma teraz kupę roboty.

- Uhm - przytaknął i wskazał głową za siebie, w kierunku falochronu, gdzie doszło do strzelaniny. Wiedziałem, co ma na myśli.

- To oni zaczęli, sierżancie - powiedziałem. - Kimkolwiek byli, zasłużyli na to, co ich spotkało. Mogli zginąć albo oni, albo ja. Ani trochę się tym nie przejmuję. Martwi mnie tylko, że straciłem łódź.

Vince rzucił mi dziwne spojrzenie, a potem przekrzywił głowę i zajął mi w oczy, jakby dostrzegł w nich coś zagadkowego. W przeciwieństwie do innych ludzi nigdy nie doświadczam poczucia winy ani wyrzutów sumienia po zabiciu kogoś, kto mnie zaatakował.

Jako naukowiec zajmujący się neurologią, rozumiem teoretycznie, dlaczego 98 procentom populacji z trudnością przychodzi zabójstwo w obronie własnej, jednak nigdy nie potrafiłem ogarnąć emocjonalnego sensu tego zjawiska. Dziesiątki lat temu dzięki tym cechom osobowości, będąc żołnierzem, mogłem skutecznie walczyć, podczas gdy moich towarzyszy ogarniało znużenie bitewne. Lecz tej nocy mój wiek i brak praktyki sprawił, że dopadło mnie ono z o wiele większą siłą niż przed dwudziestu pięciu laty.

- Aha - rzekł Vince z powątpiewaniem. - Ale bez względu na to, jak się czujesz, nadal wyglądasz koszmarnie, nawet jeśli już nie śmierdzisz.

- A ty powtarzasz się jak echo.

- No cóż, pewnie chcesz trochę odpocząć. Masz gościa.

- Wskazał w kierunku działu recepcji.

- Kogo?

Potrząsnął głową.

- Sam zobacz.

Przeczesałem palcami wciąż jeszcze wilgotne włosy.

- Dalej, wchodźże - rzucił nagle. - Młoda dama cierpliwie czeka.

Z przodu jasno oświetlonej sali tłoczyła się umundurowana świta: trzech lub czterech zastępców szeryfa w mundurach khaki, dwóch policjantów z wydziału policji w Los Angeles w granatowych uniformach i gliniarz z kalifornijskiego patrolu drogowego w skórzanych butach do kolan, trzymający w lewej ręce kask motocyklowy. Po chwili rozsunęli się jak kurtyna, ukazując Jasmine Thompson. Byłajesz-cze bardziej podobna do matki, niż wskazywał na to jej głos. Podobieństwo uderzyło mnie nagle; zastanowiłem się, czy odziedziczyła też inteligencję i poczucie humoru Vanessy. Gdyby tak się stało, byłoby to coś zdumiewającego.

Podczas gdy szła w moim kierunku, cała zbита gromadka obrzuciła mnie spojrzzeniami wyrażającym tyleż niezadowolenie, co zazdrość.

- Panie Stone! - odezwała się, a ja dostrzegłem, że otaczający ją gliniarze wymienili przebiegłe mrugnięcia i porozumiewawcze szturchnięcia łokciami. Większość z nich była dwa razy młodsza ode mnie i widziałem, że poczuli wyraźną ulgę, słysząc to oficjalne przywitanie.

Gdy Jasmine podeszła bliżej, ujrzałem że jest wręcz wcieleniem Vanessy i ogarnęły mnie dawne, wyblakłe wspomnienia. Miała pełną figurę s w o jej matki, niemal przypominającą sylwetkę Lane Bryant, obficie wypełniającą jej dżinsy i trykotową górę w sposób przyciągający pełne podziwu spojrzenia wszystkich obecnych mężczyzn.

W miarę, jak się zbliżała, dostrzegałem też różnice. Jasmine była o głowę wyższa od Vanessy, prawie mojego wzrostu, co zmuszało większość zgromadzonych gliniarzy do zadzierania głowy, kiedy patrzyli na jej twarz, okoloną rozwichrzoną aureolą kruczoczarnych kędziorów, które lśniły tęczowo i spadały kaskadą, niemal sięgając ramion. Zaś o ile skóra jej matki przypominała mi śmietankową mokkę, cera Jasmine miała cieplejszy odcień, niczym cukier klonowy. Nawet bez makijażu miała pełne wargi, a jej nos był charakterystyczny bardziej dla północnoamerykańskich Indian niż dla Afro-

amerykanów. Dwa małe diamentowe kolczyki w jednym uchu błyszcząco olśniewająco nawet w płaskim świetle lamp fluorescencyjnych.

Lecz nade wszystko uwagę przykuwały jej oczy: wielkie, wyraziste, z lekkim połyskiem kwiatu glicynii, podkreślonym przez ciepłą śniadą barwę cery i wysokie arystokratyczne kości policzkowe. Jeżeli oczy są oknami duszy, to przysięgam, że ujrzałem w nich Vanesę.

W następnej chwili przypomniałem ją sobie i przełknąłem z trudem, czując ściskanie w gardle. Jasmine podeszła z wyciągniętymi ramionami; machinalnie odwzajemniłem jej krótki, uprzejmy, pełen troski i jakby siostrzany uścisk.

Przez moment ogarnęły mnie posępne wspomnienia ostatnich dwóch pogrzebów w Missisipi. Te mroczne, niepokojące uczucia zaraz się jednak rozwiały, kiedy zapach Jasmine, tak błogo odmienny od Vanessy, wniknął w me najskrytsze myśli.

Woń Jasmine poruszyła moje serce, zanim jeszcze zarejestrowała ją moja świadomość, i w pierwszym odruchu pożałowałem, że nasze przywitanie było takie niewinne; natychmiast jednak poczułem ukłucie winy z powodu tej myśli. Umysł ludzki stanowi osobliwy amalgamat głęboko zakorzenionych ewolucyjnie, pierwotnych impulsów oraz racjonalnych wyższych ośrodków kontroli. Te pierwsze rządzą zachowaniami mającymi na celu elementarne zwierzęce przetrwanie i sprawiają, że ludzie lądują w więzieniu, jeśli te drugie nad nimi nie zapanują. Są sterowane przez hormony i całkowicie bezrefleksyjne. Wolna wola może bądź ulec tej chemii, bądź też ją powściągnąć. Momentalnie uświadomiłem sobie, że moja reakcja była odruchowa i zupełnie niewłaściwa. Uczyniłem więc wysiłek, aby zacząć myśleć głową, a nie innymi częściami ciała.

- J a k pan się ma? - zapytała, odstąpiwszy o krok ode mnie. Dostrzegłem na jej twarzy wyraz zatroskania, gdy mi się przyjrzała. - Nic panu nie jest?

- To tylko draśnięcie - powiedziałem, dotykając lekko mego ucha. - Miałem szczęście.

Zmarszczyła brwi.

- Powinna pani zobaczyć tamtego faceta - dodałem z uśmiechem.

Potrząsnęła głową.

- Sądziłem, że... - zacząłem i urwałem. - J a k mnie pani znalazła?

- Telewizja. Każda lokalna stacja ma reporterski helikopter.

Powoli skinąłem głową.

- Ale doprawdy nie powinna pani...

- Naprawdę myśli pan, że mogłabym opuścić takie wydarzenie, dziejące się tuż obok mojego hotelu?

- Rzeczywiście wdała się pani w matkę.

Iskierkę uśmiechu w jej oczach natychmiast przysłonił cień smutku i pożałowałem swoich słów. Od pogrzebu matki Jasmine minęło już sześć miesięcy i życie płynęło dalej, wywierając swój kojący wpływ, ale wiedziałem, że utrata kogoś tak bliskiego pozostawia w duszy blizny, które nigdy całkiem się nie goją. Wiedziałem również, że muszę być ostrożny, ponieważ otwarte psychiczne rany czynią nas bezbronnymi emocjonalnie i sprawiają, że skłonni jesteśmy działać irracjonalnie, pod wpływem naszych przyrodzonych sterydów. Pomyślałem o ludziach rozwodzających się i żeniących za sprawą nagłego impulsu i o sztokholmskim syndromie zakładników zakochujących się w swych porwaczach.

- Dobra, dobra! Przestańcie się już gapić! - zadudnił Vince Sloane, przechodząc przed nami w kierunku zgromadzenia funkcjonariuszy sił bezpieczeństwa. - Nie macie żadnych zajęć, jakiegoś raportu do napisania, czy czegoś takiego? - Kiedy umundurowana grupka nie rozstała się, przepchnął się przez nią, skinąwszy na Jasmine i na mnie, żebyśmy szli za nim. - J a z d a , jazda! Matka do ciebie dzwoni. Odsuńcie się; nie ma się na co gapić. Dajcie mi przejść!

- warczał na nich jak bosman okrętowej artylerii, którym istotnie kiedyś był.

Wyszliśmy za nim z budynku i zanurzyliśmy się w noc, przejrzystą i rześką od lekkiej bryzy, zawiewającej od zatoki Santa Monica. Podeszedłem za Jasmine do dwumiejscowego mercedesa, lśniącego jaskrawą czerwienią w świede ulicznych latarni. Vince gwizdnał cicho, patrząc z podziwem na jego błyszczącą karoserię i chromowe wykończenia, które odbijały oślepiająco wszystkie okoliczne światła. Dach samochodu był opuszczony.

- Nie wiedziałem, że można wynająć coś takiego - powiedziałem.

- W Los Angeles można wynająć wszystko. - Wyłączyła alarm. - Wszystko - powtórzyła i posłała mi uśmiech Mony Lizy, który więcej ukrywał niż ujawniał. - T r z e b a tylko mieć pieniądze.

Jasmine pasowała do tego mercedesa. Miała klasę, bez popadania w efekciarstwo czy pretensjonalność. Vince zatrzymał się dobre dziesięć metrów od wozu. Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Mrugnął do mnie i kiwnął głową z aprobatą, po czym zawrócił w stronę budynku, gdzie tłum umundurowanych funkcjonariuszy wciąż tłoczył się za szerokimi taflami okien. Vince powoli potrząsnął głową i poszedł w ich kierunku.

Jasmine otworzyła drzwi po s w ojej stronie i skinęła na mnie.

- Wskakuj.

Usłuchałem, a ona uruchomiła silnik i wyjechała tyłem z miejsca parkingowego.

- Dokąd? - zapytała.

Zastanawiałem się przez chwilę, podczas gdy ruszyła w kierunku gliniarza kierującego ruchem przy wjeździe na parking. Za nim po obu stronach tłoczyła się ciżba furgonek telewizyjnych z talerzami anten satelitarnych zwróconych ku południowej stronie nieba.

- Po prostu naokoło przystani - powiedziałem, kiedy minęliśmy budkę strażnika parkingu i pojechaliśmy w stronę Fisherman's Village. Tłum reporterów telewizyjnych natychmiast zauważył szpanerski kabriolet, a potem rozpoznał mnie. Obrotowe reflektory zapłonęły w ciemnościach jak błyski magnezji. Jasmine wymamrotała cicho jakieś obraźliwe przekleństwo o pijawkach czy szczypawkach, po czym dodała gazu, zmuszając zarówno telewizyjne ekipy techniczne, jak i ufryzowanych prezenterów do odskoczenia w panice na bok. Błyskawicznie przemknęliśmy pośród szpaleru prześladowców i skryliśmy się w mroku przedświt.

Jasmine zerknęła we wsteczne lustro i uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawił się wyraz przebiegłej satysfakcji. Ogarnęło mnie zakłopotanie, gdy przyglądałem się jej, doświadczając nieodpartego uroku Vanessy, który zawsze trzymał mnie we władaniu. Szybko odwróciłem wzrok i usiłowałem odsunąć wspomnienia, nie mając odwagi stawić im czoła.

- Pojadą za nami - powiedziała, wciskając pedał gazu.

- Mają niewielkie szanse, żeby nas dogonić, jeżeli będziesz tak pędziła.

Spojrzała na mnie i uniosła brwi.

- Za szybko?

Pokonała szeroki zakręt, a siła bezwładności pchnęła mnie ku niej.

- Nie - odparłem. Znow uśmiechnęła się tym zagadkowym uśmiechem Mony Lizy. Zastanowiłem się, o czym myśli, a potem stanowczo postanowiłem nie zawracać sobie tym głowy.

Szosa, którą jechaliśmy, wyprostowała się i biegła teraz równoległe do kanału H; przed nami światła na skrzyżowaniu z Admiralty Way zmieniły się na czerwone.

Jasmine zahamowała ostro.

- Którędy? - spytała.

- W lewo - odpowiedziałem. - Obok pochylni na przystani stoi moja furgonetka.

- Furgonetka? - Znowu uniosła brwi i skrzyła ostrożnie na czerwonych światłach. - Nie wiedziałam, że neurochirurdzy jeżdżą furgonetkami. Zaraz powiesz mi, że nosisz slipy Fruit of The Loom i oglądasz zapasy w telewizji.

Rzeczywiście noszę slipy tej marki, kupione w dwunastopaku w Target, i już miałem jej powiedzieć, że jestem neurofizjologiem i od czasu wypadku nie przeprowadzam operacji mózgu, ale wydało mi się, że zabrzmiałoby to zbyt sztywno i oficjalnie... zbyt starczo, a gdzieś w głębi duszy ogromnie nie chciałem wydać jej się za stary. Lecz nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź, która nie brzmiałaby staroświecko i niezręcznie, toteż w ogóle się nie odezwałem.

Przymknąłem powieki i przez kilka długich chwil jechałiśmy w milczeniu. Przed oczami przemykały mi obrazy niedawnych wydarzeń na "Jambalayi".

- Ten facet powiedział, że chce palmtop. Właśnie o to mu chodziło - wymamrotałem do siebie.

- Słucham?

Otworzyłem oczy i ujrzałem utkwione we mnie spojrzenie Jasmine.

- Facet z pontonu. Powiedział, że chce elektroniczny notes, który dała mi twoja matka. - Potrząsnąłem głową. - Nie pamiętam niczego takiego.

- Co może być tak ważnego w kieszonkowym komputerze, żeby ktoś chciał cię z tego powodu zamordować?

20

Gdy rozmyślałem nad tajemniczym zaginięciem palmtopa, Jasmine przemknęła obok zjazdu.

- Powinniśmy byli tam skrzyć - rzekłem, wskazując do tyłu na lewo.

- Nie ma sprawy. - Zwolniła, wjechała na pasmo nawrotu i nacisnęła hamulce tak mocno, że pas bezpieczeństwa

werznął mi się w pierś, gdy zakręciła o 180 stopni i ruszyła z powrotem. - Co to za elektroniczny notes?

Dojechała do zjazdu, a ja skierowałem ją na parking obok miejsca cumowania, "Jambalayi". Znaleźliśmy wolne miejsce obok mojej zdezelowanej ciężkiej terenówki chevroleta z rajdowym pałąkiem wzmacniającym dach i karoserią powygniataną przez lata bliskich kontaktów z drzewami Sierry i granitowymi głazami.

- Imponująca - powiedziała Jasmine, przypatrując się furgonetce. - W sam raz na autostrady Los Angeles.

- Kiedy na nie wjeżdżam, nikt nie próbuje zajechać mi drogi.

Skinęła głową i wyłączyła silnik.

- Nie masz nic do stracenia - rzuciła.

- Słucham? - spytałem.

- Wszyscy już na pierwszy rzut oka widzą, że nie masz nic do stracenia, więc pozwalają ci wjechać, tak?

- Coś w tym rodzaju.

- Jest tak zupełnie różna od stylu Los Angeles.

Wzruszyłem ramionami.

- Mówię serio - rzekła. Nachyliła się i położyła mi dłoń na przedramieniu; jej dotknięcie było elektryzujące. - Naprawdę jest super. - Urwała i w tej ciszy usłyszeliśmy narastający warkot silników i pisk opon.

- Nadjeżdżają szakale - stwierdziła. - Podwieź mnie i po drodze powiedz o tym palmtopie.

Przenieśliśmy wszystkie rzeczy do mojego wozu, po czym uruchomiłem potężny ośmiocylindrowy silnik i wyjechałem z parkingu. Na Admiralty Way światła były czerwone.

- Schyl głowę - poleciłem. Odwróciłem twarz od nadjeżdżającej kolumny pojazdów telewizyjnych, a Jasmine zsunęła się w dół w swoim fotelu. Nikt nie zwrócił uwagi na mojego poobijanego pikapa. Nie miałem jeszcze żadnego planu, więc wybrałem pustą drogę i skręciłem na południe w Lincoln.

- Czy mama mogła na cmentarzu niepostrzeżenie wsunąć ci coś do kieszeni?

- Możliwe. Wszystko potoczyło się tak szybko, że z łatwością mogłem czegoś nie zauważyć. Nasze mózgi potrafią skupiać się tylko na jednej rzeczy naraz. Przeskakujemy od jednego przedmiotu do drugiego tak prędko, iż odnosimy wrażenie podzielności uwagi, lecz jest to jedynie złudzenie.

- Mama zawsze mówiła mi, że podczas każdej rozmowy z tobą można się czegoś nauczyć.

Spojrzałem na nią.

- I miała rację - dodała.

Obdarzyła mnie znowu uśmiechem s w o jej matki, a w mej głowie bez żadnego ostrzeżenia wybuchło pewne wspomnienie. Obraz ten osaczył mnie wszystkimi drobnymi trójwymiarowymi szczegółami, niczym na tych niesamowitych czarno-białych fotografiach Ansel Adamsa, na których widać dokładnie igły na sosnach, rosnących wzdłuż jeziora Tahoe aż do szczytów odległego pasma gór Sierra.

Sprawił to właśnie uśmiech Jasmine. Przywołał wyraziście to pamiętne przyjęcie bożonarodzeniowe sprzed wielu lat. Vanessa otworzyła mi drzwi, jakby obserwowała mnie idącego alejką i czekała, a kiedy wszedłem, stanęła tak blisko, że czułem ciepło jej twarzy i oddech pachnący gumą do żucia Doublemint. Przypomniałem sobie najdrobniejsze odcienie koloru jej oczu, gdy patrzyła wtedy na mnie tak długo, że musiałem się odwrócić, gdyż tylko obecność tłumu ludzi w domu powstrzymała nas od naszego pierwszego pocałunku.

To wspomnienie powróciło obecnie, gdy razem z córką Vanessy jechałem furgonetką przez most nad Ballona Creek. Ogarnęło mnie z taką siłą i tak kompletnie zaprzątnęło moje myśli, że przejechałem przez Jefferson na czerwonych światłach.

- Och, do diabła - zakląłem i zwolniłem, niemal oczekując, że za chwilę zobaczę migacze sygnałowe wozu policyj-

nego, a potem uświadomiłem sobie, iż o tej porze, w środku nocy, jest to mało prawdopodobne.

Różne uczucia kłębiły się we mnie gwałtownie, po czym raptem wydestylowały się i ujrzałem wyraźny obraz sterty zakrwawionych ubrań, które wepchnąłem do plastikowej torby w motelowym pokoju w Missisipi po pogrzebie mamy.

- Zaczekaj - powiedziałem cicho. Jasmine spojrzała na mnie wyczekująco. - No tak! To musi być tam.

Zahamowałem i zawróciłem.

- Jeżeli w ogóle jest gdziekolwiek, to w kieszeni garnituru, który miałem na sobie na pogrzebie mojej matki.

- Notes elektroniczny?

Przytaknąłem.

- To jedyne możliwe miejsce.

Raz jeszcze odtworzyłem w pamięci tamtą scenę w Itta Benie. Tylko, że tym razem nie potrafiłem wyraźnie dostrzec twarzy Vanessy. Jawiła mi się niczym na tych niewyraźnych zdjęciach, jakie otrzymujemy po nadmiernym powiększeniu cyfrowej fotografii.

Jechałem na północ szosą Lincoln, przemykając szybko na większości zielonych światła i zaledwie zwalniając na czerwonych, i jednocześnie podekscytowany opisywałem wszystko Jasmine, starając się nie uronić żadnego szczegółu. Wyobraziłem sobie popękany beton garażu naszego małego tynkowanego domku plażowego w Playa del Rey, oddalonego zaledwie o jedną przecznicę od oceanu, gdzie w ciepłe letnie wieczory przez otwarte okna wpływa śpiewny odgłos przyboju. Miałem przed oczami pralkę, suszarkę, rowery dzieciaków, mój stół warsztatowy, narzędzia oraz sterty pudeł, które spakowałem, kiedy po wypadku przez krótki czas myślałem o sprzedaży domu. Lecz skoncentrowałem uwagę przede wszystkim na zawiązanej torbie z pokoju hotelowego w Jackson, zawierającej mój zakrwawiony nowy garnitur.

- Jak to się stało, że go nie wyrzuciłeś?

Wzruszyłem ramionami.

- To kwestia sentymentu. A dlaczego Kościół katolicki przechowuje kości i inne relikwie świętych?

- Przez przekorę?

- Owszem - zaśmiałem się. - Właśnie dlatego go zatrzymałem.

Kiedy wjechałem na podjazd białego parterowego domu, zbudowanego w latach trzydziestych w stylu art deco, tonącego w gąszczu zielonej roślinności i otoczonego białym parkanem, z trawniczkiem niewiele większym od znaczka pocztowego, natychmiast zdałem sobie sprawę, że niewątpliwie coś jest nie w porządku.

21 - Świeci się światło na werandzie - Siedziałem nadal w furgonetce, usiłując przeniknąć wzrokiem cienie wokół mego domu.

- Toaczy? - spytała Jasmine.

- Włącza je czujnik reagujący na ciepło i ruch - odparłem i zgasilem silnik.

- Może my go uruchomiliśmy?

Potrząsnąłem głową.

- Paliło się, kiedy byliśmy jeszcze przy poprzedniej przecznicy.

- Więc może jakiś pies?

Ponownie pokręciłem głową przecząco.

- Ustawiłem go tak, żeby wyeliminować podobne przypadki. Dawniej bez przerwy nas budził.

Wyciągnąłem kluczyk ze stacyjki, pchnąłem ramieniem drzwi i wysiadłem.

- Zaczekaj tutaj.

Wdrapałem się na platformę furgonetki i otworzyłem dużą metalową skrzynię, przyśrubowaną tuż za kabiną. Było

w niej kilka narzędzi, łańcuchy przydatne na zaśnieżonych drogach Sierry i mnóstwo sprzętu do żeglowania oraz do pieszych i rowerowych wycieczek. A także do polowania.

Jasmine wysiadła, podeszła z boku i przyglądała się, jak wyciągnąłem solidną metalową skrzynkę, zamkniętą na kłódkę z hartowanej stali i przymocowaną grubym kablem do wspornika przyspawanego do platformy. Otworzyłem ją i wyjąłem 9 milimetrowy półautomatyczny pistolet Beretta 92F, którego używałem podczas służby rezerwisty jako zastępca szeryfa. Innym kluczem otworzyłem spustowy zamek, wyjąłem magazynek z piętnastoma nabojami, po czym wsunąłem go w kolbę i wprowadziłem jeden pocisk do komory. Dwa identyczne magazynki schowałem do kieszeni szortów.

- Miałaś tam zaczekać - rzekłem do Jasmine, wskazując fotel w kabinie.

- Nic takiego nie powiedziałam - odparła, posyłając mi kolejny cierpki uśmiech Mony Lizy.

- Mniejsza z tym. - Włożyłem do kieszeni jeszcze jeden magazynek. - Oni mogą wciąż jeszcze tu być - stwierdziłem, wskazując ruchem głowy dom.

Spojrzała na mnie, jakby chciała zapytać: „I co z tego?”

- Może wolałabyś zaczekać w furgonetce?

Przewróciła oczami, a potem odczepiła od paska telefon komórkowy i pomachała mi nim przed nosem.

- Czy to nie jest jedna z tych sytuacji, kiedy powinieneś zadzwonić po wsparcie, czy coś w tym rodzaju?

To mnie zastopowało. Zacerpnałem głęboko powietrze i zatrzymałem je przez długą chwilę, aby opanować napięcie, które skręcało mi wnętrzności niczym nadmiernie naciągnięta cienka struna C. W dłoniach czułem mrowienie.

Czy przesadzałem? W domu i wokół niego nie widać było żadnego ruchu. Pomyślałem o długich godzinach, jakie już dziś spędziłem w towarzystwie funkcjonariuszy Departamentu Spraw Wewnętrznych i prawdopodobieństwie, że wybranie numeru 911 będzie oznaczało następną papier-

kową robotę i biurokratyczne zawracanie głowy, zaś po zadzwonieniu po pomoc do wydziału policji Los Angeles zapewne usłyszę nagraną prośbę, żeby poczekać.

- No cóż, myślę, że tamci napastnicy nie zaatakowaliby mojej łodzi, gdyby znaleźli tutaj to, czego szukają.

- Może tak, a może nie - odrzekła.

- Więc możemy rozprawić o tym do rana albo samemu się przekonać. - Odwróciłem się, krótką alejką doszedłem do werandy i stwierdziłem, że frontowe drzwi są uchylone. Dałem znak Jasmine, żeby została z tyłu, lecz znowu mnie nie posłuchała. Sięgnąłem do środka, zapaliłem światło w holu i wszedłem.

Ruszyliśmy oboje do salonu. Wszedłem tam pierwszy, trzymając przed sobą Berettę, i włączyłem górne światła.

- Och, do diabła - zakląłem.

Mój dom, który nigdy nie uratowałem od zburzenia kosztem wylanego potu, ciężkiej pracy i znacznych sum pieniędzy, został fachowo przetrząśnięty. Szuflady były opróżnione, poduszki rozcięte, instalacja wyrwana ze ścian, kaloryfery wymontowane i rzucone na podłogę. Z narastającym przerażeniem przemierzałem kolejne pokoje, mając za plecami Jasmine. W sypialni, którą kiedyś dzieliłem z Camilla, zdjęcia jej i dzieci leżały ciśnie na drewnianą podłogę, pośród odłamków szkła i resztek ramek.

Zniszczenie najmocniej uderzyło mnie w pokoju dziecięcym. Zabawki, nietknięte od czasu wypadku, leżały porozrzucane - połamane i rozerwane z gwałtownością wykraczającą poza profesjonalną dokładność włamywaczy. Zamarłem na widok małego pluszowego tygrysa, stałego towarzysza zabaw mojej córki, z którym nie rozstawała się nawet podczas snu. Leżał teraz wybebeszony, a jego wnętrzości przeszukano i rozrzucono. Poczuję w sercu ból, jakby ściśnięto mi je zardzewiałym kolczastym drutem.

- Skurwysyny - rzuciłem. Schyliłem się i podniosłem maskotkę, a dotknięcie jej wywołało wspomnienia i łzy.

Przekroczyłem walające się szczątki i położyłem tygrysa na dolnym piętrowym łóżku, w miejscu gdzie dawniej spoczywała głowa mojej śpiącej córki, tak doskonale pięknej we śnie.

Przełknąłem z trudem, gdyż gardło miałem ściśnięte łożami, a kiedy się odwróciłem, moje serce znów stwardniało i wypełniało je pragnienie zemsty.

- Chodźmy stąd - warknąłem.

Przez kuchnię przeszliśmy do wewnętrznych drzwi do garażu, stąpając ostrożnie przez rumowisko odłamków szkła, rozsypanej mąki i potłuczonych słoiczków musztardy. Po prawej, pół metra przed dwoma betonowymi schodkami prowadzącymi do wejścia garażu, znajdowały się drzwi do spiżarni. Położyłem rękę na klamce i zatrzymałem się.

- Garnitur powinien być w plastikowej torbie. - Wskazałem w stronę garażu. - Obok pralki i suszarki. Nigdy nie zdobyłem się na to, żeby go uprać, ale nie potrafiłem go wyrzucić.

Ten obraz tak żywo stanął mi przed oczami, że puściłem klamkę i otworzyłem drzwi do garażu. Moim oczom ukazała się kolejna odsłona spektaklu chaosu i spustoszenia.

W środku śmierzdzało zwietrzałym piwem niczym w nędznej piwiarni. Odkryłem powód, kiedy zapaliłem światło i niechcący rozdeptałem na podłodze resztki całej skrzynki piwa Lagunitas IPA. Rozlane kałuże wciąż jeszcze zdobiła piana. Ogarnąłem szybkim spojrzeniem zaśmiecony mały garaż, przeznaczony dla jednego samochodu: nietknięty stół warsztatowy przy ścianie po prawej, stara lodówka z zamrażarką, używana do przechowywania zapasów piwa, wina oraz żywności z sieci Costco, stopy pudeł piętzące się niemal do sufitu. Spostrzegłem strzępy plastikowej torby z hotelu w Jackson, rozrzucone na podłodze pośród sztuk pogniecionej i poplamionej krwią odzieży. Zrozumiałem wszystko w ułamku sekundy i w tym samym momencie drzwi do spiżarni otwarły się gwałtownie.

- Hej! — zawołała Jasmine, gdy w nią uderzyły. Potem rozległ się pojedynczy wystrzał i jakiś męski głos zaklął.

Odwrociłem się błyskawicznie z bronią gotową do strzału. Jasmine zatoczyła się na bok od kolejnego uderzenia drzwiami, które rąbnęły mnie w stopę i zatrzymały się. Ktoś napierał na nie od środka ramieniem. Górny zawias zaskrzypiał, a trzymające go śruby zaczęły odpadać.

Zza krawędzi drzwi wyłoniła się lufa, a potem cały wielkokalibrowy rewolwer, ściskany w jeszcze większej lewej dłoni, porośniętej szczeciną czarnych włosów. Jasmine padła na podłogę, gdy lufa w nią wymierzyła. Strzeliłem dwukrotnie w cienkie, puste w środku drzwi. Rewolwer wypadł z ręki i potoczył się z brzękiem na bok, a napór na drzwi natychmiast zelżał. Zobaczyliśmy zgiętego w pół na podłodze wysokiego, muskularnego mężczyznę w lewisach i granatowej podkoszulce. Trzymał się za brzuch i cicho jęczał, kołysząc się lekko, gdy z przeciętej arterii jego życie wyciekało na terakotowe kafelki. Krew wypełniła niewielkie zagłębienie, wydrążone przez pocisk, który napastnik wystrzelił przypadkiem, kiedy otwierające się drzwi uderzyły Jasmine. Wyskakując na nas z kryjówki niewątpliwie przypuszczał, że oboje jesteśmy już w garażu.

Jasmine wstała i podeszła do mnie z dziwnie opanowaną twarzą i uważnym wzrokiem, rejestrującym każdy szczegół.

- Weź jego broń - poleciłem.

Podążyła za moim spojrzeniem i podniosła rewolwer.

- Magnum, kaliber czterdzieści cztery - stwierdziła, trzymając go swobodnie i fachowo.

- Umiesz się nim posługiwać?

- A jak myślisz? Jestem adwokatką od praw obywatelskich z Missisipi.

- Słusznie.

Spojrzałem w dół na mężczyznę leżącego na podłodze.

- Może nie przyszedł tu sam. Zastrzel każdego, kogo zobaczysz, oprócz mnie.

Z Berettą w ręce wszedłem ostrożnie do garażu. Był mały i ciasny i miał niewiele zakamarków, w których można by się ukryć. Sprawdziłem go szybko, zaglądając za sterty pudeł, a nawet do lodówki.

- Dobrze, pora zadzwonić pod numer 911 po pomoc - powiedziałem niechętnie, wróciwszy do kuchni.

- J u ż t o z r o b i ł a m . - J a s m i n e l e w ą r ę k ą o d c z e p i ł a m a ł ą k o m ó r k ę o d p a s k a i p o m a c h a ł a n i ą w m o i m k i e r u n k u . Z a p a r a t u w y c h o d z i ł c i e n k i c z a r n y p r z e w ó d , z a k o ń c z o n y s ł u c h a w k ą w j e j u c h u . - K a ż ą c z e k a ć . - P o n o w n i e p r z y c z e p i ł a t e l e f o n d o p a s k a . - T a k j a k p r z e w i d y w a ł e ś .

Potężny mężczyzna znieruchomiał w olbrzymiej kałuży krwi, która już z niego nie tryskała; skórę miał bielszą niż u koszernego kurczaka.

- Nie żyje - stwierdziłem.

- A l e p r z e c i e ż j e s t e ś l e k a r z e m . . .

- Nawet gdyby zależało mi na tym, żeby uratować mu życie, nic nie mógłbym zrobić. Z przeciętej aorty cała krew wypływa szybciej, niż zdąży się policzyć do pięciu. - Zabezpieczyłem Berettę i ruszyłem do garażu. - Chodźmy zobaczyć, czy znajdziemy w moim garniturze coś, czego nie zauważyli.

Przedarłem się przez stos rupieci do szafki z papierem ściernym oraz farbami i pędzlami i wy dobyłem z niej pudełko lateksowych rękawiczek. Wyjąłem jedną parę, po czym podałem pudełko Jasmine.

Pokręciła głową.

- To krew mojej matki. Nie mam oporów przed jej dotykaniem.

Powiedziała to w taki sposób, iż poczułem się winny, że zaproponowałem jej włożenie rękawiczek. Położyła Magnum .44 na blacie warsztatu i podniosła zakrwawioną marynarkę. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć, więc wciągnąłem rękawiczki i poszedłem do kuchni. Nachyliłem się ostrożnie nad kałużą krwi; nie chciałem

wejść w nią ani poplamić sobie ubrania. Ciało leżało na lewym boku, dzięki czemu z łatwością obszukałem obie tylne kieszenie oraz boczną prawą.

Nic nie znalazłem, więc odwróciłem trupa na plecy i stwierdziłem, że lewa kieszeń też jest pusta. Ten facet na nic mi się nie przydał.

Potem usłyszałem głośny i podekscytowany głos Jasmine.

- Brad! - zawołała. Odwróciłem się i zobaczyłem, że stoi w drzwiach do garażu, trzymając w górze coś przypominającego cienki znaczek pocztowy.

- To karta SD - powiedziała podchodząc do mnie.

- Co takiego?

- Cyfrowa pamięć błyskowa. Mama używała jej w swoim notesie elektronicznym do magazynowania danych.

Upuściła mi na dłoń przedmiot tylko odrobinę masywniejszy od znaczka na list. Nic dziwnego, że nie zauważyłem go ani ja, ani napastnicy.

- Jakim cudem udało ci się tak szybko ją znaleźć?

- Wiedziałam, czego szukać. Mama nie dałaby ci całego palmtopa, więc... - Urwała i przechyliła głowę na bok, jakby wsłuchując się w czyjś głos. - Proszę chwilę poczekać - rzekła do małego cylindrycznego mikrofonu, zwisającego z przewodu komórki. Zdjęła telefon z paska, odłączyła słuchawkę i wręczyła mi go ze słowami: - To do ciebie.

22 Widok Darryla Talmadge'a padającego na podłogę pokoju w Szpitalu Weteranów Wojennych wypełnił cały ekran płaskiego monitora komputerowego Clarka Braxtona. Generał odepchnął swój fotel lotniczy od biurka z płyty czarnego granitu, żeby Frank Harper mógł się lepiej przyjrzeć.

Harper wpatrywał się uważnie w obraz na ekranie, opierając jedną kościstą dłoń na wygładzonym do połysku bla-

cie biurka, drugą zaś na równie wypolerowanej lasce z mosiężną gałką, wykonaną ze stopionych łusek pocisków, które zebrał na piaszczystej plaży w Juno Beach. Braxton powstrzymał odruch, żeby usunąć rękę starego doktora z biurka i wytrzeć wilgotne plamy, które tam zostawiła. Nie cierpiał, kiedy ludzie zostawiali tłuste ślady swego ciała na należących do niego sprzętach i przedmiotach.

Zamiast tego przyjrzał się bacznie lekkiemu drżeniu jego rąk. Dowiedział się sekretnie, że drzączka Harpera zaczęła ostatnio brać górę nad lekarstwami przeciw chorobie Parkinsona. Pomimo to plecy lekarza były wciąż proste, jego postura i sposób bycia wystarczająco żołnierskie, a możliwości intelektualne w dalszym ciągu na tyle przydatne, by mógł nadal współpracować z Braxtonem.

- Chcesz krzesło? - zapytał generał, pilnując się, aby nie zabrzmiało to nadmiernie troskliwe. Kiedy Harper potrząsnął głową, jego rzadkie i cienkie białe włosy zafalowały i rozwichrzyły się w nieładzie. Wszelki chaos irytował Braxtona, więc generał odwrócił się do okna i wpatrzył się w swoją postawną sylwetkę, odbitą w szybie dzięki panującym na zewnątrz ciemnościom. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się, kiedy wyobraził sobie wryty dobrze w pamięć widok w dole wzgórza - jego wzgórza. Poczul irytację na wspomnienie małego porośniętego krzakami skrawka ziemi u stóp góry, należącego do tego upartego sukinsyna, który mieszkał w pretensjonalnym domu na Oakville Crossroad, ozdobionym fałszywą hiszpańską sztukaterią, i wciąż windował proponowaną cenę sprzedaży.

Ten zarośnięty spłacheć ziemi pozostał jedynym kawałkiem wzgórza, którego Braxtonowi nie udało się nabyć. Bezcelny łajdak pozwalał, by jego ziemia się marnowała i nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby zasadzić na niej winogrona. Jego parcela naruszała stworzony przez generała system zabezpieczeń, zaś rosnące na niej krzewy stwarzały poważne zagrożenie pożarowe.

Nawiedziło go znów obsesyjne marzenie, jakie miewał podczas samotnych truchtów przez winnice jarzące się bladezieloną mgiełką wiosennych liści. Oto wybiegając z za krętu, napotyka tego upartego właściciela działki i rozstrzyga spór za pomocą śmiertelnie ostrego, zakrzywionego i ząbkowanego noża do winorośli. Twarz Braxtona rozpodziła się, gdy wyobraził sobie, jak rozpruwa mężczyznę od mostka aż do moszny. Potem generał uśmiechnął się na myśl o pierwszym łyku wina z winogron wzrosłych na krwi intruza.

- To wydarzyło się okropnie szybko.

Braxton odwrócił się niechętnie z powrotem do Harpera. Płaski ekran monitora wypełnił tłum lekarzy w białych kitlach i personelu obsługi. Po chwili zadzwonił telefon na jego biurku; generał wcisnął klawisz pauzy odtwarzacza wideo i dwaj umundurowani żandarmi wojskowi zastygli na ekranie w pół skoku naprzód.

- Tu Braxton - warknął do mikrofonu. Przechylił głowę na bok i słuchał, po czym rzucił: - Ben, ile razy mam ci powtarzać, że cena nie gra roli? - Przymknął na moment oczy i ścisnął nasadę nosa.

Harper przyjrzał się nieznacznym drżeniom szczęki generała, które stanowiły dla niego wskazówkę, że musi skorygować podawane mu lekarstwa. Nauczył się zauważać objawy tam, gdzie inni nie potrafili ich dostrzec. Właśnie dlatego wyłącznie on zajmował się leczeniem Braxtona. Zaniepokoilo go tempo, w jakim teraz drżenie się nasiliło.

- Ben, po prostu zdobądź dla mnie to cholerne wino. - W głosie generała zabrzmiał niski, ostry ton groźby, który nieodmiennie trwożył większość jego rozmówców. - To moja kolekcja i jest niekompletna. Niekompletna! Wiesz, co to znaczy? Że jest bezwartościowa - bezwartościowa - bez tej butelki hiszpańskiego sherry solera vertical z 1870 roku... Tak, wiem że wydałem już miliony, ale tu nie chodzi o pieniądze; chodzi o posiadanie pełnej kolekcji. Pełnej!

Słuchał jeszcze przez kilka sekund.

- Ben, płacę ci za osiągnięcie rezultatów. Uzupełnij moją kolekcję albo wynoś się do diabła!

Harper dyskretnie wyglądał przez okno, gdy Braxton z wysiłkiem powstrzymał się przed trzaśnięciem słuchawką. Dozowanie i dobieranie składu podawanego generałowi koktajlu lekarstw stawało się z tygodnia na tydzień coraz bardziej złożone i niekiedy wymagało codziennych korekt. Ani Braxton, ani nikt inny spośród personelu nie zdawał sobie sprawy, ile wysiłku Harper wkłada w utrzymanie jednego ze swych najstarszych żyjących pacjentów w stanie względnej równowagi.

Odłożywszy słuchawkę Braxton włączył ponownie zapis wideo przedstawiający Talmadge'a.

Gdy mikrodrżenia na twarzy generała ustąpiły, Harper rzekł:

- Wciąż nie rozumiem, czemu nie kazałeś zabić Talmadge'a, tak jak innych.

Braxton odpowiedział wiekowemu lekarzowi wojskowemu innym pytaniem:

- No więc, przede wszystkim, czy odzyskałeś te stare mikrofilmy dokumentów, które zostawiłeś w Belzoni?

Harper westchnął, po czym wyprostował się z wyraźnym wysiłkiem i stanął naprzeciw generała. Był od niego wyższy i o ponad dwadzieścia lat starszy. Kiedy się odezwał, nie udało mu się ukryć tonu zniecierpliwienia:

- Przecież gdyby tak się stało, powiedziałbym ci o tym. Dlaczego wciąż zadajesz mi to pytanie, zamiast odpowiedzieć na moje?

- Ponieważ ty też wciąż zadajesz swoje, mimo iż cholernie dobrze znasz odpowiedź - odrzekł Braxton, starając się zachować spokój. - Nasz pan Talmadge dostał w swoje ręce te zapisy, a jego nadgorliwy adwokat przegrał je wszystkie na płyty kompaktowe. Z tego, co wiemy, ten prawnik Shanker - lub jakiś jego wspólnik - urządził to w ten spo-

sób, że jeśli Talmadge u nas umrze, te płyty trafią do prasy. - Braxton przerwał i przybrał odpowiednio poważny ton. - Kłopot ze starymi ludźmi polega na tym, że upływ czasu i poczucie winy rozwiązują im języki. A kiedy pojawiają się skutki, ludzie robią rzeczy, których nie możemy tolerować.

- Wiesz przecież, Clark, że bez mikrofilmu tych dokumentów albo twojego zeznania można z łatwością odrzucić te kompaktowe kopie jako fałszerstwo - odparł Harper. - Jak o intrygę ludzi desperacko pragnących nie dopuścić, abyś został wybrany na prezydenta. - Urwał. - Poza tym prawdziwy dynamit jest nadal tutaj - dorzucił, postukując się palcem w czaszkę.

Braxton potrząsnął przecząco głową.

- Frank, z całym należnym ci szacunkiem - „na który coraz mniej zasługujesz, stary głupcze”, dodał w duchu - po prostu nie rozumiesz, jak to działa. Wystarczy, że te szarpiące za nogawki ratlerki z mediów opublikują kompakt parę tygodni przed wyborami, a jesteśmy skończeni.

Harper wzruszył ramionami.

- Dopóki nie znajdziemy tych dokumentów - ciągnął generał - i wszystkich ewentualnych kopii, nie możemy mieć pewności, a póki jej nie zyskamy, mój plan ocalenia tego wspaniałego kraju przed jego własną głupotą będzie poważnie zagrożony.

- Tak, tak. - Harper machnął wolną ręką. Braxton zauważył, że lekarz istotnie zostawił na czarnym granicie ślad dłoni. - Ale nie sądzisz, że im dłużej ciągniesz ten... - wskazał w kierunku ekranu - ten odgrywany wciąż na nowo dramat, tym bardziej to zagrożenie się zwiększa?

„Do diabła! Ten stary dureń goni w piętę. I w dodatku zabiera mi czas”, pomyślał Braxton, gdy jego spojrzenie powędrowało ku leżącym na biurku dwóm nieprzeczytanym thrillerom w twardych okładkach, autorstwa Davida Baldacciego i Dale'a Browna. Byli jego ulubionymi autorami i wo-

łałby zagłębić się w lekturze niż niańczyć starego stetryczanego chirurga.

- Frank, jesteś wspaniałym lekarzem, utalentowanym naukowcem i lojalnym patriotycznym żołnierzem, który dobrze służy swojemu krajowi. - Odwrócił się do Harpera i położył dłoń na ramieniu starca, wyczuwając pod palcami jego kruche kości. - Rozumiesz się na działaniu wnętrza ludzkiego ciała, a ja jestem ci niezmiernie wdzięczny za twoją pracę. - Urwał i od tonu serdecznego i pochwalnego, który sprowadził uśmiech na twarz Harpera, przeszedł do władczej i ostrzegawczej nuty. - Lecz, doktorze, na tego rodzaju sprawach zupełnie się nie znasz. Dobry Bóg nie obdarzył mnie twoimi ogromnymi zdolnościami intelektualnymi, ale dał mi jednak umiejętność radzenia sobie w sytuacjach takich jak ta i sądzę, że powinieneś pozwolić, bym ja się o nią zatroszczył. Ten podział pracy jak dotąd zdawał egzamin przez niemal czterdzieści lat, prawda? - Znów przerwał, po czym dorzucił: - Pomyśl o tym, ilu ludzi zostało z twojego pierwotnego programu.

- Tylko Talmadge i ty - odparł bez wahania Harper. - Mamy jeszcze kilku weteranów wojennych z niedawno odniesionymi ranami głowy, którym również podajemy lekarstwa, jednakże niebezpośrednio.

- A kto zna całą historię od A do Z?

- Tylko ty i ja.

- Otóż to - rzekł Braxton. - Widzisz? Doskonale poradziłem sobie z moją częścią zadania, prawda?

Harper uśmiechnął się niepewnie.

- Żałuję tylko, że nie powiodło mi się równie dobrze z innymi. - Skinął głową w stronę ekranu.

Braxton poczuł się rozczarowany szybkim ustępstwem Harpera. Jeszcze niedawno był on wspaniałym przeciwnikiem w intelektualnych dyskusjach. Spierali się dla przyjemności i generał nie zawsze wygrywał. Ale wiedział, że nadeszła pora na okazanie zręczności i taktu.

- Frank, przyznaję że popełniliśmy błąd, nie likwidując Talmadge'a, zanim wpadł w ręce ludzi, nad którymi jeszcze nie mamy władzy. Lecz nim się o tym dowiedzieliśmy, puścił już farbę psychiatrom ze szpitala w Jackson. Wiesz równie dobrze jak ja, że dopóki jest w areszcie, nic nie możemy zrobić. To by tylko wywołało jeszcze więcej pytań i wątpliwości. Kiedy zostanę prezydentem, wszystko się zmieni, ale do tego czasu musimy działać w takich warunkach, jakie są. Zgodzisz się jednak, że stan umysłowy Talmadge'a oraz charakter zbrodni, jaką popełnił, znacznie zmniejsza jego wiarygodność. Nikt nie będzie skłonny uwierzyć tego rodzaju człowiekowi.

Harper wzruszył ramionami i podszedł do okna.

- Z wyjątkiem Jaya Shankera i tych wścibskich dziwek z fundacji prawniczej. - Popatrzył na Braxtona. - I oczywiście wciąż mamy kłopot z tą córką, równie groźną jak jej matka. A jest jeszcze Stone.

- Nie zgadzam się. Ona nie jest ani w połowie tak dobrą prawniczką, jaką była Vanessa Thompson. I jesteśmy na najlepszej drodze, żeby wyłączyć Stone'a.

- Oczywiście, twoim tajnym grupom jak dotąd wspaniale się to udaje - rzucił ironicznie Harper.

- Stone jest zdolnym człowiekiem - odparł Braxton opamiętanym tonem, nie pozwalając, by gniew, który przez moment go ogarnął, odbił się na jego twarzy.

- Należy do tych dwóch procent populacji o wrodzonej zdolności zabijania... w przeciwieństwie do naszych ludzi - powiedział Harper.

- Mamy sposoby, aby sobie z nim poradzić.

- Jakie...

Braxton potrząsnął głową.

- Nie musisz ich znać. - Przytaknął sam sobie. - A Talmadge'a wykończy komora gazowa. Albo rak. Mogę się założyć. - Spojrzał w twarz swemu staremu towarzyszowi.
- Frank, wszystko będzie dobrze tak długo, dopóki twoje

zapiski nie zostaną wydobyte z grobu, w którym miałeś je złożyć.

23 Głowa Jasmine spoczywała na moim prawym ramieniu. Opieraliśmy się o siebie nawzajem, siedząc na sąsiednich plastikowych fotelach w pustym gabinecie w kwaterze głównej wydziału policji Los Angeles, oddział Pacyfiku. Jasmine drzemała, owinięta w wypożyczony koc.

Przez otwarte drzwi widać było oświetloną lampami fluorescencyjnymi salę pełną biurka ze stosami papierów i telefonami, przy których siedzieli zmęczeni ludzie kończący swą służbę. W odległym kącie dwaj umundurowani policjanci oraz detektyw w cywili wyprowadzali skutego kajdankami, pokrytego więziennym tatuażem mężczyznę z pokoju przesłuchań - tego samego, w którym przesiedziałem niedawno prawie dwie godziny. Wcześniejsze wydarzenia w moim domu potoczyły się według przewidywalnego scenariusza: najpierw zjawił się policjant, po czym nastąpiła parada detektywów w mundurach i po cywilnemu, ekipy zabezpieczającej miejsce zbrodni, furgonetki policyjnych, techników z zakładu medycyny sądowej, zaś na koniec pojawił się koroner i ambulans odwożący zwłoki.

Jasmine i ja ułatwiliśmy im zadanie, na ile się dało. Umieściliśmy mój pistolet oraz broń napastnika w osobnych plastikowych torebkach, oznaczyliśmy je odpowiednimi etykietkami i położyliśmy na ladzie kuchennej, po czym wyszliśmy przed dom, czekając na przyjazd policji.

Następnie przywieziono nas tutaj, do tego budynku o nieokreślonej architekturze, stojącym na Culver Boulevard tuż za Centinela, w okolicy pełnej nijakich jedno- lub dwupiętrowych tynkowanych domów mieszkalnych - o ścia-

nach pokrytych graffiti rywalizujących ze sobą gangów - oraz wąskich chodników i stacji benzynowych.

Po drugiej stronie wielkiej kwadratowej sali detektyw sierżant Darius Jones, który nas tutaj przywiózł, wyłonił się z gabinetu oficera dyżurnego, potrząsając głową. Niczego nie usłyszałem, ale ktoś wewnątrz musiał coś powiedzieć, gdyż detektyw zatrzymał się w drzwiach i odwrócił. Był wyższy ode mnie o kilka centymetrów, niemal równie szeroki w ramionach, znacznie szerszy w biodrach i zasłaniał prawie całe przejście. Grał na obronie w drużynie futbolowej Uniwersytetu Południowej Kalifornii, póki pod koniec zeszłego roku nie doznał kontuzji kolana.

Teraz wzruszył ramionami i nadal potrząsał głową, zmierzając w kierunku recepcji. W żołądku mi zaburczało. Wolną ręką potarłem szczękę i raz jeszcze spojrzałem na zegarek.

Minęło już wiele godzin, odkąd detektywi przesłuchali Jasmine i mnie, a potem szybko zgodzili się, że działaliśmy w obronie własnej. Ponieważ jednak w grę wchodziło zabójstwo, Jones potrzebował zgody swego zwierzchnika, żeby móc nas wypuścić. Owo oczekiwanie na potwierdzenie zajęło o wiele więcej czasu, niż się spodziewałem, a to dlatego, że grupa chłopaków z Oakwood zjawiała się na terytorium konkurencyjnego gangu kilka przecnic stąd, uzbrojona w koktajle Mołotowa i wielkokalibrową broń palną.

Próbowałem cieszyć się dotykiem głowy Jasmine na moim ramieniu, lecz olbrzymie znużenie i kac po przyływach adrenaliny w ciągu minionych dwunastu godzin pozostawiły mnie wycieńczonym, zdenerwowanym i śmiertelnie zmęczonym. W moim dawniejszym życiu widziałem o wiele więcej niż przeciętni ludzie i często ryzykowałem w służbie dla rządu.

W tamtych czasach niemal codziennie stykałem się ze śmiercią, traktując ją jako nieunikniony aspekt wybranej przeze mnie drogi życiowej. To nastawienie zmieniło się

dopiero wtedy, gdy uświadomiłem sobie, że śmierć zagraża nie tylko moim przeciwnikom. Odtąd już mniej ochoczo pociągałem za spust. Zacząłem się zastanawiać, dokąd udają się ludzie, kiedy ich ciała zamieniają się w krwawiące worki organicznej brei, w której komórki pękają i stają się pokarmem dla bakterii. Zmagałem się z problemem trwałości świadomości i zdałem sobie sprawę, że jest to jedyna kwestia mająca znaczenie. Gdybyśmy nie byli świadomi własnego istnienia, wówczas śmierć nie stanowiłaby dla nas zbytnej różnicy. Czy śmierć oznacza nieodwołalny kres każdej jednostki, czy też odłączona od ciała świadomość może trwać dalej? A jeśli trwa bezcielesnie, czy jest naszą duszą? Jedne pytania pociągały za sobą następne. Czy świadomość naszej duszy przeziera niewyraźnie przez powłokę ciała? Czy źli ludzie posiadają dobre dusze, sabotowane przez niecną cielesność?

Nie doznałem żadnego niezapomnianego objawienia; żadne konkretne pojedyncze wydarzenie nie odwiodło mnie od zabijania i nie popchnęło ku leczeniu. Ten proces przypominał raczej gromadzenie się pyłu na jednej z szalek zrównoważonej wagi, aż pewnego dnia odchyliła się, wyrzucając mnie z jednego życia w inne. Studia medyczne uczyły ze mnie sprawnego, lecz przecież nie wybitnego neurochirurga. Niemniej upajałem się faktem, iż po otwarciu czaszki pacjenta mogę operować palcami i instrumentami chirurgicznymi pośród żywej tkanki, która czyni go tym, kim jest; że mogę poprawiać jego stan, zwłaszcza wycinając guz lub likwidując jego nacisk, i zmieniać jakiegoś wstrętne go niktzemnego osobnika z powrotem w miłego, sympatycznego człowieka, którym niegdyś był.

Najbardziej przejmujące są kontakty z rodzinami pacjentów, których oskarżono o najohydniejsze zbrodnie - z rodzinami przestępców, którzy popełniają wstrętne, wywołujące grozę czyny, zdające się poświadczać realne istnienie zła.

- Proszę, niech pan nam powie, że to guz mózgu - błagają takie rodziny. - Albo zatkanie arterii, bądź jakiś rodzaj gwałtownych zaburzeń w komórkach mózgowych. - Coś, c o k o l w i e k, czego można dotknąć, co można zobaczyć, wyleczyć, usunąć, i co potwierdziłoby, że ich ukochana osoba nie jest zła, lecz tylko cierpi na zwykłą fizyczną przypadłość, która rozgrzeszy ją ze zbrodni i uwolni od poczucia winy.

Niekiedy operacja chirurgiczna lokalizuje takie fizyczne epicentrum, lecz znacznie częściej jedynie podejrzewam jakąś fizyczną przyczynę, lecz nie potrafię tego dowieść. Umieszczenie takiej przyczyny nierzadko pozwala zastosować rodzaj kuracji, która często prowadzi do przywrócenia pacjenta normalnemu życiu. Natomiast brak rozpoznawalnego biologicznego schorzenia, które mogłoby leżeć u podłoża zbrodniczych zachowań, wytycza prostą drogę do więzienia lub egzekucji. Fakt ten niepokoił mnie, ponieważ w wielu przypadkach rozpoznawałem takie fizyczne przyczyny, które pięćdziesiąt lat temu pozostałyby niewykryte. Czy ludzie, których zamykamy dziś w więzieniach lub skazujemy na karę śmierci, za pięćdziesiąt lat zostaliby ocaleni dzięki bardziej zaawansowanym metodom diagnostycznym, które pozwolą odnaleźć fizyczną przyczynę ich zbrodni?

Oczywiście, doprowadzając tę kwestię do skrajnego logicznego absurdu, można by utrzymywać, że nikt nigdy nie ponosił za nic winy, ponieważ każde nasze działanie ma źródło czysto biologiczne, wykluczające istnienie wolnej woli. Pomimo iż nie uzyskałem odpowiedzi na swoje pytania, umocniły one we mnie przeświadczenie o istnieniu dobrzych dusz uwięzionych w złych ciałach.

Kiedy obok wykładów i prowadzenia badań naukowych na uniwersytecie w Los Angeles rozwinąłem zadziwiająco lukratywną praktykę chirurgiczną, zacząłem traktować tkankę mózgową, z którą miałem do czynienia podczas operacji, jako podłoże filozoficznego dualizmu - duszy i ciała - co skonfliktowało mnie z głównym nurtem nauki, w którym wy-

znaje się wiarę - żarliwością dorównującą wierze najzogszych ortodoksyjnych baptystów - w to, iż świadomość jest skutkiem wyłącznie elektrycznej aktywności mózgu, całkowicie materialnej i pozbawionej jakichkolwiek elementów transcendentalnych. Naukowcy wyznający ów pogląd nie potrafią go udowodnić ani trochę lepiej, niż przeciętny baptysta mógłby dowieść niepokalanego poczęcia.

Co to oznaczało? Lub mówiąc dosadniej: czy to w ogóle oznaczało cokolwiek? Przez lata wciąż trapiłem się tą kwestią, często błędząc, a gdy wracałem do tekstów, które wcześniej już na ten temat napisałem, uświadamiałem sobie, że nie rozumiem własnych słów.

Obecnie zamiast tego usiłowałem zrozumieć powód, dla którego zaatakowano moją łódź i mój dom, i w końcu przed zaśnięciem doszedłem do wniosku, że wszystko to wskazuje wyraźnie w przeszłość, na Missisipi i Vanessę. Oraz na Darryla Talmadge'a - białego rasistowskiego mordercę, skazanego na śmierć w komorze gazowej. Miałem nadzieję, że Jasmine wie, dlaczego u diabła, jej matka chciała uratować życie takiemu człowiekowi.

24 Ocknąłem się i ujrzałem zachmurzoną twarz Vince'a Sloane'a.
- Obudź się! No, jazda, obudź się! - wołał, potrząsając mnie za ramię.

Usiłowałem rozpaczliwie zatrzymać jakiś ważny sen i jego ulotne objawienie, w którym odpowiedzi było nawet więcej niż pytań.

- Cholera - rzuciłem i otworzyłem oczy.

- Ja też cię serdecznie witam - odrzekł Sloane.

Jasmine poruszyła się.

Sloane wisiał nad nami z dwoma wielkimi plastikowymi kubkami, na których błyszczało pomarańczowo-czame logo

małego całodobowego sklepu spożywczego, położonego o przecnicę stąd, który nazywaliśmy „Kup i Łup”, ponieważ okoliczne rzeźmieszki traktowały go permanentnie jak swój prywatny bankomat.

- Pora wracać do domu - rzekł, wciskając mi w rękę kubek. - Gdziekolwiek twój diabeł, teraz jest.

Wziąłem go i dostrzegłem spojrzenie wyrażające dezaprobatę. Vince jest solidnym, godnym zaufania człowiekiem, pozostającym wiernym uświęconemu tradycją i wciąż godnemu podziwu zbiorowi norm etycznych i osobistych zasad, i nieodmiennie żywiącym nadzieję, że wyznaje je większość ludzi, choć najczęściej przekonuje się, iż wcale tak nie jest. Przywodzi mi na myśl motto mojej dywizji piechoty morskiej: „Twój najlepszy przyjaciel jest twoim najgorszym wrogiem”.

Za plecami Sloane'a detektyw Darius Jones zasłaniał przejście jak chodząca policyjna blokada drogowa. Jego intensywnie czarna skóra miała błękitny odcień, na czole lśniły krople potu, a rysy twarzy szpeciło mordercze spojrzenie. Odwracał wzrok i patrzył na Jasmine, po czym znów spoglądał na mnie. Tam i z powrotem, z regularnością wahadła. Kiedy w końcu pochwyciłem jego wzrok, popatrzył w bok z kamienną twarzą.

O co u diabła w tym wszystkim chodziło? Rzuciłem okiem na Jasmine, która siedła wyprostowana w fotelu, pozostawiając ciepły ślad na moim ramieniu. Niewątpliwie wyczytała coś z twarzy potężnego detektywa. Pomyślałem, że na razie lepiej jej o to nie pytać.

Podważyłem plastikową przykrywkę kubka z kawą i upiłem łyk. Po plecach przebiegł mi w dół dreszcz, aż poczułem skurcz moszny. Lecz właśnie kawy było mi trzeba. Wypiłem następny łyk, wstałem i przeciągnąłem się.

- My dwaj musimy porozmawiać - zwrócił się do mnie Vince, spoglądając w kierunku drzwi, a potem znowu na mnie. - W cztery oczy. Odwiozę cię do domu.

- Ale... - Spojrzałem na Jasmine, która usiłowała zwalczyć zmęczenie oraz znużenie wywołane zmianą strefy czasowej. Zadrżała, po czym ciaśniej owinęła ramiona kocem. Vince uchwycił jej wzrok, pomachał kubkiem kawy, a następnie postawił go obok niej.

- Żadnych „ale” — rzucił rozkazującym tonem sierżanta, a ja o mało nie odpowiedziałem: „Tak jest”. Zdawałem sobie jednak sprawę, że bez względu na to, co odpowiem, usłyszy w tym sarkazm. Kiwnąłem więc tylko głową.

- Dobrze. - Skinął na Jonesa, który wystąpił naprzód i zwrócił się do Jasmine:

- Odwożę panią do hotelu, panno Thompson. - Głos olbrzymiego detektywa zabrzmiał głęboko, oficjalnie i profesjonalnie. Jego mordercze spojrzenie rozwiąło się i zacząłem się zastanawiać, czy budząc się, nie uległem po prostu złudzeniu.

Jasmine wstała, pozwalając, by koc ześlizgnął się na plastikowy fotelik, i przeczesała palcami swe gęste włosy.

- Dziękuję za kawę - powiedziała do Vince'a. - I dziękuję panu - rzekła do Jonesa. Potem odezwała się do mnie: - Zadzwoń, kiedy już się trochę prześpisz.

Spojrzenie miałem utkwione w jej twarzy, lecz kątem oka znów dostrzegłem szybki jaskrawy błysk gniewu na twarzy detektywa, niczym promień słońca odbity od wypolerowanego chromu.

- Na pewno - odpowiedziałem jej i poczułem nagle żal, gdy wzięła torebkę i wyszła z pokoju wraz z Jonesem.

Vince podszedł do mnie, podniósł z fotela koc i zaczął go składać. Wykorzystałem ten moment, by wypić tak duży łyk kawy, jak tylko zdołałem.

- Wiesz, że nie mieszam się w cudze sprawy - rzekł tak cicho, że musiałem wytężyć słuch, aby go usłyszeć.

- Co takiego?

Odwrócił głowę do drzwi i dalej związał koc. Zawsze dbał o wyposażenie. Kładź rzeczy na swoje miejsce, a w razie nagłej potrzeby bez trudu je znajdziesz, mawiał.

- Ta twoja przyjaciółka. - Skończył wreszcie z kocem.
- Słuchaj, znasz mnie na tyle długo, by wiedzieć, że nie obchodzi mnie czyjś kolor skóry ani nic takiego.

Milczałem oszołomiony.

- Nie robi mi to żadnej różnicy, ale sprawia wielką różnicę niektórym innym ludziom - naprawdę, ogromną różnicę.

Zaczynałem coś rozumieć i z obrzydzenia ogarnęły mnie młodości.

- I nie tylko palanty z Ku-Klux-Klanu czy Aryjskiego Narodu - ciągnął - uważają, że jedna rasa nie powinna mieszać się z inną.

- Cholera, to po prostu nie do wiary - wymamrotałem. Pojąłem teraz gniewne spojrzenia, jakimi piorunował mnie Darius Jones.

- Świetnie. - Pochylił się i położył na fotelu perfekcyjnie złożony koc z nienagannie równymi bokami i kątami. - A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu... - Wskazał głową na drzwi. - Wydział policji Los Angeles daje mi szkołę, jestem potwornie niewyspany i szczerze mówiąc mam już dość odnajdywania zwłok, które ostatnio wciąż za sobą zostawiasz.

Wyszedł z pokoju, nie czekając na moją odpowiedź. Podążyłem za nim, rozlewając po drodze gorącą kawę na spodnie. Wyszliśmy najjasny poranek i przemierzyliśmy wysadzany drzewami parking. Lawirując wśród radiowozów, samochodów turystycznych, prywatnych aut oraz brązowych baraków dotarliśmy do zdezelowanej furgonetki dodge, zaparkowanej pod rozłożystym drzewem eukaliptusowym. Vince używał jej do swych prac remontowania domów -jednego z tych dodatkowych zajęć, których gliniarze potrzebują bądź do uzupełnienia swego budżetu, bądź dla psychologicznej satysfakcji wykonywania zajęcia nie związanego z handlarzami narkotyków, pospolitymi zabójcami, zbiorowymi gwałcicielami, bogatymi i sławnymi pijanymi kierowcami, rozwydrzonymi nastolatkami oraz niewdzięcz-

ną i krytycznie nastawioną opinią publiczną, która rzadko odnosi się życzliwie do stróżów prawa. Podczas s w o jej służby rezerwisty doświadczyłem dość owej niechęci, by rozumieć czemu niektórzy policjanci przybierają obronne nastawienie „gliniarze kontra reszta społeczeństwa”.

W milczeniu wsiedliśmy do furgonetki. Vince włączył silnik i tyłem wyjechał z miejsca parkingowego.

- Zapamiętaj co ci powiedziałem - rzekł, kierując się ku bramie wyjazdowej. - J o n e s jest znakomitym detektywem, który rozwiązał mnóstwo spraw - nie tak jak wielu innych. Jest nie tylko silny fizycznie, lecz również bardzo bystry, ale nie lubi, kiedy czarne kobiety z j ego rasy zadają się z białymi facetami.

W palcach czułem mrowienie z gniewu i nadmiaru kofeiny.

Zatrzymał się przy wyjeździe na Culver Boulevard.

- Dokąd? Gdzie u diabła będziesz spał, teraz kiedy twoja łódź zatонуła, a dom jest zdemolowany?

Wzruszyłem ramionami.

- W gruncie rzeczy moim domem jest laboratorium. - Spojrzałem na zegarek. - Poza tym i tak już pora rozpocząć pracę.

Vince uśmiechnął się, a potem ostrożnie włączył się do ulicznego ruchu.

- Sądziłem, że Jones wyznaje bardziej umiarkowane przekonania - powiedziałem.

- Dogmatycy zdarzają się we wszystkich rasach. - Skręcił na północ w ulicę Centinela. - Popatrz na siebie.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, lecz nie dopuścił mnie do głosu.

- Posłuchaj, doktorku, moglibyśmy całą wieczność dyskutować o niesłuszności takiej postawy. Ale i tak jej nie zmienimy, a nie mamy całego dnia na rozmowę, gdyż muszę powiedzieć ci o kilku znacznie ważniejszych sprawach.

- Doobra - odparłem przeciągle.

- Pamiętasz takiego gościa z rezerwy, Chrisa Nellisa, który zajmuje się nurkowaniem?

- Aha. Mają jakąś agencję, czy coś w tym rodzaju. Szkoliłem się u niego.

- Tuż po tym, jak ściągnęliśmy cię ze skał, poleciliśmy mu, żeby wszedł pod wodę i upewnił się, czy nie pozostał tam jeszcze ktoś żywy. Wydobył trochę szczątków i parę kawałków jakiegoś gościa, które zostały po eksplozji. Nieco później patrol portowy znalazł za falochronem krążący w kółko ponton, a w pobliżu topielca z paskudnie skręconym karkiem.

- Tak więc - ciągnął Sloane - podczas gdy ciebie maglowali funkcjonariusze Departamentu Spraw Wewnętrznych, chłopcy z patrolu portowego przyholowali cały kram do przystani. A nie minęło pół godziny, jak na molo wylądował wojskowy śmigłowiec, z którego wyskoczyło paru aroganckich facetów w mundurach polowych, wymachując wojskowymi nakazami i bronią.

Vince zatrzymał się na światłach przy wschodnim krańcu lotniska Santa Monica, gdzie ulica Centinela przechodzi w Bundy Drive. Nad naszymi głowami podchodził do lądowania mały jednosilnikowy samolot.

- Krótko mówiąc, ci wojskowi rozejrzeli się, po czym zabrali wszystko - ponton, ciało, szczątki. - Światła zmieniły się na zielone, a ułamek sekundy później ktoś z tyłu zatrąbił na nas. Odwróciłem się i ujrzałem blondynkę w czarnym BMW, jedną z tych, jakich pełno w Kalifornii. Gdy zatrąbiła ponownie, Vince spojrział we wsteczne lusterko, a potem nacisnął pedał gazu wolniej niż zwykle.

- Pewnie to jakaś gwiazda - rzekł z uśmiechem. Twarz kobiety wykrzywił grymas, kiedy ciskała swoją beemką po całym pasie. Gdy wystawiła w górę środkowy palec pod naszym adresem, spostrzegłem że ma ładne błyszczące paznokcie.

- W każdym razie - podjął Vince - te wojskowe cymbały ulotniły się równie szybko, jak się pojawiły, zostawiając obwieszzonego orderami służbistego pułkownika, który polecił

nam nie umieszczać całego incydentu w raporcie, ponieważ sprawa dotyczy bezpieczeństwa narodowego. Według jego wersji chodziło o ćwiczenia wojskowe, które wymknęły się spod kontroli z winy kilku zbyt bojowo nastawionych rekrutów.

- Cholera! Bez raportu? A co z moją łodzią?

- Powiedział, że przyślą za nią czek pocztą.

Szczęka mi opadła.

- Naprawdę - rzucił z uśmiechem. - Właśnie tak powiedział. Do wszystkich poszkodowanych zostaną dziś wysłane czeki. Podkreślił, że znacznie lepiej będzie obejść towarzystwa ubezpieczeniowe i konieczność wypełniania wniosków o odszkodowanie.

- To się nie trzyma kupy. Napastnicy powiedzieli mi dokładnie, po co przyszli i że szukali właśnie mnie.

- To wy tak twierdzicie, s z e r e g o w y - rzekł Vince.

- Co to u diabła ma znaczyć, sierżancie?

- Ich wersja przeciwko t w o jej. - Umilkł, po czym dodał:

- Posłuchaj, wiem że w przeszłości wykonywałeś pewne tajne zadania. Jeśli istnieje tu jakiś związek, będziesz musiał to wyjaśnić.

- To nie ma nic wspólnego z moim dawniejszym życiem, natomiast ściśle wiąże się z zamordowaniem Vanessy Thompson.

- Uhm. Tylko, że oni zaprezentowali inną historię. I broń, żeby uczynić ją bardziej przekonującą. - Skręcił w prawo, w Olympic. - Nie, żebym nie wierzył w ani jedno twoje słowo. Właśnie dlatego opowiem ci o tym, czego polecili mi nikomu nie powtarzać. Nie jest tego wiele - głównie to, co wywnioskował Chris, zanim przyleciał tamten śmigłowiec. Otóż ludzie, których zabiłeś, pochodzili z elitarnej grupy, będącej częścią Wojskowego Oddziału Wsparcia Technicznego, która stanowi unikalną jednostkę w sile batalionu, z kwaterą główną w zakładach Edgewood na poligonie doświadczalnym w Aberdeen, stan Maryland. Jakiś

czas temu grupę tę przekształcono w oddział o nazwie Brygada Strażnicza i wówczas część jej struktury dowodzenia została utajniona. O ile się orientuję, są dobrymi żołnierzami, jednakże tajna część ich działań stwarza okazje do pewnych nadużyć - zwłaszcza te akcje, które mają sekretnie wspierać operacje Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego. Według słów służbistego pułkownika, który jako jedyny zabrał głos, większość ich misji ma charakter „niejawny, ryzykowny i tajny”, co dla mnie brzmi jak cholerna chińszczyzna. Ty coś z tego rozumiesz?

Rozumiałem. I ze strachu poczułem ucisk w żołądku.

- Coś jeszcze? - spytałem.

- Nic, chyba że Chris na coś wpadł.

Reszta jazdy po Westwood Boulevard upłynęła nam w milczeniu. Minęliśmy akademię medyczną i podjechaliśmy prosto pod wejście do mojego laboratorium. Vince zatrzymał wóz przy krawężniku.

- Uważaj na siebie - rzucił. - Ci faceci są może dupkami, ale potężnymi i niebezpiecznymi. I mają w ręku na tyle silne karty, by zmusić cię do zagrania w każdą grę, jaką zechcą.

- Tak im się tylko wydaje - odparłem, wysiadając z samochodu.

- Nie odgrywaj bohatera - rzekł Sloane. - T o , co tutaj robisz, ma dla świata o wiele większe znaczenie, niż gdybyś dał się zabić. - Urwał. - Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

- Dzięki, Vince - powiedziałem. - Zrobię tak.

25 Emerytowany generał i kandydat na prezydenta, Clark Braxton, podniósł do ucha słuchawkę telefonu, usiłując opanować kipiącą w nim wściekłość. Wpatrywał się ze złością w odbicie swej gniewnej twarzy w oknach swego prywatnego gabinetu, za

którymi panowały nocne ciemności. Jednak kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał chłodno, spokojnie i rozkazująco.

- Pułkownik, zapoznałem się z pańskim raportem sytuacyjnym, ale mam nadzieję, iż zdaje pan sobie sprawę, w jak trudnym położeniu znalazł się pan wskutek wydarzeń dzisiejszego wieczoru - rzekł z naciskiem i uśmiechnął się lekko w ciszy, jaka zapadła po jego słowach. Pułkownik należał do elitarnego korpusu oddanych stronników Braxtona, pozostających w służbie czynnej, którzy zawdzięczali mu swe życie lub karierę - bądź jedno i drugie. Posłuszeństwo wobec generała brało w nich górę nad innymi zobowiązaniami i służbowymi zależnościami, ponieważ wierzyli, że jedynie jego prezydentura może ocalić Stany Zjednoczone.

- Oczywiście, sir. Jestem w pełni świadomy powagi sytuacji i właśnie dlatego tak szybko podjęliśmy działania zmierzające do zneutralizowania jej skutków i wyrównania strat doznanych przez osoby postronne. Podczas operacji, jakie podejmujemy tutaj przy współdziałaniu wojska i oddziałów specjalnych, całkiem dobrze układa się nam współpraca z siłami porządku publicznego.

- Siły porządku publicznego nie stanowią problemu - powiedział Braxton. - Stone należy do dwóch procent ludzi naturalnie uzdolnionych do zabijania.

- Tak jest, sir, wiem o tym. Przejrzałem jego akta, obejmujące przebieg służby czynnej oraz wypełniane przez niego tajne misje. On jest niezwykle groźny.

- J a k dotąd okazał się lepszy od sześciu pańskich ludzi. Braxton pozwolił, by pułkownika przygniotła krępująca cisza.

- Sir... ee, my... to znaczy, mamy tu skomplikowaną sytuację. Generał milczał.

- Sir?

- Niech pan mówi dalej.

- Sir, zaangażowałem w tę operację wszystkich ludzi, jakimi dysponuję. Ja, ee... muszę tu posprzątać spory bała-

gan. Rozpoczęcie kolejnej misji wywoła problemy, nad którymi nie będę w stanie skutecznie zapanować.

Braxton obserwował, jak wskazówka jego Rolex'a prze mierzyła płynnie następne dziesięć sekund milczenia.

- Rozumiem pańskie kłopotliwe położenie i doceniam wysiłki oraz ryzyko, jakie pan podejmuje - rzekł wreszcie tonem mocnym i zdecydowanym, a zarazem życzliwym. - Niech pan opanuje sytuację, a ja być może zdołam panu pomóc.

Uśmiechnął się szeroko, słysząc że pułkownik westchnął cicho z ulgą.

- Skontaktuję się z doświadczonym, zaprawionym w boju tajnym agentem, który znajduje się w tamtym rejonie - ciągnął. - Chcę, żeby wrócił pan w pojedynkę do biura szeryfa i wydziału policji Los Angeles. Niech pan znajdzie w tamtejszym dowództwie jakiegoś wysoko postawionego papłą o ambicjach politycznych i spotka się z nim w kawiarni lub na jakimś innym neutralnym gruncie. Wcześniej proszę dopasować akta Stone'a do tego, co za chwilę panu powiem. Niech pan się postara, żeby ich kopia, którą przekaże pan owemu dygnitarzowi, była zaopatrzona we wszystkie stosowne tajne pieczęcie, tak aby wyglądała możliwie jak najbardziej wiarygodnie, gdy później przecieknie do prasy. Czy na razie wszystko jasne?

- Tak jest, sir. Spreparowanie odpowiedniego dokumentu i zaaranżowanie spotkania może zająć trochę czasu.

- Niech pan się pospieszy. A teraz proszę uważnie posłuchać. Oto, co mu pan powie...

26 Gdy wyszedłem z klatki schodowej na czwartym piętrze i ruszyłem korytarzem wyłożonym linoleum, z pokoju śniadaniowego wyszła Sonia Braverman. Sonia ma nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, a waży w porywach niespełna pięćdziesiąt kilogra-

mów. Ubrana była w jedną ze swoich ciemnych sukienek ze sztucznego jedwabiu w drobny jasny wzorek i ze stosownym paskiem, które kobiety w pewnym wieku tak bardzo lubią. Pełniła funkcję kierowniczkę mojego biura, podobnie jak za czasów wielu poprzednich dyrektorów oddziału neurochirurgii. Była już od dawna w wieku emerytalnym, ale co roku chętnie podejmowałem się męki biurokratycznych zabiegów, aby zatrzymać ją u siebie. Sonia wpatrywała się we mnie teraz przez kilka chwil, zanim mnie poznała.

- Doktorze Stone! Niech pan tylko na siebie spojrzy!
- Zmierzyła mnie wzrokiem o wiele dokładniej niż przyrząd do badania metodą rezonansu magnetycznego. - Oj!
- W jej wypadku wykrzyknik ten posiadał setkę odcieni znaczeniowych. Rozpoznawałem jakieś siedemdziesiąt siedem spośród nich, zaś ten konkretny był mi aż nazbyt dobrze znany. Sonia Braverman chciała nim wyrazić, że wyglądam koszmarnie.

- Jak na tak wybitnego człowieka, nie na pan za grosz rozsądku - powiedziała wysokim głosem, o barwie przypominającej śpiewające ptaki hodowane w Queens. - Niech pan na siebie popatrzy! Postrzelono pana i zatopiono pańską łódź? Oj! Wie pan, jak zmartwią się wszyscy ludzie, którzy dobrze panu życzą? Od oglądania porannych wiadomości telewizyjnych rozboleła mnie przepuklina, a wiadomo panu, jak się wtedy czuję. Musi pan skończyć z tym dyndaniem z helikoptera! I z mnóstwem innych rzeczy. Wałęsa się pan z nabitą bronią, żegluję po nocy, a potem przyciąga się tutaj, wyglądając jak bezdomny włóczęga i śmierdząc dwakroć gorzej od niego. - Przerwała wreszcie i potrząsnęła głową, a następnie podjęła: - Proszę na siebie spojrzeć! Nie wiem, co z panem począć. Jeśli pan się nie opamięta, nie doczeka nigdy *alter kocker!*

Zagoniła mnie do mego gabinetu.

- Jest pan zupełnie śpiący. I to ucho! - dodała, po czym od tonu żydowskiej matki przeszła płynnie do stylu kompe-

tentnej asystentki i szefowej biura. - I tak ma pan już wypełniony dzień. Oprócz zwykłych porannych spotkań obiecał pan wygłosić wykład dla tej przybyłej do nas z Toronto grupy ze studiów podoktoranckich, zaś wizyta u pańskiego przyjaciela w Pacific Hills koliduje z tygodniowym rozkładem zajęć, wobec czego musi ją pan odbyć dzisiejszego popołudnia. Zrobiłam już miejsce na to w pańskim harmonogramie.

Wzmianka o ośrodku intensywnej terapii, położonym na północ od Malibu, w którym znajdowała się Camilla, wstrzymała mi dech w piersi, gdyż uświadomiłem sobie, że przez minionych dwanaście godzin bardzo rzadko myślałem o żonie, o ile w ogóle poświęciłem jej uwagę. A przecież niegdyś wierzyłem, iż nasze dusze tworzą jedność, a nasz związek będzie trwał wiecznie.

W ciągu sześciu lat, jakie minęły od wypadku, nieustannie rozmyślałem o naiwności owej wiary, przyniesionej jej ciężarem, lecz niezdolny ją porzucić. A chociaż orbita, po jakiej poruszało się moje życie, przez te lata przybrała kształt elipsy, niekiedy oddalając mnie od Camilli, to znowu zbliżając do niej, to jednak żona stale utrzymywała moje serce w polu swego przyciągania, sprawiając że moje uczucia wciąż krążyły wokół niej.

- Niech pan się trochę prześpi - rzekła Sonia. - Przełożę na później pańskie poranne obowiązki i odwołam wykład.

Przechodząc przez sekretariat potrząsnąłem przecząco głową.

- Tylko te poranne. Po paru godzinach snu dojdę do siebie.

Sonia wyraziła warunkową zgodę. Poczłapałem przez gabinet do drzwi niewielkiego pokoju, w którym przemieszkowałem, kiedy pracowałem do późna w laboratorium, i przystanąłem z ręką na klamce.

- Może pani dopilnować, żebym obudził się przed jedynastą? - spytałem.

- Zobaczymy.

- Dobrze, proszę pani - odrzekłem. Odwróciłem się, wszedłem do pokoiku i cicho zamknąłem za sobą drzwi, po czym padłem w ubraniu na łóżko polowe i natychmiast zasnąłem.

W szarym półśnie, przez który przechodzimy, nim na dobre zmorzy nas sen, pomyślałem jeszcze o sobie i Camilli, o tym, kim jest każde z nas, o naszym związku oraz zagrożeniu, jakie stanowiła dla niego Jasmine.

Uderzyło mnie wtedy, że nigdy nie możemy być tym, kim jesteśmy, ponieważ właściwy moment bycia w terażniejszości jest nieskończenie małą chwilką, wciśniętą pomiędzy nieustannie zmieniające się wspomnienia tego kim byliśmy oraz marzenia i fantazje na temat tego, kim będziemy. Wyniki badań zarówno moich, jak i prowadzonych przez wielu innych naukowców wskazują, że świadomość rejestruje bieżące wydarzenia mniej więcej jedną piątą sekundy później, niż one naprawdę zachodzą. Oznacza to, że za każdym razem, kiedy myślimy o terażniejszości, w istocie spoglądamy w przeszłość. Postrzegana przez nas rzeczywistość nigdy nie pokrywa się z rzeczywistością, która aktualnie istnieje.

To, kim jesteśmy, nie jest nigdy czymś stałym i zmienia się z każdą chwilą, ponieważ doświadczana przez nas terażniejszość jest ustawicznie odmieniana przez przeszłość. A zatem nasze oczekiwania i marzenia dotyczące przyszłości popychają nas poprzez złudną terażniejszość ku jakiemuś czwartemu stanowi czasu: stanowi naszego bytowania, który nie jest przeszłością, terażniejszością ani przyszłością, a jednak zarazem stanowi połączenie ich wszystkich. Stan ten ma coś wspólnego z czasoprzestrzenią; zastanawiałem się, czy przypadkiem nie wiąże się jakoś z kwestią duszy i miejscem, w którym przebywa świadomość Camilli.

Camilla nie ma przed sobą w tym świecie żadnej przyszłości; nikt nigdy nie wyzdrowiał po tak głębokich i roz-

ległych obrażeniach mózgu. Chociaż fizycznie zajmuje miejsce w terażniejszości, którą postrzegam, jej mózg nie wykazuje żadnych oznak świadomych czynności ani ukierunkowanej aktywności neurologicznej powyżej pnia mózgowego, co oznacza, że w istocie Camilla nie istnieje w czasie terażniejszym.

Często trapiłem się, czy w jej głowie zachodzą wewnętrzne procesy życiowe, których nasze naukowe metody nie są w stanie wykryć. Nie tak dawno temu lekarze nie dysponowali instrumentami umożliwiającymi wykrycie fal mózgowych, co uświadomiło mi, że nasza niezdolność dostrzeżenia czegoś nie stanowi wystarczającego dowodu jego nieistnienia. Potem zasnąłem głęboko, zastanawiając się, co to oznacza. I czy w ogóle oznacza cokolwiek.

27 Z przyjemnego, pozbawionego sennych marzeń snu wyrwał mnie dźwięk chrapliwego głosu Roberta Johnsona i jego niepowtarzalnej gitary.

Próbowałem go zignorować, jednak *Blues rozstajnych dróg* był nieustępliwy. W końcu obudziłem się na tyle, by rozpoznać w nim sygnał mojego telefonu komórkowego. Chwyciłem Motorolę w momencie, gdy dźwięk zamilkł. Popatrzyłem na wyświetlacz, skonstatowałem że dochodzi jedenasta i spostrzegłem, że miga umieszczony na dole ekraniku symbol poczty głosowej.

Łóżko polowe z płótna i drewna zatrzeszczało, gdy usiadłem, ścierając z twarzy zmęczenie. Kiedy wstałem, moje mięśnie i stawy przypomniały mi nieubłaganie, że - jakkolwiek byłem w cholernie dobrej formie fizycznej, jak na faceta zbliżającego się do sześćdziesiątki - niedawna niecodzienna gimnastyka, która pozwoliła mi pozostać przy życiu, wypełniła moje ciało mnóstwem nowych bolesnych

miejsc. Napiąłem wszystkie aż do granicy bólu. lecz nie znalazłem żadnych oznak poważniejszych urazów.

Dopiero potem szurając nogami, powlokłem się ku ekspresowi do kawy, stojącemu niedaleko prysznic. Boże błogostaw Sonię, pomyślałem, wciskając włącznik, za to, że napełniła go i przygotowała do użytku. Podczas gdy kawa się parzyła, ogoliłem się, a potem chwiejnym krokiem wszedłem pod prysznic, aby się przekonać, czy gorąca woda zdoła uruchomić moje komórki mózgowie. Kiedy wyszedłem z kabiny i wytarłem się, mój telefon znów zadzwonił. Podniosłem go, rozpoznałem ten sam numer dzwoniącego co poprzednio i włączyłem.

- Tu Stone - rzekłem.

- Brad! Wybacz moją natarczywość, ale pomyślałem, że może będziesz chciał się dowiedzieć, iż kilka minut temu otrzymałeś przekaz na trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. - Rozpoznałem głos Juana Fernandez, prezesa banku Simi First - niewielkiej, solidnej i dochodowej instytucji, zarządzanej przez wytrawne kierownictwo, które traktuje klientów jak ludzi, a nie jak bydło.

- Chryste - rzuciłem i nalałem kawę do kubka firmy John Deere.

- Nie spodziewałeś się tego przelewu?

Przez chwilę popijałem kawę. Przypomniała mi się wzmianka Vince'a o sztywnym pułkowniku, a zwłaszcza o jego zapowiedzi wypłaty odszkodowania z pominięciem firmy ubezpieczeniowej. „Jambalaya” kosztowała mnie zaledwie 100 000 dolarów. Kupiłem ją w wiejskim stanie od zbankrutowanej firmy, włożyłem w nią następne 50 000 i oszczędziłem kupę dalszych wydatków dzięki temu, że sam wykonałem większość prac przy jej wyremontowaniu. Gdy je ukończyłem, łódź mogła być warta 200 000 dolarów, lecz biorąc pod uwagę spadek jej wartości od tamtego czasu, wątpiłem czy wczoraj rano dostałbym za nią więcej niż jakieś 130 000.

- Eee... owszem, to... ubezpieczenie za moją żaglówkę. Tylko nie spodziewałem się go tak szybko.

- Oglądałem wiadomości w telewizji. Powiedzieli, że nic nie jest - rzekł Martinez. - Czy to prawda?

- Mam tylko sińce.

- To dobrze. No cóż, chciałem cię zawiadomić, że wpłata nadeszła. - Przerwał. - Uważaj na siebie.

- Staram się. - Chciałem się już pożegnać, ale coś przyszło mi do głowy. - J u a n , czy możesz przefaksować mi kopię dowodu tej transakcji? Dzięki temu nie zapomnę zająć się tym w wolnej chwili.

- Oczywiście.

- Dzięki.

Skończyłem rozmowę i włączyłem mój laptop, niepokojąc się, skąd właściwie nadeszły te pieniądze. Włożyłem miękkie znoszone spodnie wory koloru khaki i wyjąłem plastikową kształtkę pralni z niebieskiej rozpinanej koszuli. Potem założyłem skarpetki i adidas, nalałem znowu kawy do kubka i usiadłem przed komputerem, czując, że jakieś wspomnienie przebija się spod kłębowiska niezapamiętanych snów. Czasami mi się to zdarza; niektórzy mogliby nazwać to natchnieniem, inni zaś przesłaniem od Boga.

Gdy niejasne idee krystalizowały w mojej głowie, kliknąłem dwukrotnie ikonę StarOffice i wsunąłem kompakt z koncertem fortepianowym Mozarta do napędu CD laptopa. Na koniec nałożyłem słuchawki i usiadłem nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Muzyka oczyściła mi umysł i zacząłem pisać; po chwili wszystko inne przestało dla mnie istnieć.

Wreszcie muzyka się skończyła i uświadomiłem sobie, że wpatruję się po raz pierwszy w napisane przed chwilą słowa. Często czuję się bardziej urządzonym odbiorczym niż twórcą. Ten tekst miał posłużyć jako prowokacyjne wprowadzenie dla grupy ze studium podoktoranckiego z Toronto.

Wtedy weszła Sonia z grilowanym serowym sandwiczem i wielkim kubkiem rosołu.

- Nie chcę panu przeszkadzać, ale za około pół godziny ma pan spotkanie z tymi studentami z Toronto.

Postawiła lunch na stole.

Natchnienie rozwiąło się i błyskawicznie powróciłem do rzeczywistości: ikona J2 na ekranie laptopa informowała mnie, że faks Juana znalazł się w mojej skrzynce e-mailowej; komórka sygnalizowała jęklivé wyczerpanie baterii. Spojrzałem na zegarek; zaskoczył mnie upływ czasu.

- O, do diabła! - wykrzyknąłem. Pisanie pochłoneło mi cały poranek; dawno minęło już południe. Nie miałem ani chwili do stracenia.

Sonia zaczekała, aż skosztowałem rosołu i dopiero potem wycofała się z pokoju. Wydrukowałem napisany dopiero co tekst, ściągnąłem winietę faksu i usiłowałem rozszyfrować piętrzące się na ekranie nonsensy, jednocześnie pochłaniając lunch.

Pieniądze nadeszły z towarzystwa ubezpieczeniowego z siedzibą na wyspie Man - wymarzonej domeny szpiegów, terrorystów, krętaczy podatkowych i innych osób wystarczająco zamożnych i zdeterminowanych, by ryzykować swoją gotówkę w międzynarodowych machinacjach finansowych. Dawniej, w moim poprzednim wcieleniu otrzymywałem już przelewy pieniężne z tego rodzaju miejsc i nie byłem zachwycony, że ta część mojej przeszłości znowu mnie dopadła.

Czas mnie naglił, wyciągnąłem więc kartki z drukarki, a potem wyjąłem z kieszeni szortów mój wciąż jeszcze wilgotny portfel, małe niebieskie wieczne pióro Leathermana z atramentem wypychanym sprężonym gazem, jakich używają kosmonauci, dołączone do jednego z moich dawnych wojskowych identyfikatorów, oraz małą cienką diodę elektroluminescencyjną, która świeci jaskrawobłękitnym światłem, gdy się ją ściśnie. Włożyłem jeszcze do mojego telefonu komórkowego nową baterię i wyszedłem, słysząc za plecami Sonię, która życzyła mi powodzenia.

Biegając korytarzem, odnalazłem w komórce numer Chrisa Nellisa i połączyłem się z jego pocztą głosową.

- Chris - powiedziałem do mikrofonu - odbyłem interesującą rozmowę na temat tego, co znalazłeś w „Jambalayi”. Zadzwoni do mnie na komórkę, jak tylko będziesz mógł.
- Zostawiłem swój numer, rozłączyłem się i nastawiłem swój telefon na wibracje. Kiedy znalazłem się w zabudowanym łączniku do następnego budynku, pobiegłem do sali konferencyjnej, gdzie wokół elipsowatego, laminowanego plastikiem stołu siedziało pół tuzina uczestników studium podoktoranckiego z Toronto, pijąc kawę z rozmaitych jednorazowych kubków. Resztę foteli wokół stołu oraz miejsca stojące wzdłuż pozbawionych okien ścian wypełniał tłum moich studentów i kolegów. Była tam też garstka członków rady wydziału oraz słuchacze studiów magisterskich, których mgliście pamiętałem, choć nie potrafiłem przypomnieć sobie ich nazwisk.

Kiedy wszedłem do pokoju i zbliżyłem się do wielkiej białej tablicy, rozmowy ucichły.

- Dzień dobry - przywitałem zebranych. - Zanim rozpoczniemy, pragnę państwa poinformować, że jeżeli dzisiejszy wykład was zainteresuje i zechcecie dowiedzieć się więcej, znajdziecie moje notatki i inne dane na mojej stronie internetowej pod adresem: Studianadswiadomocia.org.

Napisałem ten adres na tablicy.

- Dobrze - powiedziałem, odwracając się z powrotem do słuchaczy. - Zacznijmy od pytania: czy n a p r a w d ę postanowiliście uczestniczyć dzisiaj w tym seminarium, czy też jesteście tutaj z powodu jakiegoś zapomnianego zdarzenia z zeszłego roku lub może nawet z okresu wczesnego dzieciństwa?

Wszyscy zebrani jak jeden mąż wlepili we mnie zdeorientowane spojrzenia, o co mi właśnie chodziło.

- A może znaleźliście się tutaj w wyniku jakiejś ingerencji w wasze DNA?

Ich osłupienie jeszcze się pogłębiło.

- Niektórzy spośród tu zgromadzonych mniemają, że wszystko, co robimy, jest z góry przesądzone. Ci redukcjonści i determiniści, głoszący dogmat, który zdominował dzisiejszą wiedzę dotyczącą mózgu, uważają wolną wolę za złudzenie, a świadomość za przypadkowy produkt uboczny zjawisk elektrycznych zachodzących w synapsach.

Na te słowa kilku członków rady wydziału, będących akolitami tej ortodoksji, wyraźnie się zachmurzyło.

Postukałem się wskazującym palcem w skroń.

- Twierdzą oni, że wszelkie zjawiska pochodzą z ciała. Natchnienie, medytacja, słuszność i błędzenie, elokwencja i filozofia nie istnieją; transcendencja jest urojeniem, a wszystko sprowadza się do cielesności.

Większość słuchaczy potrząsnęła głowami na znak niezgody.

- Kwestia ta wykracza poza sferę nauki, ponieważ wolna wola stanowi podstawę naszych związków z innymi ludźmi i tworzy filozoficzne fundamenty prawa i społeczeństwa. Czyn będący istotnie przypadkowym wywołuje inne reakcje niż celowo wyrządzona krzywda czy obraza. Sądy odmiennie potraktują dwóch ludzi skazanych za popełnienie identycznej zbrodni, jeśli jeden z nich jest umyślowo chory bądź ma widoczne, dające się udowodnić uszkodzenia mózgu.

- Niestety, główny nurt nauki w niewłaściwy sposób podchodzi do zagadnienia wolnej woli. Uczeni mają szczególny intelektualny interes w przedkładaniu politycznie poprawnej wersji nauki nad rzeczywistość, podobnie jak w dobie Renesansu Watykan forował religijną poprawność kosztem dającej się uzasadnić, opartej na faktach herezji.

- Owi uczeni wygodnie zapominają o słowach Alberta Einsteina, który powiedział, że: „Nauka bez religii jest kulawa, natomiast religia bez nauki jest ślepa”.

Nie zwracałem uwagi na groźną marsową minę drobnego mężczyzny siedzącego w głębi sali. Gdyby się okazało, że

mam rację, człowiek ten, Jean - Claude Bouvet, miał bardzo wiele do stracenia. Bouvet, autor licznych publikacji i lider stanowiska wywodzącego świadomość z cielesności, był błyskotliwym, lecz napuszonym naukowcem, otrzymującym na swe badania hojne dotacje od wielkich firm farmaceutycznych.

- Dzisiaj wypowiemy tu herezję - ciągnąłem. - A to dlatego, ponieważ podobnie jak było w przypadku Kopernika, nasze poszukiwanie prawdy wymaga, byśmy postrzegali rzeczy raczej takimi, jakie są, niż takimi, jakimi chcielibyśmy je widzieć. Oznacza to odsunięcie na bok politycznych, społecznych, praktycznych i środowiskowych korzyści i zgodę na niemiłe ryzyko nieoczekiwanych odkryć. W przeciwieństwie do naszych redukcjonistycznych kolegów... - tu spojrzałem na Bouveta - zajmujemy się nauką, a nie fantazją.

Bouvet wymamrotał coś obraźliwego, lecz mówiłem dalej, nie zwracając na niego uwagi.

- Nasze poszukiwanie prawdy rozpoczniemy od sformułowania trzech ważnych punktów: po pierwsze, wolna wola wywodzi się ze świadomości; po drugie, świadomość jest naszą percepcją rzeczywistości; po trzecie, rzeczywistość jest dziwna.

Słowa te wywołały na sali nerwowy chichot.

- Pierwsze dwa punkty nie budzą większych kontrowersji - kontynuowałem - ponieważ bez udziału świadomości nie ma mowy o korzystaniu z wolnej woli. Zaś nawet najbardziej ortodoksyjni kapłani redukcjonizmu zgadzają się, że świadomość jest percepcją. Lecz tym, co nas zdecydowanie dzieli, jest pogląd na naturę rzeczywistości.

- Redukcjoniści uważają, że żyjemy w klasycznym mechanicznym wszechświecie, opisanym przez sir Izaaka Newtona, w którym każde przyszłe zajście można przewidzieć na podstawie znajomości wszystkich parametrów jego punktu wyjściowego, zaś każdy punkt wyjściowy może zostać ustalony poprzez prześledzenie wstecz procesu przezeń zapoczątkowanego.

- Zwolennicy mechaniki klasycznej sądzą też, że wszelkie działanie musi mieć charakter lokalny. Jednakże splątanie kwantowe - fundament kwantowej kryptografii, testowanej obecnie przez banki zajmujące się transferem pieniędzy - dowodzi, iż oddziaływanie na pojedynczą cząstkę znajdującą się w danym punkcie natychmiast wpływa na powiązaną z nią cząstkę w dowolnym miejscu wszechświata.

- Zasada nieoznaczoności i splątanie kwantowe oznaczają, że biologiczni redukcjoniści mają mniej więcej tyleż racji, ile miał jej Watykan w zakresie astronomii za czasów Kopernika. Fizyka kwantowa pobiła klasyczną fizykę newtonowską we wszystkich dziedzinach - od półprzewodników i satelitów wokółziemskich, po bomby nuklearne. Pomimo to zwolennicy fizyki klasycznej uparcie trwają przy teorii przewidywalności, chociaż fizyka kwantowa dowiodła, że kosmosem rządzi niepewność i nieoznaczoność.

- W naszym kwantowym świecie nie potrafimy przewidzieć nawet zachowania pojedynczego elektronu czy protonu w dowolnym atomie naszego ciała. Możemy obliczyć prawdopodobieństwo jego zachowania, lecz nic nie jest tu pewne - nawet to, czy owa cząsteczka będzie jeszcze istnieć w następnej nanosekundzie. A zatem klasyczny redukcjonizm jest stanowiskiem całkowicie błędnym, ponieważ kwantowa rzeczywistość uniemożliwia ustalenie warunków początkowych, co oznacza, że nie można przewidzieć żadnych przyszłych zająć w oparciu o te warunki. Rzeczywistość nie jest urojonym mechanizmem redukcjonistów, lecz tworzą ją całkowicie nieprzewidywalne układy matematycznych prawdopodobieństw. Innymi słowy niepewność jest jedyną rzeczą, której możemy być pewni.

- Nie mogę siedzieć tu spokojnie i pozwalać, aby wprowadzał pan tych ludzi w błąd - wtrącił gniewnie Bouvet, ściągając na siebie uwagę zgromadzonych. - Pańska teoria jest fabryka, ponieważ fizyka kwantowa sytuuje naukę na mikro-poziomach atomów i subatomowych cząstek, podczas gdy

ludzie oraz struktury komórkowe, które rządzą życiem i naszym zachowaniem, są wielokrotnie większe. Układ biologiczny jest zbyt wielki, zbyt żywy i chaotyczny, by mógł regulować go jakikolwiek rodzaj spójności czy fenomenu kwantowego.

Wycelował we mnie podbródek, niczym ostrze włóczni. Spojrzenia słuchaczy pomykały między mną a nim, aż wreszcie spoczęły na mnie z wyrazem oczekiwania.

- Wspaniała prezentacja panującego obecnie dogmatu - rzekłem, kiwając miarowo głową w kierunku Bouveta.
- Ale zakorzeniona w błędnym przekonaniu, że biologia i fizyka rządzą się odmiennymi prawami.

Bouvet parsknął.

- Biologia nie jest uodporniona na prawa fizyki - ciągnąłem. - Każdy atom naszego ciała podlega tym samym zasadom, tym samym własnościom mechaniki kwantowej co wszystkie inne atomy we wszechświecie.

- Biologia sprowadza się do chemii, chemia do fizyki, zaś fizyką rządzi mechanika kwantowa - mówiłem dalej. - Może się wydawać, że biologia zajmuje się badaniem wielkich chaotycznych organizmów, lecz wszelkie życie uzależnione jest od reakcji chemicznych: metabolizm, podział komórkowy, powielanie DNA - co tylko chcecie. Z kolei reakcje chemiczne zależą od elektronowych wiązań orbit, te zaś opierają się całkowicie na zjawiskach kwantowych. Co więcej, każdy atom naszego ciała składa się z tych samych subatomowych cząstek co klamka u drzwi lub odległa gwiazda.

- Przeprowadźmy pewien eksperyment. Wyobraźcie sobie waszą głowę, a potem wasz mózg. - Ujrzałem, że niektórzy zamknęli oczy. - Wybierzcie neuron, jakikolwiek neuron. Potem wyselekcjonujcie dowolną molekułę, a z tej molekuły wyodrębnijcie jeden atom. - Przerwałem, żeby pozwolić słuchaczom na skupienie, gdyż jeszcze kilku zamknęło oczy.

- Dobrze, a teraz skoncentrujcie się na jakiejś cząstce w tym atomie, nieważne jakiej - protonie, neutronie lub

elektronie. Fizyka cząsteczek powiada nam, że ta cząstka jest zarazem falą, co oznacza, że chociaż rezultaty naszych doświadczeń pozwalają nam postrzegać ją jako jedno bądź drugie, w r z e c z y w i s t o ś c i prawdopodobnie nie jest żadną z nich. Teoria superstrun wskazuje, że energia i materia są tylko odmiennymi wzorami wibracji czasoprzestrzeni, podstawowej tkanki wszechświata. Taka jest ostateczna dziwna natura rzeczywistości, którą musimy zrozumieć, aby pojąć czym jest świadomość i w ten sposób uporać się z zagadnieniem wolnej woli.

- Ale pan wciąż myli zasady! - przerwał mi Bouvet. - Mechanika kwantowa ma zastosowanie w mikroskali, a nie w biologii.

Rzuciłem mu pobłażliwy uśmiech.

- Pozwoli mi pan dokończyć, doktorze? - spytałem.

Nie odpowiedział i osunął się z ponurą miną na fotel.

- Mechanika kwantowa leży u podstaw wszystkich procesów, nawet tych powodujących wielkie, dające się zaobserwować skutki, które...

- Niech pan wymieni chociaż jeden! - rzucił Bouvet. Zaczynałem powoli tracić do niego cierpliwość.

- No cóż, doktorze, całkiem dobry przykład stanowi bomba nuklearna. Trudno nie zauważyć jej wybuchu, a jednak jego podłoże stanowią zjawiska kwantowe.

- Ale...

- Każdy fenomen biologiczny, w tym także świadomość, tkwi korzeniami w fizyce kwantowej, która wnosi weń immanentną nieoznaczoność i niepewność, uniemożliwiająca określenie niezmiennych warunków początkowych, jakich pan oraz inni redukcjoniści i behawioryści potrzebujecie, aby móc w ogóle cokolwiek przewidzieć. Doktorze, klasyczna fizyka jest już martwa. Musi się pan z tym pogodzić.

Z przodu sali wąły młody mężczyzna z rzadziejącymi włosami koloru piasku niepewnie podniósł rękę. Zachęciłem go skinieniem głowy.

- Czy to nie przenosi jedynie kwestii wolnej woli z tyranii biologicznej predestynacji do chaosu toczącej się kostki do gry?

Bouvet uśmiechnął się do pytającego, a potem popatrzył na mnie wyzywająco.

- Można by tak sądzić - odparłem - gdyby nie pewne opublikowane bardzo rzetelne badania z zakresu kognitywnej terapii behawioralnej, pokazujące, że ludzie z różnymi problemami - na przykład depresją - potrafią tworzyć nowe połączenia między neuronami dzięki odpowiednio nakierowanemu myślowi. Co więcej, wyniki tych badań dowodzą, iż ludzie tacy przewyżniają swoje psychiczne problemy w daleko pełniejszy i trwalszy sposób niż pacjenci łykający pigułki.

Rozejrzałem się po sali i dopiero teraz dostrzegłem Jasmine, opartą o przeciwległą ścianę i niemal ukrytą w tłumie. Odetchnąłem głęboko i rozpaczliwie przejrzałem moje notatki, szukając jakiejś inteligentnej myśli. Burza włosów okalała twarz tej kobiety, tworząc doskonałe tło dla oślepiąco błyszczących diamentowych kolczyków w jej uszach. Jej cień do powiek lśnił delikatnym fioletem. Miała na sobie chabrową koszulkę polo i spodnie khaki z mnóstwem zaszepek. Z jej ramienia zwisała wielka skórzana torba.

- Kognitywna terapia behawioralna - kontynuowałem - irytuje redukcjonistów, ponieważ klasyczna fizyka nie potrafi wyjaśnić tego, w jaki sposób coś tak eterycznego jak umysł może oddziaływać na materialny świat. Innymi słowy, ich dogmat opiera się na materii tworzącej myśli, lecz nie dostarcza absolutnie żadnego zadowalającego wyjaśnienia fenomenu myśli kształtującej materię.

Bouvet wiercił się i rzucał, nie posiadając się z irytacji, i ledwo był w stanie powściągnąć rosnące wzburzenie. Ortodoksja wywołuje taki niewiarygodnie silny gniew, pomyślałem, i nie ma znaczenia, czy ukochany dogmat jest natury religijnej czy naukowej.

- Jak to możliwe? - zapytał ten sam jasnowłosy mężczyzna. - Czy to jedynie pański wymysł, czy też istnieje tu wiarygodne naukowe wytłumaczenie?

- W istocie najnowsze prace z tej dziedziny skupiają się na małym zestawie nanomilimetrowych struktur, obecnych w każdym neuronie, a zwanych mikrotubulami. Oddziałują one na poziomie kwantowym, być może poprzez biologiczny odpowiednik kondensatu Bosego-Einsteina, w otaczających je wodnych molekułach, co umożliwi im osiągnięcie kwantowej spójności. Światowej sławy fizyk Roger Penrose i jego kolega Stuart Hameroff wysnuli teorię, że kwantowa świadomość być może wplata się w czasoprzestrzeń, co oznacza, że nasze myśli mogą zmieniać tę podstawową tkankę rzeczywistości.

- Więc czemu nie można przeczytać czegoś więcej o kognitywnej terapii behawioralnej? - padło pytanie z tłumy gdzieś obok Jasmine. Uśmiechnąłem się do niej, po czym odpowiedziałem:

- Głównie dlatego, że obracający setkami miliardów dolarów przemysł farmaceutyczny jest żywotnie zainteresowany w utrzymaniu tej prawdy w tajemnicy. Naukowcy zajmujący się kognitywną terapią behawioralną nie otrzymują funduszy na swe badania, ponieważ firmy farmaceutyczne nie chcą dopuścić do tego, aby świat dowiedział się, iż ich produkty są jedynie rodzajem chemicznego plastra, który nie leczy ukrytych głębiej psychicznych problemów, a ich metody opierają się na fałszywej teorii klasycznych redukcjonistów, finansowanych przez owe megakorporacje. Mówiąc wprost, ci którzy otrzymują wielkie dotacje na badania, nie poszukują prawdy, tylko subwencji. A tych nie otrzymuje się, podważając wyznawany przez establishment dogmat, nawet jeśli można udowodnić, iż jest błędny.

- Bzdura! - Bouvetowi w końcu nie udało się zapanować nad gniewem. - Mam dość pańskich niezdolnych, obraźliwych i kompletnie nienaukowych spekulacji.

Przyglądałem się, jak rozejrzał się po twarzach zgromadzonych ludzi, szukając w nich poparcia, a nie znalazłszy go utorował sobie łokciami drogę do wyjścia.

Jasmine przesunęła się nieco i potarła Bouveta tak że stracił równowagę. Ten nadęty Francuz odbił się niezgrabnie od framugi i zniknął za drzwiami.

Nie potrafiłem rozstrzygnąć, czy zrobiła to umyślnie. Potem obdarzyła wszystkich nikłym porozumiewawczym uśmiechem Mony Lizy. Po chwili w małej sali konferencyjnej rozbrzmiały oklaski.

28 Obcasy odkrytych czółenek Jasmine wystukiwały cichy werbel na wypolerowanym linoleum, gdy szliśmy szybko w kierunku mojego gabinetu. Spojrzałem na zegarek.

- Myślałem, że już nigdy mnie nie wypuszczą - mruknąłem. - Okropnie się spóźnimy, a naprawdę tego nienawidzę.

- Twój wykład był bardzo ciekawy.

- Tak uważasz? - Znów zerknąłem na zegarek.

- Nic dziwnego, że mama tyle o tobie opowiadała.

- Naprawdę? - Zaskoczenie, radość i dawny żal za utraconą szansą wytrąciły mnie z równowagi.

Jasmine uśmiechnęła się tajemniczo i przytaknęła, gdy mijaliśmy ostatni załom korytarza. Wydawało się, że miała na podorzędziu tyle rozmaitych odmian zagadkowego uśmiechu, co Sonia okrzyków „Oj!”

- Bez przerwy. Mówiła, że jesteś najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

- Widocznie spotkała o wiele mniej ludzi, niż sądziłem. W drzwiach gabinetu stała Sonia.

- Mama zbierała artykuły o tobie - oznajmiła Jasmine. O mało nie potknąłem się o własne nogi.

- Nic ci się nie stało? - spytała.

- Nie, wszystko w porządku - skłamałem. Wyobraziłem sobie mój zbiór wycinków na temat Vanessy, przesiąknięty wodą i spoczywający na dnie kanału. - Po prostu powinienem się jeszcze trochę przespać.

- Oczywiście wiesz, że była w tobie szaleńczo zakochana?

- O, Chryste... - Głos mi się załamał. - Żartujesz, prawda?

Obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem, które zdawało się przenikać mnie na wylot.

- Daję słowo, że nie. - Urwała i w jej oczach dostrzegłem błysk jakiejś decyzji. - I teraz już rozumiem, dlaczego.

Doszliśmy do mojego biura. Przez twarz Soni przemknął cień, gdy spostrzegła moją minę i czuły wyraz twarzy Jasmine.

- Zadzwoiłam już w pana imieniu do Pacific Hills i uprzedziłam, że trochę się pan spóźni - rzekła Sonia. Miałem już przedstawić jej Jasmine, lecz Sonia odwróciła się z przesadnym pośpiechem i weszła do środka.

- Ten sympatyczny pan Sloane i paru jego współpracowników przyprowadzili pańską furgonetkę - powiedziała, siadając za biurkiem. - Zostawili ją na pańskim miejscu parkingowym - dodała. Otworzyła środkową szufladę i wyjęła pęk kluczy.

Wszedłem do gabinetu, a Jasmine zaczekała na korytarzu.

- Musi się pan pospieszyć. Doktor nie będzie mógł czekać zbyt długo.

- Czy wszystko w porządku?

Sonia milczała przez chwilę. Jej spojrzenie powędrowało do Jasmine, a potem wróciło do mnie.

- Ona jest piękna - powiedziała. - Niech pan będzie ostrożny.

Nie znalazłem żadnej stosownej odpowiedzi.

- Oczywiście - rzuciłem tylko i wyszedłem.

Oboje z Jasmine szybko odnaleźliśmy mojego pikapa i pojechaliśmy w milczeniu przez kampus na Sunset Boule-

vard, po czym skierowaliśmy się na zachód. Gdy mijaliśmy skrzyżowanie z autostradą 405, która nawet o tej wczesnej porze dnia była, niczym w godzinie szczytu, zapchana wlokącymi się wolno pojazdami, Jasmine wpatrzyła się w Getty Museum.

Przyglądałem się jej kątem oka, podziwiając jędrne mięśnie szyi. Po raz pierwszy widziałem ją z bliska w dziennym świetle. Urzekał mnie ciepły połysk jej skóry, napiętej na wysokich kościach policzkowych, i klasyczny zarys podbródka.

Odwróciła się do mnie.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

Uświadomiłem sobie nagle, że przecież jadę odwiedzić pozostającą w stanie śpiączki żonę, a nawet nie uprzedziłem o tym Jasmine. Uderzyło mnie również jako znamienne, że Jasmine o nic dotąd nie zapytała.

- Do Pacific Hills - odpowiedziałem nie wprost, żeby zebrać myśli. - To... ośrodek kompleksowej opieki.

Przejechaliśmy zakręt przy Barrington na zielonych światłach.

- Do t w o jej żony - stwierdziła raczej, niż spytała. - Czytałam o tym w mamy albumie z wycinkami.

- Zdziwiające.

Przytaknęła i zamilkła, wpatrując się w dal. Dostrzegłem w jej wzroku smutek i cień jakiegoś wspomnienia. Zauważyła, że jej się przyglądam i obdarzyła mnie nikłym porozumiewawczym uśmiechem.

Skoncentrowałem się więc na pokonywaniu moim wielkim autem osławionych zakrętów Sunset Boulevard.

- Chcesz o tym porozmawiać? - spytała wreszcie.

Nie chciałem, ale ku memu zaskoczeniu usłyszałem własne słowa, których nie wypowiadałem od czasu, gdy zrelekcjonowałem wypadek policjantom sporządzającym raport.

- To było sześć lat temu - powiedziałem. - W innym życiu.

Przez moment znów skupiłem się na prowadzeniu samochodu i zwolniłem, gdy podczas brania prawego zakrętu siła odśrodkowa ściągnęła nas na zewnątrz.

- W sobotni wieczór około dziesiątej wracaliśmy z przyjęcia urodzinowego programisty, który u mnie pracował. Prowadziłem minifurgonetkę Camilli. Siedziała obok mnie, a za nami Lindsy i Nate, przypięci do samochodowych fotelików. Jechaliśmy Westwood Boulevard na południe i mieliśmy zielone światło. Minałem Wilshire i skierowałem się w górę wzgórza, gdy ni stąd ni zowąd z przeciwka wyjechał wielki Lexus.

Potrząsnąłem głową, starając się z wysiłkiem zapanować nad ogarniającymi mnie emocjami. Przez moment zobaczyłem, jak Lexus wjechał na szczyt wzgórza i dosłownie oderwał się od ziemi. Świadcowie zeznali później, że kiedy z powrotem opadł, kierowca stracił nad nim panowanie. Stało się to tak szybko, że wprawdzie zdołałem to zobaczyć, lecz nie zdążyłem już zareagować.

- Lexus obrócił się, odbił od jakiegoś zaparkowanego samochodu i rąbnął w Camillę.

Znów ujrzałem przed oczami ten wóz i wyraz upojnej radości na dobrze znanej z mediów twarzy człowieka za kierownicą. Odetchnąłem głęboko, aby zapanować nad gniewem, jaki zawsze budziło we mnie to wspomnienie.

- To uderzenie rozerwało furgonetkę na pół, zabijając w jednej chwili moje dzieci.

Jasmine nic nie odpowiedziała. Długi czas jechaliśmy w milczeniu tunelem drzew, rosnących po obu stronach Sunset. Minęliśmy Riviera Country Club i w końcu dotarliśmy do ostatniego stromego wzgórza, opadającego ku autostradzie Pacific Coast.

- Kierowca Lexusa, sławny producent filmowy napompany jakimś nadzwyczaj modnym winem cabernet z Napa Valley, wyszedł z tego zaledwie z jednym czy dwoma sińcami. - Mówiąc to, musiałem użyć całej siły woli, żeby roz-

luźnie chwył na kierownicy, którą ścisnąłem tak mocno, aż zbielały mi kostki.

- Tak więc Pan Dyrektor Studia wydał górę forsy na całą firmę prawniczą oraz batalion specjalistów występujących jako świadkowie, którzy wymyślili te tajemnicze zaburzenia przemiany materii, mające wytłumaczyć jego stan upojenia alkoholowego. Nie miało znaczenia, że zabił swoją rodzinę, skoro zespół jego obrońców potrafił przekonać sąd, że uczynił to niechcący i nic nie mógł na to poradzić, ponieważ cierpi na ową wątpliwą przypadłość, poświadczoną przez bandę szarlatanów i sprzedajnych ekspertów sądowych. Bynajmniej mi też nie pomogło, że połowa członków ławy przysięgłych marzyła o karierze aktorskiej lub miała w szufladzie napisany przez siebie scenariusz, toteż podlizywała się temu facetowi, który uniknął kary, mimo iż jego kartoteka jazd po pijanemu była dłuższa niż nos Pinokia.

- To wprost nie do wiary.

Skinąłem głową, skręcając w prawo na autostradę Pacific Coast.

- Chyba czytałam gdzieś, że kilka lat później zginął w innym wypadku samochodowym?

Znów kiwnąłem głową, nie potrafiąc ukryć uśmiechu.

Mijaliśmy szeregi stacji benzynowych, nędznych całodobowych sklepów spożywczych oraz dziwacznych podupadłych małych sklepików. Jechało się nam całkiem przyjemnie, póki po kilku kilometrach nie utknęliśmy w sznurze samochodów mijających powoli remontową ekipę drogową, która naprawiała ogrodzenie z betonu i metalowej siatki, chroniące przed kamiennymi lawinami.

Jasmine spojrzała w górę na strome zbocze, potem na plażę, ocean, a wreszcie na mnie.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzekła.

Potrząsnąłem głową.

- Nie musisz nic mówić.

Niski warkot ciężkich maszyn drogowych stał się głośniejszy, gdy przepełzaliśmy obok terenu naprawy. Potem przyspieszyliśmy; z tyłu czarne dwuosobowe audi błysnęło światłami i wyprzedziło nas, przekraczając podwójną żółtą linię, a za nim śmignęła motocyklistka w czarnej skórce. Spod jej kasku powiewały jasne włosy.

- Więc co potem zrobimy? - zapytała Jasmine. - To znaczy, kiedy już odwiedzisz swoją żonę?

Żonę. Wymówiła to słowo swobodnie, lecz obudziło ono na powrót całe moje poczucie winy i niezdecydowanie, wciąż utrzymujące mnie na orbicie wokół ciała tej kobiety, którą kiedyś kochałem.

- Chciałbym wpaść do przyjaciela, który mieszka przy krańcu Topanga Canyon. - Opowiedziałam Jasmine o Chrisie Nellisie i o tym, co znalazł, nurkując w miejscu zatonięcia mojego jachtu. Nie martwiąc się, czy zachowa dyskrecję, powtórzyłem jej wszystko, co usłyszałem od Vince'a, uzupełniając to o moje uwagi, obawy i rozterki związane z ostatnimi wypadkami.

- To wszystko do siebie pasuje.

- Tak?

- W nocy rzuciłam okiem na czip cyfrowej pamięci błyskowej z palmtopa mamy. - Wyjęła z torebki własny notes elektroniczny i włączyła go.

- Mam taki sam model, jaki ma ona... - jej twarz straciła na chwilę opanowany wyraz -jaki miała - poprawiła się. Wpatrywała się przez chwilę w ekran. - Na ile mogę się zorientować, czip pamięci zawiera dossier jakichś badań i wydaje mi się, iż pochodzi od byłego obrońcy Darryla Talmadge'a, zwolnionego po tym, jak wojsko uznało, iż pogwałcił jurysdykcję obrony narodowej i ustawę Patriot Act. Mógł to też przysłać ktoś zatrudniony u tego adwokata.

- Dossier badań?

- Przynęta. Dowód wiarygodności.

- Nie rozumiem - powiedziałem i zwolniłem, ponieważ wjeżdżaliśmy w południowy kraniec Malibu.

- Myślę, że właśnie to zainteresowało mamę w sprawie Talmadge'a. Przypuszczam, że ten adwokat obiecał jej coś większego, jakąś sensacyjną informację, która miała sprawić, że mama nawiąże z nim współpracę i zaangażuje siły naszej fundacji prawniczej w obronie Talmadge'a.

- To dość naciągana hipoteza, nie sądzisz? To znaczy, biorąc pod uwagę zbrodnię, jaką popełnił.

- Nie tak bardzo naciągana. Mama wyjątkowo ostro występowała przeciwko karze śmierci, zwłaszcza w rejonach takich jak Missisipi, gdzie biali nadal otrzymują wyroki więzienia za dokładnie takie same zbrodnie, za które czarnych wysła się do komory gazowej. Więc nie - to nie jest takie naciągane, zwłaszcza jeśli on jej nie popełnił.

- No cóż - powiedziałem, zatrzymując się przed grupą surfingowców w nieprzemakalnych kombinezonach, zmierzających ku jednej z niewielu ogólnodostępnych plaż, nie zablokowanych jeszcze nielegalnie przez hollywoodzkich bogaczy, stojących ponad prawem. - Albo to, albo kwestia tego, czy Talmadge był umyślowo chory lub cierpiał na jakieś fizyczne, wykrywalne uszkodzenie mózgu. Właśnie z tego powodu twoja mama po raz pierwszy się ze mną skontaktowała.

- Owszem. Ale przypuszczam, że to sięga o wiele głębiej, do jakichś przerażających spraw, dla których ktoś gotów jest nas zabić, aby uniemożliwić nam ich odkrycie.

Minęliśmy stację benzynową, przy której spostrzegłem tę samą szaloną motocyklistkę, tankującą paliwo. Była bez kasku. Pokazałbym jej uniesiony środkowy palec, gdyby Jasmine nie siedziała obok mnie; w tej sytuacji skupiłem się na tym, co przed chwilą usłyszałem.

- Jakich spraw?

Jasmine pochyliła głowę i zadrżała do swego palmtopa.

- No cóż, wciąż przewija się tu nazwisko generała Clarka Braxtona i...

- Rany! To ciężki kaliber. Ponieważ demokraci nadal tkwią na aucie, on z pewnością zostanie następnym prezydentem, chyba że... - Głos odmówił mi posłuszeństwa, gdy uświadomiłem sobie możliwe konsekwencje.

- Chyba, że wypłynie coś, co spieprzy jego szanse - dołączyła Jasmine.

Spojrzałem na nią.

- O rany - powtórzyłem cicho.

29

Byliśmy tak wstrząśnięci, że przez dobrą minutę nie mogliśmy wydusić z siebie słowa. Wreszcie Jasmine postukała w palmtop palcem z wymanikiurowanym, lecz nie krzycząco kolorowym paznokciem.

- Chodzi o Braxtona - potwierdziła. - Adwokat Talmadge'a, Jay Shanker, zebrał dokumenty dowodzące, że generała użyto jako szczura doświadczalnego w jakimś tajnym medycznym programie badawczym, prowadzonym w jednym z dawnych wojennych obozów jenieckich w Delcie.

Skinałem głowę. W okresie drugiej wojny światowej Stany Zjednoczone nie wiedziały, co począć ze statkami handlowymi, wracającymi bez ładunku z Europy do portów na południu kraju. Do tego dochodził problem braku żywności w Europie oraz konieczność angażowania licznych oddziałów wojska do pilnowania tamtejszych obozów jenieckich. Ktoś rozważył całą sytuację i wpadł na pomysł, żeby załadować niemieckich jeńców na puste okręty i wysłać ich do wiejskiego stanu Missisipi, gdzie jest mnóstwo żywności, tania ziemia i rozległe otwarte przestrzenie, na których nie można się ukryć, zaś niewielu mieszkańców mówi po niemiecku.

Armia ulokowała przeważającą część obozów jenieckich w pobliżu rolniczych miejscowości w Delcie, takich jak Bel-

zoni czy Greenwood. Po wojnie większość z nich porzucono, chociaż jako dziecko słyszałem pogłoski, że wciąż wykorzystywany jest ten w Belzoni, na południowy zachód od jednej z plantacji Sędziego.

- W Belzoni - powiedziałem.

- Co? Skąd wiesz?

- Domysł oparty na wiedzy.

- Masz rację. W karcie pamięci błyskowej, którą dała ci mama, znajduje się informacja, że armia przeprowadza tam jakiś rodzaj tajnych eksperymentów medycznych, niezupełnie legalnych - tak jak ta sprawa syfilisu w Tuskegee¹.

Z pamięci wypłynęło nieprzyjemne wspomnienie z mojego dawnego życia. Jako świeżo upieczony rekrut uczestniczyłem w końcowej fazie Projektu 112, a później w Projekcie SHAD - eksperymentach, podczas których w latach 1962- 1973 testowano gaz paraliżujący i broń bakteriologiczną na ponad pięciu tysiącach ludzi z personelu wojskowego. W ich wyniku dziesiątki żołnierzy powołanych do służby wcześniej niż ja doznało trwałego kalectwa. W 2003 roku informacje o tych doświadczeniach przeciekły do mediów, nie wywołując jednak zbytniego zainteresowania opinii publicznej.

Jednakże nie wspominałem o tym, tylko powiedziałem:

- Albo jak te testy oddziaływania eksplozji atomowych, prowadzone na żołnierzach w latach pięćdziesiątych.

Jasmine ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Chryste, na samą myśl o takich rzeczach czuję się okropnie - dodałem. - Dzielni mężczyźni i kobiety, gotowi umrzeć w obronie swego kraju, zdradzeni przez tłustych politycznych biurokratów z Pentagonu.

¹ Przez czterdzieści lat, od 1932 do 1972 roku amerykańska publiczna służba zdrowia przeprowadzała eksperymenty na 399 zarażonych syfilisem czarnych mężczyznach, głównie niepiśmiennych parobkach wiejskich z Alabamy - nie zamierzając ich leczyć, tylko traktując jak zwierzęta doświadczalne i doprowadzając do ciężkich powikłań i śmierci (przyp. tłum.).

Poczułem narastający gniew. Wyjechaliśmy w końcu z korka w Malibu i przyspieszyliśmy, zmierzając ku szczytowi wzgórza.

- W każdym razie materiał na czipie pamięci błyskowej zawiera fragmenty akt medycznych Braxtona. Wskazują one, że Braxton otrzymał w Wietnamie ranę głowy, po czym przeszedł w Belzoni operację mózgu.

- To dość słynny fakt.

- Aha, tylko że według tych zapisów lekarze wojskowi eksperymentowali z nim i innymi rannymi w głowy żołnierzami, aby zwiększyć ich agresywność. Jak sami mówili, pragnęli stworzyć dla armii „idealnych zabójców”.

Gwizdnąłem cicho.

- To polityczny dynamit.

- Groźniejszy niż bomba jądrowa.

- Chociaż z drugiej strony, to może mu pomóc. Odważny, śmiertelnie ranny bohater zostaje wykorzystany przez wojsko, któremu tak dzielnie służył.

- Wątpię - rzekła Jasmine. - Nikt nie chce mieć za prezydenta kogoś, kto ma nie po kolei w głowie.

- Czemu nie? Od czasu JFK wszyscy byli pomyleni.

- To prawda.

Droga opadała teraz w kierunku rozległej plaży i oceanu.

- Co jeszcze jest w tych materiałach? - spytałem.

Jasmine potrząsnęła głową.

- Mnóstwo jakichś niejasnych informacji, umieszczonych po to, żeby zaintrygować mamę i skłonić ją do współpracy.

- I to podziałało.

- J a y Shanker obiecał, że dostarczy jej na płycie CD mikrofiszki z wszystkich akt medycznych z Belzoni, w tym dane pacjentów, stopnie wojskowe, daty, opisy procedur, nazwiska lekarzy oraz podpisane przez wyższych dowódców dokumenty zezwalające na prowadzenie tych doświadczeń.

Znowu gwizdnąłem.

- Każdy z nich popełniłby morderstwo, żeby utrzymać to w tajemnicy.

Kilka kilometrów za Point Durne zwoźniłem przed małym, dyskretnie ukrytym znakiem, który miał zwrócić uwagę tylko tych, którzy wiedzieli, gdzie go szukać. Tak jak robiłem to dwa razy na tydzień w ciągu minionych sześciu lat, skręciłem w wąską brukowaną drogę, biegnącą przez wspaniałą ogród ku artystycznie zdobionej stalowej bramie okolonej kamiennymi kolumnami. Zahamowałem przy postumencie z domofonem i klawiaturą, w którą wstukałem mój kod.

- Wszystko łączy osoba Talmadge'a - powiedziałem, gdy brama zaczęła się otwierać. - Co oznacza, że odpowiedzi znajdziemy u nas w domu, w Delcie.

- W Delcie? - powtórzyła, rzucając mi znów ten uśmiech Momy Lizy. - Sądziłam, że twoim domem jest Kalifornia.

Zastanowiłem się nad tym, powoli przejeżdżając przez bramę.

- Camilla też mnie zawsze na tym przyłapywała. Mówiła, że to napawają smutkiem.

- Delty nigdy się nie zapomina.

- Tak, wciąż mam ją w sercu, ale nie wyobrażam sobie, bym mógł tam znowu zamieszkać.

Jechaliśmy przez chwilę w milczeniu, a potem powiedziałem:

- Dlaczego zrobiono to teraz? Dlaczego wytoczono Talmadge'owi sprawę teraz, po tylu latach? I czemu zamordowano Vanesę?

- No cóż, według najpopularniejszej hipotezy - przynajmniej wśród gliniarzy - mamę zabił ktoś ze społeczności afroamerykańskiej, nie chcąc, aby pomagała Talmadge'owi.

- Obwinienie ofiary?

- To stara metoda. Dostawała mnóstwo e-maili z pogroźkami. Niektórzy gniewni członkowie środowisk afroamery-

kańskich potępiali ją za to, że pomaga temu białemu diabłu. - Jasmine wyjrzała w milczeniu przez boczne okno, po czym dodała: - Ta sprawa ma aspekt rasowy. I osobisty. Często byli to ci sami ludzie, którzy przed laty atakowali ją za zdradę swej rasy, kiedy w Nowym Jorku umówiła się na randki z paroma białymi facetami.

Powiedziała to spokojnie, lecz mimo to na moment serce we mnie zamarło. Zadziwiła mnie jej umiejętność tak swobodnego rozmawiania o drażliwej kwestii rasowej. Miałem przyjaciół wszelkich ras i starałem się nie zwracać uwagi na kolor ich skóry, co zdawało się umacniać naszą przyjaźń, gdyż widziałem w nich przede wszystkim chirurga, przedsiębiorcę czy utalentowanego artystę, a nie Pakistańczyka, Azjatę bądź Murzyna. Lecz mogłem pozwolić sobie na ignorowanie rasy, ponieważ jako biały nie byłem nieustannie narażony na stykanie się z ludźmi zdolnymi do nienawiści z powodu koloru skóry.

- Więc... - zacząłem i zawahałem się. - Więc czy to mógł być motyw zabójstwa?

- Nie można tego wykluczyć, ale wątpię. Bardzo poważnie w to wątpię. Inna sprawa, jak przekonać o tym policję.

- Ale czemu teraz wniesiono oskarżenie przeciw Talmadge'owi? Ten człowiek jest już stary i ledwo żyje. Ma straszliwe ataki, które rozrywają go na części, i śmiertelnego raka krtani od papierosów. Dlaczego nie pozwala mu się po prostu umrzeć? Rak jest przecież nieuchronną karą.

- Kara nie zawsze oznacza sprawiedliwość - powiedziała Jasmine. - Czy sądzisz, że w procesach norymberskich chodziło wyłącznie o karę i winę sądzonych?

Przerwała, czekając na odpowiedź, której nie miałem, a potem potrząsnęła głową.

- Sprawiedliwość to coś więcej niż kara. Wprowadza element kulturowego odrzucenia zachowań przestępczych i w ten sposób aplikuje sprawiedliwość w życie bezpośrednio skrzywdzonych jednostek oraz społeczeństwa jako całości.

- Ale dlaczego Talmadge i dlaczego teraz?

- To, co się obecnie dzieje, zaczęło się w 1990 roku, kiedy podczas wstępnego procesu w Jackson oskarżono Byrona De La Beckwitha o zamordowanie Medgara Eversa.

Znałem tę sprawę. Evers w 1963 roku został zastrzelony przed swym domem. Bill Waller, młody ambitny prokurator okręgowy z Hinds, postawił De La Beckwitha przed sądem, przez co musiał znosić obelgi i anonimowe groźby śmierci. Waller oparł się też silnym naciskom ze strony rządzących stanem rasistów - demokratów w rodzaju Stennisa czy Easdanda, którzy zrobili kariery, nie dopuszczając do integracji w szkołach i sądzili, że poprawne stosunki rasowe przyczyniają się do powstawania jeszcze większej ilości napisów „Tylko dla kolorowych”, jakich pełno szpeci krajobraz Missisipi niczym obrzydliwe graffiti. W takiej atmosferze Waller skompletował ławy przysięgłych w dwóch odrębnych procesach. Przypuszczam, że - zważywszy fakt, iż składały się wówczas wyłącznie z białych - werdykty, jakie wydały, stanowiły częściowe zwycięstwo i dowodziły, że nie wszyscy biali ludzie popierali panującą w stanie Missisipi brutalną segregację rasową.

Niecałe dziesięć lat później „miłośnika czarnuchów” Wallera wybrano na gubernatora stanu Missisipi, w dużej mierze dzięki działaniom FBI, wspartym przez wpływowych polityków rządu federalnego oraz oddziały Gwardii Narodowej. Wielu ludzi uważa, iż kluczową rolę odegrały pokojowe protesty zainicjowane przez pastora Martina Luthera Kinga juniora. W rzeczy samej, doktor King i jego stronnicy jako pierwsi ukazali narodowi swoje poświęcenie i cierpienie i pomogli obywatelom amerykańskim zrozumieć istotę dziejącego się zła. Lecz nigdy nie odnieśliby sukcesu bez siły rządu federalnego, z którą nawet Ku-Klux-Klan musiał się liczyć.

- Prokurator Bobby DeLaughter uzyskał wyrok skazujący w sprawie Eversa - ciągnęła Jasmine. - I osiągnął coś więcej

niż tylko sprawiedliwość dla wdowy Myrlie Evers i jej dzieci. Wysłany został potężny sygnał, że Missisipi się zmieniło i że skoro doprowadzono tutaj do skazania winnego, może się to zdarzyć wszędzie. Wkrótce istotnie wydano wyroki skazujące w sprawach zamachów bombowych w kościołach Birmingham i w mnóstwie innych zbrodni Ku-Klux-Klanu - wszędzie, aż po Indianapolis i Pensylwanię.

- To była kluczowa sprawa - przyświadczyłem.

- Zaspokój głód sprawiedliwości jednej osoby, a nakarmisz cały lud. To jak historia w Ewangelii o pomnożeniu chlebów i ryb.

Wyjechaliśmy z gęstych zarośli na szczyt wzgórze i naszym oczom ukazał się nieregularny dwupiętrowy budynek z rozległymi portykami, kryty czerwoną dachówką, o ścianach naśladowujących suszoną na słońcu cegłę, co miało przypominać hiszpańskie misje, jakie spotyka się na północy i południu wzdłuż El Camino Real.

- Imponujący - rzekła przeciągle Jasmine.

- Chciałem wybrać dla niej najlepszy ośrodek. - Podążyłem wzrokiem za spojrzeniem Jasmine. - I na szczęście mogłem sobie na to pozwolić.

Umundurowany mężczyzna kiwnął na nas, abyśmy przejechali obok niewielkiej budki strażniczej. Wjechałem na parking dla gości i znalazłem wolne miejsce.

- J e s t tylko jeden problem - rzekła Jasmine.

Wyłączyłem silnik furgonetki.

-Z tym ośrodkiem? - spytałem.

Jasmine potrząsnęła głową.

- Nie, ze sprawą Talmadge'a.

- J a k i ?

- Właśnie to niepokoiło mamę. - W zamyśleniu spojrzała w górę i przygryzła dolną wargę, szukając właściwych słów. - Sprawa Talmadge'a nie była żadną słynną nierozwiązaną zbrodnią. Została na długo zapomniana, jako jedno z wielu dawnych zabójstw w Balance Due. I oto nagle pew-

nego dnia w zeszłym roku do wydziału policji w Greenwood przychodzi anonimowy dokument, zawierający informacje i dowody uporządkowane niemal zbyt doskonale, by mogły być prawdziwe. Mamie wydało się to podejrzane i zaczęła zadawać pytania.

- I wtedy ją zamordowali?

Skinęła głową.

Siedzieliśmy w milczeniu, przysłuchując się metalicznym szmerom i trzaskom stygnącego silnika. Potem z budynku wyszedł w rozwianym kitlu Jeff Flowers, prowadzący lekarz Camilli, i rozłożył szeroko ramiona w powitalnym geście.

- Jestem z nim umówiony - powiedziałem, wyjmując kłuczyk ze stacyjki. - Wejdz i zaczekaj na mnie chwilę.

- Dobrze - odparła i poszła za mną przez parking.

- Witam, panie profesorze - rzekł z uśmiechem Flowers, podając mi rękę. - Nie wygląda pan wcale źle, jak na człowieka, który nie zmrużył w nocy oka i brał udział we wszystkich tych wypadkach, które pokazano w telewizji.

Uścisnąłem jego dłoń.

- Cóż, czuję się znacznie gorzej, niż wyglądam.

Odrzuciłem się i przedstawiłem go Jasmine:

- Jeff jest dyrektorem generalnym i medycznym tego ośrodka. To jego ukochane dziecko.

- Bardzo mi miło - powiedział serdecznie Flowers, ściskając jej rękę. - Proszę wejść. Wewnątrz jest ładniej.

- Jeszcze ładniej? - Przyjrzała się ostentacyjnie budynkowi i otaczającym go terenom. - Wobec tego muszę to zobaczyć.

Weszliśmy za Flowersem do środka. Ulokował Jasmine w jednym z pokoi dla gości.

- W tym telefonie są zaznaczone skróty numerów mojej komórki i pagera oraz aparatu mego asystenta - powiedział jej. - Proszę zadzwonić, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

- Dziękuję.

Flowers uklonił jej się lekko, a potem otworzył przede mną drzwi i obaj wyszliśmy na korytarz.

- Przepraszam, panie profesorze, że jestem taki zagoniony - powiedział, prowadząc nas w kierunku apartamentu Camilli. Wiele czasu upłynęło, odkąd jako zdolny student siedział w pierwszym rzędzie na moich zajęciach z neurofizjologii na Uniwersytecie w Los Angeles, lecz wciąż z szacunkiem tytułował mnie profesorem, co wprawiało mnie w zakłopotanie.

- Mnie również się to zdarza.

Przyspieszył kroku.

- Pańska żona nie czuje się dobrze. W ciągu ostatnich czternastu godzin nabawiła się paskudnego zapalenia okolic przetoki jelita czczego. Rozpoczęliśmy natychmiast uderzeniową kurację antybiotykową, lecz jak dotąd bez rezultatu.

Skinąłem głową, gdy obeszlśmy wózek sprzątaczk i skręciliśmy w prawo na klatkę schodową, prowadzącą w górę do frontowego skrzydła, gdzie znajdowały się pokoje Z widokiem na ocean.

Sonda do odżywiania wnikała w nacięcie w brzuchu Camilli i omijając żołądek, docierała do górnego fragmentu Jelita cienkiego. Kwasy żołądkowe mogły wyciekać przez nacięcie na zewnątrz i wżerać się w tkanki; z kolei z zewnątrz mogły wnikać bakterie.

- Nic dziwnego - powiedziałem. - Właściwie trudno pojąć, jak udało się przez sześć lat uniknąć infekcji.

- To nie wszystko, panie profesorze - rzekł z powagą Flowers. - Funkcjonowanie nerek wyraźnie się pogorszyło i występują oznaki rozwijającego się zapalenia płuc. Nie wiem jeszcze, czy te objawy związane są z zainfekowaniem rany, ale laboratorium analityczne pracuje nad tym z największym pośpiechem.

Gdy go słuchałem, moja nadzieja na przemian rosła i malała. Przez sześć lat zмагаłem się ze znużeniem i zniechęceniem, spowodowanymi trwającym w nieskończoność

stanem zawieszenia Camilli między życiem a śmiercią. Kilka lat temu Flowers omawiał ze mną możliwość usunięcia przewodu odżywiającego. Lecz kochałem ją nadal głęboko, pomimo dowodów, że ta Camilla, którą znałem, nie zamieszkuje już oddychającego wciąż ciała i nieodwołalnie opuściła. Zarazem gdzieś w tle pamiętałem o zasadzie etycznej Amerykańskiego Towarzystwa Medycznego, zgodnie z którą „nie ma żadnej moralnej różnicy między zaniechaniem leczenia a zaprzestaniem podtrzymującej życie kuracji”.

Przewód odżywiający umieszczono w stosunkowo wczesnym okresie, kiedy istniała jeszcze nadzieja na wyzdrowienie. Lecz skoro już go zastosowano, jego usunięcie uczyniłoby ze mnie kata... lub mordercę. Powstrzymywały mnie również inne względy. Przed poznaniem Camilli żyłem niczym latawiec, który zerwał się ze sznurka, gwałtownie wzbijając się w górę i nurkując; sięgałem niebotycznych wysokości, ale poznałem też grozę i cierpienie nagłych upadków, gdy ziemia rosła mi w oczach, kanciasta i twarda. Camilla stała się sznurkiem mojego latawca, chroniącym go przed chaotycznym lotem. Przez ostatnich sześć lat sama myśl o niej pozwalała mi nadal zachować dyscyplinę. Przerazała mnie perspektywa życia bez niej.

- Zauważyliśmy także zmiany w jej elektroencefalogramie, których nie rozumiem - ciągnął Flowers, gdy weszliśmy na szczyt schodów i skierowaliśmy się prosto do pokoju Camilli. - Mam nadzieję, że pan zdoła rzucić nieco światła na te objawy.

Weszliśmy w drzwi prowadzące do poczekalni apartamentu. Za szerokimi oknami lśnił Pacyfik, a na horyzoncie olbrzymi kontenerowiec płynął w kierunku Point Conception. Nieco bliżej dostrzegłem nieskazitelny geometryczny kształt czerwono-białego spinakera żagłówki, a jeszcze bliżej grupę surferów, siedzących okrakiem na deskach w oczekiwaniu na odpowiednio dużą falę.

Poszedłem za Flowersem do drzwi wiodących do pokoju Camilli. Otworzył je i odwrócił się do mnie.

- Obawiam się, że również wygląda gorzej niż w zeszłym tygodniu - powiedział, po czym obaj weszliśmy do środka.

Łóżko Camilli było jak zawsze zwrócone w stronę okna. Nie wiedzieliśmy, czy może widzieć, ale znając jej miłość do oceanu chciałem mieć pewność, że jeśli w jej mózgu tli się choćby najmniejsza iskierka umożliwiająca kontakt ze światem, będzie mogła spędzać czas możliwie najprzyjemniej.

Badania pokazały, że nie dysponujemy żadną metodą udowodnienia, iż Camilla jest pozbawiona świadomości, a jedynie, że nie potrafimy wykryć jej oznak. Toteż kupowałem najlepsze filmy na DVD i kompakty z muzyką, a także opłacałem ludzi, którzy czytali jej książki. Nie wiem, czy na cokolwiek jej się to przydało, lecz dla mnie stanowiło pewną niewielką pociechę.

Kiedy zbliżyłem się do łóżka, serce mi zamarło. Camilla nie przypominała kobiety, którą odwiedziłem przed niespełna tygodniem. Jej skóra zszarzała; zauważyłem podłączoną dodatkową czwartą kroplówkę z kapiącym powoli antybiotykiem.

- Przykro mi - powiedział Flowers, widząc wyraz mojej twarzy.

Podszedłem do boku łóżka i ująłem chłodną suchą dłoń Camilli, tak niezmiernie drobną w mojej. Za moimi plecami drzwi trzasnęły cicho, gdy Flowers dyskretnie opuścił pokój.

Gdy trzymałem Camillę za rękę, jej spojrzenie utkwione było nieruchomo w odległym oceanie. Potem ostrożnie, żeby nie uszkodzić sieci rurek i przewodów od monitorów, położyłem swoją głowę obok jej i spojrzałem w okno, próbując zobaczyć to, co być może ona widzi. Przypomniałem sobie czasy, gdy nasze myśli, uczucia i wyobrażenia tak niezwykle się ze sobą pokrywały, iż nasze życia tworzyły całkowitą jedność. Odwróciłem wzrok od oceanu i spojrzałem

w jej oczy. Nie zmieniły wyrazu, nie pochwyciły mojego spojrzenia - pozostały wciąż wpatrzony w jakiś odległy obraz, który dla mnie był niedostrzegalny. Serce mówiło mi, że nie jest świadoma mojej obecności, że już jej tu nie ma, że nie jest już Camilla.

Lecz nie byłem tego pewny.

Nachyliłem się i pocałowałem ją w policzek.

- Kocham cię - szepnąłem. - Kocham cię.

30 Jasmine milczała, pozwalając mi pograżyć się w myślach, gdy zabrałem ją z pokoju, w którym na mnie czekała. Flowers obiecał, że prześle mi e-mailem wyniki EEG Camilli, żebym sam mógł ocenić ich odstępstwo od normy.

Nie myślałem wiele o Jasmine ani o Flowersie, gdyjechałem wraz z nią z powrotem na południe autostradą Pacific Coast, przepełniony przygniatającym smutkiem. Z doświadczenia wiedziałem, że poddanie się cierpieniu przypomina mi o daremności ludzkich ambicji. Bogactwo, władza, sława, pozycja społeczna zestawione z wiecznością wydają się bez znaczenia. Ból zawsze unicestwia wszelkie ambicje, a potem zanika, pozostawiając mi rozmyślanie o tym, czy istnieje jakakolwiek trwała rzecz, której mógłbym poświęcić życie.

W takich chwilach nasuwają mi się wizje Boga, duszy, ludzkiego ducha, miłości, człowieczej świadomości, która trwa nadal po śmierci ciała - mglistego obszaru poza terytorium nauki i jej dowodów, domeny wiary wykraczającej poza ludzką pewność. Nigdy nie doszedłem do żadnej niewzruszonej konkluzji, lecz samo pograżenie się w tych medytacjach sprowadzało na mnie w końcu poczucie harmonii i spokoju.

Teraz także ów spokój zaczynał wreszcie ogarniać moje serce. Gdy mijaliśmy rozległy spadzisty teren na południe od Malibu, zjechałem na bok, żeby przepuścić dwóch mo-

tocyklistów z Kalifornijskiego Patrolu Drogowego oraz samochód szeryfa, pędzących na sygnałach i z migającymi światłami. Potem pojechałem dalej i skręciłem w lewo w Topanga Canyon, gdzie mieszkał Chris Nellis.

- Mam złe przeczucie - powiedziałem.

Jasmine siedziała milcząca. Zmierzając na północny wschód pokonaliśmy łagodne wzniesienie i w oddali ujrzeliśmy samochody policyjne i ambulans, stojące przed niewielkim trójkątnym domkiem. Nieco bliżej nas policjanci drogowi kierowali ruchem.

- O, do diabła - zakląłem.

- Co takiego? - spytała Jasmine.

Przyspieszyłem nieco, zjeżdżając w dół wzgórza, w kierunku patrolu drogowego.

- To dom Chrisa Nellisa.

Pokazałem policjantom moją legitymację zastępcy szeryfa w rezerwie i usłyszałem od nich, że Nellis został zamordowany. Postrzelony wielokrotnie, najwidoczniej przez kogoś snajpera. Machnęli, że mogę podjechać pod dom, lecz ja zamiast tego zawróciłem.

- Musisz się stąd wynieść - powiedziałem do Jasmine, kiedy wjechaliśmy znów na autostradę Pacific Coast.

- Zawieź mnie z powrotem do hotelu. Spakuję się i pierwszym samolotem polecę do Jackson.

Zastanowiłem się nad tym, skręcając w lewo na plażę. Raptem owładnęło mną przekonanie, że jesteśmy obserwowani i pewność, że mój telefon do Chrisa stał się przyczyną jego śmierci.

Uświadomiłem sobie nagle, że w gąszczu pojazdów ktoś mógł przez cały czas jechać za nami.

Zerknąłem na Jasmine i przytknąłem palec do ust.

- Doskonały pomysł - rzekłem, potrząsając przecząco głową.

Przez minutę jechaliśmy w milczeniu. Skręciłem na plażowy parking, oglądając się, czy nikt nas nie śledzi.

- Lecz zanim wyjedziesz, musisz przynajmniej raz zażyć uroków plaży.

Jasmine rzuciła mi pytające spojrzenie, ale posłusznie wysiadła wraz ze mną z furgonetki.

Na skraju wody ruszyliśmy spacerem po twardym wilgotnym piasku i wtedy podzieliłem się z nią moimi podejrzeniami.

- Nie możesz wrócić do hotelu. Oni spodziewają się, że właśnie tak zrobisz. Zawiozę cię prosto na lotnisko.

- Ale moje ubrania i...

- Daj mi swój klucz. Zajmę się tym. Zapłacę rachunek i przywiozę ci twoje rzeczy.

- Jesteś pewien, że...?

- Być może grozi ci to samo, co t w o jej matce. Wsiądź do pierwszego samolotu odlatującego z terminalu numer jeden. Nieważne, dokąd będzie leciał... do Phoenix, Sacramento, wszystko jedno gdzie. Tylko w ten sposób zdołasz ich zgubić. Potem poleć jak najszybciej do domu.

Doszliśmy po piasku do betonowej ławki pod dwiema palmami i zawróciliśmy z powrotem do mojej furgonetki.

- Dołączę do ciebie jutro - obiecałem.

- A l e twoja praktyka, twoja praca...

- Jeśli nie uda nam się rozwikłać tej sprawy, nie dałbym złamanego grosza za to wszystko... nie mówiąc już o twoim i moim życiu.

31 Siedziba Pentagonu, będąca niegdyś największym budynkiem na świecie, stała na dawnych moczarach Virginii. Rozciągający się z niej widok na pobliski Narodowy Cmentarz w Arlington aż nazbyt często nasuwał nieprzyjemne skojarzenia.

Generał broni Dan Gabriel jak zawsze zatrzymał się na szczycie północnych schodów Pentagonu, spojrzął w kie-

runku cmentarnych grobów i odmówił w duchu dziękczynną modlitwę za mężczyzn i kobiety pochowanych tam i na całym świecie. Potem pchnął ciężkie drzwi z mosiądzu i szkła i wszedł do holu.

Sierżant dyżurny zerwał się słuźbiście na widok trzech gwiazdek na ramionach Gabriela.

- Sir! - rzucił, salutując szybko i precyzyjnie. Gabriel odwzajemnił salut o wiele mniej oficjalnie. Pomimo wysokiej rangi nie miał już tutaj swojego gabinetu i musiał okazać dowód tożsamości oraz wpisać cel przybycia. Generałowie broni nie mogą wpaść tu tak po prostu z wizytą. Jego pojawienie się rozpętało lawinę telefonów i konsultacji i sprawiło, że nad górną wargą oraz na czole sierżanta dyżurnego pojawiły się kropelki potu. Gabriel zauważył jego baretki za udział w wojnach w Wietnamie, Afganistanie i na Bliskim Wschodzie i uświadomił sobie, że ten wytrawny żołnierz niewątpliwie o wiele swobodniej stawiał czoło wrogim ręcznym granatnikom przeciwpancernym niż niezapowiedzianej wizycie generała.

- Bez nerwów, sierżancie - rzekł. - Nie spieszy mi się.

Tamten rzucił mu spojrzenie pełne niedowierzania. Ważnym generałom zawsze bardzo się spieszyło.

Po niespełna pięciu minutach Gabriel wyszedł na wyłożony linoleum, klaustrofobicznie ciasny korytarz zewnętrznego kręgu Pentagonu i skierował się do gabinetu Laury LaHaye.

Gdy przemierzał dobrze sobie znaną drogę, pokryte linoleum podłogi, umeblowanie z metalu i plastiku oraz ściany pomalowane na urzędowy kolor ustępowały stopniowo miejsca drewnianym boazeriom, grubym dywanom i drogim meblom, przysługującym ludziom, którzy posiadali wysokie stopnie i władzę i uważali, iż inni powinni się wykrwawiać zamiast nich. Na korytarzach wyczuwało się przytłaczającą, demoralizującą atmosferę prywatnych ambicji i intryg, niemiło uderzającą tych spośród przybyłych,

którzy pragnęli służyć interesom swego kraju, a nie swoim własnym.

Kiedy Gabriel odmówił akcesu do tego politycznego kłębowa zmił i przeniósł się do Akademii Wojskowej w West Point, wielu postrzegało ten krok jako samobójczy dla jego kariery. Lecł mylili się. Gabriel wiedział, że przystosowanie się do ambicji i oczekiwań innych ludzi rzadko kiedy kończy się dobrze.

Zgodnie ze swym oczekiwaniem znalazł biuro Laury LaHaye na drugim piętrze wewnętrznego kręgu, wyłożonym gęstymi dywanami i wyposażonym w modne, kosztowne oświetlenie. Otworzył ciężkie drzwi z wypolerowanego mahoniu i stanął twarzą w twarz z LaHaye, która pochylona nad biurkiem recepcjonistki rozmawiała z siedzącą przy nim umundurowaną kobietą.

LaHaye podniosła wzrok.

- Dan! - rzuciła, usiłując bezskutecznie ukryć irytację. - Zmieniłiśmy mój rozkład zajęć, żeby przystosować go do t w o jej nieoczekiwanej wizyty. - Podeszła do niego i podała mu rękę.

- Przykro mi - rzekł Gabriel, ściskając jej zimną suchą dłoń. - Jeśli wolisz, mogę przyjść innym razem.

LaHaye potrzęsła głową.

- Nie, nie trzeba. Jenna jest przyzwyczajona do wprowadzania zmian w moim harmonogramie. - Wskazała głową wysoką blondynkę za biurkiem, która - jak zauważył Gabriel - miała stopień starszego chorążego sztabowego.

- Dziękuję - rzekł do recepcjonistki oraz do LaHaye, która odwróciła się już i weszła do swego gabinetu. Gabriel poszedł za nią.

Jaskrawe światło słońca zalewało pokój wielkości boiska do piłki ręcznej, wyposażony w meble z ciemnego drewna na wysoki połysk i wyłożony puszystym granatowym dywanem z wytłoczoną pieczęcią Armii Stanów Zjednoczonych. Za masywnym biurkiem stała amerykańska flaga oraz roz-

maite wojskowe sztandary. Na ścianach wisały fotografie w drogich ramach, wszystkie bez wyjątku przedstawiające LaHaye w towarzystwie prezydentów, senatorów, kongresmanów, garstki przywódców wielkich mocarstw, laureatów Nagród Nobla oraz mnóstwa wysokich oficerów, znanych Gabrielowi jako mierni żołnierze, a za to wytrawni intryganci polityczni.

Po prawej stał olbrzymi stół konferencyjny, lecz LaHaye skierowała się prosto do sofy w lewym rogu, przy oknie.

- Siadaj - powiedziała, wskazując mu fotel stojący naprzeciwko okna i sama usiadła na sofie. Lecz Gabriel wybrał najbliższe krzesło, aby uniknąć oślepiającego słonecznego blasku.

- Co cię do mnie sprowadza?

- Byłem w mieście i finalizowałem rozmaite sprawy. Przekazałem instrukcje nowemu dyrektorowi Akademii Wojskowej i załatwiałem inne tego typu rzeczy.

- Czytałam o tym w „Post” - odparła. - Wygłosiłeś doskonałe przemówienie w Komisji Kongresu ds. Sił Zbrojnych. - Gabriel wyczuł w jej głosie nutkę zazdrości. - Generał jest Szczęściarzem, że ma cię w swoim zespole. - Mogła być towistna i poirytowana, ale zawsze wiedziała, kiedy polizać tyłek ważnej osobistości. - Gdybyś tylko chciał, mógłbyś zrobić niezłą karierę polityczną.

Potrząsnął głową.

- Tylko generał potrafiłby wciągnąć mnie z powrotem do polityki.

- Więc co mogę uczynić dla przyszłego sekretarza obrony?

32

Gabrielowi jej słowa wydały się pretensjonalne i odpychające, lecz wiedział, że prawdopodobnie wyrazi niechętnie zgodę na objęcie tego stanowiska.

- Twoje świetne wystąpienie razem z doktorem McGovernem w Napa Valley zrobiło na mnie wielkie wrażenie - rzekł.

LaHaye zareagowała uśmiechem na ten komplement.

- Im częściej użeram się z cięciami w projektach budżetu, tym bardziej zaczynam doceniać waszą pracę - dodał.

- Chcą mieć wojsko za dolara - stwierdziła.

- Zawsze tak jest - przytaknął. - A ponieważ projekt Optymalizacji Wartości Bojowej zapowiada całkowitą odmianę kształtu przyszłych sił zbrojnych, chciałbym się o nim nieco więcej dowiedzieć - czegoś o jego początkach i rozwoju. Wiesz przecież, jakim jestem maniakiem historii.

Skinęła entuzjastycznie głową.

- Bardzo podobała mi się twoja ostatnia książka. - Wskazała regał przy drzwiach. Gabriel natychmiast dostrzegł błyszczącą czerwono-złotą obwolutę swej najnowszej pracy na temat operacji amerykańskich oddziałów specjalnych, poczynawszy od taktyk partyzanckich podczas wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Zauważył również wyraz nieskrywanej dumy na twarzy LaHaye; niewątpliwie rozmyślała o miejscu, jakie sama zajmie w jednej z jego przyszłych książek.

- Więc jak to się zaczęło? - zapytał powtórnie. - Kto wpadł na ten pomysł? Mogłaby z tego powstać świetna monografia. - Czekał, aż z jej wzroku zniknie błysk podejrzliwości, a wygórowana ambicja osłabi jej czujność i ostrożność.

- Napijesz się kawy, czy może czegoś innego? - zapytała, sięgając po telefon stojący na skraju stolika przy sofie.

- Chętnie.

Kiedy już odłożyła słuchawkę, posłała mu szeroki przychlebny uśmiech.

- Jesteś bardzo przenikliwy - rzekła. - Wszystko to zapoczątkował doktor Frank Harper.

- Pamiętam go - odparł Gabriel. - To ten lekarz, który postawił Braxtona z powrotem na nogi.

- Mamy wobec Franka olbrzymi dług wdzięczności. Pomyśl, jak wyglądałaby przyszłość, gdyby wtedy fatum przecięło nić życia generała.

Zapadła cisza, w którą wdarł się przytłumiony chrapliwy świst pasażerskiego odrzutowca, podchodzącego do lądowania na Narodowym Lotnisku im. Reagana. Kiedy ucichł, za oknem rozbrzmiał wyraźnie warkot śmigłowca Blackhawk.

LaHaye przerwała milczenie.

- Początki projektu Optymalizacji Wartości Bojowej sięgają późnych lat trzydziestych, kiedy Frank kształcił się na neurochirurga. W tamtych czasach otwarcie czaszki w połowie przypadków kończyło się śmiercią pacjenta. Podobnie jak wielu innych początkujących lekarzy interesujących się układem nerwowym, Frank dowiedział się na studiach medycznych o Phineasie Gage'u. Jednak w przeciwieństwie do większości z nich zafascynowały go konsekwencje tego przypadku.

- Gage? Co to za jeden?

- Dwudziestopięcioletni brygadzysta ekipy kładącej tory kolejowe, który w 1848 roku wskutek wypadku podczas pracy doznał przemiany osobowości. Pracodawcy Gage'a, jego współpracownicy, przyjaciele i rodzina jednogłośnie wychwalili go jako człowieka inteligentnego, odpowiedzialnego, uczciwego, uprzejmego, zdyscyplinowanego - i moralnego. I oto pewnego gorącego późnego letniego popołudnia Gage popełnił błąd, który omal nie zakończył się jego śmiercią: za pomocą ponadmetrowej stalowej piki uderzył materiał wybuchowy w otworze wywierconym w skale. Proch eksplodował, sprawiając że stalowy pręt wbił się w jego policzek, przeszedł przez oczodół i płyty czołowe mózgu i wydostał się przez czubek głowy.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - rzuciła LaHaye i po chwili w gabinecie Zjawiała się ta sama wysoka blondynka w stopniu starszego

chorążego sztabowego - ponad metr osiemdziesiąt wzrostu - niosąc tacę z dzbankiem kawy, filiżankami na spodeczkach, cukrem i śmietanką. Była mocno zbudowana, silna i poruszała się sprężysto i pewnie. Gabriel żywił mieszane uczucia wobec obniżania wymogów fizycznych, umożliwiającego przyjmowanie kobiet do niektórych oddziałów wojskowych. Świetnie nadawały się na pilotów myśliwców i do innych podobnych funkcji, niewymagających wykazywania się zwykłą siłą fizyczną. Jednakże, pomyślał gdy kobieta ustawiła tacę pomiędzy nim i LaHaye, z pewnością czułby się bezpiecznie, gdyby podczas walki osłaniała jego tyły.

- Sama się tym zajmę, Jenna - powiedziała LaHaye.

- Tak jest - odparła kobieta i wycofała się do recepcji.

LaHaye usiadła, wypła łyk kawy i podjęła:

- Pomimo to, iż stalowa pika przebiła mu głowę, Phineas Gage wyzdrowiał, co jest rzeczą dość niezwykłą, gdy się weźmie pod uwagę ówczesny poziom opieki medycznej. Lekarze nie stwierdzili u niego obniżenia sprawności intelektualnej ani żadnego uszczerbku fizycznego, z wyjątkiem utraty lewego oka. Jednak odniesiona rana zmieniła całkowicie jego osobowość. Zamiast dawnego nauczyciela ze szkółki niedzielnej, jego fizycznie uleczone ciało mieściło w sobie teraz bluźnierczego, zepsutego, agresywnego brutala, pozbawionego jakiegokolwiek samokontroli i poczucia odpowiedzialności, które można by nazwać panowaniem nad sobą albo wolną wolą; w każdym razie człowiek ten stał się ofiarą nowej konfiguracji swego mózgu. „Zły” Gage wyparł „dobrego”.

Wypiła następny łyk i mówiła dalej, trzymając w lewej ręce spodeczek z filiżanką.

- Przypadek Gage'a zafascynował Franka Harpera, który zajmował się leczeniem licznych ran głowy, toteż miał notes wypełniony nazwiskami i numerami identyfikacyjnymi swych pacjentów oraz dokładnymi opisami ich urazów i za-

stosowanej kuracji. Departament Wojny sfinansował jego badania, polegające na tym, że odnajdywał tych pacjentów i przeprowadzał z ich przyjaciółmi, rodzinami oraz współpracownikami wywiady dotyczące cech osobowości przed i po odniesieniu rany.

- Stwierdził, że wielu z nich wcale się nie zmieniło.
- Wpatrzyła się w okno. - Lecz stwierdził też zdumiewające zmiany osobowości u tych, którzy doznali specyficznych uszkodzeń płatów czołowych mózgu. Niektórzy spośród nich stali się agresywni, tak jak Gage, i skończyli w więzieniu. - Odwróciła się do Gabriela. - Wiem o przynajmniej dwóch przypadkach, kiedy notatki Harpera, akta medyczne i zeznania świadków uratowały ludzi przed karą śmierci za popełnione przez nich morderstwa.

- Rezultaty dociekań Harpera skłoniły armię do sfinansowania szerzej zakrojonych badań i w praktyce przekazania mu niedawno opuszczonego obozu jenieckiego w Missisipi. Mniej więcej od roku 1947 do połowy lat sześćdziesiątych. Harper i jego pracownicy sprowadzali pacjentów i badali ich, a także wysyłali zespoły lekarzy do więzień i szpitali psychiatrycznych, żeby kurować tych, którzy nie mieli swobody poruszania się.

- J e d n y m z tych pacjentów był generał Braxton? - spytał Gabriel.

LaHaye przytaknęła.

- Okazał się jednym z największych sukcesów Franka.

- Na szczęście.

- Właśnie. W każdym razie największe sukcesy Harper osiągnął, kiedy zrezygnował z rutynowych zabiegów chirurgicznych i zaczął eksperymentować z psychoaktywnymi lekami. Utworzył badawcze spółki razem z prywatnymi firmami farmaceutycznymi - i mogłabym dodać, że osiągnął niejaki sukcesy.

- W efekcie zainicjowana przez Harpera współpraca organizacji państwowych i prywatnych przekształciła się

w operację, którą obecnie kieruję. Ludzie Harpera oraz wąska grupa badaczy, którzy założyli Defense Therapeutics, rozważyli metody leczenia ran wywołujących efekt „złego Gage'a", a kiedy opracowali nowe receptury, zdali sobie sprawę, że możliwe byłoby wyprodukowanie neurotropu nieupośledzającego funkcji umysłowych, który powodowałby czasowe użyteczne modyfikacje zachowania żołnierzy podczas walki, potęgując ich bitewną skuteczność i karność. Oprócz zwiększenia koncentracji i wytrzymałości, taki idealny neurotrop skłania żołnierzy do podporządkowania wielkiej części ich wolnej woli rozkazom struktur dowodzących, co sprawia, że funkcjonują oni lepiej w zwartym oddziale bojowym niż jako odrębne jednostki.

Gabriel zachmurzył się.

- Wyobraź sobie olbrzymie oszczędności czasu i kosztów - podsunęła LaHaye. - Zamiast tygodni czy miesięcy poświęconych na tworzenie oddziałów z jednostek, możemy osiągnąć to samo na drodze farmaceutycznej niemal w ciągu jednej nocy i to za cenę stanowiącą ułamek obecnej. Dopóki tacy żołnierze będą znajdować się w strefie walk, pozostaną zabójcami doskonałymi.

Zabójcy doskonali. Strefa walk. Gabriel oczami duszy ujrzał morderczych zombie i starał się ze wszystkich sił, żeby groza, jaką poczuł, nie uwidoczniła się na jego twarzy.

- Mówisz o idealnym nieupośledzającym neurotropie - rzekł. - To brzmi, jakby było ich bardzo wiele rodzajów.

- Bo tak jest. Sądziliśmy, że mamy ten doskonały już podczas pierwszej Wojny w Zatoce.

- To znaczy, że naprawdę go testowaliście?

- Nieoficjalnie. I tylko w kilku oddziałach. Zastosowaliśmy w nich buspiron II, który podziałał znakomicie na skuteczność bojową. - Zawahała się.

- Ale?

- Syndrom Wojny w Zatoce. Sądziłam, że wiesz o nim, skoro pisał o tym twój kuzyn.

- Rick Gabriel jest moim dalekim kuzynem - odparł.
- Nie czytałem zbyt wielu jego prac. A powinienem?
- Dotarł o wiele bliżej do prawdy, niż bym chciała. - Umil-
kła, po czym zmieniła temat. - T a k czy inaczej, oparliśmy się
na buspironie II i trafiliśmy na prawdziwą żyłę złota.
- Skąd wiesz?
- Przeprowadziliśmy doświadczenia z precyzyjnie dobranymi
dawkami i recepturami - powiedziała wymijająco.
- Ostatnio w Iraku nie zaobserwowaliśmy żadnych dłu-
gotrwałych skutków ubocznych, w przeciwieństwie do syn-
dromu Wojny w Zatoce, który nadal nas prześladuje, czy
też lawiny morderstw i napaści, dokonywanych przez
członków oddziałów specjalnych powracających z Afgani-
stanu.

Gabriel usiłował zapanować nad mdlącym niepokojem ściskającym mu żołądek i wyczuł, iż nie czas teraz na zadawanie dalszych dociekliwych pytań, gdyż przypuszczał, że LaHaye powiedziała mu już więcej, niż powinna.

- Czytałaś o tej starej sprawie o morderstwo gdzieś w Missisipi? Oskarżony nazywa się chyba Talmadge.

- A kto o niej nie słyszał? Już od miesiąca obrabiają ją w ogólnokrajowych wiadomościach.

- Czy ona ma coś wspólnego z twoją pracą? Albo Harpera?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Dobrze. To mi wystarczy. - Urwał. - Ale, wiesz, to do-
prawdy zadziwiające, że nasza opinia publiczna i system
sprawiedliwości mogą traktować tak odmiennie dwóch lu-
dzi, którzy popełnili identyczne straszliwe przestępstwa,
i jednego skazywać na karę śmierci, drugiego zaś oszczę-
dzać, ponieważ doznał fizycznego okaleczenia, które potra-
fimy dostrzec.

LaHaye zmarszczyła czoło.

- Być może, ale nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- No cóż, przecież to pociąga za sobą pewne interesują-
ce filozoficzne konsekwencje, wiążące się ze słusnością,

błędem i wolną wolą. Religijny pogląd na przeciwstawienie „dobra” i „zła” nabiera nowego znaczenia, jeśli naszymi dobrymi lub złymi czynami nie kieruje żaden pozaludzki duchowy byt, tylko fizyczny świat neuronów, mózgu, fizjologii i neurotransmiterów - powiedział. - Być może ta kwestia ma pewien związek z twoimi badaniami?

Zachmurzyła się jeszcze bardziej, aż zmarszczki na jej twarzy utworzyły maskę wyrażającą irytację.

- Naprawdę - nastawał Gabriel. - Widok blizny, wiedza o ranie, która zmieniła osobę „dobrą” w „złą”, skłaniają nas do traktowania jej odmiennie niż kogoś, kto nie odniósł takiego urazu. Prawdopodobnie czynimy tak, gdyż uważamy osobę z widzialną raną za fizycznie upośledzoną w zakresie swej wolnej woli. Tak więc, pierwszą z nich poddajemy leczeniu, natomiast drugiej wymierzamy karę. Lecz załóżmy, że ukarany osobnik w rzeczywistości posiada fizyczne uszkodzenie mózgu, którego nie potrafimy wykryć - być może jakiś rodzaj wady genetycznej lub niedorozwoju mózgowia. Jak możemy to rozpoznać? Przypuśćmy, że istnieją fizyczne skazy wynikające z uszkodzenia DNA? Czy społeczeństwo nie powinno ich leczyć tak samo, jak leczy ludzi, których blizn można dotknąć? Czy musimy dotknąć ran, żeby uwierzyć? Nie rozumiesz? Twoje badania mają olbrzymie filozoficzne konsekwencje dla wojska oraz ogółu społeczeństwa.

- To nie moja działka - odparła, potrząsając gwałtownie głową i machając lekceważąco ręką. - To nie ma żadnego praktycznego znaczenia.

- Oczywiście masz rację - przytaknął z powagą Gabriel. - Lecz są to właśnie tego rodzaju rozważania, które bez wątpienia interesują autora książki. - Z trudem zdobył się na ujmujący uśmiech.

Twarz jej się rozjaśniła.

- Naturalnie! To będzie fascynująca lektura.

Gabriel wstał.

- Jestem ci wdzięczny, że znalazłaś dla mnie tyle czasu i cierpliwości, zwłaszcza że wpadłem niezapowiedziany. Widzę wyraźnie, że powstanie z tego nowa książka.

Rozpromieniona LaHaye odprowadziła go przez recepcję do drzwi wyjściowych. Podali sobie ręce na pożegnanie. Gabriel wychodził już na korytarz, lecz raptem zatrzymał się, odwrócił do niej i zapytał:

- Czy masz kontakt z Frankiem Harperem? Myślę, że z nim zabiorę się do pisania, powinienem z nim porozmawiać.

- Oczywiście - odparła uprzejmie La Haye. Gabriel czekał w przejściu, gdy zwróciła się do recepcjonistki:

- Jenna, sporządź proszę dla generała Gabriela kopię moich namiarów na doktora Franka Harpera.

33

Stanąłem z dala od tłumu w strefie odbioru bagażu lotniska w Jackson i wystukałem numer telefonu komórkowego Vince'a Sloane'a. Odebrał po czwartym sygnale.

- Gdzie u diabła się podziewasz, doktorku? Rozpętało się tu prawdziwe piekło.

Nieraz tęsknię za dawnymi czasami, kiedy w telefonach nie było jeszcze identyfikacji rozmówców.

- W Jackson, Missisipi - odparłem, usiłując strząsnąć z siebie znużenie.

- Tak myślałem.

- Co za piekło?

- Chryste, nie wiem, od czego zacząć.

- Co z Chrisem?

- Nie żyje.

Przez cały lot miałem nadzieję, że tamten gliniarz z patrolu drogowego się mylił.

- Sprawa dostała się do mediów, które łączą z zajściem nat w ojej łodzi.

- Wspaniale.

- To jeszcze nie wszystko. Agenci wojskowi przetrzasnęli twój dom i skłonili wydział policji Los Angeles do poszukiwania twoich motywów.

- Motywów?

- Wiesz, jak myślą gliniarze. Wszystkie te wypadki, następujące jeden po drugim, zwykle nie zdarzają się niewinnym ludziom.

Poczułem w żołądku ołowianą kulę strachu.

- Jesteś jedyną osobą łączącą wszystkie zajścia. I uciekłeś z miejsca przestępstwa.

- Uciekłem?!

- O rany, spokojnie! To oni tak mówią, nie ja. Spróbuj popatrzeć na to z punktu widzenia policyjnych detektywów.

W strefie odbioru zaczęły pojawiać się bagaże. Uświadomiłem sobie, że Sloane ma rację.

- Wzbudziłeś ich zainteresowanie - dodał.

- Zainteresowanie?

- Rozbierają twój dom na kawałki pod mikroskopem. Przypuszczam, że niedługo wyślą też swoich ludzi do Uniwersytetu w Los Angeles.

- O, do diabła. - Oparłem się bezwładnie o ścianę.

- Myślę również, że wkrótce skontaktują się z lokalną policją w Missisipi w sprawie śmierci matki tej t w o jej młodej damy.

- Ale przecież to się wydarzyło na pogrzebie mojej matki! Nie miałem pojęcia, że Vanessa w ogóle przyjdzie.

- To wiemy ja i ty. Ale oni mają teorię, że kula, która zabiła Vanesę, była przeznaczona dla ciebie.

- Dla mnie? Dlaczego sądzą, że ktoś chciał mnie zabić?

- Nie wiedzą, ale fabrykują teorię na temat jakiejś operacji narkotykowej. No wiesz, napaść na twoją łódź i...

- To idiotyzm!

Cisza zawisła ciężko między nami.

- Vince? Jesteś tam jeszcze?

-Jestem. - Odchrząknął. - Gdybym cię nie znał... naprawdę dobrze nie znał, prawdopodobnie myślałbym tak samo, jak oni.

- Och, stary - powiedziałem cicho. - Zgadzam się, że coś tu nie gra i nie dzieje się przypadkiem, ale to jest powiązane z tą sprawą Talmadge'a.

- Mam nadzieję, że zdołasz tego dowieść... i to szybko.

Pojawiła się torba Jasmine i mój worek marynarski. Przesiadałem się przez tłum w ich kierunku.

- Ja też - odparłem.

- Bądź ze mną w kontakcie.

- Jasne, cześć.



Jael St. Clair wjechała wynajętym fordem Explorerem w wolne miejsce na krótkoterminowym postoju przy terminalu lotniska w Jackson, skąd mogła obserwować pojazdy wyjeżdżające z parkingu firmy wynajmującej samochody. Odgarnęła z twarzy swe jasne włosy, a potem przeciągnęła się, rozluźniając mięśnie pleców, w których podczas lotu z Los Angeles skumulowało się napięcie. Citation był doskonałym odrzutowcem korporacji, lecz jako sypialnia pozostawiał wiele do życzenia.

Nie odrywając wzroku od parkingu wynajmu samochodów, sięgnęła do leżącej obok na siedzeniu pokażnej sakwy i pogrzebała w środku. Namacała szybko telefon komórkowy, półautomatyczny pistolet Heckler & Koch z lufą .380 ACP, urządzenie autonawigacyjne firmy Garmin, a wreszcie niewielką silną lornetkę Zeissa. Wyjęła ją, podniosła do oczu i wyregulowała ostrość.

Bradford Stone podszedł do białej furgonetki forda, stojącej na parkingu wypożyczalni samochodów. Dotychczas użył już swej karty kredytowej, żeby zapłacić za lot z Los Angeles do Jackson, za wynajem tego samochodu oraz za po-

kój hotelowy w Greenwood. Zostawiał tak wyraźne ślady, że równie dobrze mógłby nosić na głowie migającą lampę. Teraz umieścił swoje torby na odchylanym siedzeniu furgonetki i usiadł za kierownicą. Przez moment ustawiał wsteczne lusterka i regulował fotel, po czym wyjechał z parkingu.

Kiedy ją minął, odczekała chwilę, przepuściła zdezelowaną półciężarówkę Chevrolet oraz toronado z połowy lat sześćdziesiątych, przechylone na bok wskutek pęknięcia zawieszania, a potem włączyła się za nimi do ruchu, kierując się ku szosie I-20.

34 W kabinie wynajętej furgonetki rozbrzmiewały celowo ostre i surowe dźwięki gitary Roberta Johnsona, gdy gnałem na północ autostradą 49 przez leżące na południe od Yazoo City wzgórza, porośnięte winoroślami kudzu.

Kupiłem ten kompakt po drodze, na wyprzedży w lotniskowym sklepie z pamiątkami. Uwielbiam genialną bluesową grę na gitarze Johnsona i głębię tekstów jego pieśni. Mistrzowie bluesa, tacy jak Johnson czy Mississippi John Hurt, zawładnęli na zawsze moją wyobraźnię.

Hellhound on my Trail (Na moim szlaku czeka piekielny pies), pomyślałem.

Ten piekielny pies zabił Vanessę i obrócił w ruinę moje życie w Kalifornii. To pies bez imienia, rasy i wyglądu - ma tylko śmiertcionośne kły. Przebiegłem w myślach kolejne wydarzenia: zabójstwo na pogrzebie mamy, atak na łódź, napaść w moim domu. Zastanawiałem się nad nimi, rozpaczliwie usiłując odnaleźć jakieś mgliste, zapomniane rozwiązanie tej śmiertelnej układanki, wskazującej z nieubłaganą logiką na mnie jako jedynego podejrzanego.

Za oknem winorośle kudzu oplatały słupy telefoniczne, porzucone stajnie i domy, a nawet wysokie drzewa, które

wyglądały jak olbrzymie ożywione mumie, wlokące za sobą wolno przez wzgórza swe porozwijane szmaty.

Wysłuchiwałem się w początek bluesa Roberta Johnsona zatytułowanego *Me and the Devil Blues (Ja i diabeł)* i wyobrażałem sobie zło podążające przez tutejsze okolice. Mimo iż Johnson pochodził z płaskich terenów Delt, słowa i muzyka jego bluesów wyrażały bardziej uniwersalne lęki.

Minęły dziesiątki lat odkąd ostatnio jechałem tą drogą. Wówczas była tylko wąską łacią płaszczyzną popękanego i naprawianego smołą betonu - bez poboczy, wcinających się teraz w dżunglę winorośli - która wznosiła się gwałtownie i opadała, niczym kolejka górską, podczas gdy opony samochodu wybijały na szerokich szczelinach między betonowymi płytami nieskończony jambiczny rytm: *k-dank, k-dank, k-dank*.

Autostrada 49 miała obecnie cztery pasma i otaczała ją szeroka zdemilitaryzowana strefa, oczyszczona z agresywnych, sprowadzonych z Azji winorośli, które rozrastały się w tempie kilkudziesięciu centymetrów dziennie. Winorośle kudzu upowszechniono szeroko w Delcie w latach trzydziestych, żeby zapobiec erozji gleby; potrafiły w ciągu jednego sezonu zaatakować i opanować całą farmę. Poeta James Dickey nazwał je „zielonymi, bezmyślnymi nieśmiertelnymi widmami”; krążyły legendy o nieostrożnych farmerach, których znaleziono uduszonych we własnych łóżkach przez pędy winorośli, ponieważ zasnęli przy otwartych oknach. Czytałem, że w przeszłości kudzu było w Azji naprawdę użyteczną rośliną - stanowiło źródło leków dla ludzi i pożywej paszy dla żywego inwentarza, a także użyźniało ziemię swymi bogatymi w azot korzeniami. Wiele pożytecznych rzeczy zmienia się w szkodliwe, gdy je przenieść z ich naturalnego środowiska.

Wszystkie te cechy niewątpliwie wpłynęły na to, że kudzu stało się metaforą społeczeństwa Południa, choć nie ma zgody co do jej znaczenia. Może uosabia tutejsze obyczaje i niepohamowaną szczodłą gościnność, a może wyraża ich

całkowite przeciwieństwo - ubóstwo i rasizm. Prawdopodobnie to drugie jest bliższe prawdy.

Chropawy głos Johnsona wyśpiewywał zgrzytliwie *Cross-road Blues (Blues rozstajnych dróg)*, będący ponoć jego lamentem po tym, jak zaprzedał duszę diabłu w zamian za swój nadnaturalny talent do gry na gitarze.

*Mmm, chłopcze, słońce zachodzi,
Zaraz ogarnie mnie mrok*

Na południowych peryferiach Yazoo City znaki anonsowały autostradę 49E, skracającą na północny wschód. Obydwa odgałęzienia autostrady 49 przez następne dwanaście kilometrów biegną niemal równolegle, okalając długi i cienki romboidalny skrawek ziemi, na którym upłynęła większość moich młodzieńczych lat.

Gdybym pojechał nadal autostradą 49, powiodłaby mnie przez Midnight, Silver City i Belzoni do Indianoli w zachodnim wierzchołku rombu, gdzie leży Saints' Rest, jedna z plantacji Sędziego. Trochę dalej autostrada przechodzi przez Ruleville, w którym żyła i umarła siostra mojej matki, a potem przez Parchman Prison, Diabelską Wyspę Deltę. Wreszcie na północ od Summer łączy się ponownie z autostradą 49E w Tutwiler, gdzie w połowie lat pięćdziesiątych ława przysięgłych, złożona wyłącznie z białych, uniewinniła zabójców Emmetta Tilla, którego torturowano i zamęczono na śmierć za zbrodnię bycia czarnym nastolatkiem. Miałem wówczas sześć lat, więc nie pamiętam zbyt wiele z tamtej sprawy, oprócz licznych wizyt nieznanym ludzi i przyciszonych rozmów za zamkniętymi drzwiami jadalni w domu Sędziego w Itta Benie.

W owym czasie oboje z mamą mieszkaliśmy w niewielkim apartamencie, który Sędzia dobudował do głównego domu w trakcie jej pierwszego rozwodu. Mama i tata rozwodzili się i pobierali ponownie trzykrotnie, nim w końcu za czwartym razem każde z nich poślubiło kogoś innego. Prze-

bywałem z tatą rzadko i nieregularnie. Zabrał mnie na wycieczkę do Nowego Orleanu dokładnie cztery razy - dwa, kiedy pojechał tam służbowo, a dwa, żeby obejrzeć jak Ole Miss, drużyna futbolowa miejscowego college'u, zdobywa puchar Sugar Bowl. Trzy razy wybraliśmy się wspólnie na polowanie na dzikie gołębie, a raz na kaczkę. Pamiętam te osiem wydarzeń przede wszystkim dlatego, że były dla mnie czymś nadzwyczajnym, ale także ponieważ nietrudno jest zapamiętać tak małą liczbę spotkań z ojcem.

Pomimo to głęboko kochałem tatę i cieszyłem się, ilekroć byliśmy razem. Do dziś czuję zapach jego wody Old Spice i cameli. Te papierosy sprawiły, że jego ostatnie dni były ponure, bolesne, upokarzające i przeżyte w milczeniu z powodu tracheotomii, kiedy rak wyżarł mu już płuca.

Żałuję, że nie poznałem mego ojca lepiej, ale zbyt wcześnie zmarł.

Choć nigdy nie zrekompensowało mi to braku ojcowskich uścisków, bardzo lubiłem wielki dom Sędziego, podwórze z olbrzymimi sykomorami, rosnącymi od frontu wzdłuż ulicy, potężną hikorę na tyłach domu, podjazd wysadzany tulipanami, które na wiosnę płonęły oslepiającą czerwienią, zagrodę pełną psów rasy bluetick oraz oczywiście Lenę Grayson i Alę Thompsona. Ona służyła u nas jako kucharka i pokojówka, on zaś jako szofer i ogrodnik. Al Thompson uratował mi życie. Jak głosi rodzinna opowieść, obejrzawszy kiedyś na popołudniowym seansie western postanowiłem się powiesić. Rozmontowałem sznurową huśtawkę wiszącą na drzewie hikorowym, zawiązałem cholernie dobry węzeł, jak na pięciolatka, stanąłem na moim trzykołowym rowerku i o mało nie udusiłem się na śmierć.

Al Thompson obserwował to wszystko z krytej werandy na tyłach domu Sędziego, obok kuchni. Wywołał na zewnątrz Lenę, żeby też się przyjrzała, a ona kazała mu powstrzymać mnie. Lecz Al zaczekał, póki nie zacząłem się dusić.

- Gdybym przerwał chłopcu, zanim nie przekonałby się, jak to smakuje - powiedział potem - po prostu spróbowałby jeszcze raz, kiedy nikt by nie patrzył.

Do dziś ogarnia mnie panika, gdy wiązę krawat.

Teraz w Yazoo City skręciłem wkrótce w autostradę 49E, na której cztery pasma zwały się do dwóch, a potem z pofałdowanej okolicy wzgórz porośniętych kudzu zanurkowałem w płaski jak stół obszar setki połączonych zalewów Delty.

Równoległe do krętej, wysadzonej drzewami dwupasmowej szosy bez poboczy, szerokiej zaledwie na tyle, by dwie furgonetki mijając się, nie straciły swych bocznych lusterek, biegły tory kolejowe, po których przetaczały się długie ciężkie węże krytych wagonów towarowych, wywrotek, otwartych lor oraz platform z kłodami drewna. Dopiero minawszy podnóże wzgórz, autostrada 49E odbijała od linii kolejowej na północny wschód, w kierunku serca Delty. Jechałem teraz jej odcinkiem położonym na szczycie stromego nasypu, co zazwyczaj chroni ją przed zalaniem przez strumienie i rzeki, które każdej zimy i wiosny występują z brzegów. Dalej rozciągały się pola bawełny w rozmaitych stadiach vegetacji.

Na wielu polach stała woda wskutek niezwykle obfitych w tym roku opadów. Nie przeszkadzała farmerom uprawiającym ryż ani właścicielom rybnych stawów hodowlanych, ale wiedziałem, że dla pozostałych będzie to straszny rok, jeżeli pola nie wyschną. Na wyżej położonych, suchszych terenach bawełna wyrosła na wysokość uda i mieniła się barwnymi kwiatami. Jako dziecko nie mogłem się nadziwić, że kwiaty bawełny jednego dnia zakwitają na biało, po czym zamykają się na noc, by nazajutrz otworzyć się ponownie, lecz tym razem w kolorze głębokiego czerwonego różu, a wkrótce potem więdną.

Gdziekolwiek spojrziałem, krajobraz wyglądał tak samo: pola bawełny porozdzielane rzędami drzew, rosnących nad strumieniami, trzęsawiskami lub starorzeczami, których nie dało się wykarczować pod uprawy. Jak na ironię, w od-

dali ujrzałem kłęby pyłu wzbite przez samochody w wyżej położonych miejscach, gdzie bezlitośnie palące promienie słońca do cna spiekły ziemię, a z okolicznych ciepłych stojących wód stworzyły doskonałe inkubatory dla larw komarów.

Jedna z ulubionych opowieści mamy, którą bardzo często powtarzała, mówiła o tym, jak w jej wczesnym dzieciństwie, na przełomie lat 1910-1920, pan Durham, właściciel jednej z dwóch drogerii w mieście, zwykł mieszać dla niej i innych miejskich dzieci chininę z coca-colą i syropem czekoladowym, przyrządzając napój, który nazywał „wiosennym tonikiem”, mający stanowić środek zapobiegawczy przeciwko chorobom roznoszonym przez komary. Te próby zwalczania zgubnego wpływu komarów nie były chyba zbyt udane, gdyż pamiętam, że w późniejszych czasach, kiedy sam byłem dzieckiem, szczepiono mnie przeciw żółtej febrze - nieco łagodniejszej krewniaczce Eboli, również jednak powodującej paskudne krwotoki.

Na pierwszym prostym odcinku autostrady 49E we wstecznym lusterku zobaczyłem jakąś furgonetkę, która po chwili przyspieszyła, wyprzedziła mnie i zniknęła z przodu za następnym zakrętem, zostawiając mnie z moimi myślami. Na północnym wschodzie zbierały się burzowe chmury sięgające stratosfery, mimo iż nie minęło jeszcze nawet południe.

Kiedy autostrada wydostała się ze szpaleru drzew, uderzyło mnie, jak bardzo te chmury przypominają wielkie groźne okręty korsarskie konfederatów, z wydętymi burzą żaglami, zbrojne w błyskawice, trąby powietrzne i grad. Przypomniałem sobie młodzieńcze piosenki wycieczki po lesie, kiedy burze oznajmiały swoje nadejście odległym niskim dudniącym grzmotem, który mówił: „Wracaj, skąd przyszedłeś”. Potem nadchodził podmuch zimnego wiatru, jakby Bóg otworzył swoją lodówkę, sprawiający że puszczałem się biegiem do domu. Pędziłem, żeby umknąć przed

nadciągającą ulewą, która brzmiała, jakby jakiś olbrzym przedzierał się przez liście i zarośla. Gnałem coraz szybciej, zwłaszcza gdy odstępy między błyskawicami i gromami stawały się krótsze niż między uderzeniami mojego dziko walącego serca.

Czasem udawało mi się wyprzedzić deszcz, a czasem nie. Pewnego razu, kiedy piorun trafił w martwe drzewo niecałe pięćdziesiąt metrów ode mnie, o mało nie posikałem się w spodnie. Raz, gdy miałem chyba szesnaście lat, przycupnąłem w rowie, a nad moją głową przewalało się tornado, grmiące jakby wszystkie na świecie samoloty B-52 startowały naraz z maksymalnym obciążeniem i silnikami ryczącymi pełną mocą. Cieszę się, że nigdy więcej nie doświadczyłem niczego podobnego.

Mając głowę wypełnioną obrazami przeszłości, spostrzegłem przed sobą niewielką osadę, rozrzuconą po obu stronach szosy, z wieżą ciśnień, stacją benzynową i sklepem, do którego prowadził podjazd wysypany drobnym beżowym żwirem. Zwolniłem, mijając starych czarnych mężczyzn, siedzących nieruchomo na zapadniętych gankach swych wyblakłych od słońca i słoty chałup, krytych zardzewiałymi blaszanymi dachami. Trzy szarobrunatne świny ryły na poboczu drogi. W oddali na pole opadały kłęby pyłu, najwidoczniej wzniecone przez furgonetkę, która niedawno mnie wyprzedziła.

Minąwszy osadę zacząłem jechać wężykiem jak pijak, omijając leżące na szosie martwe opsy, psy, skunksy i szopy; było tam więcej czerwonego mięsa niż w sklepie rzeźniczym. Pomimo klimatyzacji włączonej na maksimum węż powiedział mi, że niektóre z tych zwierząt gniją w upale już od wielu dni.

Jechałem więc autostradą 49E, zabawiając się ściganiem miraży z rozgrzanego powietrza, które wyglądały jak umykające pustynne oazy, oraz rozmyślaniem o tym, że najprawdopodobniej kluczem do całego zamieszania jest Talmadge,

kiedy raptem zadzwoniła moja komórka. Miałem nadzieję, że to Jasmine, ale wyświetlacz pokazał, że dzwoni Rex. Ściszyłem kompakt.

- Cześć, stary - rzuciłem.

- Cześć, ty cholerny samolubny dupku. Co to za pomysł, żeby przyjechać do mojego miasta i nie wpaść do mnie? Co powiem Anicie?

Mimo odczuwanego napięcia nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. Anita urodziła się w Indiach, była znakomitą lekarką i pochodziła z królewskiej rodziny, która nadal mieszkała w jej ojczystym kraju. Natomiast Rex był świetnym budowlańcem, a zarazem jednym z najbystrzejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem; potrafił jednak ukryć swą inteligencję pod maską szorstkiego, prostackiego stylu bycia i przynajmniej z pozoru przedkładał pięści nad filozofię.

- Powiedz jej, że kiedy wrócę do Jackson, zaproszę was na wystawny obiad.

- To na początek - zaśmiał się.

Zapadła krępująca cisza, w której słyszałem tylko szum w słuchawce.

- Więc jak mogę ci pomóc? - odezwał się w końcu.

- No cóż, po pierwsze przeżyłem właśnie najdziwniejsze trzy doby w moim życiu i zaczynam sądzić, że cholernie przydałby mi się człowiek o twoich... eee... uzdolnieniach.

- Chcesz, żeby zamontować ci w mieszkaniu płyty gipsowe? - zapytał ze śmiechem. W de słyszałem krzyki jakichś ludzi i wycie wiertarek. Kiedy Rex znów się odezwał, jego głos był cichy, poważny i rzeczowy. - Poczekaj, wyjdę na zewnątrz.

Nowo wylany asfalt syczał pod oponami mojej furgonetki, a słońce piekło mnie w twarz przez przednią szybę, gdy mijałem odziarniarnię bawełny i kilkanaście stojących obok przyczep ze ścianami z drucianej siatki, w którą zaplątane były białe kłaczki.

- A teraz opowiadaj - rzekł wreszcie Rex. - I niczego nie pomini.

Zacząłem więc od ataku na moją łódź i zrelacjonowałem wszystko, aż do szoku, jaki przeżyłem przy domu Chrisa Nellisa w Topanga Canyon i odwiezienia Jasmine na Międzynarodowe Lotnisko w Los Angeles.

- Mam z tyłu w samochodzie wszystkie jej rzeczy - zakończyłem, dojeżdżając do Tchula, jednego z rejonów Delty, gdzie panuje skrajna nędza, nie mniejsza niż w Trzecim Świecie. - J a d ę do Greenwood, żeby spotkać się z Jasmine w jej biurze.

- Oglądaj się tam za siebie, stary.

- J a k to?

- Centrum Sprawiedliwości Missisipi tkwi w samym środku osiedla mieszkaniowego Snowden- Jones; cały ten teren to jedna wielka strzelnica.

- Skąd to wiesz?

- Chyba nie myślisz, że mam brukiew zamiast mózgu, co? Oczywiście, że wiem, gdzie jest to biuro. To było jedno z pierwszych miejsc, które odwiedziłem po tej strzelaninie na pogrzebie t w ojej mamy. A osiedle Snowden- Jones cieszy się złą sławą, bez przerwy trafia do wiadomości telewizyjnych. Oakland wygląda przy nim jak Beverly Hills.

- Powinienem był się domyślić, że...

- No, powinieneś. Myślisz, że strzelanina na cmentarzu to był przypadek?

- Gliniarze tak sądzą.

Rex parsknął.

- Oczywiście, że tak! Te biedne sukinsyny mają pełne ręce roboty. To tylko banda wiejskich chłopaków, a mają do obskoczenia więcej morderstw z powodu dróg niż profesjonaliści w wielkim mieście. Muszą tak sądzić, bo nie mają czasu, żeby nad tym pogłównkować.

- Ale ty masz, co?

- Zgadza się.

Wjeżdżałem do Tchula i zwolniłem przy światłach.

- No i? - ponagliłem go, gdy światła zmieniły się i przejeżdżałem przez środek miasta.

- Więc po pierwsze, wszyscy ci, którzy zwykle wiedzą, co tutaj w trawie piszczy, o tej sprawie nie mają bladego pojęcia.

- Rzeczywiście, okazałeś się bardzo pomocny - rzuciłem ironicznie, wciskając hamulce, gdy tuż przede mną jakiś zdezelowany krążownik szos z połowy lat sześćdziesiątych, w tuzinie odcieni rdzy i farby gruntowej, zahamował raptem na samym środku szosy, ponieważ jego czterech pasażerów zauważyło idącego poboczem czarnego młodzieńca, z którym zapragnęli pogawędzić. Twarz pieszego wykrzywiła się ze strachu, póki nie spostrzegł, że goście z pontiaka to jego kumple, a nie strzelający z samochodu napastnicy.

- Powiedz mi, czy kiedyś naraziłeś się komuś w armii?

- Codziennie.

- No i zobacz, kto teraz okazuje się pomocny?

- J a k t o?

- Ano tak. Mówi się, że Vanessy Thompson nie załatwił nikt tutejszy. I że pętają się tu ludzie, którzy rozpytują o ciebie.

Lęk jeszcze mocniej zacisnął węzeł w moim żołądku. Powiedziałem Rexowi o swej rozmowie z Vincem Sloanem.

- To kiepsko, przyjacielu, ale robi się jeszcze gorzej.

- Chyba już nie może być gorzej.

- No, więc posłuchaj: z tego, co się dowiedziałem, ci ludzie pytający o ciebie to typki z wojska.

Przypomniałem sobie śmigłowiec i wojskowe pontony.

- To zupełnie bez sensu, nie trzyma się kupy.

- A twoje ostatnie trzy dni miały sens?

Zamilkłem i pozwoliłem jego słowom wybrzmieć, gdy dojeżdżałem do drogowskazu kierującego na plantację Egiptu.

- Więc co zrobimy? - spytałem w końcu.

- J a k t o „my”, stary druhu? - zaśmiał się Rex, a potem rzekł: - Póki co przywaruj, ale spróbuj rozejrzeć się w sytu-

acji, a ja do jutra skończę tu w Eastover robotę z montowaniem płyt gipsowych i będę miał czas, żeby ci pomóc.

Podziękowałem mu, powiedziałem że bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję wsparcia i pożegnałem się.

Następnie sprawdziłem wszystkie moje skrzynki poczty głosowej i znalazłem liczne i utrzymane w coraz bardziej wrogim tonie wiadomości z wydziału policji Los Angeles oraz całą furę nagrań Soni, wyrażających jej rosnący niepokój i wzburzenie. Uznałem, że nikomu z nich nie mam nic sensownego do powiedzenia, i postanowiłem najpierw wszystko przemyśleć.

35 Wkrótce ujrzałem przed sobą Greenwood, a według planu miasta, który wydrukowałem z internetu, biuro Jasmine znajdowało się na wprost, na głównej ulicy, tuż przy wielkim bezkolizyjnym skrzyżowaniu. Lecz przypomniawszy sobie ostrzeżenie Rexa, iż ta okolica jest niebezpieczna, postanowiłem nie parkować tutaj, gdyż kradzież mojego laptopa - zawierającego wszystko, bez czego nie mogłem się obyć - byłaby dziecinnie prosta.

Zjechałem więc na zachodnią autostradę 82 i przejechałem przez wysoki wiadukt, przerzucony nad główną magistralą kolejową. Stanąłem na czerwonym świede w miejscu, gdzie szosa przecinała teren gęsto zabudowany motelami, barami szybkiej obsługi, warsztatami samochodowymi i innymi podmiejskimi zakładami, po czym zadzwoniłem do Jasmine.

Znów nie odebrała, więc nagrałem kolejną wiadomość na jej pocztę głosową. Światło zmieniło się na zielone i pojechałem dalej, mijając po lewej redakcję lokalnej gazety „Greenwood Commonwealth”, a potem motel EZ - Sleep.

Skręciłem w prowadzący do niego podjazd i minąłem niewielki ceglany budynek z tablicą informującą, iż mieści

się w nim poradnia chorób nowotworowych. Wokół budynku stali pojedynczo lub parami ludzie palący papierosy.

Wszedłem do holu pełnego zapachów imbiru, kurkumy, kminku i cytrusów, które sprawiły, że ślinka napłynęła mi do ust i uświadomiłem sobie, iż minęło już południe, a ja w ciągu ostatnich osiemnastu godzin podróży nie jadłem nic oprócz maleńkiej torebeczki orzeszków arachidowych i paru precli. Hindus w średnim wieku wpisał mnie do książki hotelowej i skierował do pokoju za rogiem.

Kiedy zaparkowałem obok schodów i wysiadłem z wozu, spostrzegłem rząd białych furgonetek z drabinami na dachach i wypisaną z boku nazwą wielkiego państwowego przedsiębiorstwa zajmującego się układaniem i instalacją światłowodów. Przy końcu budynku rozmawiała grupa mężczyzn w pomarańczowych koszulkach; byli to niewątpliwie pracownicy przedsiębiorstwa zatrudnieni tu na długoterminowym zleceniu.

Zataszczyłem laptop w pokrowcu i worek żeglarski do mojego pokoju na pierwszym piętrze, rzuciłem je na najbliższe łóżko, zrobiłem na stole miejsce dla komputera, podłączyłem go do gniazdka telefonicznego i uruchomiłem. Następnie wprowadziłem hasło do BIOS-u i wetknąłem klucz USB, zarządzający automatycznym szyfrowaniem i deszyfrowaniem wszystkich danych na twardym dysku. Bez włożonego klucza USB nikt nie może odczytać twardego dysku, chyba że dysponuje superkomputerem i zaawansowanym oprogramowaniem służącym do łamania kodów.

Gdy już to zrobiłem, wszedłem do lokalnego modemowego dostępu do internetu i uruchomiłem program mailowy Eudora, który zaczął ściągać wszystkie reklamy i pocztę elektroniczną. Potem ukląknąłem pod stołem i odkręciłem plastikową osłonę gniazdka elektrycznego, po czym zastąpiłem ją moim własnym wynalazkiem: solidną metalową zaślepką z dołączonym wejściem dla kabla bezpieczeństwa. Umocowałem go do komputera i ustawiłem szyfr. Teraz, aby

ukraść mojego laptopa, złodziej musiałby wyrwać ze ściany całą puszkę. Na koniec podłączyłem komputer do prądu.

Kiedy uporałem się już z jego zainstalowaniem, poczta wciąż jeszcze się ładowała, więc stanąłem na chwilę w drzwiach pokoju i zlustrowałem wzrokiem teren na tyłach hotelu. Policzki paliły mnie odjazdu na słońcu, jakbym zaglądał w otwarty piec. W oddali po lewej, w pobliżu schodów, wielkie i grube czerwone osy z żądlami pełnymi jadu krążyły przy szczelinie pod okapem dachu. Doświadczenie podpowiedziało mi, że jeżeli zaryzykuję i przyjrzę się z bliska, znajdę wielkie papierowe gniazdo pełne grubych białych larw, z których wkrótce wyklują się kolejne osy. Przypomniałem sobie, jak dawno temu, w dzieciństwie, za pomocą silnego strumienia wody z węża ogrodowego usiłowałem strącać gniazda os spod okapu naszego domu, a potem uciekałem pędem, dopóki po kilkunastu próbach gniazdo w końcu nie spadło na ziemię, a ja mogłem wylać na nie trochę benzyny i dokończyć dzieła zniszczenia.

Z mojej pamięci wypłynęło żywe, bolesne wspomnienie pokłucia przez osy oraz zadziwiająco wyraźny obraz użądłonego miejsca, które natychmiast puchło, tworząc doskonale okrągły czerwony obrzeżek z małą dziurką pośrodku, otoczoną siną skórą. Z tą wizją w głowie zamknąłem drzwi i zatrzymałem się z wahaniem. Chciałem coś zjeść. I pragnąłem porozmawiać z Jasmine. Nie miałem ochoty przeglądać mojej poczty elektronicznej, ale jednak rzuciłem na nią okiem i znalazłem 307 nowych wiadomości.

W głowie mi się kręciło od zmęczenia podróżą i niewyspania. Nie chciałem zajmować się elektronicznym chłaniem, więc zamiast tego wszedłem do małej ciasnej łazienki, rozebrałem się i wzięłem prysznic. Następnie włożyłem najmniej pogniecioną niebieską bawełnianą koszulę oraz czyste spodnie khaki i zasiadłem, żeby uporać się z e-mailowymi rygowinami, zanieczyszczającymi moją skrzynkę odbiorczą.

Ponieważ nie potrzebowałem sztucznie powiększać sobie piersi i byłem całkowicie usatysfakcjonowany rozmiarem mego penisa, skasowałem wielkie połacie reklam, w tym także te od Tiffany, Brianny i innych kobiet, które obiecywały dobrą zabawę i dołączyły niedwuznaczne fotki. Szybko wyselekcjonowałem tuzin naprawdę ważnych wiadomości, a potem skupiłem się na dwóch od Jeffa Flowersa.

W pierwszym e-mailu Flowers powiadał mi, że stan Camilli nie zmienił się w istotny sposób. Dołączył linki i informację, żebym dostał się do wyników jej EEG na jednym z serwerów Pacific Hills. W drugim, wysłanym około czterech godzin później, donosił że elektroencefalogramy Camilli stały się dziwaczne, co skłoniło ich do przeprowadzenia badania tomograficznego PET-scan. Do tych plików dołączył kolejny zestaw linków.

Odchyliłem się do tyłu w fotelu i oddychałem szybko, ciężko i głośno. Znów wyrzuty sumienia walczyły we mnie z uczuciem ulgi. Nie chciałem oglądać elektroencefalogramów ani wyników badań tomograficznych. W istocie pragnąłem, aby pozostawiono już Camillę w spokoju i nie dokonywano żadnych więcej interwencji medycznych. Lecz serce mówiło mi, że jeśli pozwolę jej po prostu zgasnąć i nie uczynię wszystkiego, co w mojej mocy, żeby jej pomóc, do końca życia nie pozbędę się poczucia winy. Żyjącym zawsze pozostaje w udziale żal.

Tak więc uruchomiłem program Netscape, kliknąłem dwa razy na linkach, które przysłał mi Flowers, i zalogowałem się do serwera, używając podanej przez niego nazwy użytkownika i hasła. Przy tym modemowym połączeniu, wyniki EEG załadują się za około pół godziny, lecz pliki zawierające tomografię PET były wielomegabajtowymi potworami. Uświadomiłem sobie, że muszę skontaktować się z kimś ze szpitala w Greenwood, kto pozwoli mi skorzystać z tamtejszego szerokopasmowego łącza.

Wstałem, spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że minęła już pierwsza po południu. Niepokoił mnie brak odzewu

od Jasmine, ale uznałem, że zostawiłem na jej poczcie głosowej wystarczającą ilość wiadomości. Wyjąłem mały notes, który zawsze noszę przy sobie, nagryzmoliłem w nim niezbędne informacje z e-maili od Flowersa i wyłączyłem laptop.

Potem z jego pokrowca wyostałem dwa małe wykrywacze ruchu Targus. Jeden z nich przytwierdziłem do komputera, a drugi do kabła zabezpieczającego, w miejscu gdzie był przyczepiony do ściany. Następnie wyjąłem laminowaną pomarańczową plaketkę z ostrzeżeniem po angielsku i hiszpańsku, żeby nie dotykać laptopa, gdyż spowoduje to włączenie się alarmu. Uruchomiłem wykrywacze, upewniłem się, że każdy, kto wszedłby do pokoju, natychmiast zobaczy ich mrugające czerwone diody, i zostawiłem zapalone światło tak, aby ostrzegawcza tabliczka była wyraźnie widoczna.

36 W odległym rogu parkingu motelu EZ-Sleep Jael St. Clair siedziała za kierownicą swego wynajętego białego SUV-a, ukrytego między furgonetkami firmy od światłowodów. Wciągnęła głębokoboko dym z kolejnego papierosa i zobaczyła, że Brad Stone wyszedł ze swojego pokoju z pustymi rękami, zamknął drzwi i skierował się ku schodom.

St. Clair uśmiechnęła się, gdy Stone zawrócił, jeszcze raz sprawdził drzwi, a potem wszedł do furgonetki i odjechał.

- Zdziwisz się, dupku - powiedziała półgłosem, myśląc z zadowoleniem o przyjęciu, jakie przygotowała dla Stone'a i tej jego czarnej piękności. Lecz miała tu jeszcze coś do zrobienia. Otworzyła drzwi samochodu, wysiadła i raz jeszcze zaciągnęła się papierosem, po czym rzuciła go na jezdnię i rozgniotła butem. Ruszyła w stronę pokoju Stone'a, wciągając po drodze lateksowe rękawiczki. Doszła do drzwi,

pogmerała chwilę w zamku plastikową płytką i w mgnieniu oka je otworzyła. Weszła do środka i zamknęła drzwi za sobą. Jej uwagę natychmiast przyciągnęły liczne migające światełka laptopa.

Przyjrzała się kablowi zabezpieczającemu i urządzeniom alarmowym i ogarnął ją gniew. Będzie potrzebowała obrotowego noża i musi znaleźć jakiś sposób wytłumienia alarmu. Do przecięcia grubego plecionego stalowego kabla nie wystarczy przecinak. Potrzebny jej jest nóż obrotowy Dremel ze ścierną tarczą tnącą.

A także szybko zastygająca dźwiękochłonna pianka do stłumienia alarmu. Co za kłopot.

- Ty pieprzony skurwielu - powiedziała głośno St. Clair.

Weszła do łazienki i rozpogodziła się, ujrawszy w otworze odpływowym umywalki krótkie szpakowatobrazowe włosy. Zebrała je i włożyła do jednej z plastikowych torebek Ziploc, które wzięła ze sobą właśnie w tym celu. Przesunęła dłonią po wypalanej papierosami ladzie z imitacji marmuru i znalazła jeszcze kilka włosów.

A potem wyszła z pokoju.

37

Mniej więcej półtora kilometra na północny zachód od mojego hotelu autostrada 82 przecina szerokie pasmo torów kolejowych. Zaraz za nimi skręciłem w prawo na Strong Avenue i ujrzałem szpital, w którym przyszedłem na świat. Według słów mamy tuż przedtem uderzył w niego piorun.

Budynek szpitala z bladożółtej cegły górował nad ulicą i równoległym do niej, porośniętym trawą wałem przeciwpowodziowym, biegnącym wzdłuż rzeki Yazoo. Raptem przypomniałem sobie, jak w wieku siedmiu lat przyglądałem się mojej babce Mamie, żonie Sędziego, leżącej w zaciemnionym pokoju szpitalnym pod namiotem tlenowym,

który wyglądał, jakby zszyto go z plastikowych toreb z pralni chemicznej. Wylew krwi do mózgu trafił ją niczym uderzenie pioruna i wysłał do szpitala, gdzie umarła chyba zaraz następnego dnia. Lecz mnie jako dziecku, kiedy na nią wtedy patrzyłem, wydawała się pogrążona w spokojnym śnie.

To wspomnienie spłynęło na mnie niczym błotniste wody powodzi z przerwane go wału. Takie rzeczy przydarzały mi się za każdym razem, gdy odwiedzałem stan Missisipi i rodzinny dom, bez względu na to, jak długo mieszkałem gdzie indziej. Potrząsałem głową, usiłując skupić się na swoim zadaniu. Postanowiłem spróbować najpierw w oddziale nagłych wypadków. Pracują tam zawsze bystry lekarze, potrafiący radzić sobie z nieoczekiwanymi sytuacjami - takimi jak pojawienie się jakiegoś doktora z Kalifornii, proszącego o umożliwienie mu skorzystania z ich systemu komputerowego. Wrzuciłem bieg w furgonetce i pojechałem niemal pustą ulicą na wschód.

Gdy podjeżdżałem do wejścia oddziału nagłych wypadków, spostrzegłem na skraju drogi dużą tablicę z nazwiskiem doktora medycyny Gilesa Claiborne'a i znowu ogarnęły mnie dawne wspomnienia. Claiborne musiał już być obecnie bardzo stary, gdyż został naszym lekarzem rodzinnym w Itta Benie wkrótce po śmierci Wujka Doca. Wujek Doc, mąż siostry mamy, był lekarzem i leczył wszystkich, bez względu na kolor skóry czy wyplacalność. Przypominałem sobie jego zastrzyki i szycie ran, a także tylne wejście prowadzące do oddzielnej poczekalni „Tylko dla czarnych”. Przypominałem sobie również, że pytałem o tę poczekalnię Ala Thompsona oraz mamę i zawsze otrzymywałem od nich wymijające odpowiedzi.

Gdy zaparkowałem obok gabinetu Claiborne'a, zadzwoniła moja komórka.

- Tu Stone - powiedziałem.
- Gdzie jesteś, chłopie? - usłyszałem głos Rexa.

- W Greenwood. Stan Camilli bardzo się pogorszył. Jestem w szpitalu i spróbuję skłonić ich, żeby ściągnęli dla mnie wyniki jej tomografii.

- Twoja mama codziennie się za nią modliła.

- Wiem.

- Ja też bym to robił, ale nie jest mi z Bożą po drodze.

Chciałem się roześmiać, lecz cień Camilli kładł mi się na sercu.

- Dobra, posłuchaj - rzekł Rex. - Sprawdziłem to i owo. Nic pewnego, ale chciałem ci powiedzieć, żebyś uważał na siebie. Ja...

Mój telefon zapiszczał znajomym sygnałem „brak zasięgu” i przełączył się na analogowy roaming. Wskaźnik zasięgu sygnału oscylował u dołu skali. Spróbowałem oddzwonić do Rexa, lecz bezskutecznie.

- Jasna cholera - zakląłem. Wysiadłem z samochodu i wszedłem do przychodni. Siedząca za biurkiem recepcjonistki młoda kobieta o bardzo czarnej skórze, ubrana w białą uniform, uśmiechnęła się do mnie, ukazując olśniewające równe zęby i dziąsła koloru jagód. Przedstawiłem się i spytałem o doktora Claiborne'a.

- Przyjmuje po drugiej stronie ulicy, w małym pokoiku, który nazywa gabinetem - odpowiedziała. - Zadzwoń do niego.

Gdy skończyła wstukować numer, podniosła na mnie wzrok.

- Jest pan jego dawnym pacjentem?

- Myślę, że raczej jego ojca - odparłem z uśmiechem.

- Sprzed wielu lat.

Roześmiała się serdecznie i potrząsnęła głową.

- Doktor Claiborne nie ma synów, tylko trzy córki.

Na mojej twarzy odbiło się zdziwienie.

- Przeszedł już kiedyś na emeryturę, gdy pracowała u niego moja matka. Ale to nie trwało zbyt... - Przerwała i nagrała doktorowi Claiborne'owi na pocztę głosową wiadomość.

domość o mo jej wizycie, a potem narysowała mi na kartce, jak trafić do jego gabinetu.

Podziękowałem jej, wziąłem kartkę i szybko przeszedłem na drugą stronę ulicy, gdzie umundurowany pracownik ochrony skierował mnie na tyły domu. Przez dwuskrzydłe drzwi, strzeżone przez kolejnego ochroniarza, dostałem się na korytarz oświetlony lampami fluorescencyjnymi i wyłożony kafelkami i posługując się otrzymanym szkicem, trafiłem na pierwszy punkt orientacyjny: podświetlony szyld radiologii. Po drugiej stronie holu znajdowały się drewniane drzwi bez żadnej tabliczki, ze szczelinami wentylacyjnymi u dołu. Stałem przed nimi i uniosłem już rękę, żeby zapukać, kiedy otworzyły się i ujrzałem pobrużdżone wiekiem oblicze doktora Gilesa Claiborne'a.

Widok tej pomarszczonej, ale tak dobrze znanej mi z przeszłości twarzy wmurował mnie na moment w podłogę. Doktor musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt pięć lat, lecz jego żywe lodowato-błękitne oczy odmładzały go o całe dekady. Czas go nie przygiął - Claiborne trzymał się dumnie, prosto i miał gęstą czuprynę białych włosów.

Ubrany był w bawełnianą koszulę, tkaną gęsto niczym jedwab, z wyszytym na piersi zamiast kieszonki trzyliterowym monogramem. Nienagannie zawiązany jedwabny krawat w paski o barwach pułkowych ozdabiała złota spinka. Jego spodnie khaki miały kanty ostre jak brzytwa, podczas gdy moje przypominały pomietą aluminiową folię, którą ktoś spróbował dla przyzwoitości odprasować. Nogawki jego spodni fałdowały się stylowo nad wygodnymi i niewątpliwie drogimi błyszczącymi skórzanymi mokasynami.

Dawne poczucie braku pewności mego statusu społecznego powróciło ze zdwojoną siłą. Mimo iż przyszedłem na świat w dobrej rodzinie z tradycjami, cieszącej się szacunkiem w całym stanie Missisipi, dorastałem w okresie, gdy rodzinna fortuna chyliła się ku upadkowi wskutek współczesnego odpowiednika kryzysu opisywanego przez Faulknera,

pozostawiając aż nazbyt wielu moim krewnym wyłącznie ich zacny rodowód. W efekcie wzrosłem w poczuciu niezakorzenienia i niepewności pośród uprzywilejowanej warstwy planatorów Deltę, a później bogatych spedytorów w Jackson.

Uważałem zawsze, że pochodzę z tej klasy, lecz nigdy nie czułem, że do niej należę. Jako dziecko usiłowałem do niej doszlusować, ale raziły mnie wielkopańskie pozycje przedstawicieli i ich beztroskie, bezrefleksyjne przekonanie o własnej wyższości wynikającej z naturalnego porządku rzeczy. Jestem pewien, że odegrało to niemałą rolę w moim późniejszym buncie i odrzuceniu rodzinnego dziedzictwa.

Pomimo mych zawodowych i materialnych sukcesów, nigdy w pełni nie pozbyłem się pragnienia, by zyskać akceptację tego środowiska. Nie pojmowałem tej mojej skazy, ale wpływała ona w wielkim stopniu na fakt, iż unikałem rodzinnych stron i większości ludzi, z którymi niegdyś dorażałem. Najwidoczniej odrzuciłem tę kulturę, lecz nie udało mi się z niej wyzwolić.

- Bradford! Cóż za niespodziewane miłe spotkanie.
- Giles Claiborne rozwarł ramiona i objął mnie mocno i serdecznie. Ten jego uścisk jeszcze bardziej ujął mu lat w moich oczach i poczułem się niemal, jakbym znowu był jego dziecięcym pacjentem.

- Witam, doktorze Claiborne - wyjąkałem, ściskając mu dłoń.

- Proszę, mów mi Clay. Sam jesteś przecież teraz lekarzem i to znakomitym. Wielokrotnie napotykałem w literaturze fachowej twoje artykuły i muszę się przyznać, że bardzo wiele z tego, co piszesz, przekracza możliwości takiego starego wiejskiego doktora, jak ja.

Jego szeroki uśmiech, wyrażający dystans do samego siebie, jeszcze bardziej pogłębił moje emocjonalne zagubienie.

- Dobrze... Clay.

- No, więc wchodźże. - Zaprosił mnie gestem ręki do małego pokoju bez okien, wyłożonego wschodnim dywa-

nem, z meblami z ciemnego mahoniu i całą resztą stosownego malowniczego profesjonalnego wyposażenia. Rzeczywiście, skromny pokój. Rzuciwszy szybko okiem na ściany zauważyłem, że przez dziesiątki lat był i nadal jest członkiem zarządu szpitala. - Proszę. - Poprowadził mnie w stronę biurka, do fotela obitego bordową skórą i zdobionego mosiądzem. - Siadaj. - Zamknął drzwi i usadowił swoją wysoką chudą postać w identycznym fotelu naprzeciw mnie.

- Zaiste, Bradford, masz oczy Sędziego - powiedział. - Masz to jego spojrzenie... tę postawę, która sprawiała, iż ludzie bez wahania wypełniali jego polecenia i wierzyli, że niemal we wszystkim ma rację. - Przytaknął samemu sobie, wciąż wpatrując się w moją twarz. - Jeśli chcesz, nazwij to charyzmą albo osobowością, ale niewątpliwie dzięki temu odnosił takie sukcesy jako prawnik i posiadał polityczne wpływy, które przetrwały do dziś.

Biorąc pod uwagę polityczne sympatie Sędziego i jego metody egzekwowania swej władzy, nie miałem ochoty powiedzieć: „dziękuję”, więc skinąłem głową i spytałem:

- Naprawdę tak sądzisz?

Zdawałem sobie sprawę, że moja niejednoznaczna, wymijająca odpowiedź nie różni się od sposobów postępowania uczciwych ludzi, którzy stoją biernie z boku i pozwalają, aby działy się rozmaite nieprawości, takie jak segregacja rasowa. Lecz przypomniałem sobie, że nie przyszedłem tu, żeby wzniecać ponownie wojnę secesyjną, tylko żeby dotrzeć jakoś do wyników tomografii mózgu mej pogrążonej w śpiączce żony.

- Zaiste - powtórzył Claiborne. - Posłuchaj, pamiętam, że kiedy cię ostatni raz widziałem, byłeś mniej więcej tego wzrostu. - Uniósł rękę niewiele ponad metr nad podłogę. Spozrzegłem na jego przegubie złotego Piageta. - T a k , tak - zadumał się. - W tym czasie musiałeś być chyba w pierwszej klasie i dawaliśmy wam wszystkim szczepionkę przeciw Heine-Medinie. Pamiętam też, jak innym razem twoja ma-

ma przyprowadziła cię krwawiącego jak zarżnięty wieprzek, bo wszedłeś bosą stopą na jakieś szkło. - Przez chwilę jego spojrzenie uciekło gdzieś w dal i wyczułem, że oczami wyobraźni ogląda swoją wersję mojego wspomnienia o tym, jak bawię się w wysokiej trawie przy Riverside Drive, w pobliżu domu Eddiego Stantona. Byłem wówczas pewien, że ukąsiła mnie żmija i zaraz umrę.

- Twoja matka jeździła wtedy uroczym małym nash ramblerelem i mieszkaliście w domu Sędziego. Boże, mama musiała być z ciebie dumna. - Przez chwilę jego twarz straciła wszelki wyraz, a potem rzucił mi swe zawodowe współczujące spojrzenie. - Naprawdę opłakuję jej odejście. - Kiwnął głową i znów zaczął przyglądać się mojej twarzy. - T a k , tak, z pewnością masz oczy Sędziego - rzekł i roześmiał się. - Na szczęście nie odziedziczyłeś po nim włosów. - Sędzia był łyśsy jak kolano.

Claiborne kontynuował te wspominki jeszcze przez dzień ciągnących się jak wieczność minut, zanim w końcu spytał, co sprowadziło mnie do jego gabinetu. Kiedy mu powiedziałem, odrzekł:

- Mam to, o co ci chodzi.

Poszedłem za nim na oddział radiologii.

- Mamy wspaniały system, pozwalający nam wysyłać zdyskretyzowane zdjęcia rentgenowskie i wyniki tomografii komputerowej na konsultacje do akademii medycznej w Jackson - albo do szpitala w Ocshners czy gdziekolwiek indziej, jeśli już o to chodzi.

Szedłem za nim przez poczekalnię, uśmiechając się i kłaniając uprzejmie, gdy przedstawiał mnie w entuzjastycznych słowach jako miejscowego chłopaka, który zrobił karierę, zarazem informując wszystkich, że jestem wnukiem Sędziego, a on sam był moim lekarzem. O dziwo, wydawało się, że ma to dla nich znaczenie i ponownie zdumiało mnie, jak chętnie ludzie godzą się, by na ich życie wpływali umarli.

Podeszliśmy do odległego kąta długiego i klaustrofobicznie ciasnego pomieszczenia magazynowego, gdzie młody mężczyzna w białym kitlu w skupieniu stukał w klawiaturę komputera. Nad nim górował olbrzymi płaski ekran plazmowy o wysokiej rozdzielczości.

Claiborne odchrząknął i odezwał się:

- Tyrone.

Młody człowiek odwrócił się do nas.

- Tyrone Freedman - przedstawił go Claiborne. - A to jest doktor Stone. Niegdyś był jednym z moich pacjentów, lecz obecnie mieszka w Kalifornii. - T y m razem nie wspominał o Sędzim.

Kiedy Freedman wstał i uściśnął moją dłoń, starałem się nie przyglądać nierównej bliźnie, która biegła od kącika jego lewego oka przez skroń i znikwała we włosach nad uchem.

- Tyrone pochodzi stąd, skończył medycynę na uniwersytecie, jest chirurgiem, który przeszedł u nas staż podyplomowy i stanowi dowód, że Valley State potrafi wydać nie tylko słynne gwiazdy futbolu. Chce specjalizować się w chirurgii urazowej. - Claiborne zamilkł na chwilę i dodał: - Na nieszczęście ma u nas mnóstwo okazji do praktyki.

- Miło mi pana poznać - rzekłem.

- Mnie również - odparł młody człowiek.

- Doktor Stone pragnie wiedzieć, czy możemy mu pomóc ściągnąć kilka wyników tomografii aż z Kalifornii.

Freedman uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, że możemy.

- Tyron jest kimś w rodzaju geniusza komputerowego - wyjaśnił Claiborne. - W istocie, zanim rozpoczął studia medyczne, był programistą.

Młody człowiek przytaknął.

- No tak, to coś więcej niż ja, stary wiejski lekarz - stwierdził Claiborne, wycofując się z ciasnego pomieszczenia. - T y rone, zaopiekuj się troskliwie doktorem Stonem, żeby po powrocie do Los Angeles mógł powiedzieć o nas dobre słowo.

Tyrone odwrócił się do mnie.

- Oczywiście, doktorze...

- Proszę, mów mi Brad - przerwałem mu.

Mężczyzna uniósł brwi i rzucił mi zdziwione spojrzenie, a potem skinął głową.

- Dobrze... ee... Brad. Weźmy się do rzeczy. Na jaką witrynę mamy najpierw wejść?

- Wejdź na badanianadswiadomoscia.org i kliknij na link *prywatne dane*.

Po chwili na ekranie pojawiła się moja strona. Tyrone kliknął na łącze danych, wywołując wejście do mojego konta.

- Moja nazwa użytkownika to „bstone”, a hasło „jambalaya”.

- To zanedo oczywiste - powiedział. - To znaczy, bardzo przepraszam, ale każdy, kto chciałby dostać się do twoich prywatnych danych, zrobiłby to w ciągu... kilku sekund.

- Masz rację — odparłem, gdy rozpoczęło się ściąganie plików z wynikami badań Camilli.

- Chcesz, żebym zmienił ci te ustawienia?

- Na razie nie.

Tyrone potrząsnął głową i spytał:

- Od czego chcesz zacząć - od wyników rezonansu magnetycznego, tomografii PET-scan czy elektroencefalogramu?

- Zacznijmy od EEG.

- Jeżeli wolisz obejrzeć je samotnie, pokażę ci, co masz zrobić i wyjdę.

Zastanowiłem się nad tym chwilę.

- Możemy przestudiować je razem, jeśli cię to interesuje.

- O rany, naprawdę?! - Odwrócił się i podniósł na mnie wzrok. Znowu rzuciła mi się w oczy jego blizna. Zauważył moje spojrzenie.

- Strzelono do mnie z samochodu - rzucił lekkim tonem. - Sam byłem sobie winien. W młodości zadawałem się z kilkoma starszymi ode mnie członkami gangu. Włamałem

się dla nich przez internet do kont bankowych i do wykazu ich szkolnych stopni. Kiedy złapała mnie policja, wszystkie tropy prowadziły do tych gangsterów, więc uznali, że trzeba mnie zlikwidować... Miałem wtedy czternaście lat i stało się to, gdy siedziałem na frontowej werandzie u mojego wujka w Balance Due.

Balance Due było czarną dzielnicą Itta Beny. Ostatnim razem odwiedziłem ją jako dziecko, ale wciąż pamiętałem smród siarkowodoru bijący z odkrytych ścieków, wpadających do rowów ze stojącą wodą, pokrytą grubym kożuchem szumowin. Te rowy okalały błotniste, niebrukowane ulice, wzdłuż których stały zrujnowane drewniane chaty z przedzewiałymi dachami z blachy falistej; palono w nich drewnem i dym wydobywał się kłębamii ze zniszczonych blaszanych rur od pieców.

- Zabili mojego wuja i ciotkę - ciągnął Tyrone - a mnie zostawili tę pamiętkę. - Mimowolnie przeciągnął wskazującym palcem wzdłuż blizny. - Dlatego postanowiłem specjalizować się w chirurgii urazowej.

- Sądziłem, że strzelanie z samochodów zdarza się tylko w dużych miastach.

Potrząsnął głową i odwrócił się z powrotem do klawiatury i monitora, podejmując pracę i jednocześnie kontynuując rozmowę. - Każde miasteczko w Delcie ma swoje czarne gangi albo bandę narkotykowych oprychów, którzy je nieudolnie naśladują i są dwa razy głępsi, ale dwakroć niebezpieczniejsi. - Urwał. - Właśnie dlatego mieszkam daleko od nich, w zapadłej wsi. - Przytaknął sam sobie.

- Co stało się z ludźmi, którzy cię postrzelili?

- Nie żyją - odrzekł beznamytnie. - Komuś się narazili i zlikwidował ich. Koniec, kropka.

W tym momencie na ekranie pojawił się elektroencefalogram.

- Dobrze, to jest ten nowy - stwierdziłem. - Możesz wyswiedzić dla porównania plik z dawniejszymi wynikami.

Chwilę później mieliśmy na ekranie otwarte dwa pliki.

- Obraz EEG był niezmienny od niemal sześciu lat - powiedziałem - i odpowiadał przetrwałemu stanowi wegetatywnemu tej czterdziestoczteroletniej pacjentki, która doznała głębokiego uszkodzenia mózgu w wyniku wypadku samochodowego. - Czułem się dziwnie, opisując chorobę Camilli suchym bezosobowym językiem, niczym ordynator podczas szpitalnego obchodu, ale pozwalało mi to osiągnąć większy obiektywizm i sięgnąć do szczegółów, na co w przeciwnym razie nie potrafiłbym się zdobyć. - Widzisz więc, że wczorajsze EEG różni się wyraźnie od poprzednich i wskazuje na znaczne zwiększenie aktywności wyższych funkcji mózgowych.

- Skąd wiesz, że w grę wchodzi wyższe funkcje, skoro widzisz tylko to EEG, a nie masz obrazu pnia mózgu ani innych jego obszarów?

- Dobrze pytanie. - Powiodłem kursorem po zygzakowatej linii wykresu. - Zauważ, że wierzchołek PI5 nie występuje po jednej stronie, natomiast jest wyraźnie zarysowany po drugiej. - Skinął głową. - A tutaj słuchowe potencjały wywołane z pnia mózgu nie pokazują po obu stronach fali IV ani V.

- Co to oznacza?

- Nie mam pojęcia, ale zobaczymy, co powiedzą nam wyniki tomografii - rzuciłem nerwowo. Wzrost aktywności wyższych funkcji mózgowych mógł znaczyć, że Camilla wychodzi ze stanu śpiączki.

- Dlaczego wyniki miałyby być takie same przez sześć lat, a potem nagle się zmienić? - zapytał Tyrone. - Sądziłem, że kiedy pacjent wchodzi tak daleko w przetrwały stan wegetatywny, nigdy już nie może nastąpić poprawa.

Przypomniałem sobie moją ostatnią rozmowę z Flowersem.

- No cóż, pacjentka przechodziła ostatnio ostre infekcje bakteryjne, odporne na antybiotyki, które powodowały skoki temperatury powyżej 40,5°C. Długotrwała wysoka gorączka może radykalnie wpłynąć na funkcjonowanie mózgu.

Tyrone przytaknął.

- A teraz mam pokazać PET-scan czy rezonans magnetyczny? - spytał.

- Rezonans.

Gdy studiowaliśmy wyniki rezonansu magnetycznego, a potem tomografii PET-scan, ogarniał mnie coraz większy niepokój.

- Ten wykres wydaje mi się znajomy - powiedziałem Freedmanowi, gdy po raz trzeci przejrzelśmy wyniki badań tomograficznych.

Kiedy w końcu rozpoznałem ów wzór, jego znaczenie uderzyło mnie niczym młot.

- O, Chryste - wyszeptalem. Freedman odwrócił się ku mnie z wyrazem z troskania i lęku na twarzy. Chwyciłem się oparcia jego krzesła, żeby nie upaść.

38 - Doktorze... ee... Brad, dobrze się czujesz?
Potrzęsnałem głową. Freedman wstał szybko i pomógł mi usiąść na swoim krześle. Opadłem na nie i siedziałem długą chwilę, usiłując uspokoić oddech. W końcu opanowałem się, zaczerpnałem głęboko powietrze i wypuściłem je powoli.

- Możesz pokazać ostatni elektroencefalogram i PET-scan?

- Oczywiście. - Freedman pochylił się nad klawiaturą i wyświetlił wyniki badań.

- Tutaj. - Postukałem palcem w ekran. - I tutaj... Choć nasiliły się wyższe funkcje mózgowe, nie ma żadnej zmiany w aktywności niższych funkcji ośrodkowego układu nerwowego i pnia mózgu. Pamiętasz ten obraz rezonansu magnetycznego brzusznych rostralnych części mostu. - Ogarniało mnie coraz większe przerażenie, ale starałem się skupić na opisie stanu Camilli, jakby była jedną z pacjentek podczas mojego obchodu w szpitalu.

- A h a .

- Dobrze, teraz spójrz tutaj, a ujrzysz wyraźny dowód odzyskania wyższych funkcji mózgowych, zwłaszcza w strefach odpowiedzialnych za przytomność i świadomość.

- Więc ta pacjentka wychodzi z komy?

- Na to wygląda.

- I jest to spowodowane gorączką albo infekcją bakteryjną?

Pokiwałem ciężko głową nad ewentualnymi konsekwencjami.

- To dobrze.

- Być może - odparłem.

Tyrone chciał już zadać następne pytanie, ale powstrzymałem go, podnosząc palec i wybrałem na moim telefonie komórkowym skrót numeru Jeffa Flowersa.

- Wyniki tomografii wskazują na rodzaj objawu zwanego zespołem zamknięcia.

- Zamknięcia?

- Zazwyczaj występuje on po wypadku samochodowym i uderzeniu w głowę, czasami przy urazie mostu, kiedy dochodzi do uszkodzenia specyficznych fragmentów niższych partii mózgowia oraz pnia mózgu, podczas gdy wyższe części mózgu doznają jedynie nieznacznego uszczerbku bądź pozostają nienaruszone.

Flowers odebrał telefon.

- Jeff, tu Brad Stone - rzuciłem szybko. - Być może mamy sytuację krytyczną.

- Zaczekaj, przejdę w miejsce, gdzie będę mógł rozmawiać.

Czekając, wskazałem na obraz rezonansu magnetycznego na monitorze i rzekłem do Freedmana:

- Przyjrzyj się uważnie temu obszarowi hipodensyjnemu w miejscu, gdzie tkanka uległa zniszczeniu. Taki rodzaj urazu wywołuje porażenie czterokończynowe oraz, w zależności od stopnia uszkodzenia, powoduje śmierć, o ile nie za-

stosuje się sztucznej wentylacji. W przypadku tej pacjentki śmierć... - ach, chciałem powiedzieć: sztuczna wentylacja - nie była konieczna, jednakże wszystkie celowe funkcje mięśni zanikły, podobnie jak wyższe funkcje mózgowe - aż do wczoraj.

Znów usłyszałem w słuchawce głos Flowersa:

- Przepraszam cię Brad, byłem na zebraniu zespołu.

- Dziękuję, że odebrałeś telefon. Słuchaj, Jeff, myślę że mamy tu przypadek rozwijającego się zespołu zamknięcia, czyli centralnego uszkodzenia mostu.

- Dobry Boże.

- Właśnie. Możesz wykonać kilka testów, żebyśmy się upewnili?

- Wszystko, co zechcesz.

- Dzięki. Jak być może pamiętasz, u wielu, jeśli nie u większości pacjentów z zespołem zamknięcia zachowana zostaje w niewielkim stopniu kontrola ruchu gałek ocznych i powiek. Wiemy, że u Camilli tak nie było. Musimy ustalić, czy to uległo zmianie. Dodatkowo potrzebujemy funkcjonalnego PET-scanu, żeby przekonać się, czy doznaje wrażeń zmysłowych - wzrok, słuch, dotyk, cała gama.

- Chodzi ci o jakieś szczególne badania albo sposoby rejestracji wyników?

- Sam je wybierz. Musimy się dowiedzieć, czy ona jest świadoma i przytomna, nawet jeśli nie jest zdolna do komunikowania się.

Flowersowi zapało dech, tak samo jak mnie przed kilkoma minutami.

- Nawet w najkoszmarniejszych snach nie przypuszczałem, że mogłoby do tego dojść - wydusił.

- Ja czuję to samo.

- Dobrze, biorę się do roboty. Czy mam oddzwonić na twoją komórkę?

- Aha. I jeśli możesz, prześlij mi nowe wyniki tomografii tak szybko, jak się da. - Powiedziałem mu, w jaki sposób

mogę je odebrać. - Jeżeli z jakiegoś powodu nie będziesz mógł dodzwonić się do mnie, skontaktuj się z doktorem Tyronem Freedmanem ze szpitala miejskiego w Greenwood. - Odczytałem numer i rozszerzenie ze stojącego na blacie aparatu. Tyrone podał też numer s w o jej komórki, który powtórzyłem Flowersowi, po czym rozłączyłem się.

- To naprawdę poważna sprawa - powiedział Freedman.

Odwrociłem się powoli i spojrzałem na niego.

- Ludzie z zespołem zamknięcia zazwyczaj zachowują zdolność widzenia, słyszenia, odczuwania emocji, rozumienia mowy, analizowania złożonych idei - wszelkie władze poznawcze i uczuciowe - ale wszystkie połączenia nerwowe z mięśniami, pozwalające nawiązywać kontakt z otoczeniem, przestają u nich działać. Przeraża mnie możliwość, że ta pacjentka zachowała świadomość wewnątrz czarnej otchłani pozbawionej obrazów, dźwięków i innych wrażeń zmysłowych, być może odczuwając ból, lecz nie będąc zdolną do wyrażenia swego cierpienia ani uczynienia czegokolwiek, aby je zmniejszyć. To jak bycie pogrzebanym żywcem, tyle że bez nadziei na dobrodziejstwo rychłej śmierci.

- O, Chryste - wyrzucił z siebie Freedman cichym, głuchym i bezbarwnym głosem, podczas gdy na jego twarzy odbijały się kolejno rozmaite uczucia, w miarę jak uświadamiał sobie konsekwencje tego, co powiedziałem. - Myślę, że niewiele różni się to od piekła.

Otworzył usta, żeby jeszcze coś dodać, ale w tym momencie zadzwonił jego pager. Odczepił go od paska.

- Och, świetnie - rzekł. - Wszyscy na pokład. Wszystkie nasze karetki jadą już do nas z rannymi w strzelaninie, a dopiero wieczorem będziemy mieli tu normalną liczbę personelu.

Odwrocił się i ruszył do drzwi tego wąskiego i ciasnego pokoju.

- Przyda nam się wszelka pomoc - powiedział. - Jeżeli chcesz, chodź ze mną do umywalni przy sali operacyjnej i przedstawię cię szefowi.

Wybiegłem za nim.

Wkrótce narastające wycie syren ambulansów zagłuszył gwar gorączkowych rozmów w umywalni. Freedman przedstawił mnie ordynatorowi oddziału chirurgii urazowej Cliffordowi Scarboroughowi, wysokiemu ciemnowłosemu mężczyźnie, zbudowanemu jak obrońca z drużyny futbolu amerykańskiego.

- Czytałem kilka pana prac - zwrócił się do mnie Scarborough, gdy myliśmy mydłem ręce aż po łokcie. - Prawdopodobnie będziemy mieli do czynienia z ranami głowy.

- Jestem gotów pomóc w każdym przypadku.

- Świetnie. To niedobry dzień na przyjmowanie pacjentów z poważnymi urazami - powiedziała. - Zazwyczaj w najcięższych przypadkach stabilizujemy tylko stan i wysyłamy chorych helikopterem do Uniwersyteckiego Centrum Medycznego w Jackson, ale w całej cholernej okolicy doszło do mnóstwa zbrojnych incydentów. Nie ma żadnego wolnego śmigłowca. Być może będzie pan musiał zrobić coś więcej, niż tylko pomóc mi w przygotowaniu rannych do przetransportowania.

- Zrobię wszystko, co mogę.

- A więc dobrze, proszę się przygotować. - Wskazał stos czystych złożonych kitli. Przebrałem się i wyszorowałem dłonie, przedramiona i łokcie. Założyłem już rękawiczki, gdy do pokoju wetknęła głowę pielęgniarka zajmująca się selekcją rannych i oznajmiła, że dwóch ludzi zmarło w drodze do szpitala, a kolejnych sześciu jest w stanie krytycznym. Wziąłem od siostry obsługującej umywalnię maskę chirurgiczną, włożyłem ją i przeszedłem przez dwuskrzydłe drzwi prowadzące do oddziału nagłych wypadków.

W korytarzu za nimi kłębił się tłum policjantów i ratowników medycznych. Pod ścianą na kołowych noszach leżało dwóch młodych mężczyzn; byli wysocy, muskularni i o wiele za młodzi, by leżeć tak całkowicie bezwładnie. Ich krew kapała szybko na wyłożoną kafelkami podłogę. Wszędzie widać było kitle i granatowe mundury. Policjanci oraz ra-

townicy medyczni w lateksowych rękawiczkach uwijali się pośród swych podopiecznych, usiłując utrzymać przy życiu konających i pilnując, aby nie doszło do jakichś awantur lub prób ucieczki.

Drzwi na podjazd dla karettek otworzyły się gwałtownie i do środka wjechały jeszcze dwie pary noszy; za nimi weszła Jasmine w białej jedwabnej bluzce poplamionej świeżą krwią, która pokrywała też jej twarz i ręce i zlepiła włosy.

39

Ponad dwanaście i pół kilometra nad monotonnym obszarem Południowej Dakoty czarterowy Boeing 737 Braxtona rysował na chabrowym niebie linie smug kondensacyjnych. Z przodu samolotu potargani reporterzy w pogniecionych ubraniach siedzieli rozparci w fotelach i znużeni rozmawiali ze sobą. Wylot przed świtem z Narodowego Lotniska im. Reagana i trzy lądowania dla odbycia błyskawicznych spotkań przedwyborczych w Buffalo, Duluth i Fargo dały im się solidnie we znaki. W tylnej części odrzutowca, w zastrzeżonej strefie graniczącej z prywatną kabiną Braxtona, Daniel Gabriel spojrział w dół na kłęby burzowych chmur i pomyślał z irytacją o umieszczeniu słowa: „emerytowany” przed jego stopniem generała brygady.

Poświęcił wojsku całe swoje życie. Jego jedyne małżeństwo trwało niespełna rok, po czym żona zdała sobie sprawę, że armia jest kochanką, z którą ona nie może rywalizować. Teraz, gdy dokumenty związane z jego przejściem na emeryturę były już mielone w trybach biurokracji departamentu obrony, ponura zmiana w jego życiu zbliżała się niczym te burzowe chmury, gromadzące się pod nim nad prerią.

- Martwisz się emeryturą? - zapytał Braxton, siadając po drugiej stronie przejścia. Gabriel odwrócił się do niego.
- T a k , mnie też ta sprawa trapi od wielu miesięcy.

Pod jego uważnym spojrzeniem Gabriel poczuł się, jakby był półnagi.

- Tak jest, sir - odparł. - Przede wszystkim o to chodzi.

- Tak myślałem. - Generał zamilkł. - A o co jeszcze?

Gabriel zadumał się przez chwilę, wyglądając przez okno, nim znów spojrzął na Braxtona.

- Kiedy po raz ostatni odwiedziłem Pentagon, zająłem do Laury LaHaye.

- Wiem.

- Otóż, sir, ja... ee... - Gabriel zawahał się, szukając odpowiednich słów -jestem nieco zaniepokojony konsekwencjami projektu Optymalizacji Wartości Bojowej.

- A co cię najbardziej niepokoi?

- Myślę, że przede wszystkim kwestia braku jawności.

- Jawności?

- Fakt, iż nie ujawniono go ludziom. Żołnierzom. - Gabriel przyjrzał się twarzy Braxtona, pragnąc dostrzec na niej reakcję na swoje słowa, ale nie ujrzał niczego oprócz wyrazu zachęty, by mówić dalej. - Czy nie uważa pan, że sekretne podawanie im specyfiku naraża nas na zarzut, iż dokonujemy eksperymentów na ludziach bez ich świadomej zgody?

Braxton wolno pokiwał głową.

- Dan, prowadzimy walkę na śmierć i życie, aby zyskać pewność, że nasze oddziały wojska odniosą zwycięstwo w każdej bitwie. Gdybyśmy rozpętywali publiczną dyskusję na temat każdej cholernej rzeczy, jaką robimy i musieli uzyskiwać pisemną zgodę na podanie żołnierzom każdego cholernego zestawu witamin, do niczego byśmy nie doszli. A nawet, gdyby udało nam się coś osiągnąć, rzecz natychmiast wyszłaby na jaw i wszyscy nasi wrogowie mogliby ją skopiować. Świadoma zgoda doskonale sprawdza się u cywiliów, lecz kiedy chodzi o wojnę, kosztuje tylko życie mnóstwa dzielnych mężczyzn i kobiet.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale”. Posłuchaj, czy sądzisz, iż informowaliśmy wszystkich, że podawane przez nas antidota przeciw gazowi paraliżującemu składają się nie tylko z atropiny? Albo że indywidualne pakiety żywnościowe, wydawane w strefie walk, zawierają ściśle tajne preparaty, opracowane po to, by uzyskać maksymalną efektywność działania naszych chłopców? Właśnie dlatego nie podajemy do publicznej wiadomości także tej szczególnej receptury.

Gabriel skinął głową.

- Ale podobno metody Optymalizacji Wartości Bojowej powodowały w przeszłości niepożądane skutki uboczne?

Twarz Braxtona stężała na ułamek sekundy, lecz wygładziła się z powrotem tak szybko, że Gabriel w istocie niczego nie zauważył; niemniej poczuł podświadomy niepokój.

- Skutki uboczne? - powtórzył generał. - Mogę powiedzieć ci coś o skutkach ubocznych. - Powiódł dłonią po swej słynnej szramie na czole. - Synu, nim Bóg mnie tym obdarzył, zeszcząłem się, słysząc nieprzyjacielski ogień artyleryjski. Lecz Bóg uderzył mnie i zmienił i zostawił ślad pokazujący innym ludziom, że także mogą przezwyciężyć swoje słabości i wady. Więc taki jest ten skutek uboczny otrzymanej rany i jestem za niego wdzięczny każdego dnia, kiedy wstaję rano i przeglądam się w lustrze.

- Ale, sir...

Braxton uniósł dłoń.

- Zaczekaj, jeszcze nie wiesz, do czego zmierzam.

Gabriel przytaknął.

- Frank Harper dwukrotnie uratował mi życie - powiedział Braxton. - Pierwszy raz na polu bitwy, a później w małej klinice, którą urządził w dawnym obozie jenieckim na zapadłych moczarach Deltę Missisipi. Przyjrzał mi się i zbadał mnie, podobnie jak innych, którzy doznali rozmaitych urazów głowy. Pomógł mi zrozumieć, co mnie spotkało, i wyjaśnił, że otrzymałem doskonałą ranę. Niczym chirurg

giczne nacięcie, tak precyzyjne, że tylko ręka Boga mogła dzierżyć skalpel.

- Harper przebadał mnie - ciągnął generał - i starał się udoskonalić tę operację na innych pacjentach z ranami głowy, by móc powtórzyć moje osiągnięcie. Stan niektórych się poprawił, innych pogorszył, lecz u większości pozostał bez zmian.

- A czy ta praca Harpera była jakimś rodzajem oficjalnego eksperymentu wojskowego? - odważył się zapytać Gabriel.

- Oczywiście, że nie! - Braxton potrząsnął głową. - To była k u r a c j a. Nowa metoda leczenia. Lecz mimo iż Harper i jego zespół znakomitych neurochirurgów pracowali bardzo ciężko i przeprowadzili wiele operacji, nigdy nie udało im się powtórzyć tego, czego Bóg dokonał na mnie swoim skalpelem w postaci skręconego kawałka metalu.

Kandydujący na prezydenta wojownik rozparł się w fotelu i potrząsnął głową. Gabriel ujrzał na jego twarzy wyraz zadowolenia z powodu bycia tak niepowtarzalnym udanym fenomenem.

- Taki jest ten skutek uboczny - powtórzył Braxton. - Harperowi i jego ludziom o wiele lepiej powiodło się z nowymi lekami. Te metody leczenia ostatecznie legły u podstaw dzisiejszego projektu Optymalizacji Wartości Bojowej.

Gabriel poczuł w piersi jeszcze mocniejszy ucisk lęku.

- Owszem, podczas eksperymentów Harpera i wcielania projektu Optymalizacji występowały niepożądane skutki uboczne - przyznał generał. - Potraktuj to jako swego rodzaju pomyłkowy ostrzał przez własną artylerię.

- Pomyłkowy ostrzał?

- My Lai. Niemal udało się nam wówczas uzyskać właściwą recepturę, tylko że zastosowaliśmy nieodpowiednią dawkę.

- Chodzi panu o to, że w My Lai...

Braxton skinął głową.

- W Wietnamie nigdy jednak nie zdołaliśmy udoskonalić tego preparatu. Na szczęście powodowane przez niego skutki uboczne wyglądały na tyle podobnie do tych wywołanych przez Agent Orange¹, że nigdy nie został wykryty.

- Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć o tych sprawach.

- Najwyższy czas. - Braxton rzucił okiem na przód samolotu, aby się upewnić, czy przedstawiciele prasy trzymają się posłusznie w wystarczającej odległości, by nie mogli go usłyszeć. - Najwyższy czas, żołnierzu, żebyś powalał sobie buty tym, czym będziesz musiał się zajmować jako sekretarz obrony.

Lęk Gabriela jeszcze się spotęgował.

- To samo było z nowymi specyfikami, które zastosowaliśmy podczas pierwszej Wojny w Zatoce - ciągnął generał.

- Ich receptura była niemal doskonała i spełniły swoje zadanie, jednak w bardzo niewielkiej liczby przypadków spowodowały nieodwracalne zmiany w mózgu. Nazwano je syndromem Wojny w Zatoce i ogłoszono, że spowodowane zostały przez przypadkowe wystawienie na działanie irackiego gazu paraliżującego o niskim stężeniu. Sądziliśmy, że w Afganistanie udało nam się wreszcie przezwyciężyć wszystkie problemy.

Gabriel słyszał Braxtona jakby z oddali, gdyż jego lęk zmienił się w oburzenie i gniew, jaki mógłby odczuwać mąż rogacz w obliczu dowodu zdrady żony.

- Lecz potem doszło do tych zabójstw, dokonywanych przez szwejów po powrocie z wojny. Na szczęście było ich za mało, by opinia publiczna zdołała wpaść na jakiś trop. Do tego czasu LaHaye i McGovern opracowali już właściwą re-

¹ Agent Orange to kryptonim preparatu ftotoksycznego, stosowanego przez armię USA na szeroką skalę podczas wojny w Wietnamie w latach 1961-71. Preparat ten niszczył roślinność i uprawy. Był też trujący dla ludzi - odnotowano ponad 1 000 000 przypadków chorób i inwalidztwa u Wietnamczyków oraz około 100 000 u walczących w Wietnamie żołnierzy amerykańskich.

cepturę specyfiku, lecz zdali sobie sprawę, że aby uniknąć komplikacji, trzeba podawać go stale i w coraz większych stężeniach. Właśnie ten aspekt udoskonalił nasi sojusznicy w Holandii.

Gabriel wsłuchiwał się w odgłos silników samolotu, pragnąc by zagłuszyły pustkę w jego duszy, jakiej nie doświadczał od czasu śmierci ojca.

- Synu, wojna jest po to, by ją wygrywać - powiedział Braxton, kładąc wystudiowanym ruchem rękę na ramieniu Gabriela. - Wojna to piekło. Amerykańskie społeczeństwo będzie mogło kultywować swą subtelną wrażliwość moralną tylko wówczas, gdy ludzie tacy jak ty i ja twardo wywalczą zwycięstwo.

T y i j a. Gabriel zamyślił się nad tym. Doświadczył w swym życiu okropności wojny i naturalnie poznał też arogancką hipokryzję antimilitaryistów, przeciwników wszelkich wojen, chętnie korzystających z wolności, którą można było zachować jedynie dzięki działaniom pogardzanych i szkalowanych przez nich - wojska i establishmentu.

T y i j a.

Gabriel napotkał tu nową linię graniczną i martwił się, że być może będzie musiał ją przekroczyć. Wolałby, żeby Braxton nigdy mu o tym nie opowiedział. Ta świeżo uzyskana wiedza paliła go jak kwas i przypominała tykającą bombę.

T y i j a.

Generał trafnie podkreślił nieubłagane konieczności wojny. Wojna była brudnym moralnym bagnem, w którym zazwyczaj bardziej opłacało się działanie niż rozmyślanie.

T y i j a.

Gabriel zastanawiał się nad zgłoszeniem rezygnacji. Nad wycofaniem się, zanim dowie się czegokolwiek więcej. Lecz nie miał dokąd pójść, nie czekała go żadna kariera, żadne zajęcie. Porzucił swoją żonę - armię - i nie miał niczego, na czym mógłby się oprzeć. Poza tym prasa używałaby sobie

przy okazji jego odejścia. Nigdy by mu tego nie zapomnia-
no; przeżyłby resztę życia w niesławie.

T y i j a.

Może generał ma rację. Przecież widział o wiele więcej
działań wojennych, musiał podjąć więcej trudnych decyzji
i miał więcej doświadczenia niż oni wszyscy. T y i j a.

Gabriel wiedział, że musi przekroczyć tę granicę razem
z generałem. Potrzebował jedynie trochę czasu, żeby przy-
wyknąć do nowej sytuacji.

40

Zalała mnie potężna fala ulgi, gdy uświadomi-
łem sobie, że krew na białej jedwabnej bluzce
Jasmine nie jest jej własną.

Początkowo nie spostrzegła mnie. Przyglą-
dałem się, jak trzymała za rękę leżącą na noszach kobietę
z groźną raną głowy. Krew na ubraniu Jasmine świadczyła
o tym, że poprzednio trzymała głowę rannej na swych kolo-
nach. Dobiegł mnie mocny, spokojny głos Jasmine, gdy
uspokajała kobietę na noszach, która zamrugała i spojrzała
na nią, szukając pocieszenia.

Przez podwójne drzwi weszli kolejni policjanci i ratowni-
cy medyczni, przywożąc następne ofiary. Jedna z nich mia-
ła obie ręce przykute do noszy, a nogi skute kajdanami. Ko-
rytarz wypełniały dźwięki nazbyt wielu podekscytowanych
głosów. Podszedłem za Claibornem i Tyronem Freedma-
nem do jednego z młodych mężczyzn, których krew kapała
na podłogę. Przycisnąłem kciuk i środkowy palec prawej
dłoni do jego szyi, lecz nie wyczułem pulsu.

- Cisza! - W korytarzu rozbrzmiał głęboki władczy głos Clif-
forda Scarborougha. - Słuchajcie, ludzie! - Rozmowy umilkły,
jak za naciśnięciem guzika. Na moment zapadła cisza, w któ-
rej usłyszałem nierówny chrapliwy oddech kogoś z okropną ra-
ną klatki piersiowej; kobieta obok Jasmine jęknęła cicho.

Scarborough rozejrzał się i poprosił personel medyczny towarzyszący rannym o ich selekcję i ocenę stanu zdrowia. Nastąpiły krótkie, zwięzłe profesjonalne raporty, skądinąd, niestety, dowodzące bogatego doświadczenia w takich sytuacjach wszystkich członków personelu, nawet tych nie przydzielonych formalnie do oddziału nagłych przypadków. Za moich czasów Greenwood nie było tak niebezpieczną miejscowością i zastanawiałem się, kiedy się nią stało.

Ogółem było siedmioro rannych. Gdy przyszła na to kolej, Tyrone Freedman opisał naszego pacjenta. Kiedy Jasmine napotkała mój wzrok, otworzyła usta, a oczy rozszerzyły jej się ze zdziwienia. Posłałem jej mój najpiękniejszy uśmiech.

Potem Scarborough i pielęgniarka zajmująca się selekcją skierowali pacjentów i zespoły lekarskie do odpowiednich gabinetów.

- Doktorze Stone - zawołał Scarborough. - Chciałbym bardzo, żeby rzucił pan okiem na tę ranę głowy w pokoju C-2.

Wątpiłem, czy „prawo dobrego Samarytanina” ochroni mnie, jeśli zajmę się tą kobietą. Nie miałem zezwolenia na uprawianie zawodu lekarza w stanie Missisipi i wiedziałem, że prawnicy procesowi, którzy trzymają cały kraj za gonady, dobiorą mi się w sądzie do skóry za najdrobniejsze przekroczenie mych uprawnień, bez względu na to, czy miałem na celu ratowanie jej życia, czy nie.

Ale ponieważ właśnie chodziło o życie, nie zamierzałem teraz się tym przejmować.

- Tak jest - odpowiedziałem słuźbiście.

Scarborough uśmiechnął się do mnie, a potem zwrócił się do pulchnej siostry z krótkimi kasztanowymi włosami:

- Helen, dobiez proszę jeszcze jedną pielęgniarkę i asystujcie doktorowi Stone'owi.

- J u ż się robi - odrzekła Helen. Wybrała jedną z koleżanek i popchnęła nosze na kółkach w kierunku drzwi prowa-

dzących na oddział. Kiedy jakiś policjant spróbował odsunąć Jasmine, kobieta na noszach dostała ataku strasznej hysterii. Scarborough potrząsała głową w stronę gliniarza, a potem skinął na Jasmine.

- Nie bój się - powiedziała, pochylając się nad głową kobiety. - Nie zostawię cię. - Ranna natychmiast się uspokoiła. - I nie powinnaś się niczym martwić. Zaopiekuje się tobą najlepszy na świecie neurochirurg. - Jasmine odwróciła ku mnie głowę i uśmiechnęła się.

Scarborough zerknął na Jasmine, a potem rzucił mi pytające spojrzenie. Wzruszyłem ramionami i wszedłem za resztą na oddział szpitalny.

- Co się stało? - zapytałem Jasmine, gdy zśliśmy w kierunku gabinetu.

- Lashonna... - spojrzała w dół na leżącą na noszach kobietę - Lashonna jest moją asystentką w pracy prawniczej, moją prawą ręką i najważniejszym pośrednikiem w kontaktach z adwokatem Talmadge'a. Ten facet nie chce rozmawiać z nikim innym. - Jasmine zatrzymała się i spojrzała mi w oczy. - Bez niej będziemy zgubieni. Tak czy inaczej, wyszła z biura na dwór na papierosa w towarzystwie kilku innych osób i wtedy właśnie zaczęła się strzelanina - dodała opanowanym twardym tonem.

- ... poczułam jakby młot - odezwała się Lashonna. Mówiła bardziej niewyraźnie niż przed chwilą, a jej wzrok migotał niczym obraz telewizyjny z zakłóceniami. - Potem upadłam... uderzyłam głową. - Zamknęła oczy. Nachyliłem się nad nią i zobaczyłem nad jej okiem i po jego prawej stronie wyraźne wgłębienie, podobne do odwróconej piramidy.

- Czy uderzyła głową o jakiś twardy kant? - spytałem.

- Aha. O ceglaną żardynierę.

- Cholera. - Delikatnie uniosłem kolejno powieki Lashonny i stwierdziłem, że prawa źrenica jest bardziej rozszerzona niż lewa. - Dobrze, słuchajcie wszyscy, możemy ją

teraz zwiotczyć i zaintubować - powiedziałem wciąż pochylony nad nią, rozgarniając jej długie włosy, żeby obejrzeć rany. - Helen, jak myślisz, ile ona waży?

Pielęgniarka wyglądała na zaskoczoną, że ktoś pyta ją o zdanie.

- Mniej więcej pięćdziesiąt kilogramów.

Przytaknąłem.

- Co sądzisz o tym, żeby podać jej dożylnie około pięciu miligramów pankuronium do tchawicy i dwa miligramy morfiny?

Helen uśmiechnęła się.

- Powiedziałabym, że popieram.

- Więc zrobmy to.

Helen i druga pielęgniarka zabrały się szybko do roboty.

Podczas gdy przygotowywały środek usypiający, zbadałem pacjentkę i zlokalizowałem długą poziomą ranę szarpaną skóry głowy, biegnącą przez linię włosów nad lewym okiem i kończącą się małą, prawie niewidoczną dziurką nad uchem. Obmacując palcami głowę poczułem, że Lashonna rozluźniła się, gdyż środki usypiające szybko podziały. Jasmine odsunęła się na bok i stanęła oparta plecami o ścianę.

Helen oznajmiła, że puls i oddech Lashonny są miarowe, a ciśnienie w normie. Jej stan był stabilny. Na razie.

Podniosłem wzrok i spostrzegłem Tyrone'a trzymającego w ręce rurkę dotchawiczą.

- Przyszedłem zobaczyć mistrza odprawiającego swe czary - powiedział. - Przed chwilą doprowadziliśmy do przytomności tego drugiego faceta.

- Nie sądzę, że ujrzysz tu jakieś czary, ale cieszę się, że będę miał pomoc. - Odstąpiłem krok do tyłu, żeby wykonał intubację. - Postrzał był po stycznej i wydaje się, że kula utkwiała w jamie czaszki, gdyż nie ma rany wyjściowej.

Tyrone fachowo wprowadził plastikową rurkę oddechową do gardła pacjentki.

- Pięknie - powiedziałem cicho do niego, a potem głośniej: - Będziemy musieli wykonać tomografię komputerową, żeby ustalić rozmiar uszkodzenia od postrzału, ale uważam, że bardziej naglącym problemem jest uraz ciemieniowo-skroniowy. - Spojrzałem na Tyrone'a, a potem wskazałem wglębienie na czole kobiety. - Od przybycia pacjentki jej stan pogorszył się, co przesunęło ją z pierwszej do drugiej grupy ryzyka i zmniejszyło jej szansę przeżycia z około dziewięćdziesięciu procent do mniej więcej sześćdziesięciu sześciu. Sądzę, że jej stan wyraźnie wskazuje na ucisk śródmózgowia, prawdopodobnie wskutek wklonowania się po tej stronie haka płatu skroniowego w namiot mózdzku.

Spojrzałem na Tyrone'a.

- Czy jest gotowa jakaś sala operacyjna? - spytałem.

- Wszystkie. To standardowa procedura w przypadku dużej liczby rannych, takim jak teraz.

- Świetnie. - Zwróciłem wzrok na Helen. - Czy możemy wykonać szybko tomografię komputerową po drodze na salę operacyjną?

- Naturalnie - odparła. - Za sekundkę przygotuję pacjentkę. - Skinęła na drugą siostrę i zabrała się do golenia okolic wokół zranionych miejsc i smarowania ich betadyną. Ukazały się okropne rany.

Wskazałem na ranę wlotową, po czym zwróciłem się do Tyrone'a:

- Problem ze stycznymi postrzałami przebijającymi czaszkę polega na tym, że pocisk posiadający dostateczną szybkość dochodzi do wewnętrznej ściany jamy czaszki, krążąc w niej i powodując jeszcze większe uszkodzenia mózgu.

Tyron cmoknął współczująco, podczas gdy Helen odblokowała koła noszy i popchnęła je w kierunku drzwi.

- Tak - ciągnąłem. - Jednak mimo iż ten postrzał jest paskudny, przypuszczam że najwięcej problemów przysporzy nam tępy uraz czołowy.

- Brad - odezwała się Jasmine. Odwróciłem się do niej.
- Czy ona z tego wyjdzie?

Zawahałem się.

- Zrobię, co tylko mogę. Będę wiedział więcej, gdy dostaniemy wyniki tomografii komputerowej.

Powoli skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Pobiegłem, żeby dogonić nosze i podażyłem za nimi najpierw do gabinetu, w którym wykonano tomografię, a potem do sali operacyjnej, gdzie przede wszystkim zajęliśmy się wgłębieniem nad okiem Lashonny.

- No, nieźle - powiedziałem, wyciągając z rany strzaskane kawałki kości czaszki. - Spójrzcie tutaj: opona twarda jest nie-naruszona, a ponieważ tomografia nie wykazała znacznego wklinowania, zostawimy okienko w tym fragmencie czaszki i damy mózgowi miejsce na ewentualny obrzęk. Z tym urazem nie możemy zrobić już nic więcej, jak tylko się modlić.

- Modlić? - powtórzył Tyrone. - To dość dziwnie brzmi w ustach chirurga.

Wzruszyłem ramionami, a potem nachyliłem się, aby przyrzeć się bliżej ranie wlotowej. Dotknąłem jej palcem, a potem powiodłem nim po skórze.

- Zgodnie z wynikami tomografii kula znajduje się mniej więcej tutaj. - Położyłem wskazujący palec na ogolonej głowie Lashonny. - Właśnie tu, parę centymetrów w dół. Będziemy musieli otworzyć czaszkę wzdłuż drogi, którą przeszedł pocisk, i usunąć uszkodzoną tkankę mózgową.

Z pomocą Tyrone'a wykonałem okrężną kraniotomię i odsłoniłem wielki owalny fragment mózgu Lashonny wzdłuż toru pocisku.

- Zaczniemy od usunięcia wszystkich resztek, jakie można tu znaleźć. - Przesunąłem palcem w rękawiczce po linii pocisku. - Usuniemy zmiażdżoną tkankę mózgową, odłamki kostne, skrzepliny i tym podobne. - Spojrzałem na Helen. - Trzeba przepłukać ślad po pocisku solą fizjologiczną, żeby zapobiec obrzękom.

- Czy może być z plastikowej butelki?

Kiwnąłem głową, pochyliłem się i zacząłem oczyszczać ranę za pomocą szczypczyków. Kiedy siostra Helen wróciła z butelką, pokazałem Tyronowi, jak użyć jej do wypłukania tkanek, które usuwałem.

- Musimy usunąć całą tkankę martwiczą, a także mniej więcej półcentymetrowy pas okalającej ją zdrowej tkanki. Kula mogła naruszyć znaczny obszar wokół swej drogi i chociaż w tej chwili może on wyglądać normalnie, wkrótce jego stan mógłby ulec pogorszeniu i później przysporzyć nam kłopotów.

Posuwaliśmy się metodycznie w kierunku pocisku.

- To niesamowite - rzekł Tyrone, spoglądając w dół na powierzchnię mózgu pod naszymi palcami, gdzie pulsowały naczynia krwionośne. - To znaczy... to jest ta kobieta, właśnie to czyni ją tym, kim jest.

Skinąłem głową, starając się powstrzymać uśmiech.

- Czy ciągle jeszcze odczuwasz ten... podziw i bojaźń?
- spytał.

- Za każdym razem, kiedy otwieram czaszkę.

- I to nigdy nie staje się rutyną?

- Niektórzy z czasem obojętnieją i zaczynają uważać się za Boga ze skalpelem. - Potrząsnąłem głową. - Lecz mnie wciąż przyprawia to o drżenie.

- Człowieku, wcale się nie dziwię!

Pracowaliśmy dłuższy czas w milczeniu. Wycinaliśmy, wyrównywaliśmy, przemywaliśmy i czyściliśmy tkanki z największą precyzją, jaką mogą osiągnąć ludzkie ręce, a jednak, gdy wziąć pod uwagę poziom komórkowy, na którym operowaliśmy, byliśmy niczym prymitywny, niezdatny, wyszczerbiony krzemienisty nóż, z najwyższym trudem zdolny sprostać temu zadaniu.

- Skąd wiesz, której tkanki nie usunąć? Skąd masz pewność, że nie wycinasz czegoś, co jest tej kobiecie niezbędne?

- Nie mam takiej pewności. Po prostu usuwa się całą martwą tkankę i niewielki pas wokół niej. To wszystko, co można zrobić.

Milczał chwilę i zastanawiał się nad tym.

- Więc być może usuwasz teraz jej pamięć albo talent matematyczny, bądź umiejętność podejmowania ważnych decyzji.

- Owszem. Tylko czasem zastanawiam się, czy istotnie usuwamy wspomnienia, czy też jedynie zdolność uzyskania do nich dostępu.

- Co za różnica?

- Praktycznie żadna. Właśnie dlatego powiedziałem ci, że nie będzie tutaj żadnych czarów. Jesteśmy niczym para neandertalczyków, zagładających do wnętrza komputera. Nie potrafimy bezpośrednio naprawić żadnego z bilionów synaps ani wymienić żadnego żywego neuronu, żeby ominąć te, które musimy usunąć. Nawet gdybyśmy jakimś magicznym sposobem ujrzeli ich połączenia, nic by nam to nie dało, bowiem wszystkie układy synaps i neuronów są u każdego człowieka odmienne i stanowią wynik jego wyposażenia genetycznego, środowiska, edukacji i doświadczenia. Pomiędzy bilionem komórek nerwowych możliwa jest nieskończona ilość połączeń. Prawdopodobnie tylko nieskończony umysł mógłby poznać wszystkie ich nieskończone kombinacje i permutacje.

- Bóg?

- Myślę, że tak.

- A więc jesteśmy jaskiniowcami?

- A h a .

Nie przerywając, doszliśmy do końca trasy pocisku.

- Poproszę teraz o pincetę kątową.

Helen wręczyła mi potrzebne narzędzie i po chwili wyjąłem kulę z mózgu Lashonny.

- Trzeba obmyć pocisk i zabezpieczyć go dla policji
- powiedziałem.

Pielęgniarka podała mi błyszczącą stalową miseczkę nerkowatą; upuściłem do niej pocisk i spryskałem go krótko strumieniem roztworu soli z plastikowej butelki.

- Będziemy potrzebowali jednoznacznego niezbitego dowodu. Helen, nie spuszczaaj go z oka, dopóki nie zabierze go policja.

Wkrótce skończyliśmy oczyszczanie rany.

- Dobrze, teraz obmyjemy ją i założymy sterylny opatrunek.

- Zamierzasz zostawić otwartą ranę? - zapytał Tyrone.

- Dojdzie do obrzmienia mózgu - odparłem. - Jeżeli tkanka mózgowa będzie mogła rozszerzać się poza krawędzie otworu, wystąpi mniejsze niebezpieczeństwo wzrostu ciśnienia śródczaszkowego.

Tyrone powoli pokiwał głową. Zwróciłem się do Helen:

- Jeśli nie uda nam się zdobyć helikoptera, uważam że powinna pojechać do Jackson ambulansem. Takim, w którym można zapewnić jej kontrolowaną hiperwentylację, żeby zredukować ciśnienie parcjalne dwutlenku węgla do około dwudziestu pięciu, trzydziestu mHg. To powinno spowodować wystarczające zwężenie naczyń mózgowych, by pomóc w zmniejszeniu ciśnienia śródczaszkowego. Chciałbym również, żebyś zaczęła podawać mannitol w dawce pół grama na kilogram masy ciała oraz trzymiligramową dawkę Dexamethasone. Upewnij się, że załoga karetki ma diazepam, na wypadek gdyby pacjentka dostała drgawek. Przygotuj im zawczasu dwie strzykawki podskórne z dawką dwóch gramów na kilogram.

- Dobrze.

- Poza tym dostarcz im też, jeśli masz, świeżo zamrożone osocze krwi. Mogłoby pomóc w wypadku uwolnienia trombolplastyny.

- Sprawdzę to.

- A więc do dzieła - powiedziałem. - Skończymy do czasu, gdy załatwisz ambulans i leki.

Ruszyła do drzwi.

- A kula? - zawołałem za nią. Zatrzymała się. - Skoro idziesz na dół, może zaniesiesz ją policjantom?

Kiwnęła głową, wyjęła z miseczki popękana bryłkę ołowiu, wytarła ją o kitel i wsadziła do kieszeni.

Gdy wyszła za nierdzewne stalowe drzwi sali operacyjnej, spojrzałem znowu w dół na mózg Lashonny i zrozumiałem, że nie postrzelono jej po prostu przypadkowo z samochodu, lecz tylko upozorowano wszystko, by tak wyglądało.

41 Gdy Tyrone i ja skończyliśmy operować Lashonnę, poczułem się znużony, stary i rozpaczliwie pragnąłem się przespać. Krótka drzemka, którą uciałem sobie na lotnisku podczas przesiadki w nocnym locie z Los Angeles, nie zrekompensowała braku snu, jaki odczuwałem od czasu zatonięcia „Jambalayi”. Moja rana ucha była niewielka, lecz jednak pulsowała boleśnie przy każdym uderzeniu serca, krzyż bolał mnie od pochylania się nad stołem operacyjnym i ciężko powłóczyłem nogami, jakbym brnął przez czerwoną rozmokłą brejowatą glinę na brzegu rzeki Yazoo.

Obaj z Tyronem bez słowa ściągnęliśmy rękawiczki, maseki chirurgiczne i kitle i poszliśmy za noszami Lashonny do rampy dla karettek. Na zewnątrz gorące wilgotne powietrze otuliło nas niczym mokry parujący koc. Ciepłe promienie popołudniowego słońca malowały na ulicy długie głębokie cienie. Przeszliśmy przez betonowy podest i podeszliśmy do otwartych drzwi ambulansu, przy których stała Helen w towarzystwie dwóch ratowników medycznych.

Dym papierosowy o zapachu wypalanego końskiego nawozu powiał ku mnie z prawej strony, od podświetlonych słońcem sylwetek dwóch umundurowanych policjantów i mężczyzny w cywilu. Poczułem skurcz łęku. Oficerowie

śledczy z wydziału policji Los Angeles, badający sprawę niedawnej strzelaniny? Dłonie mi zziębły, a serce zaczęło mocno bić, jak przed biegiem.

Jasmine stanęła do policjantów z wiatrem, żeby uniknąć dymu z ich papierosów. Na jej widok w głowie mi się rozjaśniło, lęk minął i poczułem przypływ energii. Pomachała do mnie, oderwała się od grupki palaczy i ruszyła w moim kierunku.

Za moimi plecami zadudnił głęboki głos:

- Dobra robota, doktorcu!

Odwrociłem się i ujrzałem Clifforda Scarborougha wychodzącego wolnym krokiem z dwuskrzydłych drzwi izby przyjęć. Przyjrzał się uważnie leżącej na noszach Lashonnie i obejrzał opatrunek na jej głowie.

- Bez wątpienia pańska znakomicie przeprowadzona operacja zapewnia jej największe możliwe szanse przeżycia - dodał.

- Dzięki całemu zespołowi - powiedziałem, patrząc na Tyrone'a, Helen i bezimienną pielęgniarkę, która nam asystowała. Potem spojrzałem na Lashonnę. - J a k pan widzi, lekarze ze szpitala w Jackson będą mieli jeszcze wiele do zrobienia.

- Czy ona przeżyje? - dobiegł mnie z tyłu głos Jasmine.

Odwrociłem się do niej i zmrużyłem oczy, gdyż słońce oślepiło mnie, a zarazem skapało jej twarz w cieniach. Za jej plecami policjanci zaciągnęli się śmiertelnie głęboko dymem swych papierosów, po czym cisnęli je na podest, rozgnietli niedopałki obcasami i ruszyli w naszą stronę. Opanowałem irracjonalną chęć, by rzucić się do ucieczki i zamiast tego obserwowałem, jak Jasmine podeszła do Lashonny i dotknęła czubkami palców przedramienia młodej rannej kobiety. Mimo iż pochyliła głowę, dostrzegłem na jej twarzy mieszaninę głębokiego smutku, lęku i troski. Wyglądała jak Madonna, oczekująca niecierpliwie, aż jej dotyk sprawi cud. Potem wyprostowała się i spojrzała na mnie.

- Czy ona z tego wyjdzie? - zapytała ponownie.

Znużenie wyostrzyło jej rysy. Krew Lashonny wyschła na brązowo, pomarszczyła jej białąjedwabną bluzkę i poplamiła spódnicę. Uderzyło mnie raptem, że Lashonna też była ubrana w białą bluzkę i ciemną spódniczkę. Gliniarze stanęli w zasięgu słuchu, lecz wciąż w pewnej odległości od nas.

- A więc? Czy ona przeżyje?

- Być może.

- Być może?

- Myślę, że ma sporą szansę, ale...

Opanowanie Jasmine prysło. Objęła mnie, ukryła twarz w moim ramieniu i załkała cicho. Ja również ją objąłem i poklepałem łagodnie po plecach.

Staliśmy bez ruchu niczym posągi rzucające coraz dłuższe cienie w świetle gorącego popołudnia Deltę. Niemal czuło się nacisk ciężkiego wilgotnego powietrza. Tyron odczekał z szacunkiem długą chwilę, po czym pochwycił mój wzrok i wskazał na Lashonnę. Skinąłem głową. Kiedy zaturkotały koła noszy, Jasmine wyprostowała się, odstaąpiła pół kroku do tyłu i otarła oczy.

- Trzymaj się - powiedziałem do niej. Uniosła głowę i wyprostowała plecy.

Gdy ratownicy medyczni wstawiali nosze Lashonny i stojak z kroplówką do karetki, omówiłem z Tyronem, Helen i Scarboroughem kwestię leków i kuracji, jakie należałoby zastosować w Jackson. Kiedy skończyliśmy, posłuchałem, jak Tyrone i Helen poinstruowali załogę ambulansu. Jasmine rzuciła ostatnie spojrzenie na zamykające się drzwi karetki, a potem stała w milczeniu, gdy wielki kwadratowy pojazd zamigotał światłami sygnałowymi i wyjechał w blask zachodzącego słońca, po czym skręcił w lewo na autostradę 82 i wyjąc syreną pomknął w kierunku Jackson. Kątem oka dostrzegłem następną nadciągającą armadę burzowych chmur.

Gdy ambulans zniknął, nasze napięcie wyparowało niczym kropla wody na rozpalonej blasze. Scarborough uściśnął mi dłoń i odszedł. Helen dała mi swoją wizytówkę, a druga pielęgniarka podziękowała, że wyraziłem jej uznanie. Mój lęk niemal całkiem się rozwiął, gdyż dwaj gliniarze poszli do policyjnego wozu patrolowego z Greenwood.

- Człowieku, to była niezła jazda - odezwał się do mnie Tyrone z podziwem w oczach. - Mógłbym spokojnie ustąpić ci miejsca w mojej specjalności.

- Dobrze się zastanów, zanim to zrobisz - odparłem.

Potrząsnął głową.

- Dzisiejszy dzień dał mi do myślenia. Ty mi dałeś. - W oddali zabrzmiały syreny. - Cholera. Muszę przygotować się do przyjęcia następnej fali rannych.

Przytaknąłem. Uściśnął mi rękę i pospiesznie odszedł.

- Doktorze Stone.

Odwrociłem się słysząc ten głęboki dźwięczny głos i stanąłem twarzą w twarz ze szczupłym, lecz muskularnym mężczyzną średniego wzrostu, o cerze koloru kawy z mlekiem i starannie przystrzyżonym wąsiku. Z jego munduru poznałem, że jest zastępcą szeryfa z okręgu Leflore, trzy paski na rękawach wskazywały, iż ma stopień sierżanta, zaś na plakietce widniało nazwisko John Myers. Przestraszyłem się, że wydział policji Los Angeles w końcu mnie dopadł.

- Dzień dobry, sierżancie - powiedziałem, wyciągając do niego rękę.

- Mów mi John - odparł, potrząsając nią.

- A więc dzień dobry, John.

Zastępca szeryfa taksował mnie przez chwilę wzrokiem, jak zwykle czynią gliniarze.

- J a k radzi sobie chłopak? - Wskazał drzwi do izby przyjęć.

- Podejrzany?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, Tyrone. Co o nim sądzisz? O jego reputacji i tak dalej? Dobrze mu idzie?

- Jasne.

Myers uśmiechnął się szeroko.

- John zajął się Tyronem - wyjaśniła Jasmine. - Wziął go pod swoje skrzydła po wszystkich jego trudnych przejściach.

- Po prostu starałem się pomóc temu chłopakowi rozwiniąć talent, którym Bóg go obdarzył.

- John aresztował też Darryla Talmadge'a - dodała.

- Uważa, że dzisiejsza strzelanina ma z tym związek.

- Zwróć uwagę, że Lashonna była ubrana niemal identycznie jak ty - powiedziałem do niej. - I nie zapominaj o jej roli w sprawie Talmadge'a.

Oboje przytaknęli.

- Oczywiście wydział policji w Greenwood nie chce nic o tym słyszeć - rzekł John.

- Złapaliście tego strzelca, prawda? - spytałem. - Tego gościa przykutego do noszy?

- Jednego z nich. Ale on nic nie powie, bo zmarł.

- O, cholera.

- Właśnie. Może prześpij się trochę, a o Talmadge'u porozmawiamy wszyscy jutro.

- Jeszcze raz dziękuję, J.M. - powiedziała Jasmine.

- To moja praca - odparł, po czym odwrócił się i ruszył do swojego wozu patrolowego.

Zaburczało mi w żołądku.

- Musisz coś zjeść - zawyrokowała Jasmine. - Niedaleko stąd jest bar Sonic.

Byłem tam tuż po pogrzebie mamy. Sonic to leżąca po drugiej stronie Yazoo uczęszczana restauracja drive-in, utrzymana w stylu lat 50., z krytymi boksami i kelnerami przynoszącymi hamburgery.

- Ale przedtem musimy kupić ci jakieś inne ubranie, żeby na twój widok kelnerzy nie zadzwonili natychmiast na policję - powiedziałem.

Spojrzała zdziwiona na swoją zakrwawioną bluzkę, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy.

- Masz rację.

Zastanawialiśmy się, gdzie zdobyć ubranie, podczas gdy na ulicy wydłużał się cień stojącego na zachód od nas starego młyna do wytłaczania oleju z nasion bawełny. Za nim wał burzowych chmur żeglował ku zachodzącemu słońcu.

- J u ż wiem! - zawołałem. - Chodź ze mną. - Podszedłem do drzwi oddziału nagłych wypadków, otworzyłem je, puściłem Jasmine przodem i wszedłem za nią.

Po dziesięciu minutach wyłoniliśmy się oboje ubrani w świeże czyste zielone kitle. Jasmine dźwigała swe poplamione krwią rzeczy w plastikowej torbie, w jakich przecho- wuje się odzież przyjmowanych do szpitala pacjentów. Ja niosłem moją koszulę i spodnie wiszące na wieszaku razem z plastikową torebką, w której był mój portfel, czip pamięci błyskowej oraz reszta zawartości kieszeni.

- Teraz będziesz musiała tylko unikać próśb o udzielenie porady medycznej - rzekłem do Jasmine.

Roześmiała się swobodnie i dotknęła lekko mojego ramienia, co sprawiło, że zapomniałem, jak bardzo czuję się znużony i stary.

42 Osy o barwie wypalonego czereśniowego drewna krążyły pośród krytych daszkami boksów samochodowych restauracji Sonic. Wjechałem furgonetką w jedyne wolne miejsce i zostawiłem silnik na jałowym biegu, podczas gdy osy tańczyły we wzmagającej się bryzie, zapowiadającej nadejście wieczornej burzy i deszczu.

- Złośliwe małe stworzenia - powiedziała Jasmine.

Przypomniałem sobie znów ból użądlenia, gdy cała ich eskadra roiła się w wąskiej przestrzeni między zamkniętymi oknami furgonetki a mikrofonem do składania zamówień.

Obejrzelismy wiszące nad nim menu, przysłuchując się szumowi klimatyzacji.

- Numer dwa i dietetyczna cola - zdecydowała się Jasmine.

Zaczekałem, aż osy odlecą, lecz skoro tylko spuściłem szybę, zjawiły się ponownie. Odgoniłem je dłonią, pospiesznie zamówiłem dwa numery drugie z dietetycznymi colami i podciągnąłem szybę do góry. Jedna osa rzuciła się w zamykającą się szczelinę i została zmiażdżona o ramę okna, a jej długie nogi zadrgały kurczowo na zewnątrz.

- One nigdy nie rezygnują, prawda? - rzekła Jasmine.

- Ewolucyjne przystosowanie.

- To modny termin. - Umilkła. - Dobrze się tam spisałeś. - Skinęła głową z grubsza w stronę, gdzie znajdował się szpital.

Wzruszyłem ramionami.

- Po prostu starałem się pomóc.

- Nie. To coś więcej. - Przygryzła kącik dolnej wargi i w zamyśleniu wpatrzyła się obok mnie w przestrzeń. - Byłeś taki opanowany; zachowałeś przytomność umysłu pośród chaosu, jakbyś miał doświadczenie w podobnych sytuacjach. - Kiedy znów spojrzała na mnie, odniosłem wrażenie, że zagląda w głąb mego serca, i wiedziałem, że nie mogę jej okłamać.

- Bo właśnie tym się zajmowałem, zanim zostałem neurochirurgiem.

Spoplądała na mnie wyczekująco.

- Może opowiem ci o tym kiedy indziej? - poprosiłem.

- To długa historia. Wolałbym nie poruszać jej teraz.

- Oczywiście.

W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie, przez co wezbrało we mnie poczucie winy. W żadnym razie nie chciałem sprawić jej przykrości.

- Jestem zmęczony - spróbowałem wyjaśnić, lecz nawet dla mnie samego zabrzmiało to nieprzekonująco. - Wszyst-

kie te wydarzenia kosztowały mnie wiele energii, a jej resztkę chciałbym poświęcić na rozważenie tego, co dzieje się z tobą.

- Z nami.

Słowo „nami” wytworzyło atmosferę intymnej bliskości, która napełniła mnie wrzącą emocjonalną mieszaniną poczucia winy, lęku, zmęczenia i frustracji.

- A więc... - zaczęła niezdecydowanie Jasmine - istotnie uważasz, że to ja byłam prawdziwym celem dzisiejszej strzelaniny, a nie Lashonna?

- Byłoby to do pewnego stopnia logiczne - odparłem powoli. - Ale pamiętaj, że równie dobrze zamachowcom mogło chodzić o nią, z powodu pracy, jaką dla ciebie wykonuje.

Raptem Jasmine wybuchnęła płaczem i zakryła twarz dłońmi.

- Zabiłam ją - załkała. - Powinam była robić wszystko sama, tak jak moja matka.

- Być może ona przeżyje.

- Może, może... Jeśli umrze za mnie... do diabła!

Jej łzy tak bardzo nie pasowały do wizerunku twardej jak skała kobiety o stalowych nerwach, jaki do tej pory widziałem. Jasmine skuliła się i oparła plecami o drzwi. Zapragnąłem wyciągnąć do niej ramiona i pocieszyć ją, lecz siedziałem tylko bezradnie w fotelu kierowcy.

Nie chciałem jej krępować swoją obecnością, więc celowo wyjrzałem przez boczne okno, jednak nie potrafiłem długo odwracać od niej wzroku. Przyjrzałem się jej tak uważnie, że niemal dostrzegłem, jak zbiera porozrzucane cegiełki swego zrujnowanego spokoju i wkłada je z powrotem na miejsca. Po chwili opanowała się i na koniec otarła oczy zbyt długim rękawem chirurgicznego kitla. Odwróciłem głowę, zanim pochwyciła moje spojrzenie.

Wówczas z tyłu, z chevroleta monte carlo z połowy lat siedemdziesiątych dobiegły nas teksty gangsta rapu, tak gło-

śne, że fotele naszej furgonetki zadrżały, a jego słowa wbrew naszej woli wbiły się nam w uszy.

Chcę tylko rznąć tanie dziwki...

- Czarujące - rzuciła ponuro Jasmine, a gniew osuszył jej łązy.

Ostre obciążary z kutasami w ustach...

- Dr Dre. - Potrząsnęła głową. - Według niego wszystkie kobiety to suki i kurwy, niższe formy życia, które są po to, żeby je gwałcić, bić i wykorzystywać seksualnie.

Nigdy dotąd nie zwracałem uwagi na teksty rapu. Zaskoczyła mnie gwałtowność reakcji Jasmine.

- Wyłącznie testosteron i żadnego panowania nad odruchami - dodała po chwili. - Hip-hop to muzyka młodych ludzi, którzy nie zastanawiają się nad konsekwencjami swoich czynów. Kiedy społeczeństwo mówi, że ta muzyka jest w porządku, z całym jej klimatem przemocy, zbrodni i brutalnego seksu, mówi tym samym: „W tych kawałkach o gwałcie i morderstwach nie ma niczego złego. Słuchaj ich, śpiewaj je, żyj według nich”. - Potrząsnęła smutno głową. - A potem ludzie załamują ręce i dziwią się, czemu przemoc tak się szerzy.

Muzyka ucichła, gdy Chevrolet dojechał do Park Street i skręcił w prawo.

- A więc, do cholery, co teraz zrobimy? - zapytała Jasmine.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem - odparłem. - Sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana niż sądziliśmy dwadzieścia cztery godziny temu.

- Jeszcze bardziej? Trudno w to uwierzyć.

Przestraszyło mnie nieoczekiwane stukanie w okno. Odwróciłem się i zobaczyłem stojącego na zewnątrz kelnera z naszym jedzeniem, odpędzającego osy zrolowaną gazetą. Spuściłem szybę, odebrałem tace i czym prędzej z powrotem zamknąłem okno, zanim osy zdążyły nas namierzyć. Aromat potraw sprawił, że ślinka napłynęła mi do ust.

- Vince Sloane powiedział mi dziś rano, że dla policji w Los Angeles jestem głównym podejrzanym - rzekłem podając Jasmine jej hamburgera, frytki i colę.

- Co takiego? Jak oni mogą w ogóle tak myśleć? - Postawiła tackę z jedzeniem na otwartych drzwiczkach skrytki na rękawiczki. Ja wykorzystałem pulpit kierowniczy i stojak do kubków.

- Przypuszczam, że przede wszystkim wskutek braku wyobraźni. - Między kolejnymi kęsami opowiedziałem jej wszystko.

- Sądząc z zachowania sierżanta J.M. i gliniarzy z Greenwood, wygląda na to, że nie mieli żadnych sygnałów z Los Angeles - zauważyła.

- Jeszcze nie, ale myślę, że robi się coraz gorzej.
Zachmurzyła się.

- Po drodze do szpitala rozmawiałem z Rexem - ciągnąłem. - Powiedział mi, że wypytuje o mnie wojsko.

- Czemu wojsko miałoby... - Urwała na moment i poszczególne elementy zaczęły jej się układać w głowie. - No tak, przede wszystkim jest Darryl Talmadge, trzymany w szpitalu wojskowym - w Szpitalu Weteranów w Jackson. Poza tym był ten rzekomo omyłkowy atak na twoją łódź. - Popatrzyła na mnie i ujrzała na mojej twarzy potwierdzenie. - I wreszcie, sądzę że powinniśmy wziąć pod uwagę twoją służbę w wojsku. - Spojrzała na mnie wyczekująco. - Czy coś pominęłam?

- Nie. Co nie znaczy, że ja sam nie mogłem pominąć jakiegoś istotnego powiązania. - Łyknąłem dietetyczną colę. - A w naszej obecnej sytuacji niewiedza może nas zabić.

- To bardzo pokrzepiające - rzuciła ponuro i ukroiła kolejny kawałek hamburgera.

Ja również zabrałem się za swoją porcję. Siedzieliśmy w milczeniu, przeżuując jedzenie i fakty, którymi dysponowaliśmy.

- Czuję się naprawdę bardzo nieswojo, rzucając oskarżenia na armię - odezwałem się wreszcie. — Wojsko uratowało

mnie i umożliwiło mi karierę, a ten kraj zawdzięcza swe przetrwanie i sukces ludziom, którzy narażali dla nas swoje życie.

- Takim jak ty.

Wzruszyłem ramionami.

- Wykonywałem tylko swoje zadania.

- I podobnie czyni wielu innych dobrych żołnierzy.

Wiesz jednak równie dobrze jak ja, że w armii jest kilku żądnych władzy ludzi, którzy zrobią wszystko, by zaspokoić swe osobiste ambicje. Jeśli będzie leżało to w ich interesie, zniszczą cię - albo Darryla Talmadge'a.

- Niestety, masz rację - rzekłem. - Lecz wojsko posiada też aż nazbyt wielu potężnych przeciwników, którzy uważają, że powinniśmy bezgranicznie miłować naszych nieprzyjaciół.

- No cóż... - T w a r z Jasmine odbiła ciąg myśli, przebiegających jej przez głowę. - Rozstrzygnięcie tej kwestii na niewiele się nam przyda.

Wyjąłem słomkę z mojego kubka i wysączyłem resztę coli.

- Masz całkowitą słuszność - przyznałem w końcu. - Nie to jest naszym zadaniem. Jeszcze nie teraz.

- Więc jakie jest nasze zadanie?

- Przede wszystkim pozostać przy życiu. - Dokończyłem frytki i zastanowiłem się, czy nie zamówić jeszcze jednego zestawu.

- Proszę, zjedz moje. - J a s m i n e podała mi swoją prawie nietkniętą porcję.

- Dzięki.

- Uchronienie cię przed więzieniem także jest priorytetowym celem - rzekła. - Bez ciebie nigdy nie zdołamy rozwiązać tej sprawy. - Potrząsnęła głową. - Nie mogę uwierzyć, że cię podejrzewają.

- Słuchaj, biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, sam uznałbym się za podejrzanego, gdybym prowadził śledztwo.

- Spróbowałem się roześmiać, ale nawet dla mnie zabrzmiało to nieprzekonująco.

- Wszystko to wiąże się z Talmadgem - powiedziała Jasmine. - Podczas lotu z Los Angeles miałam trochę więcej czasu, żeby przestudiować dane z czipa, który dała ci moja mama.

- No i...?

- Oprócz tej informacji o Braxtonie, adwokat Talmadge'a powiedział, że jego klient działał na rozkaz armii, zaś człowiek, którego zabił, zbiegł z tego samego miejsca tajnych wojskowych eksperymentów medycznych, w którym leczono Braxtona.

- To brzmi jak rozpaczliwa taktyka sądowa obrońcy.

- Mogłabym się z tobą zgodzić, gdyby nie wydarzenia minionych kilku dni. Poza tym Shanker jest uczciwym człowiekiem. Naprawdę wierzę, że ma do zaoferowania bardzo cenne dokumenty.

- A czego chce w zamian?

- Ciebie.

- Mnie?

- Shanker obiecał, że jeśli mama skłoni cię, żebyś dołączył do zespołu broniącego Talmadge'a w procesie apelacyjnym, przekaże nam ten mikrofilm.

- Dlaczego właśnie ja?

- Cieszysz się niemałą sławą. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Wielokrotnie gościłeś na pierwszych stronach gazet jako wybitny specjalista od problematyki neurologicznej.

- Ale jest mnóstwo innych...

- A jako facet o wspaniałej przeszłości w wojsku, byłbyś wiarygodnym świadkiem obrony.

- Hmm - chrząknąłem. - Być może miewałem pewne zarzuty z wojskową biurokracją, jednak trudno nazwać mnie antymilitarystą i zwolennikiem postrzelonej skrajnej lewicy.

- Nie żartuj. - Zrobiła efektowną pauzę. - To wszystko oznacza, że twoje słowa będą miały sporą wagę.

- To oznacza, że musimy niezwłocznie skontaktować się z Shankerem.

- Lashonna... - Głos Jaśminy załamał się. - Lashonna spotkała się z nim wczoraj.

- Zrobiła jakieś notatki?

- Nie wiem. Od powrotu z Los Angeles w istocie jeszcze z nią nie rozmawiałam. Zamierzałyśmy porozmawiać właśnie po tym, jak wypali papierosa. Właściwie miałam wyjść na zewnątrz razem z nią, ale wiatr kręcił ze wszystkich kierunków i nie mogłam znaleźć żadnego miejsca, żeby nie zawiewało na mnie dymem. Weszłam do środka kilka sekund przed początkiem strzelaniny.

- Co oznacza, że ciebie też chciano zabić.

- Tak.

- No dobrze - rzekłem. - Więc co nam zostało? Jest oczywiście Shanker. I John Myers. Dwa solidne miejsca, od których możemy zacząć. - Odwróciłem głowę w stronę, z której dobiegł dźwięk syreny i ujrzałem karetkę jadącą po Park Avenue. Odległa błyskawica rozświetliła strome ściany nadciągających burzowych chmur.

- Czy akta sądowe zawierają coś, co może nam pomóc?

- zapytałem, gdy odgłos syreny ucichł. - No wiesz, raporty z sekcji zwłok, stenogramy przesłuchań i tak dalej?

- Są zapieczętowane z polecenia służb bezpieczeństwa

- odparła Jasmine. - Ze względu na bezpieczeństwo narodowe.

W kabinie furgonetki sygnał mojego telefonu rozbrzmiał dźwiękami utworu Roberta Johnsona.

- *Blues rozstajnych dróg* - powiedziała z uśmiechem Jasmine.

- To miłe.

Sprawdziłem identyfikację dzwoniącego i rozpoznałem numer komórki Flowersa.

- Cześć, Jeff - rzuciłem.

- Brad, jest źle. Okropnie - rzekł Flowers. - Wyniki wszystkich tomografii Camilli i innych badań w pełni potwierdzają zespół zamknięcia; nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jej fPET wskazuje na istny tajfun aktywno-

ści metabolicznej w obszarach, które wiążemy ze świadomością.

- O, Boże.

Funkcjonalna pozytronowa tomografia emisyjna, czyli fPET, to nowa metoda obrazowania, do której wprowadzenia się przyczyniłem, pozwalająca na obserwowanie w realnym czasie metabolicznej aktywności mózgu.

Gdy rozmawiałem z Flowersem, Jasmine patrzyła na mnie z niepokojem i troską.

- Jesteś pewien, że występuje całkowity brak kontaktu? - zapytałem. - Żadnego drgnienia palca, czy ruchu powiek, żadnego powiązania z zewnętrznym światem?

- Nic, zupełnie nic - odparł Flowers. - Przesłałem ci pliki z ostatnimi wynikami tomografii, ale jest całkiem jasne, że choć Camilla odzyskała świadomość, to jest kompletnie zamknięta... Jej umysł jest w piekle, Brad. Ona jest w piekle.

43 „Ona jest w piekle.”
Słowa Flowersa uderzyły mnie niczym grom.
- O, Chryste - rzuciłem i oparłem czoło na kierownicy.

- Nigdy dotąd niczego takiego nie widziałem - rzekł Flowers.

Wyprostowałem się w fotelu i wziąłem się w garść.

- Musimy coś zrobić.

- Proponuję anestezję - powiedział Flowers. - Metodę Hameroffa.

- To ma sens - rzekłem.

Anestezjolog Stuart Hameroff i kosmolog Roger Penrose wysnuli teorię, że świadomość powstaje dzięki zjawiskom kwantowym w mikrotubulach znajdujących się w neuronach mózgu. Inne badania pokazują, że anestezja unicestwia świadomość poprzez wiązanie specyficznych protein

owych mikrotubul. Czy oznacza to, że w trakcie anestezji działanie świadomości naprawdę ustaje, czy też nasze mózgi przestają jedynie wówczas zapisywać wspomnienia? A jeżeli istotnie podczas uśpienia umieramy, to czy później świadomość sama się rozbudza?

- To delikatna równowaga - powiedziałem. - Wystarczająca, by wytłumić świadomość bez naruszenia funkcji życiowych.

- Właśnie o tym myślałem.

W głosie Flowera usłyszałem ton, który kazał mi się zastanowić, czy zamierza „przypadkowo” uśmiercić Camillę za pomocą anestezji. Pomyślałem, by powiedzieć mu, żeby był ostrożny i nie robił tego.

Milczałem jednak i wsłuchiwałem się w szумы i trzaski w słuchawce.

- Mów dalej - rzuciłem wreszcie, walcząc z ogarniającym mnie jednocześnie poczuciem winy i ulgi.

- Wycofujesz się.

- Zadzwoń do mojego adwokata i dowiem się, czy możemy legalnie wyłączyć aparaturę podtrzymującą życie.

W słuchawce znów rozległy się trzaski. Myślę, że Flowers pojął mnie, gdyż jego głos dobiegł mnie głośno i wyraźnie, gdy powiedział:

- Nie słyszę ani słowa z tego, co mówisz.

I rozłączył się.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, a potem także wyłączyłem komórkę.

- Chodzi o Camillę - rzekłem do Jasmine. - W głębszych zakamarkach mózgu odzyskała świadomość. - Gdy wyjaśniałem jej, na czym polega zespół zamknięcia, na twarzy Jasmine odbiło się kolejno zakłopotanie, zrozumienie, groza, a w końcu smutek.

- Nie może się porozumiewać - powtarzałem wciąż. - Nie może nawet poruszyć palcem ani powieką. Jeśli odczuwa niepokój, ból czy lęk, nie mamy żadnego sposobu, by się

o tym dowiedzieć. Nie ma również żadnych oznak, czy dociera do niej to, co mówimy lub robimy.

- To... przypomina nocny koszmar, który prześladuje mnie przez całe życie - powiedziała Jasmine. - W tym śnie spaceruję i wszystko jest wspaniale, a potem nagle wpadam w czarną otchłań, gdzie nie mogę niczego zobaczyć, powąchać ani dotknąć. W tej otchłani rozbrzmiewa jakiś złowrogi śmiech, którego w istocie nie słyszę, a tylko wyczuwam umysłem. I czuję też, jakby jakaś straszna niewidzialna ręka... - urwała, usiłując znaleźć odpowiednie słowo - sięgała w głąb mego ciała, którego już w rzeczywistości nie ma. Lecz ona wrywa wszystko, ściska mnie i miażdży moją duszę. - Wstrząsnął nią krótki dreszcz. - Wtedy jednak zbieram wszystkie siły, jakie mogę wykrzesać, i w końcu udaje mi się obudzić.

Popatrzyła na mnie ze smutkiem.

- Ale Camilla nie może się obudzić, prawda? - spytała i w jej oczach odbiła się groza zrozumienia. - Ani wreszcie zasnąć bez snów.

- Bez naszej pomocy nie.

- To gorsze niż śmierć.

- Jest coś, co mogę zrobić. - Otworzyłem telefon komórkowy i nacisnąłem klawisz skrótu do mojego adwokata. - Musimy nakłonić sąd, żeby wydał zgodę na wyłączenie aparatury podtrzymującej jej życie.

Recepcjonistka poznała mój głos i natychmiast mnie połączyła.

- Chryste, Brad! Gdzie do diabła się podziewasz?

- Mnie też miło cię słyszeć.

- W co ty się wpakowałeś? Przyszło do mnie pod twoim adresem tyle wezwań do sądu i nakazów rewizji, że mógłbyś wytapetować nimi ściany mego gabinetu. Policja z Los Angeles przeszukuje twój dom, biuro i laboratorium. Właśnie przed chwilą odwiedził mnie jakiś kretyn, sztywny pułkownik z wojska. A byli też agenci federalni.

- O, rany.

- Nie wkurzaj mnie gadaniem „o rany”, Brad. Co się do cholery dzieje? Oni wszyscy chcą wiedzieć, gdzie jesteś, i ja też.

Pomyślałem o policji, wojsku, ustawie Patriot Act i urzędzeniach podsłuchowych i natychmiast się rozłączyłem.

- Musimy ruszać - powiedziałem. Zwolniłem ręczny hamulec i wrzuciłem wsteczny bieg.

- Co znowu?

Koncentrowałem się na wyjechaniu furgonetką tyłem w wąskiej przestrzeni.

- Jeśli przeszukują mój dom i biuro i wydali wszystkie te wezwania sądowe i nakazy rewizji, pozostaje tylko kwestią krótkiego czasu, zanim tu trafią. Jestem w potrzasku, a jedyna droga wyjścia prowadzi przez Talmadge'a.

- Co zamierzasz zrobić?

- Zabrać moje rzeczy z hotelu i zniknąć. Płaciłem za furgonetkę i pokój kartami kredytowymi. Namierzą mnie bez trudu. Znam jednak na tyle dobrze sposoby działania policji i wojska, że daje nam to spore szanse. - Urwałem, żeby się zastanowić. - Czy masz broń?

Jasmine popatrzyła na mnie z gniewną wyższością i wyjęła z torebki czarną nylonową przypinaną kaburę. Rozpięła ją i wydobyla rewolwer Ruger Speed Six. 357 magnum z krótką lufą 2^{3/4} cala.

- Niezły gnat - rzuciłem.

- Słuchaj, jestem czarną adwokatką...

- ... zajmującą się prawami obywatelskimi w Missisipi - dokończyłem za nią i oboje się roześmialiśmy. Potem zaskoczyła mnie, wyjmując dwa 6-strzałowe magazynki Speedloader. Gwizdnałem cicho. Wyjechałem tyłem z boksu i skręciłem w prawo na Park Avenue. Spostrzegłem kątem oka, że Jasmine wsunęła broń z powrotem do kabury, zapięła ją i schowała do torebki.

- Zapewne nie masz drugiego rewolweru? - spytałem, gdy zwolniliśmy przed światłami.

- Lashonna ma taki sam - odrzekła po sekundzie wahania. - Kupiłam go jej; powinien być w jej torebce w biurze.
- Czy moglibyśmy po niego pojechać?
- Jasne. - Światła zmieniły się i skręciłem w prawo na Grand, elegancki bulwar, przy którym znajdują się wielkie luksusowe posiadłości, rzęsiście oświetlone w celu uwypuklenia kosztownych ogrodów i bogatej architektury. To była w dalszym ciągu część miasta zamieszкана wyłącznie przez białych.

Przejechaliśmy obok tych wspaniałości w milczeniu. Usiłowaliśmy zastanowić się i oddzielić pomysły, które pomogą nam przeżyć, od tych, które niewątpliwie sprowadzą na nas śmierć. Jasmine widocznie wyczuła to, gdyż siedziała, patrząc prosto przed siebie, pogrążona we własnych myślach. Gdy zjechaliśmy z mostu Kesslera w miejscu, gdzie bulwar Grand przechodzi w ulicę Fulton, przyszedł mi do głowy pewien plan. Zwolniłem przed czerwonymi światłami.

- Możemy wziąć twój samochód? - spytałem. - Będą szukać tej furgonetki.

- Jeżdżę wielkim czerwonym mercedesem mamy. To niewiele lepiej.

- Przynajmniej na razie.

- Stoi na szpitalnym parkingu.

Skręciłem w prawo w West Washington.

44 Tuż za Fulton Street, niedaleko na południe od mostu Kesslera znajduje się gmach sądu okręgu Leflore, wielki zabytkowy budynek, otoczony drzewami magnolii. Otacza go również aura dawnych niesprawiedliwych rasistowskich wyroków, wymierzanych tu, zanim doszło do politycznych zmian, spowodowanych przez ruch obrony praw obywatelskich w latach sześćdziesiątych.

Nadal mieści się w nim biuro szeryfa oraz więzienie, przez co w samym budynku i na parkingu wre nieustanny ruch, który jednak tylko w niewielkim stopniu przyczynia się do zwalczania handlu narkotykami i towarzyszącej mu przemocy, nękających położoną nieco dalej dzielnicę czarnych.

Tego wieczoru na parkingu pośród wozów patrolowych urzędu szeryfa stały dwa nieoznakowane czarne rządowe sedany. Ich silniki tykały cicho, stygnąc po pracy; jeden pojazd przyjechał z Jackson, drugi zaś z Memphis. Samochody policji drogowej, które towarzyszyły im w tych szybkich jazdach po autostradzie I-55, stały obok prywatnych wozów samego szeryfa oraz szefa policji w Greenwood.

Pasażerowie tych aut wraz z wieloma innymi osobami tłoczyli się w sali konferencyjnej na drugim piętrze. Przemówił do nich wysoki szczupły agent federalny z krótko przystrzyżonymi szarymi włosami, w które wcinało się po lewej stronie czoła wąskie czerwone znamię. Ubrany był w garnitur w prążki z ostro zaprasowanymi kantami spodni i nienagannie zawiązany krawat. Nie poinformował zebranych, jakie i gdzie dokładnie piastuje stanowisko; wspominał jedynie, że przysłał go Departament Bezpieczeństwa.

John Myers stał z tyłu sali obok szeryfa - wysportowanego mulata o budowie obrońcy futbolowego, którego groźny wygląd łagodziły liczne piegi.

- Ciekawe, czemu federalni i szuchy z Pentagonu zdali się właśnie na niego - szepnął szeryf do Myersa.

- To nie wróży niczego dobrego.

- Do południa powinna przybyć tu jednostka taktyczna - oznajmił mężczyzna z Departamentu Bezpieczeństwa. - Jeżeli ktoś z was wiekiem, niech nie podejmuje - powtarzam: nie podejmuj - żadnej akcji. Bradford Stone jest śmiertelnie niebezpieczny i dowiódł tego, zabijając w ciągu ostatnich

czterdziestu ośmiu godzin co najmniej siedmiu ludzi, z których sześciu było doskonale wyszkolonymi członkami Oddziału Specjalnego, a siódmy należał do jego własnego zespołu poszukiwawczo-ratowniczego.

- A oto oficjalna wersja na użytek publiczny, którą musicie zapamiętać: Stone był zamieszany w operację przemytu narkotyków, dokonaną przez brutalny kartel narkotykowy z centralną kwaterą w Guadalajarze. Nasz oddział usiłował zaarrestować Stone'a, a wówczas on uśmiercił ich wszystkich. Nie chcemy wszczynać powszechnego alarmu. Nie zamieścimy w mediach zdjęć i listów gończych, a w naszej akcji winien wziąć udział jedynie personel zebrany w tej sali. Bierzymy na siebie całe ryzyko.

Myers podniósł rękę.

- Sir?

Mężczyzna z Departamentu Bezpieczeństwa zmarszczył brwi, niezadowolony że mu przerwano.

- Słucham.

- J a k pan wie, rozmawiałem z tym człowiekiem niecałe dwie godziny temu. Tuż przedtem uratował życie ofierze strzelaniny i robił wrażenie zupełnie normalnego.

Mówca uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Tak, Stone może wydawać się normalny. Sądźmy jednak, że odbiło mu po sześciu latach zajmowania się swoją ranną i pozostającą w śpiączce żoną. Jest niczym seryjny morderca, z tym że on uzależnił się na stałe od silnych podniet. Podejmowanie ryzyka związanego z przemycaaniem narkotyków pozwala mu rozładować napięcie, a w konsekwencji prowadzić normalne życie. Do czasu, gdy jego napięcie ponownie nie wzrośnie.

Rozejrzał się po sali, starając się uchwycić spojrzenie każdego z zebranych, a potem wbił wzrok w Myersa.

- Czy to wyjaśnienie pana zadowala, sierżancie?

Myers zerknął w bok na swego szefa i tylko on mógł dostrzec, że szeryf uniósł sceptycznie brew. Sierżant ułożył

twarz w maskę mającą oznaczać: „Tak jest, panie Biały”, wypracowaną jeszcze w dzieciństwie, spojrzął na przedstawiciela Departamentu Bezpieczeństwa i skłamał:

- T a k .

45

Cedrick Valentine wbił się swoim chevroletem monte carlo, nówką brąz metalik, w węzeł drogowy obok przemysłowych hal i pociągnął na południe czterdziestką dziewiątką. Podkreślił na maksa *Some L.A. Niggas* Dr. Dre i rapował zwrotki, które znał na pamięć.

Czarnym światem kręcą czarni z L.A.!

Raz tylko był w Compton, latem, dwa lata temu, ze swoim wujem, i spiknął się wtedy z Bloodsami. Opylili mu glocka dziewiątkę; gościu z gangu mówił, że wyjął go z jeszcze ciepłej łapy pieprzonego skunksa, którego skosił, kiedy ten kołował po dzielnicy swoją czarno-białą gliniarską landarą.

Wspominał, jak pojechał potem przez South Central i zrobił użytek z glocka naładowanego rozrywającym śrutem, żeby odstrzelić czapkę frajerowi z konkurencyjnych Cripsów. Jeszcze teraz czuł dreszcz, przypominając sobie, jak mózg czerwonoszarymi bryźnięciami splamił betonowy mur, upstrzony przez graficiarzy. „Jaa!” - wrzasnął triumfalnie. „Czarni z L.A. pany! Pieprzyć wszystkich pieprzonych złamasów!”

Po tym nazwali go z szacunkiem „doktorem Glockiem”. Ni w zęba nie obchodziło go, który z czarnych dupków ze Snowden- Jones nadał mu taką ksywkę. Wolał to, niż swoje prowincjonalne czarne imię Cedric.

Przez moment poczuł ukłucie winy, wspominając, jak bardzo zaboląło jego matkę, że tak olał imię, które mu nadała i jak się zawsze burzyła, że żył z przekrętów. Była

z tych mamusiek, co to lubią, jak chłopcy grzecznie idą o dziewiątej do łóża i trzymają rączki na kołdrze, a kiedy dorosną, łapią robotę w okolicy za zdziarską stawkę i zapierdalają w niedzielę do kościoła, żeby posłuchać tych chrzaniionych gospels. Chciała, żeby zepsiał i zgnił od środka, jak ten kutas Tom, jej brat, a jego wuj, który mieszkał w Long Beach i przez całe życie tyrał na okrągło za nędzne grosze.

- Tak, pszę pana! Nie, pszę pana! A gówno! - powiedział głośno. - Nie będę czarnym frajerem. - Szybko otrząsnął się z poczucia winy i zajął się przyciskami elektrycznego ustawienia fotela w swojej nowiutkiej bryce. Wyprostował oparcie, poprawił wsteczne lustro, po czym przerzucił się na panel sterowania zawieszaniem, podwyższając je do poziomu terenowego, który nazywał „czarnym rajdowaniem”. Przyda się na gruntowe drogi. Jadąc po takich dziurach nisko zawieszoną bryką, zbyt rzuciłby się w oczy tamtejszym prowincjonalnym gliniarzom. Dzisiaj musi być niewidzialny. Najpierw TEC-9. Potem szmalownia. A potem dziwka.

Kupił spluwę TEC-9 okazji, w bocznej uliczce w Memphis, zaraz po tym, jak ugadał sobie dziwkę.

*Dla dziwki baksy, bez taksy, układ stoi
Czarnego szanuj, suko, bo cię zgnoi*

Cedric zabębnił palcami po kierownicy i rymował dalej.

*Zarąbisty numer, dziecino, będzie szok
Kiedy pocałują cię dziewiątka i glock*

Będzie musiał to sobie jeszcze przećwiczyć, bo dziwy lecą na rapujących gangsta.

Zmienił płytę Dr. Dre na Snoop Dogga. Odtwarzacz ustawiał pierwszy utwór, a Cedrick spokojnie i statecznie ciągnął środkowym pasem. Nie potrzebował, żeby namierzył go jakiś nadgorliwy łaps. Przejechał węzeł Rising Sun i niedługo potem odbił na zachód, w kierunku Quito

i mostu na rzece Yazoo, na boczne drogi. Jechał, aż asfalt zmienił się w szutrowkę. Cedric nie lubił pyłu i ostrych kamyków, strzelających po karoserii, ale robota jest robotą, a kiedy twoją robotą jest kilerka, trzeba ją wykonać sprawnie i bez świadków.

Cedetka wystartowała i z głośników ryknął *Down 4 My Niggas* Snoop Dogga. Cedrick Morderca, świeżo upieczony rapper C-Murder, z zapalaniem rapował równo ze swoim idolem.

*Inne negry pierdolić, ta jazda jest dla swoich, a jak
Trzeba, zginę za swoich, inne negry pierdolić, a jak*

Wóz podskakiwał w rytmie rapu na wyboistej drodze, gdy Cedrick gnał na południe, ku pieprzonemu mostowi w samym środku diabli-wiedzą-jakiego zadupia, gdzie miał pozbyć się s w o jej dziewiątki.

- To ja, kurna - powiedział głośno. - Jestem czarnuch z wielkimi jajami. Wypiszę swoją pieprzoną ksywę na ścianie, obok ksywy mojego Dogga! A potem tak przerąbię te wszystkie dziwki, że nie będą mogły usiedzieć na tyłkach!

Kiedy w oddali, na północ od Tchula, zamajaczył łuk mostu, wiedział, że jest na miejscu. Snoop Dogg śpiewał o czarnych, którzy uciekają, ale nie mają się gdzie ukryć.

Cedric wjechał na most, zatrzymał się pośrodku, założył lateksową rękawiczkę i wyjął spod siedzenia TEC-9. Nie było widać świateł żadnych innych wozów. Opuścił szybę. Do środka wpadł chłodny, silny wiatr, niosący w sobie zapowiedź deszczu, a może nawet tornado. Gdy pistolet poszybował łukiem za barierę mostu, Cedrick ruszył, nie czekając, aż pluśnie w wodę. Skierował się do Tchula, z powrotem na stanicą 49. Przed wyjazdem z 82 zatrzymał się, aby odchylić jak uprzednio oparcie fotela, ustawić wsteczne lustro i obniżyć zawieszenie na szosowe. Następnie wysiadł, obszedł swoje monte carlo z latarką i z satysfakcją stwierdziwszy, że żwir nie uszkodził lakieru, otworzył bagażnik. Tam, w pudle po butach, miał swoją dołę, którą mu przysłano.

Z zadowoleniem zdjęła pokrywkę i ukazały się równo ułożone pliki studolarówek, ściśniętych gumkami. Ściśle mówiąc, była to połowa doli, bo tak podzieliła ją ta dziwka. A raczej część połowy, bo przecież kupił ten wózek. Forsa przyszła normalnie, pieprzoną federalną pocztą, w tydzień po tym, jak ugadali sprawę w zaułku przy West Gibbs Street. Pieniądze owinięto w wycinek z gazety z wydrukiem artykułu o nakazie jego aresztowania, wziętym ze strony internetowej *Greenwood Commonwealth*.

Cedric uśmiechnął się i z satysfakcją poczuł gorące mrowienie w dole brzucha. Teraz był sławnym gangsta - tak sławnym, że nieznajoma babka, której nigdy nie widział na oczy, przysłała mu forszę, żeby zabił dla niej. Potem kolnęła na jego komę jeszcze tylko raz, aby upewnić się, że dostał, co się należy i dobrze zapamiętał, co ma zrobić i kiedy. Powiedziała, że drugą połowę dostanie, kiedy te dwie czarne, ostre, jebane prawniczki trafią do piachu. Jedną już załatwił, więc liczył, że jeszcze dzisiaj dostanie połowę brakującej forsy, a resztę - jak dokończy sprawę. Kiwając głową, wyciągnął glocka spod zapasowego koła.

Ponownie usadowił się za kierownicą i zerknął na swojego Rolex.

Pora brać się do roboty, doktorze Glock, powiedział do siebie w myśli, przebiegając jeszcze raz listę spraw: płyty, hip-hopowe ciuchy i błyskotki, a na koniec, jak się obsprawi - ta dziwka, która się przedstawiła jako Crissy. Nie wiedział, jak wygląda, ale słysząc jej głos w telefonie, z punktu się podjarał.

- Mój wycior jest gotowy do akcji - oznajmił. - Przeczyszczę ci oba kanały, kiciu.

Skręcił z 82 na wschód. Tuż za miastem natrafił na nawrót, o którym mu powiedziała. Cedric zjechał na lewy pas, zaczekał, aż przejedzie parę samochodów z przeciwka i zawrócił. Po kilkudziesięciu metrach zatrzymał się na poboczu, zgasił silnik, wyłączył radio i czekał, ściskając w garści glocka.

Błyskawica na moment oświetliła okolicę jaskrawym blaskiem. Miał nadzieję, że dziwka pojawi się, zanim totalna zlewa nie zmieni drogi w pierdolony potok. Pomyślał, że warto byłoby ją wydmuchać. Sądząc z głosu, musiała być białą kurwą, taki był nadęty i olewający. Należałoby ją posuwać, aż skamlałaby o litość - a on ze swoim naganiaczem był w tym dobry. Mimo woli potarł wzdymające się w kroku spodnie.

W chwilę później zmiękł gwałtownie, gdy poczuł za lewym uchem dotyk zimnej lufy.

- Nie ruszaj się. - W kobiecym głosie zabrzmiał tak złowieszczy, stalowy ton, że Cedric poczuł wilgoć, rozplływającą się w slipach.

Suka! Nie panował nad swoim pęcherzem.

- Rozczarowałeś mnie. Jasmine Thompson nie ma nawet zadraśnięcia, a ta druga przeżyje.

Znów oślepiła go błyskawica. Grzmot przyszedł prawie zaraz po niej.

Ciepły mocz spłynął na siedzenie. Zabije ją za to!

- Obiecałeś - ciągnęła kobieta. - Mogłeś służyć mi długo i płaciłabym ci godziwe pieniądze. - Zamilkła na chwilę. - Ale zawałiłeś robotę.

Otworzył usta, aby błagać ją o jeszcze jedną szansę, kiedy przeraźliwa, jaskrawa eksplozja bólu rozsadziła mu głowę, jakby wybuchł tam oślepiająco-ogłuszający granat, z tych, jakie używa policja. W ułamku sekundy zrozumiał, że to jest coś więcej niż błyskawica i grzmot.

Młody murzyński gangsta, ksywka Dr Clock, w ostatnim przebłyku świadomości wypowiedział swoje ostatnie słowo - „mama”.

Wielkie krople deszczu zabębniły po karoserii wozu, gdy ciało osunęło się na kierownicę. Jael St. Clair wystrzelała w głowę Cedrica cały magazynek, a potem otworzyła bagażnik monte carlo, chwyciła pudełko z wypłatą dla niego i szybko wsiadła do s w o jej toyoty SUV-a.

Komórka zaświergotała w chwili, kiedy przekręciwszy kluczyk w stacyjce i włączywszy wycieraczki na najszybszy bieg, miała ruszyć. Chwyciła telefon i zobaczyła, że dzwoni generał Braxton.

- Sir...

- Zmiana planów - oznajmił bez wstępów. - Stone jest dla nas stracony. Byłoby najlepiej, gdybyś natychmiast wyeliminowała jego i tę adwokatkę.

- Sir! - W słuchawce cisza odezwała się słabym poszumem.

- Sierżancie?

Jael wstrzymała oddech. Generał rzadko zwracał się do niej służbowo.

- To zadanie o priorytetowym znaczeniu. Do tej chwili operowałeś w utajeniu, posługując się innymi ludźmi i starając się maksymalnie zminimalizować szanse własnego wykrycia czy narażenia się na niebezpieczeństwo.

- Tak jest - potwierdziła, dobrze wiedząc, co dalej usłyszy.

- Teraz zasady się zmieniają. Użyj wszelkich dostępnych środków, abyśmy mogli mieć pewność, że Brad Stone i Jasmine Thompson nie dożyją następnego zachodu słońca. Działaj bez względu na ryzyko i koszty.

- Rozumiem, sir. Tak jest.

- Dziękuję. Powodzenia. - Generał się wyłączył.

Jael również wcisnęła klawisz, przerywający rozmowę. Nie pierwszy raz szef zlecał jej samobójczą misję, którą zdołała przeżyć.

46 Kiedy dojeżdżałem z Jasmine do mojego motelu, noc szumiała ulewą, przerywaną blaskiem błyskawic i hukami grzmotów. Ściana deszczu lśniła w świetle reflektorów, rozbielona ich blaskiem na mleko. W radiu mówiono o tornadach w okolicy Black Bayou.

- Zaparkuj naprzeciwko wejścia - poleciłem.

Błyskawice raz po raz atakowały oślepiającymi rozbłyskami, wspomagane potężną kanonadą grzmotów. A potem spadł grad wielkości grochu i przeraźliwie zadudnił serią po dachu mercedesa Jasmine, gdy zaparkowała go i wyłączyła światła.

- Okay, nie gaś silnika i bądź czujna - powiedziałem.

- Zaraz wrócę.

- Może jednak pójdę z tobą?

- Naprawdę nie trzeba.

Piękna twarz Jasmine emanowała siłą w łagodnej poświęcenie wskaźników deski rozdzielczej.

- Jeśli pojawi się policja, odłóż pistolet i odjedź spokojnie, jakbyś właśnie miała to zrobić.

- Ale...

- Nie ma sensu, żeby złapali nas oboje.

Z rugerem Lashonny w ręce zacząłem otwierać drzwi, lecz zamarłem z dłonią na klamce, widząc jak na parking wjeżdża biały ford excursion, cofa się w róg i parkuje obok białych ciężarówek dostawcy światłowodów. Po chwili reflektory zgasły. Czekaliśmy. Jasmina trzymała na kolanach swojego własnego rugera.

Z wewnętrznej kieszonki torby Jael St. Clair wyciągnęła cieniutki pakiecik z papieru wielkości sporego, okolicznościowego znaczka. Takie przesyłki firma przysyłała jej regularnie od czasu, kiedy została ranna w głowę w Afganistanie. Oddarła ochronną warstwę folii i wyciągnęła pasek, przypominający plaster, zdjęła ochronę przyklepców i przykleiła pasek na skórze poniżej obojczyka.

Następnie zwolniła przyciskiem sterowany elektrycznie zamek tylnych drzwi SUV-a i przeczołgała się przez fotele na tył, do połowy wypełniony bagażem. Rytm uderzeń jej serca spowolnił się i wyrównał, w miarę jak ciepła fala wspomagającej mocy promieniała z plastra, wyostrając

. myśli i zmysły. Jael wymacała torbę ze sprzętem, który zapotrzebowała wraz z samochodem. Jej wprawne dłonie szybko wyczuły w środku kształt lunety noktowizyjnej. Kobieta uśmiechnęła się w mroku, podsuwając ją sobie do oczu. W mętным blasku lamp parkingowych, rozmytym w ulewie, rozpoznała Night Quest PVS- I4 -jeden z najlepszych noktowizorów trzeciej generacji, wodoszczelny i uniwersalny.

Przyłożyła instrument do prawego oka i zoptymalizowała rozmazany obraz. Wizja stopniowo wyostrzała się pomimo zasłony ulewy, ukazując szczegóły, skąpane w widmowej zielonkawej poświacie. Zobaczyła prawniczkę i Stone'a, rozmawiających w samochodzie.

Jael odłożyła noktowizor i wymacała dwa długie, twarde futerały z bronią. W pierwszym znajdował się natowski karabin snajperski M21, kalibru 7.62 mm z optycznym celownikiem noktowizyjnym Raptor 4x.

- Cholera!

W drugim futerale spoczywał na warstwie pianki kolejny M-21. Jael była wściekła, gdyż prosiła o M-25, ale nie miała wyjścia.

- Do roboty - powiedziała do siebie, wyjmując z kasetki tłumik Sionics i nakręcając go na lufę. Oderwała się na ułamek sekundy, aby spojrzeć przez lunetę na czerwonego mercedesa. Zobaczyła, że Stone nadal gada z prawniczką.

Wygarnęła z torby obrotowy magazynek na dwadzieścia naboji i pudełko z amunicją, odnotowując przy okazji, że to standardowy M18 z pociskami Special Ball 173-grain, pełnopłaszczowymi, ze ścięciem łódkowym. Osobiście preferowała te z wcięciem wierzchołkowym, gdyż z krótkiego dystansu wyrządzały najwięcej szkody, lecz dobrze znała M18 i oddała z niego trzydzieści siedem śmiertelnych strzałów. Jael wypełniła magazynek nabojami, umocowała i zabezpieczyła, gdy nagle kątem oka dostrzegła, że zapaliło się światełko w kabinie mercedesa. Sięgnęła po lunetę i odprowa-

dziła wzrokiem Brada Stone'a, który wysiadł z wozu i wszedł na klatkę schodową motelu.

- Zaczyna się zabawa - stwierdziła miękko, ostrożnie uchylając tylne okienko auta. Deszcz sieknął jej w twarz. Cofnęła się w stronę siedzeń, gdzie nie dosięgały jej krople niesione porywami wiatru i skał, na w pół leżąc, mogła widzieć drzwi do pokoju Stone'a w prostej linii strzału. Położyła na worku z bronią swoją dużą, podróżną torbę, tworząc przed sobą stabilną podstawę dla M21. Ustawiła karabin i sama ułożyła się za nim w pozycji do strzału. Nie był to ideał, ale odległość wynosiła nie więcej niż pięćdziesiąt metrów. Bułka z masłem! Z tym karabinem i z tą amunicją jeszcze nie zdarzyło się, żeby nie oddała śmiertelnego strzału na odległość do 100 metrów.

- Jeśli zdarzy się coś niepokojącego, dzwoń na moją komórkę - powiedziałem. - Ma włączony alarm wibracyjny. Sprawdź, czy twoja też. - Nie spuszczałem wzroku z białego SUV-a.

- J u ż to zrobiłam - odparła Jasmine.

Dyskretnie wskazałem biały samochód gestem głowy.

- Uważaj na niego. Coś mi się tu nie podoba. - Włożyłem rugera z powrotem do kabury i przypiąłem ją jak mogłem najlepiej do swoich workowatych spodni.

- Dlaczego?

- Zaparkował zbyt daleko od wejścia. Przemokną, zanim dotrą do pokoju. - Urwałem na chwilę. - Choć z drugiej strony... może ci ludzie od światłowodów mają tam wyznaczone miejsce parkowania.

Wysiadłem z auta i kuląc się w lodowatych porywach deszczu, pobiegłem ku schodom. Kiedy znalazłem się na podeście, zobaczyłem z daleka, że przez zasłony pokoju przesącza się światło lampki, którą pozostawiłem zapaloną.

- Psiakrew - zakląłem pod nosem. Stanąwszy pod drzwiami, będąc świetnie oświetlonym celem.

Jael śledziła Stone'a idącego po schodach przez noktowizyjną lunetę. W pewnej chwili odłożyła ją, sięgnęła po M21, nasunęła na lufę celownik Raptor, oparła broń na zaimprovizowanym podwyższeniu i ustawiła krzyż celownika pośrodku drzwi pokoju Stone'a - dokładnie tam, gdzie powinien stać, kiedy będzie je otwierał, wsuwając w czytnik kartę magnetyczną.

Jak na zamówienie przy drzwiach pojawił się wysoki, potężny mężczyzna. Ale nie stanął przed nimi, żeby prawą ręką włożyć kartę, tak jak się spodziewała, lecz pozostał z boku, wyciągając lewą rękę do czytnika.

Sprytnie, pomyślała. Nie chce być łatwym celem w świetle padającym z pokoju. Ale dla mnie niewystarczająco sprytnie, stwierdziła, przesuając celownik w prawo. Wyrównała oddech, nabierając powietrza i wypuszczając je w normalnym tempie. Kiedy przecięcie linii celownika znalazło się dokładnie tam, gdzie sobie zamierzyła, delikatnie nacisnęła spust.

- Co jest, do cholery?

Jasmine mocniej ścisnęła w dłoni rugera, kiedy zobaczyła, że tylne okienko białego SUV-a unosi się gładko. To było zbyt dziwne. Nie wypuszczając broni, przesunęła się na siedzenie pasażera. Kiedy ostrożnie otwierała drzwiczki, żeby wyjść, noc eksplodowała jak ładunek wybuchowy.

47 W rozbłysku błyskawicy zrobiło się jasno jak w dzień. Odruchowo skuliłem się nisko, jakby poraziła mnie jedna rozgałęziających się ku ziemi macek niebieskawego światła. Piorun uderzył w transformator elektryczny znajdujący się w części parkingu, należącej do redakcji miejscowej gazety, który eksplodował, wybuchając kaskadą białych, fosforycznych

płomieni i iskier. Wszystkie światła parkingu zgasły. Klimatyzator w moim pokoju zatrzymał się na moment, a potem znów ruszył. Błyskawicznie podniosłem się i stanąłem przed drzwiami, licząc, że ten, kto mógłby trzymać mnie na celowniku, został na moment zaskoczony i oślepiony eksplozją. Przeciagnałem kartę, ale zapaliło się tylko czerwone światelko. Modliłem się, aby komputer w biurze hotelu, który sterował zamkiem, nie ucierpiał przy tym potężnym wyładowaniu.

Psiakrew.

Przekleństwo, wypowiedziane cicho i spokojnie przez Jael St. Clair, nie przerwało procesu celowania. Panowała nad oddechem i nieruchomym, czujnym palcem na spuście. Skupiła wzrok na krzyżujących się liniach, na których przecięciu znalazł się drobny odprysk w drewnianej wykładzinie. Dokładnie na tej wysokości powinno się znaleźć serce Brada Stone'a, gdyby nie nastąpiło wyładowanie. Nie poganiaj sytuacji, pomyślała, niespiesznie zwalniając oddech i rozluźniając palec na spuście. Na zamku przy drzwiach błyskała dioda, wskazująca jego położenie.

Znów pojawił się Stone i Jael zwizualizowała otwór wlotowy kuli po lewej stronie żeber. Dobrze, że miała pociski pełnopłaszczowe, zdolne gładko wejść w ciało nawet, gdyby trafiły w zebro. Wtedy fragmenty strzaskanej kości podziałyby dodatkowo jak odłamki szrapnela.

Jael St. Clair wciągnęła powietrze, wypuściła je i wstrzymała oddech. Znów powoli zaczęła naciskać spust.

48

Basowy, grzmiący warkot potężnego silnika przedarł się przez huk żywołów, gdy znów bez powodzenia usiłowałem otworzyć kartą zamek. Na parking wtoczyła się duża biała cięż-

żarówka z nazwiskiem producenta kabli na burcie, z naczą załadowaną ogromną szpulą ze światłowodem. Zatrzymała się tam, gdzie zaparkowała reszta flotylii białych pojazdów.

Potężniejące światło reflektorów zaczęło docierać w pole widzenia Jael, aby za moment całkowicie wymieść swoim blaskiem obraz, w który się wpatrywała. Zdjęła palec z cyn-gła, przywróciła oddech i odłożyła M-21, gdy ciężarówka z naczą zasłoniła jej widok.

Jael zasłoniła karabin i przeczłgała się szybko na przednie siedzenie, w pośpiechu rozważając różne opcje. Z drogiej, sportowej torebki wyjęła H&K-4 w skórzanej kaburze, odbezpieczyła go i przyczepiła sobie do paska. Następnie jeszcze raz sięgnęła do torby i wyciągnęła pętlę zrobioną ze struny fortepianowej, z końcami osadzonymi w dwóch drewnianych rączkach i ochronnym kołnierzem w miejscu, gdzie druty krzyżowały się. Było to jej własne udoskonalenie starego wynalazku, zwanego garotą.

Męskie głosy, dochodzące z ciężarówki, słychać było przez otwarte okienko jej wozu. Mało tego, jeden z nich dostrzegł je i ruszył w stronę toyoty, żeby je zamknąć, jak jakiś pieprzony Dobry Samarytanin. Jael ustawiła kluczyk w pozycji gotowości i opuściła szybę od strony pasażera. A potem, aby automatycznie nie zapaliło się światelko w czasie otwierania drzwi, wyslizgnęła się przez okno, prosto w szalejącą nawałnicę.

Po raz kolejny podjąłem próbę z kartą, znów bez rezultatu. Aż błyskawica i grzmot uderzyły jednocześnie i tym razem, kiedy zgasł oślepiający blask, w moim pokoju zapanowała ciemność i umilkł poszum klimatyzatora. Czas zaczął mnie naglić, toteż, przestając się kryć, wyważyłem drzwi mocnym pchnięciem barku, uruchamiając alarmy, sterowane przez laptop. Jednym susem dopadłem komputera i wyszarpną-

lem z niego kable. Główny, zasilający, odłączyłem, wyrwijąc wtyczkę ze ściany, po czym wepchnąłem pod bluzę i zaciągnąłem suwak. Przy akompaniamencie wyjących alarmów biegiem wypadłem z pokoju, upychając laptop w pokrowcu. Zajął mi to sekundy.

Jael przykucnęła w cieniu tylnego koła swojego SUV-a, czujnie śledząc Dobrego Samarytanina, który biegł ku niej, kuląc się w lejącym deszczu.

- A cholera wie! - odkrzyknął do kierowcy. - Zadzwoń do niego na komórkę. Niech nam powie, gdzie to zrzucić.

Gdy uczynny facet popchnął okno, zamykając je, Jael cofnęła się za jego plecy pod osłoną ulewy. Zarzuciła mężczyźnie pętlę na głowę i błyskawicznym ruchem zaciągnęła ją na szyi. Dzięki kołnierzowi pętla nie otworzyła się.

Jael szybko odstaąpiła do tyłu, gdyż duszony zaczął szarpać się i gwałtownie wywijać rękami. Po paru chwilach niedotlenienie mózgu wywołało omdlenie. Głowa mężczyzny stuknęła o tylny zderzak toyoty jak dojrzały melon.

W tym momencie Jael usłyszała trzask zamykanych drzwiczek i wycie silnika, ruszającego na najwyższych obrotach. Ruszyła biegiem, po drodze wyszarpując H&K-4 z kabury i odbezpieczając broń. Zobaczyła tylne światła mercedesa, wyjeżdżającego z parkingu. Jael zatrzymała się, celując z przygiętych kolan, z bronią w wyciągniętych rękach.

- Hej, ty! Co robisz?

Odwróciła się i zobaczyła, że kierowca wysiadł z szoferki i rusza ku niej. Strzeliła mu dwa razy w głowę. Kiedy znów się odwróciła, mercedes znalazł się już na wjeździe na autostradę 82 i wpasowywał się w rząd aut, leniwie sunących w kierunku zachodnim. Jael St. Clair ruszyła sprintem w kierunku autostrady, ponaglana kategorycznym rozkazem Braxtona, nakazującym jej zabicie Stone'a i prawniczki.

49

Ostry, nieznośny ból palił jej płuca i Jael St. Clair żałowała, że nie pozbyła się nałogu palenia. Czowała w nogach ołów, lecz zmuszała się do biegu, usiłując skupić się na mercedesie, uwieczonym w korku i posuwającym się skokami. Wiedziała, że tym razem będzie musiała celować na los szczęścia, gdyż płuca, pracujące jak miechy, nie pozwolą na wymierzony snajperski strzał.

Wycieraczki ledwo radziły sobie z nawałą ulewy. Jasmine posuwała nasz wóz do przodu w leniwie pełznącym wężu osobówek, kombi, minivanów, pikapów, auto-home'dw i SUV-ów, jadących zderzak w zderzak i pulsujących jarzącymi się w deszczu światłami stopu.

- Wiesz - powiedziałem - najchętniej byłoby, gdybyś wysadziła mnie jak najszybciej i znikła z zasięgu tego polowania. - Przyglądałem się Jasmine, usiłując bez powodzenia nie zachwycać się wyrazistymi rysami jej twarzy, pięknej w swoim spokoju i determinacji. - To na mnie polują - ciągnąłem. - Jeśli teraz się wycofasz, masz jeszcze szansę wrócić do jakiej takiej normalności.

- Powiedziałaś najgłupszą rzecz, jaką słyszałam od dziecięciu lat - skwitowała. - Mama nie żyje; Lashonna zapewne też. Wszystkie tropy prowadzą do Talmadge'a i wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli będę interesowała się jego sprawą, wsiaią mi na kark. Więc daj spokój, bo jedziemy na jednym wózku.

Płuca paliły Jael ognistym żarem, kiedy przemykała między autami w kierunku mercedesa, znajdującego się dwa pasy na prawo od niej. Widziała z daleka prawniczkę siedzącą za kierownicą, z głową zwróconą w bok. Łatwy cel, ale najpierw

musi osiągnąć Stone'a - bardziej niebezpieczny obiekt. Strumień wozów ruszał i stawał, ruszał i stawał. Potrzebowała jeszcze chwili, żeby wykonać ostateczne posunięcie.

- W takim razie zostaw w spokoju sprawę Talmadge'a - zasugerowałem.

- Jeszcze lepiej! Równie głupiej rzeczy nie słyszałam od dwudziestu lat - odparła ze śmiechem i obrzuciła mnie spojrzeniem, które uświadomiło mi, że prędzej dam się diabłu zabrać do piekieł, niż zawiodę ją.

Teraz! - powiedziała sobie Jael, czekając, aż pojazd najbliższy niej zatrzyma się. Oparła się o jego maskę; kierowca ze złością sięgnął do klaksonu.

Pieprz się, palancie, pomyślała, celując w tył głowy Stone'a, znajdującego się o jeden samochód dalej. Odwiodła bezpiecznik H&K-4.

Jasmine popatrzyła w boczne lusterko po mojej stronie, obserwując sznur pojazdów z tyłu, posuwający się na zachód. Nagle jej wargi poruszyły się, wypowiadając słowo, którego nie usłyszałem, gdyż zagłuszył je łomot deszczu o dach i trąbienie, dochodzące z drugiej strony. Błyskawicznie wcisnęła gaz i jednym skokiem wpassowała starego, rozłożystego mercedesa w przerwę między autami niewiele dłuższą niż on sam.

Niepowstrzymana furia ogarnęła Jael, kiedy mercedes odskoczył w ciemność. Owładnął nią instynkt mordu. Zabić! Kogokolwiek. Wszystkich. Pałająca fala niespełnienia wezbrała w dole brzucha, domagając się ujścia. Teraz!

Za jej plecami zatrąbił niecierpliwy klakson. Odwróciła się płynnym ruchem, unosząc H&K-4 do strzału. Ulewa rozmyła barwy nocy w impresjonistyczną feerię, utkaną z bieli, żółci oraz dynamicznej czerwieni reflektorów, stopów i migaczy.

Ale nawet ta migotliwa wizja nie była w stanie zatrzeć śmiertelnego strachu, który wyostrzył nagle rysy kierowcy, w którego celowała. Mężczyzna zeszywniał. Jael trzymała broń nieruchomo, z palcem czujnie spoczywającym na spuście.

Ten gniew jest bez sensu z punktu widzenia zadania, myślała, usiłując odzyskać kontrolę nad swoimi emocjami. Ten facet nie jest jego elementem. Ale napięcie w dole brzucha nie ustąpiło. O, Chryste! Musi się wyluzować. Jest źle. Bardzo źle.

Z wysiłkiem opuściła lufę H&K-4, ułożyła palce lewej ręki w kształt pistoletu i wycelowała go w twarz s w o jej niedoszłej ofiary.

- Pif-paf! - powiedziała miękko i biegiem zawróciła na parking motelu. Wskoczyła do szoferki ciężarówki, aby odblokować swój samochód.

Zanim odjechała, wyciągnęła z torby plastikową torebkę Ziploc i rozsypała jej zawartość na ciało zabitego kierowcy tak, aby włoski przylgnęły w krwawych miejscach, gdzie nie sposób będzie ich nie wykryć.

50

Deszcz zaczął słabnąć i Jasmine przyspieszyła, zbliżając się do Park Road, po czym skręciła w prawo.

- Byłeś naprawdę słodki, proponując mi, żebym zostawiła cię z całym tym pasztetem i w ogóle - powiedziała. - Ale to była moja rozgrywka na długo przed tym, zanim stała się twoją. Zresztą dobrze wiesz, że jest już za późno na wycofanie się. Oboje tkwimy w tym po uszy.

Słowa Jasmine dosięgły mojego serca i sprawiły, że mogłem tylko milczeć. Po skręcie wjechaliśmy w zaniedbane dzielnice miasta.

- Dokąd jedziemy? - zapytałem w końcu. - Będą sprawdzać każdy hotel i motel. Założę się, że przewrócą do gó-

ry nogami swoje biuro i mieszkanie, o ile już tego nie zrobili.

- Mam pomysł.

Czekałem, obserwując, jak Jasmine z oswojoną łatwością prowadzi wóz przez obce mi, brzydkie ulice. Dojechaliśmy do Main Street, potem odbiliśmy na lewo, przez tory i dalej, wzdłuż Stone Street.

- No i? - zagadnąłem wreszcie. - Jak i masz pomysł?

- Och, sorry, zamyśliłam się. No więc dawno temu, przed dwudziestu laty, a może i dawniej, mama kupiła liczącą dwa tysiące akrów plantację na południowy zachód od Itta Bena, a następnie podarowała ją Uniwersytetowi Stanowemu Missisipi Valley.

Jechaliśmy obwodnicami, przecinaliśmy całe ciągi magazynów i innych przemysłowych obiektów, podskakiwaliśmy na szutrowych, lokalnych drogach, a wszystko po to, aby ominąć korki. Dopiero gdzieś na północ od węzła Rising Sun znów wjechaliśmy na główną trasę.

- Jej brat, wuj Quincy uczy historii afroamerykańskiej na tutejszym uniwersytecie Missisipi Valley - ciągnęła Jasmine. - Donacja znacznie podwyższyła jego status. - Urwała na moment. - Mama zawsze robiła takie rzeczy. I nie tylko dla rodziny.

Skręciła w prawo, przejechała przez nowy most na rzece Yazoo i pociągnęła na wschód Quito Road. Deszcz ustał równie nagle jak się zaczął i na niebie pokazały się gwiazdy. Jedynie w oddali rozbłyśki błyskawic ciągle jeszcze oświetlały to, co zostało z muru piętrzących się, burzowych chmur.

- W każdym razie Quincy'emu przypadł niewielki kawałek ziemi z całą kolekcją starych chat, pochodzących jeszcze z lat siedemdziesiątych XIX wieku. Wiesz, takich dwuizboowych drewnianych baraków z blaszanymi dachami, podłogami z desek i latryną z tyłu.

Przesadnie usłużna pamięć podsunęła mi wspomnienie dziecka, śpijącego na składanym łóżku w półciążarówce,

którą Al Thompson prowadził po zapyłonych drogach, przecinających plantację Mossy. Wzrok dziecka odruchowo rejestrował te zmurszałe chaty z niemalowanymi, poszarzawymi desek, z obowiązkowymi krzywymi ławeczkami przed wejściem i gromadami nagich albo prawie nagich murzyńskich dzieci, bawiących się na dworze. Dla uprzywilejowanych białych dzieci te miejsca były prawie-że-widzialnym-lecz-nie-całkiem-dostrzegalnym elementem krajobrazu, nie bardziej znaczącym niż mech porastający pnie drzew czy zielona rzęsa na stojącej wodzie.

- Jedną z tych chat stała o jakieś trzysta metrów dalej od innych, w kępie dębów i leszczyń - słyszałem głos Jasmine. - Mama uczyniła z niej swoją ostoję; azyl niewiele bardziej wyrafinowany niż pierwotna siedziba. Bez telefonu, bez prądu, bez kanalizacji. Mawiała, że to miejsce przypomina jej, skąd pochodzi.

Zerknęła na mnie. Skinałem głową na znak, że wyczuwam.

- Tam właśnie jedziemy. Nie więcej niż dziesięć osób wie o domku mamy, a wśród nich ty i ja.

Światło księżyca przedarło się przez chmury i wyostrzyło kontury nagle posrebrzonego krajobrazu.

- Mama zawsze dziwiła się, dlaczego aż tak bardzo różni się od reszty s w o jej rodziny.

- Ja też - odparłem.

- Mówiła, że nie rozumie tego - kontynuowała Jasmine. Uprzywilejowany z samego tytułu urodzenia się w elitarnej rodzinie; biały chłopak z rodu plantatorów z Delt, potomek amerykańskiego senatora, zawodnik futbolowy i naukowiec, który, o ile mi wiadomo, już w dzieciństwie był uważany za geniusza. To stawia cię bardzo wysoko w łańcuchu pokarmowym białej populacji Missisipi.

Przez moment przetrawiałem w milczeniu te rewelacje.

- Cóż, odkąd pamiętam, ojciec rzadko uczestniczył w naszym życiu, zaś mama nigdy nie uważała, że należy specjal-

nie pielęgnować moje poczucie wysokiej społecznej pozycji - odparłem z namysłem, błędząc spojrzeniem po oświetlonych księżycowym blaskiem polach w poszukiwaniu odpowiedzi. - Konflikt ojca z Sędzią sprawiał, że zawsze czułem się jak wyrzutek. Przeważnie bawiłem się sam. Wcześniej nauczyłem się, jak postawić na swoim i jak powiedzieć komuś, żeby poszedł sobie w diabły.

- Przejawy wolnej woli?

- Nigdy w ten sposób o tym nie myślałem.

- Może powinieneś. - T e n jej uśmiech Mony Lizy!

Nieprawda, stale o tym rozmyślałem, ale niewiele więcej rozumiałem dzisiaj niż wtedy, w 1967.

Przez kilkanaście minut jechaliśmy w milczeniu, prowadzeni światłem księżyca przez pola równe jak stół. Jakie nauki, zdaniem Boga, miałem z tego wszystkiego wynieść? Jeśli Bóg rzeczywiście istnieje, a my winniśmy wypełniać Jego wolę, czemu, do licha nie możemy otrzymać najmniejszej choćby wskazówki, jaka ta wola jest?

Potem opowiedziałem Jasmine o poczuciu społecznej i towarzyskiej nieprzynależności, którego doświadczałem przy Gilesie Clairborne.

- To głupie - oceniła. - Pominąwszy wszystko inne, powinieneś czuć się lepszy chociażby ze względu na swoją wiedzę medyczną.

- Możliwe. - Pokręciłem głową. - W każdym razie nie jest to najważniejszy z powodów, dla którego już nigdy tu nie zamieszkać.

- Nigdy?

Pokręciłem głową z jeszcze większym przejęciem.

- Nigdy. Absolutnie nigdy.

Jasmine zatrzymała się przed znakiem stop przy wjeździe na siódemkę i skręciła na północ, ku Itta Bena.

- Tyle tu wspomnień - powiedziałem, a mrok przeszłości przepływał za oknem szybciej niż noc. - Opuściłem Missisipi, ale nigdy nie zdołałem stąd uciec. - Czułem się nie-

komfortowo i dziwnie, bo najtrudniejsze elementy układanki mojego życia przegrupowywały się w moim sercu, po raz pierwszy wpasowując się na swoje miejsce.

Jasmine w milczeniu skinęła głową, Pędziliśmy dalej przez ziemie, pamiętające historię Konfederacji. Gdy z daleka wyłoniło się skupisko świateł Itta Bena, zwolniła, a potem skręciła w drogę wiodącą wzdłuż rozległego, płaskiego pola. Z drugiej jego strony sunął wolno pociąg towarowy.

Na zachód od Itta Bena Jasmine wjechała w prawo na autostradę 82, przez pewien czas posuwała się w kierunku Valley State, lecz wkrótce zjechała na lewo i zaczęła sunąć szutrówką przez środek pola bawełny. Tył mercedesa zarzucił na zakręcie, gdy gwałtownie skręciła w boczną, gruntową drogę prowadzącą do niedalekiej kępy drzew.

- Zgubiłem się - powiedziałem.

- Nie martw się, ja nie.

Opony zadudniły na progowej belce bramy w ogrodzeniu pastwiska. Minęliśmy drzewa, zza których odsłoniło się kolejne pole bawełny, a za nim grupa starych chat, wyraźnie widocznych w księżycowym blasku. Jasmine zwolniła, gdyż droga zwężyła się do szerokości auta. Przejechaliśmy przez jeszcze jeden zagajnik i wjechaliśmy na niewielkie wzniesienie. Kolejny drogi zaprowadziły nas na dobrze utrzymany, kolisty żwirowy podjazd przed chatą.

- To tu - powiedziała Jasmine, zatrzymując samochód przed gankiem. Kiedy wyłączyła światła i silnik, ciemność i cisza ogarnęły nas, jakbyśmy wpadli w czarną dziurę.

Zabrzęczały wyciągane ze stacyjki kluczyki. Jasmine otworzyła drzwi od s w o jej strony. Zamrugałem, gdy włączyła się lampka w suficie.

- Możesz podać mi latarkę? - Pokazała gestem schowek w desce rozdzielczej. Wyjąłem latarkę, dałem jej i sam wysiadłem. Wyjąłem bagaże i wniosłem je na ganek. Jasmine otworzyła dom i zaprosiła mnie gestem do środka.

- Zaczekaj - powiedziała w korytarzu.

Po omacku odnalazła lampę naftową. Ciepłe światło jej płomienia wyłuskało z mroku pomieszczenie urządzone po spartańsku, z żeliwnym piecykiem i wyposażeniem, które kwalifikowało je jako kuchnię, salon i sypialnię w jednym. Szerokie łóżce, na którym pewnie w jego poprzednim wcieleniu mieściła się trójka czy czwórka dzieci, było okryte patchworkową kapą. Drzwi w przeciwnym końcu pokoju musiały prowadzić do drugiego pomieszczenia.

- Połóż moje rzeczy tam - Jasmine wskazała na drugie łóżko, stojące przy ścianie naprzeciw piecyka. Zrobiłem, jak mi kazała. Zatrzymałem spojrzenie na narzucie. Te wszystkie trójkątne, kolorowe łatki, te ściegi... Cały tamten czas.

- Mama sama szyła patchworki - wyjaśniła Jasmine. - Kiedy nie wytrzymywała ciśnienia, przyjeżdżała tutaj i szyła. Mówiła, że dzięki temu nie wariuje.

- Zdumiewające - powiedziałem. - Ja bym właśnie od tego zwariował.

Jasmine wzruszyła ramionami i wzięwszy lampę, ruszyła ku drugim drzwiom. Poszedłem za nią.

- To był jej pokój.

Całe umeblowanie stanowiło łóżko, prosta szafa z zasłonką, toporne drewniane krzesło i stół zbity z przypadkowych desek. Na zewnątrz wychodziły drzwi, zamknięte na potężną zasuwę.

Gdyby nie wielobarwne patchworki, panoszące się dosłownie wszędzie - okrywające łóżka, ściany, zwisające ze stolików - domek przedstawiałby obraz prawdziwej nędzy. Za krzesłem stała rama z kolejnym niedokończonym dziełem, mieniącym się znaczeniami.

Podszedłem bliżej. Jasmine zapaliła lampę, stojącą obok na stole.

- Próbowалаm to dokończyć - powiedziała - ale ciągle kłułam się igłą. I robię wielkie, krzywe ściegi. Jej pierś sprężyste nacisnęła mi ramię, kiedy wychyliła się zza moich ple-

ców, aby wyciągniętą ręką pokazać owe szwy. - Dlatego przestałam, zanim zmarnowałam go zupełnie.

Staliśmy tak przez dłuższą chwilę. Gdyby nie brak snu, mogłoby powstać między nami erotyczne napięcie, ale skończyło się jedynie na poczuciu ciepła i bezpieczeństwa. Też dobrze.

Jasmine szybko wciągnęła oddech i wyprostowała się.

- Lepiej prześpijmy się, póki mamy okazję - rzekła, muskając oczy dłonią, aby upewnić się, że nie popłynie żadna łza.

W parę minut później, kiedy przynieśliśmy wszystko do środka, Jasmine zamknęła zasuwę drzwi wejściowych, powiedziała mi dobranoc i zniknęła w pokoju matki. Ściągnąłem buty, wyjąłem rugera z pochwy i wsunąłem do prawego buta. Po kilkunastu sekundach już spałem.

51 Grzmot burzliwych oklasków przetoczył się przez salę balową hotelu Century Plaza, budząc gromkie echo. Clark Braxton zszedł z mównicy i posłał swój fotogeniczny uśmiech tłumowi gości, z których większość musiała się zadowolić miejscami stojącymi, choć każdy zapłacił pięć tysięcy dolarów za standardowo ekskluzywny bufet. Ci przynajmniej nie musieli wstawać do owacji. Przy każdym stoliku błyskały flesze; ostro i jasno świeciły telewizyjne jupitery. Rozległ się dźwięk, który Braxton zaczął coraz bardziej lubić i którego oczekiwał z radosnym podnieceniem: szmer krzesel, odsuwanych przez gości, pragnących urządzić mu owację na stojąco.

Generał wrócił do mikrofonu.

- Dziękuję państwu. - Oklaski ucichły, jakby ktoś wcisnął wyłącznik. - Dziękuję, że zechcieliście oderwać się od swoich rodzin i od rozlicznych zajęć, aby stawić się tutaj. Jeszcze raz pragnę podziękować wam za wasz wkład w przyszłość Ameryki. Do widzenia i dobranoc państwu.

Owacja rozgorzała od nowa, kiedy generał pomachał wi-downi, a potem zszedł z mównicy i zniknął w cieniu sceny, wśród płataniny kabli i zwałów składanych krzeseł, gdzie jego ludzie czekali, aby powieźć go na następne spotkanie. Ochroniarze, rozmieszczeni strategicznie w pomieszczeniu odprężyli się na moment, nie tracąc czujności. Braxton skinął im głową.

Dan Gabriel wyłonił się z półmroku.

- Kolejna znakomita prezentacja, panie generale.

- Dzięki, Dan. - Braxton nawykowym ruchem sprawdził, czy mankiety wystają na przepisową długość spod rękawów granatowej marynarki. - Następny punkt programu, o ile pamiętam, wypada po sąsiedzku?

- Zgadza się. Beverly Hilton - odparł Gabriel. Forum Producentów Nanotechnologii. Ma pan zjeść deser i powiedzieć parę słów.

- Beverly Hilton, mówisz? Rzeczywiście niedaleko. Można przejść piechotą. Cały dzień tłukę się tym cholernym samochodem z miejsca na miejsce i powinienem rozprostować nogi.

- Musimy tam być o dziesiątej - Gabriel zerknął na zegarek. - T e r a z jest dziewiąta trzydzieści pięć.

Braxton skinął głową.

- Powiedz, żeby mieli wóz w pogotowiu, na wypadek gdyby wyszło jakieś opóźnienie. Muszę być punktualnie.

- Tak jest. - Gabriel poszedł do szefa ochrony.

Kiedy generał wreszcie skończył poprawiać koszulę, pasek i suwak w rozporoku, i uznał, że prezentuje się jak należy, zawibrowała jego komórka. Zanim odebrał, sprawdził kto dzwoni.

- Braxton, słucham.

- Sir, potrzebuję wsparcia. Sytuacja się skomplikowała.

- Mów.

Słowa Jael St. Clair wzbudziły w nim złość i kazały tłumić gniew, iskrzący w jego głowie pomiędzy biegunami racjo-

nalnego i irracjonalnego myślenia. Niedługo będzie musiał zażyć swój lek.

Ostatnio coraz częściej potrzebował farmakologicznego wsparcia w stresie tej kampanii, która wykańczała go bardziej niż zwykła walka. Podejrzewał, że środek wkrótce przestanie działać na Jael St. Clair, podobnie jak było w przypadku Talmadge'a. Na szczęście nie reagował tak jak oni.

Omiótł wzrokiem kulisy i zauważył, że szef ochrony zmarszczył brwi, słuchając Gabriela. Po chwili mars na jego czołe ustąpił zwykłej, energicznej i zadaniowej minie.

- W niecałe pół minuty byłem przy swoim samochodzie i rozpoczęłam pościg - mówiła Jael. - Ale oni zniknęli.

- Gdzie jesteś? - zapytał Braxton.

- W drodze do Grenady. Zamelduję się tam w motelu, wyładuję graty, zostawię wóz na parkingu w centrum handlowym i wynajmę nowy.

- Rozumiem, że potrzebujesz namiaru na Stone'a?

- Tak jest.

- Moment.

Generał przyciskał klawisze kciukami, szukając telefonu w książce adresowej. Znalazł go szybko.

- Zadzwoń pod ten numer - powiedział, odczytując głośno dwa razy. Jael powtórzyła.

- Dobrze - powiedział. - Odbierze po piątym sygnale. Rozłącz się, jeśli coś było by nie tak. Osoba, która odbierze powie: „czarny granit”. Jeżeli usłyszysz więcej, rozłącz się i zadzwoń do mnie.

- Tak jest.

- Odpowiedz: „kamieniołom”. Ten ktoś będzie wiedział o tobie - nic personalnego. Tyle, że wykonujesz zadanie, jesteś w terenie i potrzebujesz wsparcia.

- Zrozumiałam, szefie. Pięć dzwonek. „Czarny granit”; „kamieniołom”.

- Ta osoba zlokalizuje dla ciebie Stone'a.

Nie czekając na odpowiedź Braxton wcisnął klawisz „end”, patrząc, jak nadchodzi Gabriel.

- Wszystko ustalone - zameldował Gabriel. - Ochrona jest gotowa, ale my musimy już wyjść, jeśli chcemy przejść całą drogę piechotą i nie spóźnić się.

Braxton przez moment w milczeniu przypatrywał się Gabrielowi, oceniając ofiarność, wyczernioną z oczu tego człowieka i spolegliwość, słyszalną w jego głosie. Główny kontrkandydat na prezydenta błyskawicznie podsumował w myśli lata wspomnień, bilans strat i zysków, i po raz kolejny doszedł do wniosku, że w ostatecznym rozrachunku lojalność liczy się nade wszystko.

- Generale? - Głos Gabriela przerwał niezręczne milczenie.

- Jestem gotów - powiedział Braxton. - Właśnie wydarzyło się coś ważnego i chciałbym porozmawiać z tobą o tym.

Jael St. Cair prowadziła uważnie w ciemnościach. Kiedy pojawiał się znak ograniczenia prędkości, stawała się najpowszechniejszym pojazdem na autostradzie. Nie chciała, aby zatrzymał ją policyjny patrol. Sięgnęła po komórkę i wystukała numer, który podał jej Braxton.

Dalej na południe, w jasnym, sterylnym pokoju motelu dla biznesmenów z widokiem na lotnisko w Jackson, ostro, nagłać zadzwonił telefon komórkowy. Na ekranie hotelowego telewizora odtwarzała się kasetą z nagraniem konferencji prasowej policji w Greenwood, dokonanej z ukrytej kamery. Odbiornik połączono kablem z laptopem, ustawionym obok. Nagranie było równolegle przegrywane na DVD.

Telefon zadzwonił po raz drugi. David Brown, były pracownik przynajmniej z pół tuzina anonimowych agencji rządowych, których budżety podlegały praniu przez inne, bardzo znane agencje, wykonywał ćwiczenie izometryczne

numer osiemdziesiąt siedem. Nie ruszając się z miejsca, planowo napinał różne grupy mięśni, nie przerywając swoich zajęć. Telefon sprawił, że podniósł się, przeciągnął swoją wysoką, chudą postać i przeczesał palcami krótko obcięte włosy, szare jak metalowa lufa broni. Zerknął w lustro i jak zwykle zobaczył podłużne, wąskie znamię truskawkowego koloru, wyłaniające się spod linii włosów. Kiedy był młodszy, całkowicie zakrywała je gęsta czupryna. Komórka, jedna z trzech, które woził ze sobą, leżała obok laptopa i właśnie zadzwoniła trzeci raz. Brown jeszcze przez chwilę skupił się na nagraniu. Po raz pierwszy oglądał je w ciągu pół godziny lotu helikopterem na południe od Greenwood. Już wtedy zaintrygowało go coś, co wiązało się z czarnym szeryfem i jego asystentką.

Kolejny dzwonek. Brown zastopował nagrywanie DVD i sięgnął po komórkę. Zaczekał na piąty sygnał i wcisnął zielony przycisk.

- Czarny granit - powiedział.
- Kamieniołom.
- W czym mogę pomóc?
- Info.

Brown, teraz skupiony na obrazie Mulata - zastępcy szeryfa, zatrzymanym w klatce na wideo, usiadł na łóżku i zaczął słuchać, co ma do powiedzenia kobieta po drugiej stronie linii.

Kiedy skończyła, powiedział:

- Tak, mogę ci pomóc. Zadzwoń na ten numer jutro, punktualnie o dwunastej w południe.
- Pieprz się! - J a e l St. Clair znów musiała się zmierzyć ze strategicznie niepożądaną furją, przepalającą jej mózg.
- J u t r o w południe?! Ty zasrany dupku!

Skontrowała kierownicą, bo wóz zatańczył na szosie i usiłowała za wszelką cenę przywrócić swój umysł rzeczywistości. Skupiła się na kontrolowaniu oddychania. Próbowwała wizualizować sobie ostatnie celne trafienie, ostatni triumf,

ale to tylko pogorszyło sprawę. Wiedziała, że musi zabić Stone'a zanim dopadnie ją własna furia.

Bała się, że gniew nią owładnie, więc sięgnęła ręką za oparcie i namacała torebkę. Grzebała w niej gorączkowo, dopóki nie wygrzebała plastikowej buteleczki z ampułkami i nie wytrząsnęła sobie jednej na dłoń. Wsunęła ją do ust i popiła wodą mineralną z butelki.

I czekała. Wreszcie nieznośne gorąco, przepalające jej umysł i ciało ustąpiło, a w głowie zaczął formować się plan.

Musi być ktoś, myślała, a ruch po jej lewej stronie gęstniał coraz bardziej. Zawsze jest jakiś łącznik - ten, który zawsze zaprowadzi do kamieniołomu. Ktoś, kto będzie czuwał, kto poprowadzi. Potem w jej dossier zostanie odnotowany fakt skorzystania z operacyjnej pomocy.

Jael pociągnęła kolejny, głęboki łyk wody i pewnymi ruchami przekładając dłoń na kierownicy, włączyła się do ruchu.

Gdyby to była normalna noc, upiorne wizje, które prześladowały mnie we śnie sprawiłyby, że obudziłbym się nagle, zlany potem. Tym razem jednak ani widok Camilli, Vanesy i Lashonny, ani koszmary ostatnich dni, nie były w stanie przełamać mojej rozpaczliwej potrzeby snu.

Nie miałem pojęcia, jak długo spałem. W każdym razie śniłem, że Jasmina pocałowała mnie delikatnie w usta. W tymże śnie rozebrała mnie do naga, okryła patchworkiem, a potem wślizgnęła się pod okrycie, przylgnęła do mojego boku i tak zasnęliśmy.

52 Pacyficzna bryza chłodziła głowy Dana Gabriela i Clarka Braxtona, kiedy idąc ku Constellation Boulevard, dyskutowali o sprawach najwyższej tajności, podczas gdy motocyklowa eskorta towarzyszyła opancerzonej limuzynie generała.

- Projekt Optymalizacji Wartości Bojowej nadal skłania mnie do myślenia - powiedział Gabriel.

- Mów - rzucił Braxton.

- Xantaeus pozbawia żołnierza wolnej woli bez jego wiedzy, znosi współczucie... neutralizuje strach przed zranieniem.

- Tak samo oddziałuje sama sytuacja walki - odrzekł bez namysłu Braxton. - Tylko dwa procent żołnierzy można zaliczyć do naturalnych zabójców, którzy mają te cechy wrodzone. Nad pozostałymi trzeba pracować. Współczucie i strach stanowią czynniki wykluczające.

- Może wyraziłem się niezbyt precyzyjnie. Główny problem dotyczy wolnej woli. Bez niej żołnierze, pozbawieni zdolności podejmowania moralnych wyborów, zmieniają się za naszą sprawą w nieludzkie, organiczne roboty.

- Nie mów mi o wolnej woli - warknął Braxton. - T e n , kogo paraliżuje strach, kto nie jest w stanie nacisnąć spustu, zostaje odarty z wolnej woli przez irracjonalność własnego lęku. I to właśnie, mój drogi, pozbawia żołnierza decyzyjności i unicestwia czysto moralne decyzje o obronie własnego życia, życia towarzyszy oraz kraju. Pańskie argumenty nie zdają egzaminu.

- Rozumiem pański punkt widzenia, generale, lecz jak ta sprawa wygląda w praktyce? Wie pan równie dobrze jak ja, że bitwa jest wygrana, gdy jednej stronie uda się złamać ducha drugiej. Wtedy wróg poddaje się albo ucieka, zanim zostanie całkowicie zniszczony. To pozwala ocalić ludzkie życia, talent, wiedzę - zasoby, które zaczyna się odbudowywać, kiedy kończy się wojna.

- Lecz w sytuacji, w której obie strony dysponują narkotykiem - ciągnął Gabriel - żadna nie ugnie się i nie podda. Bitwa może zostać rozstrzygnięta tylko wtedy, kiedy każdy żołnierz przegrywającej strony zostanie zabity lub ranny tak ciężko, że nie będzie w stanie nacisnąć spustu. To całkowicie zmienia sposób prowadzenia wojen.

Braxton skwitował jego słowa lekkim skinieniem głowy. Przechodzili na światłach Aleję Gwiazd. Hałas ulicznego ruchu sprawiał, że obaj mężczyźni szli, dotykając się ramionami, aby mogli słyszeć jeden drugiego.

- Dlatego Ameryka musi utrzymać tę sprawę w tajemnicy.

- W przypadku broni atomowej tajemnica nie utrzymała się długo - zauważył Gabriel.

- Dobra analogia, jako że Projekt Optymalizacji Wartości Bojowej zmieni każdego żołnierza w doskonałego zabójcę - broń o wiele straszniejszą niż bomba atomowa. A nie zapominaj, że wzajemne szachowanie się groźbą totalnej zagłady nuklearnej w czasie zimnej wojny przyniosło światu najdłuższy w historii okres pokoju. I pomyśl o tych wszystkich krwawych konfliktach, które wybuchły od czasu upadku Związku Sowieckiego. Kontrolowana proliferacja Xantaeusa powinna zapewnić nam raz jeszcze erę wzajemnie kontrolowanych środków destrukcji i powrót do wymuszonego globalnego pokoju.

- Dan, przecież wiesz, że wkrótce Rosjanie i Chińczycy będą dysponowali własną pigułką pola walki - ciągnął Braxton ze wzrastającym ożywieniem. - Za nimi pójdą Hindusi, Pakistańczycy, Izraelczycy i dynastia Saudów. Jeśli pierwsi nie wdrożymy Xantaeusa, znajdziemy się na ich łasce.

- Tak samo jak z bombą atomową - mruknął Gabriel.

- Albo oni, albo my. Niech to szlag!

- Tak źle i tak niedobrze - przyznał Braxton. - Jeśli nie zrobimy pierwszego ruchu, nakryją nas czapką.

Gabriel powoli pokręcił głową. Zbliżali się do Central Park East.

- Ma pan rację, sir - powiedział. - Absolutną rację. Musimy dosiąść tygrysa, bo inaczej nas pożre.

- Wojna to piekło - ciągnął Braxton. - Zawsze taka była. Dramatyzowanie - podobne jak twoje na temat Xantaeusa - powtarza się za każdym razem, kiedy wprowadzana jest

nowa broń, od łuków i strzał, poprzez broń palną do broni atomowej. Zawsze będzie jakiś tygrys od ujeżdżania. Bówiem gorsze od wojny jest tylko...

- ... przegranie wojny. - Gabriel dokończył ulubione motto generała. - Kolejny raz ma pan rację, sir.

Braxton klepnął go po ramieniu.

- Dlatego będziesz świetnym sekretarzem obrony. Masz umysł żołnierza i świadomość filozofa. Nie ustajesz w stawianiu pytań.

Stanęli na kolejnych światłach. Przed nimi przepływała rzeka aut, zmierzających w kierunku północnym, spiętrzaająca się w oddali przy skręcie w lewo na Santa Monica Boulevard. Zapaliło się zielone i przeszli na drugą stronę razem z obstawą. Limuzyna z motocyklistami posuwała się za nimi. Po kilkunastu krokach Braxton odwrócił się do swojego wiernego adiutanta.

- Dan, skoro już zaczęliśmy rozmawiać o Projekcie, chcę poruszyć jeszcze parę spraw - powiedział.

Gabriel zachęcił go spojrzeniem.

- Popełniono błędy - ciągnął generał. - Poważne błędy. Dowiedziałem się o tym niedawno. Błędy, które zagrażają powodzeniu naszego programu, mojej prezydenckiej kampanii, naszym planom restrukturyzacji armii i - nie będę ukrywał - całej mojej kariery.

- Nie muszę przypominać ci, że bez Projektu Optymalizacji Wartości Bojowej nie ma szans, abyśmy stworzyli siłę bojową, jakiej potrzebuje nasz kraj, dysponując jedynie żałosną jałmużną, którą uszczęśliwiają nas te błazny z Waszyngtonu.

- Tak jest, panie generale. Cały czas mam na uwadze budżet i konieczne procedury. Projekt ma wszelkie szanse na wdrożenie.

- Świetnie. Pamiętaj o tym i potraktuj to jako filtr, przez który przesiejesz wszystko, co ci teraz powiem.

Doszli do Santa Monica Boulevard i skręcili w prawo.

- Dotąd znałeś oficjalną historię Projektu Optymalizacji Wartości Bojowej - powiedział Braxton. - Dzisiaj dowiedziałem się, że w początkach projektu Frank Harper popełnił bardzo poważne, wręcz karygodne błędy.

Zamilkł na moment, pozwalając słowom wybrzmieć w mózgu Gabriela. Nie dostrzegając na twarzy przyszłego sekretarza obrony oznak załamania, kontynuował:

- Harper przeprowadzał nieuprawnione zabiegi chirurgiczne, manipulował wynikami eksperymentów, aby wyglądały bardziej obiecująco, kłamał przed komisjami Kongresu i dostarczał fałszywe raporty swoim zwierzchnikom z Pentagonu.

- I dopiero teraz, po tylu latach, sprawa wychodzi na światło dzienne?

Braxton kiwnął głową i skoncentrował się na pracy mięśni twarzy, nadając jej wyraz troski, pomieszanej z szokiem pełnym niedowierzania. - Zawdzięczam życie jego sztuce lekarskiej, lecz ujawnił też swoje drugie, bardzo dla nas groźne oblicze.

W oddali ukazały się światła na skrzyżowaniu Santa Monica Boulevard z Wiltshire.

- J a k to możliwe? - dążył Gabriel. - Harper był zaangażowany w te prace przed pół wiekiem. Czy czegoś tu nie utajniono? Przecież Projekt Optymalizacji Wartości jest projektem nowym, który co prawda opiera się na dokonaniach Harpera, lecz nie stanowi ich kontynuacji?

- Sprawa nie jest taka prosta. Mamy wrogów w Kongresie i nie tylko, którzy mają w głębokim poważaniu fakty czy racjonalną debatę. Chcą wygrać za wszelką cenę, żeby potem ogłosić triumfalnie „Mamy ich!”.

Gabriel skrzywił się wymownie.

- Święta racja. Każdy błąd to nie jest dla nich zwykłe niedopatrzenie, tylko dowód złowrogiego spisku i najgorszych intencji.

Braxton uśmiechnął się, obserwując tę emocjonalną reakcję. Nadal był panem duszy Gabriela.

- Pamiętaj o tym - rzekł z powagą. - Przez błędy Franka zginęli ludzie i będą umierać następni.

Po czym opowiedział Gabrielowi o Darrylu Talmadge'u, o dwóch czarnych adwokatkach o nazwisku Thompson, o obwieszonym orderami weteranie i o światowej sławy neurofizjologu. Połączył te nazwiska z łańcuchem morderstw, podsuwając Gabrielowi niezbędną dawkę faktów do samodzielnej interpretacji.

- J e d e n z tej czwórki nie żyje. Nie będziemy bezpieczni, dopóki ostatni z nich nie zejdzie z tego świata.

Słowa generała zwały się na głowę Gabriela jak worek z piaskiem. Staął. Braxton zrobił jeden krok, drugi i odwrócił się na pięcie, stając twarzą w twarz ze swoim adiutantem. Wokół nich zatrzymała się obstawa, a za nimi lśniąca limuzyna i jej motocyklowa asysta.

- Generale, proszę wybaczyć szczerłość: czy chce pan powiedzieć, że musimy w tajemnicy zabić jeszcze trzech ludzi, z których jeden jest inteligentnym i bardzo dzielnym żołnierzem?

Braxton przysunął się bliżej do człowieka, którego zdążył już namiętnie namaszczyć na sekretarza obrony.

- Przefiltruj to, Dan. Przefiltruj rzeczywistość przez wszystko, o czym tu mówiliśmy.

- Sir, rozmawialiśmy o zabiciu niewinnych ludzi.

- Niewinni ludzie giną na każdej wojnie, Dan. I brzydci. I źli. Takie jest życie.

Braxton z bliska śledził wyraz twarzy Gabriela i ruchy jego oczu, odbijające kumulujące się za nimi emocje. Generał czekał na właściwy moment, psychologiczny punkt zwrotny. Kiedy nadszedł, przemówił łagodnie:

- Czy pamiętasz, jak analizowało się przypadki okrętów trafionych torpedą czy łodzi podwodnych, które doznały tak poważnych uszkodzeń, że trzeba było odciąć zagrożone sekcje, aby ocalić cały okręt? Mimo iż znajdowała się tam żywa załoga?

Gabriel skinął głową.

Czy w takim razie dostrzegasz - i akceptujesz - tragiczną prawdę, która każe poświęcić te życia dla ocalenia setek innych?

- Sir...

- Musimy podjąć tę decyzję. Jeżeli cokolwiek storpeduje Projekt, zginą miliony. Może nie jutro, ani nie za rok, ale w końcu staniemy twarzą w twarz z wrogiem podrasowanym odpowiednikiem naszego neurotropu, który urządzi rzeź naszym bezbronnym żołnierzom. Chybione dzisiejsze współczucie dla trzech ludzi może nas jutro kosztować życie wielu, gdy będziemy biernie czekać. Jeśli Projekt Optymalizacji Wartości Bojowej zostanie w tej chwili zepchnięty na boczny tor, nie zdążymy w porę wrócić na kurs.

- Chryste! - wykrztusił Gabriel. - Je z u Chryste! - Przesunął dłoń po nagle spotniałym czole. - Musi być jakieś inne wyjście.

- Nie ma. Musimy już działać, jak kapitan statku, który błyskawicznie podejmuje trudne decyzje.

Braxton obserwował rozpacz w oczach Gabriela, patrzył na jego ramiona, przytłoczone ciężarem usłyszanych rewelacji. Nadszedł czas zabijania.

- Dan, gdybym mógł sam się z tym uporać, nie mówiłbym ci tego wszystkiego. Rozumiesz mnie, prawda?

- Oczywiście.

- Potrzebuję t w o jej pomocy. Wyczerpałem już swoje zasoby. - Braxton urwał znacząco. - To zmieni się po elekcji, lecz na razie musimy bazować na tym, co mamy. Jest paru ludzi, którym możemy ufać, są długi wdzięczności, które możemy odebrać.

Gabriel poczuł lodowaty ucisk w żołądku.

- Chcę, żebyś wykonał parę telefonów. Telefonów do ludzi, którzy są oddani tobie tak samo jak ty mnie. Ludzi, którzy podejmą dyskretne, pozakulisowe działania, mające pomóc nam w oczyszczeniu tego bagna, zanim nas wessie.

Braxton czekał. Gabriel skrzywił się i przyknuął oczy.

- To nie jest w porządku - powiedział.

Braxton zignorował ten przejaw sumienia.

- Co powiesz o gościu, który przejął od ciebie dowodzenie Task Force 86M? - zapytał.

- Może i tak jest - odrzekł chrapliwie Gabriel, otwierając oczy. - Ale...

- Ale nic! - uciął Braxton, szybko zmierzając do finału.

- Przede wszystkim myśl o przyszłości Ameryki, a dopiero potem o s w o jej. Wystąpiłeś z wojska. Już tam nie wrócisz.

- Na moment zawiesił głos. - Jeśli nie możesz zrobić tego dla Ameryki albo dla siebie, zrób to dla mnie. Tylko twoja pomoc może mnie uratować od osobistej klęski. Przeszedłeś ze mną niejedno piekło i za każdym razem wychodziliśmy stamtąd wzmocnieni. Zrobiłem wiele dla ciebie i nigdy nie żądałem nic w zamian.

Zapadło długie milczenie, wypełnione odgłosami ulicznego ruchu. Braxton czekał, aż spojrzenie Gabriela wreszcie napotka jego spojrzenie i utwierdzi się w wyrazie niezachwianego poświęcenia. Zatrąbił klakson; strumień aut przyspieszył.

- Tak, panie generale.

- Bardzo dobrze - powiedział Braxton. - J u t r o rano załatw te telefony. Jestem pewien, że więcej niż kilku ludzi ma wobec ciebie zobowiązania.

- Tak, panie generale.

- Porządny z ciebie gość.

53 Jael St. Clair zaciągnęła się chciwie ostatnim, najmocniejszym sztachem marlboro i wypuściwszy dym obserwowała, jak rozplywa się we mgle, którą ją otaczała. I w końcu pozwoliła sobie na pierwszy uśmiech w nowym dniu. Całe godziny zajęło jej

przeglądanie nazwisk i śledzenie ukrytych wątków. Kiedy wreszcie wyprostowała się nad swoim laptopem, знаła już szczegółowe dane z internetowych spisów nieruchomości i ściągnęła archiwalne wydanie „New York Timesa”. Nie potrzebowała już dzwonić do tego aroganckiego dupka, opornego jak granit, gdyż do tego czasu Stone i prawniczka dawno będą martwi.

Odpaliła następny papieros od niedopałka poprzedniego.



Ostatni z policyjnych wozów odjechał niedługo przed świtem. Leżąc na tylnym siedzeniu pikapa, zaparkowanego na tyłach kliniki, Rex przez odbiornik w uchu nasłuchiwał policyjnych krótkofalówek, czekając, kiedy sytuacja się wyklaruje.

Dalej towarzyszył Bradowi i Jasmine do restauracji dla kierowców Sonic, ale kiedy przejechali do jej biura uznał, że nie powinien krążyć zbyt blisko. Zamiast tego przeniósł się od razu pod motel EZ-Sleep, spodziewając się, że Stone w końcu tam trafi.

Nawałnica, która rozpętała się nagle, bębniła seriami o karoserię furgonetki z taką furją, że zaczął się obawiać, czy nie zabije go tornado.

Burza spieprzyła mu do reszty obserwację. Chwilami budynki motelu chował się całkowicie za zasłoną deszczu, zwłaszcza kiedy wysiadł prąd. Reszta otoczenia to pojawiała się, to znikwała w konwulsyjnych rozbłyskach, jak migoczący obraz ze starej kamery przemysłowej z zanikami wizji w najbardziej interesujących momentach. Widział Brada Stone'a, Jasmine i czerwonego mercedesa, tira ze światłowodami oraz białego SUV-a. Grzmot huknął jak wystrzał, przez pole jego widzenia przebiegła wysoka i cycata blondynka, a niedługo potem pojawiła się policja. Z nasłuchu dowiedział się, że gliny mają na celowniku Brada i Jasmine.

- Chłopie, masz przechłapanie - powiedział cicho Rex. — Lepiej pomódl się do Bozi. - Przeczłołgał się na tył furgonetki i znów czekał, czy nie wróci policja. Część ludzi, którzy go znali, uważała jego opowieści o wiszącym nad nim nakazie aresztowania i nieczystej przeszłości za przechwałki. Lecz Rex wiedział z doświadczenia, że kiedy raz łapsy zwęszą twój trop i przestępstwa, które chcesz ukryć, będą strzelać pierwsi, nie zawracając sobie głowy pytaniami.

Rex otworzył okienko z tyłu, wyślizgnął się przez nie na zewnątrz, po czym podszedł do drzwi kierowcy, otworzył je i usadowił się na siedzeniu.

- W mordę, i dokąd oni teraz nawieją? - zapytał głośno, zapuszczając silnik. Z pewnością nie wchodził w grę nikt z rodziny ani ze znajomych. Będą musieli postarać się o nowy wóz i bezpieczne schronienie. Policja wiedziała o tym równie dobrze jak on. Rex miał tylko nadzieję, że zna Stone'a lepiej niż oni.

Wjechał na osiemdziesiątkę dwójkę, kierując się w stronę miasta. Pomyślał, że odtworzenie kolejnych kroków Brada mogłoby mu dać pewne wskazówki.

- Panie Boziu — powiedział, patrząc przez przednią szybę na niebo, jaśniejące blaskiem świtu - wiem, że niezbyt nam dotąd było po drodze. Ale dzisiaj z podziękowaniem przyjmę nawet najdrobniejsze łaski. - To była najbliższa modlitwie forma, na jaką Rex potrafił się zdobyć. I miał nadzieję, że zostanie wysłuchana.

54 Donośne, głucho uderzenia zatrzęsły posadami mojego przepastnego, mocnego snu bez sennych marzeń. Po chwili łomotanie powróciło znów, głośniejsze, szybsze. Wreszcie męski głos:

- Jasmine!

Ocknąłem się gwałtownie. Mgiełka blasku złociła okna, nasycając pokój łagodną mozaiką kolorów. Klucz szczęknął w zasuwie frontowych drzwi.

Usiadłem na łóżku, ciągle jeszcze przeniknięty do głębi serca obrazem olśniewająco czarnych włosów Jasmine i nasyconych ciepłą czerwienią odcieni jej brązowej skóry. A potem przypomniałem sobie moje ulotne senne marzenie i uświadomiłem sobie, że jest czymś więcej niż tylko iluzją. Byłem gotów dalej zachwycać się tą wizją, kiedy donośny męski głos znów zadudnił od wejścia.

- Jasmine?

Szybkim ruchem rozwarła powieki, ukazując oczy w odcieniu fioletowych kwiatów glicynii, w których słoneczny blask nabierał ciemniejszej, intensywnej głębi.

- Mała, jesteś tutaj?

Zbliżające się kroki, poskrzypywanie starych desek podłogi.

Uświadomiłem sobie, że jestem tylko w slipkach. Pochyliłem się i zacząłem macać pod łóżkiem w poszukiwaniu rugera.

- Zostaw. - Jasmine dotknęła mojego ramienia. Zamarłem z wyciągniętą ręką, zacisnąwszy palce na kolbie pistoletu. Zerknąłem na Jasmine i zobaczyłem, że ma na sobie o parę numerów za duży, szary T-shirt z nadrukiem Valley - State, sięgający jej do połowy ud. Dalej była już tylko piękna, gładka skóra.

- Wszystko w porządku. - Usiadła na łóżku.

Nie wykonałem żadnego ruchu, dopóki nie powiedziała:

- Tu jestem, wujku Quincy.

Drzwi otworzyły się. Siedząc obok Jasmine, patrzyłem, jak do pokoju wkracza mężczyzna średniego wzrostu, o jasnokawowej skórze, ubrany w wyszywaną etniczną koszulę i pasującą do niej, wyszywaną czapkę. Jego rysy bardziej przywodziły mi na myśl Vanessę niż Jasmine. Oczy miał bładoniebieskie. Widok tej twarzy dotknął w mojej pamięci

czegoś, co zachowało się jedynie jako odczucie, a nie wspomnienie.

Raz w życiu spotkałem tego człowieka. W Jackson, w czasie bożonarodzeniowego przyjęcia, które dla mnie i Vanesy stało się końcem czegoś, co tak naprawdę nawet się nie zaczęło. Quincy Thompson był synem Ala Thompsona, bratem Vanessy i wujem Jasmine.

Popatrzył na Jasmine, potem na mnie. Trzy lub cztery razy jego wzrok wędrował od jednego do drugiego i za każdym razem oblicze Quincy'ego zastygało coraz wyraźniej w maskę wściekłości, przez którą mimo woli jeżyły mi się włoski na karku.

- Chcesz być dziwką białasą, jak twoja matka? - zaatakował. - Miała czarną gadkę, a pieprzyła się na białą, jakby nie wystarczyli jej nasi chłopcy.

- Wujku Quincy...

- Daruj sobie tego wujka! Gdzie duma ze s w o jej rasy? Gdzie lojalność? Tak cholernie wstydzisz się s w o jej czarnej skóry, że chcesz mieć jasnoskórego dzieciaka?

- To już nie te czasy, wuju Quincy. - T o n głosu Jasmine stał się beznamiętny i kategoryczny. Szybko wysunęła się z łóżka i stanęła twarzą w twarz z Quincym Thompsonem. Była od niego wyższa o dobre parę centymetrów, nawet bosso. Miała silne nogi łyżwiarki o wyrobionych mięśniach, uwyrażniających się przy każdym poruszeniu.

- Unieszczęśliwiłeś moją mamę, lecz nie pozwolę, abyś to samo zrobił z moim życiem. - J a s m i n e przemawiała spokojnie, a w jej głosie pobrzmiwała stalowa nuta, która sprawiła, iż podziękowałem Bogu za to, że nie musiałem mieć jej za przeciwnika w sądzie, czy w innej sytuacji.

- Dziecko, bądź wierna s w o jej rasie - upomniał ją z powagą Quincy.

- Będę wierna samej sobie - odrzekła — a nie jakimś prehistorycznym przesądom, według których czarne kobiety są wyłączną własnością czarnych mężczyzn.

- Pyskata jesteś, dziewczyno. Ale to nie uchroni cię przed gorączką dżungli białych mężczyzn. - Quincy rzucił mi spojrzenie szybkie jak cios, rozpalone do białości furia. Zabolało mnie tak samo, jak to, którym poczęstował mnie pewien detektyw z Los Angeles, Darius Jones. Gniew wezbrał mi w piersi, ale zdawałem sobie sprawę, że cokolwiek bym powiedział, zwiększyłoby tylko jego furie.

- Moje życie należy do mnie, wuju Quincy. - Chłodny głos Jasmine uśmierzył mój gniew i pomógł zrozumieć, że już wcześniej musieli prowadzić podobne dyskusje. - Nie pozwolę czarnym mężczyznom panować nad sobą, tak samo jak nie pozwolę, aby biali mężczyźni mówili mi, co mam robić. Nie mam zamiaru zamieniać jednej formy ucisku na drugą.

Quincy Thompson otworzył usta, lecz zamknął je, zanim zdążył powiedzieć cokolwiek. Przez długą chwilę patrzył na Jasmine.

- Popełniasz ogromny błąd, wpuszczając między nogi tego białego plantatorskiego synalka - rzucił wreszcie, odwracając się na pięcie i ruszając do wyjścia. W progu zatrzymał się i wyłuskał z kieszeni spodni jasnoróżową karteczkę.

Przez chwilę trwał w bezruchu i słyszałem jego wysiłony oddech.

- Przyszedłem z powodu tego. - Cisnął kartkę i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi z taką siłą, że zadzwoniły szyby w oknach.

Kiedy papierek sływał na podłogę, starannie unikaliśmy z Jasmine kontaktu wzrokowego. Opadł zapisaną stroną do góry. Był to najwyraźniej numer telefonu. Na zewnątrz gwałtownie zawarczał silnik i samochód odjechał z wizgiem opon na żwirze.

Jael St. Clair, uzbrojona w snajperski karabin M21 z dzienną lunetą Leupolda, przedzierała się przez poszycie równoległe do drogi, stabilizując swoje kroki aluminiowym,

składanym kijkiem do chodzenia. Przystanęła, żeby nabrać oddechu i z przekleństwem wypuściła powietrze. Powinna teraz jechać nową, wynajętą toyotą SUV tą wąską drogą z głębokimi koleinami, lecz obawiała się, że nawet napęd na cztery koła nie pomoże w tym terenie.

Obejrzała się do tyłu, ale w gęstej mgłę nie widziała prawie nic. Stuprocentowa wilgotność powietrza w połączeniu z chłodnym frontem, którego nadejście wywołało wczorajsze tornada i burze w Delcie, wytworzyła tuman gęsty jak wata i tak nieprzenikniony, że chwilami widać było tylko tył następnego wozu. Na autostradzie 82 dawno nie zdarzyło się tyle wypadków. Na szczęście Quincy Thompson prowadził jak stara baba.

Jael przeklinała mgłę. Przez nią musiała zbliżyć się do swoich celów bardziej niż chciała. Trudno, misja musi zostać wypełniona. Przedzierała się przez poszycie, zadowolona, że mgła gęstnieje w miarę jak przybywa drzew.

Płuca piekły ją; skutki palenia coraz bardziej dawały znać o sobie, a brak snu wywoływał zawroty głowy. Jednak nowy plaster już robił swoje. Zaś zdwojona dawka tabletek prawie całkiem stępiła ostrze jej furii oraz przydała niewzruszonej pewności i spokoju dłoniom, oczom i myślom. To niepokoiło ją nieco. Stary doktor, który pracował dla generała i przez ostatnie sześć miesięcy ustalał dla niej optymalną dawkę powiedział, że jest to naturalny objaw i nie powinna się martwić. Będzie musiała mu jednak powiedzieć, że potrzebuje kolejnej korekty.

Jael przedzierała się przez podmokły grunt, zarośnięty wysoką do kolan trawą i samosiejkami, stanowiącymi idealne schronienie dla przepiórek i żmij miedzianek. Wypłoszyła już jedno stadko ptaków, a węże nie obchodziły jej. Poranne powietrze drżało od ptasich treli, rechotów przedrzeźniaczy i skrzeków sójek. Warkot samochodu Quincy'ego Thompsona, dochodzący od strony osiedla chat, znów przybrał na sile.

Przyklękła w krzakach, zsunęła z ramienia M21, zdjęła osłony z lornetki i spojrzała przez nią. Za welonem mgły wypatrzyła gniewną, czarną twarz. Śledziła ją, dopóki nie rozplynęła się w oddali.

- Bang - powiedziała miękko, zakładając osłony i ponownie ujęła M21. Znieruchomiła na moment i skupiła się na nasłuchiowaniu. Od chwili, kiedy wysiadła z samochodu, ciągle słyszała słabe szmery, lecz nie kojarzyły się jej z niebezpieczeństwem. Okoliczne lasy były pełne ptaków, saren, oposów, szopów i setek innych dzikich stworzeń. To ich odgłosy słyszała, odfiltrowane teraz z tła poszumu drzew i ptasiego gwaru.

Upewniwszy się co do tego, otworzyła oczy i kontynuowała marsz ku kawałkowi ziemi i domostwu, którego istnienie odkryła w trakcie internetowych poszukiwań Quincy Thompsona.

55 Jasmine stała tyłem do mnie z przygarbionymi ramionami, wpatrując się w świstek różowego papieru. Oddalający się odgłos wozu Quincy'ego milkł, pozostawiając nas w napiętej ciszy, ciężkiej od dawnych uprzedzeń i współczesnych urazów. Chciałem prześlizgnąć się ponad nimi, lecz insynuacje Quincy'ego każały mi się zastanowić nad własnymi motywacjami.

Krzyk przedrzeźniacza w drzewach przełamał ciszę i oczyścił atmosferę.

- To od Jaya Shankera - powiedziała Jasmine, nadal tyłem do mnie. - Adwokata Talmadge'a. - Pamiętam.

Odwróciła się ku mnie, prostując ramiona. - Chce dziś przed południem spotkać się w swoim biurze.

Jej ton był totalnie biznesowy, a spojrzenie pełne dystansu, jakiego jeszcze u niej nie widziałem. Quincy nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ją wzmocnił.

- Zostawił numer telefonu. Napisał, że trzeba zadzwonić dokładanie o jedenastej. Urwała na moment, a kiedy przemówiła znowu, jej głos nabrał ciepła. - To dziwne. Píše, że muszę zadzwonić do jego biura za wszelką cenę. Dziwny facet. - Jasmine pokręciła głową, przechodząc do frontowego pokoju. - Dlaczego nie zadzwonił na moją komórkę?

Skorzystałem z okazji i ubrałem się w granatową koszulkę polo oraz traperskie szorty do kolan z wieloma kieszeniami.

- Jasny gwint! - zaklęła, gdy odwrócony plecami do drzwi, upychałem koszulkę w spodenkach i zapinałem suwak. - Bateria mi siadła.

- Sprawdzę swoją. - Spod zielonych lekarskich kitli wygrzebałem plastikową szpitalną torbę, a z niej telefon. Włączyłem przycisk.

- To samo. - Popatrzyłem na Jasmine. Mój niepokój zaczął narastać, kiedy pomyślałem o Camilli i o tym, czy Flowers oddzwoni. - Ale czekaj, w torbie mam ładowarkę.

Jasmine pokręciła głową.

- Na nic. Zgrzebne życie mojej mamy, pamiętasz? Zero elektryczności, zero telefonów.

- Koszmar.

Przez chwilę słuchaliśmy przedrzeźniacza.

- Nie wiem jak ty, ale ja nie przeżyję tego poranka bez kawy - odezwała się Jasmine. - Napijesz się?

- O, jasne.

- Okay, ale jak zwykle tutaj, musisz sobie na nią zapracować. - Posłała mi uśmiech Mony Lizy i gestem zaprosiła do frontowego pokoju. Ruszyłem tam, upychając po drodze w kieszeniach szortów portfel i resztę rzeczy. Jasmine kłęzczała już przy palenisku w rogu.

- Na werandzie powinny leżeć suche szczapki.

Wyszedłem na zewnątrz i wziąłem parę drewek ze stosu. Wybrałem najmniejsze, sprawdzając, czy mają zaschnięte, żywcze krople. Sosna dymi, ale daje ostry, gorący ogień,

potrzebny do szybkiego zagotowania wody na kawę. Ode-rwałem sporą grudę zaschniętej żywicy i rozgniotłem ją ob-casem, po czym zgarnąłem rozdrobnione grudki, dobra-łem parę drobnych sosnowych gałązek na rozpałkę i razem z drewnem zaniósłem do domu.

Kiedy wróciłem, Jasmine nalewała wodę mineralną z bu-telki do starej, pogiętej puszkii z dorobioną rączką z drutu. Obok na blacie z desek stała torebka kawy ze Starbucksa i ręczny młynek.

- Lepsze to, niż mulista woda ze strumienia i mielona cykoria - skomentowałem, składając swój ładunek przy pie-cyku. Jeszcze nigdy nie przyszło mi rozpałać ognia w czymś takim.

- Tu - poinstruowała mnie Jasmine. - Podnieś górę i włóż drewno.

- Mama była straszną kawiara - ciągnęła, wkładając stoż-kowaty, papierowy filtr w naczynie do kawy. - To jedna z rzeczy, które po niej odziedziczyłam.

Słuchając jej, zdjąłem z wierzchu piecyka ciężką, żeliwną, okrągłą pokrywę. Ułożyłem na jego dnie podkładkę z gałązek, posypałem je żywicą i na tym spiętrzyłem stosik drewek.

- Czarni mężczyźni naprawdę nienawidzą czarnych kobiet, które odniosły sukces - powiedziała Jasmine bezna-miętnym tonem. Milczałem, pochylony nad swoim zada-niem. - I wytaczają przeciwko nim najcięższą artylerię. Sądzę, iż wujek Quincy zdaje sobie sprawę, że jest nie z tej epoki, ale jest też za stary, żeby zmienić swoje myślenie.

Sięgnąłem po pudełko długich kominkowych zapałek, leżące obok piecyka. Starannie unikałem spoglądania w jej stronę. Chciałem, żeby nie przestała mówić.

- Moja babcia naprawdę cię lubiła - powiedziała Jasmi-ne, kiedy zapaliłem zapałkę, wstrzymując oddech, aby nie wdychać dymu. - Ale była tylko kobietą, a mój dziadek i wuj Quincy tępilli ją.

- Nigdy tego nie zapomnę - mruknąłem, dotykając żywicy płomykiem. Momentalnie złapała ogień. Wyprostowałem się i zdmuchnąłem zapałkę.

- Mama zwierzyła się mi, że zawsze marzyła, abyś wszedł przez te drzwi i wziął ją.

- Cholera. - Bolesnie przełknąłem ślinę, odgradzając się od dawnych, bolesnych wspomnień. Głęboko nabrałem powietrza. - Myślałem, że ona pojmuje kontakty z białymi w ten sam sposób jak Quincy i twój ojciec. - Zwolna pokręciłem głową. - Nie miałem pojęcia, co robić. Najmniejszego.

Jasmine uśmiechnęła się i znów zajęła kawą.

Sosnowa żywica, gałązki i drwa rozgorzały jasnym, wysokim płomieniem. Zakryłem górę piecyka okrągłą pokrywą i Jasmine postawiła na niej puszkę z wodą.

- Zjemy coś? - zagadnęła, podchodząc do prymitywnej niemalowanej szafki. Wyjęła stamtąd pudełko wypełnione ekologicznymi batonikami z różnymi rodzajami ziarna i postawiła je na stole z blatem z szerokich sosnowych desek, oznaczonych śladami wieloletniego użytkowania.

- Większość jest dawno po terminie - powiedziała, podsuwając mi pudełko. - Ale te rzeczy praktycznie się nie starzeją.

Wybrała batonik, odpakowała go i nadgryzła.

- Chyba nie jest trujący.

Grzebałem w pudełku, nasłuchując jak w puszcze zaczyna szumieć woda. Zdecydowałem się w końcu i odpakowałem swój batonik.

Jasmine podeszła do swojego bagażu i wróciła z dużą kopertą, w której rozpoznałem część dokumentów Lashonny, zabraną przez nas poprzedniej nocy. Wypadła z niej płyta CD w przezroczystej plastikowej okładce, która rozpadła się na dwie części, uderzywszy kantem o podłogę. Płyta potoczyła się po deskach.

- Cholera! - Jasmine cisnęła kopertę i złapała toczący się krążek. - Czasami mam dwie lewe ręce. - Pomogłem jej

zebrać i złożyć kopertę, a potem poszedłem po mojego laptopa.

Mieszany zagajnik sosnowo-dębowy z każdym powiewem wiatru strząsał z siebie resztki ulewy z poprzedniej nocy, opryskując Jael St. Clair, zataczając szerokie koło w poszukiwaniu dogodnego miejsca do strzału, z którego mogłaby mierzyć w ścieżkę pomiędzy frontonem domu, a zaparkowanym przed nim czerwonym mercedesem.

Szybko ustaliła właściwy kąt i cofnęła się w prostej linii od chałupy. Zatrzymała się w miejscu, które wydało się jej dogodne, lecz kiedy popatrzyła w tył, przepływające tumany mgły co chwila zasłaniały jej widok. Cofnęła się jeszcze i trafiła na płytkie wgłębienie terenu, obramowane sosenkami. Wyjęła laserowy dalmierz i oceniła odległość na trzydziści trzy metry. Nie będzie to klasyczny snajperski strzał, ale nieważne. Interes jest interesem. Spojrzała przez lornetkę i wyostrzyła obraz. Następnie wbiła swój aluminiowy kijek w ziemię, rozmiękkłą po deszczu. Utkwił w niej głęboko, stabilnie.

Uniosła broń, uklękła przy kijku i uchwyciła go od góry lewą ręką, następnie oparła na niej karabin, przyciskając go kciukiem do tyczki. Na koniec przyłożyła policzek do kolby i popatrzyła przez lunetę wzdłuż lufy, na ścieżkę, którą Stone i adwokatka będą musieli przejść, idąc do mercedesa.

Jael St. Clair przysiadła na piętach i czekała. Marzyła o papierosie, ale wiedziała, że dym może ją zdradzić.

Usiadłem z Jasmine przy stole. Piliśmy kawę, w milczeniu przeglądając katalog za katalogiem z płyty Shankera, przewijający się na ekranie laptopa.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziałem.
- Mówiłeś to już setki razy, albo i więcej.

Płyta zawierała tysiące medycznych kartotek, dokumentów administracyjnych, raportów z eksperymentów, map,

diagramów i fotografii. Pierwsza w kolejności była nota z nagłówkiem kancelarii Jaya Shankera, informująca, że wszystkie dokumenty zostały przeniesione z mikrofilmu na CD. Mikrofilm został ocalony przed dziesiątkami lat ze splądrowanych ruin dawnego tajnego wojskowego ośrodka medycznego, działającego na terenie obozu jenieckiego nieopodal Belzoni. W nocy wyjaśniano następnie, że archiwa uratował klient kancelarii, Darryl Talmadge, przewodnik myśliwski, który zorganizował polowanie na kaczki na pobliskich moczarach. Jednak klient nie przybył i Talmadge spędził cały ranek, rozkopując ruiny. Pod stertą zniszczonych przez termyty belek i podłóg natrafił na sejf, który zapadł się pod własnym ciężarem, przebijając uszkodzone podłoże.

Talmadge zostawił znalezisko i wrócił z palnikiem tleno-acetylenowym. Bez trudności rozpruł skorodowany sejf i odkrył, że przeciekająca do wnętrza woda zniszczyła większą część jego zawartości. Ocalały głównie wodoszczelne pojemniki z mikrofilmami, które zabrał i złożył w swoim garażu, obiecując sobie, że kiedyś znajdzie czas, aby je przejrzeć.

Mikrofilmy przez siedemnaście lat przeleżały nietknięte w garażu Talmadge'a.

W trakcie jedynej bezpośredniej rozmowy, jaką Shanker odbył z Talmadge'em - zanim jeszcze wojsko zdążyło przejąć sprawę - prawnik zorientował się, że klient wraz ze swoimi mikrofilmami może być bardzo użyteczny.

Jasmine oparła się na moim ramieniu, aby lepiej widzieć ekran laptopa, na którym przeglądaliśmy dziesiątki dokumentów, aby ocenić wagę tego, co dostaliśmy.

- Ten cały Frank Harper na początku jawi się jako święty, a kończy jako potwór - powiedziała Jasmine.

Potrząsnąłem głową.

- Sądzę, że przez cały czas jest sobą. Tyle, że pozwolił, aby zafascynowała nim własna, nienasycona ciekawość tego, co czyni nas ludzkimi, dobrymi, złymi... tymi, kim jesteśmy. Zmagał się z wielkim zagadnieniem o bardzo poważnych

konsekwencjach. Choć przypuszczam, że z początku pragnął jedynie zbadać ciekawe przypadki w stylu Phineasa Gage'a. - Urwałem na moment. - Kiedy tylko będę miał wolną chwilę, chciałbym przeczytać jego esej o etyce, wolnej woli, zbrodni i karze. Jest naprawdę głęboki.

- Zgoda, zatem zaczyna badania, powodowany czysto naukową ciekawością, aż ktoś w Waszyngtonie wyczuwa wiatr i zaczyna pompować w niego ogromne pieniądze - podsumowała Jasmine. - Czy to twoim zdaniem sprawiło, że przekroczył barierę? Że przeszedł od badania i leczenia przypadków ludzi z urazami głowy do świadomego tworzenia urazów głowy w celu uzyskania lepszych żołnierzy? A potem do środków chemicznych?

- Dokładnie tak.

- Zaś fakt, iż twój własny rząd twierdzi, że potrzebuje twoich badań, pozwala ci zracjonalizować swoje postępowanie.

- Tak, to bardzo ważny czynnik. Bardzo.

Ostatnim dokumentem na płycie była końcowa nota firmowana przez Jaya Shankera, informująca o zawartości drugiej CD, dotyczącej wyłącznie osoby Clarka Braxtona. Owa płyta oraz oryginalna uzupełniająca dokumentacja obu płyt może zostać udostępniona pod dwoma warunkami: jeżeli Vanessa Thompson włączy się do obrony Talmadge'a i wciągnie mnie zespołu.

- Shanker i mama byli zgodni, że jesteś jedynym ekspertem, potrafiącym wiarygodnie ocenić zawartość tych kartotek - wyjaśniła Jasmine.

- Nie rozumiem, dlaczego Shanker nie poszedł z tym do władz? - zastanawiałem się.

- Owszem, poszedł.

- I co?

- Powiedział o sprawie sędziemu - wyjaśniła. - I dosłownie po paru godzinach zaczęli za nim chodzić i pojawiły się groźby. Wtedy trafił do mamy. Nie bardzo miała ochotę

w to wchodzić - aż do następnego dnia, kiedy to biuro Shankera, jego dom, jego turystyczny samochód i nawet szałas myśliwski zostały dokładnie przegrzebane.

- J a k to się stało, że nie znaleźli mikrofilmu?

- Moim zdaniem Shanker przeraził się tego, co przeczytał i ukrył wszystko, zanim poszedł do sędziego.

- I nie wiemy, gdzie ukrył.

Jasmine otworzyła usta, aby mi odpowiedzieć, gdy z dala dał się słyszeć szurgot opon na żwirze.

- Quincy wraca? - domyśliłem się.

Jasmine zmarszczyła brwi.

- Wątpię.

- W takim razie kto?

Rozłożyła ręce. Jednym skokiem znalazłem się w sypialni i chwyciłem rugera. Jasmine wyszarpnęła swojego z torbki i przypięła z kaburą do paska.

- Idziemy! - powiedziała, biegnąc do tylnych drzwi. Otworzyła zasuwę i zanurkowała w gąszcz winorośli, zielska i samosiejek. Wskoczyłem za nią bosy.

56 Jael siedziała w kucki, czekając. Instruktor powiedział jej kiedyś, że ma cierpliwość pająka. Porównanie pochlebiało jej.

Kiedy usłyszała zbliżający się samochód, natychmiast skierowała lornetkę w tamtą stronę. Zanim jednak zdążyła namierzyć obiekt, Stone i prawniczka wyskoczyli z tylnych drzwi budynku i zaszyli się w gąszczu kudzu, który kłębił się za domem jak fala zielonego przyboju z pianą z białej mgły.

Odgłos silnika narastał. Jael z pomocą lunety starannie skanowała ścianę zieleni. Trudno było wysledzić ruchy uciekinierów w masie liści poruszanych wiatrem i ciągle zasłanianych pasmami mgły. Kiedy zaczęła rozważać, czy nie wsz-

czać pościgu, z białego tumanu wyłonił się jasnoniebieski Chevrolet pikap, starszy model. Na pace stał motocykl, przytwierdzony żółtymi pasami.

Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, skierowała lornetkę na kabinę kierowcy i zobaczyła Mulata w mundurze.

- Kurwa - zakłęta pod nosem. Brakowało jeszcze do kompletu prowincjonalnego policyjnego dupka!

Tylko spokojnie, Jael, upomniała się w myśli. Czy więcej policji jest w drodze? Dlaczego ten przyjechał cywilnym wozem? Pikap skręcił przed domem i zniknął jej z oczu. Jael uznała, że znajduje się zbyt daleko od miejsca akcji, aby podjąć właściwą decyzję. Chwyliła M21, musnęła H&K-4, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i zaczęła się przemieszczać. Nagle Stone z prawniczką wychynęli z gąszczu. Kobieta szła do przodu; Stone przystanął jak grzeczny cel.

Jael przykłęta, ustabilizowała karabin na aluminiowej tyczce i ustawiła krzyż celownika na głowie Stone'a. Prawniczka krzyknęła coś, czego Jael nie rozumiała z tej odległości. Snajperka nabrała powietrza, wypuściła je powoli i odwiodła spust.

- J o h n ! - J a s m i n e bez wahania pobiegła do samochodu. Zwlekałem z tyłu, niepewny, co robić.

- Chodź! - ponagliła mnie. - J e s t okay.

Wziąwszy pod uwagę, że miałem do wyboru jedynie ucieczkę boso, wolałem pobiec za Jasmine.

Jael wciągnęła oddech przez zaciśnięte zęby i zdjęła palec ze spustu. Pokręciła głową, zacisnąwszy powieki, próbując opanować kipiący w niej gniew. Szlag! Teraz będzie musiała ogarnąć dwa wozy. I jeszcze kolejny uzbrojony facet.

Wepchnąłem rugera do głębokiej kieszeni szortów i szedłem o krok z tyłu za Jasmine, podchodzącej do pikapa. Myers wysiadł z auta z poważną, zafrasowaną miną.

- Przyjechałem, żeby was ostrzec. - Popatrzył na mnie, a potem na Jasmine. - Wydano nakazy aresztowania.

- Nakazy? - powtórzyła. - Więcej niż jeden?

Myers zrobił minę, jakby rozboleł go żołądek.

- Tak. Na was oboje.

Staliśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu, wsłuchani w głosy ptaków. Nagle moją uwagę zwrócił dziwny odgłos w lesie przed domem. Odwróciłem się w tamtym kierunku i zacząłem nasłuchiwać. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że mój niepokój wywołał nie odgłos, lecz brak odgłosów. Ptaki chwilowo zamilkły.

- Brad? - Jasmine popatrzyła na mnie.

W tym momencie ptaki znów się odezwały. Potrząsnąłem głową.

- Wydawało mi się, że coś słyszę - odparłem. - Może to sarna.

Jasmine zwróciła się do Myersa.

- Kawy?

- Nie ma czasu - powiedział nerwowo.

- Lepiej pomyślmy teraz, jak najlepiej zużytkować czas, którego nie mamy - skontrowała Jasmine. - Kawa jest gotowa - dodała, kierując się w stronę kuchennych drzwi. Myers zawahał się na ułamek sekundy, a na jego wargach zaczęła się formować odpowiedź. Jednak znieruchomiały i w milczeniu ruszył za nią. Ubezpieczałem tyły, zwalniając, aby jeszcze raz przyjrzeć się lasowi.

Wszedłem do środka za Johnem i Jasmine. Myers ogarnął spojrzeniem łóżko w kuchni, zarzucone naszymi ubraniami.

Obserwowałem, jak we frontowym pokoju patrzy na drugie, z rozrzuconą pościelą. Usztyniłem się wewnętrznie, gotów na powtórkę występu Dariusza czy Quincy'ego, lecz nic takiego nie nastąpiło.

- Miejscowy nakaz dotyczy zabójstwa w motelu EZ - Sleep dwóch pracowników firmy, produkującej kable optyczne

- oznajmił Myers, siadając przy stole sztywno jak ktoś, kto sforsował mięśnie... albo sforsował się w życiu, które kazało mu biec za szybko i za długo.

Stałem, oparty o blat, nie wiedząc, czy mam siadać, czy nie. Jasmine odłożyła swoją broń na szafkę, aby nalać mu kawy.

Myers zaczął mówić, patrząc na nią.

- Masz nakaz aresztowania, gdyż twój mercedes zauważono przy E Z - Sleep. - Przeniósł spojrzenie na mnie. - Ty - bo miałeś tam pokój. Poza tym detektywi znaleźli przy jednym z zabitych włos jako dowód, wskazujący na ciebie.

- Niech to szlag!

- Czekaj - potrząsnął głową. - To jeszcze nie wszystko.

Jasmine nalała kawy do kubka i podała mu. Upił łyk i uśmiechnął się.

- Wydano również federalne nakazy aresztowania, ważne poza Kalifornią, również na was oboje. - Upił następny łyk i popatrzył na mnie. - J e g o zaczerwienione oczy i opuchnięte powieki błagały o sen.

- Twierdzą, że jesteście zamieszani w operację przemytu narkotyków.

- C o ?

- Nie wierzę w ani jedno cholerne słowo - stwierdził Myers.

- Ale...

- Nie ma czasu. - J o h n przymknął oczy i pokręcił głową.

- Nie będę słuchał, co macie do powiedzenia. - Otworzył oczy i powiódł po nas zmęczonym spojrzeniem. - Za to wy powinniście mnie wysłuchać, gdyż to, co wam powiem, powinno pomóc wam przeżyć z dala od więziennych krat - tak długo, aż ujawni się prawdę.

- Wal - zachęciłem, podchodząc do piecyka, aby podzielić się z Jasmine resztką kawy.

Nieprawdopodobne sprawozdanie Myersa upuściło powietrze z mojego balonu. Usiadłem, słuchając jak przekazuje wiarygodną historyjkę, sprytnie skrojoną, aby pasowała

do ataku na "Jambalayę". Kiedy doszedł do sprawy mojego rzekomego współudziału w śmierci Chrisa Nellisa, zatkało mnie ze zdumienia.

- Co za cholerne gówno - skomentowała Jasmine. W jej słowach brzmiała hamowana furia.

- Rozumiem - powiedział łagodnie Myers. - Ale musiałem wam to powiedzieć, abyście wiedzieli, co wam grozi i zdołali znaleźć wyjście z tego bagna.

- Dlaczego to robisz? - zapytałem. - Przecież ryzykujesz, pomagając nam.

Moje słowa sprawiły, że Myers na moment zapatrzył się w siebie i uśmiechnął, jakby zobaczył tam coś zabawnego. Jego spojrzenie bardzo długo wzięło mój wzrok. Przed domem znów umilkły głosy ptaków.

- Bo tak należy zrobić - rzekł. - Bo jestem to winien Vanessie; temu, o co walczyła, co zrobiła. - Popatrzył na Jasmine. - I dlatego, że potrzebujemy Jasmine, aby przejęła jej dzieło.

Na chwilę opuścił głowę i zapatrzył się w swój kubek. Upił łyk, a potem znów spojrział na mnie.

- Ta sprawa śmierdziała jak cholera od pierwszego dnia, kiedy raport o niej pojawił się na moim biurku - rzekł w końcu. - Wszystko jest tam zbyt oczywiste, toteż potraktowałem fakty z podwójną uwagą. I szybko doszedłem do wniosku, że Talmadge był sterowany.

Patrzył na mnie dalej.

- Jestem tylko prowincjonalnym, niemłodym szeryfem z mało komu znanej dziury. I oto nagle pojawiają się w moim biurze fajni chłopcy w drogich garniturach i kładą mi na biurku grubą teczkę. Jest moda na zbrodnie popełniane z nienawiści, z zimną krwią. Świetnie się sprzedają w prasie. Dobra nowina dla wszystkich. Dobrze robi na samopoczucie. Sprawiedliwość triumfuje. - Potrząsnął głową. - Przynieśli mi to, bo parę lat temu uziemiłem pewnego starego wyjadacza z Ku-Klux-Klanu.

- Ale ta cała historia była zbyt zwarta, nie miała żadnych luk - ciągnął. - Nie zdarza się coś takiego, chyba, że ktoś zadbaje o sfabrykowane dowody... A raczej zdarzyło się tylko na papierze, w teczce, którą mi dostarczyli. - Skończył i z westchnieniem dopił kawę.

- Mogę jeszcze zaparzyć - zaproponowała Jasmine.

- Nie, dzięki. - Wstał i zerknął przez okno na swoje auto. - Ci na górze złapali to, gotowi szybko upiec swoją pieczeń. Ja chciałem przyjrzeć się dokładniej sprawie. Powiedzieli: „nie”. Zależało im na skazaniu i rozgłosie. - Odwrócił się ku nam. - Wobec tego siedziałem cicho, dopóki Federalni nie wstrzymali procesu. Wtedy usiadłem i napisałem list do Vanessa Thompson, w którym opisałem wszystko, co moim zdaniem w tej sprawie śmierdziało.

- Czternaście stron - dodała Jasmine. - Z pojedynczym odstępem.

Aż gwizdnąłem.

Myers zbagatelizował mój podziw machnięciem ręki.

- To była tylko opinia. Moja. Nie liczyłem na żaden cholerny dalszy ciąg. - Podeszedł do frontowego okna.

- Potrzebujecie czegoś innego niż ta strażacka bryka. - Pokazał na czerwonego mercedesa. - Te g o już szukają. - Odwrócił się do mnie. - Pożyczę wam coś lepszego. Jest u mnie na skrzyni - dodał, widząc moje pytające spojrzenie. - Motocykl. Mocny, szybki, w razie czego łatwy do porzucenia. - Zerknął na zegarek. Wstał, podeszedł do drzwi wyjściowych i otworzył je.

- Mam rampę. Pomożecie mi go zdjąć.

Dołączyliśmy do niego przy samochodzie. Otworzył drzwi od strony kierowcy, wyjął plastikową reklamówkę i podał mi. Były w niej dwie gotowe kanapki w białym papierze, dwa kartony czekoladowego mleka i dwie komórki.

- Musicie się posilić przed wielką ucieczką - uśmiechnął się. - Komórki są na karty, nie namierzają ich. Już naładowa-

ne. Handlarze narkotyków uwielbiają takie. Fedzie tylko czekają, żebyście zadzwonili ze swoich aparatów.

- Fantastyczny z ciebie facet - powiedziałem.

Jasmine uścisnęła go serdecznie.

Jael wyczołgała się ze swojego pierwotnego stanowiska i pełzła do przodu, korzystając z osłony krzaków, które zastąpiły drzewa, wyznaczające krawędź lasu. Mgła nie ustępowała i uznała, że musi skrócić dystans do strzału. Przesunęła się o kilka metrów i znieruchomiała, nasłuchując. Skrzywnęły otwierane drzwi, dały się słyszeć głosy. Powoli, czujnie uniosła głowę i zobaczyła szeryfa, idącego przez werandę do swojego wozu.

Znów ruszyła do przodu, kiedy niespodziewanie para kuropatw przebiegających w wysokiej trawie zatrzymała się o kilka cali od jej twarzy. Jael znieruchomiała, wstrzymując oddech. Chwila przedłużała się. Jeśli w tak spokojny poranek ptaki nagle poderwą się z szumem do lotu, zdradzają kryjówkę. Kuropatwy wolą biegać na nogach i używają skrzydeł tylko w momentach nagłego zagrożenia. Stone zapewne o tym wiedział.

Coś szcęknęło, a potem łupnęło i zadudniło, jakby odblokowano i opuszczono klapę furgonetki. Jael już miała rzucić się w przód, kiedy kuropatwy zawróciły i odbiegły, znikając w wysokiej trawie.

Dała im jeszcze parę sekund, a potem ostrożnie uniosła głowę, żeby ocenić sytuację. Pasma mgły przepływały przez polanę, raz odsłaniając, raz całkowicie zasłaniając pole strzału. Gdy gęstniały, Jael podczołgiwała się ku przodowi, gdy rzedły - znieruchomiała, obserwując całą trójkę, zajęętą montowaniem pochylni.

Pole widzenia oczyściło się na tyle, że mogła strzelać. Tamci, skoncentrowani na swojej robocie, stali plecami do niej, ramię przy ramieniu i poruszali się jak na komendę, niemal tym samym ruchem. Stone stał pośrodku. Jael po-

stanowiła zabić go pierwszym strzałem. Błyskawicznie przysiadła, zginając jedno kolano i opierając na nim łokieć ręki, trzymającej karabin. Zaczekała, aż linie celownika skrzyżują się poniżej łopatki Stone'a, po czym nabrała powietrza, wypuściła je, wstrzymała oddech, odciagnęła spust i wystrzeliła pierwszą serię.

57 - Cholera!
Myers zaklął, gdy rampa zachwiała się nagle i zsunęła w lewo, popychając go na mnie. Wpadłem na Jasmine, która chwyciła mnie od ruchu za ramię, ja zaś przytrzymałem się kabla w klapie. Zanim zdążyłem odzyskać równowagę, huk wystrzału rozbrzmiał w ciszy poranka.

Myers stał z mojej prawej strony, tam, gdzie ja znajdowałem się przed ułamkiem sekundy.

- Huh! - wydał nagle głośny, pełen bólu okrzyk, jak gdyby wydusiło go z niego uderzenie wiatru. Puścił burtę pikapa i osunął się na ziemię.

Niemal w tym samym momencie z zarośli padł drugi strzał. Lewa tylna lampa wozu rozprysnęła się tuż przy mojej dłoni. Działo na błoto i liście obok samochodu.

Kolejny strzał. Kula ugrzęzła w obitej deskami ścianie domu.

Po tym dwa razy wystrzeliła inna broń.

- Zostań tu! - nakazałem Jasmine, wstając na kolana i usiłując wyszarpać rugera ze zbyt przepastnej kieszeni spodenek. Wyjrzałem zza tylnego zderzaka i zobaczyłem Myersa składającego się do strzału w klasycznej policyjnej pozycji, z bronią wycelowaną w pasmo wysokiej trawy na końcu przecinki. Wystrzelił dwa razy, skorygował cel, a potem jeszcze dwa. Strzępy rozerwanego materiału trzepotały

przyjego łopatce, odsłaniając bladoszare sploty kevlarowej materii kamizelki kuloodpornej, rozdartej bocznym uderzeniem potężnego pocisku.

Ruger na amen zaplątał się w kieszeni. Przeklinałem pistolet, kieszeń, życie i samego Boga, a przede wszystkim własną, pieprzoną głupotę, która kazała mi zostawić kaburę.

Usiłowałem wyszarpnąć broń, wypatrując jednocześnie, gdzie celuje Myers.

Wydało mi się, że przez ruchomą zasłoną przewalających się pasm mgły dostrzegam coś przyczajonego w trawach. Kiedy w końcu wydarłem rugera razem z kawałkiem kieszeni, broń Myersa zamilkła. Przeładował ją szybko, wyrzucając zużyty magazynek. Ja usiłowałem ściągnąć strzępek fnateriału, oplatany wokół spustu.

Te parę sekund, potrzebnych szeryfowi na przeładowanie wystarczyło, aby z trawy znów wysunęła się lufa broni. Uwolniłem wreszcie spust, wycelowałem i strzeliłem.

Zobaczyłem błysk z lufy zanim doszedł mnie huk i usłyszałem odgłos, jakby John znów padł, tym razem ciężko i bezwładnie.

Lufa przesunęła się w moją stronę. Gdy celowałem, wybuchowe *bump!* zadudniło mi w piersi, jak nagły werbel na Wojskowej paradzie. Zanim zdążyłem skojarzyć, czy zostałem trafiony i czy zaraz stracę przytomność, kątem oka po prawej zarejestrowałem długi, jasny jęzor ognia, wypluty przez magnum. 357 Jasmine, po którym eksplodowała z potężną siłą fala akustyczna.

Z radością zobaczyłem, że lufa w trawie opadła gwałtownie; huknął strzał. Błoto bryznęło o kilka stóp od Myersa, który przetoczył się za szeroki pień okazałego orzecha. Lufa już się nie poruszyła. Zerknąłem w stronę Jasmine, która przykucnęła, lecz nadal była na widoku.

- Skryj się za swoim wozem - pokazałem gestem mercedesa, rzuciłem się w lewo, przeczołgałem obok Myersa i skryłem za pobliską czeremchą. Następne spojrzenie na

Jasmine upewniło mnie, że przycupnęła ukryta za tylnym kołem merca. Uniosłem kciuk, pokazałem na siebie, a potem gestem dałem znak, że posuwam się dalej. Skinęła głową. Gdy wyskoczyłem zza pnia, oddała osłonowy strzał.

Popędziłem w stronę kryjówki napastnika, klucząc jak szalony, gotów strzelić, gdyby tylko lufa drgnęła. Byłem coraz bliżej i zacząłem odróżniać od tła rozpląszczoną na ziemi postać, ubraną w myśliwski, kamuflujący strój. Zwolniłem; nadbiegła truchtem Jasmine z rugerem gotowym do strzału.

- Twarzą do ziemi! - wrzasnąłem.

Żadnego ruchu, żadnego odzewu.

- Ręce na boki!

Nic.

Czekałem aż Jasmine zajmie pozycję w odległości paru metrów po mojej lewej stronie. Podszedłem bliżej i doznałem pierwszego zaskoczenia: to była kobieta. Drugim zaskoczeniem była jej broń: karabin M21. To mnie zmroziło. Patrzyłem, jak jej krew spływa na ziemię, oblewając ciemną plamą wyrzucony magazynek. Ciało nadal spoczywało nieruchomo. W oddali Myers wstał chwiejnie i oparłszy się o burtę swojego wozu, zacisnął prawą dłoń na lewym barku. Ból wykrzywił mu twarz. Pistolet zwiślał luźno w lewej, opuszczonej dłoni.

- Okay - powiedziałem do Jasmine. Jej kroki zaszeleściły głośniejsze w trawie. Na moment rozproszyłem swoją uwagę, skupiwszy się na M21. W swoim innym życiu ćwiczyłem strzelanie z tego karabinu i robiłem to naprawdę skutecznie. Dla porządku celując z rugera w zabita kobietę, pochyliłem się, aby obejrzeć jej snajperską broń.

W tym momencie postać w panterce ożyła znienacka jak trup w horrorze i zaatakowała z dzikim wrzaskiem. Zakrwawiona, jasnowłosa kobieta wypaliła do mnie z czarnego pistoletu. Instynktownie uskokczyłem w bok, przetoczyłem po ziemi i podniosłem się z bronią gotową do strzału. Ale Ja-

smine znów mnie ubiegła. Jej pierwszy strzał trafił napastniczkę w prawy bark i obrócił ją. Drugi niemal pozbawił ją głowy.

Kiedy zamarło echo wystrzałów, na polanie zapadła martwa cisza. Jeszcze przez chwilę słyszałem dzikie uderzenia własnego serca, a gdy zwolniło, w uszach brzmiał już tylko brzęk komarów, do których po chwili dołączyło bzyczenie icierwnych much, ostatecznie rozstrzygających o śmierci.

Widziałem w życiu o wiele za dużo scen takich jak ta i znałem swoje reakcje, lecz nie wiedziałem, czego oczekiwać po Jasmine. Może łąz? Albo wymiotów, będących reakcją na sam akt zabicia człowieka, bez względu na okoliczności.

Popatrzyłem na nią i nie stwierdziłem żadnej z tych reakcji. Jasmine znieruchomiała w momencie strzału i tkwiła nadal w tej samej pozycji, z wycelowanym rugerem. Zdumiała mnie głęboka, twarda determinacja w jej wzroku. Rzadko widywałem tak intensywne, introspekcyjne spojrzenie u mężczyzn z wybranej, elitarnej grupy, którą szkoliłem i z którą działałem. A skoro je zdefiniowałem, wiedziałem, czego mogę się dalej spodziewać.

Jasmina opuściła broń i spokojnie umieściła ją w kaburze, starannie zapinając zatrzaski. Następnie przyklekła przy zwłokach, skręconych w nienaturalnej pozycji na ziemi i przeanalizowała je ze starannością patologa. Kiedy wreszcie odwróciła ku mnie głowę, zobaczyłem, że jej wzrok ogniskuje się w dali, poza bieżącą chwilą, poza mną. W polu najbardziej osobistego pojmowania, gdzie rzeczywistość zderza się z fundamentalnymi pytaniami. Tam, gdzie znajduje się Rubikon, wymagający postawienia sprawy na ostrzu noża, bez żadnych wahań. Spotkałem w swoim życiu ludzi, którzy dotarli tak daleko i nigdy nie wrócili. Zaś ci, którzy wrócili, nie byli już tacy jak przedtem. Ja też wróciłbym inny.

W takich przypadkach żadne słowa nie są na miejscu. Dlatego milczałem.

Muchy obsiadły trupa; moje powonienie zarejestrowało gęstniejący odór krwi i rozszarpanego ciała; w drzewach przedrzeźniacz wyemitował na próbę parę dźwięków. Z od-dali doleciało regularne pyrkotanie traktora, które sprawi-ło, że jakaś cząstka mojej osobowości wróciła na moment do głębokiego dzieciństwa.

- W porządku? - zawołał do nas Myers, głosem silnym, lecz podszytym bólem.

Jasmine odwróciła się. W ułamku sekundy zarejestrowa-ła krew na koszuli Myersa i skoczyła ku niemu biegiem.

- John!

Znałem to zjawisko z pola walki - błyskawicznie przeszła do porządku nad zastrzeloną kobietą, gdy pojawiła się oka-za, aby zająć się kimś żywym w potrzebie. Rana Myersa przypomniła jej, dlaczego zabiła. Gniew, który teraz od-czuła, skutecznie zniósł szok, przerażenie i przede wszyst-kiem poczucie winy.

Wyjęła pistolet z lewej ręki szeryfa i wsunęła do kabury. Podeszedłem do nich.

- Mocno dostałeś, John? - zapytałem.

- Nie wiem. Ty jesteś lekarzem.

Ująłem jego prawy przegub i odciągnąłem rękę w bok, obawiając się najgorszego. Ale nie trysnęła krew, sygnalizu-jąca pulsującym wypływem uszkodzoną arterię.

- Mogło być gorzej - oceniłem.

- Łatwo ci mówić, doktoru.

- Zdejmiemy koszulę i obejrzę dokładnie ranę.

Jasmine przejęła zadanie i za moment już nie było ko-szuli. Myers miał pod spodem podkoszulek. Lewy rękaw i ramię lśniły czerwienią. Żałowałem, że nie mam gumo-wych rękawiczek. John musiał odczytać moje myśli.

- Gumowe rękawice są w schowku w moim wozie - po-wiedział. - Standardowy zestaw do aresztowania podejrz-anych w dzisiejszych czasach, rozumiesz. - Kiwnąłem głową, poszedłem po rękawiczki i naciągnąłem je szybko.

Kiedy zadarłem rękaw T-shirta, zobaczyłem gładki otwór wlotowy kuli pośrodku potężnego, wyrobionego bicepsu.

- Regularnie ćwiczysz?

Skinał głowę.

Pod spodem znalazłem to, co spodziewałem się zobaczyć - mniejszy otwór wlotowy, z którego sączyła się krew. Ściągnąłem koszulkę z Myersa tak, że pozostała na zranionej ręce i uformowałem z niej rodzaj kompresu. Gdy przycisnąłem materiał do rany, sierżant syknął boleśnie przez zaciśnięte zęby.

- Mało brakowało, a byłoby cholernie źle - powiedziałem.

- Taa?

- Aha. Zanim znów zaczniesz pompować sztangę, będziesz musiał przejść rehabilitację. Na szczęście kula wyszła czysto z drugiej strony mięśnia. I kość jest nienaruszona.

- Dzięki Bogu! -wykrzyknęli jednocześnie Myers i Jasmine.

- Masz może apteczkę w aucie?

Myers pokręcił przecząco głową.

- Taśmę klejącą?

- Skrzynka narzędziowa z tyłu.

Jasmine szybko przyniosła rolkę srebrnej taśmy.

- Odetnij mi parę dłuższych odcinków, mniej więcej trzydzieści centymetrów - poleciłem. Podawała mi po kolei kawałki taśmy, a ja oklejałem nimi zaimprovizowany kompres.

- A teraz duża pętla na temblak.

Skinęła głowę.

- Okay. Teraz przyklej mu rękę do tułowia i owiń go w koc.

Znów skinęła głową. Zostawiłem ich i wróciłem do zabitej kobiety.

Miałem wrażenie, że skądś ją znam, ale nie potrafiłem niczego skojarzyć.

Nie zdejmując rękawic Myersa, obszukałem martwe ciało, wkładając wszystko, co znalazłem do kamuflującego panterkowego kapelusza, który upadł obok. Przeszkolenie, jakie

odbyłem w innym życiu nauczyło mnie zbierania dowodów w każdych okolicznościach. Trzeba zabrać wszystko. W danym momencie coś może wydawać się nieistotne, ale nigdy nie wiadomo, czy wkrótce albo trochę później nie zadecyduje o twoim życiu.

Kiedy przeszukiwałem martwe ciało, nagle ze szczególną intensywnością poczułem obecność Camilli. W sumie odczucie nie powinno być dla mnie zaskoczeniem. Zarówno śmierć, jak i fakt uniknięcia jej o włos, są w stanie uruchomić w naszym umyśle dostęp do najgłębszych warstw świadomości. Odprężyłem się w obecności Camilli, grzałem się w jej ciepło. Usiłowałem odczuwać, a nie myśleć.

Słyszałem jak odezwał się Myers.

- Pewnie, że mi lepiej, dziewczyno. Świetnie ci idzie.

Camilla znikła.

- Musimy odstawić cię do szpitala - powiedziała Jasmine.

Wyprostowałem się, wytarłem ręce umazane we krwi za bitych jej panterkowe spodnie i wstałem.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś już kiedyś to robił.

Odwrociłem się. Jasmine stała o parę kroków ode mnie.

- Dawno temu. W innym życiu.

- Ale to życie ciągle się o ciebie upomina, prawda?

Potrząsnąłem głową.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Nic specjalnie istotnego. Pod włosami ma paskudną bliznę po ranie głowy. Poza tym nosi plaster z jakimś specyfikiem, którego w tej chwili nie mogę określić.

- Blizna może świadczyć o jej związkach z Braxtonem - stwierdziła Jasmine.

- Jest za młoda, aby mogła uczestniczyć w jego programie.

- Na etapie, kiedy on się nim zajmował, oczywiście nie, ale jeżeli program był kontynuowany? I na przykład jego elementem jest ten plaster, uwalniający specyfik?

- Jeżeli masz rację, wpakowaliśmy się w jeszcze większe kłopoty niż myślimy.

- Trudno sobie wyobrazić, że mogą być jeszcze większe!
- Lepiej módl się, żebyś się myliła - powiedziałem i przyklęknałem, aby odwrócić plecami do góry obnażone przeze mnie, sztywniejące ciało kobiety. Głowa, trzymająca się z jednej strony tylko na ścięgnach i tętnicy szyjnej, pozostała i patrzyła prawie że w niebo. Wskazałem na łopatkę zmarłej.

- J e j tatuaż przypomina mi te widziane w Iraku.

Jasmine pochyliła się, żeby odczytać napis.

- „Pomóż zawoszonym turbanom spotkać Allacha”. - Spojrzała na mnie. - Głębokie.

Wzruszyłem ramionami.

- Brałeś udział w Wojnie w Zatoce? W której?

Pokręciłem głową.

- W Afganistanie, przed inwazją rosyjską.

Aby nie dopuścić do dalszej rozmowy, podniosłem kapełusz, pełen fantów, w tym lornetkę, zapasowe magazynki do M21 i H&K, kluczyki od wynajętego auta, telefon komórkowy i odłamana przeze mnie połówkę wojskowej plakietki identyfikacyjnej. Drugą zostawiłem na łańcuszku, który opasywał resztki szyi.

- Mamy tu kluczyki od wynajętego wozu i plakietkę z nazwiskiem St. Clair. Imię jest dziwne: Jael.

- Biblijne. - Odwróciłem się i zobaczyłem Myersa, który stanął przy nas. - O ile pamiętam, ze Starego Testamentu - powiedział. - Była Izraelitką albo pochodziła z jednego z plemion. Zwabiła do swojego namiotu nieprzyjacielskiego dowódcę albo króla, a kiedy zasnął, przebiła mu głowę namiotową żerdzią, przygważdżając go do ziemi.

- Milutkie. - J a s m i n e popatrzyła na niego. - J a k a matka daje takie imię swojemu dziecku?

- Dobre pytanie.

- W każdym razie mamy jej numer ubezpieczenia i znak zapytania tam, gdzie chodzi o opcję wyznaniową - podsumowałem.

- Mogę sprawdzić w ubezpieczeniu - zaproponował Myers. - Poza tym dużo informacji uzyskasz z komórki.

- Zgoda, ale zostawmy na razie nasze zadanie. Najpierw musimy zapewnić ci pomoc lekarską.

- Jestem w cholernie dobrej formie - zaprotestował Myers. Weźcie mój wóz, a ja zadzwonię pod 911. Pójdzie równie szybko, a wy nie będziecie ryzykować złapania - dodał, odpinając komórkę od pasa.

- Nie możemy cię zostawić - stwierdziła Jasmine.

- Ależ możecie. - Obdarzył ją szerokim uśmiechem. - Lepiej, żeby was nie złapali, bo wtedy będę musiał się tłumaczyć. Chcę być tutaj, kiedy przyjadą moi chłopcy i opowiedzieć im całą historię, zanim pałeczkę przejmą te wścibskie typy z bezpieczeństwa wewnętrznego.

Jasmine miała niepewną minę.

- Spójrz na zegarek - powiedział.

Spojrzała.

- Dziesiąta trzydzieści osiem.

- Lepiej zadzwoń do prawnika Talmadge'a.

Ciągle jeszcze się wahała.

- Zrób to dla mnie - poprosił. - I dla s w o jej matki.

- Nie rozumiem...

- To jeden z najbardziej interesujących przypadków w całej mojej karierze - wyjaśnił. - Jeśli teraz zawieziecie mnie do szpitala, sprawa mi przepadnie. A jeśli weźmie ją ktoś inny, jestem prawie pewien, że nigdy nie dowiemy się, kto zabił twoją matkę.

58

Główne wybrzeże Kalifornii wije się jak wąż, poczynając od raketowych silosów Bazy Sił Powietrznych USA w Vandenberg i dalej, na północ, po piękne do bólu klify Big Sur oraz raj surferów na południe od Monterey. Pomiędzy nimi leży

rozległa, rzadko zaludniona kraina, wciśnięta pomiędzy brzeg Pacyfiku i góry na wschodzie, gdzie uprawia się wino-
rośl, oliwki i kwiaty, gdzie hoduje się bydło i wielkie idee,
łowi kalifornijskie małże i czasami prawdę.

Większość obywateli albo nie wie, albo nie chce wiedzieć,
że duża ilość ziemi znajduje się w posiadaniu Departamen-
tu Obrony USA. Niektóre obszary, jak liczący 165 000 akrów
Fort Hunter Liggett, są oznaczone na mapach. Inne, jak taj-
ne ośrodki badawcze, komunikacyjne czy mniejsze bazy
operacyjne, pozostają białymi plamami na mapach i foto-
grafiach lotniczych. Ich zamaskowane instalacje upchnięto
w wąwozach, osadzono na górskich grzbietach odległych od
ludzkich siedzib i ciekawskich oczu, porozrzucano na prze-
strzeni całych mil pomiędzy martwymi alkalicznymi jeziora-
mi czy zakamuflowano na krańcach dawno nieużywanych
drog. San Luis Obispo ma w pobliżu wiele takich militar-
nych obiektów i kiedy ich pracownicy przyjeżdżają do
miasta, aby iść do lokalu, na koncert czy po prostu zrobić za-
kupy, nie widać mundurów, włosów obciętych na jeża, czy
innych typowo wojskowych cech, które mogłyby wyróżnić
ich z tłumu.

Dan Gabriel, biegnąc joggingowym truchtem po Pecho
Valley Road, na południe od Zatoki Morro i z grubsza na
zachód od San Luis Obispo, wspomniął czasy, gdy dowodził
taką właśnie bazą, mieszczącą Task Force 86M, wielozada-
niową jednostkę kontrterrorystyczną, utworzoną na wiele
lat przed 11 września. Armia wyznaczyła go, aby zorganizo-
wał tę tajną jednostkę bezpieczeństwa i wywiadu, której sie-
dzibę ukryto w bezludnych, trudno dostępnych górach na
północny-wschód od bliźniaczych, kopulastych zbiorników
elektrowni atomowej Diabło Canyon.

Elektrownia atomowa stanowiła dobrą przykrywkę, gdyż
tamtejsi obywatele usilnie starali się nie myśleć o tego typu
instalacjach, pomimo rozlicznych i nigdy nie czytanych
ostrzeżeń oraz zasad ewakuacji, wydrukowanych na pierw-

szych stronach każdej książki telefonicznej w hrabstwie i wywieszonych na drzwiach motelowych pokoi razem z regulaminem porządkowym.

Gabriel wbiegł na ostatni zakręt, prowadzący wydłużonym łukiem ku ujściu Hazard Canyon. Poranna, chłodna bryza była nasycona wonią klimatycznych perfum, wydostawianych w odwiecznie trwającym procesie ścierania się łądu z oceanem. Uwielbiał klify i plaże wszystkich oceanów świata, ale żadne wybrzeże do tego stopnia nie zawładnęło jego sercem; żaden krajobraz nie wzbudzał w nim tak głębokiej tęsknoty.

Przyspieszył biegnąc w dół i utrzymując wydłużony, rytmiczny krok, idealnie zgrany z oddechem. Dwie - trzy mile stąd, w Cuesta-by-the-Sea, zaparkował swojego wynajętego taurusa i rozpoczął jogging. Dan zoczył z drogi i pobiegł wzdłuż koryta okresowego strumyka, który szemrał cicho, spływając do oceanu przy Hazard Reef. Bryza powiała mocniej, a kiedy wybiegł na plażę, przystopowało go gwałtowne uderzenie wiatru.

Pacyfik nieodmiennie oszołamiał Dana Gabriela swoim pierwotnym pięknem. Pamiętał, jak stał z ojcem na urwistym brzegu w Vandenberg, bodajże w 1955 roku, kiedy nie było tam jeszcze bazy raketowej i pasły się krowy. Stał wpatrzony w horyzont, a jego wyobraźnia bawiła się w chowanego z migotliwą, zamgloną dałą, produkując najbardziej zawrotne marzenia i pragnienia, jakie tylko mogą powstać w głowie młodego chłopaka.

Lecz jeszcze większym wyzwaniem okazały się fantazje, które napłynęły, gdy zamienił nieskończoną przestrzeń horyzontu na pulsujący życiem świat jeziorzek, pozostawionych na plaży przez fale i zasilanych przez ocean. Mały Dan potrafił obserwować je godzinami, jeśli tylko pozwalali mu na to rodzice, i dociekać, jak powstaje i trwa tam życie. Praktycznie nie pamiętał chwili, w której nie rozmyślałby, zafascynowany, jak fale przetaczają się tam w rytmie ludzkiego

pulsu, dostarczając wody i tlenu słonemu roztworowi, równie bogatemu jak ludzka krew. Gabriel pragnął badać ocean, lecz w połowie lat pięćdziesiątych mało kto słyszał o morskiej biologii, a jeszcze mniejsza garstka ludzi pojmowała oceany jako obszar, który należy badać i chronić.

Ojciec Gabriela nie należał do tej mniejszości.

- J a k zamierzasz zarobić na życie? - pytał Bill Gabriel syna.
- Przecież nie utrzymasz żony i domu z pensji biologa morskiego. Ja pieprzę, dzieciaku, nawet gość, który przygrywa na pianinie w burdelu ma ubezpieczenie i wcale niezłe zarobki.

Musisz się porządnie zastanowić, powtarzał w kółko synowi. Bill Gabriel przeżył Wielki Kryzys i widział japońskie okrucieństwa w czasie Marszu Śmierci w Bataan¹. U tego dogmatycznie wręcz rozważnego człowieka myśl o życiowym ryzyku wywoływała równie emocjonalny oddźwięk, co myśl o raku płuc.

Gabriel przyspieszył, zmuszając się do większego wysiłku, jakby chciał wyrzucić z pamięci wspomnienia, obrastające mu serce jak skorupiaki nadmorskie skały. Żal uczepił się go jak cień i ścigał się z nim, biegnąc szlakiem wśród wydm, na południe, ku Spooner Cove, z oddechem przeszłości na karku.

Ojciec Dana wierzył święcie, że armia jest gwarantem bezpieczeństwa zarówno narodowego, jak i osobistego. Po zakończeniu II wojny światowej pozostał w służbie i został przydzielony do Camp Cooke, dawnego rancza była o powierzchni osiemdziesięciu sześciu tysięcy akrów, leżącego na północ od Santa Barbara. Bill Gabriel awansował i odszedł na emeryturę w stopniu pułkownika. Począwszy od 1957 roku, odgrywał bardzo istotną rolę w przekształcaniu Camp Cooke w Bazę Sił Powietrznych Vandenberg, gdzie

¹ Marsz Śmierci w Bataan - chodzi o morderczy przemarsz amerykańskich i filipińskich jeńców wojennych do japońskiego obozu koncentracyjnego na filipińskiej wyspie Luzon, w 1942 roku (przyp. tłum.).

ulokowano rakiety balistyczne, gotowe do konfrontacji z dowolnym celem na Południowym Pacyfiku, skąd sterowano także szpiegowskimi satelitami.

Przy takim życiowym bagażu Billa Gabriela ostatnią rzeczą, jaką mógłby akceptować u swego jedynego syna, było moczenie tyłka w bajorach na plaży i wpatrywanie się godzinami w pączkujące zielone anemony. Pot ściekał z Dana Gabriela, kiedy biegł wzdłuż małej, półkolistej plaży w Spooner Cove, obecnie włączonej do Parku Stanowego Montana de Oro, ciągnącego się od Morro Bay aż do strefy zamkniętej przez Diabło Canyon. Gdy plaża w zatoczce Spooner Cove zwężyła się, Dan pobiegł górą, aby uniknąć grzywaczy porannego przyboju, wdarł się na wzgórze, minął niewielki budynek zarządu parku i posuwał się wzdłuż krawędzi urwiska nad plażą.

Upór i wytrwałość odziedziczył po ojcu. Toteż fakt, iż Dan wstąpił do marynarki zaraz po maturze nie zdziwiła nikogo - poza jego własnym ojcem. Zrobił to mimo prymusowskich stopni, wszechstronnej sprawności fizycznej i całego pakietu ofert od najbardziej prestiżowych uczelni obu wybrzeży. Dan uznał, że tylko marynarka wojenna i udział w Podwodnych Oddziałach Niszczących pozwoli mu na bezpośredni kontakt z ukochanym oceanem.

Na południe od parkowego campingu Dan odbił z utwardzonej drogi w kręty, zapyłony szlak, wijący się wzdłuż krawędzi brzegu.

Kiedy Dan zakończył podstawowe szkolenie i zaczął mentalnie oraz fizycznie przygotowywać się do służby w słynnych Podwodnych Oddziałach Niszczących, Bill Gabriel wszczął akcję, mającą na celu wyreklamowanie syna z wojska. W tajemnicy uruchomił imponującą siatkę swoich wojskowych i politycznych kontaktów, aby uzyskać u kalifornijskich kongresmenów poparcie dla przyjęcia swojego syna do Akademii Wojskowej w West Point.

W styczniu 1962 roku prezydent John Kennedy nakazał utworzenie specjalnej jednostki komandosów morskich,

znaną jako SEAL, Komando Foki. Dan i jego trzech koledzy z Podwodnych Oddziałów Niszczących wystąpili o przyjęcie do Pierwszego Oddziału Fok. Bill Gabriel nie przybył na promocję. Ceremonia, pieczętująca powstanie późniejszej słynnej specformacji stała się dla Dana ceremonią poże-gnalną. Po uroczystości podszedł do niego komendant ba-zy w towarzystwie kapitana z czapką olśniewającą złotymi szamerunkami. Towarzyszył im równie ważny pułkownik.

Komendant przedstawił Dana kapitanowi, a ten spre-zentował mu dokument honorowego zwolnienia ze służby. Wówczas pułkownik przedstawił się jako przyjaciel jego oj-ca i wręczył mu papiery służbowego przeniesienia do Aka-demii Wojskowej w West Point.

Zanim Dan zdążył powiedzieć słowo, komendant przed-stawił mu finalną konkluzję układu: bez względu na to, czy przyjmie czy odrzuci mianowanie do West Point, jego zwol-nienie z Marynarki Wojennej jest nieodwołalne.

Ojciec zwyciężył.

Okrążając niewielką zatoczkę, ufortyfikowaną niemal pionowymi warstwami skalnymi, Dan zwolnił, aby zerknąć na wąskie pole bitwy, na którym ścierały się wody z ziemią. W tym momencie dostrzegł mężczyznę i chłopca, najwyżej dziesięcioletniego, obu na klęczkach, pochylonych nad skrawkiem wody, który zostawiła cofająca się fala. Na ten wi-dok jego serce zgubiło na chwilę rytm i zwolnił, a potem przeszedł do szybkiego marszu.

W tym momencie dałby wszystko, aby zamienić się z chłopcem na plaży. Albo z jego ojcem.

W stosownym czasie w West Point awansowano Dana na dowódcę jednostki sił specjalnych, która miała ubezpieczać operacje w Północnym Wietnamie, Laosie i w Kambodży.

Później został oddelegowany do regularnego oddziału wojskowego Clarka Braxtona, jako oficer odpowiedzialny za trening i wyszkolenie rekrutów mających zasilić Oddzia-ły Specjalne. Wtedy to właśnie słynny incydent z odłamkiem

szrapnela, który przebił głowę Clarka, skierował życie i karierę Braxtona na tory, których nikt nie potrafił nawet w przybliżeniu przewidzieć.

Poryw wiatru schłodził ciało Dana pod przeпоconym T-shirtem, gdy przyglądał się ojcu i synowi, zgłębiającym tajemniki kipiącego życia bajorka. Wreszcie z ociąganiem ruszył dalej, przyspieszając tempo do swojego zwyczajowego truchtu.

Incydent ze szrapnelem sprawił, że Braxton i Gabriel stali się popularnym medialnym duetem. Clark pożądał poklasku, a Dan znalazł dla siebie pożądaną niszę w dziedzinie, w której popularność równała się klęsce: dowodzenie grupą do zadań specjalnych Task Force 86M.

Planiści Pentagonu pierwotnie zaprojektowali tę jednostkę jako tajną grupę dla operacji specjalnych w elektrowniach atomowych oraz w instalacjach militarnych. Zadaniami małych grup złożonych z najlepszych komandosów Sił Specjalnych, ściągniętych z różnych działów armii i zestrojonych w jeden supersprawny instrument prowokacji i rozpoznania, miało być odgrywanie roli terrorystów lub obcych oddziałów specjalnych, usiłujących dokonać przejęcia newralgicznych obiektów lub działów.

Akcje Dana wywoływały prawdziwe trzęsienie ziemi w ośrodkach, które stawały się jego celem, lecz wydatnie wpływały też na poprawę bezpieczeństwa. Do tego utrzymywały komendantów w stanie ciągłej gotowości, gdyż nikt nie miał ochoty stać się kolejną ofiarą komandosów Gabriela.

Niejeden z nich nie zapomniał kompromitacji, która spotkała ich z powodu Task Force 86M, toteż Dan miał wrogów w wielu miejscach. Jednak wkrótce po tym, jak TF 86M rozpoczęła działalność, w Pentagonie zaczęto postrzegać grupę Gabriela jako najlepiej wytrenowaną jednostkę do tajnych operacji w całych siłach zbrojnych. Pod jego komendą stała się „dyżurna” tajną siłą szybkiego reagowania. Co ważniejsze, nadmorskie położenie kwatery głównej oddziału dawało Danowi okazję do zgłębiania tajemnic oce-

anu. Gabriel zaczął wykładać w niedalekiej Cal Poły, Politechnice Kalifornijskiej - i coraz śmieiej snuł marzenia, że zamieszka tutaj na emeryturze.

Zanim jednak marzenia zdążyły nabrać konkretnych kształtów, Braxton ściągnął Dana do s w o jej prezydenckiej kampanii na szefa sztabu wyborczego, dając impuls do kolejnego etapu jego kariery, tym razem na wyższych szczeblach Pentagonu.

W ten ciepły, letni poranek Dan Gabriel zakończył jogging pokazowym sprintem na finiszu - ostatnią próbą zdystansowania wspomnień - i zwolnił dopiero, kiedy wyrosło przed nim ogrodzenie. Wojsko utrzymywało go i żywiło. Braxton stał się osią, wokół której od dziesiątków lat kręciło się życie Dana. Aż do teraz, kiedy to generał wydał ów niszczący rozkaz, który przeżerał mu serce bardziej boleśnie i rozpaczliwie, niż kiedyś zdrada ojca: rozkaz zabicia Brada Stone'a.

Nic nie mogło tu być w porządku. Tym razem żaden z argumentów Braxtona nie uruchomił w sercu Dana Gabriela szybkiej ścieżki akceptacji i gotowości do działania — ani ofiara w imię większego dobra, ani zamykanie grodzi tonącego okrętu, ani osobiste zobowiązania czy piekło wojny. Żaden z nich nie był w stanie zneutralizować żrącego kwasu, przepalającego serce wiernego akolity. Sprawa stała się jeszcze trudniejsza, gdy Gabriel wyciągnął kartotekę Stone'a i okazało się, że ma z nim wiele wspólnego. Obaj byli desygnowani do specjalnych zadań, wykonywali rodzaj misji. Stone mógłby z powodzeniem znaleźć miejsce w Task Force 86M, lecz wolał realizować swoje medyczne marzenia.

Nic z tego, co wiedział o nim Gabriel, nie usprawiedliwiało unicestwienia owych marzeń. Wiedział jednak, że odmowa wykonania rozkazu Braxtona równa się wyciągnięciu zawleczonego granatu uzbrojonego w ładunek narodowych i międzynarodowych implikacji. Zdawał sobie sprawę, że za-

da to śmiertelny cios reputacji i karierze generała oraz unicestwi jego prezydenturę, stawiając naród wobec konieczności wyboru któregoś z tych intelektualnych karłów, tych tępych, bezwolnych politycznych narzędzi - tylko po to, by pogrążyli wielki kraj w marazmie.

Ponadto, jeśli tym razem nie posłucha Braxtona, samobójczo poświęci także swoją karierę. Gabriel nie miał żadnych przyjaciół spoza układu wojskowego, żadnych znajomości funkcjonujących poza nim, żadnego zewnętrznego oparcia. Co gorsza w ostatnich latach zdążył zrobić sobie śmiertelnych wrogów z tych, którym służył wiernie od dziesiątek lat. Żył w kompletnej izolacji i zdawał sobie sprawę, że jego dywersyjne akcje postawiły niektórych pod ścianą i gdy tylko nadarzy się okazja, nie popuszczą mu. Będzie musiał przez resztę życia wiecznie oglądać się za siebie.

Dan nie zatrzymał się, gdy wyrosło przed nim ogrodzenie, obwieszane znakami i napisami, ostrzegającymi intruzów. Zamiast tego skręcił ostro pod górę i przyspieszył kroku, szukając s w ojej ulubionej ścieżki, prowadzącej przez zakazany obszar, krawędzią wzniesień na południe od Coon Creek. Gdy ją znalazł, zwolnił. Jego dawny oddział nadal tam trenował i ktoś mógłby go zastrzelić, gdyby biegł drogą za szybko.

Myśl o decyzji, jaką miał podjąć w odniesieniu do Stone'a, obróciła się w jego piersi jak bezlitosne ostrze. Poczucie obowiązku i lojalności walczyło z poczuciem dobra i zła. Cała jego kariera polegała na podporządkowaniu wolnej woli hierarchii rozkazów. Nie można wygrać wojny pozwalając żołnierzom, aby wykonywali rozkazy lub nie, w zależności od tego, jak oceniają ich moralne implikacje.

Pomimo tej konstatacji Dan uznał, że nie może dłużej dopuszczać, aby inni podejmowali za niego decyzje. Problem dotyczył zarówno jego życia, jak i życia Stone'a. I nic nie mogło tego zmienić, bez względu na to, jak szybko by pobiegł.

59 Nie minęło dziesięć minut, a Myers siedział na łóżku we frontowym pokoju, z opatrzoną raną, opatulony kocem. My zaś włożyliśmy bagaże do jego furgonetki - w tym rzeczy zabrane snajperce, włącznie z jej pistoletem. Chciałem też zabrać M21, ale Myers potrzebował karabinu, aby po swojemu rozegrać sprawę. Czas biegł i nieubłaganie zbliżała się pora telefonu do Shankera. Pożegnaliśmy się z sierżantem, wsiedliśmy do jego wozu i odjechaliśmy.

Jasmine patrzyła przed siebie, pogrążona w myślach. Słońce jęło przypiekać z góry i mgła zmieniła się w migotliwy opar, porażający jaskrawym blaskiem, w którym musiałem ostro mrużyć oczy. Jechałem drogą, przecinając kolejną rozjaśnioną polanę i chowając się znów w cieniu drzew.

- Która godzina? - zapytałem.

- Dziesiąta pięćdziesiąt dziewięć.

Zwolniłem, gdy droga rozszerzyła się w płaską przecinkę i nagle z mgły, tuż przed maską, wyrósł gwałtownie tył srebrzystego SUV-a.

- Kurwa! - Dałem po hamulcach i zatrzymaliśmy się poślizgiem o centymetry od zderzaka toyoty z napędem na cztery koła, zaparkowanej przy drodze.

- Czy sądzisz...? - Jasmine sięgnęła do kapelusza snajperki, wyjęła z niego kluczyki od wynajętego wozu i podsunęła mi pod oczy. Machnąłem ręką i zerknąłem na zegarek.

- Jedenasta - oznajmiłem. - T e r a z najważniejsze jest nasze zadanie.

- Numer jest już wbity. - Wręczyła mi jeden z telefonów na kartę. Nacisnąłem klawisz i po pierwszym dzwonku odezwała się poczta głosowa.

„Słuchaj uważnie, bo mam niewiele czasu” - odezwał się głos Shankera. - „Moje biuro jest spalone, obserwuj je.

Musimy natychmiast działać. Wątpię, aby to podsłuchiwali, lecz gdyby tak było, zapamiętaj: twój dziadek, Sędzia, lubił opowiadać różne historyjki o tobie. Zwłaszcza jedną ciągle powtarzał - o tym, jak zlałeś się w portki z powodu bawełny. Spotkajmy się tam o trzeciej nad ranem. Księżyc powinien już zająć o tej porze. Zaparkuj gdzieś dalej. Będę czekał przy górcie rozrządowej.

Kiedy komunikat się skończył i wyswiedliły się opcje menu, wybrałem powtórzenie i oddałem aparat Jasmine. Przyglądałem się toyocie, a w myśli rysował mi się plan.

- Wystarczy ci to? - zapytała, skończywszy odsłuchiwanie.
- Tak.
- Wiesz, o czym on mówi?

Skinałem głową.

- To taka lokalna anegdota. Miałem siedem lat... to było w Mossy... wymknąłem się Ałowi Thompsonowi, pobiegłem na plantację i wlałem do wagonu ze świeżo zebraną bawełną. Ten wagon dołączono do składu, jadącego do odziarniarni w Itta Bena. I tam zawiózł mnie.

- Czemu Itta Bena? Przecież odziarniarnia w Morgan City jest bliżej.

- Bo mój dziadek, zwany Sędzią, był współwłaścicielem zakładu.

- Rozumiem. A co cię tak przestraszyło, że się zsikałeś?

- J u ż samo to, że miałem siedem lat i znalazłem się w jadącym wagonie. Poza tym wiedziałem, że będzie draka, bo uciekłem. Ale kiedy wagon podjechał na rampę wyładowniczą i stanął pod wielką ssawą, która wciągała bawełniane puch prosto z wagonów do hali - wtedy zlałem się w portki.

- Miałem takie miejsce, skąd mogłem obserwować wirujące zęby maszyny wydzierającej włókna z nasion, która stała w hali - ciągnąłem. - Oglądałem to wiele razy i widziałem też, jak robotnicy opróżniali cały wagon bawełny z pomocą ssawy w jednej chwili albo tak mi się przynajmniej wydawało.

- Kiedy więc zabrali się do mojego wagonu, w mózgu siedmiolatka pojawiła się szczegółowa wizja tego, co się za chwilę ze mną stanie... zostaną wessany przez ten wielki odkurzacz i rozszarpany.

- Jak widać, nie doszło do tego.

- Jak widać. Średnica rury ssącej była zapewne zbyt mała, więc i tak bym utknął.

- Ale najadłeś się strachu.

- Oj, fakt. Dlatego, kiedy Sędzia zobaczył, że się zsiakałem, uznał, że jest to wystarczająca kara. - Uśmiechnąłem się do swoich wspomnień. - W każdym razie wiemy już, gdzie spotkać się z Shankerem - podsumowałem. - Problem w tym, jak dotrzeć tam, unikając glin. Krążą wszędzie, a mgła nie potrwa wiecznie. Nie możemy zaparkować gdzieś i czekać, aż nadejdzie pora spotkania. Nie możemy zadzwonić do nikogo z twoich znajomych, a ja nikogo już tu nie znam.

- Zaraz się nad tym zastanowimy, tylko sprawdzę, czy kluczyki pasują do toyoty - powiedziała Jasmine.

- Ale pamiętaj, że John właśnie dzwoni na 911. Musimy stąd zniknąć zanim nadjadą radiowozy.

Skinęła głową. Wsiedliśmy i podeszliśmy do srebrnego SUV-a. Kluczyk, zabrany snajperce, gładko otworzył drzwi.

- Włącz stacyjkę - powiedziałem. - Jeśli jest paliwo, pojedziemy tym i zostawimy wóz Johna.

Skinęła głową.

- Trzy czwarte baku.

- Okay, bierzemy go. - Otwórz bagażnik - poleciłem. Zabrałem nasze rzeczy z pikapa. Jasmine otworzyła tył toyoty, ale kiedy zobaczyłem, co jest w środku, o mało nie upuściłem bagaży w błoto.

- A niech to!

Postawiłem torby na tylnym zderzaku i wskoczyłem do środka. Pierwszym, na co się natknąłem, był noktowizor PVS-14.

- Co jest? - zapytała z ciekawością Jasmine.

- Profesjonalny sprzęt noktowizyjny. - Odłożyłem PVS i sięgnąłem po Raptora. - To jest cywilna wersja wojskowego, snajperskiego nocnego teleskopu. - Jąłem w pośpiechu otwierać kolejne torby i futerały.

- Tu jest cały arsenał! - Wystrzelany magazynek leżał obok załadowanego karabinu M21 i lunety Leupolda. - Ona nie pracowała sama. Sądząc ze sprzętu, miała wsparcie wojskowe. Tym bardziej więc musimy się pospieszyć - zakończyłem.

Jasmine otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, kiedy pierwsze dźwięki policyjnych syren przedarły się przez mgłę. Jednym skokiem znalazła się za kierownicą i włączyła silnik. Kiedy wrzucała bieg, już siedziałem obok niej.

60 Dan Gabriel, pochylając się w porywach silnego wiatru, zmierzał szerokim bulwarem Higuera Street ku starym centrum San Luis Obispo. Turyści i studenci letnich kursów w Cal Poły tłoczyli się na chodnikach pospołu z żebrakami.

Nawierzchnia ulicy promieniowała żarem jak ruszt. Od rana, od czasu gdy Dan biegał, wiatr zdążył zmienić kierunek i nadlatywał teraz z wyciem ze wschodu - typowy dla tych okolicy wiatr z Santa Ana, przynoszący pustyńne gorąco i zanieczyszczenia z Central Valley, wywołujący burze i pożary lasów.

Dan czuł, jak na jego koszulce pod pachami i na plecach rozchodzą się plamy potu. Zatrzymał się na światłach przy Osos. W cieniu rozłożystego drzewa obdarty starszy mężczyzna z rozkudłanymi włosami i skołtunioną brodą dobywał szarpliwie tony ze s w o jej gitary. Gabriel zawahał się na moment, lecz uznał, że gość jest w dużo gorszym stanie niż on. Światła zaczęły się zmieniać. Dan wyciągnął piątkę z portfela, wrzucił do otwartego futerału i ruszył na jezdnię.

Niedługo potem pchnął szklane drzwi chińskiej restauracji i wszedł do środka. Boksy ze skórzanymi siedziskami o wysokich oparciach, centralny, masywny stół oraz ciemno pomalowane ściany nadawały temu miejscu klimat dyskretnej anonimowości, niezbędnej przy spotkaniu, którego nie powinno być. Zerknął na zegarek. Było dokładnie południe.

Właściciel lokalu doprowadził na miejsce dwie starsze panie w kwiecistych sukienkach, dopełnił szklanek samotnego studenta zaczytanego w grubym tomie i wreszcie podszedł do Gabriela. Nagle z cienia w kącie lokalu wyłoniła się machająca ręka, a potem zarys znajomej twarzy.

Dan odmachnął, odpowiedział na pozdrowienie właściciela i podszedł, aby uściśnąć wyciągniętą dłoń Jacka Kilgore'a.

- Jest pan ostatnio w świetnej formie, generale. - W głosie Kilgore'a dudniły głębokie, władcze nuty, które mogły wymiennie budzić lęk lub zaufanie - w zależności, po której stronie się było.

- Dzięki - powiedział Gabriel, zasiadając naprzeciw niego w najbardziej dyskretnym boksie. - Generale...

- A, do licha, pewnie mi odejmą gwiazdkę, kiedy wcisnę tym palantom, wysiadującym tyłki w Pentagonie, jeszcze jeden kit, teraz, kiedy zmieniała mi się optyka co do Braxtona i ciebie.

Śmiech Gabriela nie był udawany.

Jack Kilgore służył w Task Force 86M od prawie piętnastu lat, w tym ostatnie pięć jako dowódca jednostki. Jemu i tylko jemu Gabriel ufał. Kilgore miał reputację człowieka, który potrafił zadziałać skutecznie, pokonując opór biurokratycznych struktur decyzyjnej góry. Z drugiej strony przysłowiowa niechęć Jacka do papierkowej roboty i biurokracji przysporzyła mu wielu wrogów wśród wojskowych urzędników. Ajego ryzykanckie plany operacyjne wywoływały u wielu nerwową reakcję i sprawiły, że przypięto mu etykietkę narwanego, szybkostrzelnego kowboja.

- Sprawiają wrażenie ryzykownych tylko wtedy, jeśli nie rozumie się sytuacji - tłumaczył Kilgore. - A te dupki z Waszyngtonu, przyśrubowane do swoich foteli, nie mają nawet na tyle doświadczenia bojowego, by wiedzieć, którą stroną strzelają M16. - Kilgore posiadał imponującą zdolność ogarniania umysłem najistotniejszych szczegółów sytuacji, przy jednoczesnym wszechstronnym oglądzie całości. Nie wielu oficerów miało taki dar i był to jeden z dwóch powodów, dla którego Dan postawił na Kilgore'a. Drugi łączył się z wyjątkową skutecznością jego rozpoznania i bojową sprawnością.

- Masz rację - powiedział Gabriel, kiedy wybrzmiał śmiech i przyszła pora na prawdziwy powód spotkania. - Lecz nie dlatego dzwoniłem do ciebie.

- Tak przypuszczam.

- J a k już wspominałem, tej rozmowy nigdy nie odbyliśmy.

- Większość moich rozmów w ostatnich czasach należy do takich - stwierdził ze swobodą Kilgore. - Dochodzi do tego, że czasami nie pamiętam, czy zapomniałem o jakiejś rozmowie dlatego, że miałem o niej zapomnieć, czy dlatego, iż mam już starczą sklerozę.

Uśmiechnął się, lecz Gabriel nie skorzystał z zachęty.

- Mamy problem, który będzie wymagał pewnego szczególnego działania - powiedział ostrożnie.

- U-hu, kolejna misja treningowa... - Kilgore, wymawiając ostatnie słowo, palcami zamarkował cudzysłów.

- Być może. Dotyczy tajnej operacji zwanej Projektem Optymalizacji Wartości Bojowej. - Dan czekał na sygnał skojarzenia, lecz doczekał się tylko lekkiego zmarszczenia brwi. - To zadanie najwyższego priorytetu. Braxton mów, że pojawiła się zła atmosfera.

- J a k zła?

- Wystarczająco, aby wyeliminować go z prezydenckiego wyścigu.

Kilgore gwizdnał cicho, przeciągle.

- Jesteś głodny? - zapytał.

- Trochę.

- Zdaje się, że będziesz potrzebował sporo czasu, żeby mi to wyjaśnić.

Dan skinął głową.

- Stawiasz?

Gabriel znów przytaknął.

- W takim razie ja też jestem głodny.

Kilgore wstał i ruszył na środek sali, aby nałożyć sobie potraw z centralnego stołu. Gabriel udał się za nim.

Następne dwadzieścia minut spędzone przy jedzeniu - czas, który przeciętni Amerykanie ze średniej klasy wypełniliby banalną rozmową - wystarczył Danowi do streszczenia sytuacji. Kilgore jadł spokojnie, z rzadka się odzywając, podczas gdy jego umysł rozpoznawał, co łączyło nielegalne eksperymenty, My Lai, Franka Harpera i ranę głowy Braxtona.

Dopiero kiedy Dan przeszedł do szczegółów mającego wkrótce nastąpić wdrożenia przeskórnych plastrów, nasyconych Xantausem, Kilgore zaprzestał jedzenia.

Gdy Gabriel skończył mówić, zapadła długa cisza.

- Siedzisz na beczce starej, pocziwej nitrogliceryny, co? - odezwał się wreszcie Kilgore.

Gabriel skinął głową.

- Muszę podjąć decyzję w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Ma się odbyć cała seria spotkań u generała Braxtona...

- To się nadal nazywa Castello Da Vinci?

- Tak.

Kilgore skrzywił się.

- Cholernie pretensjonalne.

- Ale dobrze wygląda na etykietce wina.

- Jasne! W Kalifornii każdy, nawet stróż rezydencji, ma swoją etykietkę.

- Ale nie na butelce wartej pięćset dolarów - o ile w ogóle będziesz miał szczęście normalnie ją kupić.

- Tylko...

- Okay, mam to samo zdanie o jego winiarskim zadęciu.

- Gabriel urwał, aby dopić ostatnie łyki mrożonej zielonej herbaty. Zagrzechotał lodem w pustej szklance i kontynuował:

- Generał Braxton na trzy następne dni zaplanował u siebie serię spotkań na wysokim szczeblu. Niektóre związane są z jego kampanią, inne mają charakter bardziej towarzyski i wiążą się ze zbieraniem funduszy. Tylko na temat jednego nabrał wody w usta i jestem pewien, że będzie dotyczyło Projektu Optymalizacji.

Kilgore skinął głową, pochłonięty próbami złapania w pałeczki nitki sojowego makaronu. Wreszcie zrezygnował i uniósł wzrok, napotykając wytężone spojrzenie Gabriela.

- Mój ty Boże. - Pokręcił głową i zafrasowanym gestem potarł podbródek. - Z doświadczenia wiem, że generał rzadko kiedy myli się w kwestiach militarnych.

- Dlatego problem jest poważny.

- A swoją drogą słyszałem już wcześniej o tym Stone - podjął Kilgore. - Doprawdy, świat jest mały. Mówimy o starych historiach, ale łatwo je sprawdzić.

- J a k łatwo?

- Dziś po południu. - Kilgore wyłowił z potrawy kawałek wieprzowiny i popił mrożoną herbatą. - Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś był tak spięty, staruszk. Lepiej przedstaw się szybko na tryb operacyjny, bo jeszcze stanie ci się krzywda.

Gabriel skinął głową.

- Cóż, nie licząc sprawy Stone'a, problem polega na tym, iż musimy dokonać ostatecznego wyboru w oparciu o niepełne informacje, dotyczące Xantaeusa oraz roli samego Braxtona w tym wszystkim. - Kilgore urwał i przez chwilę błędził spojrzeniem po suficie. - Dżyny same nie wra-

cją do swoich butelek - podjął, kręcąc głową. - Broń nuklearna powstała i została. To samo z bronią biologiczno-chemiczną. Chemiczny żołnierz również nie wycofa się grzecznie z linii frontu. Braxton ma rację, mówiąc o pewności wygrywania wojen.

Gabriel otworzył usta, lecz Kilgore powstrzymał go gestem.

- Z drugiej strony, jeżeli efekty zażycia Xantaeusa nie są całkowicie odwracalne - i wystarczy, że dotknie to jedną dziesiątą procenta żołnierzy - mamy już narodowy horror, nową klasę ponadprzeciętnie sprawnych zabójców, którzy nie potrafią stłumić w sobie raz wzbudzonych instynktów. Być może większość z nich będzie wyglądała i nawet zachowywała się normalnie, lecz konsekwencją mogą być nasze własne tragedie na miarę My Lai.

Gabriel potwierdził skinieniem głowy.

- Ale możesz równie dobrze myśleć inaczej. I negocjować decyzje, nie mając tyle danych co Braxton. Wtedy jest to tylko kwestia rozkazów.

- Braxton nie jest już w strukturach wojska. Ani ja - odparł Dan.

- Technicznie masz słuszność, lecz w rzeczywistości prowadzimy bój o duszę i bezpieczeństwo tego kraju. Nigdy Ameryka nie była w tak wielkim niebezpieczeństwie. I dzielni, wartościowi ludzie, jak ten twój Stone, którzy gotowi są ginąć dla niej, czasem muszą zostać poświęceni. To nie jest w porządku, ale bywa, że nie ma innej alternatywy. Przy czym pragnę powiedzieć, że nie jestem do końca przekonany, czy generał ma rację. Z drugiej strony obaj dobrze wiemy, jak wiele razy potwierdzały się jego sądy. Praktycznie nie pamiętam, kiedy ostatni raz się mylił.

- Ja też mam z tym kłopot - przyznał Gabriel.

- I dobrze! Niezachwiana pewność zabiła więcej ludzi niż uświadomiona dwuznaczność - co oznacza, że musimy przejąć piłkę, upuszczoną przez generała i biec z nią dopó-

ty, dopóki nie przekonamy się, że zmierzamy do niewłaściwej bramki.

- A jeśli przekonamy się zbyt późno?

Kilgore wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widać, staruszkule, że zbyt długo kiblowałeś za biurkiem.

61 Mgła zagruntowała krajobraz, pozbawiając go kolorów oraz głębi i sprawiając, że to, co bliskie, wydawało się odległe. Jadąc trafiliśmy z Jasmine na kilka miejsc, w których promienie słońca przepaliły biały opar aż do gruntu, lecz przeważnie, gdziekolwiek kierowaliśmy wzrok, w oczy kłuł oślepiający, mleczyzny blask.

- Okay, o ile dobrze pamiętam, powinna tu być wąska droga, prowadząca do linii tamtych drzew - powiedziała Jasmine, przygryzając dolną wargę w napięciu, wypatrując drogi i prowadząc srebrzystą toyotę w kierunku południowym, po wijącej się, szutrowej szosie, pofałdowanej poprzecznie jak tarka i poznaczonej koleinami. Wąski pas drzew, oplecionych festonami dzikiego wina, ciągnący się wzdłuż rzeki Tallahatchie, migał z lewej strony. Z prawej ciągnęły się pola rozkwitłej bawełny.

Już od ponad godziny Jasmine nawigowała SUV-em wśród płataniny dróg - brukowanych, żwirowych i gruntowych - a nieraz po prostu wyboistych i błotnistych szlaków, wymagających włączenia napędu na cztery koła. Unikała głównych dróg, lecz generalnie trzymała się kierunku północnego. Od czasu do czasu w dali widzieliśmy rozbłyśki świateł policyjnych wozów, przebijające przez mgłę. Nie trzeba było wielkiej docieklowości, aby domyślić się, że były to zapory drogowe, choć w radiu nie wspomniano dotąd ani słowem o poszukiwaniu podejrzanych czy postrzeleniu zastępcy szeryfa przez tajemniczą blondynkę.

Nie mając nic lepszego do roboty, bez przerwy sprawdzałem położenie samochodu na pokładowym urządzeniu GPS. Zgodnie ze wskazaniem nie zbliżyliśmy się zbyt do niczego, co usprawiedliwiłoby nazwanie tej krainy Delta.

Poleciałem do przodu w pasach, gdy Jasmine zahamowała ostro.

- Tu - pokazała. Powiodłem spojrzeniem wzdłuż jej palca i zobaczyłem przesiekę w drzewach, majaczącą we mgle. Znow ruszyła, powoli i czujnie skręciła w lewo i zobaczyliśmy przed sobą zardzewiałą kratownicę mostu przeznaczoną do rozbiórki, opatrzonego kategorycznymi zakazami i ostrzeżeniami. Jasmine zatrzymała toyotę tuż przed biało-czerwoną barierą.

- Zaczekaj tutaj - powiedziała i wysiadła, nie gasząc silnika.

Według GPS-u znajdowaliśmy się na zachodnim brzegu Tallahatchie, na południe od Ruby. Jasmine pewnym krokiem ominęła barierę i weszła na most, stopniowo zamieniając się w mglisty symbol ludzkiej sylwetki, której zniknięcie dotknęło cieniem moje serce. Wyrzuciłem z myśli tę wizję i ponownie zająłem się GPS-em, tym razem sprawdzając lokalizację domu Tyrona Freedmana, który według wskazań najnowszej technologii istniał wyłącznie w głowie rodowitego mieszkańca Delt.

Martwiąc się koniecznością wciągnięcia Freedmana w to bagno i jednocześnie pamiętając, jak świetnie dogadywaliśmy się w szpitalu, zadzwoniłem na jego komórkę niedługo po tym, jak przesiedliśmy się z pikapa Myersa do srebrzystego SUV-a snajperki.

- „Masz szczęście, że jestem w laboratorium zdjęciowym” - powiedział mi. - „Szpital aż się roi od fedziów i demonicznych facetów o martwym spojrzeniu”.

Zgodził się udostępnić mi swój dom, zanim jeszcze zdążyłem o to zapytać. Z trudem powstrzymałem go przed dalszymi propozycjami pomocy.

Wracająca Jasmine wyłoniła się z mgły i gładkim ruchem odsunęła barierkę blokującą wjazd, jakby robiła to codziennie.

- Wydawałoby się, że powinni postawić solidniejszą zapórę - odezwałem się, kiedy wsiadła.

- Była, ale miejscowi trochę nad nią popracowali - inaczej musieliby nakładać drogi, cofając się do Money albo Minter City, aby przekroczyć rzekę - wyjaśniła.

Ruszyła, wjechała na most i zatrzymała wóz. Wsiadłem nieproszony i ustawiłem barierkę z powrotem. Kiedy znów ruszyliśmy, starałem się nie patrzeć na zniszczone, poczerniałe deski, tworzące jezdnię mostu i burą, zmętniała od deszczy wodę w dole. Usiłowałem również ignorować sposób, w jaki most drgał i kołysał się, a także nie zauważać płatów rdzy wielkości naleśników, opadających z wątych, strupieszających podpór.

Pośród pasm srebrnej mgły, kłębiących się w wąskiej przesieci, rozdzielającej linię drzew, stał szczupły, muskularny mężczyzna. Śledził spojrzeniem czerwone punkty tylnych świateł srebrzystego SUV-a, zjeżdżającego ze starego mostu na Tallahatchie. Jedną ręką ściągnął z głowy baseballówkę, a drugą przejechał po ciemieniu i skinał do siebie.

- Chytre - powiedział spokojnie, zakładając z powrotem czapkę i ustawiając metodycznie takie jej parametry, jak stopień wciśnięcia na głowę czy kąt pochylenia daszka - dopóki wszystko nie było tak, jak lubił. - Ale nie dość chytre, żeby mnie zgubić - dokończył.

Posługując się metodą eliminacji, wspartą danymi, które zebrał na temat tych dwojga, doszedł do wniosku, że stary most będzie miejscem, które wybiorą, aby przebyć rzekę. Uśmiechnął się, wsiadając do swojej półciężarówki i zawracając na południe, w stronę mostu w Money. Nie musiał ryzykować przejazdu przez to stare gówno. Przeczucie powiedziało mu, gdzie będzie ich mógl dzisiaj znaleźć - a przecucie nigdy go nie myliło.

62 Błotnista, pokryta dywanem liści polana przed wejściem do starej chaty Jasmine Thompson wyglądała o trzeciej po południu jak rzęście oświetlony, całodobowy bar przy autostradzie. Cztery policyjne wozy, zaparkowane zderzak w zderzak, tłoczyły się tam pospołu z dwoma kanciastymi ambulansami, samochodem koronera, furgonetką zespołu kryminalistycznego i karawanem.

John Myers stał pośrodku tego całego cyrku, dyrygując tłumem i bez przerwy tłumacząc sanitariuszom, że nie da się im zabrać do szpitala, dopóki nie będzie gotowy. Ci zaś, od momentu w którym zajechali na miejsce, roili się wokół niego, podłączając mu EKG i zakładając ciśnieniomierz na zdrowe ramię, aby za chwilę zrobić zdziwione miny, stwierdzając, że ciśnienie jest wzorcowe, zapis EKG również i tylko puls wynosi siedemdziesiąt (czyli o dziesięć uderzeń na minutę więcej niż zwykle wskazanie, o czym jednak Myers nie zamierzał ich informować).

Pozwolił nawet, aby podali mu antybiotyk, lecz odmówił środka przeciwbólowego. Potrzebował mieć sprawną głowę, przynajmniej w tej chwili.

- Ej, nie przechodźcie tędy! Mogą być dowody! - Głos sierżanta był głęboki, dźwięczny i władczy jak zwykle, toteż wszyscy odruchowo mu się podporządkowali.

Zanim jeszcze zjawiły się pierwsze auta, Myers zdażył obfotografować całą scenę aparatem swojego nowego telefonu komórkowego. Robił przybliżenia i szerokie plany. Fotografował z pozycji snajperki, potem przeszedł na miejsce, gdzie został trafiony i skierował aparat tam, skąd do niego celowano.

Zrobił wiele ujęć zabitej kobiety, łącznie ze zbliżeniami twarzy, tatuażu i dziwnego farmaceutycznego plastra.

Następnie przesłał wszystkie zdjęcia e-mailem na swoje konto, w tym na tajną pocztę Yahoo!, której od momentu śmierci żony używał do serfowania po internetowych czatach w swoim młodszym, bardziej luzackim wcieleniu.

Myers wykonał również dokumentacyjne ujęcia karabinu i lunety oraz z trudem, przemagając ból zranionego ramienia, zapisał ich seryjne numery, a następnie pracowicie wstukał je w komórkę i przesłał e-mailem łącznie z danymi zapisanymi na śmiertelniku, który kobieta miała na szyi (a raczej na jego połówce, gdyż drugą oderwał Brad).

Teraz z satysfakcją obserwował, jak ekipa kryminalistyczna wykonuje te same ujęcia pod tymi samymi kątami i z tej samej perspektywy, tyle że profesjonalnymi aparatami o wysokiej rozdzielczości z obiektywami do zbliżeń, ustawianymi na trójnogach. Na koniec całą scenę sfilmowano kamerą wideo.

Z każdą wykonaną fotografią, notatką, z każdym odcinkiem taśmy, Myers odprężał się coraz bardziej. Jednak w miarę jak opadał poziom adrenaliny, ramię zaczynało palić i pulsować coraz boleśniej. Usiłował powstrzymać grymas bólu, lecz za chwilę pojawił się przy nim sanitariusz.

- Wszystko w porządku, sierżancie?

- Tak, w porządku. - Myers chciał go zbyć machnięciem ręki, lecz młody człowiek o różowej cerze, usianej piegami, ociągał się z odejściem.

- Sierżancie, może nawet teraz czuje się pan nieźle, ale jady, wytwarzające się w ranie, za chwilę zaatakują pana i może dojść nawet do wstrząsu - powiedział.

- Zaraz wstrząsnę tobą, synu, jeśli w tej chwili nie dasz mi spokoju - powiedział Myers, świadom, że sam nie ma przekonania do swojego stanu. W chwili, gdy postanowił przysiąść gdzieś na chwilę, nowy dźwięk sprawił, że znów podskoczył mu poziom adrenaliny. Dalekie dudnienie helikoptera zaczęło się przebijać przez odgłosy otoczenia. W miarę jak narastało, Myers, wsłuchując się w nie, doszedł

do wniosku, że jest zbyt głębokie, aby mógł to być mały, stary sikorski z przezroczystym kokpitem, używany do opylania pól. Ani też Bell JetRanger z Biura Szeryfa.

W następnej chwili uświadomił sobie, że odgłos maszyny narasta w tempie nieosiągalnym dla cywilnego helikoptera i jego pamięć przywołała skojarzenie, które przejęło go dreszczem. Wiedział, że to się stanie, choć modlił się, aby nie nastąpiło. W tym samym momencie nad polaną nadleciał z piekielnym hukim wojskowy śmigłowiec Blackhawk.

Wszystkie twarze jak jedna spojrzały w górę. Myers zerknął wokół i pomyślał o pisklętach w gnieździe, czekających na pokarm.

Śmigłowiec zawrócił i zawisł nad polaną. W rozsuniętych drzwiach siedzieli uzbrojeni żołnierze. Jeden z nich trzymał coś, co wyglądało na kamerę. Myers niepostrzeżenie wyjął z kieszeni komórkę i ukrywając ją w dłoni trząskając zdjęciem tak szybko, jak pozwalał na to wbudowany aparat.

Dalej wszystko zaczęło się dziać jak na przyspieszonym filmie. Załedwie Myers zrobił ostatnią fotkę, zza zakrętu wyskoczył humvee i zahamował na polanie; ryk jego silnika rozplynął się w ogłuszającym łoskocie śmigłowca. To był prawdziwy, bojowy humvee, nie jeden z tych podpicowanych hummerów, którymi jeżdżą miejskie snoby, które mają za dużo pieniędzy. Myers zaryzykował kolejne zdjęcia i wysłał je swoim e-mailowym ekspresem, zwalniając w pamięci miejsce dla następnych.

Nadjechał jeszcze jeden humvee, a za nimi dwa ciemnozielone vany z przyciemnionymi szybami i aż nadto mu znanymi biało-niebieskimi tablicami rejestracyjnymi, które krzyczały z daleka: „Federalni!”

Z każdego humvee wysypało się po czterech żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym i w głębokich hełmach. Vany wypłuły z siebie po sześciu czy siedmiu policyjnych komandosów formacji SWAT. Myers w końcu zrezygnował z liczenia.

Żołnierze i federalni rozbiegli się po polanie. Federalni obstawili ludzi Myersa i odsunęli ich na bok. Jeden z nich wyszarpnął kamerę policyjnemu operatorowi. Myers wykonał ostatnią fotkę i wysłał ją wraz z całą resztą, a potem schował telefon do kieszeni i podszedł do fedzia z kamerą - z jego pieprzoną kamerą!

- Co ty sobie myślisz? - ryknął na niego, sięgając po kamerę zdrową ręką.

Nie zdążył dosięgnąć.

Druzgoczący cios wypchnął mu powietrze z płuc i powalił na ziemię. Myers upadł na zranione ramię i usłyszał, jak jego własny krzyk przebija się przez ogłuszający łoskot rotorów Blackhawka.

Przetoczył się na zdrowy bok i zobaczył jak federalni, ubezpieczeni przez żołnierzy, rewidują funkcjonariuszy policji, zabierając im broń, pałki, obezwładniacze i pojemniki ze sprayem pieprzowym. Zanim sierżant zdążył na powrót skupić wzrok rozkojarzony bólem, pole jego widzenia zasłoniła para oliwkowych gumowych butów do kolan. Podniósł wzrok i zobaczył, że należą do wysokiego, szczupłego mężczyzny o szpakowatych, krótko obciętych włosach i znamieniem na lewej stronie czoła. To był David Brown z Departamentu Bezpieczeństwa, a konkretnie ze Służby Celnej.

Brown, szybki jak kot, jednym płynnym ruchem uniósł ubłocony but, oparł go na zranionym ramieniu Myersa i nacisnął, zmuszając sierżanta, aby odwrócił się na plecy, i tak przytrzymał. John zobaczył uśmiech na twarzy przeciwnika i zaciął się, aby nie pokazać bólu. Wbił wściekłe spojrzenie w Browna. Wargi mężczyzny poruszały się, lecz słowa gubiły się w hałasie. Człowiek z Departamentu Bezpieczeństwa zauważył to, więc cofnął but i pochylił się nad leżącym.

Myers usiłował się podnieść, ale szybko przekonał się, że David Brown jest równie silny, co wysoki. Szpakowaty agent zafundował mu potężny cios płaską dłońią w mostek, który wbił go w błotnistą ziemię.

- Jesteś głupszy niż na to wyglądasz! - Agent, nachylając się do ucha Myersa, skandował słowa, usiłując przekrzyczeć Blackhawka. - Lepiej zmądrzej, facet, bo Patriot Act pozwala mi wrzucić twój żałosny tyłek do pierniczonej celi, o której mało kto wie i w której możesz tkwić do usranej śmierci, jeśli tak mi się spodoba. Nie muszę nawet przedstawiać ci zarzutów, ani dopuszczać do ciebie papugę czy udostępniać pieprzony telefon. Będę mógł cię tam posuwać, jak zechcę.

Myers, wpatrzony w niego zauważył coś, czego nie zauważył wcześniej, gdy widzieli się na rozprawie w sądzie - niewielki znaczek z symbolem Urzędu Celnego. To nie wróżyło niczego dobrego. Agenci celni zarobili sobie na opinię brutalnej bandy szybkostrzelnych rewolwerowców, którzy przemocą i agresją usiłują nadrobić brak kompetencji i bystrości.

- Dotarło do ciebie, tępy kutasie? - Szpakowaty wydarł się tak głośno, że drobiny śliny opryskały Johnowi twarz. Myers pokręcił głową. Dojrzał błysk skrytego gniewu w twarzy Browna i to było dla niego najskuteczniejszym rewanżem w danej chwili.

- Nadajemy na tej samej fali, dupku? - upewnił się mężczyzna. — Czy muszę wytłumaczyć ci dobitniej?

- Och, słyszę, co mówisz, chojraku - odparł Myers. - Ale nie rozumiem t w ojej postawy.

Agent uczęstował go cynicznym uśmiechem.

- Człowieku, mamy nową epokę! Jedenasty września zmienił wszystko, a tobie się zdaje, że to jeszcze dawne czasy.

- Ale...

- Stul pysk! Mam gdzieś to całe trucie o Konstytucji, praworządności i procedurach, czy inne naiwne kazania, którymi zapewne chcesz mnie uczęstować. Rozejrzyj się uważnie wokół i zapamiętaj: albo będziesz współpracować ze mną i prawdopodobnie awansujesz, co pomoże ci wyjść z tego śmierdzącego bagna, w jakim tkwisz. Albo będziesz trzymał

język za zębami i pilnował się, żeby nie wchodzić mi w drogę, a twoje żalosne życie nic się nie zmieni.

- Albo... - Mężczyzna znacząco zawiesił głos. - Albo, jeśli będziesz się trzymał tej samobójczej ścieżki, mogę zapuszkować cię - co ja mówię, po prostu zapuszczuję cię w miejscu, gdzie nikt cię nie znajdzie i będę cię tak trzymać, aż nie zaczniesz marzyć o śmierci.

Myers milczał.

- Czy wyrażam się jasno?

John Myers popatrzył w górę, na pełną furii, irracjonalnie białą twarz, emanującą żądzą władzy i zapaszkciem brzydkiej przeszłości. A potem przytaknął służbiście:

- Tak jest!

63 Tyrone Freedman mieszkał w obskurnej przyczepie, z trudem utrzymującej pijacką równowagę na podeście z popękanych betonowych płyt. Z dachu opadała wypłowiała niebieska markiza. Obok znajdowała się stara stodoła, zapadająca się jednym rogiem w grunt. Jej lepsza połowa służyła jako garaż i skład narzędzi. Za rzędem pekanowców wznosił się nadrzeczny wał Yalobushy.

- O, żesz! - skomentowałem na swój użytek.

- Widziałam gorsze - zapewniła Jasmine, wjeżdżając w otwarte wrota starej stodoły. - Niektórych nie stać nawet na markizę.

Pokręciłem głową, lustrując wzrokiem obejście.

- Ale on zasługuje na coś lepszego?

Kiwnąłem głową.

- J a k wielu ludzi tutaj.

Kiedy wyłączyła silnik, zobaczyłem, że na czubku tyki, umocowanej z boku przyczepy, do której zwykle prowadziły druty elektryczne i telefoniczne, znajduje się również owalny talerz.

- Patrz — powiedziałem. - Zdaje się, że ma bezprzewodowy, szerokopasmowy internet.

Jasmine wybuchła śmiechem.

- Przypomina mi to stary dobry serial *Max Headroom*, wiesz, ten o parze zwariowanych starsuszków, którzy mają ruchome studio telewizyjne w swoim odrapanym busie.

- Zupełnie zapomniałem, że był kiedyś taki serial - przyznałem.

- Uwielbiałam go.

- J a też.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę i milczenie błyskawicznie nam zaciążyło. Przerwałem ten moment, otwierając drzwi wozu.

Kiedy szukałem drogi między gratami, zalegającymi połowę stodoły, Jasmine otworzyła drzwi auta z drugiej strony. W półmroku dostrzegłem sylwetkę starego, zardzewiałego traktora i znalazłem klucz do przyczepy, leżący na bloku silnika, takjak powiedział mi Tyrone.

Podłoga przyczepy ugięła się pod stertami książek. Markiza, opadająca z dachu, upodobiała ją do namiotu. Wewnątrz panował miły chłód; szumiały niewidoczne sprężarki okiennych klimatyzatorów. Zapaliłem światła.

- Włącz to - powiedziałem, pokazując na komputer w rogu przedziału, który zwał się zapewne „salonem”. Za nim był router oraz okablowanie kategorii 5, z pękami przewodów, ciągnącymi się po suficie i dalej, wzdłuż wąskiego korytarzyka.

- Zaskoczona?

- Bynajmniej.

Podszedłem do komputera i włączyłem monitor. Po chwili rozbłysnął ekran z logami Red Hat Fedora Linux i Apache Web. Szybki rzut oka na sprzęt uświadomił mi, że komputer jest składakiem, zmontowanym ze wszystkiego, co nie przydało się innym.

Razem z Jasmine przeszedłem śladem ciągnących się po ścianie kabli do drugiego pomieszczenia, wypełnionego ka-

talogami i kompendiami medycznymi, w którym królował drugi składak. Włączyłem go zgodnie z instrukcją Tyrone'a. I ten miał oprogramowanie Linuxa.

Jasmine zabębniła palcami w niekompletną obudowę procesora.

- Zawsze zdumiewało mnie, ile niektórzy potrafią zdziałać, mając tak niewiele... - stwierdziła, kończąc zdanie skrywanym ziewnięciem.

- Och, przepraszam - spieszyła się.

- Daj spokój. Oboje musimy się przespać, zanim wyjedziemy stąd dzisiaj.

- O której musimy wyjechać?

- Mniej więcej o jedenastej trzydzieści, żeby być w Itta Bena około północy.

- Czemu tak wcześnie? Przecież jesteśmy umówieni z Shankerem o trzeciej rano.

- Na wszelki wypadek. Bardzo pocieszająca myśl, to fakt.

- Bądź gotów na najgorsze; módl się o najlepsze.

- Uhm...

- Wydawałoby się, że trzy godziny to całkiem dużo czasu, ale ostatnio nasz czas pędzi z kosmiczną prędkością - zauważyła Jasmine.

Czekając, aż komputer wgra program, rozglądałem się po pokoju i zobaczyłem klasyczny atlas anatomii Arthura Guytona, z którego korzystałem na uczelni. Guyton, jeden z najbardziej przenikliwych intelektualistów tego świata, skromnie mieszkał w Jackson, wykładał na miejscowej akademii medycznej i stał się guru dla wielu nowo opierzonych lekarzy, w tym mnie.

Zdjąłem tom z półki i pokazałem Jasmine.

- On pomógł mi zmienić moje życie.

Otworzyłem książkę i jąłem kartkować strony. Jasmina przysunęła się bliżej, aby widzieć i oparła lewą dłoń na moim ramieniu. Pewność jej dotyku udzielała się mojej skórze pokrząpiającym ciepłem.

Wiedziałem, że nie ma sposobu, abym odwdzieczył się doktorowi Guytonowi za to, co dla mnie zrobił.

Na monitorze pojawiło się zapytanie o hasło i nazwisko użytkownika.

- Już. - Odłożyłem Guytona i zacząłem wpisywać dane, które podał mi Tyrone.

- ArrOwcaTCHer666homeINtHEwoods - mruczałem do siebie, wpisując starannie ciąg liter i cyfr.

- Cholernie długie to hasło - zauważyła Jasmine.

- Im dłuższe, tym trudniejsze do złamania.

Skoncentrowałem się na dalszym ciągu: 5149VmB9a65-P7baDhOmbreNotXarb.

W chwilę po wciśnięciu klawisza enter, wyświetlił się KDE, graficzny interfejs użytkownika z moim nazwiskiem i linkiem. Kliknąłem.

Długi tekst Tyrone'a pojawił się w Open Office.

„Alarm i stan gotowości w całym szpitalu. Chodzi o ciebie. Uważają cię za niebezpiecznego gościa i chcą, żebyśmy byli przygotowani na krwawe wypadki. Na dachu parkuje nawet helikopter ratowniczy. Co ty, do licha, robiłeś, zanim wzięłeś się za medycynę?”

„Przez to wszystko nie wrócę do domu, będę dyżurował poza laboratorium. Tu jest szaleństwo. Wszędzie wojsko i fedzie. Opatrywaliśmy Myersa, rannego w ramię. Sanitariusze, którzy go przywieźli, wyglądali jakby wrócili z piekła. Ten blondasek z różową skórą i piegami zrobił się jeszcze bardziej biały, w co trudno uwierzyć. Bloku operacyjnego pilnuje przez cały czas naprawdę przerażający typ w pełnym rynsztunku SWAT. John nie odezwał się do mnie słowem, kiedy opatrywałem mu ranę. [Kliknij tutaj](#), a zobaczysz, dlaczego był tak cholernie spokojny; Potem sanitariusze odwieźli go do domu.”

Kliknąłem i komputer wyświetlił adres IP: 216.226.157.157, bez nazwy domeny, tylko ten adres, który najwyraźniej nie znajdował się na serwerze Tyrone'a.

- O, cholera! - zachłysnęła się Jasmine, kiedy na ekranie wyświetliła się strona ze zdjęciami, wyraźnie robionymi z ukrycia. Pokazała na jedno, na którym był wojskowy śmigłowiec. Przeglądaliśmy zdjęcie po zdjęciu dokumentację Johna - martwej snajperki oraz scen strzelaniny, w której tak niedawno uczestniczyliśmy. Potem przeszliśmy do obrazów najazdu humvee, vanów i komandosów. Zdjęcia miały kiepską rozdzielczość, jak to z komórki i w dodatku robiono je z ukrycia, ale to, co dało się na nich zobaczyć, wystarczyło nam, by wyrobić sobie obraz wydarzeń. Na koniec przeczytaliśmy pisane komentarze Johna, które Tyrone wrzucił do swojego komputera.

Zamknąłem Mozillę i natychmiast pojawiło się okienko dialogowe z komunikatem: „Proszę czekać. WEBSweeper usuwa wszystkie tymczasowe dane i historię operacji oraz wymazuje związane z tym sektory dysku. Zgodnie ze standardami Narodowej Agencji Bezpieczeństwa”.

Po chwili okienko znikło i mogliśmy kontynuować czytanie.

„Edytowałem logi dostępowe szpitalnego serwera, aby usunąć jakiegokolwiek ślady mojego wchodzenia na tę stronę internetową. Zarówno ona, jak i zdjęcia znajdują się na serwerze poza USA i poza strefą wpływu Agencji Bezpieczeństwa. Serwery zostały całkowicie ukryte z użyciem wielowarstwowego systemu routingu, zwanego Tor.”

Jeśli będziesz potrzebował broni, unieś dywan w korytarzu, dokładnie tam, gdzie jest wylot wentylacyjny piecyka, a znajdziesz ją w skrytce. Kombinacja, otwierająca zamek skrytki, jest w haśle tego komputera. Są to pierwsze cztery cyfry, licząc od tyłu. Przy wale zrobiłem strzelnicę, możesz sobie poćwiczyć.”

„Dobra wiadomość: Lashonna odzyskała świadomość i ma się lepiej niż się spodziewałem.”

- Dzięki Bogu - powiedziała cicho Jasmine, a potem pochyliła się i pocałowała mnie w policzek. - I dziękuję, tobie, doktoru.

Pocałunek poprawił mi humor, ale tylko na moment, bo zacząłem czytać następny akapit.

„Wolałbym mieć dla ciebie lepsze wiadomości o Camilli, no cóż, [kliknij tutaj](#), a zobaczysz kolejne obrazy. Pliki pochodzą ze szpitalnego serwera, ale nie martw się, bezpieczeństwo dostępu zapewnia cały szereg serwerów proxy z lewym numerem IP.”

Mój ziemski podziw dla komputerowej fachowości Tyrone'a w zacieraniu swoich śladów oraz dowodów Myersa, rozplynął się w czarnej nicości, która ogarnęła mi duszę po przeczytaniu ostatniego komunikatu.

Camilla umarła, kiedy mnie przy niej nie było.
Zapłakałem.

64 Dan Gabriel jechał wynajętym autem autostradą 101. Znajdował się na północ od Paso Robles, gdy zadzwoniła komórka.

- Gabriel, słucham - powiedział.

- Nie wstąpiłbyś po drodze do In-N-Out Burgera, tu nie daleko? - zapytał Jack Kilgore.

- Skąd wiesz, gdzie jestem?

- Masz nowy typ komórki z lokalizacją GPS.

- Ach, zapomniałem... Dowiedziałeś się czegoś?

- Wiele. Ten Stone to istny Rambo. I naturalny dwuprocentowiec, zabijający absolutnie skutecznie, sprawny, zawsze kontrolujący sytuację. Dawniej, jeśli życzyłeś sobie, aby trup ścielił się gęsto, wystarczyło posłać po Stone'a. Ale potem odbiło mu religijnie, czy coś w tym stylu, zwolnił się z wojska i poszedł na kurs dla ratowników medycznych. Uratował wiele żywotów. Aż wreszcie rzucił to i został pełnowymiarowym lekarzem.

- Nie jest to rodzaj człowieka, którego chciałbym wykończyć - powiedział Gabriel.

- Potwierdzam. Chyba jeszcze nigdy nie miałem takich oporów wobec rozkazu generała.

Cisza, która zapanowała na linii, potwierdziła nie wypowiedziane wątpliwości.

- A w Missisipi, niedaleko tego starego szpitala przy obwozie jenieckim, gdzie przebywał generał, dzieją się dziwne sprawy - podjął Kilgore. - Mam paru swoich chłopaków, którzy je śledzą. Wygląda na to, że przypały z Bezpieczeństwa Wewnętrznego rozdmuchały tam akcję, która miała być, pożałuj Boże, popisem ich sprawności operacyjnej. Już skauci zrobiliby to lepiej! Typowy syndrom słonia w składzie porcelany, co zresztą nie dziwi, odkąd kręci tym Brown z Celnej i banda jego nakręconych rewolwerowców. Przecież nikt inny, tylko oni po 11 września wyhaczyli tych wszystkich niewinnych muzułmanów, żeby rzucić ich na pożarcie, aby biurokratyczne dupki w gabinetach mogły się wykazać. Teraz z kolei puścili w obieg listy gończe ze zdjęciami Stone'a i Jasmine Thompson jako poszukiwanych przestępców.

- Oskarżonych o co?

- O morderstwo i rozprowadzanie narkotyków w Los Angeles.

- Ładnie!

- Jeszcze coś, Dan.

- N o ?

- Brown bardzo często dzwoni ostatnio na komórkę Braxtona.

65 Nie miałem pojęcia, jak długo szedłem wałem. Pamiętałem, że wypadłem jak burza z przyczepy Tyrone'a, ale nie pamiętałem, czy powiedziałem cokolwiek do Jasmine. Wiadomość o śmierci Camilii wyrwała w moim jestestwie dziurę, jak kula oło-

wiu wrzucona w moką papierową torebkę. Posuwając się drogą wzdłuż korony wału, doszedłem do zamykającej ją pasiastej metalowej bariery, zamkniętej i osadzonej na słupach, wpuszczonych w beton.

Stałem tam przez chwilę.

Twarz ociekała mi potem w wilgotnym upale. Dokoła mnie ziemia parowała po deszczu w gorących promieniach słońca, dostarczając dodatkowej porcji wilgoci parnemu powietrzu Deltę i szykując grunt pod kolejną burzę. Muchy cięły gołe nogi, a wokół brzęczały moskity, spęczniałe od cudzej krwi i spragnione moją. Histerycznie wymachiwałem rękami w powietrzu, usiłując utrzymać je na dystans. Wreszcie puściłem się biegiem z powrotem, zostawiając za sobą chmurę insektów; niosło mnie poczucie winy, gniew i żal.

Potrzebowałem prawie kwadransa, żeby wrócić, co oznaczało, że przeszedłem trzy, albo nawet cztery kilometry. Kiedy zbiegałem ze stromizny wału, usłyszałem synkopowany, gitarowy rytm *Preaching Blues, Up Jumpin' the Devil (Diabeł w skok, blues się modli)* Roberta Johnsona, dochodzący z przyczepy.

Blues wyszedł mi naprzeciw i pozwoliłem mu zaprowadzić się do domu. Pomimo upału drzwi czekały zapraszająco otwarte. Wszedłem do środka.

- Jasmine? - zawołałem i nie otrzymałem odpowiedzi, zamknąłem drzwi frontowe.

Rozpaczliwą przemożność tego bluesa paradoksalnie podkreślał chłodny, nosowy sposób śpiewania Johnsona. Bardzo wiele z jego piosenek, przenikniętych pełną pasją świadomością zła, drażącego nasze życie, skłaniało mnie do smutnego przeglądu wspomnień. Lecz *Preaching Blues* wdzierał się we mnie jak krzyk. Stanałem w oknie i rozsunałem zasłony, licząc, że zobaczę Jasmine, jak wraca od samochodu.

Gorączkowe, pierwotne emocje Johnsona mieszały się z moimi, gdy słuchałem go dalej. Smutek bluesów draży jak sercowa choroba. Brak nadziei jest ostatnim kręgiem piekła.

Kiedy Johnson skończył, dźwięk jego głosu i gitary zamarł jak ostatnie krople ulewy po burzy. A potem nastała cisza, wypełniona łoskotem przyboju mego serca i dalekim, monotonnym warkotem kombajnu na polu. W chwilę potem zaskrzypiała podłoga i owionął mnie zapach Jasmine, korzenny, ziemski, zapraszający, ciepły.

- Skąd wiedziałas? - Kiedy się odwróciłem, jej spojrzenie unieruchomiło mnie. Fioletowa głębia oczu, nieskończona w swoim pięknie, zdawała się nie mieć dna. - Mówię o muzyce.

W tle Johnson zaczął *Love in Vain* {Miłość bez nadziei} i dopiero teraz poznałem, że to ta sama płyta *Hellhound on My Trail* z Indigo Records, którą zostawiłem w wynajętej furgonetce.

- Nie potrafię ci powiedzieć - odparła. - Po prostu wiedziałam, kiedy zobaczyłam tę płytę, leżącą obok wieży. - Przybliżyliśmy się do siebie z Jasmine i objęli pośrodku salonu.

- W porządku? - zapytała.

- Tak - skłamałem. - Nie. Nie jest w porządku. Camilla pośrodku tego wszystkiego...

- Za wiele?

- Nie - odparłem szczerze. - Ale byłem cholernie blisko.

Oparła głowę na moim ramieniu. Objąłem ją mocniej i koiłem się jej bliskością, dopóki najgorsze nie minęło. Tyle śmierci, tyle strat. Mógłbym tak trwać wiecznie.

Nagle, jak gdyby poza granicą myśli i decyzji zadziałał włącznik, przylgnęliśmy do siebie ciasno, zawieszeni między desperacją a miłością. Zmysłowy nacisk piersi Jasmine momentalnie mnie podniecił. Kiedy przywarła do mnie biodrami, pożądanie nabrało siły sejsmicznego wstrząsu wraz z towarzyszącą mu falą odczuć, o których zdążyłem zapomnieć przez ostatnie sześć lat.

Rzeczywistość nabrała przyspieszenia. W parę sekund byliśmy obnażeni do pasa i szarpaliśmy się z resztą ubrania.

Pełne, eleganckie linie ciała kobiety i gładkość skóry, emanującej wewnętrznym, ciepłym blaskiem oszołomiły mnie i wypędziły wszystkie myśli poza horyzont tej chwili, odległy i nieistotny.

A potem w mojej głowie rozbrzmiały alarmowe dzwonki.

Czysta, skondensowana żądza - obojętnie, czy wynikła z namiętności, nienawiści, gniewu albo lęku - przeraziła mnie do głębi. Widziałem, jak wypełniała pola bitew ciałami niewinnych ludzi i rujnowała młode życia niechcianymi dziećmi. Więzienne cele były wypełnione zastępami zasadniczo uczciwych osób, które pozwoliły, aby pożądanie zmieniło ich losy w studnię goryczy bez dna.

W młodości pchałem się twardo przez życie, z pięściami gotowymi do ciosu, opętany fallusem i szybkimi wozami. Lecz wystarczył niecały rok, by wszystko się rozsypało, unicestwione przez policję, rodziców oraz nieplanowane ojcostwo.

Za sprawą błędów, jakie wobec mnie popełnili, uświadomiłem sobie, że nieokiełznana żądza wszystkiego może wytworzyć zasysającą czarną dziurę nigdy niezaspokojonych wyrzutów sumienia, przed którymi nie ma ucieczki. Lękałem się sposobu, w jaki czyni nas ona ślepyimi na wszelkie konsekwencje i znosi wszystko, poza jednym - nagłą potrzebą spełnienia. Jest to diabelski pakt, w którym sprzedajemy przyszłość za oślepiający spazm, po którym jesteśmy bardziej spragnieni niż kiedykolwiek.

Natarczywe sygnały pulsowały w mojej głowie, kiedy dłonie Jasmine wędrowały po mojej piersi i w dół brzucha. Kiedy pochyliłem się, aby ją pocałować, zsunęła prawą rękę na częściowo rozpięty rozporek szortów. Szarpnąłem się w tył z ogromnym wysiłkiem, jak ktoś, kto budzi się z wyjątkowo okropnego koszmaru.

Jasmine była zaskoczona, nic nierozumiejąca. Stałem przed nią, płonąć żalem, jakby chodziło o śmierć kogoś bliskiego. Na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie.

- Co się stało? - zapytała w końcu. Głos miała niski i kuszący.

Chciałem powiedzieć, że potrzebuję jej bardziej, niż da się to wyrazić słowami.

- Przeze mnie? - Spłoszyła się i skrzyżowała ręce, zakrywając piersi.

Poczułem ucisk w sercu.

- Nie. Absolutnie nie przez ciebie.

Chciałem powiedzieć, że nadto często zdarza się, iż dwoje ludzi pod presją niebezpieczeństwa mylnie bierze hormony strachu, buzujące im w żyłach, za hormony miłości. Poza tym chodziło o ciało Camilli, jeszcze niewystygłe.

- Więc w czym problem?

Chciałem odpowiedzieć, że jak komentarze jej wuja oraz pewnego czarnego detektywa z policji w Los Angeles przysłużyły się mojej postawie. Pragnąłem również powiedzieć o sprawach nie do przyjęcia, jak AIDS, kondomy i pytanie, czy naprawdę chcemy to zrobić bez zobowiązań, bez małżeństwa, czy to w oczach Boga, czy prawa. Jednak z przyczyn dla mnie niezrozumiałych nie wypowiedziałem nic z tego.

- Och... - powiedziałem - w tym, że tak bardzo cię lubię. - Głos mi się załamał. Odchrząknąłem. - J a s m i n e , j a... bardziej niż lubię. - Patrzyłem jej w oczy, w twarz i połączyłem ten widok ze słowami, które miały dla mnie największą wartość wśród znanych mi słów.

- Kocham cię.

Zmieszanie pojawiło się w jej wzroku.

- Och, Brad. Ja też cię kocham. - Lekko pokręciła głową. - Więc dlaczego...

O tym wszystkim chciałem powiedzieć, ale na końcu zabrakło mi odwagi i zacząłem płakać. Postąpiłem ku niej, aby ją uściskać. Serce zablokowało mnie, kiedy się odwróciła.

Gdy ubierała się, stojąc plecami do mnie, założyłem koszulę i zapiąłem rozporek. Modliłem się, aby minęła jej uraza i aby nie popsuło to naszych stosunków. Rozum mówił

mi, że związek, który nie jest zdolny znieść doświadczenia rozumnego osądu, nie przetrwa, lecz serce zaprzeczało.

Wreszcie, po czasie niemal tak długim jak epoka geologiczna, Jasmine odwróciła się, ocierając łzę z prawego policzka. Kiedy jej twarz ofiarowała mi uśmiech Mony Lizy, wiedziałem już, że wszystko będzie dobrze. Tym razem przyjęła mój uścisk i odwzajemniła go.

- To było chytne posunięcie - powiedziała. - Niech cię szlag! Któregoś dnia opowiesz mi o tym. - Nie było to pytanie.

- Uhm - pokiwała głową. - T a k , opowiesz. I wiesz co? Wierzę, że mnie kochasz. Inaczej nie postąpiłbyś w ten sposób. Ja cię też kocham.

Zmęczenie zaburzyło spokój tej chwili, wypełniając próżnię, pozostawioną przez żądzę i desperacko nakazując nam odpoczynek. Rozłożyliśmy kanapę w pseudosalonie Tyrone'a Freedmana. Włączyłem budzik w zegarku i zasnęliśmy w swoich objęciach.

66 Gdyby nie raperski łomot 50 Cent'a, wylewający się z otwartych okien stuningowanej hondy z wyścigowymi felgami i nalepką na tylnej szybie, która definiowała kierowcę jako „Wkurzonego zajeba”, klienci, wychodzący z marketu znajdującego się w zachodnim krańcu rynku w Itta Bena usłyszeliby dźwięki akustycznej gitary, wybiegające z otwartych drzwi dawnego sklepu z tekstyliami po drugiej stronie ulicy.

I usłyszeliby przesterowany głos starego, pomarszczonego i chudego gościa - tego, który niegdyś pił z samym Missisipi Johnem Hurtem - śpiewający o bólu i zdradzie. Lecz klienci nie słyszeli nic, a gdyby nawet, i tak pewnie niewiele by ich to obeszło - do tego stopnia blues wtopił się w podświadomość krainy, która go wydała.

Sklep z czasem zmienił się w lokalną knajpę skrzyżowaną z trafiką. Choć stary, nie zachował żadnych klimatycznych napisów, metalowych szyldów, reklam czy innych kulturowych tropów, które z taką lubością śledzą zamożni biali turyści.

Miejscowi mówili na ten lokal po prostu „u Leny”. Wcześniej znajdował się w innym miejscu, ale przypadkiem odkryli go ci upierdliwi turyści i zaraz się tam zalegli. Wtedy Lena przeniosła knajpę do sklepu i rozpuściła wieść wśród miejscowych. Takie opuszczone budynki bez szyldów łatwo mogą przeoczyć przyjezdni, ale nie miejscowi.

Teraz lokal Leny krył się w cieniu wielkiej wieży ciśnień, leżąc o krok od posterunku policji i siedziby straży pożarnej oraz parę kroków na zachód od baru, którego właściciele rzadko pozwalali na popisy muzyczne, połączone z potężną popijawą.

Tego dnia u Leny było pełno gości. Bywalcy, którzy zjawili się wcześniej, tłoczyli się na składanych krzeselkach wokół karcianych stolików i stali pochyleni nad dużymi, bankietowymi stołami, których Lena używała jako przenośnego baru. Reszta tłumnie podpierała ściany; wielu siedziało na zdartej drewnianej podłodze. Papierosowy dym wisiał warstwami pod sufitem, a w tytoniowy sztynek wgrzyzała się kąśliwa woń naftalinowych kulek, które dawniej chroniły zapasy wełnianych tkanin przed molami.

*Ohej, Bob strzelił raz, a za nim Louis
I w starego Collinsa tak pruli i pruli.*

Stary na tyle trzymał się melodii, aby bawić swoim śpiewem i na tyle odchodził od niej, aby mógł uchodzić za bluesowego naturzyczka; za autentyczne przeciwieństwo tych perfekcyjnie wysterylizowanych i przesadnie zorkiestrowanych produkcji rozprowadzanych na CD, totalnie wypranych z bólu i z emocji.

W odległym rogu sali, obok drzwi oznaczonych „Toalety”, które prowadziły po prostu na podwórko, u szczytu

prostokątnego stołu, siedział John Myers w towarzystwie wuja Jasmine, Quincy'ego Thompsona i Pete'a Mandeville'a, mulata, swojego zastępcy - tego, który znajdował się na scenie zabójstwa, gdy nadjechali Federalni. Drugi koniec stołu ugiął się pod naciskiem potężnych, mięsistych łokci szefa policji w Itta Bena, olbrzyma w wielkim, czarnym kowbojskim kapeluszu i skórze tak napiętej, gładkiej i smolście czarnej, że lśniła jak lustro.

Z drugiej strony, wtłoczeni w najmniej wygodny kąt lokalu, w załomek przy wystawowym oknie, bez przerwy zasłaniany skrzydłem otwieranych drzwi wejściowych, siedzieli dwaj na oko trzydziestoletni biali mężczyźni w szytych na miarę garniturach, ostrzyżeni za 50 dolarów, błyskający idealnie równymi, przeraźliwie białymi zębami. Krzywiąc się, popijali tanią zbożową whisky, którą serwowała im Lena, zupełnie nie przejmująca się ich wyrafinowanymi gustami.

Śpiewak, którego wszyscy nazywali Patem, zakończył opowieść o biednym starym Collinsie, który poszedł do aniołków i w pełnej szacunku ciszy mistrzowsko uporał się z ostatnimi frazami. A kiedy wybrzmiały finalne tony, wybuchła owacja, która zagłuszyła ryk kolejnego z topowych kawałków 50 Cent'a.

Gdy oklaski ucichły, Quincy Thompson podjął przemowę tam, gdzie ją przerwał.

- Mówię wam, że wszystko stało się z powodu tego białyasa. Jego błąd polegał na tym, że przyjechał tutaj z Jasmine i wszedł jej do łóżka. - Popatrzył po swoich towarzyszach, oczekując potwierdzenia. Nikt nie skrzyżował z nim wzroku.

- Uważasz, że ci tam to cywile czy wojskowi? - Mandeville przechylił głowę, wskazując gestem frontowe drzwi.

- Cywile. Popatrz na te fryzury - powiedział szef policji, a jego bas zadudnił jak odległy grzmot. - I garniaki - to jasne, że nie skrojono ich w wojsku. Takie ubrania trudno zidentyfikować.

- Ten z lewej jechał ze mną do Johna - powiedział Mandeville.

- Ten drugi sterczał w samochodzie pod moim domem, gdy nadjechał Pete - uzupełnił John.

- Nie płacimy na darmo podatków! - zarechotał szef policji.

- Dobra, dobra, ale zjechaliście z tematu, a cholernie ważne sprawy kręcą się wokół tego Stone'a - obstawał przy swoim Quincy.

Myers wzniosł oczy do nieba. Pozostali mężczyźni zainteresowali się resztkami taniego bourbona, opływającego resztki lodu w ich szklankach.

Quincy nie rezygnował.

- Posłuchajcie mnie wreszcie. On...

- Och, jasna sprawa, Quince, masz problem - stwierdził sarkastycznie Myers. - Masz problem, odkąd dziany, biały chłoptaş z siwiejącym łbem, który wyrobił sobie w czarnej dziurce taką mokrą, słodką bazę, o której nawet nie śni ci się nad ranem, przeleciał kawał kraju, żeby wylądować w łóżku t w ojej siostrzenicy. Meyers dopił swój bourbon i pochylił się do Quincy'ego.

- Facet, jak na kogoś, kto ma pieprzony profesorski tytuł, potrafisz być głupio upierdliwy - dodał.

Mandeville stłumił śmiech. Quincy spiorunował go spojrzeniem.

- Quincy, doktor Stone jest w porządku i nie ma co wspominać o jego dziadku. Przyjechał tu, ponieważ twoja siostra - Panie, świeć nad jej duszą - prosiła go o to - zakończył Myers, poważniejąc.

- Wiem, John, ale z zasady nie ufam białym, a w szczególności temu gościowi. Zobacz, jaka krew płynie w jego żyłach. Niemożliwe, aby mógł oderwać się od swojego dziedzictwa. - Quincy urwał na moment. - Nie mogę spokojnie przyjąć do wiadomości, że mój ojciec przez całe lata pracował dla Sędziego i opiekował się tym chłopakiem. I ciągle

widzę tatkę Ala, który siedzi przy stole i częstuje nas tekstem: „Ja nie żaden zwykły czarnuch, tylko szofer syndzi Stone'a”. - Zerknął na Johna, szukając zrozumienia. - Ty byś zapomniał o czymś takim?

Rozejrzał się po towarzystwie przy stole.

- Co, zapomnieliście? Nie, panie! Tak, panie! Białasy robią zamęt, a my kręcimy się wokół nich jak gówno spuszczone w kiblu. - Oskarżycielsko rozejrzał się po sali i zamarł ze spojrzeniem wlepionym w kolejną białą twarz w rym lokalu.

- Tak zajmujecie się tymi białymi typami przy drzwiach, że nawet nie zauważyliście, że w grze jest jeszcze jeden biały gość! Spójrzcie tylko na Lenę! Dolewa mu tego samego przedniego bourbona, co nam!

Myers zacisnął powieki i potrząsnął głową, a potem otworzył oczy i przemówił:

- Quincy, tu się dzieją konkretne sprawy i wolelibyśmy wszyscy, żebyś zatrzymał pewne opinie dla siebie. Bo w ten sposób tylko nam przeszkodzisz. Każdy z nas ma swoją teorię. Zebraliśmy się tutaj między innymi, żeby przepracować problem t w o jej siostrzenicy, ale wierz mi, że moja wyobraźnia sięga dalej niż ten twój białas, który gustuje w czarnych cipkach.

Szef policji i Pete Mandeville przytaknęli zgodnie.

- W porządku - stwierdził niechętnie Quincy Thompson. - Ale proszę, żebyście wypowiedzieli się wreszcie na temat białego gościa, koło którego skacze Lena. Już kiedyś go widziałem. - Zgodnie popatrzyli w kierunku starego bluesmana, który podszedł do mężczyzny i przywitał go wylewnie.

- O, żesz, patrzcie! Nawet Pap liże mu buty!

- Zbastuj wreszcie, Ouincy! - W głosie Pete'a Mandevilla zabrzmiała ostra nuta, tnąca jak bicz. - To jest Steve La Vera. Gdyby nie on, bogate kompanie płytowe wydrenowałyby do zera dziedziców starego Roberta Johnsona. Ten gość wykłada kupę s w o jej kasy, aby blues mógł nadal żyć.

I to są prawdziwe nagrania, a nie perfumowane gównem dla turystów.

- Żeby nie wspomnieć B.B. Kinga - nadmienił szef policji. - To też był chłopak z Itta Bena.

- Zgadza się. - Myers zamachał rękami. - Możemy już przestać?

Mandeville i szef policji jak zwykle zgodnie skinęli głowami. Quincy Thompson obdarzył ich po kolei wściekłym spojrzeniem, a potem zgarbił się w krzesło, krzyżując ręce na piersi.

- Okay, Quincy, opowiedz nam teraz o tym telefonie - powiedział Myers.

- Taa, taa - mruknął z niechęcią Quincy, prostując się powoli w krzesło. - Dlatego właśnie pojechałem do tej starej budy. Shanker zadzwonił do mnie i powiedziałem, że domyślam się, gdzie może być Jasmine. Tylko nie miałem pojęcia, że będzie tam hodowała tego białego...

- Do rzeczy, Quincy! - ostrzegł gromko szef policji.

- Ee, już. W każdym razie byli tam o trzeciej nad ranem, w starej kanciapie Sędziego Stone'a. - Odrzucił głowę w tył. Wszyscy siedzący przy stole znali tę starą, prymitywną chałupę, obrośniętą kudzu, znajdującą się niedaleko stąd, kierunku północno-zachodnim.

- Czy aby Pap nie ćwiczył tam w dawnych czasach? - zagadnął Myers.

Szef skinął głową.

- Bardzo wielu pracowało tam dla Sędziego. W każdym razie mój papcio na pewno. - Urwał na chwilę. - Holy Rollers co roku rozstawiają w tej okolicy swój namiot i robią koncerty ku pamięci.

- Dlaczego oni mieli spotkać się z Shankerem? - zastanawiał się Mandeville.

Quincy pokręcił głową na znak, że nie ma pojęcia.

- Mam parę wytłumaczeń - powiedział Myers. - Większość przyszła mi do głowy po przejrzeniu akt Talmadge'a.

Reszty dowiedziałem się od Vanessy. Powiem wam teraz, co wiem i wspólnie zastanowimy się, co dalej robić.

67 W jarzeniowym blasku biurowych przedziałów siedziby Departamentu Bezpieczeństwa w Greenwood David Brown, słysząc dzwonek, zaciągnął się ostatnim sztachem marlboro i wziął słuchawkę bezprzewodowego szyfrowego telefonu.

- Brown, słucham.

- Mamy coś.

- Dawaj.

- Zapis sieciowej aktywności Tyrone'a Freedmana; teksty zakodowane i przepuszczone przez serwery poza naszą kontrolą.

- Czy to nielegalne?

- Nie. Przynajmniej na razie.

- W takim razie przyciśnij tych buców z Kapitolu, żeby uznali to za niezgodne z prawem. - Brown chciwie sięgnął po pudełko marlboro. Było puste. Z nadzieją pogrzebał w nim palcem. Na próżno.

- Kurwa!

- S i r ?

- Nic takiego. - Brown cisnął pustym pudełkiem do kosza i chybił. Czerwono-czarno-biały kartonik wylądował na podłodze obok dwóch innych, tak samo pustych. - Okay, skoro nie możemy dogrzebać się do tych wiadomości, po cholere nam ta informacja?

- Załogowano się w jego przyczepie mieszkalnej.

- I ?

- Freedman w tym czasie pracował w szpitalu.

- Przywieźcie mi tu jego czarny tyłek - polecił Brown.

- Sir! Jest coś jeszcze.

- Mów.

- Mamy dane, model i tablicę rejestracyjną wozu, który wynajęła ostatnio ta zabita blondynka.
- Przekażcie mi wszystko.
- Tak jest!

68

Kiedy dojeżdżaliśmy do Itta Bena wąską gruntową drogą, była północ i księżyc w pełni zaczął osuwać się za horyzont. Jasmine zgasła światła, jak tylko zjechaliśmy z autostrady i korzystała z jego bladej poświaty. W pewnym momencie musieliśmy się przeciskać przez gęstwą jeżyn, płózających się po mało używanej drodze i czepiających się nas kolczastymi pędami. Gdy się skończyły, stanęliśmy, nie gasząc silnika. Dalej ciągnęła się asfaltowa ulica z szeregami skromnych domków po obu stronach.

- Gdzie my u lichajesteśmy? - zapytałem, rozglądając się.
- Trochę na północ od starej odziarniarni bawełny.

Opuściłem szybę po mojej stronie. Nocne wonie ziół i kwiatów snuły się w wilgotnym, chłodnym powietrzu.

- Zróbmy kółko, żeby sprawdzić, czy nie ma tu niegrzecznych chłopców, a potem znajdziemy dobre miejsce do parkowania - powiedziałem.

- Okay. - J a s m i n e ruszyła powoli, skrzyła w lewo i włączyła reflektory. Po niecałej minucie przecięliśmy główną drogę dojazdową i skrzyliśmy w prawo.

Dom pani Ewy - za Boga nie mogłem przypomnieć sobie jej nazwiska - mignął po lewej. Eva była wdową i hodowała na podwórku całe stado żółtych i zielonych długoogonowych papug oraz drobiu. Pamiętałem, że często do niej chodziłem. Kury siedziały na grzędach, a ona wybierała spod nich brązowe, duże jaja i wkładała do wyplatanej koszyka, który pozwalała mi nosić za sobą od momentu, kiedy skończyłem sześć lat. W sąsiedztwie ktoś zbudował dom na

gruncie, należącym niegdyś do żony Sędziego, Mamy - tam, gdzie był jej ogród różany.

Wkrótce po tym, jak Jasmine skręciła w prawo za ceglany ewangelickim kościółkiem, minął nas pędzący z przeciwnika niewielki samochód z jarzącymi się ostro halogenowymi światłami i fioletową poświatą neonu, emanującą spod podwozia. Niemal w tej samej chwili z drugiej strony przesunął się wolno wóz patrolowy policji z Itta Bena. Serce zamarło mi na ułamek sekundy. Ruszyło znów, gdy znikł, nie zainteresowawszy się nami.

- Czy możesz zatoczyć koło i podjechać do odziarniarni tak, aby znalazła się po mojej lewej stronie? - spytałem.

Jasmine skinęła głową i zrobiła pętlę, jadąc przez osiedle niskich, ładnie utrzymanych bloków. Dopiero po dobrej chwili rozpoznałem, że jesteśmy w Balance Due, dawnym slumsie biedoty. Nie zostało śladu po obłazających z farby, obskurnych mieszkalnych barakach ze śmierdzącymi kloakami.

- Wiesz, tu niedaleko jest ulica nazwana imieniem mojego dziadka - odezwała się Jasmine.

Pokręciłem głową z podziwem.

- Ulica Ala Thompsona? Serio?

- Serio.

Rozmyślałem o tym przez chwilę.

Lekki uśmiech trwał na wargach Jasmine, gdy wracaliśmy z powrotem, objeżdżając z odwrotnej strony budynek odziarniarni. Kiedy zwolniliśmy przed skrzyżowaniem z drogą prowadzącą od rynku, usłyszałem jak ktoś gra *Hard Time Killin' Floor (Trudny zabijania czas)*.

*A ludzie wędrują wciąż od progu do progu
Nie wiedząc gdzie niebo, nie dbając o drogę.*

Ktokolwiek grał na tej gitarze, robił cholernie fajną rzecz, naśladowując solówki w d-moll, które stały się wizytówką Nehemiaha „Skip” Jamesa i innych bluesmenów z Bentonii.

Śpiewak zakończył nutą zagrana na pustej strunie i akordem D7. To również było jedno z popisowych zakończeń Jamesa, które wywoływało zawsze burzę oklasków.

- Skip James - powiedziałem. - J e d e n z moich faworytów.

- Moich też - przytaknęła Jasmine. - To muzyka z Leny. Prawdziwy blues.

Skręciła w prawo i wracaliśmy teraz ku Balance Due, omijając posterunek policji.

- Będziesz musiała mnie tam kiedyś zabrać.

- J a s n e . - Zaserwowała mi swój niezawodny uśmiech. - Na pewno cię zabiorę.

Po drugiej stronie ulicy, o jedną przecznicę dalej zobaczyłem stację benzynową z warsztatem samochodowym z tyłu, zamkniętym na noc. Plac był zastawiony autami wszelkiej maści, najwidoczniej czekającymi na naprawę.

- A może tu? - zagadnąłem, wskazując na wolny pas betonu obok dystrybutora stacji.

Jasmine szybko wparkowała naszego SUV-a pomiędzy dwa pikapy, ciasno, na styk. Gdy zgasła światła, budynek odziarniarni wyrósł w oddali przed nami, doskonale widoczny w księżycowej poświacie.

- Nie gaś jeszcze silnika - poleciłem.

Przez długą chwilę lustrowałem otoczenie, lecz nie zauważyłem nic podejrzanego.

- Dobra, zgaś.

Siedzieliśmy i nasłuchiwaliliśmy, obserwując ulicę. Spodziewałem się podświadomie policyjnych syren albo dudnienia helikoptera, lecz z ciemności dochodziło nas tylko dudnienie muzyki z głośników przejeżdżających wozów i dalekie pomruki burzy. Od czasu do czasu nasze uszy cieszyły bluesy, dobiegające z oddali. Żadnych śmigłowców. Żadnych syren alarmowych.

Tuż przed pierwszą w nocy przeczołgałem się na tył wozu po naszych torbach, tam, gdzie leżał snajperski sprzęt zabitej kobiety. Wyjąłem z pokrowca broń oraz zapas amu-

nicji, po czym wyszedłem przez tylną klapę, zostawiając Jasmine siedzącą w kabinie z nabitym rugerem. Rozpocząłem podchody do odziarniarni z automatem H&K schowanym w obszernej kieszeni traperskich szortów. Pozostałe kieszenie wypełniłem wszystkimi zapasowymi magazynkami, jakie udało mi się znaleźć. Były tak wypchane, że musiałem wypuścić koszulę na spodnie, aby zamaskować ich wypukłości. Moja biała skóra i jasne ubranie czyniły mnie łatwym celem. W przeciwieństwie do Jasmine nie wziętem ze sobą ciemniejszych ubiorów, a rzeczy Tyrone'a były na mnie za małe.

W prawej ręce niedbale trzymałem niewielką noktowizyjną lunetę, wymachując nią, kiedy przedzierałem się przez zarośniętą zielskiem ścieżkę ku starej, pordzewiałej konstrukcji. Nagle objawiły mi się irracjonalne dziecięce lęki, niemal paraliżując moje działania. Dobre pół godziny zajęło mi dotarcie do budynku i przeniknięcie do wnętrza. Nie mogłem obejść go w koło, gdyż główna hala miała z tyłu dobudówkę, przytykającą do ogrodzenia następnego przemysłowego budynku.

Słabnące światło księżyca przenikało przez szpary w blaszanym dachu, rzutując subtelną grę cieni w przestrzeń opustoszałej hali. Cienie ożyły nagle. Podejrzywałem, że to szczury, lecz noktowizor zdekspirował samice oposa z małymi. Kiedy rozejrzałem się dokładniej, zobaczyłem, że całe pomieszczenie przejęły we władanie różne stworzenia, płochliwe i kryjące się po kątach, jak węże, stanowiące pożywienie dla szopów i oposów. Obawiałem się zmii miedzianki, którą jest równie jadowitą jak grzechotnik i w przeciwieństwie do niego uderza bez ostrzeżenia. Wreszcie, sprawdzwszy całą halę, wyszedłem na zewnątrz i stanąłem na rampie pod rurą wielkiej ssawy, która niegdyś w dzieciństwie napędziła mi strachu. Wyciągnąłem małą lecz mocną diodową latarkę i dałem nią znak Jasmine. Patrzyłem przez nocną lunetę, jak idzie w moją stronę.

Było tuż przed drugą w nocy, kiedy weszliśmy do środka, aby tam zaczekać.

69 Na wpół schowany w kanale odwadniającym, który przebiegał pod ulicą Martin Luther King Jr. Drive, niedaleko skrzyżowania z Sunflower Road, mężczyzna o zwartej, muskularnej sylwetce obserwował zrujnowany budynek odziarniarni bawełny przez małą noktowizyjną lunetę. Brad Stone wiedział, jak kryć się i zacierać ślady, ale przecież nikt nie jest nieomylny.

Mężczyzna był tak ciemny, jak otaczające go cienie nocy i cały ubrany na czarno - od wysokich, komandoskich, sznurowanych kamaszy do letniej kominiarki z elastycznej bawełny, zakrywającej całą twarz, jakiej nie znajdzie się w sklepach. Czarny golf był podciągnięty pod samą szyję, aby nie odsłonić nawet kawałka jasnej skóry pod maską. Dłonie zakrywały czarne, lateksowe rękawiczki. W uchu tkwiła mała słuchawka, a kabelek wiódł do miniaturowego, przenośnego radia, na którym podsłuchiwał policyjne pasmo.

W małym kręgu mroku, rozjaśnionym przez podczerwień, obserwował jak Jasmine Thompson przecina ulicę i czule obejmuje Brada Stone'a. Stali tak przez chwilę pod blaszaną wiatą, osłaniającą rampę wyładunkową, pod którą zajeżdżały niegdyś wagony z bawełną.

Zaledwie tych dwoje weszło do środka, człowiek w czerni zauważył wóz patrolowy z posterunku w Itta Bena, nadjeżdżający od strony Balance Due z wyłączonymi światłami. Zatrzymał się w miejscu, gdzie parkował srebrny SUV i trzech mężczyzn wysiadło, aby obejrzeć wóz. Jeden z policjantów zapisał numery na kartce, a potem dołączył do pozostałych, którzy zaczęli przeładowywać do policyjnego auta zawartość bagażnika. Następnie odjechali tak samo cicho i dyskretnie, jak się zjawili. Mężczyzna zmarszczył brwi,

patrząc jak tylne światła zabłyśły czerwienią na zakręcie i znikły. W policyjnym eterze nie było o tym żadnych mel-dunków.

Kiedy kraźownik odjechał, mężczyzna wysunął się z kana-łujak cień i skulony prześlizgnął się w stronę budynku pod osłoną rampy wyładowniczej. Przez mniej więcej kwadrans wiatr przynosił odległy dźwięk bluesa. Nieznajomy czekał spokoj-nie, zajęty swoimi myślami. Minęło jeszcze dziewięć minut i ciemny, starszy model dżipa skręcił z MLK JR. Drive, zgasił reflektory, po czym kołysząc się na wybojach, podjechał grun-tową drogą pod budynek. Mężczyzna uniósł lornetkę do oka i zobaczył za szybą auta twarz adwokata Java Shankera.

Tego szlachetnego najmimordy.

Dżip zaparkował się pod budynkiem. Silnik ucichł. Shanker siedział bez ruchu w kabinie, a motor stygł z ci-chym pykaniem. Przez chwilę był to jedyny odgłos, aż do-kładnie z wybiciem trzeciej nad ranem usłyszał głos Stone'a, mówiącego coś do Jasmine.

70 - Zaraz wracam - wyszeptałem.
Przekradłem się przez szczelinę w ścianie i podczołgałem do dżipa na czworakach. Kiedy przekonałem się, że w środku jest tylko Shan-ker, zapukałem w szybę.

Zaskoczona twarz adwokata pojawiła się w oknie, szero-ka i biała. Musiało upłynąć kilka sekund, zanim mnie roz-poznał. Wtedy wysiadł z auta.

- Gdzie jest Jasmine?

- W środku.

Shanker wcisnął się za mną przez szparę do budynku.

Jasmine spojrzała na niego i zapytała bez wstępów:

- Masz CD?

Shanker potrząsnął głową.

- Nie było żadnej drugiej płyty - powiedział z nieudawanym żalem. - Dopadli Talmadge'a zanim zdążył powiedzieć mi, gdzie ukrył resztę dokumentów. Tyle, że oni o tym nie wiedzieli. Już dawno by nie żył, gdyby dowiedzieli się, że płyty nie ma i nie było.

- Kłamałeś!

- Przykro mi. Nie miałem wyjścia. Tylko w ten sposób mogłem ocalić mu życie.

- Nie ma wytłumaczenia dla...

- Proszę, daj mi najpierw coś powiedzieć.

Ból zabarwił słowa Shankera.

- Stawka jest o wiele większa niż tylko życie Talmadge'a. Clark Braxton, jak samochód z podłożoną psychobombą, pędzi do Białego Domu. Ten gość nie jest zdolny do żadnej litości. Absolutnie żadnej. Nie możemy dopuścić, aby położył palec na spuście największej potęgi militarnej świata.

Coś zaszeleściło przy ścianie hali. Instynktownie przysiadłem, jedną ręką przyciskając Jasmine do ziemi, a drugą wyciągając H&K i odbezpieczając go. Szmer ustał. Puściłem Jasmine i obejrzałem otoczenie przez noktowizor. Nic podejrzanego.

- To pewnie oposy - powiedziałem, wstając i podając rękę Jasmine.

Shanker ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

- J a y , czy masz pomysł, gdzie mogą znajdować się te dokumenty? - zapytała.

- Podejrzewam, że są zakopane w jednym ze schronów do polowania na kaczki, którymi się posługiwał, albo w pobliżu, lecz takich punktów jest mnóstwo w całym stanie - od zbiornika wodnego Ross Barnett Reservoir, aż tu, do Missisipi, do samego Tunica - czyli mogą być wszędzie.

- Czy nie damy sobie rady bez tych dokumentów? - zapytałem.

- Absolutnie nie - odparł Shanker. - Jeśli nie będziecie dysponowali oryginalnymi kartotekami i pewnie nawet te-

stamentem Talmadge'a, najprawdopodobniej nie przyha-
czycie Braxtona.

- W takim razie będziemy musieli w jakiś sposób przejąć
Talmadge'a, odnaleźć z jego pomocą dokumenty i utrzy-
mywać go w stanie gotowości, żeby mógł zeznawać.

- Nic trudnego - skrzywiła się Jasmine. - Trzymają face-
ta w silnie strzeżonym pokoju na ostatnim piętrze Szpitala
Weteranów Wojskowych w Jackson.

Nagle ciszę rozdarł gwałtowny, rytmiczny jazgot nadlatu-
jącego helikoptera, który przyniósł momentalne, śmiertel-
ne zagrożenie. W ciemności pojawił się roztańczony czer-
wony punkcik markera podczerwieni i znalazł swój cel szyb-
ciej niż zdążyłem zareagować. Charakterystyczny trzask
MP5 Hecklera&Kocha wdarł mi się w uszy w tym samym
ułamku sekundy, w którym czaszka Jaya Shankera rozpekła
się jak dojrzały melon.

Upadające ciało adwokata nie zdążyło dotknąć ziemi,
gdy krwawy punkcik nadleciał nad Jasmine jak czerwona
pszczoła, opita śmiercią. Rzuciłem się skokiem w jej stronę,
niesiony niemą modlitwą.

71 Mężczyzna ukryty w zrujnowanej rampie starej
odziarniarni bawełny obserwował zbliżający się
śmigłowiec wielkości Hueya, wiodący za sobą
konwój wojskowych humvee, ciągnących przez
Sundance Road do skrzyżowania w kształcie litery T, znaj-
dującego się obok budynku. Żaden z wozów nie miał włą-
czonych świateł. Gdy konwój był już blisko, z przeciwnej
strony dobiegło wycie silników aut, pędzących z przeciwne-
go kierunku, ulicą Martina Luthera Kinga. W chwilę póź-
niej rozbłyły niebieskie sygnalizatory dwóch policyjnych
wozów; efektu dyskoteki dopełniały syreny, wyjące na cały
regulator.

Nie był to jednak koniec widowiska. Mężczyźni opadła szczęką, gdy zobaczył starą ciężarówkę z brezentową budą, nadciągającą z pełną szybkością środkiem ulicy z jego lewej strony, z jednym policyjnym krążownikiem na ogonie i gnającą prosto na drugi. Kierowca ciężarówki, nie mając innego wyjścia, skręcił w Sunflower Road, prosto na czoło konwoju. I tak już zmaconą ciszę nocy wypełnił kakofoniczny koncert jęczących hamulców, piszczących opon, eksplozji tłuczonego szkła i zgrzytów dartych blach. Za moment nastąpił drugi akt, kiedy w łańcuchowej reakcji zderzeń wpadały na siebie kolejne auta konwoju.

Dwa policyjne wozy zahamowały tuż przy ciężarówce. Helikopter zapalił swój potężny szperacz i krąg światła wyłuskał z ciemności wysokiego, czarnoskórego młodego mężczyznę, który jednym skokiem wyprysnął z kabiny. Z policyjnych krążowników wypadli umundurowani funkcjonariusze i rzucili się za nim w pogoń.

Trzeci wóz policyjny nadjechał w mniejszym pośpiechu, po czym stanął i wypluł z siebie potężnego mężczyznę w mundurze i czarnym kowbojskim kapeluszu. Z oddali dały się słyszeć głosy kolejnych zbliżających się syren. Potężny mężczyzna podszedł do uderzonego humvee, z którego gramolili się pasażerowie. Inne, nieuszkodzone wozy objężdżały miejsce wypadku, lecz za moment zostały zastopowane przez policyjne krążowniki z Itta Bena, blokujące drogę. Wysoki mężczyzna o szpakowatych włosach, z papierosem w ręku, wyzywał na czym świat stoi funkcjonariusza w czarnym kapeluszu. Mężczyźni w taktycznych mundurach SWAT wyroili się z samochodów.

Odległy koniec MLK JR. Drive rozjarzył się kolejną falą policyjnych krążowników na sygnale. Czujne ucho mężczyzny, wpatrującego się w ten spektakl, nie uroniło cichego szurnięcia w pobliżu jego kryjówki. Obrócił się błyskawicznie w kierunku źródła dźwięku ze swoim TEC-9

gotowym do strzału, ale dostrzegł tylko but, znikający w szczelinie ściany. Tym śladem ruszył do wnętrza budynku.

Kolejny wystrzał z MP5 zjeżył mi włoski na karku, kiedy z impetem zbiłem Jasmine z martwego ciała Jaya Shanke-
ra. Lecz czerwony punkcik niezmordowanie szukał s w o jej ofiary. Nie miałem nawet czasu wycelować z mojego H&K, gdyż najmniejsza zwłoka w unikach oznaczała pewną śmierć.

Już zacząłem się bać, że historia się powtórzy; że ściana ognia z broni ustawionej na stały ostrzał rozpali front budynku, odsyłając uporczywy laserowy znacznik w ciemność, aby malował swoją martwą naturę na przedziewiałym dachu hali.

Ulga przyszła wraz z głosem, którego absolutnie się nie spodziewałem.

- Syńciu, może byś wreszcie zmądrzał i przestał łać na *federales*?

- Rex? - Wpatrzyłem się intensywnie w zarys postaci, wyłaniającej się z ciemności.

- Ciszej, stary. Nie trzeba, żeby nasi przyjaciele tam, na dworze, wyczaili, że coś nas łączy. W każdym razie nie teraz.

Pomogłem Jasmine wstać. Z mroku wyrosła silna, spolegliwa postać Rexa. Zza ściany dobiegł zbliżający się gwar nagłych głosów, a dudniący odgłos biegnących stóp wypełnił mroczne wnętrza szopy, wypełnione wonią prochu, krwi i śmierci.

- Ale... skąd ty...? - zająknąłem się.

- Tylko ja potrafię ocalić twoje *cojones* z tej pułapki, stary.

Uścisnąłem jego dłoń w rękawiczce. Z tyłu ktoś szybko zapukał w blaszaną ścianę budynku. Jak na komendę całą trójką uskoczyliśmy pod ściany z bronią gotową do strzału.

- Nie strzelajcie.

Głos był znajomy.

- Wuj Quincy?

- Jasmine!

Quincy Thompson wyłonił się zza pordzewiałej blaszanej ścianki, która dawała się odchyłać, tworząc tylne, tajne wejście do budynku w miejscu, w którym przytykał do drugiego segmentu. W następnej chwili zobaczyłem, jak radość i ulga znikają z twarzy starszego mężczyzny, zastąpione gniewem, gdy dostrzegł mnie.

- A ty kto, do diabła? - warknął na widok Rexa.

- Wyluzuj, szefie. Wpadłem do nich po drodze.

Quincy wymamrotał coś niezrozumiale pod nosem, lecz wreszcie rzucił:

- Chodźcie! Szybko!

Kiedy ruszyliśmy za nim, dźwięk zbliżających się policyjnych syren zaczął narastać, a szpary w starej ścianie przepuszczały rozbłyśki migających świateł. Nagle czerwony punkcik, ledwie widoczny w powodzi niebieskiego blasku, zatańczył obok pleców Quincy'ego.

- Padnij! - wrzasnąłem, rzucając się nogami w przód i podbijając Thompsonowi kolana brutalnym wślizgiem, za który zarobiłbym czerwoną kartkę w każdym piłkarskim meczu. Iskry posypały się ze starej, pordzewiałej maszynierii. Usłyszałem huk TEC-9 Rexa i odległy okrzyk bólu.

Jakiś głos zza drugiej ściany zawołał nagłaco:

- Chodźcie, chodźcie szybko!

Pomogłem wstać wujowi Jasmine. Popatrzył na mnie.

- Co tak patrzysz, do licha? - burknąłem.

Usta mu drgnęły, ale nie wyszło z nich żadne słowo.

- Zbierać tyłki i chodu do przodu! - zakomenderował energicznie Rex, przerywając ten impas i popychając nas do wyjścia. - Bo zaraz nam tu zrobią taką rozpiędziuchę, że się nie pozbieramy!

Odsunęliśmy blaszaną ściankę, przez którą wszedł Quincy. Rex, który szedł ostatni, wystrzelał cały magazynek TEC-9 w ciemny kąt hali, a potem odrzucił broń.

- Kupiłem tego gnata na ulicy w Jackson, od jednego dilerka - wyjaśnił. - Jak dojdą do niego po numerach, dostanie za swoje.

Zaledwie znaleźliśmy się na zewnątrz i zasunęliśmy za sobą ściankę, mroczne wnętrze hali rozbłysło eksplozją światła, której towarzyszył huk i płomień granatu oślepiąco-ogłuszającego.

72 Dym i płomień błyskawicznie ogarnęły budynek za naszymi plecami. Ogień znalazł tam dla siebie mnóstwo stawy w postaci wyschniętych drewnianych belek, desek i nagromadzonych przez lata strzępków z dartej bawełny.

Na zewnątrz czekał na nas nieznany mężczyzna w roboczym kombinezonie. Poprowadził nas szybko wąskim, błotnistym przejściem pomiędzy ścianą hali a ceglany murem sąsiadującego budynku. Po kilkunastu metrach doszliśmy do wąskiego otworu, położonego tuż nad ziemią i precyzyjnie się przezeń, znaleźliśmy się w podpiwniczeniu. Przez kolejne kilkanaście metrów czołgaliśmy się pod dźwigarami podłogi, aż wreszcie dotarliśmy do szybu, kończącego się wewnątrz opuszczonego magazynu. Nasz przewodnik wyłonił się z niego pierwszy i podając każdemu rękę, pomagał nam wyjść. Szedłem ostatni i kiedy puścił moją dłoń, rozpiął swój kombinezon, pod którym ukazał się mundur funkcjonariusza Biura Szeryfa okręgu Leflore. Na naszywce widniało nazwisko Mandeville.

- Mam na imię Pete - przedstawił się. Wymieniliśmy uścisk dłoni. W tym momencie zobaczyłem za jego plecami starszego, pomarszczonego mężczyznę, który trzymał w ręku gitarowy futerał.

Mandeville dostrzegł moje spojrzenie.

- Poznaj Papa - rzekł. - Kiedyś tu pracowałeś. To najprawdopodobniej ostatni żyjący człowiek, który wie o tym przejściu.

Pap poczęstował nas szerokim uśmiechem równych zębów, olśniewającym taką bielą, że zacząłem się zastanawiać, ile wydał na protezy.

- Ehe, racja - powiedziały. - Chodziło się wtedy, kiedy ktoś się spóźnił albo chciał sobie zrobić przerwę w robocie. Szef nigdy nas nie przyłapał, ehe.

- Chodźcie, John czeka - ponaglił Mandeville.

Pap stał przy drzwiach ze swoim pokrowcem.

- Dzięki - powiedziałem do niego.

Skinął mi głową.

- Czy to ty śpiewałeś *Killin' Floor*?

Znów skinął.

- Grasz najlepsze solówki w d-moll, jakie słyszałem. Lepsze niż sam Skip - powiedziałem.

Pap uśmiechnął się.

Na zewnątrz stał van szeryfa z Leflore. Mandeville odsunął drzwi i przynaglił gestem, abyśmy wsiedli.

Z przodu siedział John Myers, a za nim Tyrone Freedman, wciśnięty między bagaże, wyjęte z SUV-a. Radiostacja nadawała bez przerwy. Z oddali zaczęła wyc syrena na remizie strażackiej.

- Tyrone! - ucieszyłem się. - Skąd ty tu? - Pochyliłem się i uściskałem mu dłoń, a potem wycofałem się na tył wozu, na ostatnie siedzenie. Jasmine usiadła koło mnie. Dosiadł się do niej Quincy i serdecznie ją uściskał. Pete Mandeville zasunął drzwi. Niebo nad starą odziarniarnią bawełny zapłonęło ciepłym blaskiem ognia.

- Wyśledzili nasze połączenie internetowe - powiedział do mnie Tyrone. - Cała banda federalnych agentów wdarła się do szpitala od frontu, więc wyszedłem sobie od tyłu i udałem się prosto do zastępcy szeryfa, czyli obecnego tu Johna.

Myers skinął głową.

- Cholera! - Było mi przykro. - Tyrone, przepraszam, że wpakowałem cię w to cholerne bagno - powiedziałem.

Mandeville usadowił się za kierownicą i uruchomił silnik.

Tyrone potrząsnął głową i zaczął się śmiać.

Patrzyłem po kolei na twarze ludzi siedzących w kabinie, których wciągnąłem w tę czarną dziurę - Myersa, Tyrone'a, Jasmine, Quincy'ego i Rexa. Ten ostatni trzymał ciągle w ręku swoje czarne rękawiczki i maskę. Dotąd byłem przyzwyczajony, że sam ratuję się ze wszelkich opresji. Tym bardziej powinienem robić to teraz.

- Przepraszam za wszystko - powiedziałem do nich. Za oknem mignął róg ulicy, przy którym kiedyś stała apteka Durhama. Potem minęliśmy pocztę, gdzie mimo restrykcyjnych zakazów matki przychodziłem z synem pewnego sezonowego robotnika rolnego. Tam przesiadywaliśmy w chłodnym holu z lśniącą podłogą pokrytą linoleum, ze ścianami obwieszonymi komunikatami i listami gończymi, z rzędem błyszczących mosiądzem pocztowych skrzynek, do których ledwo mogliśmy sięgnąć. Następnie minęliśmy biuro sędziego i przylepiony do niego stary baraczek z siedzibą kombatantów wojennych, gdzie uwielbiałem grać na nielegalnych automatach do gry i wreszcie wjechaliśmy na nowy most. W oddali, ponad dachami miasta, pożar jarzył się, jak słońce o zachodzie.

- Nie ty nas w to wciągnąłeś, tylko mama - powiedziała Jasmine.

- Hej, hej, dziecino - zmitygował ją Myers. - Nie mów tak. Ja jestem sam sobie winien, bo wsadziłem w to mój wielki, ciekawski nochal.

- Ale powinienem jednak... - zacząłem znów.

- Syńciu - przerwał mi Rex - nie wiadomo dlaczego ciągle uważasz, że odpowiadasz za wszystko, a ja ci mówię, że to nie była twoja wina i że sam nie uratowałbyś tyłka, gdyby

nie odrobina zespołowego działania i maleńka pomoc twoich przyjaciół.

- Panie i panowie, przedstawiam wam Rexa - oznajmiłem.

Nie wymieniłem jego nazwiska, gdyż nawet Rex nie było prawdziwym imieniem i wolałem nie zdradzać za wiele. Z drugiej strony nie przypuszczałem, aby obecni na wyciągnięcie ręki dwaj funkcjonariusze, którzy właśnie złamali zasady s w o jej służby, żeby pomóc parze zbiegów, ściganych listem gończym za zbrodnię, zechcieli być w stosunku do niego zbyt dociekliwi. Zresztą swoim postępowaniem aż nadto dobitnie udowodnił, iż stoi po właściwej stronie.

Przez parę minut słuchaliśmy głosów z radiostacji, aż odezwał się Quincy, głosem tak spiętym i pełnym wahania, jakby składał oświadczenia:

- Dzięki za to, co dzisiaj zrobiłeś - powiedział, zwracając się do Rexa i wyciągając do niego rękę.

Następnie Quincy wykonał ten sam gest w stosunku do mnie. Znow ogarnęło mnie przemożne wrażenie, że gdzieś już widziałem tę twarz, ale pamięć nie była w stanie podsunąć mi żadnych informacji. Czuję jednak, że to jest ważne, bardzo ważne, i tym bardziej byłem sfrustrowany.

- I tobie dziękuję - rzekł. Ucisnąłem mu dłoń i jego spojrzenie złagodniało. - Bardzo ci dziękuję.

- Cieszę się, że mogłem coś dla ciebie zrobić - odparłem.

Jasmine chłonęła każde słowo wuja, łącznie z tymi, których nie wypowiedział, po czym skinęła głową z uśmiechem na znak aprobaty i ścisnęła mu leciutko dłoń.

W ciszy, która chwilowo nastąpiła, gruchnął głęboki śmiech Johna Myersa. Wszyscy jak na komendę spojrzeli na niego.

- Boże! Że też mnie tam nie ma! - rechotał, pokazując na radio. - Tu mówią, że szczury, oposy, szopy, węże oraz cała zawszona armia myszy i dzdiciałych kotów nawiewa z tej płonącej budy. Ci federalni, miejskie chłoptysie, w życiu nie widzieli na raz tylu różnych żyjców, więc odwaliło im i strzelają do wszystkiego, co się rusza.

Tak się trząsał, że aż skrzywił się z bólu i odruchowo złapał za zranione ramię, lecz nie przestał rechotać.

- A nasz szef właśnie równa z ziemią tego dupka z Departamentu Bezpieczeństwa za to, że nie powiadomił go o działaniach na naszym terenie - dodał.

- Czy wypuściliście już wnuka Papy? - zapytał Mandeville.

- Jasne - odparł Myers. - T r z e b a przyznać, że odwalił kawał ładnej roboty z tą ciężarówką. A straż pożarna powiedziała, że nie ruszy się do pożaru, dopóki trwa strzelanina, więc biednym fedziom nie pozostało nic innego, jak dalej walić do oposów i kotów.

Wjechaliśmy na gruntowy odcinek drogi i telepaliliśmy się w mroku nocy. Myers przestał się wreszcie śmiać i ściszył radio.

- To niejedyna niespodzianka dla naszych bezpieczniaków - kontynuował. - J u t r o w Departamencie Bezpieczeństwa odbiorą telefon od dwóch bardzo skruszonych agentów. - J o h n zerknął na mnie i na Jasmine.

- Miałem dwa cienie, poszli za mną aż do Leny. - Zachichotał. - Z magazynu dowodów rzeczowych posterunku w Itta Bena zginęła akurat taka dawka „narkotyku gwałtu”, która wystarczyła, żeby odesłać ich w nirwanę. Lena wpuściła im do drinków ten staromodny środek do usypiania panienek, żeby były łatwiejsze. Szef kazał ułożyć dwa biedne ptaszki na tylnym siedzeniu ich wozu, gołe, jak ich Bozia stworzyła, usmarowane własnym perłowym dżemem.

- Jak...? - zaczęła Jasmine, ale Myers potrząsnął głową.

- Naprawdę nie musisz wiedzieć.

Przez jakiś czas jechaliśmy w ciszy. Byliśmy już za Runnymede. Niebo nad Itta Bena ciągle płonęło złotym blaskiem.

- J a y Shanker tam został - odezwała się znów Jasmine.

- Och, Boże, Boże - westchnął Myers. - Ciężko nam wszystkim będzie bez niego. - Pokręcił głową. - Nawet nie potrafię ci powiedzieć, ilu ludziom pomógł, ilu młodym wyprostował życie, ilu -jak Pap - otrzymało wreszcie należne

wynagrodzenie za swoją koszmarną harówkę, bo on walczył o nich w sądach, nie biorąc żadnych pieniędzy.

Widziałem Shankera tylko przez kilka ostatnich minut jego życia, lecz słowa Myersa zmieniły w czarny lód ciemność, która przenikała moją duszę.

Mandeville skręcił na północ i pojechaliśmy przez nowy most na rzece Yazoo, ku Greenwood.

- Jakie macie teraz plany? - zagadnął Myers, kiedy zbliżaliśmy się do wjazdu na osiemdziesiątkę dwójkę.

Pokręciłem głową.

- Na razie żadnych, ale wiem, że musimy w jakiś sposób zabrać Talmadge'a ze szpitala w Jackson i odnaleźć tę część dokumentacji, którą ukrył. - Tu powtórzyłem mu wszystko, co zdążył powiedzieć nam Shanker.

- Bardzo chciałbym ci pomóc, ale myślę, że ja i Pete... rozumiesz nasz szef i my wszyscy zrobiliśmy tyle, ile mogliśmy zrobić, nie ryzykując więzienia.

- Rozumiem, jasne.

- Możesz liczyć na mnie - odezwał się Tyrone. - Kiedy studiowałem, wiele razy miałem praktyki w szpitalu, w którym leży Talmadge.

- Moja Anita nadal tam pracuje - dorzucił Rex.

- Zrobię, co będę mógł - oświadczył Quincy, znów wprawiając w zdumienie i mnie, i Jasmine.

- Jedźcie do mojej ciężarówki - powiedział Rex. - Mam pewien pomysł.

73

Rex powiózł nas na południe; światła jego wozu raz po raz wyłuskiwały z mroku strzępki mgły, które szybko odpływały, jak kolejne wersje naszych planów, wymyślane i odrzucane. Siedziałem z tyłu z Jasmine, trzymając ją za rękę i rozmyślając o tym, jak uratować Talmadge'a, przejąć dokumenty i dać je mediom.

Rex miał mnóstwo wiadomości z różnych dziwnych dziedzin, a do tego przejawiał skłonność do niekonwencjonalnych pomysłów, toteż sypał jak z rękawa sensacyjnymi scenariuszami. W każdym z nich przewijały się obowiązkowo łomy, liny, uprząże alpinistyczne, włamania, wykradzenie samolotu i inne akty przestępcze, o których nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyślałby w tym kontekście.

- Kiedy zaczyna się wariactwo, trzeba działać na wariata - stwierdził, wychytując w lusterku moje sceptyczne spojrzenie.

Nie oponowałem, gdyż w przeszłości czyste wariactwo wiele razy ocaliło mi życie. Oprócz ewidentnej dozy szaleństwa, wszystkie nasze plany zakładały karalny zabór cudzej własności, gdyż tylko w ten sposób szybko i dyskretnie mogliśmy zdobyć potrzebne nam materiały. Cokolwiek zaś uznaliśmy za potrzebne, zaraz okazywało się, że Rex wie, gdzie należy to ukraść. I tak, w kolejnych przybliżeniach, od scenariusza do scenariusza, rodził się nasz plan, klecony ze wszystkich możliwości jakie mieliśmy pod ręką.

W chwilach milczenia, gdy zapał dyskusji wypalał się, aby za moment rozgorzeć na nowo, w głowie narastał mi ciemny wir myśli o tych, którzy ostatnio odeszli - o Camilli, Jayu Shankerze, Chrisie Nellisie - oraz o potwornym żalu i pustce, które spowodowała ich utrata. Te śmierci nie tylko naznaczyły bólem życie ich bliskich, lecz także pozbawiły świat umysłów, które potrafiły dać mu wiedzę, wydartą ignorancji, myśl po myśli. Wiedza... Dokąd poszli? - zapytywałem siebie po raz kolejny. I czy my też tam pójdziemy?

Te pytania dręczyły mnie w trakcie całej sekwencji mrocznych milczeń, które łączyły Phillipstown, Mayday, Quofalomę, Midnight, Panther Burn, Zellerię i dziesiątki innych samotnych przysiółków, śpiących w ciemnościach Delt. Nie mogłem przestać myśleć o intrygującej teorii Rogera Penrose'a i Stuarta Hameroffa, którzy uważają, że nasza świadomość wynika ze zjawisk kwantowych, jakie tworzą

zasadniczą tkankę czasoprzestrzeni, albo o poglądach uniwersyteckiego kolegi Hameroffa, Davida Chalmersa, który ma przecucie, iż w końcu ludzkość pojmie, że świadomość jest podstawowym budulcem wszechświata.

W tym momencie bez problemu mogłem pomyśleć o różnych rodzajach świadomości jako inskrypcji w czasoprzestrzeni, bądź też wyobrazić sobie, jak takie inskrypcje wpływają bezpośrednio na nasza jaźń.

Aż się prosiło, abym przywołał teraz hinduską koncepcję mai, która powiada, że wszystko, w tym i my, jest jedynie ułudą, iluzją, odbiciem jedynej prawdziwej rzeczywistości - Boga. To moim zdaniem koresponduje z Księgą Rodzaju, w której napisane jest, że na początku świat nie miał formy, a potem Bóg stworzył niebo i ziemię. Zatem, jeśli żyjemy w świecie stworzonym przez Boga z nicości, nie ma powodu, abyśmy nie postrzegali naszego istnienia i wszystkiego na tym świecie jako „realnego”, zgodnie z boskim zamierzeniem. Jednak moim zdaniem nie powinniśmy czuć się zaskoczeni, jeżeli, dokończając się do fundamentów egzystencji, przekonamy się, że Bóg stworzył ją z nieskończonej obfitości niczego.

Zasnąłem, rozmyślając o tych sprawach. Nie wiedziałem, jakie jest w tym wszystkim miejsce miłości, lecz uznałem ją za jeden z niewyjaśnionych przejawów duszy.

74 Lokalne drogi w Sonoma Valley o wpół do piątej rano były jeszcze puste, kiedy Dan Gabriel zatrzymał swój wynajęty samochód w zatoczce autostrady 116, aby sprawdzić namiary, które wypisał mu Harper. Zachodzący księżyc oświecał mętным blaskiem s w o jej aureoli winnice, pastwiska, drogę i poszarpany łańcuch wzgórz na zachodzie.

Gabriel odwrócił głowę od tego widoku i zapalił światło w kabinie, aby odczytać swoje bazgroły. Frank Harper za-

dzwonił do niego przed dwoma godzinami, wyrwijąc Dana z koszmarne go snu, w którym straszili go widmowi, zabici żołnierze.

- Przepraszam, że dzwonię o takiej godzinie - kajał się Harper - ale myślałem o paru ważnych rzeczach i nie mogłem zasnąć.

- Podobnie jak ja.

- Powinniśmy porozmawiać prywatnie o wyborczym mitingu, który ma się odbyć dzisiaj po południu w azylu generała - powiedział Frank. - Ale nie przez telefon.

Gabriel odczytał swoją notkę i znów ruszył przed siebie. Zgodnie ze wskazówkami zjechał z autostrady najbliższym zjazdem, wiodącym na zachód i z daleka zobaczył sygnalizację świetlną, dokładnie tak jak mówił Frank. Przed światłami skręcił w prawo i parł szybko do przodu, omal nie przegapiwszy słabo oznakowanej, poprzecznej Arnold Drive, kolejnego punktu orientacyjnego. Następnie dwa skrzyżowania ze światłami, po ostatnim skręt w lewo - i znalazł się w dzielnicy zadbanych willi z ogrodami. Jeszcze dwa razy pogubił się wśród krętych uliczek, aż wreszcie skręcił we właściwy zaułek i na jego krańcu zobaczył Harpera, który czekał na niego, oparty o skrzynkę pocztową.

- Dzięki, że przyjechałeś - powitał Gabriela, który wysiadł z białego auta i uściśnął podaną dłoń. Uścisk Harpera był silny, choć wyczuwało się w nim podskórne drżenie, wywołane chorobą Parkinsona.

- Wejdz proszę. Mam świeżo zaparzoną kawę.

Gabriel szedł powoli za Harperem alejką wśród strzyżonych jałowców i kwitnących agapantusów, oświetlaną przez lampę na tarasie. Podążając za starym człowiekiem, po raz kolejny rozmyślał o tym, jak zawsze pozwalał, aby sterowały nim okoliczności jego własnego życia i jakim przełomem może stać się to spotkanie.

Przez bardzo długi czas uważał fakt swojego wstąpienia do marynarki za dowód, że jest sam sobie sterem. Lecz lata

- a już zwłaszcza ostatnie pół roku - przekonali go, że ten bezprzykładny akt młodzieńczego buntu był jedynie reakcją, a nie prawdziwym wyborem. Teraz zrozumiał, że musi mocno chwycić ster i przyjąć własny kurs, bez względu na konsekwencje.

- Ciężko mi na sercu - zaczął Harper, wskazując Gabrielowi krzesło w neonowo oświetlonym aneksie kuchennym.

- Bardzo ciężko.

Wziął swoją kawę i sztywno, z wysiłkiem, usadowił się przy stole.

- Clark Braxton jest moim wytworem. - Byстрыm, twardym spojrzeniem poszukał spojrzenia Gabriela. - A ja jestem ostatnim żyjącym człowiekiem, który zna całą historię. Dzisiaj, zanim odjedziesz, również będziesz ją znał.

- Dlaczego ja? - I dlaczego akurat teraz?

Harper przytrzymał go jeszcze chwilę spojrzeniem, po czym odwrócił wzrok.

- Bo jesteś dobrym, uczciwym człowiekiem - rzekł po chwili. - I zdolnym do działania w sprawie tego, o czym zaraz powiem.

- Dzięki.

- Wezwałem cię, bo czuję się bardziej śmiertelny niż kiedykolwiek. Mam wszczepiony rozrusznik serca oraz elektrody kontrolujące mojego Parkinsona i redukujące chroniczny ból kręgosłupa. - Dłoń, trzymająca filiżankę drżała, kiedy upijał łyk kawy.

- J u ż czas, ponieważ Clark Braxton błądzi - podjął. - Stale obserwuję tego człowieka za pośrednictwem internetowego systemu monitoringu. I czuję, że coś się szykuje. Nie tak dawno rozmawiałem z Clarkiem tam, w tej jego cholernej twierdzy Masada, w tym pałacu nad Napa Valley. Popatrzył na mnie i powiedział: „Problem ze starymi ludźmi polega na tym, że upływ czasu i poczucie winy otwierają im usta. Kiedy nie grożą już konsekwencje, ludzie robią rzeczy, których nie możemy tolerować”. Wówczas przyjąłem, że mówi o Talmadge'u.

Harper pokręcił głową i zerknął na swoje dłonie, które żyły własnym, drżącym życiem.

- Dzisiaj mam nieodparte przekonanie, że mówię o mnie, a nie o Talmadge'u.

- Wow! - Gabriel ze świstem wypuścił powietrze z płuc.

- Tak. A znajomość tego, co chcę ci przekazać, stanowi niebezpieczne brzemię. Możesz jeszcze stąd wyjść. Zrozumiem. Masz przed sobą wiele lat życia.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Stary wahadłowy zegar głośno tykał w holu. W trakcie naszego życia przekraczamy wiele progów, lecz bywa, że dopiero po latach - albo i nie - uświadamiamy sobie, że były przełomowe. Lecz tym razem Dan Gabriel widział to jasno. Przez moment zaczął sobie wyobrażać, że dziękuje staremu, schorowanemu człowiekowi, żegna się i wychodzi. Lecz kiedy jego myśli powędrowały ku przyszłości, liczonej od momentu decyzji, poczuł, że jeśli jej nie podejmie, do końca życia będą go dręczyć żal i poczucie winy. Dlatego poprosił:

- Opowiedz mi.

Harper uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że wybrałem właściwą osobę. - Pociągnął długi łyk kawy i mówił dalej.

- W czasie twojego ostatniego briefingu u Laury LaHaye, pani generał, Greg McGovern i inni wyraźnie zapamiętali powiedzieć ci, jak wygląda prawdziwa historia tajnych, niejednokrotnie nieetycznych medycznych eksperymentów, przeprowadzanych przez wojsko i wywiad na żołnierzach oraz różnych pracownikach. Zaledwie maleńka cząstka tej wiedzy przesiąkła na zewnątrz: Projekt 112, Projekt SHAD i parę innych, których skutki dotknęły tysiące nie podejrzewających niczego ludzi. Uczyniono ich królikami doświadczalnymi, testując na nich potencjalnie groźną dla życia nowego rodzaju broń: chemiczną, biologiczną i nuklearną.

Harper przymknął oczy i z wysiłkiem pokręcił głową.

- Lecz to, co zrobiłem przy wsparciu generała, ponaglany przez niego, jest o wiele, wiele gorsze i ma o wiele bardziej dalekosiężne konsekwencje. A przede wszystkim - co najgorsze - jest zdolne zmienić podstawową naturę tego, co nazywamy człowieczeństwem. Jeżeli nie zaczniemy natychmiast działać, bestia zostanie spuszczone z łańcucha i sprawi światu krwawą łaźnię, jakiej jeszcze nie widział w swoich dziejach.

75 Wczesny świt zastał nas jadących po County Line Road. Mogliśmy podziwiać wschodzące słońce w pastelowych, brzoskwiniowych odcieniach, migotliwie odbijające się w spokojnych wodach sztucznego zbiornika imienia Rossa Barnetta, przez którego zaporę przejeżdżaliśmy. Ogromne jezioro, stworzone przez człowieka, powstało po wzniesieniu tamy, przegradzającej Pearl River na wschód od Jackson, stanowiło jeden z elementów programu zapobiegania powodziom, lecz z czasem zmieniło się w atrakcyjny rejon rekreacyjny, oblegany przez żeglarzy, narciarzy wodnych, wędkarzy i amatorów polowań na kaczki.

Widowiskowy wschód słońca na moment przegnał z mojej głowy zm

- Widzicie te drzewa za Yacht Clubem? - zagadnął, mijając restaurację nad wodą i dodając gazu. - Bogaty gość z Meridian postawił tam chałupę, w której urządził różowe balety dla prawodawców oraz różnych innych wpływowych szych, kiedy potrzebuje wsparcia w wyborach albo innej szybkiej akcji. Prowadzi do niego prywatna droga dojazdowa i miejsce jest dobrze skryte przed oczami i uszami sąsiadów.

- W czasie ostatniej imprezy goście narobili sporych szkód i zakontraktowano mnie, żebym odnowił boazerię. Teraz przez dłuższy czas nie będzie tam nikogo.

Rex, obojętnie, czego się podjął, potrafił to dyskretnie zrealizować. Był złym chłopakiem o dobrym sercu i cieszyłem się, że mam w nim przyjaciela.

W miarę jak opowieść zbliżała się do końca, Frank Harper wyglądał na coraz bardziej zmęczonego. Mówił nieprzerwanie i tylko raz zamilkł na kilka minut, aby zaparzyć drugą kawę, czy też na moment zawieszał opowieść, aby Dan Gabriel mógł zrobić notatkę.

- Z początku byłem w euforii - ciągnął. - Dostałem błogosławieństwo armii i środki, hojnie przydzielone mi przez amerykański rząd po to, abym mógł do woli zaglądać do głów ludzkich istot i szukać tego, co naprawdę różni nas od pozostałych boskich stworzeń. W ferworze nie zwracałem uwagi na pajęczynę kłamstw, którą zaczęto rozsnuwać wokół mnie.

Harper wpatrzył się w puste dno swojego kubka.

- Tak było na początku. A teraz okazuje się, że wysiłek całego mojego życia miały posłużyć tylko temu, aby wojsko już za tydzień zaczęło wdrażać na masową skalę produkcję Xantaeusa, zakamuflowanego w postaci plastra, aplikującego przezskórnie witaminy i mikroelementy.

- J a k to, przecież... - zająknął się Dan. - Przecież w czasie briefingu Wim Baasker powiedział, że Xantaeus będzie wdrożony w przyszłym roku albo nawet za dwa lata!

- Baasker nie zna całej prawdy. Prezydent również jej nie zna i najwyżej trzy osoby w całym Pentagonie są w pełni zorientowane - wyjaśnił Harper.

- A jak wygląda sprawa z leczeniem skutków ubocznych?

- J a k już wspomniałem, około jeden procent ludzi żyjących Xantaeus nigdy w pełni nie wróci do zdrowia.

- To może oznaczać armię tysięcy niebezpiecznych morderców!

- Kompletnie psychopatycznych morderców - uściślił stary lekarz. - Ludzi nie mających żadnych zahamowań, je-

śli chodzi o zabijanie, lecz zdolnych do normalnego funkcjonowania w społeczeństwie, nie budzących żadnych podejrzeń.

- J a k generał Braxton.

- J a k generał Braxton - przytaknął Harper. - Przynajmniej do czasu. Musisz więc natychmiast zastopować Xantaeus.

Nagle kuchnia spokojnego kalifornijskiego domostwa eksplodowała szczękiem broni i łomotem butów gromady mężczyzn, ubranych na czarno, w kominiarkach na twarzach. Gabriel rozpoznał w nich dawnych komandosów Sił Specjalnych, obecnie zatrudnionych w ochronie Defense Therapeutics i zrozumiał, że wszelki opór jest bezcelowy. Pozwolił założyć sobie kajdanki. Wyprowadzono go przez garaż. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi, ukazując tył stojącej tam, średniej wielkości ciężarówki.

76 Spaliśmy do południa i obudziliśmy się tylko dlatego, że na dole Rex rozkręcił stereo na cały regulator i dom aż drżał od klasycznego bostońskiego beatu. Leżałem zwinięty na lewym boku na mamucim łożu w kształcie serca, mając przed sobą panoramiczne okno, patrzące na gęstwę dębów i sosen, których korony poruszał lekki wiatr. Usiadłem i przeciągnąłem się, doznając ulgi, a zarazem lekkiego rozczarowania, że nie ma Jasmine. Sądząc z układu poduszek i prześcieradeł, nie było jej w nocy u mojego boku. W następnej chwili przypomniałem sobie jak całowałem ją na dobranoc przed drzwiami sypialni na dole, a potem szedłem z powrotem imponująco długim korytarzem, aby dotrzeć do s w o jej sypialni i zasnąć z pustką w ramionach i w sercu.

Sprężysty materac pode mną rezonował w rytmie basowej solówki starego, dobrego rocka. Stłuczone lustro przy

łożu opowiedziało mi historię niedawnych wydarzeń, podobnie jak para złotych damskich wieczorowych pantofli na niebotycznych szpilach, walających się na dywanie. Puste butelki po najdroższych whisky i koniakach tłoczyły się na lśniącym blacie czereśniowego biurka. Koło nich stały na wpół opróżnione, grube kryształowe szklanki, z których trzy nosiły ślady szminki - jedna różowej, druga wiśniowej, a trzecia gotyckiej, czarnej jak noc. Z tej ostatniej zwiślała zużyta prezerwatywa.

Wolałem nie myśleć o pościeli; cieszyłem się tylko, że padłem na łóżko w ubraniu.

Na dole skończył się *Rock nad Roll Band* i w nagle zapadłej ciszy rozległo się ponaglające wołanie Rexa, oznajmiającego, że obiad stygnie. Zanim zszedłem, spędziłem parę minut w luksusowej łazience pod prysznicem, po czym ubrałem się w świeżą parę turystycznych szortów i szary T-shirt.

Zszedłem boso po kręconych schodach, podobnych do tych, z jakich spadła Scarlett O'Hara. Cylindryczną przesterzeń pośrodku wypełniał olbrzymi żyrandol z rżniętego ręcznie kryształu, na którego ozdobnych ramionach zwiślało frywolnie sześć par stringów i jedna para obszernych bokserów w paski. U podnóża schodów, w holu, zmagazynowano w niedbałych stosach papierowe torby z produktami spożywczymi, kartony mleka oraz duże pudła i wypchane worki. Pozostawiona między nimi wąska ścieżka wiodła do szklanych, francuskich drzwi po lewej stronie holu. Zza nich słychać było głosy.

Przystanąłem, aby sprawdzić co jest w pudłach i stwierdziłem, że zawierają pozycje z listy, którą układaliśmy w samochodzie.

Zwoje nowiutkiej liny alpinistycznej z metką New England Ropes Safety Blue oraz lonże Millera z hamulcami, zakończone karabinkami z automatyczną blokadą zamka, pełne uprząże wspinaczkowe, pasy narzędziowe, pół tuzina

czerwonych kasków Petzla typu Ecrin Roc o dużej wytrzymałości, idealnych jako ochrona głowy, lecz nie nadających się do kamuflażu. Nie powinienem jednak wybrzydzać; wiadać nic innego nie dało się szybko zorganizować. Przeszedłem do worka pełnego karabinków i wyciągnąłem jeden. Znow Petzl, zakręcane, o wytrzymałości dwóch ton. W kolejnym worku były komandoskie gogle StrikeTeam ze wzmocnionymi szybkami poliwęglanowymi, a pod nimi zapas skórzanych rękawic, parę GPS-ów Magellan, dwuwatowe walkie-talkie Motorola Spirit XTN, wodoszczelne i odporne na zgniecenie, ze słuchawkami zintegrowanymi z mikrofonem, aktywowane głosem.

Dalej, aż na wysokość mojej piersi piętrzyły się pudła z butami - nowiutkimi, terenowymi, z grubą, ognioodporną podeszwą i podwyższoną cholewką, w kilku rozmiarach. I jeszcze pudełko z pojemnikami gazu pieprzowego, przeznaczonego do odstraszenia niedźwiedzi. Byliśmy bowiem całkowicie zgodni, że należy zminimalizować zagrożenie zdrowia i życia funkcjonariuszy oraz żołnierzy, którzy wykonywali jedynie swoje rozkazy.

Wziąłem w rękę pojemnik wielkości puszki farby w aerozolu i przeczytałem: „Posiada moc wystarczającą, aby powstrzymać atakującego niedźwiedzia... zasięg trzydziestu stóp”. Gwizdnąłem pod nosem. Sam zaproponowałem gaz pieprzowy, lecz nie myślałem o takiej dawce. Odłożyłem gaz i szybko przejrzałem resztę sprzętu. Czego tam nie było! Przecinaki do prętów, plecaki, czarne kamizelki taktyczne z niezliczoną ilością kieszeni i schowków, latarki ręczne, czołówki i reflektory, w tym dwa potężne dwunastowoltowe szperacze SuperNova.

Był nawet sprzęt, co do którego nie pamiętałem, że bym w ogóle go zamawiał. Jak na przykład dwanaście lasek budowlanego dynamitu, poprzecinanych na pół oraz grube, przezroczyste, polietylenowe torebki, zawierające zapalniki różnych rodzajów - elektryczne oraz tradycyjne, dające się

podpalić z pomocą zapałki. Zarówno dynamit, jak i detonatory należały do rodzaju, używanego przy poszukiwaniach ropy naftowej. Dalej namierzyłem rozcieńczalnik do farb, pięciokilowy młot, dwie paczki flar i rolkę szerokiej nylonowej taśmy. W dużej, plastikowej torbie upakowano czarne bawełniane T-shirty, bluzy i spodnie w tym samym kolorze i bieliznę. Torba z czterema parami ciemnych butów sportowych leżała przyciśnięta workiem z kajdankami. Obok położono potężną siekierę. Nie zabrakło również taśmy izolacyjnej, kabli i pasków plastikowych ze ściąganiem jednokierunkowym.

Pokręciłem głową, podziwiając operatywność Rexa, który zdołał zgromadzić taką kolekcję sprzętu pomiędzy świtem a południem, kiedy my smacznie spaliśmy.

Rozsunąłem przeszkłone drzwi. Za nimi znajdował się ogromny salon, gdzie Jasmine, Tyrone, Rex i jego żona Anita siedzieli skupieni w jednym końcu lśniącego mahoniem stołu, tak długiego, że mógłby śmiało zasiąść przy nim cały zarząd Enronu czy innej potężnej korporacji. Jednak przed nimi, zamiast teczek i laptopów, tłoczyły się opakowania po hamburgerach i frytkach. Zrobiło mi się ciepłej koło serca, kiedy zobaczyłem Jasmine.

- Witaj, śpiochu. - Oczy jej jaśniały, odbijając słoneczny blask, wlewający się przez okna.

Skierowałem się w stronę pustego krzesła, stojącego pomiędzy kobietami, łakomie zerkając na rząd styropianowych kubków z kawą. Tyrone skinął mi głową, nie przerywając jedzenia.

- Brad! - Anita zwróciła się do mnie z uśmiechem, na poły życzliwym, na poły zaaferowanym. - J a k miło cię widzieć!

- To był najwyższy czas, abyś wreszcie zwłókł z wyra swój leniwy tyłek - skomentował Rex, szczerząc zęby od ucha do ucha. - Za kilkanaście godzin mamy występ stulecia, a ty zgrywasz krasnala Śpiocha?

- Rex... - Anita zgromiła go spojrzeniem.

- Nie trzeba, Anita, jest okay - zapewniłem, podchodząc do niej. - Szefer ma rację. - Objęła mnie, uscisnęła serdecznie i spojrzała mi w twarz. - Popatrz tylko, jakie ma cienie pod oczami. - Pokręciła głową z pomrukiem dezaprobaty, a potem zerknęła na Jasmine. - Musisz dobrze dbać o niego - powiedziała do niej.

Ta gładka, naturalna akceptacja nowej kobiety u mego boku cudownie wpłynęła na moje nastawienie. Pochyliłem się, żeby pocałować Jasmine, a ona obdarzyła mnie swoim firmowym, tajemniczym uśmiechem, który głębiej niż kiedykolwiek wniknął w moją duszę.

Usiadłem, oderwałem wieko styropianowego kubka i chciwie pociągnąłem łyk kawy.

77 Generał brygady Jack Kilgore stał w swoim przeszklonym narożnym gabinecie i patrzył na przylegający do niego duży pokój sztabowy z biurkami, mapami, ekranami i konsolami. Załoga unikała zerkania w jego stronę, skupiając się na swojej robocie. Kiedy ich dowódca wolał stać niż siedzieć, był to jawny sygnał, że jego i tak już śladowa tolerancja na durną papierkową robotę ulotniła się całkowicie.

Kilgore trzymał przy uchu komórkę, wsłuchując się w regularny sygnał, oznaczający, że Dan Gabriel nie odbiera telefonu. Im dłużej słucał, tym bardziej jednostajny dźwięk nabierał dla niego brzmienia syreny alarmowej. Przystanął przy drzwiach i zaczął przyglądać się wielokolorowym skretkom okablowania kategorii 5 - kablowi koncentrycznemu i pęczkom światłowodów, starannie pospinanych i poprowadzonych kanałami, przenoszących dane, fale radiowe i prąd elektryczny ze źródeł zasilania do miejsca przeznaczenia. W takich razach zdarzało mu się wspominać dawne

czasy, kiedy do zwycięstwa w boju wystarczył Bóg, żołnierze i armaty-jeśli tylko dowodziłeś odpowiednio inteligentnie, aby dawkować te trzy rzeczy w odpowiednich proporcjach i w odpowiednich momentach.

Lecz nowa technologia, Xantaeus, niosła ze sobą tylko przemoc, bez żadnej nadziei. Ta zdehumanizowana, bezwzględna opcja pozbawiała indywidualnego żołnierza wolnej woli, wydzierając mu to, co stanowiło o jego człowieczeństwie. Uwaga Gabriela, że niektórzy żołnierze idą tam, dokąd prowadzi ich narkotyk i nigdy nie wracają prześladowała Kilgore'a i stymulowała buntownicze myśli.

W odległym kącie pokoju sztabowego siedział zastępca Kilgore'a, pułkownik Bill Lewis, zagłębiany w rozmowie z oficerem mapowym, który otrzymywał te same dane, na podstawie których samonaprowadzały się rakiety i które pozwalały pilotom - oraz oddziałom Kilgore'a - symulować rozmaite zadania w konkretnym terenie, obfotografowanym z powietrza i przez satelitę zdjęciami o dużo lepszej rozdzielczości niż przeciętne fotki rodzinne z wakacji.

Kilgore odsunął telefon od ucha i przyglądał mu się przez chwilę, zanim wcisnął „end” i zrezygnowanym gestem opuścił rękę. W chwilę później pułkownik Lewis wstał, wziął plik papierów od operatora konsoli i skinął w kierunku Kilgore'a. Za moment znalazł się w drzwiach jego biura.

- Masz jakąś koncepcję? - zagadnął Kilgore.

Lewis pokręcił głową.

- Z telefonem generała Gabriela jest wszystko w porządku.

- Wiem - warknął Kilgore, wymachując mu komórką przed nosem. - Rzuć jakiś konkret.

Przymknął powieki i skrzywił się.

- Wybacz, Bill - powiedział łagodniejszym tonem. - T e n brak snu mnie wykończy. Chwilami nie wiem, co mówię.

- Wszyscy tak mamy, sir - przytaknął Lewis. - Przecież znajdujemy się w ciągłym pogotowiu bojowym od czasu, kiedy Braxton zaczął marsz po prezydenturę.

Lewis, jak prawie każdy żołnierz, którego znał Kilgore - nie wyłączając siebie samego - był dumny z faktu, że Ameryka ma wreszcie szansę wybrać przywódcę z prawdziwego zdarzenia - z wojskową wiedzą, odwagą i charakterem; kogoś, kogo z wytęsknieniem wyczekiwali po żalosnej paradzie hodowców orzeszków ziemnych, kowbojów, aktorów, chwiejnych intelektualnych liberałów i zwykłych pozerów, którzy głupio, egoistycznie, nadużywali wojska, usiłując na różne sposoby nagiąć je do własnych celów. Kilgore uświadomił sobie nagle, że jego złość wynika w dużej mierze z rozczarowania faktem, że tak długo wyczekiwany żołnierz, który zmierza do Gabinetu Ovalnego, stąpa po polu minowym.

Chciał powiedzieć to Lewisowi, ale zamiast tego powiedział tylko:

- Dziękuję.

- GPS-owe funkcje komórki funkcjonują prawidłowo. - Lewis wręczył Kilgore'owi kolorowy, topograficzny wydruk wysokiej jakości.

- Tu spędził ponad dziesięć godzin. - Pokazał na punkt w pobliżu San Rafael. - W tym hotelu. Stamtąd po raz ostatni dzwonił do pana. Potem pojechał na północ autostradą 101, potem na wschód 37 i wreszcie na północ, w stronę Sonomy. - Pułkownik sunął palcem po trasie. - Tu zatrzymał się na moment, a potem na dłużej w miejscu, które okazało się być rezydencją doktora Franka Harpera.

Kilgore słuchał w milczeniu.

- Telefon przebywał u Harpera ponad pięć godzin, potem przemieścił się na północ, potem na wschód i odtąd aż do teraz pozostaje w tym miejscu. - Pokazał zbiór niemal koncentrycznych poziomicy na wschód od Silverado Trail, w Napa Valley.

- Posiadłość Braxtona - odezwał się Kilgore. - Dziś po południu szychy mają tam spotkanie. - Przez moment zastanawiał się w milczeniu. - Okay, zatem zróbmy tak: zbierz

oddział, który trenował taktyki al-Kaidy i daj im wszystko, co może zdobyć sprawna i dobrze dofinansowana komórka terrorystyczna - dane, plany i mapy hrabstwa, fotografie z francuskich satelitów szpiegowskich, przecieki z niemieckiego wywiadu i tego typu rzeczy, i zacznij trenować ich, aby przeciekli do Castello Da Vinci.

- Ponadto zorganizuj drugą grupę, która zgromadzi wszystkie dane, jakie mamy i przekaże mi raport na ten temat. Pierwsza niech wynajmie w okolicy biuro albo coś w tym stylu. Zadbaj, aby grupy nie kontaktowały się ze sobą. Nie muszę mówić, że wszystkich, w tym i ciebie, obowiązuje pełna tajemnica i dyskrecja. Nic ma nie wydostać się na zewnątrz.

- Sir - Lewis odchrząknął. - A kto ma dowodzić oddziałem?

- Ty.

- Tak jest. - Pułkownik z uśmiechem skłonił głowę.

- Okay. A jak sytuacja w Missisipi?

- Prężenie muskułów, jak zwykle - odparł Lewis. - Te złamasy ze Służby Celnej latają jak koguty, którym odcięto głowy i jak one kręcą się w kółko. Jest z tego kupa wrzasku, nic więcej.

- Wiesz, że Brown to jeden z ludzi Braxtona?

- Nikt nie jest doskonały - stwierdził beznamytnie Lewis. - Generał nie może wiedzieć wszystkiego. To dlatego my musimy być najlepsi i odsiewać słabe elementy jak nadgniłe jabłko.

- Dobrze powiedziane.

- Dziękuję, sir. - Pułkownik kontynuował raport. - Pożar w Itta Bena rozprzestrzenił się na sąsiednie zabudowania i wypalił się dopiero po świcie. Wina spadła na szturmowy oddział Browna i prawnicy już ustawili się w kolejce do walki o odszkodowania. Pierwsza jest oczywiście rodzina Shankerów. On był podziwianym w tamtych stronach i bardzo szanowanym adwokatem. Pod hotelem, gdzie zatrzy-

mali się chłopcy z Departamentu Bezpieczeństwa doszło prawie do zamieszek.

- Szeryf okręgu Leflore, szef policji z Itta Bena i paru innych pojechało do Jackson, żeby poskarżyć się tam senatorom i prokuratorowi generalnemu; o ile rozumiem, uruchomili jakąś akcję obywatelską. Media zaraz się na to rzuciły, zjechały się telewizje i prasa. Zdjęcia Stone'a i Thompson wyemitowano gdzie się da, ale każdy reporter, który ma IQ większe niż numer swojego buta, od razu zaczyna zadawać kłopotliwe pytania, które w końcu zdyskredytują Davida Browna i tę jego bandę celnych dupków.

Kilgore uśmiechnął się szeroko. Bill Lewis miał po lewej stronie brzucha bliznę po ranie, jaką zarobił, kiedy agent celny, któremu palec skakał po cynglu, postrzelił go w czasie wspólnej akcji dwóch oddziałów przeciw grupie niewinnych muzyłmanów w Wirginii. David Brown sprowokował tę akcję, przedstawiając dowództwu sfałszowane doniesienia wywiadowcze. Kilgore nie zgodził się, aby jego oddział specjalny Task Force 86M brał udział w rajdzie i uległ dopiero bezpośrednim rozkazom z Pentagonu. Chodziły pogłoski, że Lewis został postrzelony celowo, dla odwetu, lecz trudno je było potwierdzić, jako że ludzie Browna służyli z tego, że wałą gdzie popadnie, tylko nie w cel.

- Czy są jakieś postępy w poszukiwaniach Stone'a i Thompson?

Lewis wzruszył ramionami.

- Nieznaczne. Opracowują drzewo rodziny i powiązań - wiesz, tak jak zrobiono w przypadku Saddama - wypisuje się wszystkie osoby, które Stone zna, mając nadzieję, że ktoś wreszcie doprowadzi do niego. Sądzą, że ciągnie do Jackson.

- A co myślisz o pytaniach, jakie stawiają media?

- Nie mam jeszcze wystarczających danych, aby sformułować wnioski operacyjny - oświadczył Lewis.

- Hm, pytałem o osobiste zdanie - powiedział powoli Kilgore.

Lewis kiwnął głową.

- Cała sprawa śmierdzi. Przejrzałem archiwa. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego przysłała nam nagrania z rozmów radiowych, poczynając od sygnału Mayday, wysłanego przez Stone'a z Marina del Rey. - Lewis pokręcił głową.

- To mi znów wygląda na jakąś spartaczoną, dętą robotę, jak w przypadku tej rozróby Browna w Wirginii.

- Tam nie było Browna i jego policji celnej, tylko ludzie z armii, z Wojskowego Oddziału Wsparcia Technicznego - zaznaczył Kilgore.

- Dobrze, ale proszę pamiętać, że oni również dostają fundusze z budżetu Departamentu Bezpieczeństwa. Zadałem sobie nieco dodatkowego trudu i sprawdziłem kartotekę pułkownika, który dowodził operacją w Marina del Rey i... - Lewis zawiesił głos i uśmiechnął się lekko.

- I ?

- Służy przy Braxtonie.

- Teraz rozumiem, dokąd to zmierza.

- Brown też zrozumiał.

- Dobra robota, Bill. - Kilgore poklepał podwładnego po ramieniu. - Przejmę kontrolę nad operacją w Missisipi, Żebyś mógł spokojnie zająć się tą sprawą w Napa.

78 Kiedy Rex i Tyrone uzupełnili brakujące pozycje z listy, pojechaliśmy z Anitą do Rządowego Szpitala Weteranów Wojennych, trzypiętrowego ceglanego budynku. Wprowadziła nas wejściem dla odwiedzających, które znajdowało się na północny zachód od głównych drzwi. Starzy mężczyźni na wózkach inwalidzkich i szczęśliwcy, którym wystarczyły kule, oblegali alejki ogrodu w asyście rodzin, pielęgniarek i kolegów. Wszyscy kurzyli papierosy.

Anita posuwała się wolno, znajdując drogę w tłoku.

- Zapisywaliście współrzędne drogi? - J a s m i n e zapytała Tyrone'a.

- Taa. - Pochylił się nad Magellanem i wcisnął parę klawiszy. - T e g o wejścia też.

Uważnie oglądaliśmy budynek, w miarę jak Anita prowadziła nas do części północnej, a potem wschodniej. Po drodze minęliśmy transformatorową podstację elektryczną, zapatrującą szpital w prąd. Grube kable wysokiego napięcia zwisały w dół ze wsporników słupa po jednej stronie, a z drugiej odchodziła w stronę szpitala linia niskiego napięcia.

- J a s n e jest, że szpital ma zasilanie awaryjne z generatora w salach operacyjnych, na oddziałach intensywnej terapii i w innych ważnych punktach - powiedziałem, kiedy wychaliśmy ze szpitala. - Ale policyjnej ochrony, która tu stacjonuje, nie ma.

- Ich pokój znajduje się na parterze, zaraz za głównym wejściem - poinformowała Anita. - Pojechaliśmy na zachód, przez teren Uniwersyteckiego Centrum Medycznego. Zatrzymaliśmy się na parkingu przed Murrah High School, żeby przyjrzeć się dwupasmowej szosie, wiodącej ku szpitalowi dla weteranów. Anita wyciągnęła ze schowka fotografię i podsunęła ją mnie i Jasmine.

- Zrobiłam to zdjęcie moim cyfrowym Canonem, kiedy rano szłam do pacjenta - wyjaśniła.

Fotografia przedstawiała front szpitala z oknem, za którym leżał Darryl Talmadge, obwieszonym ramką zrobioną pisakiem.

- Leży w zamkniętym pokoju, którego drzwi pilnuje totalnie znudzony wartownik z żandarmerii wojskowej - dodała.

- Tylko krótka broń?

Skinęła głową.

- Kto ma klucz? Dyżurna pielęgniarka?

- Nic z tego - Anita pokręciła głową. - Ma go kapitan z jednostki nazywanej Oddziałem Wsparcia Technicznego,

która okopała się w pokoju obok. O tu - pokazała następne okno, na wschód od okna Talmadge'a.

- A teraz najtrudniejsza część - oznajmiła po paru minutach, kierując się w stronę Woodrow Wilson Avenue, którą przyjechaliśmy do szpitala. Skręciła do Hawkins Field, miejsca, które automatycznie nasunęło nam się, gdy myśleliśmy o wykradzeniu helikoptera. Jak oczekiwaliśmy, na płycie lotniska prezentował się pełny wybór Jet Rangerów Bella. Takim latała Jasmine w Los Angeles z ekipą telewizyjnych wiadomości. Byłby dla nas bardzo dobry, lecz ochrona na Hawkins okazała się za silna, a ponadto po lotnisku kręciło się zbyt wielu ludzi.

- Okay, w takim razie plan B - orzekła Jasmine z zafrasowaną miną. Od tej pory przez bite pięć godzin jeździliśmy od lotniska do lotniska. Przejechaliśmy Hinds, Madison, Rankin i kawałek hrabstwa Yazoo, potem skierowaliśmy się na północ przez Canton i dalej, przez Flora i Pocahontas, z powrotem na południe do Byram, aż znaleźliśmy się na południowy wschód od Brandon. Stwierdziliśmy, że im lepsze lotnisko, jak Campbell Field w Madison, tym więcej jest tam helikopterów i tym lepiej są pilnowane.

Korzystając z mapy lotniczej i danych, ściągniętych wcześniej z domeny AirNav.com, Jasmine kierowała Anitę ku coraz to mniejszym, prywatnym lądowiskom.

- Nie łamcie się! - Usiłowała podtrzymać nas na duchu za każdym razem, kiedy na trawiastych pasach widzieliśmy wyłącznie małe samoloty do opylania pól - Dromadery M18, Cessny Ag Husky, czasem Ag Cats lub Ayers Thrush - i ani jednego helikoptera.

- Powinno się coś wreszcie znaleźć - powiedziała, kiedy Anita skręciła z szosy na gruntową drogę i włączywszy w swojej półterenówskim odcinkiem wśród drzew, błotnistym i śliskim po ostatnich deszczach.

- Wygrałyśmy z mamą wiele procesów o odszkodowania dla rodzin i całych okręgów szkolnych, dotyczących czasów,

gdy samoloty rozpylały na polach ogromne ilości pestycydów, prosto nad głowami dzieci - ciągnęła. - T e r a z na szczęście mamy coraz więcej ekologicznych gospodarstw, w których nie używa się nawet odrobiny takich trucizn. Opylanie helikopterem jest drogie, za to można opylać pola bardziej wybiórczo, na mniejszej wysokości, dzięki temu szkodliwe substancje mniej się rozprzestrzeniają. A ponieważ stworzono finansowe mechanizmy, zachęcające do używania śmigłowców, wielu farmerów zaczęło na nie przechodzić.

Przez chwilę rozważaliśmy jej słowa. Drzewa skończyły się nagle i zobaczyliśmy przed sobą rozległe pastwisko.

- Eureka! - wykrzyknęła Jasmine.

Anita zdjęła nogę z gazu.

- Nie zwalnij zbyt szybko - poradziłem. - Nie trzeba, żeby ktoś nas zapamiętał.

- Widzicie, stoi tam, w drugim końcu - powiedziała Jasmine, wskazując kierunek. - Bell B3. Idealnie się nadaje. Mogę go uruchomić w parę sekund. Zapisałeś współrzędne miejsca? — zwróciła się do Tyrone'a.

- Tak jest, szefowo!

Kiedy dojeżdżaliśmy do kępy drzew, koło których stała maszyna, z góry rozległ się narastający, dudniący terkot i w chwilę później zza wierzchołków drzew wyłonił się nisko lecący stary helikopter z przeszkloną kabiną w kształcie bąbla. Wyglądał jak jedna z tych ratowniczych ważek z niezapomnianego serialu M. A. S. H, lecz zamiast noszy dla rannych żołnierzy miał podwieszoną pod kokpitem długą, sterczącą z obu stron, rurowatą instalację do opylania. Jasmine patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za horyzontem. Silnik zakrzutusił się na ułamek sekundy, ale natychmiast podjął pracę.

- Ale rzech - skomentowałem, kiedy znów wjechaliśmy w drzewa.

- Niezupełnie. - Jasmine pokręciła głową. - Raczej klasyk. To Bell 47. - Silnik znów zgubił rytm. - Potrzebuje tylko regulacji.

- Nadaje się do muzeum - poparł mnie Tyrone.

Jasmine zaczęła się śmiać.

- Wiele szkół latania nadal ich używa. Na takim uczyłam się przejścia od latania samolotem do latania śmigłowcem. - Dostrzegła zaskoczenie na mojej twarzy. - Zwłaszcza małe ośrodki, gdzie ludzie uczą się latać helikopterami, kupują ten model, bo jest tani. Na całym świecie są kluby Bella czterdziestki siódemki, gdzie remontuje się te maszyny i odnawia je, urządzi się zawody i w ogóle snobuje się na nie jak na stare mustangi czy corvetty. Można sobie naprawdę fajnie polatać na tym śmigle, jeśli się o nie dba.

- A jeśli się nie dba?

Jasmine wzruszyła ramionami.

- Jest dużo wypadków.

Jack Kilgore kończył kolejną, podłą biurową kawę, gdy zadzwonił jego bezpieczny telefon. Skrzywił się, przełykając finalny łyk kwaśnego świństwa i obiecując sobie w myśli, że kiedy to wszystko wreszcie się skończy, napije się porządnej kawy w miłym, zacisznym miejscu.

- Kilgore, słucham.

- Tu Barner, sir. Namierzaliśmy nasze cele.

- Świetnie. Mów.

79

Helikoptery zniknęły. Bez kradzieży helikoptera cały plan był na nic. Totalnie na nic.

Kiedy kierując się wskazaniem GPS-u, wróciliśmy o trzeciej nad ranem na łąkę, nie stała tam ani jedna, ani druga maszyna. Anita zatrzymała samochód, lecz na próżno wpatrywaliśmy się w pustą przestrzeń pastwiska, raz po raz zasłanianą chmurami, które nachodziły na księżyc.

Siedzieliśmy w ciężkim milczeniu - Rex, Tyrone, Anita, Jasmine i ja, ścieśnieni we wnętrzu transportowego chevrolleta, pomiędzy workami ze sprzętem.

- Niedobrze - podsumowałem ponurym głosem.

Jasmine pochyliła się ku Anicie.

- Możesz pojechać po tych śladach? - Wskazała na błotniste koleiny, prowadzące w głąb pastwiska. - Może one są tam, za drzewami?

- J a s n e - odparła Anita. - I tak mam już włączony napęd na cztery koła.

Szpej w worach podzwaniał, gdy telepaliliśmy się po wybojach. Objaliśmy się o siebie, starając się nie myśleć o oczywistym fakcie.

- To był mój błąd - powiedziała Jasmine niskim głosem, w którym brzmiało zatroskanie. - Powinniśmy sprawdzać te małe lotniska po zmroku. Przecież maszyny muszą być gdzieś tankowane.

- Módlmy się, żeby tam coś było - westchnąłem.

- Trudno, jeśli nie dorwiemy go dzisiaj, spróbujemy jeszcze raz jutro wieczorem - powiedział Tyrone.

- Możemy - odparłem. - Ale w ten sposób dajemy chłopcom w Blackhawkach czas, aby mogli nas dopaść.

Już straciliśmy nadzieję, kiedy nagle, okrążywszy klin drzew wcinających się w łąkę, zobaczyliśmy podobną do ważki sylwetkę starego helikoptera, ustawionego na przyczepie. Przezroczystry bąbel kabiny okrywał niebieski pokrowiec. Nowszego śmigłowca nigdzie nie było widać.

- Och, ty - powiedział Rex tępym głosem. - Ty cholerny mały draniu.

Anita podjechała do przyczepy i zatrzymała się. Jeszcze chwilę po zgaszeniu silnika siedzieliśmy nieruchomo, przejęci realnością zadania, z którym za chwilę przyjdzie się nam zmierzyć.

- Wyluzujcie, chłopaki - odezwała się wreszcie Jasmine.

- Mogło być gorzej. - Wysiadła, podeszła do przyczepy,

wspięła się na nią i zapaliwszy latarkę rozpoczęła inspekcję maszyny od znajdującej się z tyłu przekładni śmigła ogonowego.

Następnie postukała w jeden z bliźniaczych zbiorników paliwa, znajdujących się po obu stronach ogona i obejrzała rozpylacz pestycydów, przytwierdzony za kokpitem. Wreszcie odczepiła ekspandory, przytrzymujące plandekę i płachta opadła na ziemię, odsłaniając kabinę.

Nie mogłem oderwać oczu od tej kobiety; przepełniała mnie zaborcza duma, gdy patrzyłem, jak sadowi się w fotelu pilota, rozgląda się niespiesznie po kabinie, a potem skupia się na tablicy przyrządów. Mój podziw wzrósł, gdy obserwowałem, jak spokojnie i fachowo przeprowadza swoją inspekcję. Po chwili uśmiechnęła się, spojrzała na nas i skinęła z satysfakcją, a potem zeskoczyła na dół i ruszyła z powrotem do auta.

- Dobra wieść: to model G Bella 47 z silnikiem spalinywym Franklina, który ma dwieście koni, a nie sto siedemdziesiąt osiem, jak w większości tych maszyn - orzekła.

- Panie, dzięki ci za dwadzieścia dwa konie więcej - powiedział sarkastycznie Rex.

- Rex! - rzuciła ostrzegawczo Anita.

- Okay, już nic nie mówię - mruknął pokornie.

- Ten helikopter został - ciągnęła Jasmine - bo w drugim kole przyczepy nie ma powietrza.

- Dlaczego w takim razie nie polecili nim, jak tamtym? - chciał wiedzieć Rex.

- Je śli miałbyś maszynę tak starą i powolną jak ta, która w dodatku musi na ciebie zarabiać, też wolałbyś raczej oszczędzać silnik i nie nabijać niepotrzebnie godzin lotu - wyjaśniła.

- Je d n y m słowem jest i dobrze, i źle - podsumował Rex.

- Dobrze, bo mamy helikopter; źle... bo mamy helikopter. Śmiech zniwelował napięcie.

- Czy on jest w porządku? - zapytałem Jasmine.

- Musi być w porządku, nie?
 - Wystarczy paliwa?
- Kiwnęła głową.
- A to przerywanie silnika?
 - Wydaje się, że trzeba przeczyścić styki - powiedziała.
- Sprawdź, jak dokopujemy się do skrzynki narzędziowej Rexa.

Księżyc zaczął chować się za drzewa, kiedy wyładowywaliśmy sprzęt z auta i zakładaliśmy nasze ciemne stroje.

- Jeszcze jedna rzecz - zaznaczyła Jasmine. - Czterdziestka siódemka jest powolniejsza niż Jet Ranger. Możemy polecieć co najwyżej z prędkością stu trzydziestu paru kilometrów na godzinę. To wydłuży nam czas lotu o dziesięć minut do kwadransa.

Czas zaczynał działać na naszą niekorzyść i trzeba było się pospieszyć. Z pomocą przecinaka szybko uporaliśmy się z blokadami oraz pozostałymi zabezpieczeniami i zsunęliśmy lekki helikopter z platformy bez większego wysiłku.

Wyładowałem z Rexem sprzęt z auta i patrząc na piętrzącą się górę worów, usiłowałem sobie wyobrazić, jak podwieszamy to wszystko pod kadłubem, przymocowujemy do przedniej części kratownicy ogona i upychamy w kabinie. Szybko pojęliśmy, że z dużej części ekwipunku będzie trzeba zrezygnować.

Podczas gdy razem z Rexem gorączkowo usiłowałem wyselekcjonować najpotrzebniejszy sprzęt, Tyrone z Jasmine odczepili rozsiewacze i zdjęli zbiornik na pestycydy. Z pomocą Anity starym złodziejskim sposobem na „krótko” połączyli obwód zapłonu, a potem podpięli spiralnie skrócone kable szperaczy SuperNova bezpośrednio do dwunastowoltowej instalacji elektrycznej maszyny.

Gdy skończyliśmy z Rexem odsiewać sprzęt, zaczęliśmy z pomocą lin konstruować coś w rodzaju bliźniaczych siatek, podwieszonych w tych miejscach, gdzie w śmigłowcach obsługujących szpital polowy M.A.S.H. podczepiano nosze.

Dzięki siatkom mieliśmy z Rexem bezpiecznie podróżować, gdyż w małym kokpicie były tylko dwa miejsca.

- Uważajcie na prawą stronę, gdzie wspornik prawej płozy dotyka ogona - ostrzegła Jasmine. - Rura wydechowa jest bardzo, bardzo gorąca.

Księżyc zniknął z nieba, a wskazówki naszych zegarków zmierzały w przyspieszonym tempie ku czwartej na ranem. Niedługo miał się zacząć świt. Musieliśmy zdażyć. Krótko po 4.15 rozwinęliśmy na ziemi pas drucianej siatki do zbrojenia betonu - takiej, jakiej używa się przy budowie szos czy alejek. Siatka miała dobre sześć metrów długości i dwa i pół szerokości. Następnie usztywniliśmy jej dłuższe boki, mocując do nich dwunastomilimetrowe pręty zbrojeniowe. Następnie do końców tych boków przywiązaliśmy liny tak, aby tworzyły dwie luźne pętle i przewlekliśmy przez nie w poprzek osobną linę. Końce tej liny przywiązaliśmy do płóz węzłami flagowymi, rozwiązującymi się jednym szarpnięciem, które na czas lotu zabezpieczyliśmy karabinkami.

Uporawszy się z tym, założyliśmy uprząże, kaski i plecaki; podobnie zrobił Tyrone, który wziął do kabiny resztę sprzętu, aby w odpowiednich momentach wychodzić na płozy i podawać nam to, co potrzeba.

Miałem przy sobie automat H&K, zabrany zabitej snajperce, wsadzony w kaburę udową oraz zapasy nabojów do niego, poupychane w przepastnych kieszeniach kamizelki taktycznej. Broń Rexa stanowił wysłużony, niklowany automatyczny colt. 380, który moja matka zostawiła mu w spadku. Jasmine i Tyrone mieli bliźniacze rugery .357. Po między fotelami położyli karabin M21, lecz wątpiłem, czy im się przyda. Gdyby doszło do strzelaniny, byłibyśmy zgubieni.

Jasmine włączyła silnik helikoptera. Anita ucałowała i uściśnęła męża, po czym odbiegła do samochodu i szybko odjechała.

Założyliśmy z Rexem gogle i stanęliśmy po obu stronach metalowej siatki, podczas gdy Jasmine wystartowała i ustabilizowała maszynę mniej więcej pięć stóp nad gruntem.

Przez krótkofalówki naprowadziliśmy ją nad siatkę, po czym przyczepiliśmy końce liny nośnej do płóz helikoptera. Stałem na płozie i przypiąłem się do kratownicy ogona. Rex zrobił to samo po drugiej stronie. Zawołałem do niej, aby odlatywała. Maszyna zaczęła się powoli unosić.

- Zaczekaj! - W moich słuchawkach rozbrzmiał głos Rexa. Za moment po jego stronie rozbłysło jaskrawe światło. Mój szperacz był przyczepiony karabinkiem do liny, unoszącej siatkę. Zobaczyłem, że siatka obraca się, napędzana podmuchami śmigła. Natychmiast opuściliśmy ją na ziemię i dowiazaliśmy do końców dodatkowe stabilizujące liny.

Była 4.30, gdy wystartowaliśmy po raz drugi. Helikopter poleciał przed siebie, nabierając szybkości. Ułożyłem się wzdłuż płozy, z głową w kierunku lotu, trzymając się mocno wsporników, zabezpieczony od spodu siatką z liny.

Wyjąłem z kieszeni nocną lunetę i skierowałem ją w dół przed siebie, wypatrując linii elektrycznych i zastanawiając się, jakie jeszcze inne strachy czyhają na nas w ciemnościach.

80 David Brown stał oparty o parapet okna w biurze dowództwa, znajdującym się na czwartym piętrze siedziby federalnych władz w Jackson, w Missisipi, i patrzył w dół na prawie pustą Capitol Street. Z ust sterczał mu świeżo zapalony marlboro.

- Gdzie jesteś, do kurwy nędzy, ty złodziejski wypierdku? Gniewnie zaciągnął się, wypuszczając dym nozdrzami.

Za jego plecami ktoś zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

- Co znowu? - mruknął Brown, nie odwracając się. Widział odbitą w szybie postać swojego asystenta, w aureoli światła, padającego z otwartych drzwi.

- Chyba mam coś.

Brown odwrócił się.

- Co niby?

Wyjął papierosa z ust i zerknął na zegarek. Była 4.32. Niedługo zacznie świtać.

- Wykaz połączeń z komórki Stone'a. Operator nie zgodził się udostępnić nagrań bez nakazu sądowego.

- Banda bezużytecznych dupków. - Brown zaciągnął się ostatni raz, ściskając wypalony papieros w palcach, pożółkłych od tytoniu. - Powinniśmy dostawać wszystko co trzeba na żądanie, bez zwracania głowy sędziemu.

- Tak, sir, oczywiście... Sprawdziliśmy, że dzwonił do kogoś w Jackson, do mężczyzny o imieniu Rex, nazwisko nie wymienione.

- Nie pieprz! Nie ma człowieka bez nazwiska.

Asystent wrzucił ramionami.

- Ten się z nim kryje. Jest przedsiębiorcą budowlanym i konserwatorem budynku w którym mieszkała matka Stone'a.

Brown krzywiąc się rzucił peta na błyszczącą podłogę i zgniół go obcasem.

- Uciesz moje uszy czymś bardziej konkretnym, do cholery!

- Ten Rex jest żonaty z lekarką, która pracuje w Rządowym Szpitalu Weteranów Wojennych, gdzie trzymają Talmadge'a. Wartownik wojskowy, pilnujący sali, widział ją dziś rano.

Brown uśmiechnął się szeroko.

- No to mamy skurwysyna! Teraz wreszcie zapłaci za wszystko, co nawywiął - on i ta jego czarna suka.

Asystent cofnął się lekko.

- Ruszaj! - warknął Brown. - Powiedz tym w szpitalu, żeby podwoili strażę. Niech przeniosą Talmadge'a do innego pokoju i wypieprzcie stamtąd jacksonskich gliniarzy. Uruchom nasze oddziały i zgotujcie draniom przyjęcie powitalne.

81 Jasmine, naprowadzana przez Tyrone'a, non stop wpatrującego się w GPS, leciała trasą zapamiętaną wczorajszego popołudnia. Ja zaś, jedną ręką kurczowo uczepony zaimprovizowanej siatki ochronnej, wisiałem pod brzuchem helikoptera. Drugą ręką trzymałem przy oku noktowizyjną lunetę skierowaną w przód, wypatrując linii elektrycznych i innych niebezpieczeństw, które nie powinny się znaleźć na naszej drodze. W dole, po prawej, przepłynął jasno oświetlony parking siedziby policji drogowej Missisipi. Potężna bryła szpitala zamajaczyła w oddali.

- Gra muzyka - powiedziałem, aktywując swoim głosem walkie-talkie. - Rex, gotowy z linami?

- Tak.

- Tyrone?

- Jestem.

- Włącz celownik w swoim M21 i sprawdzaj dalej drogę w tej ściernie, boja się szykuje - powiedziałem.

- Okay.

Złożyłem lunetę, upchnąłem ją w przepastnej kieszeni kamizelki i chwyciłem swoją część liny, która podtrzymywała metalową siatkę pod nami. Budynek szpitala leżał po lewej stronie, a po prawej ciągnęła się linia elektryczna wysokiego napięcia. Horyzont przed nami wypełniał gmach Uniwersyteckiego Centrum Medycznego.

Ziemia zbliżyła się ku nam i przepływała pod maszyną w coraz wolniejszym tempie, aż helikopter zawisł nad pod-

stacją, zaopatrującą w prąd Szpital Weteranów Wojennych. Znów wyciągnąłem lunetę, wsunąłem dłoń w pętlę lunety i przyjrzałem się grubym przewodom, wychodzącym z podstacji w kierunku szpitala.

Uruchomiłem krótkofalówkę.

- Jasmine?

- Jestem.

- Obróć się w lewo o mniej więcej sto pięćdziesiąt stopni i tak trzymaj.

W jednej chwili ustawiliśmy się tuż nad przewodami.

- Okay, teraz w dół, około sześciu metrów. Rex, gotów?

- J a k zwykle.

- Okay, Rex, wypnij karabinek z węzła flagowego i bądź gotowy do puszczenia liny.

Puściłem lunetę, aż zwiła na pasku, po czym tak jak Rex wpiąłem karabinek z węzła po mojej stronie.

Na peryferiach mojej percepcji, cząstką napiętych zmysłów, skupionych na obserwacji tego, co w dole, zarejestrowałem wycie syreny i rozbłyśki świateł alarmowych. Zebrałem mocno w rękę koniec liny, wystający z węzła i po raz ostatni, szybko zerknąłem przez lunetę.

—Jeszcze odrobinę w dół - poleciłem przez komunikator.

Nagle ciemność pod nami eksplodowała grzmotem, który rąbnął mi w pierś jak odrzut haubicy i w tym samym ułamku sekundy białoniebieski, przeraźliwy rozbłyśk elektrycznego zwarcia zmienił noc w dzień.

Jednym szarpnięciem rozwiąaliśmy z Rexem węzły, uwalniając nas od siatki, a Jasmine gwałtownie otworzyła przepustnicę silnika, podrywając maszynę w górę i odlatując od podstacji, z powrotem w kierunku, z którego przybyliśmy. W budynku szpitala paliło się tylko parę świateł, zaś parking stał się całkowicie ciemny. Przez chwilę lecieliśmy nisko na wschód, a potem odbiliśmy na południe. Kiedy mijaliśmy rampę, usłyszałem, jak w szpitalu z głośnym pomrukiem rusza awaryjny generator.

W chwilę później iskry posypały się z zapalonych przez nas lontów pierwszego, drugiego i trzeciego ładunku, a potem trzech następnych. Trzy z nich wybuchły prawie natychmiast; drugie trzy później, gdyż miały o wiele dłuższe lonty - ale za to eksplozje były potężniejsze. Tak wymyślił Rex, który sugerował wcześniej, aby krótsze laski dynamitu zaopatrzyć w krótsze lonty celem stworzenia efektu chaosu poprzez różne natężenia eksplozji, w różnych odstępach czasu i w różnych miejscach. Kiedy popatrzyłem w tył, zobaczyłem płomień, strzelające z przepełnionego kontenera na śmieci.

Jasmine poleciała nad Woodrow Wilson Avenue, do szpitala, gdzie namierzeliśmy okno pokoju Darryla Talmadge'a. Kiedy naprowadzała maszynę nad krawędź dachu, wpiąłem się z liny asekuracyjnej, przywiązanej do kratownicy ogona i wpiąłem karabinek w pętlę zawiązaną na końcu liny wspinaczkowej. Mniej więcej półtora metra wyżej, na tej samej linie, uwiązanej do helikoptera, była druga pętla, do której przypięliśmy karabinkami prowizoryczne siedzisko z nylonowych taśm oraz worek z resztą sprzętu.

Gdy helikopter zawisł wreszcie w jednym położeniu, wybuch wstrząsnął dalekim krańcem budynku i mała kula ognia uniosła się w górę. Po chwili rozległy się jeszcze dwa. Te ładunki miały długie lonty.

Jasmine opuszczała nas powoli w dół, na pozycję. Nagle w mroku pokoju, znajdującego się obok pokoju Talmadge'a, zabłysło na moment coś, co przypominało światło latarki.

- Światło obok! - zameldowałem przez radio.
- Robi się gorąco - skomentował Rex.

Jasmine ostrożnie obniżała maszynę, uważając, aby łopaty wirnika nie zahaczyły o dach. Z worka uwiązanego do płóz wyciągnąłem młot uwiązany na lince, rozbijałem go i trzasnąłem nim w okno pokoju Talmadge'a, po czym wjechaliśmy z Rexem na linach do środka, wybijając nogami resztki szyb.

Sprawy zaczęły iść źle.
Talmadge'a nie było w łóżku.
Ktoś kopniakiem otworzył drzwi.

82

- Spierdalaj mi z drogi, ty niedonoszony glino, bo odstrzelę ci nędznego frędzla razem z gałkami!

David Brown, w pełnym rynsztunku policyjnych komandosów, mając za sobą swojego asystenta i dwóch innych funkcjonariuszy Służby Celnej, skierował lufę pistoletu maszynowego H&K na samotnego wartownika, pilnującego głównego wejścia do Szpitala Weteranów Wojennych.

Zanim strażnik zdążył zareagować, na zewnątrz pojawił się jaskrawy rozbłysk i grzmot eksplozji. Światła zamigotały i zgasły.

- Kurwa, jeszcze fajerwerków brakowało! - warknął Brown. - Gdzie, do jasnej cholery, jest wsparcie?

- Ciagle czeka na pozwolenie na akcję. - Asystent Browna usiłował pospieszenie opowiedzieć swojemu przełożonemu o najeździe mediów, o lawinie pozwów, które wpłynęły po wydarzeniach w Itta Bena i skargach policji do stanowych senatorów oraz komisji Kongresu, które skutecznie sparaliżowały możliwość współpracy służb, tak pożądaną przez Browna. Armia skwapliwie ubezpieczała własny tyłek, FBI poddało znaczącej rewizji swoją wcześniejszą, i tak już niechętną kooperację, zaś Departament Policji z Jackson miał do sprawy jawnie wrogi stosunek.

- Lepiej zmontuj to pierniczone wsparcie, bo jak będzie po wszystkim, rozjadę twój głupi tyłek! - wydarł się Brown.

Szyby zabrzęczały od trzech kolejnych eksplozji w strzeżonej strefie wokół wejścia do szpitala.

- Posłuchajcie! - pienił się Brown, kiedy wybuchy umilkły.

- To ten jebany wir! Skurczysyny chcą uwolnić Talmad-

ge'a! - Odwrócił się i wycelował do strażnika z MP5. - Prowadź na górę!

Wartownik jeszcze się wahał, dopóki Brown nie odbezpieczył broni.

Pierwszy żandarm wpadł do pokoju Talmadge'a, zanim zdążyliśmy z Rexem ustać na nogach po skoku. Wycelował w nas z biegu, a drugi żołnierz wskoczył za nim. Nagle z cienia za drzwiami śmignął łukiem czubek aluminiowej inwalidzkiej kuli i z taką siłą wylądował na nosie pierwszego żandarma, że głowa odskoczyła mu do tyłu, a w półmroku trysnął gejzer ciemnej krwi.

- Iaaaaaach! - Bojowy wrzask wybuchł triumfalnie po celnym ciosie i wiedzieliśmy już, że Talmadge jest z nami.

Palec żandarma, który zwał się na swojego kolegę, nacisnął spust i nabój ugrzązł w aparaturze za łóżkiem.

- Spadać! - wrzasnął Rex, wyskakując zza moich pleców i wypuszczając z pojemnika potężny strumień gazu na niedźwiedzie. Mocny specyfik, który, jak gwarantował jego producent, miał zatrzymać rozjuszonego grizzly w ataku sprawił, że obaj mężczyźni staniając się ze zduszonym krzykiem, wycofali się na korytarz. Talmadge, kuśtykając na jednej kuli, pospieszył do drzwi. Rex pomógł mu je zamknąć i wetknął w szparę u dołu łom. Szybko podałem mu młot.

- A niech mnie, stary Shanker nie skrewił! - wrzasnął Talmadge.

- Skurczybyk obiecał, że mnie stąd wyciągnie!

Rex zdążył mocno wklinać łom pod drzwi, zanim mężczyźni po drugiej stronie zaczęli na nie napierać. Zza drzwi dał się słyszeć gwar nowych, naglących głosów i przypomniała mi się stara hala odziarniarni w Itta Bena.

- Okay, spływamy! - powiedziałem do Talmadge'a. Objąłem jego wychudłe, kościste ciało i pociągnąłem w stronę okna.

- Możesz stać? - zapytałem.
- Jasne, że tak. Parę kroków też zrobię.
- Cool.

Stary człowiek był zdumiewająco bystry i żwawy, zapewne na skutek zastrzyku adrenaliny. Założyłem mu uprząż.

W głębi pokoju Rex wyciągnął z worka rozpuszczalnik i rozlał go hojnie pod drzwiami. Ostra woń wwierciła mi się w nozdrza, kiedy podsuwałem Talmadge'owi prowizoryczne siedzisko z szerokich pasów taśmy nylonowej - takie jak robią od lat ratownicy górcy w sytuacjach awaryjnych.

- Wejdz w to - poleciłem.

Rex skoczył ku nam, wyciągnął z kieszeni flarę, zapalił ją i cisnął pod drzwi.

- Fuuuch! - Gwałtownie buchnął kłęb ognia, wypełniając pokój żółtym blaskiem.

- To powinno ich przytrzymać - rzucił Rex, pomagając mi przyasekurować Talmadge'a.

Pokój zaczynał płonąć.

- Jasmine - wezwałem przez radio. - Zaczynj się wznosić.

- Zrozumiałam.

Za oknem obroty silnika wzmogły się.

Z korytarza dał się słyszeć syk gaśnic i ostre, rwące uszy uderzenia strażackiego topora, rozłupującego drzwi. Jeszcze chwila, a wejda.

Wreszcie udało się nam dopiąć do lin zwisających z helikoptera naszymi żółtymi lonżami, wyposażonymi w absorbery energii. Drzwi już zaczynały puszczać. Wznoszący się powoli śmigłowiec jął naprężyć liny, aż wyprostowały się pod kątem około czterdziestu pięciu stopni.

Stanąłem za Talmadge'em i objąłem go chwytem ratowniczym, gdy pokój eksplodował.

- Rwij! - wrzasnął Rex do swojego walkie-talkie. Silnik zawył, lina szarpnęła się i naprężyła, a lonże rozciągały się niemal leniwie, unosząc nas z podłogi. Przepęłiliśmy przez

parapet. Nagle moment rozciągnięcia skończył się i wystrzeliliśmy w rodzącą się jasność świtu, ścigani odgłosami strzałów z tyłu.

- W porządku - nadałem.

Rex, Talmadge i ja huśtaliśmy się w górę i dół na końcach lin jak wielkie jo-jo, co nie sprzyjało utrzymaniu równowagi, ale za to czyniło z nas trudne cele. Niemożliwy do pomylenia z żadnym innym odgłos H&K MP5A, nastawionego na ogień ciągły, prującego do nas z dachu, towarzyszył manewrom Jasmine, która zniżyła w dół nos helikoptera, aby nabrać szybkości. Maszyna kiwnęła się, po czym z wysiłkiem popędziła przed siebie. Kolejna salwa z Hecklera&Kocha uwolniła w atmosferę obłoczek rozpylonego lotniczego paliwa. Wtedy odezwał się głośno, twardo M21 Tyrone'a. Modliłem się, aby jego strzały nie podpaliły wysokooktanowej benzyny. Zejście z tego świata w formie żywej pochodni na bungee nie było moim szczególnym marzeniem.

83

David Brown wbiegł na dach szpitala akurat w chwili, kiedy stary helikopter wznosił się łagodnie w przedświt. Serce waliło mu jak młotem, a gardło piekło od papierosów, gdy składał się do strzału.

Helikopter zanurkował gwałtownie po oddanej salwie, znikając z zasięgu jego wzroku. Brown, ignorując opór płuc i kłucie w piersi, które zawdzięczał niezliczonym paczkom Marlboro, popędził nad krawędź dachu. Stary Bell znów wszedł w pole jego widzenia. Kiedy H&K znów ożył w jego rękach, Brown zobaczył w kabinie maszyny gwiazdzisty rozbłysk ognia z lufy, na wysokości siedzenia pasażera. W następnych, długich jak wieczność ułamkach sekund, czuł miażdżący impet, zgniatający mu pierś. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, było spadanie z dachu, w ciemność.

84

Jasmine manewrowała uszkodzonym starym helikopterem, robiąc uniki w dół i na boki. Tańczyliśmy pod jego brzuchem, szarpani frenetycznymi ruchami. W końcu uchwyciliśmy się nawzajem, aby nie obijać się o siebie.

Spoglądając w tył, zarejestrowałem widok postaci z pistoletem maszynowym w ręku, która runęła z dachu. Ostrzał ustał, lecz wyciek benzyny był coraz większy. Pióropusz drobniutkich kropelek wysokooktanowej benzyny wydobywał się z prawego baku, w niebezpiecznej bliskości rozgrzanej rury wydechowej.

Nasze dzikie podskoki osłabły, gdy lot wyrównał się i poleciliśmy wzdłuż autostrady I-55, a potem nad lasem, w stronę Pearl River i ponad nadrzeczными łęgami. Choć znajdowaliśmy się dalej na południe od okolicy, po której włączyłem się jako nastolatek, pamiętałem czas, spędzany w tych lasach, a zwłaszcza przy pokruszonym erozją wapiennym urwisku, pozostałości pradawnego oceanu, skąd wygrzebywałem skamieniałe zęby prehistorycznych rekinów.

Jasmine leciała wzdłuż trasy, którą poprzedniego dnia wyznaczyli Tyrone z Rexem. W obiektywie mojej nocnej lunety wierzchołki drzew przepływały nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów w dole. Popatrzyłem w przód i zobaczyłem wielkie słupy przesyłowej linii wysokiego napięcia. Włączyłem nadawanie.

- Widzicie linię elektryczną z przodu?
- Tak, widzę przez snajperską lunetę - odparł Tyrone.
- Zaraz za nią stoi nasz van.
- Może być problem z drutami - odezwała się Jasmine.

Zanim zdążyłem zapytać, co ma na myśli, wyciek benzyny ustał, a silnik się zakrtusił.

Zamiast zmniejszyć ciąg, jak w tym wypadku oczekiwałem, Jasmine wycisnęła z silnika najwyższe obroty. Zaczęliśmy mozolnie wznosić się w jaśniejące niebo.

- Jesteśmy blisko auta. Zdołam dolecieć do niego na autorotacji, jeśli uzyskam odpowiednią wysokość - wyjaśniła. Silnik na zmianę to przerywał, to wył, lecz jej spokojny, rzeczowy ton złagodził nieco moją desperację.

Rex popukał w mój kask.

- Tam! - wrzasnął mi w ucho, pokazując na biały van, który „pożyczyliśmy” sobie z parkingu dla pasażerów jednego z lotnisk i ustawiliśmy pod osłoną drzew.

Nagle silnik zakrztusił się, usiłował znów zastartować, a potem zdechł na amen, skazując nas na bezwładny, powolny, obniżający się autorotacyjny ześlizg. Przez nami, jak wielkie roboty mocno wparte nogami w grunt, słupy elektryczne rozpościerały swoje stalowe, ażurowe ramiona. Czerwone światła migały ostrzegawczo na szczytach.

W naszych uszach narastał basowy pomruk prądu o napięciu tysięcy volt.

- Je zu! - krzyknąłem, zobaczywszy, jak pierwsze promienie świtu złocą potężne przewody. Sam helikopter miał szansę przelecieć nad nimi, lecz nie jego dyndający, żywy ładunek!

- Wspinamy się na płozy! - krzyknąłem do Rexa.

Rozłączyliśmy się i znów zaczęliśmy niekontrolowane płasy na lonżach, co dodatkowo zdestabilizowało maszynę. Wyteżając wszystkie siły, podciągaliśmy się z Rexem na linach -ja obciążony dodatkowo naszym pasażerem.

Darryl Talmadge mamrotał Psalm 23. Pamiętałem dokładnie słowa, gdyż recytowaliśmy je w klasie rano każdego dnia w szkole w Itta Bena. Powtarzałem je za nim w duchu, usiłując wytaszczyć nas na płozę.

Kiedy doszedłem do słów „zła się nie ulękę”¹ lękałem się go bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Myślałem o Jasmie-

¹ Cyt. za Pismo Święte, wyd. Pallotinum, Poznań - Warszawa, 1982.

ne, o Camilli, o tym, co znaczy dla mnie życie i wdierałem się na górę, mocniej, szybciej.

Po drugiej stronie Rex już to zrobił i położył się na płozie.

Tyrone wychylił się z kabiny i podciągnął moją linę.

Przewody czaiły się pode mną. Włosy na ciele zjeżyły mi się, gdy wpadłem w zasięg ich pola elektrycznego. Jedna iskra - a helikopter i my, przesiąknięci oparami lotniczej benzyny, spłonimy.

Kurczowo uchwyciłem się płozy, gdy zwisająca pęda z liny, której nie zdążyłem wciągnąć, delikatnie prześlizgnęła się po pierwszym kablu. Talmadge i ja, szczepieni razem, nie zdołaliśmy wydzwignąć się całkowicie na płozę, więc kiedy zbliżał się ostatni przewód, kurczowo podciągnęliśmy nogi.

Zaiste „mój kielich jest przeobfity”, pomyślałem, gdy minęliśmy linię.

Rex znajdował się na płozie, lecz ja i Talmadge na wprost z niej zwisaaliśmy, co gwarantowało, że przy lądowaniu, nawet najbardziej łagodnym, możemy nie przeżyć. Kiedy jeszcze się obniżyliśmy, puściłem płozę i opuściłem nas na linie. Gdy mieliśmy już dotknąć nogami ziemi, lina wywlokła się z karabinka i uwolnieni potoczyliśmy się po polu.

Za moment ciszę wczesnego poranka przerwał głuchy huk, gdy przody płóz zaryły się głęboko w świeżo zoranym polu. Rozpęd przechylił maszynę w przód. Bezładny płat wirnika ściął kawałek bruzdy i znieruchomił.

Uwolniłem się od Talmadge'a i podbiegłem do helikoptera. Rex już wstawał z ziemi.

- Każde lądowanie, po którym mogę opuścić pokład o własnych siłach jest dla mnie udane - stwierdził, otrzępując się z mokrej, tłustej ziemi.

¹ Op. cit.

- Żebyś wiedział - basował mu Tyrone.

Serce zabiło mi szybciej, kiedy z kokpitu wychyliła się głowa Jasmine. Podbiegłem do niej, grzęznąc w mazi, żeby pomóc jej wysiąść.

- Przepraszam za lądowanie.

- Najbardziej mistrzowskie, jakie znam - powiedziałem, przyciągając ją mocno do siebie. Talmadge skończył swój psalm. Ale zanim padło „amen”, zza naszego vana wyskoczyło trzech mężczyzn w kombinezonach SWAT-u, z pistoletami maszynowymi w rękach.

85 Dan Gabriel stał pomiędzy dwoma rzędami stojaków z polerowanego, tekowego drewna, sięgających sufitu, mieszczących bezcenną kolekcję najlepszych win świata, w tym roczniki z elitarnych chateaux Burgundii. Grawerowane mosiężne tabliczki zwierzały nazwę każdej butelki i jej metrykę.

Sklepiona piwnica na wino, należące do Clarka Braxtona, została wydrążona w zboczu wulkanicznego stożka przez specjalistów od budowy winnych magazynów, razem z drugą ogromną piwnicą, przeznaczoną do leżakowania wina. W niej to zostali uwięzieni Dan Gabriel i Frank Harper.

Ściany pozostawiono naturalne, kamienne, a podłogę zrobiono z marmuru. Samo pomieszczenie oraz stojaki, wysokie na prawie pięć metrów i drabiny na kółkach ze lśniącymi mosiężnymi okuciami - wszystko to kosztowało o wiele więcej niż niejedna ekskluzywna kalifornijska willa - nie licząc wartości zgromadzonego tam wina.

Gabriel miał ręce związane z tyłu paskiem z twardego tworzywa, który boleśnie wcinał mu się w przeguby. Tkwił wpatrzony w łuk przeszklonego wejścia. Drzwi tworzyły dwie przyciemniane, grube szklane tafle, działające jak śluza po-

wietrzna, konieczna do utrzymania stałej temperatury w piwnicach. Obok widać było masywne drzwi z sekwoi, prowadzące do jeszcze jednego pomieszczenia. Przez szklany portal Dan wpatrywał się w perspektywę zachodniego krańca Napa Valley, w ostre skalne zręby wulkanicznych wzgórz, i usiłował wyciszyć się wewnątrz - w czym wiele razy wcześniej znajdował ratunek.

W oddali dym unosił się z następnej doliny, ukrytej za przełęczą. Latem kalifornijski upał spiekał ziemię i wszystko stawało się suche jak hubka, toteż nie było roku bez pożarów.

Potężny Herkules C-130, pomalowany na jaskrawopomarańczowy kolor, nadleciał z prawej i wypuścił ładunek wody. Kiedy samolot zniknął z zasięgu jego wzroku, Gabriel skupił spojrzenie na drzwiach. Za nimi był Braxton, w salce przeznaczonej do degustacji nowych roczników. Ochroniarze, którzy zwieźli tutaj jego i Harpera gospodarczą windą mówili, że generał będzie z nimi rozmawiał, gdy skończy degustację nowej odmiany, którą przysłał mu ze swoich ekskluzywnych piwnic znany winiarz z Yountville.

Gabriel powoli odwrócił głowę. Dwaj strażnicy stali poza jego zasięgiem. Za nimi Frank Harper chrapał w staromodnym fotelu z głową spoczywającą na polerowanym blacie dębowego stołu. Krag śliny, ściekającej z ust, powiększał się na lśniącej powierzchni. Jedyne, co było w stanie złamać Harpera, były jego fizyczne słabości.

Z tyłu sali znajdował się szklany, cylindryczny szyb windy, łączącej piwnice z częścią mieszkalną na górze. Po przeciwnej stronie masywna, kamienna kolumna kryła szyb drugiej, gospodarczej windy. Maskowanie było konieczne, aby nie drażnić wrażliwości estetycznej tych, którzy przyjeżdżali do piwnic, by poznać to, co „The Vine Spektator” - wpływo- wy i, ach, jakże elitarny magazyn dla winnych smakoszy i zwykłych snobów - z emfazą nazywał „najbardziej ponadczasową, niepowtarzalną kolekcją win, jaką kiedykolwiek

zgrupowano w dziejach". „Gdyby w zbiorach generała Braxtona znalazły się zamiast win książki, ich sława zaćmiłaby Bibliotekę Aleksandryjską" - napisano tam. Braxton potrafił zdobywać wpływy w każdej dziedzinie.

Kiedy C-130 w oddali wykonał swoje zadanie, z sali degustacyjnej wyszedł generał i stanął przed wejściem do piwnic. Gdy rozsunęły się pierwsze szklane drzwi, wszedł i zaczekał, aż zamkną się za nim, aby mogły otworzyć się drugie. Jeden z ochroniarzy szybko zajął pozycję pomiędzy nim a Gabrielem.

Braxton wkroczył do środka. W rękę trzymał niewielkie pudełeczko, a jego sylwetka wyrastała jak cień na tle słonecznego pejzażu za szybami. Gabriel drgnął nerwowo, co jak przypuszczał, musiało ucieszyć generała.

Strażnik pilnujący Harpera brutalnym szarpnięciem poderwał go na nogi.

- Zostaw, niech ten stary dureń siedzi - rzucił Braxton głosem, w którym splatały się szyderstwo, rozdrażnienie i znudzenie zarazem.

W twarzy Harpera było zaskoczenie, ból i wściekłość.

Braxton zwolna pokręcił głową. Pudełko, które trzymał w rękę, szcęknęło cicho. Kiedy Gabriel usłyszał głos swój, a potem Harpera, odgadł, że to mały magnetofon kasetowy.

Pierwsze było nagranie telefonicznej rozmowy Gabriela, kiedy zadzwonił do starego doktora, a potem zapis ich spotkania w kuchni. Mroczny cień na twarzy Braxtona pogłębił się, gdy wyłączył magnetofon.

- Witam w mojej „cholernej twierdzy Masada", jak raczylibście określić moją siedzibę - powiedział. - T a k , Frank, martwiłem się o ciebie już od dłuższego czasu. Spodziewałem się, że w którymś momencie poczucie winy i wiek otworzą ci usta, ale miałem nadzieję, że nie stanie się to szybko. Jednak kampanii nie wygrywa się nadzieją, tylko przezornością i dobrym przygotowaniem.

- A ty... - Braxton przeniósł gniewny wzrok na Dana Gabriela. - T o b i e ufałem jak nikomu innemu. - Mięśnie szczęki drgały mu, gdy usiłował nad sobą zapanować.

- Jesteś zdrajcą! - Braxton postąpił krok w przód i splunął Gabrielowi w twarz. Dan musiał sięgnąć do najgłębszych pokładów spokoju, jaki przed chwilą sobie wypracował, toteż usiłował skupić się na cedrowym aromacie cabernet sauvignon, którzy przyniosła plwocina. Jego mechanizm kontroli został wystawiony na ciężką próbę, gdy za moment dostał w twarz. Jednak wizja strażników, którzy wzięliby się za niego natychmiast, gdyby rzucił się na generała, pomogła mu zachować równowagę.

- Chciałem powierzyć ci dowództwo najbardziej skutecznej armii w historii - powiedział generał. - A ty odrzuciłeś największe żołnierskie marzenie.

Braxton odwrócił się i podszedł do półek na wino. Przesunął palcami po jednej z mosiężnych tabliczek.

- Patton zginął prawie w tym samym czasie, kiedy napełniono i zakorkowano tę butelkę. - Popatrzył na Gabriela. - On był prawdziwym żołnierzem.

Generał ruszył dalej wzdłuż półek. Znów niemal miłym gestem musnął lśniący mosiądz tabliczki.

- Teddy Roosevelt dowodził szarżą na San Juan Hill w tydzień po tym, jak zebrano grona na ten rocznik.

- To pokazuje jak głęboko się myliłem - ciągnął, ponownie zwracając do Gabriela. - Myślałem, że jesteś ulepiony z lepszej gliny i godny pójścia w ich ślady, a nawet jeszcze więcej. - Pokręcił głową. - Bardzo się myliłem, ale ty będziesz cierpieć, widząc, ile straciłeś. Nie zostaniesz jednym z przewodników Ery Xantaeusa. Użyjemy naszej broni prewencyjnie, aby mieć pewność, że nikt się nie odważy kiedykolwiek rzucić wyzwania Ameryce.

- Pojutrze będziemy świętować nasz triumf - kontynuował Braxton. - Przyjedzie tu sporo ludzi, Dan. Oprócz załogi mojej Defense Therapeutics, zjawi się paru twoich

znajomych z Pentagonu; podejrzewam, że będzie im smutno, kiedy zobaczą, co ci się przytrafiło. - Z uśmiechem popatrzył na Harpera. - Ciebie to też dotyczy, stary durniu. Ale cóż, pokój wymaga ofiar.

Harper powoli kiwnął głową. Gabriel dostrzegł złowieszczy błysk w oku starego lekarza.

- Powiedz mi, Clark - Frank Harper z wymuszonym uśmiechem powiódł spojrzeniem po półkach z winem - po co gromadziłeś przez całe lata wszystkie te wina, skoro nigdy nie widać, żebyś je pił?

Braxton zaszczycił go wyniosłym uśmiechem.

- Pić je? - Urwał dla efektu, po czym kontynuował głośniej: - Pić! Na Boga! Każdy dureń potrafi pić wino! - Zatoczył obszerny krąg uniesionym ramieniem. - To wymaga dyscypliny, samokontroli i prawdziwego poważania dla tego trunku - który wyraża się nie w piciu, tylko w posiadaniu go i gromadzeniu tam, gdzie jest jego przyrodzone miejsce. - W głosie Braxtona narastał niemal religijny zapach. - To sam dobór, wytwarzanie i przechowywanie oraz wszystko inne, co pozwala skompletować kolekcję, stanowi o jej wielkości. Gdy bowiem kolekcja jest kompletna, staje się obiektem kultowym, którego wartości nie odda żadna materialna wycena.

- Ale czy ty cenisz tę kolekcję, cieszysz się nią? - dociekał Harper.

- Jesteś bardziej żaloszny niż myślałem, Frank. Kiedy człowiek wznosi się na moje wyżyny, nie liczy się już ani posiadanie, ani docenianie czegokolwiek.

Generał podszedł do Harpera.

- A tego, stary wraku, nie zdążysz pojąć w ciągu tych paru godzin życia, które jeszcze ci zostały.

Po czym bez słowa, bez jednego spojrzenia na swoich więźniów, Braxton odszedł i wszedł do lśniącej kapsuły windy.

86 Siedziałem na tylnym siedzeniu nieoznakowanego rządowego vana, pomiędzy Tyrone'em a Jasmine, trzymając ją za rękę. Samochód skręcił na podjazd, prowadzący na koniec pasa lotniska Campbell Field pod Madison. Zatrzymaliśmy się w pobliżu i po chwili całą przednią szybę wypełnił kadłub lądującego Beechcrafta Bonanzy. Radio w wozie ożyło z poszumem i zagadało rozmowami pomiędzy małą wieżą kontrolną, pilotem Beechcrafta oraz innymi maszynami, gotującymi się do startu.

Patrzyliśmy, jak w oddali samolot dotknął pasa, podskoczył i zaczął hamowanie. Rex i Anita z Talmadge'em zajmowali siedzenie przede mną, a w przodzie usadowiło się trzech funkcjonariuszy, którzy pojмали nas już ponad sześć godzin temu. Przebrali się w cywilne, letnie ubrania, które ujawniły ich wytrenowane sylwetki byłych wojskowych. Przywódca grupy, Buddy Barner, emerytowany pułkownik lotnictwa i as lotniczy po zakończeniu służby, zamiast iść za biurko, robił karierę, wykonując zadania specjalne na zamówienie rządu.

Wnętrze wozu wypełniała zgniła woń błota, oblepiającego sprzęt i bojowe kombinezony, upchane z tyłu. Klimatyzacja pracowała mozolnie w prawie czterdziestostopniowym upale i przy ogromnej wilgotności na zewnątrz nie była w stanie uporać się z mokrym zaduchem szlamu, który nie chciał wyschnąć.

Nikt jednak nie narzekał, gdyż bagno pomogło przechować bezcenny dla nas mikrofilm Darryla Talmadge'a. Lata temu, kiedy stary działał jeszcze jako przewodnik myśliwski, włożył mikrofilm do mocnej plastikowej torebki - takiej, do której wkłada się dokumenty przy spływach po dzikich wodach - a tę z kolei upchał w kawałku rury z PCV z zaślepką

mi przyklejonymi na obu końcach. Cały pakunek zakopał w błotnistym gruncie pod schronem dla myśliwych polujących na kaczki, zbudowanym z pustych beczek po ropie. Ów tajny schowek, zawierający depozyt, który miał zdecydować o przyszłość Ameryki, znajdował się wśród bagien, rozciągających się około dwadzieścia mil na północ od rezerwatu Indian Choctaw w pobliżu Wiggins, niedaleko od miejsca, gdzie Coffee Bogue Creek wpada do Pearl River.

Talmdadge kurczowo przyciskał do piersi torbę i nie chciał jej puścić, więc kiwał się na siedzeniu, otumaniony środkami uspokajającymi, które podała mu na wszelki wypadek Anita, aby nie dopuścić do ataku.

- Spokojnie, to nie wystrzeli tak nagle - uspokajał nas parę godzin wcześniej. - Na początku mam we łbie światła, istne Vegas. Ale bez nerw, zdążę was ostrzec. Przytrzymacie mnie tylko, aż wpadnę w sen.

Wolałem jednak nie czekać, aż przyjdzie atak. Przeszukałem z Anitą zestaw środków medycznych, którym dysponowali nasi porywacze. Wybrała kilka, przygotowała specjalny koktail i zaaplikowała go Talmdadge'owi. Teraz w pół leżał na siedzeniu, totalnie otumaniony, lecz od czasu do czasu wydawał z siebie chichot i teatralnym gestem przyciskał torbę do piersi. Dwa razy zapłakał za swoją zmarłą żoną. Wtedy Jasmine ścisnęła mi dłoń, wiedząc, że myślę o przeszłości i przyszłości, o Camilli i o niej.

Sądziłem, że rozumiem ból Talmdadge'a, choć nie mogłem być do końca tego pewny. Udręka - jak każde inne odczucie - oznacza okrutny osobisty dramat, odgrywany na wewnętrznej scenie teatru jednej osoby; doświadczenie, którego można się tylko domyślać, lecz nie sposób go z kimś dzielić.

Przez szum klimatyzacji przedarł się przenikliwy odgłos odrzutowych silników, przyciągając naszą uwagę.

Lecz Barner pokręcił głową.

- Jeszcze kilka minut.

W chwilę później przed naszymi oczami Citation dotknął pasa, aż lekko zadymiło się z opon i wyhamował wdzięcznie. Niestety, numer na ogonie nie zgadzał się.

- Powiedz - Rex pochylił się ku Barnerowi - jak nas namierzyłeś? Poluje na nas cały amerykański rząd, a tu proszę, trzech posiwiąłych chłoptysiów bez problemu wchodzi nam na ogon!

Barner zerknął na szczupłego mężczyznę o szpakowatych włosach, siedzącego przy oknie. Trzeba przyznać, że skąpo dozowali nam informacje. Powiedzieli tylko, że nie reprezentują ani Departamentu Bezpieczeństwa, ani policji.

- Bez problemu. - Mężczyzna odwrócił się do Rexa. - Po pierwsze uzyskaliśmy pewne przecieki od pewnych ludzi w Kalifornii; po prostu zadawaliśmy odpowiednie pytania, w odpowiedni sposób, odpowiednim osobom. - Urwał na moment. - Osoby okazały się nadzwyczaj rozmowne. Czego nie można powiedzieć o tych bucach z Bezpieczeństwa. - Znów zrobił sobie przerwę. - I wyszło, że wszystkie tropy prowadzą do ciebie - podsumował.

- Ano, właśnie - przytaknął Rex. - I to mnie martwi.

Szczupły facet uśmiechnął się pod nosem.

- Zacząłeś zostawiać ślady, bracie. Wszedłeś w małżeńskie kapcie i powoli zapominasz o swoim poprzednim życiu. Ale niektórzy ludkowie mają lepszą pamięć, zwłaszcza jeśli ktoś taki jak ty materializuje się nagle i przypomina im o starych długach wdzięczności. Pewnie większość z nich jest tępa jak kołki, lecz potrafili jeszcze skojarzyć twoje telefony z nagłówkami w prasie.

- A l e k t o . . .

Szczupły mężczyzna pokręcił głową.

- Zapomnij o tym, człowieku. I lepiej zapamiętaj: oni poszli ci na rękę. Pozwolili, abyśmy dopadli cię pierwsi.

- Taa - mruknął Rex.

- On chciał podziękować - przetłumaczyła szybko Anita. Jej małżonek otworzył usta, aby zaprotestować, gdy w ra-

diu głośno i wyraźnie rozległ się sygnał wywoławczy, którego tak wyczekiwaliśmy. Barner uruchomił silnik i podjechał do bramy, prowadzącej na płytę lotniska. Wprowadził kombinację do zamka i zaczekał, aż się otworzy.

Kiedy podjeżdżaliśmy do umówionego miejsca, niewielki odrzutowiec, tym razem z właściwym numerem, z dwiema turbinami przy ogonie, opadł szybko na pas i wyhamował z przeraźliwym wizgiem silników, pracujących na wstecznym ciągu.

- Za krótki pas na taką maszynę - skomentowała Jasmine. Barner skinął głową.

- Ale tu nie ma tyłu oczu, co na innych lotniskach - odparł.

Odrzutowiec, oznaczony jedynie numerem cywilnym z literą N, podkołował w pobliże samochodu. Gdy stanął, otworzyły się przednie drzwi.

- Zostańcie tutaj - polecił nam Barner, wysiadając ze swoimi dwoma towarzyszami. Silniki samolotu pracowały, gdy wchodził po schodkach. Otwarto tylny luk i dwaj jego ludzie szybko wyjęli z samochodu nasze bagaże oraz mojego laptopa i przełożyli je do odrzutowca.

Uczyniwszy to, podeszli do vana, odsunęli boczne drzwi i dali nam znak, abyśmy wyszli. Pomogli mi wynieść Talmadge'a i wnieść go do samolotu. Kiedy znaleźliśmy się na pokładzie, Barner przedstawił nas dwóm mężczyznom, obecnym tam, uściśnął mi dłoń i szybko wysiadł.

87

Z ogłuszającym rykiem silników odrzutowiec gwałtownie poderwał się z krótkiego pasa, aż przeciążenie wcisnęło nas w fotele. Za oknem ziemia uciekała w tył, a zielony patchwork z drzew i pól kurczył się do rozmiarów kolejowej makiety. Oglądając się za siebie, recytowałem modlitwę, dziękując

Opatrzności, że po raz kolejny uwolniła nas od piekielnego pościgu.

Kiedy odgłos silników ścichł i lot wyrównał się nad chmurami, mężczyzna w czerwonej koszulce polo i szortach khaki, którego Barner przedstawił nam jako generała brygady Jacka Kilgore'a, podniósł się z fotela.

- Przepraszam za ten igrzyskowy start - powiedział chrapliwym głosem Johna Wayne'a. - Potrzebowaliśmy maszyny o zasięgu wystarczającym do lotu non stop, a te niestety są nieco zbyt duże jak na warunki małych lotnisk.

Dla utrzymania równowagi położył dłonie na oparciach foteli.

- J a k już powiedział wam mój przyjaciel Buddy Barner, nazywam się Jack Kilgore i dowodzę Task Force 86M.

- Słyszałem o tobie - odpowiedziałem.

Kilgore uśmiechnął się.

- A ja o tobie, *compadre*.

Jasmine rzuciła mi uważne spojrzenie.

- Przepraszam, że przerwałem.

- Nie szkodzi. - Kilgore odchrząknął. - Pewnie zastanawiacie się, jakim cholernym trafem znaleźliście się tutaj.

Przytknęliśmy.

- Ale zanim zaczniemy, może byśmy coś zjedli?

Przytaknęliśmy skwapliwie.

- Tak też sądziłem - skwitował i przeszedł na tył, do małego barku z lodówką i szafką. Przyniósł stamtąd stosik teksturowych pojemników i rozdał nam. Sam wziął jeden dla siebie i nalał sobie soku z plastikowego pojemnika.

- Cała sprawa zaczęła się parę dni temu, kiedy otrzymałem sygnał alarmowy od mojego pierwszego zastępcy z 86M. Służyłem z nim, a potem pod nim.

Zrobił stosowną pauzę, którą wykorzystał na kolejny łyk soku. Wziąłem się za jedzenie.

- Z pewnością słyszeliście o moim przyjacielu, poruczniku generale Danie Gabrieliu?

- O! - powiedział Tyrone. - Przyszły sekretarz obrony Braxtona?

- Tenże sam - potwierdził Kilgore. - Otóż w trakcie konsumpcji chińskich jaj fujong opowiedział mi historię o kłębowisku węży w głowie generała Braxtona.

- Chyba wiemy o tym co nieco - powiedziałem, zerkając wymownie na torbę z mikrofilmem.

- Przyjąłem do wiadomości - rzekł Kilgore. - Ale wstrzymaj się przez chwilę i pozwól mi opowiedzieć, co usłyszałem od Dana, zanim uruczycie mnie waszą historią. Potem złożymy te relacje razem, żeby uzyskać lepszy obraz.

Jedliśmy z apetytem, podczas gdy Kilgore streszczał swoją rozmowę z Gabrielem, potem ich dalsze kontakty, ostatnią rozmowę telefoniczną Gabriela, odbyłą z Harperem i znaczenie ostatniego wskazania GPS-u w jego telefonie, zanim aparat został wyłączony.

Skończył, wytrąbił drugą butelkę soku i skinął na mnie.

Z pomocą Tyrone'a i Jasmine, bez jednego słowa ze strony Rexa, opowiedziałem Kilgore'owi wszystko - zaczynając od pogrzebu mojej matki, a kończąc na akcji w Szpitalu Weteranów Wojennych i bliskim spotkaniu z linią wysokiego napięcia.

- Nieprawdopodobne. - Kilgore pokręcił głową i popatrzył na Tyrone'a. - Przykro mi, ale nie zabiłeś Davida Browna.

- Jakim...

Kilgore uśmiechnął się.

- Ten arogancki drań, kopący jak lokomotywa, miał zawał. Zabił go Marlboro Man. - Urwał. - Można mieć tylko nadzieję, że ów śmierdzący wrzód na dupie był jeszcze przytomny, kiedy walnął o ziemię. - Rozejrzał się wokół, szukając akceptacji i uzyskał ją w pełni.

- Dobrze - stwierdził. - T a k wygląda sytuacja. Musimy więc wyratować Dana Gabriela i powstrzymać wdrożenie Xantaeusa. Paru naszych dawnych ludzi pracuje w ochronie Braxtona. Nie ma w tym nic dziwnego, wziąwszy pod

uwagę poziom tej jednostki. W każdym razie jeden z nich zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem z budki telefonicznej w Napa i doniósł, iż doszły go słuchy, że Gabriel i Harper są przetrzymywani w Castello Da Vinci, posiadłości generała w Napa Valley. Plotkuje się również, że ma być zaaranżowany wypadek z udziałem Dana i doktora. To właśnie go zaniepokoiło, dlatego dzwonił.

Mały odrzutowiec wpadł w turbulencję, najpierw wznosząc się w górę, a potem gwałtownie opadając w dół. Kilgore niedbale wyprostował swoją wysoką postać, wspierając się dłonią o sufit.

- A zatem - kontynuował, gdy maszyna wyrównała lot - sędzę, że najpierw musimy uwolnić Dana, gdyż ma w głowie wiedzę, która pomoże nam utracić Braxtona i ten cały Xantaeus.

Kilgore pytająco uniósł brwi i popatrzył po nas.

- My musimy, biały człowieku? - zapytał Rex po chwili zbiorowego milczenia.

- Cholernie dobre pytanie... Tonto¹ - Kilgore odchrząknął. Kiedy przemówił ponownie, jego ton był spięty i już nie tak dźwięczny.

- To ryzykowna operacja. Jeśli nam się nie uda, czekają mnie lata odsiadki w ponurym wojskowym pierdłu, podobnie jako mojego zastępcę Billa Lewisa, który czeka na nas w Napa. Bill i ja wiemy o tym, akceptujemy to, ale nie możemy - nie będziemy - narażali na ryzyko naszych podwładnych i innych ludzi.

- Nie możemy również prosić o wsparcie wojska czy nawet policji, gdyż procedura jest zbyt rozwlekła. Gabriel zginąłby, zanim otrzymalibyśmy odpowiedź. Ponadto Braxton

¹ Tonto - Indianin z plemienia Apaczów, jeden z bohaterów słynnego amerykańskiego serialu telewizyjnego z lat pięćdziesiątych oraz serii komiksów pt. *Samotny strażnik*. Strażnika Luke'a i Tonto łączyła wielka przyjaźń.

ma lojalnych wobec siebie ludzi na wszystkich szczeblach dowodzenia.

- Chcesz nas prosić, abyśmy pomogli ci uwolnić twojego przyjaciela? - zapytałem.

Kilgore pokręcił głową.

Bill i ja na pewno podejmiemy akcję, ale nie proszę, abyście poszli z nami. Nie po to tu jesteście. Przechwyciliśmy was, bo jesteśmy z Billem przekonani, że zostaliście wrobieni i wasze życie jest w niebezpieczeństwie.

- Zatem mamy wobec ciebie dług wdzięczności? - spytał Rex.

- Pudło, Ton to.

- Rex, jeśli można.

- J a k cię tam zwał - zbagatelizował Kilgore. - Odebranie CD od Shankera, odbicie Talmadge'a i odzyskanie mikrofilmu pozostawia daleko w tyle żałosne wysiłki, jakie sam podejmo wałem. Nie jesteś mi nic winien, Rex.

- W takim razie jasne jest, że jeśli Braxton nie zostanie na dobre wyłączony z gry, żadne z nas nie pożyje długo - powiedziałem. Wyraz oczu Jasmine dopingował mnie, abym mówił dalej. - W moim pojęciu jedyna droga ratunku dla nas wszystkich wiedzie przez Castello Da Vinci.

- Moglibyśmy zwrócić się do mediów - podsunął Tyrone.

- Ale nawet z tym, co mamy - kto nam uwierzy? Braxton jest niezwykle popularny.

- Nawet jeśli by nam uwierzyli, czy stałoby się to od razu? - zastanawiała się Jasmine. - Zgadzam się z Bradem.

- Rzuciła mi spojrzenie, które zakotwiczyło się w mo jej duszy.

- J a s m i n e ma rację - poparł ją Kilgore. Zamilkł, pozwalając aby prawda wybrzmiała w długiej ciszy.

- Dobra - odezwał się niechętnie Rex i popatrzył na mnie. - Wchodzę w to, ale tylko dlatego, bo obiecałem two jej staruszce, że będę się o ciebie troszczył.

Wszyscy poza nim roześmiali się. Anita popatrzyła na swojego małżonka z dumą i zarazem z lękiem, ale skinęła przyzwalająco głową.

- Doceniam waszą gotowość - rzekł Kilgore. - Ale chciałbym, abyście przez resztę lotu jeszcze raz przemyśleli wszystkie za i przeciw. Wasze decyzje muszą być dojrzałe i ostateczne. Mamy bardzo ograniczone siły i niepowodzenie grozi niebezpiecznymi konsekwencjami. Opiszę wam sytuację; jeśli po tym zmienicie zdanie, zrozumiem i nie będę miał pretensji.

88 Nasz odrzutowiec zaczął powoli obniżać lot.
- Paliwo - wyjaśnił Kilgore. - Ma spory zapas, lecz niewystarczający. Wylądujemy w pobliżu Longview, w Teksasie, na chwilę, żeby za-tankować. Ale zanim to się stanie, musimy sobie jeszcze przepracować parę spraw. Nasz czas rozpaczliwie się kurczy i musimy stanąć na pewnym gruncie, kiedy wylądujemy.

Nie czekając na odpowiedź, wyjął zza jednego z siedzeń dużą, aluminiową aktówkę, przeszedł do tyłu, rozłożył blat i zaprosił nas do niego gestem. W jednej chwili zasłał całą powierzchnię mapami topograficznymi, fotografiami lotniczymi i planami miast.

Stanąłem tuż przy Jasmine, ciesząc się ciepłem jej bliskości.

- Na początek parę podstawowych ustaleń - oznajmił Kilgore. - Najważniejsza jest nasza misja: uwolnienie Dana Gabriela. Jeżeli uda nam się również uwolnić Franka Harpera i powstrzymać wdrażanie Xantaeusa, będzie dobrze, lecz możemy to wykonać jedynie pod warunkiem, że nie będziemy ryzykować życia własnego oraz innych.

Patrzył na nas, dopóki nie kiwnęliśmy głowami.

- Świetnie. Teraz zasady szczegółowe. Postaramy się uniknąć zranienia czy zabicia kogoś, chyba, że zajdzie absolutna konieczność. Jeśli już trzeba będzie kogoś usunąć, to jednego czy dwóch gości, pilnujących Dana i doktora. Tam pracują świetni ludzie, wykonujący swoją powinność. Proponuję użycie gazu na niedźwiedzie albo innych środków nie zagrażających życiu, które postaram się zdobyć.

- Wreszcie zaznaczam, że nie będziemy posługiwali się środkami finansowymi ani sprzętem rządowym - a jedynie uzyskaną stamtąd informacją. Nie chcę, aby mój kwatermistrz miał kłopoty i wolałbym w razie czego nie obciążać swojego sądowego konta zarzutami o sprzeniewierzenie własności rządowej.

Powiodłem wzrokiem po kabinie samolotu i znów wpatrzyłem się w generała. Zrozumiał od razu.

- American Express, moja osobista karta. Później będę się martwił, jak uzupełnię za miesiąc debet, o ile nie będę miał większych zmartwień. Bill Lewis, posługując się nią, wynajmie vana i samochód kempingowy, który będzie naszą ruchomą bazą. Poza tym kupi dla nas parę rzeczy.

Talmadge zachrapał głośno. Anita zerknęła w jego stronę.

- Kolej na zadania indywidualne - ciągnął Kilgore. - Pozwolicie, że przedstawię swoją koncepcję. Jeśli będziecie mieli inne zdanie w tej sprawie, podyskutujemy.

Głowy skinęły zgodnie.

- Anita, będziemy dalej trzymać Talmadge'a na środkach uspokajających. Pozostanie pod twoją opieką w tym samochodzie kempingowym.

Kiwnęła głową.

- Bill Lewis pozostanie ze swoją grupą i mam nadzieję, że uda mu się ocenić szanse naszego przeniknięcia do Castello Da Vinci. Kiedy będzie miał pełen obraz, prześle mi wiadomość. Nie ma się czym martwić - z reguły wykonujemy zadania penetracji celów stawiających wysokie wymagania.

- Rex - ty, Brad i ja podejmiemy się zasadniczego zadania penetracji zamku i odbicia więźniów. Jasmine i Tyrone zajmą się dywersją na odległość, gdyż żadne nie ma obycia bojowego.

Tyrone zmarszczył brwi, lecz Kilgore pokręcił głową.

- Dla ciebie mam coś, czym pewnie fajnie się pobawisz, nawet jeśli nie przyniesie to istotnych korzyści.

- Czyli?

- Czytałem twoje akta - powiedział Kilgore.

- Och, głupota młodości - zbagatelizował Tyrone. - Sądmnie uniewinnił.

- Uhm.

- Zdążyłem już zapomnieć, jak to się robi.

Uniesione brwi i uśmiezek Kilgore'a świadczyły, że bynajmniej nie jest o tym przekonany.

- Chcę się przekonać, czy potrafisz włamać się do sieci komputerowej Castello Da Vinci.

- Prawdopodobnie potrafię.

- Od tego zależy nasze życie.

- Czy mają w tej sieci jakąś część bezprzewodową?

- Tylko dla gości - odparł Kilgore. - Hot spoty, ale one są oddzielone firewallem od głównej sieci. Poza tym wszystko jest zakodowane. Goście dostają jednorazowy klucz kodowy WEB.

- WEB? A co to za zabezpieczenie? - skrzywił się Rex.

- Dziurawe jak ser szwajcarski. Krakerzy łamią je swobodnie. Ludzie od routerów dostarczają oprogramowania, ale rzadko dokonują upgrade'ow. Zresztą nawet jeśli to robią, krakerzy są zawsze o krok do przodu.

- Myślałam, że hot spoty bezprzewodowe działają tylko w zakresie kilkunastu metrów - wtrąciła Jasmine.

- To zależy - odpowiedział Tyrone. - Na konwencji DEFCON w Vegas, w 2004 hakerzy mieli zawody i udało im się z pomocą specjalnych anten uzyskać zasięg prawie pięćdziesięciu kilometrów. Wydaje mi się, że mając te całe ska-

ły i kamienie dookoła Castello Da Vinci i kupę gości, którzy koniecznie chcą używać netu, wzmacniają moc systemu i mają specjalne anteny, aby ich VIP-y nie narzekały na słaby sygnał. A jeśli to miejsce jest tak duże, jak opowiadasz i na dodatek wiemy, że Braxton ma dostęp do różnego rodzaju wiadomości korporacyjnych, musi używać specjalnych ustawień i prawdopodobnie bezpiecznego połączenia do s w o jej firmy i do innych miejsc. Jak na przykład tunel między dwoma komputerami, nie do złamania z zewnątrz.

Zaczęliśmy kołować nad Longview.

- Więc dasz radę, czy nie?

- Spokojnie - powiedział Tyrone pewnym tonem. - Wejdę tam, tylko zorganizuj mi porządnego laptopa z dwiema bezprzewodowymi kartami 802.11g, trochę okablowania, folię aluminiową, puszkę po chipsach Pringles, żebym miał z czego zrobić antenę i godzinkę szybkiego połączenia z internetem, bo muszę ściągnąć trochę oprogramowania.

- Nieźle! - skomentował Rex.

- Okay, niedługo lądujemy - powiedział Kilgore, rozkładając mapy topograficzne, aby przedstawić nam rzeźbę terenu, drogi dojazdowe oraz rozkład posterunków wokół Castello Da Vinci i w samej rezydencji.

- Nasz informator jest pewien, że Gabriel i Harper są przetrzymywani w jednej z piwnic, w której leżą dziesiątki beczek z winami, wydrążonej pod spodem całego kompleksu - zaczął. - Nie mają one specjalnych zamków, tylko wielkie żelazne sztaby. Z każdej prowadzi tunel szynowy, a wszystkie tunele łączą się z głównym tunelem transportowym, zaczynającym się przy rampie.

- Zła wieść jest taka, że panują cholerne upały. Dla równowagi wieść dobra - po drugiej stronie doliny wybuchł rozległy pożar i wiatr zwiewa dym w stronę rezydencji generała, pogarszając widoczność. Kolejne złe wieści: dzisiaj jest wielki jubel - śmietanka Pentagonu i korporacyjne tuzy, co

wymaga zwiększonych środków bezpieczeństwa oraz wydatnie zwiększa liczbę ludzi, którym nie chcielibyśmy zrobić krzywdy. Należy także pamiętać o pracownikach cateringu oraz dostawcach win. Oni są naszą wielką szansą.

- Po co dostawy win? - zdziwił się Rex. - Cały czas słyszę, że Braxton ma piwnice z trunkiem wartym miliony dolców!

- Ale jego wino nie jest do picia - wyjaśnił Kilgore. - Nawet on sam go nie pije.

- Nie?

- To kolekcjoner - wyjaśniła Jasmine. - Dla niego liczy się samo gromadzenie win i posiadanie kolekcji.

- Paranoja! - skwitował Rex.

- Raczej jedno z następstw uszkodzenia mózgu, którego doznał na wojnie - wtrąciłem. - Wkrótce potem zaczęła się jego kolekcjonerska mania.

Pilot przerwał nam komunikatem o zapięciu pasów. Pomogliśmy Kilgore'owi zebrać papiery ze stolika, pozostawiając tylko jedną czerwoną teczkę. Maszyną zaczęło bujać, gdy wleciała w obszar prądów zstępujących, sygnalizujących zbliżający się popołudniowy front burzowy.

- Proszę. - Kilgore wręczył teczkę Jasmine. - Tu są wskazówki dotyczące twojego zadania. Kiedy przeczytasz, daj Tyrone'owi.

Kadłub drgnął, gdy opadło podwozie. Dopiero teraz Jack Kilgore raczył zająć miejsce w fotelu i zapiąć pas.

89 Półkoliste stropy winnych piwnic Castello Da Vinci były wycięte głęboko w podstawie stożka wygasłego wulkanu. Skałę wzmocniono cementem i metalowymi siatkami, aby najmniejszy kamień nie spadł na głowy winiarzy i znamienitych gości.

Podziemna warstwa wodonośna zapewniała stałą wilgoć kamiennym podłogom. Beczki z francuskich dębów

rosnących w pobliżu Limousin piętrzyły się do sufitu, po osiem jedna nad drugą na metalowych wspornikach, mieszczących po dwie. Wszystkie nosiły wypalony na denkach herb generała. Obok, na wodoodpornej papierowej nalepce umieszczono metrykę z danymi, a wśród nich gatunek, winnicę pochodzenia, nazwisko winiarza oraz rocznik. W niewielkiej niszy wykutej w bocznej ścianie znajdował się długi, ciężki dębowy stół, wokół którego rozstawiono dwanaście krzeseł z wysokimi oparciami. Oświetlała go zaskakująca w tej scenerii, bardzo modernistyczna lampa. Tu smakowali próbki, podziwiali bukiety oraz roztrząsali niuanse arcykapłani wina oraz ich akolici, którzy mieli szczęście zawrzeć bliższą znajomość z trunkami, produkowanymi przez najsłynniejszych winiarzy na zamówienie jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi.

Dan Gabriel siedział na jednym z krzeseł i kichał w zimnej wilgoci. Był nagi do pasa, gdyż oddał część ubrania Frankowi Harperowi, który na wpeł leżał na stole z głową wtuloną w ramiona.

- Bóg zapłać - mruknął stary człowiek.

- Nie ma za co. - Gabriel wstał i zaczął chodzić po piwnicy, rozcierając zmarznięte ramiona. Solidne dębowe drzwi stanowiły jedyne wyjście - nie do sforsowania, gdyż od zewnątrz zamknięto je na mocną metalową zasuwę.

- Nic nie ma - mruknął do siebie Gabriel, krążąc po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za narzędzie czy broń; nie mówiąc już o drodze ucieczki czy choćby śladzie inspiracji w tym kierunku. - Sto razy już to okrążyłem i nie znalazłem niczego, co mogłoby nam pomóc.

- Więc wyciągnijmy szpunt z beczki i napijmy się - zaproponował Harper.

Gabriel skończył obchód i ciężko opadł na krzesło obok starego.

- Niezły pomysł - przyznał. - Przynajmniej odeszlibyśmy szczęśliwi.

- Taki jest twój wybór?

- Mam inny?

- Zgoda - odrzekł Harper. - Lecz brak wyboru jest sam w sobie wyborem, nie uważasz?

- Słucham?

- Decyzja, aby nie podejmować żadnego wyboru jest równoznaczna z decyzją o zdaniu się na łaskę losu bądź innych ludzi i pozwoleniem, aby dokonali wyboru za ciebie.

- Dobrze, ale czy teraz mamy jakikolwiek wybór?

- Zawsze jest jakiś wybór - stwierdził Harper - tylko czasami bardzo trudno jest go znaleźć.

- Doktorze, penetruję to cholerne miejsce od paru godzin, a jedyne, co masz do zaproponowania, to filozofia. - W głosie Gabriela zabrzmiały ostre, nieprzyjemne tony.

- Przykro mi, że nie mam gotowej odpowiedzi - powiedział łagodnie Harper. - Lecz jeśli zamierzasz zrezygnować, uczyni z tego przemyślaną, świadomą decyzję. W ten sposób ty, a nie ktokolwiek inny, dokona wyboru, uświadamiając sobie jego konsekwencje i ostatecznie uzgadniając go z samym sobą. Trzeba godnie podjąć odpowiedzialność za własne decyzje, nawet jeśli okażą się niewłaściwe.

Gabriel, słuchając tego drżącego, słabego głosu nie był pewien, czy stary człowiek mówi o aktualnej sytuacji, czy o minionych pięćdziesięciu latach. Zapewne o obu sprawach.

- Przepraszam, że jestem trochę szorstki, ale ta rozmowa prowadzi do nikąd - powiedział Gabriel.

- A nie prowadzi cię do decyzji?

- Chryste, doktorku! - Gabriel wyrzucił w górę ramiona i wstał z krzesła. - J a s n e , że tak, ale w tym wypadku podejmowanie decyzji przypominałoby przypadek Braxtona, który uważa, iż działa, kierując się wolną wolą, podczas gdy jest

tylko marionetką, której ruchy wywołuje zwarcie obwodu w jego mózgu.

- Wszyscy mówimy zwarcia w mózgu. Co nie znaczy, że nie stać nas na wolną wolę.

- A Braxtona stać?

Harper zamilkł na dłuższą chwilę.

- Niezupełnie.

- Czy to znaczy, że nie jest normalny?

Znów Harper pozwolił, aby wybrzmiała długa cisza.

- Sądzę, że każdy z nas w ten czy w inny sposób odbiega od normalności, ale czy generał? Nie. W każdym razie nie w sensie prawnym.

- No, fajnie - prychnął Gabriel, ruszając na kolejny obchód. - Fajnie, o, jak fajnie! Cholernie mi pomogłeś.

- Chciałem tylko powiedzieć, że powinieneś pomyśleć o nieoczywistych wyborach - odparł Harper. - Wolna wola zależy od wyborów. Wierzę, że zawsze istnieją jakieś wybory, nawet jeśli ich nie widzimy.

- Jasne, doktorku. Jasne jak słońce.

90

Ładowaliśmy na lotnisku w Napa, gdy słońce zaczęło się chować za nierówny łańcuch wzgórz i majaczyło za warstwą dymów i mgiełki jak gigantyczna czerwona pomarańcza. Ciemnozielony minivan Chylera z ładunkiem czegoś, co wyglądało jak arkusze sklejki, przyczepionym do relingów na dachu, pilotował nas, gdy kołowaliśmy ku hangarom.

Kiedy samolot zatrzymał się, Kilgore dał znak, abyśmy zasłonili okienka i pozostali na pokładzie. Sam otworzył drzwi i wysiadł.

Sięgnąłem po dłoń Jasmine i napotkałem jej dłoń w połowie drogi. Popatrzyłem na nią, zachwycony zdumiewającą energią prostego dotknięcia. Myślałem o głębokiej, ukrytej

mocy, wyzwolonej przez ten fizyczny styk, wizualizując miejsce, w którym skóra dotknęła skóry i stale zmniejszając skalę w umysłowym oglądzie - skóra do skóry, molekuł, atomów i dalej, aż do eterycznej, kwantowej podstawy, gdzie świadomość dotyka istoty egzystencji.

W chwilę później Kilgore wetknął głowę do kabiny.

- Okay, wychodźcie.

Wyszlismy z samolotu z Rexem, niosącym Talmadge'a i przesiedliśmy się do załadowanego sprzętem minivana, z Billy Lewitem za kółkiem. Kilgore usiadł obok kierowcy i zamknął drzwi.

- Nie mamy za dużo czasu - powiedział Lewis. - Moi wywiadowcy twierdzą, że ciężarówka dostawcza z winem ma być w rezydencji generała za niewiele ponad godzinę. Musimy zmieścić się w określonym przedziale czasowym. Do tego wszystkie wozy, które dzisiaj przyjadą, będą sprawdzane przed wjazdem na teren Castello.

Wyjechawszy z lotniska minęliśmy szeregi brzydkich, zaniedbanych domów, wjechaliśmy na drogę szybkiego ruchu nr 29, lecz wkrótce zjechaliśmy z niej i skierowaliśmy się na północ, ku Napa. Po kilkunastu minutach Lewis skręcił na wielki parking centrum handlowego i podjechał pod Home Depot, gdzie stał duży samochód kempingowy - ciemnoniebieski Chevrolet z częścią mieszkalną oraz biała toyota, która wyglądała na wypożyczone auto. Lewis zaparkował przy chevrolecie.

- Okay, postarajmy się, żeby to wyglądało normalnie - powiedział Kilgore. - Duży tu ruch i wiele takich turystycznych wozów, więc mamy szansę, że nikt nie zwróci na nas uwagi. Ty, Anita, zajmij się zaraz Talmadge'em.

Lewis wyprowadził starego człowieka z auta. Anita z Rexem objęli się i pocałowali, po czym, poszeptawszy jeszcze chwilę, rozłączyli się.

Głos Kilgore'a rozległ się w nagle zapadłej ciszy.

- J a s m i n e i Tyrone, bierzecie kampera. - Sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki. - J e s t w nim sprzęt, który załatwił dla

was Bill. - Zerknął na Tyrone'a. - Laptop i karty WiFi są jeszcze w fabrycznych opakowaniach.

- Więc dodatkowo czeka mnie konfigurowanie.

- Tak - Kilgore skinął głową. - Ale wierzę w ciebie. Poza tym musicie uważnie śledzić mapę i pilnować drogi. W schowku jest krótkofalówka o dużej mocy, z zapasem baterii i podłączeniem do gniazdka samochodowej zapalniczki. Wszystko jest cyfrowe, zaszyfrowane i ustawione na tę samą częstotliwość, którą otrzyma reszta z nas. Uruchomcie sprzęt, kiedy tylko znajdziecie się w wozie i nasłuchujcie bardzo uważnie.

Jasmine i Tyrone kiwnęli głowami.

- Jakieś pytania?

Zgodnie uczynili gest przeczenia.

- Okay, w takim razie ruszajcie.

Jasmine uściśnęła mnie i pocałowała.

- Kocham cię.

Oniemiałem na moment.

- Ja też - wykrztusiłem wreszcie. Usiłowałem zapamiętać uśmiech Mony Lizy, jakim obdarzyła mnie na pożegnanie, na wypadek gdybyśmy mieli się już nie zobaczyć.

Wsiadła z Tyrone 'em do wozu i odjechali.

- Hej, wiesz, że te beczki są luzem? - zawołał z góry Dan Gabriel do Harpera, stojącego pod stojakiem z winami.

- Leżą niczym nie przyłączone, jedna nad drugą, na metalowych podpórkach, które łatwo się wyjmują - meldował Gabriel, siedząc na szczycie stojaka.

- Aha - odpowiedział Harper. - Wystarczyłyby bile wstrząs tektoniczny, a runęłyby jak lawina. Ale ci winiarze są kompletnie beztroscy. Zupełnie jakby zgubili kontakt z rzeczywistością.

- Jeżeli udałoby się nam narobić wystarczająco wiele hałasu, aby przybiegły tu straże, mógłbym spuścić im te składy na głowy.

91 Tkwiłiśmy z Rexem przyczajeni za betonowymi filarami, podpierającymi rozjazd pod jezdniami autostrady 29, pilnie nasłuchując sygnału z krótkofalówek, po sześćset dolarów każda, które na kartę Kilgore'a zakupił dla nas Bill Lewis.

Byliśmy ubrani w granatowe kombinezony z logiem Stowarzyszenia Winiarzy z Napa Valley. Mieliśmy ze sobą duże pojemniki ze sprayem na niedźwiedzie, taśmę klejącą, zaciskające się plastikowe paski, nylonową linkę, przecinaki do kartonów oraz trzyczalowy pręt zbrojeniowy długi na około osiemnaście cali; ja dodatkowo niosłem kajdanki, a Rex - zabawną czerwoną piłkę z dziurkami oraz pasek, który Lewis kupił w sex shopie.

H&K-41, który zabrałem zabitej jasnowłosej snajperce, trzymałem pod kombinezonem w specjalnej kaburze pod ramieniem. Rex miał swoją dziewiątkę w tym samym miejscu.

Potok pojazdów nieprzerwanie płynął po czteropasmowej jezdni z grzmotem oceanicznych grzywaczy, punktowanym basowymi nutami ciężarówek z transportami wina. Co parę minut taki pojazd mijał naszą pozycję, jadąc z ładunkiem do wielkich magazynów w Green Island Road, znajdujących się na zachodzie lub wracając z nich. Kilgore wybrał to miejsce, choć na wszelki wypadek miał w odwodzie jeszcze dwa inne.

- J a d ę . - W moim uchu zatrzeszczał głos Kilgore'a. Wcisnąłem malutki guzik mikrofonu.

- Gotowi.

Rex zerknął na mnie.

- To jest kompletny przypał.

- Dlatego tu jesteście.

Z uśmiechem zsunął się po zabetonowanym zboczu i przykucnął za metalową ochronną barierą podjazdu; ja przebiegłem na drugą stronę jezdni i zaległem tam. Za

moment zza zakrętu wyłonił się zielony minivan Kilgore'a, minął nas i zahamował ostro na ręcznym, obracając się w poprzek jezdni i blokując drogę. Jak na zamówienie w następnej chwili pojawiła się potężna ciężarówka dostawcza. Na widok przeszkody kierowca dał po hamulcach, blokując oba tylne zestawy kół.

Doskoczyliśmy z Rexem z dwóch stron do kabiny. Drzwi nie były zamknięte, więc odrzuciłem pręt i otworzyłem je gwałtownie. Wyszarpnąłem kierowcę na jezdnię, a Rex od drugiej strony natychmiast wślizgnął się za kierownicę. Kiedy stopa kierowcy zwolniła pedał sprzęgła, wóz szarpnął się i zgąsł. Rex natychmiast zastartował go na nowo.

Szofer, gość o latynoskim wyglądzie, darł się:

- Nie róbcie mi krzywdy! *Por favor!* Litości! Mam dzieci!

Zaczął głośno modlić się po hiszpańsku. Zastraszenie tego niewinnego człowieka napełniło mnie poczuciem wstydu, jakiego jeszcze nigdy nie doznałem.

- Nie zrobimy ci krzywdy - powiedziałem mu, kiedy ruszyliśmy ciężarówką za zielonym vanem w stronę Napa. Chyba poznał po moich oczach, że nie kłamię, bo uspokoił się. Pozwolił mi założyć sobie kajdanki i zakneblować usta. Przeraził się na nowo, kiedy wyjąłem strzykawkę ze środkiem usypiającym, który przygotowała Anita, ale opadł bezwładnie na siedzenie, gdy zastrzyk zaczął działać.

Jechaliśmy za Kilgore'em przez Napa, po Big Ranch Road i dalej, na północ, po Silverado Trail. Zjechaliśmy z drogi na południe od Rutherford i zatrzymaliśmy się na małym parkingu, gdzie stały trzy wozy z pustymi bagażnikami rowerowymi na dachach. Najwidoczniej ich właściciele zasilili szeregi rowerowych fanów tej krainy, którzy w kolorowych strojach przemierzali malownicze szlaki prowadzące wśród jej wzgórz i winnic. Upał i zasnuwające okolicę dymy z pożaru po drugiej stronie doliny przerzedziły znacznie peletony naśladowców Lace Armstronga, lecz nie przegnały ich stąd całkowicie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Kilgore, kiedy otworzyłem drzwi po s w o jej stronie. Pokręciłem głową.

- Kiedy on się ocknie?

- Za trzy, cztery godziny.

- Dobrze - stwierdził. - Kiedy się obudzi, będziemy już martwi albo za kartkami, albo zostaniemy wielkimi bohaterami.

- Co się z nami stanie, wie tylko Bozia, kemo sabe¹ - rzekł sentencjonalnie Rex.

Kilgore już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, gdy Rex zafundował mu kuksańca w bok.

- Nazywam się Rex. Przez „x” - powiedział z naciskiem.

- W porządku. - Kilgore z uśmiechem poklepał go po ramieniu. - Do roboty, Panie X.

Pod osłoną ciężarówki, odgradzającej nas od ciekawskich spojrzeń z szosy, przeładowaliśmy do niej nasz sprzęt z chevroleta, łącznie z arkuszami sklejki. Następnie delikatnie ułożyliśmy uśpionego szofera w tyle minivana. Kilgore zaparkował auto w odległy koniec placu, ocieniony drzewami. Ułożyliśmy uśpionego mężczyznę na boku, aby się nie zakrztusił, po czym przywiązaliśmy go z pomocą nylonowej linki oraz zaciskających się plastikowych pasków tak, aby, jeśli obudziłby się za wcześnie, nie mógł poruszyć się, ani dotknąć ścianek auta rękami, nogami czy głową. Zostawiliśmy silnik pracujący na jałowym biegu i włączyliśmy klimatyzację.

Na koniec Kilgore przyssał do tylnych drzwi vana ciemnoszary płat plastiku mniejszy niż komputerowa mysz.

- Co to jest? - zapytałem.

- Rodzaj telefonu bezprzewodowego, połączonego z moją komórką - wyjaśnił Kilgore. - Ten model ma wbudowany czujnik ruchu i kamerę. Jeśli samochód albo ten człowiek zaczną się poruszać, będzie rejestrować obraz jak komórka i przesyłać go do mnie e-mailem.

¹ Kemo sabe - w języku indiańskim „wiemy przyjaciel” - stałe powiedzenie Tonto - patrz przypis na str. 423.

- Cool - pochwaliłem.

- To jest prosta, tania wersja, bez klawiatury i ekranu. Programuje się go komórką. Są też takie, które przekazują dźwięki, wilgotność, temperaturę... i mnóstwo innych rzeczy.

Otworzyłem usta, żeby zapytać o więcej.

- Nie ma czasu na pogaduszki o elektronicznych zabawkach - zreflektował się Kilgore. - Musimy zjechać tam w terminie.

Weszliśmy na tył ciężarówki i z pomocą skrzynek z winem oraz sklejki zaaranżowaliśmy tajny schowek dla Kilgore'a, mnie i naszego sprzętu. Stłoczyliśmy się we dwóch w ciasnej, dusznej przestrzeni, a Rex przymocował fałszywą ściankę i zastawił ją skrzynkami. Wreszcie zgrzytnęły zamknięte tylne drzwi i silnik ciężarówki ożył.

Kiedy wóz wyjeżdżał z parkingu na drogę i Rex wrzucał kolejne biegi, zacząłem się modlić - za Latynosa i jego dzieciaki, za Jasmine i za siebie, za Rexa, Anitę i Tyrone'a, za Kilgore'a, za duszę Camilli, Vanessy i mojej matki; osobno błagałem niebiosa o zesłanie nam mądrości i wsparcia, abyśmy mogli zrealizować naszą misję.

Gdy tak leżałem w prawie kompletnej ciemności, objawiła mi się niemal realistyczna wizja Camilli, Nata i Lindsey sprzed tamtej nocy, kiedy wszyscy zginęli. Wierność wizerunku była niemal trójwymiarowa. Długo nie mogłem pozwolić zniknąć tym obrazom.

Kierując się wskazówkami Jasmine, Tyrone skręcił z Silverado Trail na południe od Rutherford.

- O, sir, to się nie spodoba naszemu Generałowi przez wielkie „G”! - zażartował Tyrone.

- Niech generał przez wielkie „G” wypcha się swoimi gwiazdkami! - odparowała Jasmine. - Muszę chwilę poćwiczyć przed akcją.

- Ja też - przytaknął, pokazując ruchem głowy pudło z laptopem.

Jechali jeszcze kawałek wąską szosą przez pole - puste, jeśli nie liczyć ogromnego stosu wyschniętych winorośli, które ścięto, aby przygotować grunt pod nowe.

- Tu - pokazała. - Skręć w prawo.

Wóz skręcił posłusznie w utwardzoną polną drogę, jedną z całej szachownicy tych, które przecinały plantacje, służąc jako dojazdówki dla ciężarówek i innych maszyn, kręcących się tu w okresie zbiorów.

- Okay, zatrzymaj się.

Wysiadła, otworzyła tylne drzwi kampera i wyciągnęła stamtąd spory, podłużny pakunek. Tyrone zgasił silnik i wysiadł, aby pomóc jej wypakować i złożyć zdalnie sterowany samolotik w wersji deluxe. Należało przyczepić do kadłuba skrzydła o rozpiętości prawie półtora metra.

- Kit dla dzieciaków - prychnęła pogardliwie. - Daj mi parę godzin, a zrobię coś sensownego z tego śmiecia.

- Nie mamy nawet dwóch godzin - przypomniał jej Tyrone.

Nie odpowiedziała, zajęta nalewaniem benzyny z jednego ze stojących w aucie kanistrów. Następnie włożyła baterie do samolotu i do konsoli sterującej.

- Możesz przynieść mi tę plastikową torbę, która stoi za moim fotelem? - rzuciła. - Tyrone podał jej torbę i przyglądał się, jak wyjmuje z niej połówkę laski dynamitu, przykleja do niej taśmą elektroniczny detonator i przytwierdza całość do kadłuba samolociku, nie podłączając jeszcze przewodów zapalnika do obwodu elektrycznego maszyny.

Jasmine ustawiła samolot na twardej, równej powierzchni drogi, uruchomiła silnik i wystartowała maszynę do lotu.

- Dobra - powiedział Tyrone. - Teraz ja muszę się pomęczyć z tym laptopem i przedpotopowymi Windowsami XP.

- Przejdź pod drzwi! - Dan Gabriel tkwił uczepony szczytu stojaka z beczkami, najdalszego od wejścia. Harper uśmiechnął się pod wąsem i posłusznie odszedł.

Stojak zaczął się chwiać, gdy Gabriel odpychał jego szczyt od ściany, kiwając w przód i w tył całą konstrukcją, z każdym ruchem zaburzając jej równowagę, aż w końcu zaczęła upadać. Kiedy pierwsze beczki nieprzyzwoicie drogiego cabernet sauvignon roztrzaskały się z hukiem o kamienną podłogę, przeskoczył na następny stojak. Wino i klepki rozpryskiwały się na wszystkie strony.

Następne beczki pękały z coraz mniejszym impetem. Kilka nie rozsypało się, lecz potoczyło ku przeciwległej ścianie. W zamęcie żaden z mężczyzn nie zwrócił uwagi, że uderzając w nią, wydawały wyraźnie inny odgłos. Szpunt jednej z beczek wystrzelił przy zderzeniu ze ścianą i jeszcze więcej wina popłynęło falą po posadzce.

- Okay, to mi się podoba - stwierdził Gabriel, biorąc się za następny stojak.

92 Dławiłem się w dusznym, rozgrzanym powietrzu schowka i z trudem starałem się powstrzymać kaszel, kiedy ciężarówka zatrzymała się i zgrzytneły otwierane drzwi.

- Podwozie, kabina i silnik czyste - zameldował głos, nie należący do Rexa.

- Wydaje się, że wiesz więcej wina niż wynika ze specyfikacji - powiedział drugi, również nieznany głos.

- Po tej mam jeszcze jedną dostawę - poinformował beznamiętnie Rex.

Kroki zbliżyły się i zatrzymały. Przesunięto skrzynkę nad moją głowę; w rozszerzającą się szczelinę wniknęło światło. Zacisnąłem dłoń na kolbie H&K-4.

Jasmine siedziała w samochodzie kempingowym, zaparkowanym w cieniu kępy drzew rosnących pośrodku dużej winnicy, znajdującej się po północno-zachodniej stronie

Castello Da Vinci. Uważnie nasłuchiwała, czy nie odezwie się walkie-talkie. Ale krótkofalówka milczała.

Czekając sprawdzała w myśli listę zadań: wszystkie cztery zdalnie sterowane samoloty sprawne, zatankowane i uzbrojone w dynamit. Pozostało tylko podłączenie przewodów zapalników przed lotem. Droga dojazdowa do winnicy, na której zaparkowali, stanowiła nieco lepszy pas startowy niż poprzednia, na której testowała samoloty.

W oddali wił się połyskujący wąż limuzyn i zwykłych samochodów, zmierzających na przyjęcie u Braxtona. Za jej plecami Tyrone na tylnej kanapie z pasją stukał w klawisze laptopa.

- Mam! - wrzasnął, aż drgnęła.
- Co? - spytała, zła, że rozprasza jej myśli.
- Wszedłem tam!
- Dokąd?
- Do sieci Braxtona!
- Przez WiFi?
- Nie, naokoło.
- Żartujesz!
- Skądże,
- Jak?

- Gorący kawałek nowego oprogramowania krakującego, zwany airpaw - wyjaśnił Tyrone. - Działa poprzez bezpośrednie wstawianie pakietów. Jedna z moich kart sieciowych podsłuchuje jeden kanał, a druga wstawia spreparowane pakiety z właściwymi odpowiedziami. Jeśli dobierzesz prawidłowo format odpowiedzi, cały system działa bezbłędnie i połączenie funkcjonuje bez zakłóceń na drugim końcu protokołu bezprzewodowego. I nikt na tym drugim końcu nie stwierdzi włamania, chyba, że sprawdzałyby pakiety snifferem czasu rzeczywistego.

- Nie rozumiem z tego ani słowa - jęknęła Jasmine.
- Nie musisz. Najważniejsze, że oni nie mogą zablokować mnie bez zablokowania całego legalnego ruchu w sieci

- powiedział z satysfakcją Tyrone. - T a k więc poprzez sieć bezprzewodową dostaję się do środka i szukam kompa, który jest podłączony jednocześnie do sieci bezprzewodowej i kablowej. Nie ma sprawy. Do tego wprowadziłem parę specjalnych modyfikacji sniffera pakietów, plus spoofer numerów MAC i jeszcze mój własny program łamiący hasła, który napisałem przed chwilą. Dzięki niemu przejmę informacje, potrzebne mi do wejścia do ich głównego systemu.

- A mówiłeś Kilgore'owi, że zdążyłeś już zapomnieć, jak to się robi!

- Kłamałem. I on wiedział o tym. A wracając do mojej roboty, technologia tego włamu jest całkiem nowa i nawet jeśli ktoś dobrze zna się na rzeczy, trudno mu jest zabezpieczyć sieć tak, żeby nie miała żadnych dziur. A ten kołek, który pracuje dla Braxtona, nie zadbał nawet o zmianę standardowego hasła na routerze.

- Co nam daje ten twój włam?

- Oczy i uszy.

- Czyli?

- Popatrz na ekran.

- O, Boże!

Pomimo wieku, Parkinsona, wielogodzinnego zmęczenia oraz braku jedzenia i picia, Frank Harper zadziwiał Gabriela swoją żywotnością. Upadek każdego regału witał młodzieńczym okrzykiem radości.

Płynna fortuna w postaci potoku najlepszych roczników cabernet sauvignon rozlała się w wielką kałużę na podłodze piwnicy i czerwoną strużką zaczęła podciekać pod drzwi.

- To powinno ściągnąć czyjaś uwagę - stwierdził Harper, który cofał się do tyłu, w miarę jak Gabriel kontynuował dzieło zniszczenia coraz bliżej wejścia.

- Oby nie za dużo tych ktosiów - odparł Gabriel. - Lepiej uprzątnijmy trochę tego bałaganu, żeby mogli otworzyć drzwi.

93

Odbezpieczyłem H&K-4.

- Zostaw, Benny. - Skrzynka z winem nad moją głową znieruchomiała. - Za nimi jest jeszcze cała kolejka. - Skrzynka wróciła na miejsce

i w schowku znów zrobiło się ciemno.

- Okay - powiedział głos.

- Wyładujcie towar tam gdzie zawsze - dorzucił pierwszy z głosów. I nie zapomnijcie podpisać potwierdzenia dostawy, kiedy będziecie odjeżdżać.

- J a s n e - Rex przytaknął solennie.

Szczęknięta zasuwą drzwi i ciężarówka ruszyła. Dopiero wtedy zwolniłem bezpiecznik. Pistolet Kilgore'a szczękniętą, gdy generał uczynił to samo.

Niedługo potem ciężarówka zwolniła, cofnęła się i stanęła. Za moment owionęło mnie świeże powietrze.

- Pobudka, lenie! - powiedział Rex.

Za jego plecami widać było rampę pomalowaną w czarno-żółte pasy i drzwi towarowe, w większości zamknięte. Z boku słychać było poszum przejeżdżającego wózka akumulatorowego. Wstałem i pomogłem wyjść generałowi. Wyprostował się szybko i głęboko zaczerpnął świeżego powietrza.

- Okay, uporządkujmy scenę - powiedział i zaczął przesuwac skrzynki z winem na tył ciężarówki. - Połóżcie sklejki płasko w rogu i postawcie na nich wino. Im bardziej niewinnie będzie to wyglądało, tym później nas nakryją.

Zrobiliśmy jak kazał i po paru minutach zameldował przez krótkofalówkę:

- Jesteśmy w środku.

Podtoczyliśmy się tyłem pod rampę, chwyciliśmy każdy po skrzynce z winem i podążyliśmy za Kilgore'em, zanurzając się w chaos hali dostawczej. Dostawcy, winiarze i całe zastępy ludzi w białych uniformach i toczkach na głowach

przeklinali soczyście w kilkunastu językach na raz, żądając wózków, pomocy i żołądkując się, że jeśli natychmiast nie zostaną wpuszczeni na górę, ich kanapki, torty lodowe, galaretki oraz inne kulinarne dzieła zostaną zrujnowane. Zrujnowane!

Ludzie z ochrony Braxtona, ubrani w granatowe bluzy, szorty khaki, białe koszule i rzemykowe krawaty krążyli wśród kłębiącego się tłumu, usiłując zaprowadzić porządek. Z ich min można było wnioskować, że chętnie wystrzelaliby tę tłuszcę, gdyby nie okoliczność, iż ma dostarczyć specjalny dla generała i jego gości.

- Podoba mi się to - stwierdził Kilgore, kiedy przepychaliśmy się przez rampę. Na prawo od nas rosło kwitnące drzewo, wyciągając gałęzie nad dziedzińcem, zatłoczonym ciężarówkami.

- Oficjalne wejście do zamku znajduje się po drugiej stronie - poinformował. - Braxton nie chciał, aby jego snobistyczni goście psuli sobie humor widokiem zwykłych ludzi przy pracy.

Wkroczyliśmy za nim w klimatyzowany chłód głównego wejścia służbowego.

- Tędy. - Kilgore szybko skierował się w ciemny róg z prawej strony. Zwolniliśmy na moment, aby wzrok przyzwyczał się do półmroku słabo oświetlonego pomieszczenia. Jeden z ochroniarzy stojących u wejścia popatrzył krótko w naszym kierunku, po czym odwrócił się do wysokiego, chudego, młodego człowieka, który tłumaczył mu nerwowo, że jego dostawa jest najważniejsza i generał będzie bardzo niezadowolony, jeśli natychmiast jej nie otrzyma.

Skręciliśmy za róg, w skąpo oświetlony korytarz. Kilgore opuścił swoją skrzynkę na ziemię.

- To powinno być tu.

Postawiliśmy na jego skrzynce nasze ładunki. Przed nami rozciągała się długa, wąska, ciemnowa piwnica, mająca

po obu stronach szeregi identycznych, dębowych drzwi zamkniętych na czarne żelazne zasuwę.

- Jest ich co najmniej dwadzieścia - powiedziałem.

- Szlag! - mruknął Kilgore. - No nic, ruszamy. - Odwrócił się i pchnął ciężką zasuwę najbliższych drzwi. Tunel odbił echem zgrzyt zamka, pilnie wymagającego przesmarowania.

- Chryste! - powiedział Rex. - Lepiej, żeby tam na dworze dalej był łomot.

- Trudno - odparłem, zabierając się za drzwi po przeciwnej stronie.

Rex zaatakował następne. Aż się skuliłem, kiedy silnie popchnięta zasuwą wypełniła przestrzeń przeraźliwym metalicznym zgrzytem.

- Posłuchaj!

Gabriel zatrzymał się przy drzwiach i znieruchomiał. Wokół walały się połamane klepki i pogięte obręcze. Oprócz ciurkania bezcennego caberneta, ciekącego czerwonym strumieniem dały się słyszeć zardzewiałe zgrzyty zasuw u drzwi do piwnic i stłumione męskie głosy.

Harper siedział na krześle, czujny i skoncentrowany.

- Tak, to może być dobre. - Z wysiłkiem wstał, patrząc jak Gabriel wywraca ostatni stojak, ten najbliższy drzwi. Kiedy Dan, dopełniwszy dzieła, znów spojrział na Harpera, coś w wyglądzie piwnicznego muru przyciągnęło jego uwagę.

- Doktorze?

- Tak?

- Co jest tam, za tobą? Wygląda jak szczelina w ścianie.

Frank podreptał we wskazanym kierunku.

- Bo to jest szczelina w ścianie - oznajmił.

- A powinna być lita skała.

Gabriel zszedł ze stojaka, zbliżył się i z namysłem przyglądał się strużce wina, znikającej w szczelinie.

- Czy nie powinieneś szykować się na przyjęcie gości? - zapytał Harper, zerkając na drzwi.

- Moment.

Gabriel zaczął opukiwać ścianę wokół szczeliny. Pusto. Postukał na wysokości człowieka. Lita skała. Pochylił się i zaczął w pośpiechu powiększać szczelinę, wydłubując z niej zaprawę.

- Co to jest? - zapytał Harper.

- Możliwe, że lepsza droga ucieczki - powiedział Gabriel, nie przerywając pracy. W miarę jak odgłosy odsuwanych zasuw zbliżały się, z otworu wypadały coraz większe kawałki betonu, odsłaniając siatkę zbrojeniową. Powiało z niego chłodne powietrze.

- J a s n y gwint! - zaklął Gabriel, napierając na pręty. Metal wygiął się, aż puściły druty, którymi zakotwiczono go w ścianie. Gabriel pociągnął mocniej, tworząc wyrwę, przez którą można było się precisnąć.

- Tędy - powiedział do Harpera. - Pomogę ci.

Za drzwiami podekscytowany głos wykrzyknął coś. Ktoś dostrzegł strumień wina.

- Nie wiemy, dokąd to prowadzi - zaprotestował Harper. - Może kończy się ślepo?

Za drzwiami rozległ się tupot biegnących nóg.

Zasuwa zazgrzytała głośno.

Harper chwycił wyciągniętą dłoń Gabriela.

- Mądra decyzja, młody człowieku.

- Czuję się zaszczycony pochwałą.

Harper nie zniknął jeszcze całkiem w dziurze, kiedy zasuwu odskoczyła.

- Szybko, doktorku! - zawołał Gabriel, podbiegając do stojaka z beczkami i szarpiąc go z siłą, która zadziwiła jego samego.

Serce Jasmine przyspieszyło rytm, kiedy patrzyła, jak Tyrone ogląda ujęcia kolejnych wnętrz Castello Da Vinci, filmowane przez kamery przemysłowe.

- A teraz posłuchaj. - Kliknął na guzik na obrazie i z głośników laptopa dały się słyszeć stłumione głosy.

- Każda kamera zbiera również dźwięk - wyjaśnił.
- Wspaniale.

W tym momencie rozległ się głos Kilgore'a z walkie-takie, meldujący, że weszli do środka.

- Okay, a teraz chodź, pomożesz mi na moment - powiedziała Jasmine. Przypięła sobie krótkofalówkę do paska i włożyła do ucha słuchawkę z mikrofonem.

- Raczej nie uda ci się zlokalizować Brada i reszty? - zapytała przechodząc do tyłu wozu.

- Mam nadzieję, że uda mi się to jak najpóźniej.

- Czemu? - Jasmine otworzyła tylne drzwi kampera. Tyrone podszedł i pomógł jej wyładować jeden ze zdalnie sterowanych samolotów.

- Bo skoro ja ich będę widział, będą ich także widzieli ludzie Braxtona - odparł.

94 Rex wezwał nas do siebie scenicznym szeptem. Podbiegliśmy, ślizgając się na mokrej podłodze. Wokół unosiła się woń bez żadnych wątpliwości należąca do wina. A dokładnie czerwonego wina. Schyliłem się, zamoczyłem w nim palec i polizałem go.

- Młody cabernet sauvignon - orzekłem tonem kiperka.

Rex potrząsnął głową i odsunął zasuwę, produkując przeraźliwy, przeciągły zgrzyt, który natychmiast przyciągnął ku nam światła potężnych latarek i łomot komandoskich butów.

- Stać! - krzyknął ktoś.

- Zmywam się! - powiedział Rex, popychając drzwi. Z hukiem detonacji bryznęło na nas wino i posypały się klepki.

- Rany, co jest? - wrzasnął Rex, odskakując. Kolejna beczka roztrzaskała się na kamiennej posadzce, a potem jeszcze jedna, ijeszcze.

- Jezus, Maria, Józef i osioł! - zaklął Rex.

Ochroniarze Braxtona zbliżali się. Ostrożnie zapuściliśmy żurawia przez lekko uchylone drzwi. Zobaczyliśmy ekskluzywne szczątki drogiej limużeńskiej dębiny i potop caberneta. Ludzie Braxtona już wchodzili nam na kark.

- Ręce do góry!

Rex, nie zważając na beczkowe bombardowanie wskoczył za drzwi w chwili, gdy silna ręka chwyciła mnie za ramię.

Pułkownik William Lewis przechadzał się niespiesznie tam i z powrotem wśród ludzi ze swojego oddziału, zajmującego pozycję przy odrapanym baraku w Napa, wsłuchując się uważnie w szum radia w słuchawce, wetkniętej w ucho. Jego podwładni byli przyzwyczajeni, że komunikował się ze „Starym” czyli z Jackiem Kilgore'em. Jednak nikt nie miał pojęcia, gdzie Kilgore w tej chwili się znajduje.

- Sir, mamy coś interesującego. - Lewis odwrócił się i spojrzał na Janet King, która niedawno błyskawicznie awansowała na kaprała - gwiazdę hokeja na trawie i rugby (w drużynach męskich), z doktoratem z informatyki. Janet wstąpiła do armii, tłumacząc, że: „nie mogłam już słuchać, jak politycy leją na wojsko”. Wściekała się, gdy nazywano ją „Amazonką”. Przy swoich 185 centymetrach wzrostu, 88 kilogramach wagi i jednym procencie zbędnego tłuszczu musiała uważać, żeby niechcący nie rozwalić klawiatury. Gdy kapral King uznała, że coś jest ważne, nikt nie zgłaszał obiekcji.

- Co masz?

- Pobiegli do czegoś, co wygląda na najważniejsze miejsce tego interesu i zdaje się, że nakryli tam intruzów.

Lewis zmówił cichą modlitwę.

- Może to tylko fałszywy alarm? - zapytał z nadzieją.

Kapral King pokręciła głową.

- Nie, wyraźnie doszło do kontaktu i mają tych dwóch.

Lewis skwitował informację skinieniem głowy, usiłując zachować spokój.

- Co jest? O, kurza twarz!

Tyrone wyskoczył z auta i podbiegł do Jasmine, która właśnie podłączyła kable detonatora w ostatnim z trzech samolotów, stojących na drodze. Odwróciła się ku niemu.

- Ekran kontroli bezpieczeństwa oszalał!

- Pokaż.

- Chodź. - Pospieszyli do auta. Tyrone ustawił laptop.

- Widzisz te czerwone światła? Jeszcze przed chwilą były zielone.

- Wygląda jak plan londyńskiego metra - zauważyła spokojnie.

- Owszem... częściowo schematyczny, częściowo przestrzenny.

- To nie jest dobry znak - Jasmine pokręciła głową i znów wpatrzyła się w ekran. - Co to za ikonki?

Tyrone pochylił się i przestawił laptop na rozkładany blacik, wysuwany spomiędzy przednich siedzeń, aby oboje mogli dobrze widzieć obraz. Tupnął na dotykowy ekran komputera i naprowadził kursor na ikonę. Wyświetlił się tekst podpowiedzi.

- Kamera systemu ochrony. Jeśli klikniemy na link, zobaczymy obraz.

- Działa jak kamera internetowa? - chciała wiedzieć Jasmine.

- Coś w tym stylu. Mają tam dużo kamer, połączonych z ich wewnętrzną siecią. W wielu miejscach używa się teraz systemów opartych na IP, ponieważ są tanie w budowie i mogą być szybko oprogramowane i wdrożone - wyjaśnił Tyrone.

- I P ?

- Protokoły internetowe. - Nachylił się nad ekranem, w skupieniu przesuwając kursor i stukając w klawiaturę. Po chwili pojawił się obraz pustego korytarza.

- Jest! - zawołał triumfalnie Tyrone, przywołując jeden po drugim ujęcia z kolejnych kamer. Lecz upojenie wyparowało natychmiast, gdy na ekranie zamigotał niewyraźny obraz Brada Stone'a i Jacka Kilgore'a, prowadzonych przez uzbrojonych strażników.

- O, Boże!

95 Rex wszedł do tunelu przez dziurę w ścianie jaskini, wyjął z kieszeni diodową latarkę - paluszek i ścisnął jej boki, aby oświetlić coś, co wydawało się być podestem schodów. Jeden ich ciąg, znajdujący się naprzeciwko otworu w ścianie, prowadził w górę. Drugi, odchodzący w prawo, prowadził w dół. Rex rozejrzał się dokładniej i dostrzegł świeże ślady odcisnięte w pyle, idące w lewo i w górę. Z piwnicy zaczął dochodzić coraz głośniejszy tupot stóp i gwar głosów. Rex zbiegł po kilkanaście stopni w dół, zakładając mylny trop, po czym ruszył w górę, szurając, aby zatrzeć ślad swój oraz Gabriela i Harpera.

Miejmy nadzieję, że to coś da, pomyślał. Zresztą, co innego mógł zrobić?

Spieszył się; raz próbował złapać kontakt przez radio, ale w skalnym tunelu sygnał zanikł. Szybko zresztą uznał, że ludzie Braxtona musieli przejąć aparaty Stone'a i Kilgore'a.

- Sorry, pani Anabel - mruknął do siebie. - Słabo dbam o pani synka.

- Nie wydaje ci się, że ktoś idzie za nami? - zapytał Harper urywanym szeptem.

- Trudno wyczuć - odszepnął Gabriel, popychając starego doktora w górę po schodach.

Dyskretny profesjonalizm ludzi Clarka Braxtona zadziwił mnie. Kajdanki, którymi skuto mi ręce za plecami krepowa-

ly, lecz nie uciskały; chwyt dłoni zaciśniętej na moim ramieniu był stanowczy lecz nie brutalny. Kiedy podeszliśmy do windy, drzwi rozsunęły się i kabina wypluła ze swego wnętrza zwałistego mężczyznę o minie wściekłego byka. Ochrońniarze, którzy nas eskortowali, wyprężyli się odruchowo na jego widok.

Wzrok mężczyzny stał się ostry, złowróżbny. Przysunął twarz do twarzy Kilgore'a.

- Przykro mi Jack, ale po takiej wpadce będziesz musiał na zawsze zapomnieć o wolnym świecie.

Kilgore milczał. Mężczyzna wyprostował się i poprawił sobie krawat.

- Zabierzcie ich do piwnicy - polecił. - Generał chce zamienić z nimi kilka słów.

- Czy życzy sobie pan, abyśmy zawiadomili miejscową policję? - zapytał kpiąco facet, który mnie przytrzymał.

- Na razie nie, ale później może być nawet konna - odparłem.

- Sir? - odezwał się ktoś z tyłu. - Sanchez chciałby wiedzieć, czy mamy wysłać oddział poszukiwawczy do tej dziury w ścianie?

- Powiedz im, żeby poczekał na Jima Clay tona. On zna te stare tunele jak własną dłoń.

Nie podobało mi się to, co słyszałem. Zyskałem za wiele informacji. Imiona, nazwiska i inne sprawy, których zwykle nie zdradzają profesjonaliści w obecności schwytych. Chyba, że nie muszą się już niczego obawiać z ich strony.

Kiedy drzwi windy zamykały się, wyobrażałem sobie różne rodzaje „wypadków”, które mogą się zdarzyć, kiedy dwóch starych komandosów, takich jak ja i Kilgore, spróbuje uciec.

- Tu są - powiedział Tyrone, pokazując na ekran. - Podchodzą do windy, gdzie jest kamera... - szybko przesunął kursor i kliknął inną ikonę - o, teraz.

Lęk Jasmine przerodził się w szarpiącą tęsknotę, kiedy patrzyła jak Brad Stone wchodzi do kabiny i patrzy prosto w oko kamery.

- Kocham cię - szepnęła do jego obrazu.

Dan Gabriel potykał się w ciemnościach, taszcząc ze sobą osłabłego Franka Harpera. Co pewien czas przystawał, żeby odsapnąć i posłuchać, czy nie zbliża się pogoń. Parł do góry po stopniach, aż nagle uderzył twarzą w coś twardego i omal nie puścił doktora.

- Co się stało? - szepnął starszy pan.

- Ślepy mur. Możesz usiąść na stopniu?

- Tak.

Gabriel rozpaczliwie zacisnął powieki, choć ciemność wokół nich była tak gęsta, że nawet z szeroko otwartymi oczami nie widział literalnie nic. Wówczas dosłyszał kroki i głosy za ścianą, którą miał przed sobą. Przesunął po niej płaską dłońią i poczuł pod palcami nierówno zaszpachlowaną powierzchnię. Czy w tym kryła się nadzieja? Przycisnął ucho do ściany. Nadzieja zgasła natychmiast, gdy rozpoznał głos szefa ochrony Braxtona. A potem głos Jacka Kilgore'a.

- Musimy *coś* zrobić - szepnął. - Wolę nawet szarżę kamikadze, niż bezsilne tkwienie tutaj.

- Ale...

- Jeszcze niedawno wbijałeś mi do głowy, że to kwestia decyzji. Zabijają nas, jeśli tu zostaniemy, więc zanim to zrobią, chciałbym zabrać kogoś z nich na tamten świat.

- Więc co zamierzasz? Przebić się przez tę ścianę jak szaleniec i zaatakować ich gołymi rękami?

- Masz lepszy pomysł?

- Nie - przyznał Harper.

Nagle w ciemności odezwał się nieznany głos, który sprawił, że zamarli z wrażenia.

- J a mam.

96

- Rany, popatrz na to!

Na ekranie laptopa pojawiały się szeregi kolejnych stojaków z winami.

- To musi być najświętsza ze świętych kolekcji - powiedział Tyrone. - Warta miliony.

- Z której nie wypije ani butelki. - Jasmine pokręciła głową.

Tyrone klikał raz za razem.

- Tu musi być dziesięć... nie, jest czternaście kamer w tej piwnicy. Widoki przeważnie te same, nie licząc różnych gatunków leżakującego wina. Tylko dwie pokazują coś innego - jedna wejście do wind, a druga oświetlone pomieszczenie z panoramicznym widokiem Napa Valley.

Widać było dymy, unoszące się z za wzgórz, gdzie jest pożar.

- Jeszcze parę stopni w dół, a pokazałyby nas - skomentował Tyrone.

Jasmine uważnie przyjrzała się obrazowi. Wyglądało na to, że nie ma tam więcej okien.

Tyrone przerzucił się na kamerę przy windzie akurat w chwili, gdy otworzyły się drzwi. Razem z Jasmine w milczeniu patrzył, jak ochrona wyprowadza z niej Stone'a i Kilgore'a.

- A gdzie jest Rex? - zapytała Jasmine. I po chwili: - Czy mógłbyś zachować nagrania z tych kamer?

- Pewnie tak. Czemu pytasz?

- Będą świetne jako dowody.

Tyrone zastukał w klawisze.

- Muszę je mieć, na wypadek, gdy coś się stało... - Głos się jej załamał. - Jeśli coś się stanie, powieszę tego skurwysyna na jaja na drzewie.

- Uhm - mruknął Tyrone. - Zdecydowanie lepiej mieć cię pos w ojej stronie.

Siedzieliśmy z Jackiem Kilgore'em ze skrzyżowanymi nogami na chłodnej kamiennej podłodze składowej piwnicy generała Braxtona. Ogromne regały na wino z drewna wypolerowanego na wysoki połysk piętrzyły się do połowy pomieszczenia wysokiego na ponad sześć metrów. Stojąc jeden obok drugiego ciągnęły się wzdłuż długiej sali jak biblioteczne półki, od jednego końca, gdzie znajdowała się winda, do drugiego, zamkniętego od przodu podwójnymi szklanymi wrotami. Za naszymi plecami stało dwóch wartowników. Trzeci zajął posturę przy szklanych drzwiach, pilnując naszych krótkofalówek, broni i reszty ekwipunku, zgromadzonego na podłodze. Obaj byli uzbrojeni w półautomatyczne pistolety, gotowe do strzału.

Czekaliśmy w milczeniu, wsłuchując się we własne oddechy i z braku innego zajęcia studiując etykiety bezcennych win, których pewnie nigdy nie będzie nam dane spróbować.

Nagle po mojej prawej stronie zadudniły wściekłe uderzenia i ściana piwnicy zaczęła pękać, gdzieś za pięknie obrobionymi i starannie wypolerowanymi oliwą półkami z twardego, egzotycznego drewna.

- Cholera! - Przekleństwo Rexa zagłuszył brzęk poruszonych butelek. Regał po prawej zadrżał i butelki zaczęły spadać z niego, roztrzaskując się o posadzkę.

Strażnik przed nami uniósł broń i ruszył w kierunku źródła hałasu.

Nagle, z tyłu:

- Co tu się dzieje, do licha?

Kilgore i ja odwróciliśmy się jak na komendę i zobaczyliśmy drugiego ochroniarza, biegnącego w tamtą stronę. Za moment zniknął za regałami, znajdującymi się najbliżej wind. Wówczas rozległ się lekki syk, a potem głośne okrzyki. Huknęły dwa wystrzały. Nad moją głową trysnęły gejery szkła i czerwonego wina. Padłem na podłogę; inne butelki eksplodowały po mojej lewej stronie. Strażnik za naszymi

plecami zerknął w stronę swojego partnera. Kilgore podniósł się powoli.

- Nie ruszaj się! - Ochroniarz wycelował w niego. Wykorzystałem moment odwrócenia uwagi i leżąc zamiotłem prawą nogą, zahaczając jego kostkę. Mężczyzna zatoczył się gwałtownie na regał, utracając głową szyjkę jednej z butelek.

Upadając w huku szklanej kaskady, która runęła z regału zachwianego impetem zderzenia, ochroniarz zdążył nacisnąć spust, zanim ciężko gruchnął na podłogę. Kula uderzyła w kamienną płytę i odbiła się rykoszetem; w ułamku sekundy później na szklanej tafli drzwi rozprzestrzeniła się pajęczyna pęknięć, a na czole strażnika, stojącego z prawej strony pojawiła się czerwona plama. Odruchowo sięgnął ręką do rany i krew zalała mu oczy.

Podniosłem się z ziemi tak szybko, jak pozwalały mi skute ręce. Kilgore kopnięciem odrzucił pod ścianę pistolet naszego strażnika.

- Brad! - Głos Rexa rozbrzmiał zza regałów.
- Rex?
- Tutaj!

Podbiegliśmy, wymijając leżącego mężczyznę, skręciliśmy za regały i omal nie wpadliśmy na trzeciego strażnika, kłęczącego i kiwającego się z krzykiem, histerycznie trącego oczy dłońmi. Otaczała go chmura nieznośnej woni środka odstraszającego niedźwiedzie, która wycisnęła nam łyż z oczu. Biegając kopnąłem jego broń, porzuconą na podłodze.

W oddali Rex z Danem Gabrielem obezwładnili ochroniarza z krwawiącym czołem, rzucili na podłogę i skuli jego własnymi kajdankami. Uczyniwszy to, Rex, korzystając z regału jako osłony, wyjrzał ostrożnie przez podwójne szklane drzwi. Gabriel podniósł z podłogi broń i pobiegł ku nam.

W połowie drogi pomiędzy mną a Rexem dostrzegłem starszego mężczyznę, przytrzymującego się krawędzi dziury

wybitej w ścianie i domyśliłem się, że musi to być Frank Harper. Bystro wodził wokół wzrokiem, śledząc przebieg wydarzeń, uśmiechając się szeroko i kiwając głową z absolutną aprobatą.

- Jack! - Gabriel klepnął Kilgore'a po plecach, a potem w ten sam sposób powitał mnie. - Musisz być tym Stone'em, który rozpętał całą aferę. Daj, zdejmę ci to. - Szybko zabrał kajdanki strażnikowi, oszołomionemu iście niedźwiedzią dawką gazu i skuł mu przeguby rąk. Następnie, nie odrywając czujnego spojrzenia od krańca długiego regału, pogrzebał w kieszeniach leżącego, wyciągnął kluczyk i wręczył mi go.

- Uwolnij też Jacka, dobrze?

Niezwłocznie rozkułem Kilgore'a, a on zrewanżował mi się tym samym.

- Szczur za wami! - wrzasnął Rex i wystrzelił. Butelki eksplodowały za moimi plecami. Rzuciłem się po broń ochroniarza, pochwyciłem ją szybciej niż Kilgore i złożyłem się do strzału. Strzeliłem poprzez regał, do mającego za nim cienia. Więcej czerwonego wina, więcej potłuczonego szkła. Odskoczyłem w bok, gdy zaczął się odstrzeliwać. Stałem na tyle blisko półek, że mogłem odczytać nalepkę na butelce - 1897 Chateau Margaux - kiedy wybuchła jak granat. W powietrzu zawisł gęsty aromat dostatego clareta z ostrą nutą bezdymnego prochu strzelniczego. Miałem dziwną pewność, że żaden koneser nie opisał podobnego bukietu na łamach „The Wine Speculator”.

Butelki odpalały po kolei jak miny przeciwpiechotne, gdy facet zaczął pruć do nas serią jak oszalały.

Kilgore przesunął się na koniec regału, najbliższy winom. Zdjął butelkę z półki i gestem pokazał, że zaraz rzuci ją dla odwrócenia uwagi. Dał mi znak, abym przesunął się na drugi koniec, do Gabriela. Podbiegłem ostrożnie, aby nie poślizgnąć się w kałużach wina i szklanej stłuczki. Odgłos moich biegnących stóp sprowokował kolejne strzały;

kolejne litry markowego bordeaux rozpląnęły się wśród odłamków szkła.

Kiedy dotarłem do Gabriela, Kilgore przerzucił butelkę ponad szczytem regału. Gdy uderzyła o podłogę, przebiegłem z Danem na drugą stronę i zobaczyłem ochroniarza z zakrwawioną głową, odwracającego się w stronę źródła huków.

- Rzuć broń! Nic ci nie zrobimy - krzyknął Gabriel.

Mężczyzna znieruchomiał, ale nie upuścił broni.

- Poddaj się, nie bądź głupi! - darł się Rex ze środka piwnicy, gdzie musiał odskoczyć, aby zejść z linii ognia.

Kilgore znów dał mi znak. Wycofałem się we wskazanym kierunku i zająłem pozycję, z której miałem pełne pole obserwacji.

- No już. - Głos Kilgore'a był całkowicie spokojny. - Jesteś otoczony. Każdy z nas trzech ma cię na muszce. Nie zrób czegoś głupiego, czego będziesz później żałował.

W pełnej wahań, przedłużającej się chwili ciszy, słyszałem bicie swojego serca i szmer kapiących kropli wina. Nie spodziewanie, jak grom z jasnego nieba rozległ się głos, który tak wiele razy słyszałem w telewizji.

- To samo można powiedzieć o tobie, Jack!

Zaledwie wybrzmiało ostatnie słowo, w piwnicy zadudnił wyciszony, złowrogi werbel kroków i wokół zaroiło się od komandosów w mundurach SWAT, z M16 w rękach, poruszających się jak koty w butach na miękkich podszwach, w ryszunku, który nie wydawał najmniejszego dźwięku.

97 - Wyłóżmy nasze karty - powiedziała Jasmine, odwracając się od ekranu laptopa. Tyrone zawałał się, wpatrzony w obraz Braxtona i jego uzbrojonych po zęby wojowników. Jasmine chwyciła go za rękaw i wyciągnęła z wozu. - Startujemy.

Szybko wystartowali pierwszy samolot. Jasmine, wpatrzona w latającą maszynkę, sterując dżojstikami konsoli, cofała się tyłem w stronę kabiny auta. Tyrone znów usiadł przy laptopie.

- Teraz kamera, która filmuje okno - poleciała. - To, przez które prawie nas widać. - Odprowadziła wzrokiem oddalający się samolot.

- Powiedz mi, kiedy samolot pojawi się w kamerze, a potem naprowadź mnie.

- A niech to szlag! - zaklął Tyrone, stukając w klawiaturę. - Nie uwierzysz, co zrobił Braxton!

Twarz Clarka Braxtona, ubranego w smoking, w lakierkach lśniących jak lustro, była nabiegła krwią i wykrzywiona grymasem wściekłości, która wzbierała w nim jak sztormowa fala. Zaciskał drżące dłonie, patrząc na enologiczną hekatombę.



Potężny szef ochrony stał u boku swego pryncypała; jego masywna sylwetka odcinała się ostro na tle zasnutego woalem dymów, pomarańczowego zachodu słońca, siejącego swój blask przez oddalone szklane drzwi. Nie miałem wątpliwości, że wymyślili już z Braxtonem scenariusz, w którym wybieramy tę drogę ucieczki, dając im pretekst do zabicia nas.

Zaciśnięte pięści Braxtona drżały, kiedy chodził wśród szczątków. W jego oczach odbijał się gniew, potem wściekłość, aż wreszcie zaczęły płonąć w sposób coraz bardziej prawdziwie przerażający.

Szef ochrony generała, nieświadomy narastającej furii szefa, sypał rozkazami do swoich ludzi. Kątem oka dostrzegłem, jak Rex uskakuje za regał.

- Stój! - krzyknął szef ochrony i posłał za nim dwóch ludzi. Kiedy inni zbliżyli się, żeby zabrać nam broń, usłyszałem głosy Rexa i Harpera.

- Chodź - powiedział Rex. - Szybko!
- Nie. Ty idź.
- Ruszaj, doktorku!
- Jestem za powolny. Idź.
- O, żesz ty!

Huknęła dziewiątka Rexa. W odpowiedzi obrotowy magazynek M16 wypluł trzy serie. I znów strzał z dziewiątki.

- Kurwa, trafił mnie! - wrzasnął głos. Nie był to głos Rexa. Dowódca posłał do akcji kolejnego człowieka.
- Okay! - zameldował ranny. - Kamizelka ochroniła.

Jeszcze jeden głos:

- Tu jest dziura w ścianie. Wchodzić?
- Nie wchodzi! - krzyknął dowódca. - To prowadzi do przechowalni beczek. Kazałem jej pilnować jednemu z naszych. Zostań przy wejściu i pilnuj, żeby nikt stamtąd nie wyszedł.
- Sir!

Braxton przykląkł na jednym kolanie, żeby dokładniej ocenić straty, gdy ochroniarz wyprowadził zza regału Franka Harpera. Generał podniósł się powoli, wpatrując się w sztuczoną butelkę, trzymaną w rękę, jak matka w martwe dziecko. Całe jego ciało pulsowało z trudem hamowaną, złą mocą. Po chwili odrzucił butelkę i wbił morderczy wzrok w Harpera.

- Ty stary, pokraczny, nic niewarty kawałku psiego gówna. - Głos Braxtona przeszedł w niską, niemal szeptaną tonację, jak wstęp do modlitwy, aby za moment sięgnąć górnych, piskliwych rejestrów, gdy generał i jego więzień zbliżyli się do siebie. - Ty zdradziecki, stary durniu!

- Tak, jestem starym durniem - przyświadczył Harper. Braxton zrobił ruch głową i ochroniarz zatrzymał starego człowieka przy regale. - I zdradziłem, aby ocalić ciebie.

Tego było już Braxtonowi za wiele.

- Ty pieprzony głupcze! Popatrz, co narobiłeś! - Generał dramatycznym gestem powiódł po otoczeniu, a potem nagle obrócił się i wyszarpnął dowódcy s w o jej ochrony pistolet z kabury.

Funkcjonariusz trzymający Harpera odskoczył w bok, a Braxton wystrzelił staremu lekarzowi prosto w twarz. Od-rzut cisnął Harpera na półki. Kandydat na prezydenta jeszcze raz dziko nacisnął spust i ciało osunęło się powoli. Frank Harper umarł, zanim dotknął podłogi.

Wyraz zaskoczenia i dezaprobaty pojawił się we wzroku ludzi w bojowych kombinezonach, którzy trzymali nas na muszkach. Zabijanie niewinnych ludzi nie mieściło się w kodeksie zasad żołnierza - profesjonalisty. Chwył na moim ramieniu zelżał.

- I ty! - Braxton odstepił o krok od szefa ochrony i wycelował mu w pierś z jego własnej broni. - Miałeś temu zapobiec! - Zaschnięta ślina bieleła się jak strzępek bawełny w kąciку ust Braxtona. - Ale zamiast tego pozwoliłeś, żeby ci dyletanci zniszczyli ideał największej w świecie kolekcji win! Popatrz tylko! Była kompletna, a teraz... - Braxton trząsał się. Wokół stali ochroniarze oszołomieni widokiem generała oraz swojego dowódcy w śmiertelnym zwarciu. Szkolenie nie przygotowało ich na takie sytuacje.

- Zrujnowałeś to, zrujnowałeś!

Kiedy Braxton strzelił, Gabriel, Kilgore i ja skoczyliśmy w stronę dziury w ścianie. Gdy skręciliśmy za regał, dwóch ochroniarzy, którzy nie widzieli, co się stało, wycelowało w nas. Zawróciliśmy i zobaczyliśmy Braxtona stojącego nad leżącym dowódcą, usiłującym podnieść się z ziemi. Dwóch ludzi ruszyło w stronę generała, gdy ten wycelował leżącemu w głowę i znów nacisnął spust. Usłyszeliśmy, jak za nami wartownik, który pilnował dziury, biegnie w tę stronę, a odłamki szkła zgrzytają mu pod nogami.

W tym momencie za oknem, jakby ze słońca zachodzącego w ciemność, pojawił się malutki samolocik. Gabriel, Kilgore i ja, wiedzeni jedną myślą, zanurkowaliśmy pod regał.

Impet eksplozji przetoczył się przez piwnicę, wypełniając zamkniętą przestrzeń szkłem i winem.

98

- Okay, kamera poszła - oznajmił Tyrone, kiedy Jasmine wystartowała drugi zdalnie sterowany samolotik.

- Poślemy ten i następny mniej więcej w to samo miejsce - powiedziała. - Jeśli Brad nadal żyje, ucieknie stamtąd, a jest szansa, że ściągniemy tam siły ochrony. - Zawiesiła na moment głos. - I natychmiast stąd spieszymy.

Rumor wybuchu zamarł szybko, gdy zbiegaliśmy, potykając się na ciemnych schodach.

- Co tak długo, *kemo sabe?*

Rex wychynął z ciemności, przyświecając sobie małą diodową latarką.

- Prowadź, Tonto - rzucił Kilgore.

- Tędy, cieniasie.

Przy końcu schodów, ani w piwnicy z beczkami, nie było żadnego wartownika, podobnie jak w tunelu i dalej, na rampie. Gdy odnaleźliśmy naszą ciężarówkę, uwięzioną w totalnym korku, wywołanym przez spanikowanych kierowców, z daleka doszedł nas stłumiony odgłos kolejnej eksplozji.

- Panowie mają ochotę na jogging? - zagadnął Gabriel.

- Znam tu ładną trasę.

- Mam alergię na bieganie - powiedział Rex. - Ale nie tak silną, jak na karabinowe kulki.

Na dziedzińcu rezydencji, pod piękną zieloną markizą, która chroniła znamienitych gości przed promieniami słońca, panował histeryczny chaos, jak w czasie ewakuacji z Sajgonu. Tłum gości w wieczorowych strojach przy pomocy swoich ochroniarzy przepychał się ku czekającym limuzynom, które zatarasowały podjazd.

Przekradaliśmy się za Gabrielem w cieniu drzew. Najpierw szliśmy, żeby nie wzbudzać podejrzeń, a potem pobiegliśmy przez las w stronę Silverado Trail.

Przekroczyliśmy płytki strumień i wygramoliliśmy się na drugi brzeg, gdy Rex poprosił, żeby zatrzymać się na moment.

- Może byś tak przestał palić? - skarciłem go, sądząc, że marzy o dymku.

- Ale upierdliwy gość! - fuknął, wyciągając krótkofalówkę i wciskając guzik. - Z tego wszystkiego zapomniałem zawiadomić twoją panią - popukał znacząco w aparat - że diabli cię wzięli. - Wyciągnął z ucha słuchawkę. - I pewnie by cię wzięli - dorzucił - gdybym nie obiecał t w o jej świętej pamięci staruszce, że będę się o ciebie troszczył.

Wręczył mi słuchawkę i walkie-talkie.

To była Jasmine.

EPILOG

Gromada doktorantów i studentów medycyny tłoczyła się wokół długiego, laminowanego, owalnego stołu, robiąc notatki i popijając kawę. Przerwałem na moment wykład, żeby zerknąć na ostatnie strony notatek, a oni z krępującą intensywnością spojrzeń przypatrywali się, jak przewracam kratki.

Za nimi, pod ścianami sali bez okien, stał tłum ludzi, którzy chodzili na moje jesienne seminarium oraz grupka pracowników naukowych, których znałem z widzenia, lecz nie mogłem przypomnieć sobie ich nazwisk.

- Zdaję sobie sprawę, że to co powiem może być dla wielu z was szokujące - podjąłem wykład. - Otóż teoretyczne i praktyczne sukcesy teorii kwantowej spychają klasyczną fizykę do roli prymitywnego narzędzia. W zakresie badania ludzkiej świadomości można porównać to do strzelania z działa, ładowanego przez lufę, podczas gdy naprawdę potrzebny jest akcelerator cząstek. Obciążone błędem klasycznego oglądu podejście do zagadnienia świadomości ma swoje korzenie jeszcze w siedemnastym wieku i ciągle unosi się nad nim cień Sir Izaaka Newtona. - Z nadzieją zerknąłem na drzwi, lecz szybko opuściłem wzrok na notatki. - Uparto obstawanie przy tak przestarzałych teoriach upośledziło naszą zdolność zrozumienia fenomenu świadomości oraz dociekań i dyskusji na temat wolnej woli.

Podszedłem do wielkiej białej tablicy i zmazałem swoje wcześniejsze zapiski, związane z technologicznymi zastosowaniami teorii kwantowej - półprzewodnikami, bombami atomowymi i satelitami GPS, po czym podjąłem wykład.

- Fizyka kwantowa oraz teoria superstrun znoszą zasady klasycznej fizyki w następujący sposób: po pierwsze w myśl tych zasad przyczyna każdego działania jest ściśle umiejscow-

wioną w czasie i w przestrzeni, i ma naturę czysto mechaniczną. - Mówiąc pisałem na tablicy, po każdym stwierdzeniu obracając się ku słuchaczom, aby potwierdzić jego percepcję kontaktem wzrokowym. - Po drugie fizyka klasyczna utrzymuje, że istnieją materia oraz energia, czasami równoważne sobie, lecz zawsze osobne. Jednak, jak się przekonaliśmy, splątanie kwantowe i superpozycja znoszą pierwsze założenie. Drugie również się nie broni, gdyż materia i energia są manifestacjami tej samej rzeczy i żadna z nich nie istnieje w formie prostej dychotomii albo-albo.

- Ponadto wszechświat jest o wiele bardziej złożony i tajemniczy niż myślimy, gdyż wszystko, co wiemy o materii i energii totalnie zapoznaje dziewięćdziesiąt sześć procent całej jego rzeczywistości.

Odwróciłem się i napotkałem jednolity mur niezrozumiejących spojrzeń.

- Zastanówcie się przez chwilę nad pracami naukowców z NASA oraz innych, którzy w 2003 roku dowiedli, że zwykłe atomy - czyli to, z czego jesteśmy zrobieni - stanowią zaledwie cztery procent materii wszechświata. - Pokazałem dłoń z czterema palcami. - Tymczasem ciemna materia zajmuje już dwadzieścia trzy procent, zaś reszta, porażające siedemdziesiąt trzy procent - to ciemna energia.

- Do tego nie wiemy literalnie nic o ciemnej materii i energii! Nie mam najmniejszych wątpliwości, że owe dziewięćdziesiąt sześć procent wszechświata, niedostępne naszej wiedzy, ma wpływ na naszą świadomość. Wierzę, że w miarę jak będziemy wiedzieć coraz więcej, porzucimy nasz dualistyczny ogląd materii w przeciwstawieniu do energii, i znajdziemy trzecią drogę, unieważniającą większość prawd, w które tak świącie wierzymy.

Ręka wystrzeliła w górę.

- Słucham?

- Profesorze, dlaczego omawia pan kosmologię na wykładzie z biologii?

- Dlatego, że fizyka kwantowa, teoria superstrun, kosmologia i fizyka cząstek prowadzą nas do punktu, w którym nieskończenie małe krzyżuje się z niewyobrażalnie wielkim. Sądzę, iż wszystkie podstawowe zagadnienia świadomości należą do tych samych skrzyżowań.

- Na przykład?

- Na przykład niewiarygodne nieistnienie materii i energii - odparłem. - Kiedy rozpatrujemyje w coraz to mniejszej i mniejszej skali, z początku materia i energia wydają się być tą samą rzeczą, a potem jawią się jako rodzaj widmowych cząstek czyjak kto woli, strun, wygenerowanych przez czasoprzestrzeń. Popatrzcie na swoje palce. - Słuchacze posłusznie spełnili moje polecenie. - Dobrze, i pomyślcie o molekułe keratyny, czyjakiejkolwiek innej. Okay, a teraz wyobraźcie sobie atom węgla. I neutron. Dalej kwarki, tworzące ten neutron. Pomyślcie o kwarku, o dowolnym kwarku. Nie posiada masy, którą moglibyśmy zmierzyć, tylko energię i nie dysponujemy metodą, która pozwoliłaby określić, gdzie on się w danym momencie znajduje. Niektóre warianty teorii superstrun sugerują nawet, że chodzi o drgania rezonansowe, pochodzące z samej czasoprzestrzeni.

Uważnie popatrzyłem w oczy słuchaczom.

- A teraz wyobraźcie sobie każdą molekułę i atom w naszym ciele. Wyobraźcie je sobie jako zbiór drgających chmur czasoprzestrzennych, z których żadna nie posiada masy, ale które postrzegacie jako - cielesnych, żyjących, oddychających - samych siebie.

- Istnieje również bardzo interesujący wywód w pracach Penrose'a i Hameroffa, który wskazuje, że u podstaw naszej świadomości leżą procesy kwantowe, być może za sprawą pewnego rodzaju połączenia z czasoprzestrzenią - tworzywem naszej rzeczywistości i bytu - oraz że nasze myśli permanentnie modyfikują czasoprzestrzeń. Jednak eksperymentalne udowodnienie tej teorii i osadzenie jej w sferze faktów, będzie wymagało długiego czasu.

- A jak ma się do tego ciemna energia?

- Ewidentnie ciemna energia i ciemna materia muszą być częściami czasoprzestrzeni - odparłem. - A co za tym idzie, przyczyniają się do funkcjonowania naszej świadomości.

- Je ż e l i o c z y w i ę c i e P e n r o s e i H a m e r o f f m a j ą r a c j ę - p o d s u m o w a ł z a c z e p n i e s t u d e n t . - A w i e l u p r o m i n e n t n y c h b a d a c z y t w i e r d z i , ż e k o m p l e t n i e s i ę m y ł ą .

- W i e l u p r o m i n e n t n y c h b a d a c z y u w a ż a ł o k i e d y ś , ż e K o p e r n i k i G a l i l e u s z k o m p l e t n i e s i ę m y l i l i - o d p o w i e d z i a ł e m .

Z e r k n ą ł e m n a z e g a r e k , a p o t e m n a t y ł s a l i . P r z y d r z w i a c h p o j a w i ą ł a s i ę J a s m i n e ; s t a ła , o p a r t a o ś c i a n ę . W z i ą ł e m g ł ę b o k i o d d e c h i u s i ł o w a ł e m s i ę n i e z a j ą k n ą ć . B u r z a w ł o s ó w o t a c z a ła j e j t w a r z j a k a u r e o ł a , a w u s z a c h t ą n c z y ł y s z m a r a g d o w e k o l c z y k i , k t ó r e k u p i ł e m j e j d l a u c z c z e n i a b ł y s k o t l i w e j o b r o n y D a r r y l a T a l m a d g e ' a . M i a ła n a s o b i e p r o s t ą m a ł ą c z a r n ą i d o t e g o r ó w n i e k o n s e r w a t y w n ą s k ó r z a n ą t o r e b k ę .

- J a k z a p e w n e w i e c i e z m e d i ó w , D a r r y l T a l m a d g e z m a r ł w e ś n i e d w a d n i t e m u - p o w i e d z i a ł e m . - B ę d ę m u s i ą ł k o ń c z y ć w y k ł a d , g d y Ź s p i e s z y m y s i ę z J a s m i n e n a p o g r z e b d o I t t a B e n a . J e ż e l i c h c e c i e d o w i e d z i e ć s i ę w i ę c j e j o c i e m n e j e n e r g i i , z a p r a s z a m n a m o j ą s t r o n ę i n t e r n e t o w ą C o n s c i o u s n e s s S t u d i e s . o r g . T y m , k t ó r z y s ą z a i n t e r e s o w a n i z a g a d n i e n i a m i w o l n e j w o l i w k o n t e k ś c i e p r z y p a d k ó w T a l m a d g e ' a i B r a x t o n a , p o l e c a m t r a n s k r y p c j ę w y w i a d u t e l e w i z y j n e g o , m o j e g o i p a n n y T h o m p s o n , k t ó r ą z n a j d z i e c i e n a s t r o n i e M i s s i s i p i J u s t i c e . O r g . D z i ę k u j ę p a ń s t w u z a p r z y b y c i e - z a k o ń c z y ł e m i r u s z y ł e m k u d r z w i o m , w i t a n y c i e p ł y m u ś m i e c h e m s w o j e j k o b i e t y .

O b c a s y c z a r n y c h p a n t o f l i J a s m i n e w y s t u k i w a ł y s z y b k i r y t m n a l ń n i ą c e j p o d ł o d z e , g d y s p i e s z y ł i ś m y d o m o j e g o g a b i n e t u .

- P r z e p r a s z a m - p o w i e d z i a ł e m - a l e s t r a c i ł e m p o c z u c i e c z a s u . - Z e r k n ą ł e m n a z e g a r e k . - O , r a n y , n a p r a w d ę z r o b i ł o s i ę p ó ź n o !

Jasmine posłała mi swój firmowy uśmiech Mony Lizy. Przez te wszystkie miesiące nauczyłem się rozróżniać różne ich odmiany i stwierdziłem, że ma więcej opcji niż moja sekretarka, Sonia, która z kolei wyspecjalizowała się w przeróżnych wersjach okrzyku „Oj!”. Natknęliśmy się na nią właśnie, kiedy skręciliśmy za róg korytarza. Stała w drzwiach mojego nowego gabinetu na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Missisipi.

Kiedy zbliżyliśmy się, zobaczyłem, jak na twarzy Soni pojawiła się radość, gdy jednym spojrzeniem odnotowała moją minę i wyraz uwielbienia w oczach kobiety u mojego boku.

- Spóźni się pan, doktorze Stone - ostrzegła, usiłując zachować pozór służbowo-oficjalnego tonu, co raczej kiepsko jej wychodziło. - Quincy czeka.

- Tak jest - potwierdziłem służbiście i popędziłem do poczekalni.

- Przepraszam - rzuciłem do wuja Jasmine.

- Spokojnie - odparł. - Zdażymy.

Podziękowałem mu uśmiechem, wpadłem do gabinetu i szybko wbiłem się w ten sam garnitur, który miałem na po-grzebie Vanessy.

Zbliżyliśmy się z Quincym do siebie od czasu pewnego wieczoru, kiedy to hojnie raczyliśmy się drinkami. Wyciągnął wtedy zniszczoną teczkę i pokazał mi dokumenty świadczące, że jest moim przyrodnim wujem za sprawą Sędziego oraz matki Vanessy. Dzięki finansowemu wsparciu Sędziego, matka Quincy'ego mogła zapewnić sobie i synowi lepszy standard życia, niż mieli zwykli mieszkańcy Balance Due. Sędzia potajemnie sponsorował również studia Vanessy i Quincy'ego.

Te rewelacje nie zdziwiły mnie tak bardzo, jak zaskoczyły Jasmine.

- Vanessa, twoja babka i ja zdecydowaliśmy, że nie ma powodu obciążać cię nieprzyjemnymi szczegółami - powiedział do niej Quincy, lecz i tak na jej twarzy pojawił się wy-

raz bólu. Widocznie upiory przeszłości zachowały swoją siłę i wizja bogatego białego plantatora, romansującego z czarną kobietą, okazała się trudniejsza do przyjęcia niż sobie wyobrażała.

Te same rodzinne rewelacje, które zbliżyły mnie z Quincym, przez długi czas kładły się cieniem między Jasmine a mną.

Quincy nadal wykłada na Stanowym Uniwersytecie Missisipi Valley, lecz często wpada do Jackson, podobnie jak Jasmine. Tak poukładałem sobie zajęcia, wykłady i kliniczne obowiązki, aby móc spędzać połowę swojego czasu w Greenwood. Kupiłem stary dom przy Cotton Street, niedaleko domu Steve'a La Vere i z zapałem spędzałem tam czas, odnawiając swoją przyszłą siedzibę. Dzieliło ją tylko kilka minut drogi od szpitala, w którym pracował Tyrone, a ja odbywałem niegdyś staż.

- Kto prowadzi? - zapytałem, wybiegając z biura w płaszczu i z krawatem w ręku.

- Wziąłem vana - powiedział Quincy. - Pamiętajcie, że mamy zabrać jeszcze Rexa i Anitę.

Quincy podjechał pod ich dom w Madison, a potem, już w komplecie, skierowaliśmy się na północ drogą 1-55. Jechaliśmy w milczeniu, podziwiając kolory, które wiosna malowała za oknami. Derenie kwitły po lasach obłoczkami białych, nakrapianych różowo kwiatków. Świeże listki pokryły drzewa jasną zielenią, kolorem obietnicy i nadziei.

Nadal nie mogłem uładzić w sobie myśli o Camilli, pogodzić się z jej śmiercią. Przypomniałem sobie swój poranny wykład i zacząłem się zastanawiać, czy Camilla, ta którą znałem i kochałem, została uwięziona we własnym, uszkodzonym mózgu - jakby cały jej psychiczny software, pamięć i osobowość, pozostały nienaruszone - lecz uszkodzony hardware sprawił, że nie miały wyjścia na zewnątrz.

Być może tak samo działo się w przypadku żony Talmadge'a i jej Alzheimerera. Wykład, który wygłosiłem przed są-

dem, rozważającym postawienie zarzutów Braxtonowi i Talmadge'owi, bez wątpienia należał do najlepszych w mo jej karierze, lecz wątpiwości pozostały.

Sąd nakazał przeniesienie Talmadge'a na specjalnie strzeżony oddział w klinice Pacific Hills w Malibu, abym mógł z Flowersem studiować jego przypadek. Doborowa stawka adwokatów Braxtona doprowadziła do orzeczenia o jego tymczasowej niepoczytalności, dzięki czemu mógł żyć prawie jak wolny człowiek, nie licząc nakazanego przez sąd postępowania medycznego.

Talmadge żył dłużej niż ktokolwiek się spodziewał, aż wreszcie wykończył go nowotwór.

Notatki Harpera przejęło biuro Laury LaHaye, przez co straciliśmy dostęp do nich. Fiasko Xantaeusa ściągnęło na nią kłopoty, lecz nie zniszczyło kariery ani jej, ani Grega McGoverna oraz zespołu produkującego ów neurotrop w ramach Defense Therapeutics. Nawet kiedy zabroniono stosowania specyfiku w formie plastrów aplikujących, grupa kontynuowała badania, gdyż Pentagon nie zamierzał zrezygnować z tej formy.

Dan Gabriel wrócił do filii Politechniki Kalifornijskiej w San Luis Obispo i zaczął studiować biologię morską. W wolnym czasie działał ochotniczo na rzecz organizacji, którą sam założył, a której zadaniem jest ostrzeganie społeczeństwa o zagrożeniach, jakie niesie ze sobą postać tego, który stał się znany pod mianem „chemicznego żołnierza”. Niestety, mało kto raczył zauważyć istnienie tej instytucji - a szkoda, gdyż można przypuszczać, że pewnego dnia jej racje staną się decydujące.

Jack Kilgore awansował do drugiej generalskiej gwiazdki i dorobił się własnego biurka w Pentagonie, które szybko mu się znudziło. Przeszedł więc na wcześniejszą emeryturę i kupił sobie mieszkalną barkę na Rogue River w Oregonie. Co do Rexa, to za pośrednictwem paru prawniczych kruczków Jasmine, których istoty nigdy nie zrozumieć oraz paru

telefonów Kilgore'a, wykonanych przed jego odejściem z wojska, udało mu się wrócić do absolutnie legalnego życia, które dogłębnie go nudziło.

Te same telefony, wspomagane przez prawniczą gimnastykę, doprowadziły do urzędowego trzęsienia ziemi we władzach w Departamencie Bezpieczeństwa oraz do paru procesów przed sądami wojskowymi. To, a także świadectwa ludzi, takich jak John Myers, oraz filmowane przez kamery działania ochrony Braxtona, które Tyrone nagrał w czasie akcji w Napa, przyniosły oficjalnie rozgrzeszenie dla działań moich i Jasmine, które przybrało formę przeprosin oraz całkowitego oczyszczenia z zarzutów.

Rex porzucił zajęcie przedsiębiorcy budowlanego. Korzystając ze swojego nowego statusu, otrzymał federalne pozwolenie na handel bronią i otworzył wysoce zyskowną strzelnicę, położoną nad brzegiem sztucznego akwenu imienia Rossa Barnetta, gdzie goście mogą wyżyć się, prując ze wszystkich typów broni maszynowej. Szczególnym powodzeniem cieszy się elektryczne, 20-milimetrowe działko lotnicze Gadinga.

Ja sam przy każdej okazji noszę T-shirt od niego z napisem „Po co walc, skoro jest rock and roll?”. A Rex nie ustaje w pomysłach i co chwila zaskakuje swoją klientelę czymś nowym i jeszcze bardziej odjazdowym, jak wysadzanie w powietrze starych aut i ciężarówek, albo show z udziałem komandosów z sił specjalnych. Wiele czasu poświęca też ostatnio na udowadnianie, że nie miał podejrzanej przeszłości. Nie jestem tego zbytnio pewien, ale ponieważ Rex nic mi na ten temat nie mówi, nie pytam.

Pomógł mi również, gdy postanowiłem zrekompensować straty ludziom, którym ukradliśmy sprzęt na potrzeby naszej akcji - jak pokrycie kosztów remontu starego helikoptera i ładna sumka dla przerażonego latynoskiego kierowcy, któremu zabraliśmy ciężarówkę z winem. Tego ostatniego przeprosiłem osobiście.

Jazda pięćdziesiątką piątką zawsze była nudna, więc przymknąwszy oczy zanurzyłem się w rozmyślaniach, aż wpadłem w rodzaj chwilowego transu i jeszcze raz przyśnił mi się sen, który kiedyś starałem się zapamiętać. Na początku zanurzyłem się w dżunglę barwnych lian i węzłów, i mknąłem przez migodiwą matrycę, która drgała, falowała i tańczyła w czasie każdym swoim zapętleniem, każdą linią. Zwłaszcza olśniewające były owe węzły, splatające i rozplatające się nawzajem w coraz to nowych zawiklaniach, a potem przygasające na moment, gdy rozwijały się z nich nowe linie i pędziły w przestrzeń. Niektóre z cząstek tworzyły linie pojedyncze i samotne; inne pojawiały się nagle; jeszcze inne znikwały, a część splatała się w ciągi, jak potężne liny nośne wiszącego mostu. Wyczuwałem, że były to linie świata każdego kwantu, jaki kiedykolwiek powstał. W fizyce kwantowej każda cząstka ma swoją linię świata w czasoprzestrzeni, obrazującą doświadczalny upływ czasu. Nawet ta, która pozostaje w spoczynku, również mknie przez czterowymiarowe kontinuum czasowe.

Owe linie, które pojawiają się i znikają, reprezentują naukowo potwierdzony fenomen cząstek, które przeskakują z istnienia w nieistnienie, nawet w próżni.

Intuicyjnie wyczuwałem, że te sploty są rzeczami, obiektami, zwierzętami, w których materia trwa w stanie skupienia. Niektóre ze splotów wyrzucały z siebie potężną masę węzłów, która płonęła jasno, powodując zdumiewające i rozległe zmiany w matrycy. Popatrzyłem za siebie i zobaczyłem linie, które wysnuwały się ze mnie, znacząc moją drogę jak kilwater statku i mącąc matrycę fraktalnymi wirami.

Naukowcy, posługujący się komputerami kwantowymi potrafią dokonywać trudnych obliczeń, splatając w specyficzny sposób linie świata kwantów. Ten trik wywodzi się z algebry von Neumanna, a pierwszy opisał go matematyk z Berkeley, Vaughn Jones w 1987 roku. Ideę kontynuował

zwolennik teorii strun, Edward Whitten z Princeton oraz naukowcy z Microsoft Research - Michael Freedman i Aleksiej Kitajew, którzy stwierdzili, że jeżeli uda się spleść ze sobą linie świata cząsteczek subatomowych, mogą posłużyć do kwantowych obliczeń; na dodatek okazały się one niezwykle stabilne, co rozwiązało wielki problem dekoherencji i zwolniło fizyków z konieczności dokonywania doświadczeń w nieprawdopodobnie niskich temperaturach, bliskich temperaturze płynnego helu.

Nagle doznałem oświecenia i zrozumiałem, że węzły są myślami i pamięcią, zaś migotliwa matryca - czasoprzestrzenną. Wszystkie linie wywołują zmiany w czasoprzestrzeni, lecz największe z nich są zasługą węzłów.

Coś wstrząsnęło mną.

Linie i matryca znikły.

Walczyłem, aby trwało moje ulotne zrozumienie: kwantowe węzły ze swoją stabilnością wyjaśniały sposób, w jaki komórki mózgowie miałyby utrzymywać kwantową ciągłość, niezbędną dla istnienia świadomości; to tłumaczyło również, jak ściśle związani jesteśmy z czasoprzestrzenią. Miałem to!

Jasmine potrząsała mną delikatnie, abym się obudził. Otworzyłem oczy i moment oświecenia przeminął. Znów, pomyślałem z żalem.

- Co się stało? - zapytała Jasmine, wyczuwając mój stan.

- Znów ten wielki sen.

- Zapamiętałeś go?

Pokręciłem przecząco głową.

- Nie martw się, jeszcze ci się przyśni.

Przytuliła mnie, kiedy Quincy skręcił na cmentarz w Itta Bena. Przed nami pojawił się znany mi stary samochód, ze starym pastorem za kierownicą - tym samym, który pomagał mi pochować mamę. W przelocie zobaczyłem sztuczne kwiaty, które zostawiłem na jej grobie podczas poprzedniej wizyty. Z niewyjaśnionych przyczyn teraz pojawiła się w mo-

jej pamięci dużo wyraźniej niż poprzednio. Wspomnienia stały się dla mnie bardziej ważne od chwili, kiedy uznałem słuszność słów Camilli o „zachowaniu wspomnień”. W końcu doszedłem go głębokiej, emocjonalnej akceptacji faktu, iż jesteśmy sumą naszych wspomnień i przeżyć; jeśli uszanujemy je, będziemy szanować siebie i swoje życie.

Quincy zaparkował wóz na poboczu szutrowej alei.

Trwałem, owładnięty obsesją pamięci. Znowu rozważałem teorię Penrose'a i Hameroffa oraz inne teorie, twierdzące, że świadomość wywiera stały wpływ na czasoprzestrzeń. Jeżeli rzeczywiście tak jest, nasze wspomnienia permanentnie się tam osadzają.

- To miało coś wspólnego z pamięcią - powiedziałem do Jasmine. - Wiesz, ten sen.

Co by było, gdyby wierna pamięć zdarzeń zachowała się w czasoprzestrzeni jak coś stałego, do czego moglibyśmy sięgać naszymi niedoskonałymi narzędziami, pchani ułomną ludzką potrzebą przywołania rzeczy minionych? Być może, jeśli czasoprzestrzeń jest twarzą Boga, wspomnienia, które tam zdeponowaliśmy, są niebem, a może naszymi duszami. A może i tym, i tym.

- Zawsze zastanawiałem się, czemu tak bardzo staramy się pamiętać - powiedziałem. - Myślę, że pamięć jest ważna. Bardzo ważna.

- J a k ważna? - zapytała Jasmine.

Powoli pokręciłem głową.

- Nie mam pojęcia. Po prostu w to wierzę. Ale nie pytaj mnie, na jakiej zasadzie, bo nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, obrazujących moje odczucia.

Wyszliśmy z wozu.

Włożyłem płaszcz i podszedłem do otwartego grobu. W stosownej odległości czekali ci sami dwaj grabarze. Gdy stanęliśmy nad grobem, pastor rozpoczął nabożeństwo. Zerknął na mnie i na Jasmine i odnotował uśmiechem naszą obecność.

- Pragnę zacząć od przesłania Heleny Keller - powiedział stary kapłan. Z zadowoleniem zauważyłem, że musiał wreszcie odwiedzić dermatologa, bo rakowe zmiany na jego twarzy znikły.

- Pani Thompson - wskazał ruchem głowy Jasmine - była uprzejma dostarczyć mi stosowny cytat. - Zamrugał załzawionymi oczami; dłonie, trzymające modlitewnik, drżały.

- Ów cytat, którego odtąd używać będę przy każdej okazji, brzmi: „Tego, co raz pokochaliśmy i czym się cieszyliśmy, nigdy nie stracimy”.

- Amen - powiedziałem, nie próbując powstrzymać łez.

POSŁOWIE

Dr RICHARD A. GABRIEL

(Emerytowany pułkownik armii Stanów Zjednoczonych)

Autor *No More Heroes: Madness i Psychiatry in War*

(*Nigdy luięcej bohaterów; szaleństwo i psychiatria w czasie wojny*)

Fascynująca, najnowsza książka Lewisa Perdue - *Zabójca doskonały* - stanowi pierwszą próbę posłużenia się literaturą popularną w celu zwrócenia uwagi opinii publicznej na ważny problem, z jakim stykają się nowoczesne armie, a zwłaszcza armia Stanów Zjednoczonych, obecnie zaangażowana w Irak.

Intensywność współczesnych działań wojennych, a szczególnie bezpośredniej walki miejskiej, którą zmuszone jest podejmować wojsko, generuje wysoki poziom lęku i stresu. Z tego powodu większość żołnierzy (ponad 80 procent!) nie strzela ze swojej broni i tym samym nie czyni wysiłków, by przemoc naturalny opór wobec zabijania innych ludzkich istot. Wraz z upływem czasu przedłużający się lęk oraz sprzeciw wobec zabijania zwiększają odsetek ostrych zaburzeń psychicznych, która zagrażają zdolności bojowej. Militarną próbą rozwiązania tego problemu stało się poszukiwanie specjalnych środków farmakologicznych. Te sposoby oraz zagrożenia, jakie przynoszą ludzkiej naturze żołnierzy, stały się istotnymi wątkami książki Lewisa Perdue, który w ten sposób pragnie zapoznać z problemem amerykańską opinię publiczną.

Idea kontrolowania poziomu lęku u żołnierzy z pomocą środków chemicznych tak, aby mogli zabijać bardziej skutecznie, jest bardzo stara i narodziła się prawdopodobnie na dwa tysiące lat przed powstaniem armii rzymskiej, kiedy

to plemiona Kojak i Wiros z terenów dzisiejszej Centralnej Rosji nauczyły się pozyskiwać bardzo silnie działającą odmianę amfetaminy z grzybów *Amanita muscaria*. Wojownicy pod wpływem tego narkotyku stawali się niezwykle odporni na ból i zmęczenie, przy równoczesnym wzroście sił fizycznych. W trzynastym wieku krzyżowcy zwalczali muzułmańskich fanatycznych skrytobójców, zwanych asasinami, którzy przed walką odurzali się haszyszem, aby zredukować lęk i wzmocnić odporność na ból. Hiszpańscy konkwistadorzy Franciszka Pizzaro walczyli z inkaskimi wojownikami, którzy w tym samym celu żuli przed bitwą liście koki, zawierające kokainę. Od momentu powstania brytyjska marynarka serwowała swoim marynarzom rum, nim przystąpili do boju, zaś armia rosyjska, a potem radziecka w czasie obu wojen światowych zaopatrywała swoich żołnierzy w pewną liczbę chemicznych środków pochodzenia roślinnego (jak waleriana), aby zwiększyć ich wartość bojową. W amerykańskich oddziałach w Wietnamie w powszechnym użyciu była marihuana, alkohol i twarde narkotyki, jak heroina, które pomagały żołnierzom przetrwać piekło tej wojny.

Jednak pomysły, jakie ma w tej dziedzinie współczesna armia, wykraczają daleko poza tradycje przeszłości. Biologia i chemia połączyły swoje siły, tworząc nową naukę zwaną biochemią. Militarne ośrodki badawcze w Stanach, w Rosji i w Izraelu, uzbrojone w nową wiedzę, ustanowiły sobie za cel pozbawienie żołnierzy lęku, aby uczynić z nich bardziej sprawne maszyny do zabijania. Kolejna rewolucja zwiększająca militarną potęgę nie rozegra się w dziedzinie technologii nowych broni, lecz w dziedzinie biochemii, która umożliwi żołnierzom lepsze przystosowanie do warunków współczesnych działań bojowych. Jeżeli badania zostaną uwieńczone powodzeniem, co jest praktycznie pewne, zniknie strach przed walką i zabijaniem, a wraz z nim - humanizm człowieka i jego dusza. Chemiczny żołnierz stanie się przerażająco realnym bytem.

Narodziny chemicznego żołnierza zmieniają nie tylko istotę wojny i jej intensywność, lecz także samą psychiczną naturę człowieka. Środek chemiczny, który zapobiegnie pojawieniu się strachu, pozostawiając nienaruszoną czujność i gotowość do walki, wytworzy nowego człowieka - takiego, który będzie zdolny zachować poznawczy element swoich emocji, lecz straci zdolność do ich odczuwania. Wszystkie emocje, nie tylko lęk, bazują na niepokoju. Wystarczy usunąć czynnik niepokoju, aby zależności pomiędzy poznawczymi a fizycznymi aspektami ludzkich emocji znikły. Wraz z tym ulegnie zniszczeniu to, co nazywamy duszą. Pozostanie prawdziwie socjopatyczna osobowość kogoś, kto dokładnie zdaje sobie sprawę, co czyni drugiej osobie, lecz nie odczuwa lub nie potrafi ocenić konsekwencji własnych działań wobec niej. Takie osobowości zwykle nie potrafią powstrzymać się przed czynem nawet jeżeli wiedzą (choć nie czują tego!), jakie mogą być jego konsekwencje. Tacy ludzie nie potrafią być wobec kogoś lojalni; są bardzo egoistyczni i niezdolni do poczucia winy, wyrzutów sumienia czy oceny wyników swoich działań. Osobowość socjopatyczna operuje jedynie w poznawczej sferze swoich emocji i nie jest zdolna do empatii. Chemiczny żołnierz będzie prawdziwym socjopatą.

Zniesienie uczucia strachu i naturalnego sprzeciwu wobec zabijania innych ludzi odmieni naturę człowieka i naturę wojny; przy czym zostanie ono osiągnięte w prosty sposób, poprzez zwiększenie „potencjału” osobnika w mundurze. Przerażony, pełen wątpliwości żołnierz jest kiepskim zabójcą. Badania pokazały, że najwyżej 15 do 20 procent żołnierzy jest zdolnych strzelać do innych żołnierzy. Gdyby jednak wprowadzono środki kontrolowania strachu i awersji do zabijania, działające skutecznie, powiedzmy, w 75 procentach przypadków, wówczas zdolność żołnierzy do zabijania wroga w walce wzrosłaby o całe 400 procent! Podobnie wzrosłaby ta zdolność wśród załóg, obsługujących różne rodzaje broni. Ilość zaburzeń psychicznych zmalałaby

znacznie, jednak kosztem lawinowo wzrastającej statystyki rannych i zabitych po obu stronach.

W wojnie chemicznych żołnierzy jednostki bojowe raz zaangażowawszy się w walkę, nie byłyby w stanie wycofać się z niej. We wcześniejszych bitwach obie strony usiłowały gościć się ze śmiercią dotąd, dokąd strach i wyczerpanie nie złamały ducha żołnierzy - aż w rezultacie któraś ze stron rejterowała lub poddawała się. Strach i awersja przed zabijaniem nakładają znaczne ograniczenia na zdolność oddziałów wojskowych do ataku i obrony. Lecz chemiczny żołnierz będzie walczył bez lęku i uprzedzeń, które ograniczałyby jego zdolność do zabijania. Bitwy raz rozpoczęte trwałyby, dopóki jedna ze stron nie zostałaby wybita do nogi lub w całości otrzymałaby rany. Bez lęku i empatii, pozwalających przerwać walkę zanim dojdzie do całkowitej zagłady, żołnierze będą walczyli do ostatniej kropli krwi, gdyż zabraknie jakiegokolwiek humanistycznej racji, nakazującej zakończyć bój. Bitwy totalnej zagłady, dotąd będące rzadkością, staną się normą.

Nowe siły, uwolnione od strachu, awersji do zabijania i psychicznych załamaniań, które dotąd zmuszały armie do poddania się, będą walczyć do ostatniego żołnierza. To zmusi atakujących do zabicia wszystkich obrońców, albo vice versa, w czystym akcie taktycznej rzezi. Obrońcy nie będą w stanie się poddać, zaś atakujący będą niezdolni przyjąć aktu poddania, gdyż powody poddania się - strach przed śmiercią, niezgoda na totalną rzeź czy załamanie psychiczne - nie będą już dłużej dręczyły chemicznie zmienionych żołnierskich osobowości. Empatia jednego człowieka wobec drugiego zniknie, a wraz z nią nawet odruch oszczędzania rannych.

Dla chemicznych żołnierzy dawne wojskowe cnoty staną się niefunkcjonalne i niezrozumiałe. Zalety takie jak odwaga, bojowa brawura, wytrzymałość i poświęcenie dla innych znikną z militarnego słownika. Bohaterami zostaną ci, którzy potrafią przemóc albo kontrolować strach w stopniu da-

leko wykraczającym poza granice, wyznaczone dla normalnych ludzi. Dzielni są ci, którzy potrafią pokonać strach. Poświęcenie się dla towarzysza walki ma sens jedynie wtedy, gdy ktoś boi się śmierci i akceptuje ten stan, gdyż pozwala on przeżyć jemu i innym. Lecz jeśli strach przed śmiercią zostanie wyeliminowany przez środki chemiczne, nie pozostanie nic, nad czym chemiczny żołnierz mógłby zatriumfować. Normy zwykłych, zdrowych psychicznie ludzi ulegną moralnej erozji i żołnierze nie będą już dłużej umierać za sprawę, które dotąd mieściły się w zrozumiałym czy nacechowanym znaczeniu kanonie ludzkich wartości. Od tej pory będą po prostu umierać i nawet ich kompani nie będą zdolni opłakiwać ich śmierci.

Moralny paradoks chemicznego żołnierza polega na tym, że aby efektywnie funkcjonować na współczesnym polu bitwy, jego psychika musiała zostać przebudowana tak, że w myśl dotychczasowych kanonów zostałaby uznana za chorą! Trzeba było chemicznym sposobem zmienić go w osobnika socjopatycznego w klasycznym, klinicznym sensie tego pojęcia. Przyszłe pola bitew będą świadkami starcia prawdziwie ignoranckich armii - ignorujących swoje własne emocje, a nawet powody, dla których walczą. Zaś sensu samej walki nie da się wyjaśnić w normalnych ludzkich terminach. Kiedy chemiczny dzin, raz zostanie wypuszczony z butelki, przedmiotem chemicznych manipulacji może stać się całe spektrum umysłowych i fizycznych osiągnięć człowieka. Badania nad optymalizacją wartości bojowej ludzkich jednostek będą coraz dalej przesuwając granice samego humanizmu. Takie „sterowanie ludzkim potencjałem” już zdążyło się stać elementem rzeczywistości, a zasoby niezbędnej wiedzy technologicznej zwiększają się każdego dnia. Anonimowi, mający jak najlepsze intencje naukowcy z militaryjnych ośrodków doświadczalnych, szturmują granice swojej dyscypliny, rzadko - o ile w ogóle - myśląc o konsekwencjach.

Może przyjdzie nam rzucić się z głową w długą, ciemną, chemiczną noc, od której nie ma odwrotu - chyba, że amerykańska opinia publiczna, media oraz autorytety kształtujące tę opinię, uświadomią sobie wagę problemu i postanowią mu zapobiec.

Książka *Zabójca doskonały* Lewisa Perdue jest jednym ze sposobów powiadomienia szerszej publiczności o całym problemie i wymuszenia decyzji o rozwiązaniu go. Dzięki tej książce otworzyła się szansa, aby duża część Amerykanów zdała sobie sprawę z wagi zagadnienia.

DR RICHARD A. GABRIEL

Richard A. Gabriel, zanim przeszedł na emeryturę i poświęcił się całkowicie pisaniu, pracował jako profesor nauk politycznych i historii na Wydziale Narodowego Bezpieczeństwa i Strategii Stanów Zjednoczonych, uczelni wojskowej Army War College w Carlisle, w Pensylwanii. Ponadto prowadził gościnnie wykłady i seminaria na licznych innych uczelniach wojskowych i cywilnych.

Doktor Gabriel jest autorem trzydziestu sześciu książek i pięćdziesięciu ośmiu artykułów, poruszających rozległą tematykę, dotyczącą nauk politycznych, historii starożytnej, historii wojskowości, antropologii, psychologii, psychiatrii, socjologii, etyki, filozofii oraz historii teologii. Wiele jego prac zostało przetłumaczonych na języki obce; inne stały się inspiracją dla programów telewizyjnych, produkowanych przez BBC oraz Discovery i kanały edukacyjne.

Wśród napisanych przez niego książek znajdują się tak ważne pozycje, jak *History of Military Medicine* (2 tomy, 1992) - pierwsze tak wyczerpujące potraktowanie tematu, *Crisis in Command* (1978), pierwsze ważne opracowanie amerykańskiej wojny w Wietnamie, *The New Red Legions* (2 tomy, 1980) i *The Mind of the Soviet Fighting*

Man (1984), pierwsze prace o rosyjskich żołnierzach oparte na wywiadach czy *Serve With Honor* (1981) - pierwszy traktat o etyce wojskowej napisany przez Amerykanina w XX wieku; książka, która stała się podstawową lekturą na wojskowych uczelniach amerykańskich oraz na kursach dyplomatycznych, *Soviet Military Psychiatry* (1985) i *Operation Peace for Galilee: The Israeli-PLO War in Lebanon* (1984), pierwsze wojskowe analizy o konflikcie w Libanie.

Profesor Gabriel prowadzi liczne wykłady na zaproszenie placówek rządowych, wojskowych oraz cywilnych - jak: Wojskowa Szkoła Wywiadu, Centrum Studiów Wywiadowczych CIA czy Departament Psychiatrii Wojskowej. Wykładał w Kanadzie, w Niemczech Zachodnich, w Chinach i w Izraelu. Był przesłuchiwany jako ekspert przez komisje senackie i występował we wszystkich najważniejszych amerykańskich programach telewizyjnych - CBS, NBC, CNN i ABC.

Do najnowszych prac Gabriela należą: *The Great Battles of Antiquity* (1994), *A Short History of War* (1992), *From Sumer to Rome: The Military Capabilities of Ancient Armies* (1991), *The Culture of War* (1990), *The Painful Field: The Psychiatric Dimension of Modern War* (1988), *The Great Captains of Antiquity* (2000), *Gods of Our Fathers: The Memory of Egypt in Judaism and Christianity* (2001) i *Great Armies of Antiquity* (2002). Ponadto doktor Gabriel jest autorem paru historycznych powieści. Do jego ostatnich dzieł należą: *Warrior Pharaoh* (2000), *Sebastian's Cross* (2001), *The Lion of the Sun* (2003), *The Military History of Ancient Israel* (2003), *Subotai the Valiant: Genghis Khan's Greatest General* (2004) oraz *Ancient Empires at War* (3 tomy, 2004).

ZAŁĄCZNIK I

Stacja telewizyjna WLBT - zapis wywiadu

Audycja: *Southern Sideboards*

Prowadzący: Angela Corbeil

TEMATYKA: WOLNA WOLA I PROCESY BRAXTONA/TALMADGE'A

GOŚCIE: Dr Brad Stone, profesor, Uniwersytet Missisipi,
Wydział Medycyny

Pani Jasmine Thompson, przewodnicząca

i dyrektor Adwokackiej Fundacji Sprawiedliwości dla Missisipi

ZAPIS WYWIADU

WLBT, Kanał 3

Jackson, Missisipi

2003, wszystkie prawa zastrzeżone

CORBEIL: Naszymi gośćmi w tym odcinku *Southern Sideboards* są: doktor Brad Stone, profesor Wydziału Medycyny Uniwersytetu Missisipi oraz pani Jasmine Thompson, przewodnicząca i dyrektor Adwokackiej Fundacji Sprawiedliwości dla Missisipi.

THOMPSON: Witam państwa.

STONE: Dzień dobry.

CORBEIL: Zanim zaczniemy, muszę powiedzieć naszym widzom, że ten odcinek ma charakter specjalny, z dwóch względów - po pierwsze jest pierwszym wywiadem, jaki doktor Stone i pani Thompson udzielili po ogłoszeniu epokowego wyroku sądowego w sprawie Darryla Talmadge'a i Clarka Braxtona. Bardzo się cieszę, że mam zaszczyt jako pierwsza przeprowadzić rozmowę z nimi.

Po drugie dla mnie to spotkanie ma wartość osobistą. Przed laty studiowałam na Uniwersytecie Kalifornijskim

w Los Angeles, na wydziale biologii i miałam szczęście uczyć na seminarium doktora Stone'a. W tym czasie pracowałam jako praktykantka w Los Angeles, w telewizji PBS, w dziale programów edukacyjnych, potem dla KCET, aż wreszcie przeszłam do tej samej stacji telewizyjnej, której helikoptery pilotowała Jasmine, kiedy studiowała na konkurencyjnym Uniwersytecie Południowej Kalifornii.

STONE: Pamiętam twoje asertywne pytania na zajęciach.

CORBEIL: Mam nadzieję, że nie zostanę dzisiaj odpytana!

STONE: Ależ skąd.

CORBEIL: Cieszę się. Zaczniemy rozmowę od pańskiego kontrowersyjnego stwierdzenia, mówiącego, że wolna wola istnieje, a świadomość posiada wymiar realny, wychodzący ponad byt materialny i biologiczny. Wywołał pan konsternację u wielu czołowych naukowców.

STONE: Ludzie popadają w konsternację, kiedy ktoś zanieguje ich ukochane idee. Przywiązują się niewolniczo do tego czy innego twierdzenia, mając gdzieś prawdę. Ups, czy zrobicie w tym miejscu bipnięcie?

CORBEIL: Nie w czasach MTV i rapu!

STONE: Wcale nie wiem, czy to będzie dobre.

CORBEIL: Kontynuujmy temat. A zatem wolna wola. Co jest takiego niepokojącego w pana stanowisku?

STONE: Cóż... Jasne wydaje się chyba, że ustawiczna wiara w przestarzałą naukę - w klasyczną fizykę - pozwala redukcjonistom oraz behawiorystom na stwierdzenie, że świadomość jest przypadkowym złudzeniem, wyprodukowanym przez skupisko materii pod naszą czaszką, co produkuje kolejną iluzję - złudzenie wolnej woli.

CORBEIL: Dlaczego jest to takie ważne?

STONE: Jest ważne, gdyż w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci społeczeństwo pozwoliło, aby nasz chory system sprawiedliwości kształtował jego pogląd na świat. I...

CORBEIL: Dlaczego tak się stało?

STONE: Ponieważ pojęcie osobistej odpowiedzialności uległo erozji. Skoro bowiem jesteśmy mięśniowymi automatami, jak ktokolwiek może być winny czegokolwiek?

CORBEIL: Oni argumentują, że nauka stoi po ich stronie.

STONE: Wszyscy tak argumentują. Problem w tym, że nauka, którą uprawiają była nowoczesna w epoce pary.

CORBEIL: To nie brzmi zbyt przyjemnie.

STONE: Bo prawda bywa nieprzyjemna. Proszę zrozumieć, to nie jest zwykła, sucha, filozoficzna debata. Wolna wola trafia do samego serca tego, co zowie się humanizmem i rządzi każdą naszą interakcją z innymi ludźmi, czy to na gruncie prawnym, czy osobistym. Idea, w myśl której potrafimy odróżnić dobro od zła i wybierać pomiędzy różnymi możliwościami, stanowi fundament ludzkiego społeczeństwa.

CORBEIL: Ale to nie brak wolnej woli stał się argumentem w procesie generała Braxtona, oskarżonego o zabójstwa i lincz, dokonany z zimną krwią w Delcie? Pan i pani Thompson przekonaliście sąd argumentem, że coś takiego jak wolna wola nie istnieje w ogóle.

THOMPSON: Konkretnie przekonywaliśmy sąd, że wolna wola istnieje, lecz ci dwaj mężczyźni doznali fizycznych uszkodzeń, które uniemożliwiły im wyrażenie wolnej woli.

STONE: Jeżeli pomyślimy o czasoprzestrzeni jako najdoskonalszym komputerze, totalnym procesorze wszechświata, świadomość i wolna wola stanowiłyby jego software. Konsekwentnie pomyślimy o naszym mózgu oraz o jego strukturze utkanej z DNA i modyfikowanej przez środowisko, wypadki i inne zjawiska fizyczne -jako o hardware, czymś w rodzaju urządzenia wejścia-wyjścia naszego osobistego komputera, drukarki albo monitora.

CORBEIL: Słowa „totalny procesor wszechświata” brzmią jak eufemistyczne określenie Boga. Czy nie jest tak, że przez wieki, jeśli tylko ludzie nie potrafili sobie czegoś wytłu-

maczyć, odwoływali się do jakiegoś rodzaju boskości - objawiającej się na przykład poprzez zaćmienia słońca, trzęsienia ziemi, pory roku, urodzaje. Z czasem wszystkie te zjawiska znalazły naukowe wyjaśnienia. Dlaczego więc mieszać w to Boga, skoro wyrzuciliśmy go z całej reszty?

STONE: A dlaczego nie mieszać w to Boga? Można zrozumieć, że długotrwałe prześladowania nauki przez Watykan oraz przez inne systemy religijne sprawiły, iż tak wielu naukowców ma nastawienie antyreligijne. Ja również, ale wierzę w Boga i w naukę tak samo.

CORBEIL: Ale...

STONE: Proszę posłuchać, fizyka kwantowa udowadnia, że to, co postrzegamy jako „substancję” na ostatecznym poziomie składa się z nicości czasoprzestrzeni. Dostrzegam tu Boga, dokładnie na skrzyżowaniu nieskończoności z nicością.

CORBEIL: A ja widzę nierozwiązany problem naukowy.

STONE: Plus na pani korzyść. Wybrała pani wiarę w naukę, a nie w Boga. Nie jestem w stanie udowodnić, że pani się myli. Mogę tylko prosić, aby była pani dla mnie wyrozumiała.

CORBEIL: Uczciwe postawienie sprawy.

STONE: Okay, wróćmy do pierwotnego pytania. Może pani wydedukować z mojej komputerowej analogii, że nawet jeśli procesor działa bez zarzutu, a software jest zdrowy i wolny od wirusów, obserwuje się dziwne zachowania w urządzeniu wejście-wyjście.

CORBEIL: Jak w takim razie może pojawić się wolna wola, skoro hardware jest uszkodzony? Czy to oznacza, że nie istnieje wolna wola?

STONE: W niektórych przypadkach hardware zostaje uszkodzony tak, że nie da się już naprawić. Lecz aktualne eksperymenty z behawioralną terapią kognitywną wykazują, że jakkolwiek towar, który oferują nam genetyka i środowisko, zawarty w naszych czaszkach, jest do pewnego

stopnia wadliwy - w większości przypadków udaje się nam myślowo przepracować problemy. Podobnie bywa, jak sądzę, w przypadku tak zwanego efektu placebo, kiedy to pigułka o obojętnym składzie leczy poważne choroby. Jest to przykład wiary - czegoś niematerialnego, co oddziałuje na procesy fizyczne. Fizyka klasyczna twierdzi, że coś takiego nie może się zdarzyć. Ja jednak wierzę w fizykę kwantową i jej mechanizmy, które usprawiedliwiają takie zjawiska.

CORBEIL: To bardzo interesujące, ale czym tak naprawdę pańskie podejście różni się od redukcjonizmu? W końcu wykazaliście w sądzie, że ci chłopcy nie posiadają wolnej woli.

THOMPSON: W sądzie miałam wykazać zmniejszoną zdolność przejawiania wolnej woli. Wykazałam, a profesor Stone naukowo udowodnił istnienie niewidzialnego upośledzenie fizycznego.

CORBEIL: Ale jak daleko można się w tym posunąć? Czy jest teoretycznie możliwe, że prawie każde przestępstwo, od kradzieży sklepowej do masowego mordu, da się uniewinnić z użyciem tego samego argumentu?

THOMPSON: Istnieje ogromna różnica pomiędzy uniewinnieniem a wyjaśnieniem. Pierwsze zakłada, że przestępca ma odejść wolno. Drugie powinno skłonić nas do ponownego przemyślenia sprawy traktowania tych, którzy popełnili zbrodnię.

STONE: Społeczeństwo ma prawo do chronienia siebie. Lecz prawdziwy problem polega na rozstrzygnięciu, czy powinniśmy odmiennie traktować ludzi winnych tej samej zbrodni tylko dlatego, że jedni mają fizyczny - widoczny i stwierdzamy - defekt mózgu, a inni nie.

CORBEIL: Tego tematu dotyczy wielka narodowa debata. Myśl, że ktoś taki jak Braxton mógłby wtopić się w społeczeństwo zaszokowała ludzi i skłoniła ich do poważnego zastanowienia. Czy więc Braxton i Talmadge byli na-

prawdę winni, czy nie? Czy Braxton jest rzeczywiście szalony, czy wywinął się sprawiedliwości, bo posiada majątek?

THOMPSON: Odpowiedź na pierwsze dwie części pani pytania brzmi „tak”, podobnie zresztą jak na ostatnie. Pomimo to wierzę, że bez względu na pytania, które pojawiają się w kontekście Braxtona i Talmadge'a, kwestia nie dotyczy stwierdzenia, czy popełnili swoje zbrodnie, czy nie. Należy raczej postawić pytanie, czy działali najlepiej jak mogli pomimo uszkodzonego hardware'u. Oraz pytanie, jak system prawny powinien ich potraktować.

CORBEIL: Dziękuję państwu serdecznie za przybycie. A teraz przechodzimy do następnego tematu, dotyczącego kariery i sukcesów. Tym razem o manikiurze i jego wpływie na nasze życie.

ZAŁĄCZNIK II

PROFESOR
BRADFORD STONE

Konspekt wykładu

Wydział Medycyny Uniwersytetu Missisipi

Badania nad świadomością 532:

Ciemna energia i błędy w fizyce kwantowej

Zasada nieoznaczoności Heisenberga głosi, że akt obserwacji danego układu na poziomie kwantowym zmienia sam układ.

Oznacza to, że nie możemy poznać precyzyjnie stanu żadnego układu ani cząsteczki sprzed momentu naszej obserwacji. Oczywiście analogiczna sytuacja zachodzi podczas badań nad świadomością, ponieważ każda próba poznania jednostkowej świadomości przekształca ową świadomość.

Pamiętajcie o Heisenbergu i o kwantowym paradoksie, kiedy rozważacie zawile i naciągane matematyczne próby pogodzenia aspektu korpuskularnego i falowego, z których najsztywniejsze i najbardziej naciągane jest równanie Schrodingera na zanik funkcji falowej.

To, co możemy zaobserwować z zachowania na poziomie kwantowym cząsteczek i fal, przechodzi przez toporne filtry eksperymentów, jakie obmyślamy dla ich zbadania. Najogólniej rzecz biorąc oznacza to, że nasze zmysły i nasz sposób postrzegania świata są takiej natury, że nie potrafimy bezpośrednio obserwować naszych eksperymentów. Widzimy jedynie ich rezultaty i skazani jesteśmy na interpretowanie ich najlepiej jak potrafimy. To zaś znaczy, że w istocie nie możemy niczego p o z n a ć na poziomie kwantowym. Możemy

my co najwyżej interpretować pewne niebezpośrednie wyniki obserwacji, dostarczane przez doświadczenie.

I właśnie w tym miejscu nauka zawodzi, a równanie Schroedingera dramatycznie traci na znaczeniu.

Stąd płynie wniosek, że dualizm korpuskularno-falowy i zawile narzędzia matematyczne potrzebne do jego przewyciężenia są jedynie wytworami fałszywego zinterpretowania błędnie zaprojektowanych eksperymentów.

[Rysunek 1. na tablicy: okrąg, przedstawione doświadczenie, według którego światło wydaje się składać z cząstek.]

[Rysunek 2. na tablicy: okrąg, inne doświadczenie, w którym światło wygląda jak fala.]

Przeprowadzając identyczne doświadczenie z elektronami otrzymujemy taki sam rezultat, co prowadzi nas do konkluzji, że światło może oddziaływać jak cząstka, którą uważamy za materię, natomiast materia - elektron - może zachowywać się jak fala świetlna. Zaś ów paradoksalny dualizm pociąga za sobą konieczność dokonywania matematycznych akrobacji, które stanowią utrapienie fizyki kwantowej - a zarazem niepotrzebnie komplikują naszą zdolność zrozumienia związku zjawisk zachodzących na poziomie kwantowym ze świadomością.

Znamienne, że eksperymenty demonstrujące dualizm cząstka-fala i materia-energia obmyśla się i konstruuje, aby dowieść pewnej teorii, w którą już wierzymy. Jeśli zaś wierzy się w jakąś teorię, wówczas - świadomie lub nie - projektuje się doświadczenie, mające potwierdzić tę z góry założoną wiarę. Skoro wierzymy w jakąś teorię, zatraskujemy sobie wszystkie drzwi prowadzące do innych możliwych rozwiązań. Przyjmujemy wówczas wyniki eksperymentów i dopasowujemy je do aktualnie obowiązującego paradygmatu. Jak sądzicie, czemu naukowcy odrzucają tak wiele danych doświadczalnych, które nie pasują do oczekiwanego wyniku?

[Rysunek 3. na tablicy: oś współrzędnych z krzywą otoczoną gęsto kropkami.]

Widzicie wszyscy, że jedynie bardzo niewielka ilość wyników doświadczeń trafia dokładnie w krzywą, a jednak w jakiś sposób wierzymy, że ta krzywa jest precyzyjna - mimo iż stanowi efekt zgubnego kompromisu, który jednak całkiem dobrze sprawdza się w praktyce. Jednakże owo „całkiem dobrze” prowadzi do niechlujnych równań i wzorów, gdy usiłujemy dopasować ją na siłę do precyzyjnych narzędzi matematycznych. Właśnie dlatego równania mające przewyciężyć dualizm korpuskularno-falowy, są takie pogmatwane.

Wielu naukowców próbuje wybrnąć z kłopotu, odrzucając te wyniki doświadczeń, które są zbyt odległe od oczekiwanych. Uzasadniają to błędami eksperymentów, przypadkowymi różnicami wyników, wadliwym działaniem aparatury i podobnymi argumentami. Jednakże w efekcie takich działań nie docieramy do prawdy o danej kwestii; uzyskujemy jedynie niedokładne przybliżenie tego, czego mamy nadzieję dowieść.

Uwięźliśmy w sytuacji, gdzie na dzisiejsze pytania odpowiadamy za pomocą wczorajszych eksperymentów, teorii i matematycznych równań.

Istnieje trzecia, nieuczęszczana droga. Należy rozpatrzyć odrzucone dane doświadczalne i spróbować dowiedzieć się, dlaczego nie pasują do naszych oczekiwań. Następnie musimy opracować teorie i wzory matematyczne, które uwzględniłyby te porzucone dane. Musimy wynaleźć nowe technologie i eksperymenty, ukierunkowane na zbadanie owej trzeciej drogi. Sądzę, że kiedy to uczynimy, stwierdzimy iż paradoksalny dualizm cząstka-fala i materia-energia zniknął, a my uświadomimy sobie, że jego składowe były po prostu ogonem i trąbą ukrytego słonia, którego dotychczas nie odnaleźliśmy, gdyż nie potrafiliśmy zajrzeć we właściwe miejsce i zadać odpowiednich pytań. Gdy to zrobimy, przy-

puszczam, że matematyczne uzasadnienie okaże się znacznie bardziej proste i bardziej eleganckie.

Próby obmyślenia eksperymentów umacniających ów paradoksalny dualizm są zresztą skądinąd rzeczą bardzo ludzką.

Postrzegamy świat tak a nie inaczej, ponieważ nasze zmysły wyewoluowały w ten sposób, żeby prezentować nam taki jego obraz, który maksymalnie zwiększy nasze szanse przeżycia. To z kolei ukształtowało nasze myślenie o naturze rzeczywistości, toteż projektujemy eksperymenty, aby potwierdzić własną wizję świata. Ciemna energia, splątanie kwantowe, zasada nieoznaczoności oraz fundamentalne cechy czasoprzestrzeni, które mogą dowodzić, iż żyjemy w jedenastowymiarowym świecie - wszystko to wskazuje, że nasze zdroworoządkowe pojęcia o rzeczywistości są całkowicie fałszywe.

Nasze zmysły rozwinęły się na drodze ewolucyjnej w taki sposób, że z łatwością przychodzi nam intuicyjne pojmowanie elementów świata jako materii bądź energii. Jeżeli coś wydaje się nam solidne i trwałe, jest materia; jeśli odczuwamy ciepło, widzimy światło, nazywamy to energią. Przyjmujemy je jako składowe elementy naszej rzeczywistości i zgodnie z ludzką naturą wyznaczamy nasze naukowe poszukiwania tak, aby to potwierdziły. Lecz obecnie wiemy, że na poziomie kwantowym materia i energia są też jednocześnie cząstkami i falami, co oznacza, iż w istocie nie są materią, energią, cząstkami ani falami, lecz czymś całkowicie nowym, odmiennym, głębszym, ukrytym i bardziej fundamentalnym.

Wyniki naszych obserwacji są błędne, ponieważ wszystkie doświadczenia, jakie dotychczas obmyślaliśmy, odsyłają nam z powrotem to, co sami w nie wkładamy - a mianowicie dane zdefiniowane jako materia, energia, cząstka, fala. Musimy znaleźć sposoby zaprojektowania eksperymentów, w wyniku których uzyskamy dane, których obecnie nie po-

trafimy zrozumieć, opisane za pomocą odmiennych i nieznanych dziś terminów.

Doprowadzi to do pogodzenia sprzecznych danych dotyczących ciemnej materii (stanowiącej 23% wszechświata) i ciemnej energii (stanowiącej 73% wszechświata). Cała obecna fizyka i w ogóle nauka opiera się na niepełnej wiedzy o zaledwie 4% wszechświata.

Bieżący stan wiedzy o naturze materii i energii ogromnie przypomina stary dowcip o prostodusznym człowieku, który zgubił klucze gdzieś w ciemnościach, lecz upiera się, aby szukać ich w najbliższej okolicy pod uliczną latarnią, ponieważ to jedyne miejsce, w którym może cokolwiek widzieć. Jeżeli będziemy obstawać przy przeprowadzaniu jedynie tych eksperymentów, które dostarczają nam łatwych do przewidzenia danych o 4% wszechświata, które potrafimy bez trudu zrozumieć, wówczas na zawsze wyrzekniemy się możliwości dotarcia do prawdy - na ile potrafimy ją pojąć - o pozostałych 96%.

Czy zaskakujące wyniki eksperymentów, które obecnie odrzucamy, naprawdę są wskazówkami odsyłającymi ku ciemnej materii i energii, wskazówkami które mówią nam, żebyśmy zwrócili wzrok poza półcienie ulicznej lampy? A kiedy w końcu tam spojrzymy, czy matematyka, jaką rozwiniemy, aby opisać to, co zobaczymy, dostarczy nam prostej drogi wyjścia ze skomplikowanego labiryntu, stworzonego przez Schroedingera i innych uczonych? I czy powie nam coś o ciemnej materii i energii? Teoretycznie wiemy, że one istnieją, lecz nie potrafimy ich wykryć. Czy współistnieją one ze zwykłą materią, czy też otaczają ją z zewnątrz? Czy wpływają na świadomość? I w jaki sposób możemy zaprojektować eksperyment, mający odnaleźć coś, o czym nic nie wiemy?

Nikt nie zna odpowiedzi na te pytania. A ponieważ jesteśmy żałośnie ciemni co do 4% wszechświata, które potrafimy pojąć, i nie mamy zielonego pojęcia o całej reszcie, ci

spośród fizyków, którzy utrzymują, iż posiadają pewną i niewzruszoną wiedzę, dowodzą nie tylko swej arogancji, lecz również zdumiewającej ignorancji.

Jest to szczególnie istotne w dziedzinie badań nad świadomością. Teoria kwantowa udowodniła, że każda cząstka, każdy kwant energii -jakkolwiek chcecie ją nazwać - istnieje jedynie w niezdefiniowanym stanie nieskończonego zbioru możliwości, dopóki nie zostanie poddana obserwacji. Kiedy zaś do tego dojdzie, cząstka doświadcza załamania swych funkcji falowych, co redukuje wszystkie nieskończone możliwości do pojedynczego zaobserwowanego stanu.

Twierdzę, iż to, co nasza świadomość określa jako przyszłość, jest zbiorem wszystkich owych nieskończonych możliwości. Natomiast „teraźniejszość”, którą percypujemy, jest nieskończeniem wąskim ostrzem brzojwy czasu, w którym doświadczamy załamania się funkcji falowej. W pewnym sensie nasza świadomość serfuje na nieustannym załamaniu funkcji falowych i popycha nas od przeszłości ku przyszłości.

Każda podjęta przez nas decyzja unicestwienia zestaw funkcji falowych i zamyka wszystkie możliwości z wyjątkiem jednej. Lecz tajedna stawia nas wobec kolejnych nieskończonych serii możliwości, a te wobec następnych i jeszcze następnych, zaś każda z nich wyciska swój trwały, niezatarty ślad na czasoprzestrzeni.

Na zakończenie zapytajmy, cóż to oznacza dla nas jako istot ludzkich? Otóż to, że jesteśmy zbiorem wszystkich łącznie fal prawdopodobieństwa wszystkich tworzących nas kwantów. Wewnątrz nas wiele naszych elektronów miliardy razy na sekundę przeskakuje z istnienia w nieistnienie i z powrotem. Zaś cała ich reszta istnieje jako fale prawdopodobieństwa. Oznacza to, że zapewne istniejemy, lecz nigdy nie zdołamy tego dowieść.

Rx only

XANTAEUS®

(Xantaeusol HCl, USP)

DESCRIPTION

Xantaeus® (Xantaeusol hydrochloride transdermal patch, USP) is an anti-anxiety agent that is not chemically or pharmacologically related

Xantaeus is supplied as transdermal patches 45 mg of Xantaeusol hydrochloride, USP (equivalent to 31.2 mg of Xantaeusol free base, respectively).

to the benzodiazepines, barbiturates, or other sedative/anesthetic drugs. It is closely related to buspirone HCL and to buspirone H, HCL, as developed by the Walter Reed Institute of Research.

Xantaeusol hydrochloride is a bluish-white polymorphic, water-soluble compound with a molecular weight of 513.0.

Each Xantaeus (Xantaeusol transdermal system) contains Xantaeusol HCL base in an ethylene-vinyl acetate copolymer matrix. Proceeding from the visible surface toward the surface attached to the skin are: (1) an occlusive backing (polyethylene/ethyleneterephthalate/ethylene-vinyl acetate copolymer); (2) a drug reservoir containing Xantaeusol HCL in an ethylene-vinyl acetate copolymer matrix; (3) a rate-controlling membrane (polyethylene); (4) a polyisobutylene adhesive; and (5) a protective liner that covers the adhesive layer and which must be removed before application to the skin.

CLINICAL PHARMACOLOGY

The mechanism of action of Xantaeusol is unknown.

Xantaeusol does not exert anticonvulsant or muscle relaxant effects and avoids the prominent sedative effects that are usually associated with more typical anxiolytics. Xantaeusol has a high affinity for serotonin receptors but does not affect GABA binding *in vitro* or *in vivo*. The effects of Xantaeusol on other neurotransmitter systems are pharmacologically and strategically significant, but classified.

A multiple-dose study conducted in 53,205 subjects indicates significant nonlinear pharmacokinetic activity. This non-linear activity indicates that repeated dosing will lead to significantly increased Xantaeusol blood concentrations than had previously been measured in single dose studies and as predicted in animal testing models.

Multiple studies of *in vitro* protein binding showed that approximately 92% of Xantaeus is bound to plasma proteins. Neither aspirin nor flurazepam affected plasma levels of free Xantaeus. *In vivo* studies, however, remain inconclusive and may cause clinically significant differences in treatment outcome. It attenuates punishment suppressed behavior in animals and exerts a taming effect, but is devoid of anticonvulsant and muscle relaxant properties.

Contrary to *in vitro* studies of buspirone, Xantaeus significantly displaces highly protein-bound drugs such as warfarin, phenytoin, and propranolol from plasma protein. Xantaeus also displaces digoxin and related compounds.

Xantaeus is extensively metabolized in first pass pathways mediated by cytochrome P450 3A4 (CYP3A4) oxidation. Serious and permanent psychotic behavior resulting in violence has been observed in less than one percent of the population.

Special Populations

Wartfighter Combat Personnel

Administration prior to actual combat produced prolonged anxiolytic effects and extended resistance to stress and fatigue without visible impairment of combat efficiency over periods of 72 hours and longer without sleep.

Race Effects

The effects of race on the pharmacokinetics of Xantaeus have been extensively studied and outcomes available to qualified personnel only.

INDICATIONS AND USAGE

Xantaeus is indicated for the management of anxiety disorders and for long-term relief of the symptoms of anxiety in extended combat situations.

The efficacy of Xantaeus has been demonstrated in controlled clinical trials the results of which are classified and available to qualified personnel only.

Xantaeus Pharmaceutical (Informacja o leku – tłumaczenie)

Ostrzeżenie: Informacje ściśle tajne, zgodnie z rozkazem CINCOM nr. 3572-9 wymagane jest zezwolenie typu D, a udostępnienie osobom nieupoważnionym grozi poważnymi konsekwencjami karnymi. Wszelkie prawa bezwzględnie zastrzeżone dla Defense Therapeutics INC.

Wydaje się jedynie z przepisu lekarza.

XANTAEUS® (Xantaeusol, HCl, USP)

POSTAĆ:

Xantaeus® (transdermalny system terapeutyczny Xantaeus) to lek o działaniu przeciwlękowym w formie przezskórnych plastrów zawierających substancję czynną – chlorowoderek xantaeus. Jest to białoniebiskawa, polimorficzna, rozpuszczalna w wodzie substancja o masie cząsteczkowej 513,0.

Xantaeus jest aplikowany w postaci transdermalnych plastrów zawierających 45 mg chlorowodoru xantaeusolu, USP co odpowiada 31,2 mg czystego xantaeus.

Xantaeus znacząco różni się od typowych anksjolityków, którymi są benzodiazepiny czy leków nasennych takich jak barbiturany zarówno pod względem budowy chemicznej, jak i właściwości farmakologicznych.

Instytut Badawczy Waltera Reeda wykazał natomiast ich istotne podobieństwa do cząsteczek chlorowodoru buspironu oraz chlorowodoru buspironu II.

Xantaeus® zawiera substancję czynną – chlorowoderek xantaeus w matrycy z substancji pomocniczej – kopolimeru etylenu z octanem winyliu.

Każdy plaster składa się z pięciu warstw. Są to kolejno: (1) folia zewnętrzna (polietylen/aluminium/poliester/kopolimer etylenu z octanem winyliu); (2) zbiornik z substancją leczniczą zawierający chlorowoderek xantaeus w matrycy z kopolimeru etylenu z octanem winyliu; (3) polietylenowa błona kontrolująca uwalnianie leku do skóry; (4) poliizobutylenowa warstwa przyklepna, która bezpośrednio przylega do skóry oraz (5) warstwa ochroniana, którą usuwa się przed aplikacją plastra.

OPIS DZIAŁANIA:

Mechanizm działania leku nie został całkowicie wyjaśniony.

Xantaeus nie działa przeciwdrgawkowo, nie zmniejsza napięcia mięśniowego oraz w przeciwieństwie do typowych leków przeciwlękowych, nie wywołuje senności.

Silne powinowactwo leku do receptorów serotoninowych w ośrodkowym układzie nerwowym zostało dobrze udowodnione. W żadnych badaniach, ani in vitro ani in vivo nie wykazano natomiast wpływu na przekaznictwo GABA-ergiczne. Szczegółowe dane dotyczące oddziaływania Xantaeus na ośrodkowy układ nerwowy są ściśle tajne.

Wielokrotnie podawanie Xantaeus powoduje znaczący nieliniowy wzrost aktywności farmakokinetycznej leku, co zostało udowodnione w badaniach przeprowadzonych na grupie liczącej pięćdziesiąt trzy tysiące dwieście pięć osób. Oznacza to, że powtarzając dawki uzyskuje się nieliniowy wzrost stężenia leku we krwi. Jednak jest on dużo większy niż przewidywano na podstawie badań dotyczących użycia pojedynczych dawek oraz eksperymentów na modelach zwierzęcych.

W badaniach in vitro wykazano, że lek wiąże się z białkami osocza w 92%. Nie dowiedziono by aspiryna bądź flurazepam zmieniały stężenie wolnego Xantaeus we krwi. Jednak wyniki badań in vivo są niejednoznaczne, dlatego nie można do końca przewidzieć klinicznych skutków terapii Xantaeusem.

Lek działa uspakajająco oraz osłabia wpływ kary (negatywnego wzmocnienia) na zachowanie zwierząt. Nie ma działania przeciwdrgawkowego, ani nie zmniejsza napięcia mięśniowego.

W przeciwieństwie do buspironu, Xantaeus w znacznym stopniu wypiera leki wiążące się z białkami osocza zwiększając tym samym ich stężenie we krwi. Badania in vitro dotyczyły m.in.: wafaryny, fenytoiny, propranololu, oraz digoksyny.

Xantaeus jest metabolizowany w efekcie tzw. pierwszego przejścia przez wątrobę, w której pod wpływem enzymów należących do rodziny cytochromów P-450 typ 3A4 ulega utlenieniu.

Po aplikacji Xantaeus w mniej niż 1% przypadków obserwowano wystąpienie przewlekłej psychozy objawiającej się przede wszystkim agresją.

Populacje szczególne

Personel bojowy:

Lek podany przed przystąpieniem do walki wywołuje długotrwały efekt anksjolityczny oraz odporność na stres i zmęczenie. Nie obserwowano obniżenia sprawności bojowej nawet u żołnierzy pozbawionych snu przez ponad 72 godziny.

Efekty rasowe

Efekty farmakokinetyczne u osób różnych ras podlegają intensywnym badaniom, których wyniki udostępniane są jedynie upoważnionym osobom.

WSKAZANIA I SPOSÓB UŻYCIA:

Xantaeus zaleca się do stosowania w leczeniu zaburzeń lękowych oraz do długotrwałego łagodzenia objawów leku w czasie intensywnych działań bojowych.

Skuteczność Xantaeus udowodniono w kontrolowanych badaniach klinicznych, których wyniki są tajne i udostępniane jedynie upoważnionym osobom.

ZALĄCZNIK IV

Tajny raport

ALL INFORMATION CONTAINED
HEREIN IS UNCLASSIFIEDBY *[Signature]**Larry - wine get in more fast!
The lawyer's daughter is into
it! She has taken all 3 papers &
is taking them to Brad Stone.
This will sink Xawagers
unless you act immediately!
- LaHaye 15 May*RESEARCH, DEVELOPMENT
ENGINEERING COMMAND

ABERDEEN PROVING GROUND, MARYLAND

APR 3
COMM. 14

RECORDED

531 MI MDE DEP ORD

MODIFY TO INCLUDE REQ FROM USCINCENT PER 011003Z ZAPR 1 RE GUARDIAN BRIGADE

Action Number: 1177
Subject: TECHNICAL ESCORT UNIT DEPLOYMENT ORDER
Action Agency: J-3

SUBJ: REQUEST FOR GUARDIAN BRIGADE [TECHNICAL ESCORT] SUPPORT

REF: A: MEMORANDUM FROM LF, XO [for CDR], 485TH BI MDE

SUB: INTECEPT OF COMPROMISED BIOMEDICAL DATA, SOCAL PACIFIC COMMAND

B. PHONCON BETWEEN GEN. LAHAYE, CCJ2-C31 AND CBRAXTON, DEPTHER

1. AS DISCUSSED IN REF B AND C, OPERATION ENDURING FREEDOM/USCINCENT REQUESTS SUPPORT FROM THE TECHNICAL ESCORT UNIT (TEU), GUARDIAN BRIGADE, US ARMY RESEARCH, DEVELOPMENT ENGINEERING COMMAND COMMAND, FOR TRAINING IN INTECEPT OF BIOLOGICAL SAMPLES TO CONUS TESTING FACILITIES IN DIRECT SUPPORT OF OPERATION ENDURING FREEDOM.

THE TECHNICAL ESCORT UNIT/GUARDIAN BRIGADE IS THE USCINCENT EXECUTIVE AGENT FOR DIRECT ACTION, INTERVENTION AND PROTECTIVE DEPLOYMENT. USCINCENT REQUIRES IMMEDIATE COLLECTION OF THESE SAMPLES FROM FOREIGN MILITARY AGENT. IT WILL BE NECESSARY TO RAPIDLY TRANSPORT THESE SAMPLES TO CONUS LABORATORIES FOR ANALYSIS.

2. DISCUSSION: USCINCENT REQUESTED* TEU PERSONNEL (APPROXIMATELY FOUR, PER TELECON), EXPECTED TO BE OBTAINED) FOLLOWING INITIATION OF HOSTILITIES

I CLASSIFICATION ACTION NUMBER (ORG REQUISITION
O-CLEARANCE/EYES ONLY SOA 1177 2200 05 JAN
THRU DJS J-3 J-31 J-33CJCS/VCJCS/DJS/J/DIA/J3/J4/J5/J6/J7/J8/J9/J10/J11/J12/J13 JOD/WDS/GULF/RECALL/PA
EXEMPTION (b)(6) J-3 RECELL/ CATB/LL- MINIMIZE CONSIDERED*Command - With all due respect, your demands on my ability to deploy forces are making the risk of exposure. If the CO of RDECOM finds out what we are doing we are in serious trouble. LF 6/2***DO IT NOW! C.B.***Not good enough!
It has to be
faster! Your
eye is not in line
too!
- LaHaye 27 May*

INFORMACJE W TEKŚCIE
ZOSTAŁY UTAJNIONE
PRZEZ (nieczytelne)



*Larry – musimy się podnieść!
Córka tej prawniczki siedzi nam na karku.
Ma papiery Talwadge'a i chce je przekazać
Bradowi Stone. To pogroźmy Xanteu,
jeśli natychmiast nie zadziałamy!*

LaHage, 15 maja.

**DOWÓDZTWO WOJSKOWYCH BADAŃ,
ROZWOJU I INŻYNIERII**
Poligon Doświadczalny w Aberdeen, Maryland

ZAREJESTROWANO

WYSŁANO 4
Kwiecień 4
dłw.

*Pani general! Działam tak szybko, jak pozwala
mi sytuacja. - L.F.*

Zmodyfikować, uwzględniając żądanie Szefa Głównego Dowództwa 01803Z z 2 kwietnia
przysłania 1 Pułku Brygady Specjalnej

Numer akcji: 1177
Temat: Rozkaz dotyczący rozmieszczenia Oddziału Wsparcia Technicznego
Agencja: J-3

Temat: Żądanie przysłania Brygady Specjalnej (Oddziału Wsparcia Technicznego)
Załącznik:

A: Notatka służbowa sporządzona przez podpułkownika L.F. (dla dowódcy), 485. Dep. Wojsk.
Temat: Przejęcie zagrożonych materiałów biomedycznych; tzw. Dowództwo Pacyfiku

B: Rozmowa telefoniczna pomiędzy gen. LaHage CCJ2-Ch i C.B. Braxtonem, połączenie kodowane

1. Jak przedstawiono w załączniku B i C, Projekt Optymalizacji Wartości Bojowej/Głównie Dowództwo domaga się pomocy logistycznej ze strony Oddziału Wsparcia Technicznego, Brygady Specjalnej oraz Dowództwa Wojskowych Badań, Rozwoju i Inżynierii, w zakresie przejęcia próbek biologicznych i przesłania ich do Zakładów CONUS celem bezpośredniego wspomoczenia Projektu Optymalizacji.

Oddział Wsparcia Technicznego/Brygada Specjalna jest jednostką Głównego Dowództwa, przeprowadzającą bezpośrednie działania bojowe, interwencyjne i ochronne. Głównie Dowództwo żąda natychmiastowego wycofania próbek z zagranicznych placówek wojskowych. Niezbędne będzie jak najszybsze przesłanie tych próbek do laboratoriów Zakładów CONUS w celu poddania ich analizom.

2. Podsumowanie: Głównie Dowództwo zażądało konsultacji drogą telekonferencji z przynajmniej czterema członkami Oddziału Wsparcia Technicznego, oczekując od nich w szczególności konkretnych działań bojowych.

Kategoria: Numer akcji: Dat. zapotr.:
certyfikat bezpieczeństwa Q/ poufne SOA 1177 5 styczeń 2002
Dla DJS J-3 J-13 J-23

Szef Połączonych Sztabów/Zastępca Szefa Połączonych Sztabów/DJS/Agencja Wywiadu
Wojskowego: J3/J4/Narodowy Instytut Wojskowych Studiów Strategicznych

*To za mało! Musicie
przypieścić!
Odpowiadasz za to
głową.
LaHage, 21 maja*

*Pani general, z całym szacunkiem, ale przecenia pani moje możliwości szybkiego
przeprowadzenia tej operacji bez ryzyka jej ujawnienia. Jeśli szef Dowództwa Wojskowych Badań,
Rozwoju i Inżynierii domyśli się prawdy, będziemy mieli poważne kłopoty.*

WYKONAĆ NATYCHMIAST! C.B.